

KATARZYNA BONDA

FLORYSTKA

TRZECIA CZĘŚĆ SERII
O HUBERCIE MEYERZE



KATARZYNA
BONDA

FLORYSTKA

Florystka

Trzecia część serii o Hubercie Meyerze

Copyright © by Katarzyna Bonda

Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda

Ilustracja na okładce: Jarek Kubicki

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-64416-64-4

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

To, co nieprzepracowane, wraca do nas w postaci Przeznaczenia.

C. G. Jung

Wy milczcie!... Tak kobieta będzie pełna trwogi
We wszystkim; tchórz do wojny, z pochew broni srogiej.
Nie wyjmie, lecz gdy ślubne zbezczeszcza jej łożo,
Nikt mściwym ani krwawszym od niej być nie może.

Eurypides, *Medea*

Nie można się na nikim zemścić.
Co zrobisz, gdyby kopnął cię koń? Oddałabyś mu?

(fragment powieści)

Białystok, osiedle Dziesięciny, pięć lat wcześniej

Czarna zdezelowana furgonetka zatrzymała się na parkingu przy ulicy Studziennej 11. Trudno było jej nie zauważyć i nie usłyszeć. Stare auto, ręcznie pomalowane w płomienie piekielne, nie posiadało tłumika. Ten, kto zdobił blachy furgonetki, nie należał do wybitnych artystów. Chodziło o szpan, nie o sztukę. Zresztą malunek musiał powstać już jakiś czas temu, bo w wielu miejscach farbę pożerała rdza.

Osiedle spało. Tylko w nielicznych oknach odbijał się niebieski blask telewizorów. W oddali, na murku, pod napisem „Dziesięciny-Las Vegas. Wchodzisz na własne ryzyko”, siedziała grupka dresiarzy z puszkami piwa w rękach. Hałaśliwie tokowali przed dwiema dobrze wysmażonymi w solarium małolatami w za krótkich spodenkach. Jedna z nich miała całkiem niezłe nogi. Druga była jej gorszą kopią. Chichotała rozpaczliwie, by zwrócić na siebie uwagę.

Kierowca furgonetki uchylił szybę, wypuścił kłąb dymu. Po chwili widać było wyprostowaną rękę trzymającą papierosa. Zaraz potem nawet w połowie niewypalony niedopałek idealnym łukiem pofrunął na trawnik. Kierowca zgasił światła w wozie, wyłączył kaszłący silnik.

Mężczyzna stojący w oknie w bloku naprzeciwko szybkim krokiem podszedł do szuflady. Ściszył radiostację, zostawiając jedynie delikatny szum i czerwone światełko, które pozwalało mu być cały czas na orientacji. Wyjął lornetkę noktowizyjną, wrócił do okna i śmiało odsłonił firankę, nie martwiąc się, że może być zauważony. Mieszkał w jednym z szeregu identycznych bloków osiedla Dziesięciny. Kierowca furgonetki nie miał szans zwrócić uwagi akurat na jego okno.

Mężczyzna zdjął okulary, przyłożył lornetkę do oczu, ustawił ostrość. Poczł znajomy ucisk w dołku. Znał kobietę siedzącą na miejscu pasażera; miękkie jasne włosy otulały jej głowę niczym aureola. Znalazła się tutaj nieprzypadkowo. Wiedział, że właściciel furgonetki mieszka w tym bloku. Mężczyzna odruchowo wyprostował się i spiął w sobie. Niemal słyszał, jak łagodnie, ale stanowczo poprosiła, by jej towarzysz nie palił w aucie. Dałby teraz wszystko, by dowiedzieć się, co

mówią kochankowie. Rozmowa musiała być burzliwa, bo dostrzegł lekką szarpaninę, w trakcie której kobieta próbowała gwałtownie wysiąść. Obserwujący ich z okna mężczyzna dostrzegł tylko jej szczupłą kostkę i drobną stopę obutą w płaską balerinę. Kierowca widać jakoś udobruchał partnerkę, bo po chwili drzwi furgonetki zamknęły się ponownie. Silnik zaskoczył za pierwszym razem i samochód ruszył do wyjazdu z parkingu.

Obserwator wrzucił lornetkę do szuflady, założył okulary i chwycił kluczyki do swojego auta. W jego ruchach nie było nerwowości, raczej rutyna. Włożył buty, narzucił na plecy kurtkę. Nagle z radia usłyszał wezwanie. Obrócił pokręteł w prawo, by pogłośnić.

— Zero siedem trzy, do cztery dwa cztery, zgłoś się.

Mężczyzna zamarł. Nacisnął przycisk.

— Cztery dwa cztery zgłasza się — powiedział do mikrofonu.

— Jest zdarzenie na Berlinga dziewiętnaście. Płonie winda.

— Berlinga dziewiętnaście? — mężczyzna upewnił się. — Która klatka?

— Ostatnia, od dziesiątego piętra wzwyż. Strażacy gaszą od godziny. Sytuacja wciąż nie jest opanowana. Ogień rozprzestrzenia się bardzo szybko.

— Jaki etap ewakuacji? — zapytał mężczyzna. — Są ofiary?

— Wszystko pod kontrolą. Trzydzieści osób w szpitalu. Jeden facet skoczył z dwunastego piętra. Połamany, ale żyje.

Mężczyzna zerknął w okno. Po czarnej furgonetce nie było już śladu. Ulicą co jakiś czas przejeżdżały pojedyncze auta. Odłożył kluczyki na stół, wyjął papierosa z paczki, obszukał kieszenie, ale nie znalazł zapalniczki.

— Nie wysyłaj radiowozu, jestem trzeźwy. Będę za pięć minut. Za trzy. Jestem w domu.

— Jest jeszcze coś.

— No?

— Strażacy natrafili w windzie na ciało. Ktoś usmażył się żywcem. Została tylko plama tłuszczu. Słaby widok.

— Niech chłopaki czekają tam na mnie. Osobiście wydam dyspozycje.

Na parkingu przed blokiem przy Berlinga 19 stał tłum ludzi owiniętych w koce i płaszcze chroniące przed spadkiem temperatury. Część koczowała wokół swojego dobytku. Potrzaskane stoły, krzesła bez oparc, stosy książek, dziecięce zabawki. Komisarz Lech Pilecki domyślił się, że to wszystko zostało wyrzucone przez okna w desperackim akcie ratunku przed ogniem. Matki tuliły swoje dzieci. Zewsząd rozlegały się lamenty i nawoływania. Mimo późnej pory dookoła zebrał się już tłum gapiów. Kierowcy zatrzymywali swoje auta na poboczu, by z zaciekawieniem obserwować ludzką tragedię. Policjanci z drogówki z trudem eliminowali tworzący się korek. Trzy wozy strażackie walczyły z pożarem. Mimo doskonałego podjazdu do bloku płomienie wciąż buchały z okien. Widać było, że akcja gaśnicza zajmie jeszcze dużo czasu. Może nawet nie skończy się do rana. Czerwone języki trawiły trzy ostatnie piętra. Niebo nad osiedlem było rozżarzone. Łuna z daleka musiała przypominać gorącą czapę.

Pilecki ruszył wprost do zagrożonej klatki. Jednym ruchem przekroczył taśmę policyjną. Na jego widok kilku funkcjonariuszy podniosło głowy, skinęli mu z szacunkiem. Starszy sierżant Lucjan Swatek wskazał koledze wejście. Strażacy zaraz podali mu płaszcz ochronny. Pilecki narzucił go nonszalancko na plecy. Pośpiesznie przewiązał sobie usta białą przepaską chroniącą przed gryzącym dymem. Okrągłe okulary natychmiast zasłzy mu mgłą.

— Wypadek? — spytał przed wejściem do klatki. — Instalacja wciąż się tutaj pieprzyła. Może wreszcie wymienią te windy. U mnie jest to samo. Od tygodnia dymam po schodach na siódme.

— Nie sądzę — odparł Swatek. — Ktoś raczej chciał, żebyśmy tak pomyśleli.

Pileckiego nie zdziwiła ta odpowiedź. Sugestia była tylko kurtuazyjna. Przecisnął się przez rząd strażaków biegnących w pełnym rynsztunku. Ruszył schodami do góry. Swatek był tuż za nim. Szli równym krokiem, nie odzywając się do siebie. Wewnątrz panował taki harmider, że nie dało się rozmawiać. Im wyżej się znajdowali, tym trudniej było oddychać. Czarny dym można było kroić nożem. Kiedy dotarli na dziesiąte piętro, Pilecki zajrzał do środka dźwigu i zaraz odwrócił głowę. Z trudem powstrzymał torsje. Wyściółka na ścianach windy była zwęglona. Trudno było wyobrazić sobie, jak wyglądała

wcześniej. Zostały tylko metalowe ściany. Lustro było popękane i brunatnoczarne niczym makabryczna pajęczyna. Na środku leżała zwęglona kupka czegoś, co kiedyś musiało być człowiekiem.

— Miednica, fiszbiny biustonozza — wskazał im ekspert pożarnictwa, który dosłownie w tym momencie zajrzał zza pleców Pileckiego. Był czerwony od gorąca, miał osmalone wąsy. — Podpalenie. Na bańkę.

Wskazał leżące na podłodze spopielone fragmenty kartonu.

— Więcej powiem jutro, niech strażacy dokończą. Zjeżdżam stąd, zaraz będzie ze mnie zapiekanka.

Pilecki dał znak funkcjonariuszom, że mogą schodzić.

— Ciężko będzie stwierdzić, jak zginęła ta stokrotka — próbował żartować Swatek, kiedy wyszli na zewnątrz.

— Sama się tutaj chyba nie zaplątała — mruknął Pilecki.

— Szkoda kobity — mruknął Swatek. Wyciągnął paczkę papierosów w stronę szefa, ale ten wyjął swoje. Palili chwilę w milczeniu.

Podszedł do nich technik. W ręku miał dziesięciocentymetrowy metalowy kawałek drutu, wygięty na końcu w nieduży haczyk.

— Ktoś podpalił ciało, wcisnął dwunaste i puścił je w górę. To dlatego nie mogliśmy windy otworzyć. Spłonęła doszczętnie. Spryciarz.

Wszyscy trzej patrzyli teraz na kawałek drutu w foliowej torebce na dowody w rękach technika.

— Winda do nieba — zaśmiał się Swatek.

Pilecki zmierzył go potężającym spojrzeniem. Sierżant zmarkotniał.

— Tym zablokował przycisk piętra? — upewnił się Pilecki.

— Sprawdzi się, szefie. — Technik wzruszył ramionami i przekazał dowód, po czym odszedł do swoich spraw.

— Da się ustalić przyczynę zgonu?

— Będą nawet problemy z ustaleniem tożsamości. Niewiele z niej zostało — mruknął Swatek i spojrzął na Pileckiego, który tym razem uśmiechnął się kwaśno.

— DNA jak nic. Droga sprawa będzie — dodał Swatek i odwrócił się na pięcie. — No to idę, szefie.

Pilecki skinął mu głową bez słowa. Rozejrzał się wokół placu, jakby kogoś szukał. Bez skutku. Ruszył więc na obchód. Wzrokiem pozdrawiał znajomych policjantów, strażaków, lekarzy. Dzisiejszej nocy

były tutaj chyba wszystkie miejskie służby. W oddali zobaczył mężczyznę z kamerą i dobrze odżywioną kobietę z mikrofonem. Pewnie wypytywali pogorzalców o ich samopoczucie, bo rodzina z dziećmi płakała rozpaczliwie wprost do oka kamery. Gdyby nie było tutaj tylu ludzi, splunąłby na ich widok z pogardą. Pomyślał, że dziennikarze musieli być tutaj nawet przed nim. Ciekawe, kto dał im cynk.

Wtedy pod ścianą sklepu dostrzegł kobietę. W pierwszej chwili jej nie rozpoznał. Była otulona kocem. Wydawała się drobniejsza niż w rzeczywistości. Stała tyłem do źródła ognia, z niewidzącym wzrokiem wbitym w przestrzeń. Podniosła głowę na jego widok, ale nie zauważył zmiany w jej twarzy. Jakby nic nie czuła, nic nie widziała. Była zrezygnowana, odklejona od rzeczywistości. Myśli błąkały się w jej głowie gdzieś poza tym, co działo się tutaj. Podszedł bliżej.

— Olu, nic ci nie jest? — zapytał z troską.

Pokręciła głową.

— Co tu się dzieje? — zapytała szeptem. W jej głosie było prawdziwe przerażenie.

Nie odpowiedział. Patrzył na jej jasnoniebieskie oczy, delikatne rysy twarzy, jasne włosy splecione na końcach w delikatne fale.

— Nie możesz mi powiedzieć? — domyśliła się.

Pokiwał głową.

— Byłam w pracy, potem musiałam coś załatwić — zawiesiła głos. — A kiedy wróciłam, to wszystko już tu było.

Pilecki nie mógł się skoncentrować na jej słowach. Wciąż patrzył na nią — na karminowe rozchylone usta, ból w twarzy, który sprawiał, że wydawała mu się jeszcze piękniejsza — i czuł narastającą irytację z powodu tego, co robiła pod jego blokiem w aucie z kimś innym.

— Dlaczego to wszystko dzieje się koło mnie? — zapytała, chwytając go za rękaw i żądając kategorycznej odpowiedzi. Ani na chwilę nie spuszczała z niego wzroku. Potem wpadła w histerię. Znał ten jej stan. Czuł się odpowiedzialny, choć wiedział, że nie może jej uspokoić. — Co ja takiego zrobiłam? Chcę tylko umrzeć. Czy to aż tak wiele?

Po jej twarzy spłynęła łza. Ola nie ocierała jej. Patrzył, jak płynie po policzku, gubi się w kąciку ust. Sam nie wiedział, dlaczego to robi, ale był stanowczy i pewny siebie jak nigdy. Podszedł, objął kobietę ramieniem. Wtuliła się w niego, bezgłośnie płacząc.

— Nie pozwolę cię skrzywdzić. Będę cię bronił nawet przed tobą samą — obiecał. — Jeśli mi pozwolisz — dodał po chwili.

Teraz Ola rozpląkała się na dobre. Trzymał ją chwilę w objęciach. Czuł zapach jej włosów. Miał ochotę ich dotknąć, pogłodzić. Nie miał złych intencji, chciał ją jedynie wesprzeć. Zdawała mu się skrzywdzonym dzieckiem, które potrzebuje otuchy. Nie wstydził się ludzi. W tym momencie dla niego nie istnieli. Po prostu nie miał odwagi przekroczyć tej granicy. Czuł, że Ola wciąż nie jest na to gotowa. A jednocześnie czuł dumę, że mu ufa. Stali tak jakiś czas w milczeniu. Po chwili Ola wyswobodziła się z jego ramion, stanęła naprzeciw i zdawało mu się, że lekko się uśmiechnęła. Ale to było złudzenie, w jej twarzy odbijała się jedynie łuna pożaru.

— Widziałam się z nim dzisiaj. Wszystko już skończone — szepnęła i zawstydzona pochyliła głowę.

— On tu jest? — Pilecki rozejrzał się czujnie.

Ola długo milczała. Nie wykonała żadnego gestu.

— Przywiózł mnie. Nie wiem, gdzie jest teraz — odparła w końcu.

Pilecki odetchnął w ulgą. Była z nim szczerą. Nie spodziewał się tego.

— Będę cię musiał przesłuchać — oświadczył najdelikatniej jak potrafił.

Nie wydawała się zdziwiona.

— Nie możesz tutaj ze mną stać. Idź już — nagle odezwała się stanowczo i odepchnęła go delikatnie. Wciąż jednak nie puszczała jego ręki.

Pilecki odwrócił się, obrzucił spojrzeniem parking i przerażonych ludzi. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Podniósł jej dłoń i dłużej niż potrzeba przytrzymał ją w swojej. Potem rozwinął ją i przyglądał się jej badawczo, choć wiedział, jak bardzo Ola wstydzi się swoich rąk. Były bardzo zaniedbane i zniszczone. Paznokcie zabarwione na brunatny kolor, opuszki poranione.

— To od pracy z kwiatami? Nie powinnaś tak ciężko pracować — oświadczył i zanim odpowiedziała, pocałował wewnątrz jej ręki. Skóra była szorstka, nieprzyjemna. Ale jemu to nie przeszkadzało. Na twarzy Oli jednak momentalnie pojawił się grymas niechęci. Wiedział, że niepotrzebnie przekroczył granicę. Zmrużyła oczy i wyrwała dłoń.

— Idź już — powtórzyła zimno, ze wzrokiem wbitym w czubki swoich butów. — Jeszcze ktoś sobie coś pomyśli. Mnie jest już wszystko jedno. Ale ty możesz mieć kłopoty.

Spełnił jej polecenie bez słowa. Kiedy odchodził, czuł na plecach jej palące spojrzenie. Odwrócił się przed samą klatką i z satysfakcją stwierdził, że jednak odprowadzała go wzrokiem. Nawet przez moment nie spuściła go z oczu. Poczł się silniejszy, pewniejszy, może nawet szczęśliwy. To znaczyło, że nie jest jej obojętny, a tego przecież najbardziej się obawiał. Kiedy ponownie się odwrócił, zniknęła. Zamiast niej pod siatką rozłożyła się rodzina z dziećmi. Pilecki miał nawet wrażenie, że nigdy jej tam nie było, a cała ta scena była wytworem jego wyobraźni. Dłużej jednak nie mógł się nad tym zastanawiać. Musiał wrócić do czynności śledczych.

Białystok, ul. Berlinga 19, rok wcześniej

Ogród był otoczony ze wszystkich stron wysokim żywopłotem z dzikiego wina. Nie miał wejścia ani wyjścia. W każdym razie Ola nie wiedziała, gdzie ono jest. Za pierwszym razem myślała, że po prostu umarła i znalazła się w raju. Nie odgadła, że to Amadeusz wezwał ją do siebie. Nie uprzedził jej. Widać chciał jej zrobić niespodziankę. To było bardzo w jego stylu.

Zwykle była boso. Pod stopami czuła wilgotną, miękką trawę o niewiarygodnie soczystym kolorze, jakby przed chwilą skropił ją deszcz. Za pierwszym razem nie mogła się powstrzymać i wyrwała źdźbło, by upewnić się, że to wszystko istnieje naprawdę, a nie jest jedynie snem. Trawa nie była sztuczna, podobnie jak pozostałe rośliny. Nie tylko nie były iluzją, ale pachniały, wydzielały soki, z ich pręcików sypał się pyłek, żarły je gąsienice, łąziły liszki. Czerwone mrówki wędrowały pośpiesznie po drzewach, a biedronki, zawsze z jedną kropką, właziły jej na ramiona, po czym odlatywały w przestrzeń, kiedy próbowała je schwycić. Nie wiedziała, dlaczego zawsze miały tylko jedną kropkę. Na drzewie wisiało gniazdo os, wyżej zaś, w sporej dziupli mieszkał dzięcioł. Słyszała często jego jednostajne stukanie. Dalej, tam gdzie Oli nie wolno było się zapuszczać, ponoć żyły

nietoperze i dzikie zwierzęta. Ola słyszała czasem ich porykiwania, kiedy była w Ogrodzie zbyt długo, ale nigdy tego nie sprawdziła. Nie знаła przejścia, choć był czas, że uparcie szukała jakiejś furtki czy dziury w żywopłocie.

W lewej, nasłonecznionej części Ogrodu rosły oleandry. Obok nich ciężkie kiście hortensji wydzielały słodki zapach, wabiąc chmary owadów. Słoneczniki jak jedna rodzina zaanektowały prawy róg, uparcie wystawiając „twarze” do słońca. Z prawej, pod rozłożystymi kasztanowcami rosły róże. Dalej mieczyki w obłądnym biskupim kolorze, irysy i tulipany wciskały się, gdzie popadło. Tam lipan, tu lipan — śmiał się z nich Amadeusz. Żonkile znajdowały się na swojej własnej wysepce, odizolowane od reszty kwiatów na skraju oczka wodnego, pod wierzbą płaczącą, by nie zatruwać swoimi sokami innych kwiatów. Amarylisy rosły w chaszczach jeżyn przy płocie, jakby zasiały się dziko, od niechcenia i nikt specjalnie o nie nie dbał. Już podczas pierwszego pobytu w Ogrodzie Ola wypielila ich kąt oraz obłożyła je białymi kamieniami, by nie podchodziła pod nie woda. Wtedy ich cebule zgniłyby i nie miałyby szans odrodzić się na nowo. Nie mogłyby sobie darować, gdyby zmarniały z powodu mięty, ostów czy powoju, które z czasem łakomie zabierały każdy kawałek przestrzeni Ogrodu.

Ola zawsze od razu znajdowała się wewnątrz, choć za każdym razem musiała przybywać z innej strony. Nigdy nie musiała pokonywać żadnej drogi. Po prostu otwierała oczy i była w środku. Potem wystarczyło tylko czekać na powrót syna. Czasem trwało to bardzo długo. Amadeusz nie zawsze zaszczycił ją swoją obecnością. Wiedziała jednak zawsze, że jest gdzieś blisko. W ostatniej chwili dostrzegała na przykład jego piłkę toczącą się w jej kierunku albo żółtą bejsbolówkę porzuconą niedbale w trawie. Bywało, że mogła obserwować jedynie ślady stóp na piasku albo jego nogi w podartych trampkach, zwisające z gałęzi. Ale nawet jeśli był obok niej, nie miała prawa go dotykać, ani tym bardziej przytulać. Nie mogła też z nim rozmawiać. Słyszała tylko jego myśli i w ten sposób mogła się z nim porozumiewać. Początkowo jej to wystarczało.

Po kilku wizytach znała niemal każdy fragment tego miejsca. Ogród wcale nie był duży. Być może z punktu widzenia dziecka była to ogromna przestrzeń, ale dla Oli było to zdecydowanie miejsce

„kieszonkowe”. Po pewnym czasie zrozumiała, że jest to wyłącznie wytwór wyobraźni Amadeusza, który łaskawie wpuszcza ją do swojego świata. Była mu za to wdzięczna. Uważała to za wielki dowód synowskiej miłości.

Ogród miał swoje mankamenty. Czas w nim nie istniał. Podobnie jak pogoda. Zawsze świeciło tutaj słońce. Nie było nocy. Kwiaty wciąż musiały kwitnąć. Wiedziała, że ich korzenie są wątłe, płatki słabe. Ola nigdy nie odczuwała wahań temperatury. Niezależnie od tego, w co była ubrana, było jej idealnie ciepło. Nigdy nie wiedziała, jak długo tutaj przebywała. Ogród nie podlegał żadnym zwyczajowym normom. I rzecz najważniejsza: to Amadeusz decydował, jak długo matka może w nim być. Ola za każdym razem panicznie się bała, że to będzie jej ostatnie spotkanie z dzieckiem.

Zanim Amadeusz wezwał ją do swojego Ogrodu, mówił jej o nim wiele razy: „Jest takie miejsce, gdzie rosną wszystkie kwiaty świata, psy się nie gryzą, a wszystko, co człowiekowi jest potrzebne, znajduje się na wyciągnięcie ręki”. Bardzo chciała, by jak najszybciej ją tam zaprowadził. Prosiła, błagała, groziła. Bez skutku. Kiedy wreszcie zdesperowana poszła do Lasu Pietrasze i zarzuciła na gałąź pasek od sukienki, nieudolnie próbując do niego dołączyć, syn pojawił się znienacka milczący i zły. Ola nigdy nie zapomni jego twarzy wykrzywionej wściekłością. Musiała obiecać, że więcej tego nie zrobi i poczeka, aż przyjdzie na nią czas. Będzie żyła, choć to dla niej większa kara niż śmierć. Amadeusz zaśmiał się i odpowiedział, że Ola naprawdę nie wie, co mówi. Zdziwiła się. Chciała tylko dołączyć do niego. Choćby za cenę piekła. Wiedziała, że je pokona, byle dostać się do dziecka. Każda chwila bez syna była dla niej cierpieniem.

— Tu jest nudno — mruknął Amadeusz zamiast pocieszenia i zniknął.

Otworzyła oczy. Leżała w szpitalu. Siedząca u wezglowia jej łóżka pielęgniarka poinformowała, że na szczęście próba samobójcza i tym razem się nie powiodła. Ola zrezygnowana opadła na łóżko, pozwoliła podać sobie leki, podłączyć wenflony. Nie powiedziała nikomu ani słowa, ale teraz żałowała złożonej synowi obietnicy. Obawiała się, że nigdy go już nie zobaczy. Nagle zdawało jej się, że słyszy chichot

Amadeusza. Rozejrzała się. Nikt poza nią go nie słyszał. „Czy zwariowałam do reszty?” — pomyślała.

— Tylko ty i ja. Nikt więcej — usłyszała szept chłopca.

Uśmiechnęła się, bo wiedziała, że syn już jej nie opuści. Nie gniewał się na nią, wybaczył. Ale nie odzywał się bardzo długo, choć nieustająco czuła jego obecność. Czasem, kiedy przechodził obok, czuła chłodny powiew, jakby morskiej bryzy. Czekwała cierpliwie. Wreszcie wezwał ją do siebie, by pokazać Ogród.

Z czasem bywała tutaj częściej niż w swoim realnym życiu. Tylko dzięki tym wyprawom była w stanie czekać po drugiej stronie na sygnał syna. Ludzie myśleli, że wyzdrowiała. Poradziła sobie. Ola nie zaprzeczała. Nikt nie znał jej tajemnicy. Nie wolno jej było się z tym nigdy zdradzić. To też mu obiecała. Wiedziała, że jeśli ktoś się dowie, Ogród zniknie jak bańka mydlana. Za bardzo zależało jej na kontakcie z dzieckiem, by tak ryzykować.

Teraz znalazła się w Ogrodzie, nad samym brzegiem oczka wodnego. Woda sięgała jej po uda. Musiała jednak wcześniej pływać, bo była cała mokra. Nie pamiętała tego. Nie czuła zimna, więc nie wiedziała, jak długo tam stała. Wyszła z wody, wykręciła sukienkę i rozejrzała się wokół, ale Amadeusza nie było w pobliżu. Zajęła się pieleniem kwiatów, grabieniem liści, które spaliła w małym ognisku. Jedynie z rozsądku starała się choć trochę osuszyć. Nie czuła głodu, zimna. Tylko zmęczenie czekaniem i tęsknotę za synem. Podeszła, by umyć ręce w wodzie.

— Chcę prezent, prezent, prezent — usłyszała za plecami szelmowski śmiech i odwróciła się. Amadeusz stał z zadartą w niebo głową. Puszczzał szybowiec. Nie patrzył na nią. Wiedziała jednak, że w myślach mówi do niej. Wiedziała też, o czym — za miesiąc miałyby urodziny.

— Synku... — zbliżyła się do niego, ale pobiegł za samolotem, który uderzył w drzewo i złamał skrzydło. Nie goniła go. Był teraz zbyt zaaferowany zabawką, nie słuchał jej.

— Jaki prezent można dać duchowi? — zastanowiła się na głos, jakby pytała kwiaty.

— Będiesz dobrą mamą? — usłyszała tuż za sobą. — Będiesz?

Amadeusz wpatrywał się w nią, jakby przerażony jej widokiem. Odruchowo poprawiła włosy i zerknęła w oczko wodne. Zamiast swojego odbicia zobaczyła smagłą dziewczynkę grającą na harfie. Nie od razu ją rozpoznała. To przez ten strój: sukienka w kwiatki. Ola nigdy nie widziała Zosi w takim ubraniu.

— Zosia? — spytała, nadal nie rozumiejąc. Odwróciła się do Amadeusza. Pokiwał głową.

— Chcę mieć siostrzyczkę. Nudno tu — poskarżył się.

Teraz Ola wreszcie pojęła. Jej oczy były wielkie ze zdziwienia. Pokręciła głową.

— Nie, tylko nie Zosia. Nie ona! Zabierz mnie!

Otworzyła oczy i obudziła się. Była w pokoju Amadeusza. Wszystko było takie, jak syn zostawił to przed śmiercią. Na ścianach wciąż wisiały plakaty ulubionych bohaterów kreskówek. Na półkach leżały książki, zeszyty, przybory szkolne. Szybowiec wciąż miał złamane skrzydło.

Ola leżała na łóżku Amadeusza, w niebieskiej pościeli w samoloty. Wstała, zapaliła światło, podeszła do okna. Szyba balkonowa odbijała jej postać jak lustro. Wpatrywała się w swoje odbicie, ale wciąż jedynie widziała własne dziecko. Dopiero kiedy zdjęła żółtą, przybrudzoną bejsbolówkę, jasne włosy rozsypały się jej po plecach. Były długie do pasa. Nie ścinała ich, odkąd Amadeusz odszedł do Ogrodu. Potem zdjęła bluzę z kapturem i bojówki. Stała tylko w bieliźnie, bez ruchu. Wreszcie chwyciła z krzesła swoją czarną, zgrzebną sukienkę. Założyła ją jednym ruchem, wyprostowała fałdy. Kluczem zawieszonym na sznurówce, który nosiła na szyi, zamknęła pomieszczenie. Dwukrotnie sprawdziła, czy drzwi nie da się otworzyć. Wtedy usłyszała szum płynącej wody. Ruszyła w kierunku łazienki. Zdążyła na czas. Jeszcze chwila, a woda przelałaby się poza brzegi wanny.

— Ja ci dam żarty, demonie jeden — zachnęła się, robiąc groźną minę. Ale zaraz uśmiechnęła się czule do własnego odbicia w lustrze. Zakręciła kurki i wyłączyła dopływ wody. — I co ty na to, łobuzie?

*

Choć zapowiadali upalny tydzień, już dziś niebo zasłonięte było mlecznoburą kotarą. Hubert Meyer z niedowierzaniem przyglądał się płaskiemu jak naleśnik niebu, które wisiało teraz centralnie nad nim. Jeszcze nie ruszył się z łóżka, a już był przekonany, że dzisiejszy dzień

będzie mógł zaliczyć do pokaźnej kolekcji „najgorszych w jego życiu”. W pogodny dzień przez monstrualny, choć niepraktyczny, bo zawsze upstrzony ptasimi odchodami świetlik, który zaprojektował przed śmiercią jego ojciec, do pomieszczenia zaglądało słońce, budząc go zaraz po wschodzie i optymistycznie nastrajając do życia. Kiedyś Meyer lubił wstawać o świcie i pracować do śniadania, nawet jeśli poprzedniego wieczoru położył się grubo po północy. Miał wtedy poczucie, że nie marnuje życia. Już prawie zapominał, jak to było, choć wciąż starał się trwać przy swoich rytuałach i zrywał się jak dawniej, pełen zapału do pracy, by dopiero po kilku chwilach stwierdzić, że to i tak nie ma sensu. Nie szedł przecież do pracy ani w ogóle nigdzie. Całymi dniami przesiadywał w letniskowej chatce po rodzicach, zbijając bąki, jak mawiała jego świętej pamięci matka za czasów szkolnych, kiedy jeszcze nie wiedział, co ma ze sobą zrobić i nikt, nawet on sam, nie podejrzewał, że będzie pracował w policji. Na samo wspomnienie matki Meyer uśmiechnął się półgębkiem. Trzeba jej oddać, że silna z niej była kobieta. To ona w tym domu pełnym mężczyzn, bo nawet przysposobione zwierzęta nieoczekiwanie okazywały się samcami, nosiła spodnie.

Dziś na dodatek ktoś podstępnie zrabował słońce. W pomieszczeniu panował półmrok jak w listopadzie. Było parno i wilgotno. Wystarczyło trochę poczekać, aż z nieba posypią się pioruny, a nieboskłon rozerwie się na strzępy od naporu wody. Meyer w jednej chwili zwalczył swój marazm. Odrzucił zapoconą kołdrę i zaczął się w pośpiechu ubierać we wczorajsze ciuchy. Uznał, że spodenki i t-shirt wystarczą. Powąchał leżące pod łóżkiem skarpetki i zwinął je w kulę, po czym cisnął do kosza na bieliznę. Nie trafił do celu. Skarpetowa kula złośliwie poturlała się pod szafę. Meyer odciął się jej przekleństwem rzuconym raczej dla rozruszania się niż ze złości. Wsunął boscie stopy w gumowe klapki, chwycił ręcznik, który lekko zalatywał już stęchlizną, bo wczorajszego wieczoru zapomniał go rozwiesić, po czym szybko wyszedł na podwórko zaczerpnąć powietrza.

Na jego widok spod bramy podniósł się powoli Szwagier, ogromny bernardyn skundlony z mastifem, i wesoło merdając ogonem, rytmicznym kłusem ruszył w kierunku swojego pana. Meyer pozazdrościł mu pogody ducha w tak piękny poranek. Szwagier z daleka

wyglądał niczym łaciaty, ożywiony sfinks. Meyer poklepał psa po zadzie. Wiedział, że za chwilę w okolicy zamiauczy Radzio, który cierpliwie, z dostojeństwem przywódcy tego stada (kot wierzył w to, Meyer był tego pewien), czeka gdzieś na swoją kolejkę pieszczot. Kiedy Szwagier, niestrudzenie wachlując ogonem stojące powietrze, ruszył w swój obchód wzdłuż ogrodzenia, tylko co jakiś czas kontrolnie oglądając się, czy jego pan podąża za nim, Meyer poczuł na łydkach miękkie futro Radzia. Czarny, dobrze odżywiony kocur ocierał się w tę i z powrotem, mruczając z zadowolenia. Powitanie nie mogło trwać w nieskończoność. Radzio nie był typem bezinteresownego naiwniaka, jak nie przymierzając Szwagier. Kiedy Meyer długo nie reagował na milczące przypomnienie o śniadaniu, rozpoczął grę w przeciąganie. Niby przypadkiem dotykał łapą nogi profilera i ostrzył sobie na niej pazury. Meyer pozwalał mu na to przez chwilę, kiedy jednak zwierzak za ostro zaczął sobie pozwalać, gwałtownie cofnął nogę. Obrażony kocur prychnął, co wprawiło Huberta w lepszy nastrój.

— Później, cwaniaku. Żarcie później — zaśmiał się.

Nie mógł się jednak powstrzymać i jednym stanowczym ruchem podniósł kota do góry, by pogłaskać go po drobnym pyszczku. Zwierzak rozpląszczył się na jego rękach, jakby był zrobiony z aksamitu, a nie żywego ciała z flakami i solidną warstwą sadła, i wystawił brzuch do drapania. Meyer pobawił się z nim chwilę, po czym postawił na ziemi.

— Zmykaj do domu, zaraz będzie lało — mruknął, jakby kocur miał z tego cokolwiek zrozumieć. Zresztą i tak zlekceważył słowa Meyera, po czym nieśpiesznie rozpoczął grę na zwłokę, czyli poranną toaletę.

Chatka odziedziczona po rodzicach, przez miejscowych określana mianem Borówki, od nazwiska leśniczego, który mieszkał tu przed laty, okazała się idealną kryjówką dla profilera po przejściach. Z dala od wsi Jakunówko, na samym skraju lasu i jeziora Krzywa Kuta. Nikt przypadkowy nie miał prawa się tutaj zabłąkać. Hubert nie trudził się zamykaniem domu ani nawet bramy, która po jego wyjściu poruszała się jeszcze w tę i z powrotem, by w końcu rozdziawić się na oścież, zapraszając na posesję każdego, kto by tego zapragnął. Meyer nie bał się, że ktoś może go tutaj okraść, ani tym bardziej napaść. Kiedy na stałe zamieszkał na skraju lasu, w okolicy zaraz rozeszła się wiadomość, że był słynnym policjantem. Sołtys próbował go nawet wciągnąć w

społeczne życie wioski, lecz on ani myślał bratać się z miejscową społecznością. Nie po to zaszył się w mazurskiej głuszy, by zostać aktywistą. Grzecznie, lecz konsekwentnie odmawiał. Za trzecim razem już nie silił się na grzeczność. Sołtys obraził się śmiertelnie. Nikt nie powiedział tego Meyerowi w oczy, ale od tej chwili omijano Borówkę z daleka, co było mu tylko na rękę. Zresztą nawet gdyby złodzieje mieli ochotę zajrzeć do jego domostwa, raczej by się nie obłowili. Żadnych skarbów nie miał. Trzynastoletnią hondę nawet lepiej, żeby sobie wzięli. Więcej do niej dokładał, niż miał z niej pożytku. Dom, zaprojektowany i zbudowany przez ojca Meyera, zagracony był rupieciami po rodzicach. Lwią część przestrzeni zajmowały książki, gromadzone przez rodzinę od pokoleń, a dziś nikomu niepotrzebne. Jakaś wartość mógł jedynie stanowić jego profesjonalny notebook z obudową anty-wstrząsową. Choć z zewnątrz obdarty już i porysowany, co mogło zmylić złodzieja, na jego twardym dysku znajdowało się pokaźne profilerskie archiwum, na które kiedyś ostrzyło sobie zęby wielu jego adeptów. Co z tego? Odkąd Meyer był na bezrobociu, było bezużyteczne.

Wolnym krokiem osoby pewnej, dokąd zmierza, ruszył leśną ścieżką wzdłuż obrośniętej krzakami własnej posesji. W ślad za nim z łoskotem człapał Szwagier i bezszelestnie toczył się grubas Radzio. Kiedy Meyer się odwracał, by pogonić kota do domu, ten zatrzymywał się, udając, że wciąż myje sobie łapę, co rozbawiało mężczyznę. Nigdy nie przypuszczał, że na stare lata zostanie miłośnikiem zwierząt. Żałował, że wcześniej nie wziął sobie żadnego stwora do domu, bo teraz, w ciężkich czasach była to dla niego jedyna pociecha. Nigdy nie był wielkim gawędziarzem, ale tutaj nawet on nie wytrzymywał w ciszy. Czasem całymi dniami nie było się do kogo odezwać. Gadał więc do psa i kota jak jakiś świr.

Szli spory kawałek równym tempem. Zwierzęta dobrze znały trasę. Już po chwili, kiedy weszli w gęstwinę leśnej głuszy, pies ruszył przodem na zwiad, gotów w każdej chwili ostrzec przed czającym się niebezpieczeństwem, kot zaś asekuracyjnie włókł się za Hubertem i nawet nie udawał, że zostanie w domu sam.

W oddali zobaczyli niewielkie miejsce do piknikowania, dalej zaś rozciągał się widok na urokliwe jezioro Krzywa Kuta, z trzech stron

okolone od wiatru lasem. Meyer przeczesał palcami za długie, jak na mężczyznę w jego wieku, włosy. Dawno już posiwiiał na skroniach. Włosy wciąż jednak były mocne, tyle że splątane w kołtun od nieużywania grzebienia. Koledzy zazdrościli mu, że mimo swoich czterdziestu dziewięciu lat wciąż ma ich tyle, jak jeszcze pół roku temu papierów do wypełnienia na policyjnym biurku.

Hubert zatrzymał się na moment, poczochnął po czarnej jak heban brodzie, która z kolei, nie wiedzieć czemu nie chciała być siwa. Podziwiał chwilę widok, jakby nie bywał tutaj każdego ranka, lecz odkrył go po raz pierwszy właśnie teraz. Meyer nie należał do romantycznych mężczyzn. Przeciwnie, ciężko było wprawić go w stan euforii, a ostatnio prawie każdego dnia znajdował powód do narzekań. Musiał jednak przyznać, że ojciec wiedział, co robi, ładując w tę działkę wszystkie pieniądze. Okolica była bajkowa. Na dodatek cisza, jaka panowała teraz tutaj przed niechybną burzą, wzmagala ten efekt. Soczysta zieleń lasu, stalowa, płaska jak kosmiczna plandeka woda, bez jednej zmarszczki. Jakby zatrzymany w kadrze tandetny landszaft, a nie prywatne zejście do jeziora, które Hubert odziedziczył po rodzicach wraz z tym zatechłym domem, którego nie cierpiał. Gdyby mógł, zburzyłby go i postawił od nowa. Nigdy nie czuł się tam dobrze.

Doszli do brzegu. Meyer jednym ruchem ściągnął z siebie ubranie i nie namyślając się długo, wskoczył z małego pomostu do wody. Pies stał jeszcze chwilę przy brzegu, brodząc po pachy. Czujnie obserwował, aż pan da mu znak, by wreszcie z lubością zanurzyć się aż po czubek pyska. Meyer pływał chwilę, rozkoszując się tym krótkim momentem orzeźwienia, jakie dawał kontakt ciepłego powietrza z chłodną o tej porze dnia wodą, po czym wypłynął głębiej i zanurkował.

Tak od pięciu miesięcy wyglądał każdy jego poranek. To wtedy bowiem wynajął swój zbyt przestronny dla jednej osoby dom w Katowicach, za co płacił alimenty Ance, i przeprowadził się do Borówki po śmierci rodziców. Stracił ich oboje w ciągu niespełna miesiąca. Najpierw odeszła matka. Siedem lat chorowała na raka. Przeszła dzielnie wszystkie stadia. Nawet kiedy pojawiły się przerzuty, ojciec z zapałem jej sekundował. Wydawał się okazem zdrowia i woli życia. Kiedy jednak okazało się, że po chemii wyniki matki pogorszyły się na tyle, że lekarze nie dawali już nadziei, poddała się w ciągu tygodnia.

Widać zdecydowała się odejść. Hubert i ojciec — jeden twardziel lepszy od drugiego — zdawali się najbardziej zaskoczeni ze wszystkich. Matka zmarła w tym samym łóżku, w którym teraz spał Meyer. Potem był pogrzeb, poważne rozmowy o życiu i śmierci z ojcem, pierwsza wspólna wódka, wspomnienia, kłótnie o sprzedaż tego domu i decyzja o zainwestowaniu resztki funduszy Meyera w jego remont — ot, męskie przeżywanie żałoby. Planowali, że Meyer weźmie ojca do siebie, a dom będzie wynajmowany albo stanie się letniskiem. I niespełna tydzień później, w nocy z niedzieli na poniedziałek Meyer dostał telefon, że ojciec jest w szpitalu po wylewie. Był w śpiączce przez kilka dni, po czym bezszelestnie odszedł. Tak jak żył, nie sprawiając nikomu kłopotu. Okazało się, że przygotował na tę okoliczność wszystkie dokumenty. Pieniądze wycofał z konta i ukrył w puszcze na landryny w starym kredensie, by Hubert nie musiał płacić podatku. Zadbął nawet o swój strój do trumny.

Hubert przeżył w swojej pracy niemało śmierci. Wiele osób musiał informować o tym, że ich bliscy nie żyją, ale odejście jego własnych rodziców wstrząsnęło nim. Nie był w stanie na niczym się skupić, nie mógł pracować. Nie widział sensu w niczym. Zobaczył swoje życie jak w stłuczonym zwierciadle, porównał je z idealnym — jak je postrzegał — małżeństwem rodziców i doszedł do wniosku, że on wszystkie swoje szanse zmarnował. Pierwszy raz też poczuł się nieskończenie samotny. Miał wrażenie, że do tej pory tylko się bawił: w policjanta, ojca, męża. Był jak wyrośnięty, rozbrykany chłopiec igrający z życiem, które nieuchronnie mijało. Momentalnie dojrzał. Zrobił rachunek sumienia i przeraził się. Co on miał? Pracę. Tylko to się dla niego liczyło i trzymało go na powierzchni. Anka od lat była szczęśliwa ze swoim dentystą. Przytyła chyba ze dwadzieścia kilo, wciąż jednak nosiła podobne ubrania, w których wyglądała jak matrioszka przebrana w za ciasne ciuchy lalki Barbie. Mimo wszystko była dobrą kobietą, którą Meyer swego czasu też stracił z własnej winy. Już dawno zakopali topór wojenny, na stare lata zostając przyjaciółmi. Wiedział, że ma w niej oparcie. Tylko że ona miała swoje życie, a on swoje. Nie mieli już żadnych stycznych. Zostały im tylko dzieci. Anka wychowała je na świetnych młodych ludzi. Michalina zdała maturę i dostała się na studia. Chciała być archeologiem. Antek był w technikum, przechodził

dość ostry bunt. Chciał mieć swój zespół muzyczny, być wolny. Meyer to rozumiał. W jego wieku przeżywał coś podobnego. Jednak Antek odsunął się od niego. Poza bębniami, programami do pisania muzyki i swoją paczką świata nie widział. Ojciec przestał być dla niego autorytetem. Meyer wiedział, że nadszedł czas, kiedy dzieci już go nie potrzebują. Miały swój świat, wpadały do niego i uciekały do swoich spraw. Teraz to on potrzebował ich, ale było za późno. Od rozwodu wikłał się w różne związki z kobietami, głębsze (dwa małżeństwa) i płytsze (w większości jednorazowe), z których wychodził coraz bardziej sceptyczny. Nie wierzył już w wielkie uczucia ani w stabilny związek do grobowej deski. Znów jedynym pewnikiem była praca. Kiedy jednak pomylił się w ważnej politycznie sprawie z profilem, a wiedział, że wina leżała po jego stronie, runęła jego ostoja. Uniósł się honorem i poprosił o przeniesienie na emeryturę. Sam wtedy nie wiedział, co tak naprawdę robi. Miał jakieś plany. Chciał dalej pracować jako wolny strzelec. Bez szefa, bez tego napięcia. Jak zwykły człowiek jeździć na wakacje, mieć kobietę, która o niego zadba, postawi mu o siedemnastej obiad przed nosem.

Zapragnął regularnego życia. Takiego, jakie mieli jego rodzice. Myślał też, że będzie czytał, obejrzy zaległe filmy, uporządkuje swoje życie. Efekt? Przeniósł się tutaj, zlecen prawie nie było. Firma przynosiła straty, a on z trudem płacił alimenty. Co gorsza, cofnąć tej głupiej decyzji nie było jak. Komendant go odwołał i Meyer nie mógł tak po prostu wrócić. Musiałby zostać wezwany do służby jako ekspert nieodzowny w komendzie. Takiego wezwania nie było i nie będzie. Po jego odejściu natychmiast zlikwidowano stanowisko profilerów, o które walczył latami. Meyer to wiedział. Nie łudził się. Czuł, że grunt pod nogami od dawna jest grząski. Puszka po landrynach z pieniędzmi po ojcu była już pusta. Hubert tonął w długach, brał w wiejskim sklepie na kreskę i budził się jak dziś, z gardłem zaciśniętym ciasną obręczą strachu. Co przyniesie jutro? W środowisku nadal był ceniony, zapraszano go na rauty, na które nie chodził, bo i po co. Jeździł czasem gdzieś z wykładem. Wszystko za darmo. Nikt nie przypuszczał, jaka jest prawdziwa sytuacja słynnego profilerów. On zaś był zbyt dumny, by ujawnić prawdę. Nikt też nie wątpił, że tamta sprawa to był jedynie epizod. Jeden błędny profil nie może złamać takiego człowieka. A

jednak. Przed odejściem komendant namawiał go, by wziął urlop, choćby zwolnienie, i przemyślał sprawę. Ale Meyer zawsze był honorowy i uparty, osiągał zamierzone cele. Tak było też tym razem. W ciągu trzech miesięcy roztrzaskał swoje życie na własne życzenie. Na początku coś tam skapywało jeszcze z opinii dla sądu, potem jednak więcej było z tym zawracania głowy niż pieniędzy. Sam dojazd z leśnej głuszy, gdzie się zaszył, do jakiegokolwiek sądu zajmował tyle czasu i pieniędzy, że wygodniej było odmawiać zleceń. Szybko także sądy przestały go potrzebować. Współpraca tak dobrze rozwinięta z różnymi komendami w Polsce, które zarzekały się, że dopiero gdy odejdzie z katowickiej policji, będą zgłaszać się po profile, okazała się zerowa. Problem był zresztą nie z ludźmi, lecz, jak to zwykle bywa, z przepisami. Komendanci bali się wpuszczać osobę z zewnątrz do śledztwa. A Meyer jako niezależny ekspert nie mógł uczestniczyć w czynnościach. Formalnie — w przesłuchaniach, oględzinach zwłok, sekcjach, okazaniach — byłby cywilem z zewnątrz. Już nie był policjantem. A jak miał wiarygodnie wykonać profil bez operacyjnej wiedzy? Musiał mieć do niej dostęp, by sporządzić ekspertyzę. By być pomocnym detektywom, musiał z nimi współpracować, być w środku, w oku cyklonu. Nie był. Oddał broń, odznakę, podpisał obiegówkę. To bolało. Wciąż boli, a pół roku minęło jak mrugnięcie okiem. Nie przeczytał tych wszystkich książek, nie obejrzał filmów, nie rozwijał się, nie podróżował. Nie miał pieniędzy na godziwe życie, czasem na masło do chleba. Nawet palenie ograniczył, bo za dużo kosztowało.

I tak człowiek, który walczył o to, by w każdej jednostce policji był choć jeden profiler, sam się wyeliminował. W czasie swojej prosperity wyszkolił dziesiątki młodych profilerów, wyedukował prokuratorów, sędziów i psychologów sądowych. Teraz oni dostawali te zlecenia, które miała obsługiwać jego firma. Pierwszy i najlepszy profiler w Polsce był więc bezrobotny, a jego konto dziurawe jak piastowskie sito. Odbiło się to wszystko na jego poczuciu wartości. Zapuścił się, skapcaniał, przestał o sobie dbać. Stary, nikomu niepotrzebny frustrat — tak o sobie nieustannie myślał. Zwłaszcza nocami, bo wtedy nachodzą człowieka najczarniejsze myśli.

Całe szczęście, że za domem było to jezioro. Pływając codziennie, zachował jako taki wygląd, trzymał formę i wypacał kaca po

zakrapianych spotkaniach z lokalnymi rzezimieszkami w klubie Kormoran na skraju wsi. Chodził tam, a jakże, choć na początku zarzekał się, że jego noga nigdy nie postanie w tej spelunie. Potrzebował słuchaczy, mirażu splendoru, poklasku, choćby fałszywego. Pławił się w nim i odżywał na krótką chwilę. Tylko oni całymi nocami zachłannie słuchali jego opowieści o sprawach, przy których pracował. Ale po tych sesjach czuł zawsze niesmak. Nie był przecież jakimś kombatantem, który nie ma już nic do zrobienia, opowiastkami zaś maskuje swoje frustracje. Miał wiedzę, doświadczenie. Był naprawdę najlepszy. Ale zbyt późno zrozumiał, że jeśli na długo wypadnie z gry, to wszystko nie będzie mieć żadnego znaczenia. Profilowanie to nie jazda na rowerze — nie przypomina się po latach. Trzeba wciąż być na bieżąco, szkolić się, rozwijać, być wśród ludzi. Co z tego, że potrafił pracować zarówno metodą indukcyjną Davida Cantera[1], jak i dedukcyjną Brenta Turveya[2]. Profiler jest skuteczny, jeśli pracuje. On zaś tkwił w marazmie. I, co gorsza, nie miał żadnych perspektyw. Poza tworzeniem portretów nieznanymi sprawców i budową taktyk przesłuchań niczego innego nie umiał.

Wynurzył się z wody i nabrał powietrza, po czym powoli dopłynął do drugiego pomostu. Poranny orzeźwiający rytuał znów dodał mu sił i na chwilę odpędził złe myśli. Wdrapał się po belce i ułożył na ciepłych deskach. Osobiście go zbudował. Tymi rękami. Był z siebie dumny, bo dawno nie zrobił niczego, co dawałoby tak wymierny efekt. Zresztą praca fizyczna zawsze dobrze robi na morale mężczyzny. Ojciec truł mu o tym całe życie. Także wtedy, gdy Hubert był już policjantem. Pomost, trzeba przyznać, był idealny. „Może powinienem zostać cieślą, to szlachetne zajęcie” — pomyślał. Strzepnął resztki wody z włosów niczym jego własny pies. Nie było mu zimno. Czuł natomiast, że jego ciało ożywa, oddychał pełną piersią. „Będzie dobrze — pocieszał się. — Kiedy zamykają się jedne drzwi, otwierają następne”. Tylko że w jego przypadku bramka transferowa wciąż nie działała. Rozkoszował się jeszcze chwilę błogim niemyśleniem. po czym wstał i wolnym krokiem ruszył w kierunku swoich ubrań. W połowie drogi zatrzymał się, bo nad brzegiem jeziora zobaczył dwie kobiety.

Szwagier już tam był i łąsił się do nich jak lizusowaty ratlerek, a nie pies monstrum, którego powinny się bać. Tylko Radio siedział

niewzruszony, obojętnie wpatrując się w to zenujące widowisko. Kobiety zaś musiały obserwować Huberta od dawna, bo obie uśmiechały się do niego nazbyt szeroko. Meyer w pierwszym odruchu zasłonił się dłońmi, bezskutecznie starając się ukryć obnażone przyrodzenie. Sądząc po radości, jaką sprawił kobietom, nie bardzo mu się udało.

Jedna była ubrana w wojskową parkę i spłowiały od słońca kapelusz safari, a kręcone siwe włosy wymykały się jej spod nakrycia głowy. Twarz miała nalaną, lekko czerwoną. Była przy tym w wieku, kiedy wszystkie kobiety podobne są już do Seana Connery'ego, zaś obfita tusza nie odejmowała jej lat. Meyer rozpoznał ją z daleka. To była jego sąsiadka — Magdalena Knut, zwariowana profesorka biologii z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, która na sąsiedniej posesji badała stado wilków. Była słynna w okolicy, bo prowadziła drugą w Polsce i trzecią na świecie stację badawczą, zajmując się hodowlą i przywróceniem przyrodzie ginących gatunków zwierząt. Poza wilkami badała też życie tarpanów, cietrzewi, głuszców. Ponoć dzięki jej badaniom na te tereny wróciły bobry. Powiedzieć jednak, że ona i Meyer się nie lubili, to mało. Meyer szczególnie jej nie cierpiał. Unikał jej, nazywał „Potrzebą Władzy i Kontroli”, bo wtykała swój nos zawsze tam, gdzie nie trzeba. Ale jego zwierzęta za nią przepadały. Zwłaszcza Szwagier, zdrajca.

Druga kobieta była długonoga, w typie rumianolicej Słowianki. Miała na sobie kwiecistą sukienkę i ekscentryczne buty sznurowane w kostce, których cienkie obcasy wbijały się w gliniastą ziemię. Zdaniem Meyera obuwie wyjątkowo niestosowne na warunki leśniczówki. Blondyna trzymała pod pachą designerski tablet, którego koszt przekraczał miesięczny przychód profilerą, nawet kiedy jeszcze był szanownym „panem podinspektorem” w katowickiej komendzie. Tę także znał. Była to Lena Pawłowska, zwana Boską Awe, psycholożka policyjna, w której kochała się połowa białostockiej komendy. Meyer spał z nią dwa razy.

Widząc zawstydzenie profilerą, profesorka odwróciła się, nie powstrzymując jednak głośnego rechotu. Awe zaś podniosła spodenki i niosąc je w dwóch palcach, podała mu z kpiącym uśmiechem w kąciku ust.

— Wciąż przystojny z ciebie gość — mruknęła.

Meyer skasował ją wzrokiem.

— Wszyscy myślą, że nie żyjesz — dodała z figlarnym uśmiechem, który jeszcze bardziej go rozzłościł.

— Dla wielu to wygodna hipoteza — zdołał wydusić, bo przytyk faktycznie go zabolął.

— Dzień dobry, panie Hubercie — huknęła mu do ucha profesorka, kiedy przestał być już nagusem.

— Dobry. — Meyer naciągał właśnie t-shirt. Dopiero teraz zauważył, że jest podarty pod pachą. Przycisnął więc ramię do ciała, licząc, że kobiety tego nie zauważą.

— Chyba się panu bluzka rozerwała — zaniepokoiła się profesorka. Meyer aż zagryzł usta ze złości. Chciał odpowiedzieć, że mężczyźni nie noszą bluzek, ale zamilkł w porę. Nie chciał być niemiły, zanim nie dowie się, co za cholera je tutaj sprowadza.

Gwizdnął na psa i dał znak, że mogą wracać do domu. Kobiety zerknęły po sobie, wymieniając pytające spojrzenia. Ruszyły za nim.

— Przypadkiem spotkałyśmy się pod twoją bramą. Czy to nie zabawne? — zaczęła Lena. A Knutowa zaraz przejęła pałeczkę:

— Właśnie, niebywałe. Cóż za zrządzenie losu. Naprawdę świetne. Co pan robi dziś wieczorem?

— Jestem zajęty — burknął.

— Szkoda — odparła Knutowa. — Organizujemy akademicki raut. Skończyliśmy pierwszą turę badań.

— Aha — odchrząknął. Gdyby był wierzący, pomodliłby się, żeby za żadne skarby nie trafić dziś na party biologów. Jednak starał się być uprzejmy. — Gratulacje.

— Zapraszamy, jeśli będzie pan miał chwilę — dodała niezrażona profesorka. — Wszyscy chcą pana poznać. Tyle czasu jesteście sąsiadami, a nigdy pan u nas nie był. Pani również będzie mile widziana — zwróciła się do Leny.

— Raczej nie będę mógł — spławił ją Meyer.

— Zajęty? — uśmiechnęła się Lena, tym razem szczerze. — Masz gości?

Meyer nie był łaskaw odpowiedzieć. Miał dość tych tajemnic. Chciał jak najszybciej pozbyć się kobiet. Obawiał się także, że wproszą się do niego na kawę. Pomijając to, że nie był pewien, czy w lodówce poza

zgrzewką piwa i nadpsutym mięsem dla zwierząt znajduje się coś zdatnego do spożycia, oraz to, że wewnątrz panował „zorganizowany chaos”, który każda baba zaraz nazwałaby trywialnie bałaganem, przez najbliższą pięciolatkę wolałby nie wpuszczać do swojej samotni żadnych kobiet. Może warunkowo Awe, ale zdecydowanie w innych okolicznościach.

— Co was do mnie sprowadza, drogie panie? — Mimo wszystko obrał taktykę bycia miłym. W końcu życie to nieustanne przesłuchanie.

— Przejeżdżałyśmy, wpadłyśmy na kawę — próbowała żartować psycholożka. Widząc jednak minę Meyera, natychmiast spoważniała i zerknęła na profesorkę. Ta odczytała jej intencje i zaczęła mówić pierwsza:

— Rozumiem, krótka piłka, jak to mówią. To lubię. Do rzeczy. Mam więc taką sprawę. Potrzebuję pożyczyć psa.

— Pani sobie żartuje — stwierdził z kwaśnym uśmiechem Meyer.

Knutowa wydawała się całkiem poważna.

— Jeden z moich zachorował i musieliśmy biedaka uśpić. Dopóki nie znajdziemy nowego, trzeba żeby ktoś pilnował posesji, a pański, wiadomo. Zna teren, był już u nas — zawiesiła głos.

Meyer odchrząknął.

— Wiemy, jak to się skończyło.

— Nic nie szkodzi, to tylko zwierzę. Duże zwierzę, a takiego nam właśnie trzeba. Pies pasterski, doskonale. — Pogładziła Szwagra po pysku.

— To kundel — sprostował profiler.

— Zachowuje się jak rasowy.

— To kundel — powtórzył Meyer i trwał w oczekiwaniu.

— Jaki on słodki! — szczebiotała Knutowa. — Potrzebuję pilnie. Pan wie, że badania są prowadzone od trzech lat. Teraz nie mogę się wybrać na poszukiwania nowego obiektu. Zresztą potrzebujemy dorosłego psa. Z doświadczeniem życiowym, że się tak wyrażę.

— Słucham? — Meyer zatrzymał się i pokręcił głową z niedowierzaniem. Czuł, że dzień będzie koszmarny, ale ta sytuacja to był jakiś absurd.

— I co pan na to? — Knutowa też stanęła w miejscu. Rozpięła parkę, pod spodem miała wełniany golf w kolorowe romby. Na sam widok

Hubertowi zabrakło powietrza. Teraz rozumiał, skąd ten rumień na jej twarzy. Szkoda, że nie założyła kozucha. Ona zaś podparła się pod boki i czekała. Mierzyła się z nim wzrokiem; on, rzecz jasna, uległ pierwszy. Nie wytrzymał jej wyzywającego spojrzenia i był na siebie za to zły. Znow ruszył w kierunku domu.

— To niech pani weźmie ze schroniska — rzucił, byle coś powiedzieć.

— Kiedy trzeba go wyszkolić — weszła mu w słowo profesorka. Co jakiś czas podbiegała do niego, bo stawiał wielkie kroki. — Taki ze schronu może mieć syndrom ofiary. Pan rozumie, to siedziba badawcza akademii. A poza tym pies będzie zarabiał. Nie chcę go za darmo. Siedem złotych za godzinę. Niech będzie osiem pięćdziesiąt.

Meyer westchnął. Gdyby jemu tyle płacono, uważałby się za szczęściarza. Po czym wzniosł oczy do nieba.

— Pani Knap — wycedził przez zęby.

— Knut.

— Nieważne — machnął lekceważąco ręką. — To mój pies. Mieszka ze mną, chroni dobytku, jest mi potrzebny. Nie jest to jakaś rzecz. To zwierzę, z którym jestem związany. Zresztą co strzeliło pani do głowy?

— Ale tylko na trochę, zanim znajdziemy nowego. Poza tym będzie tutaj obok. Oddam go przecież panu, nie zjem go — walczyła profesorka.

Pogładził Szwagra po karku. Pies jakby wyczuł, że stawka idzie o niego, bo zamachał niemrawo ogonem. Meyerowi wydawało się, że prosi, by nie oddawał go tej babie. Nabrał powietrza i odparł stanowczo:

— Nie.

— Nie? Ale... — Knutowa chciała o coś zapytać. Meyer był jednak szybszy. Podniósł do góry rękę i powtórzył:

— Nie.

Widział, że sprawił jej wielki zawód, ale nie miał poczucia winy. Przeciwnie, czuł, że robi dobrze. Szwagier stał teraz za nim, Meyer trzymał go za sierść, jakby Knutowa miała mu go zabrać siłą.

— Nie bądź takim rarogiem. Mówiłam właśnie pani, że ty raczej..., że nie będzie problemu, bo... — Lena próbowała go przekonać, ale posłał jej lodowate spojrzenie. Zamilkła.

— Nie — po raz trzeci zwrócił się do profesorki. — Jeśli zmienię zdanie, dam pani znać.

Kobieta stała jeszcze chwilę. Atmosfera przestała być zabawna. Nikt się nie uśmiechał. Lena dłubała obcasem w ziemi, zagryzając wargi. Widać, że nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Meyer musiał przyznać, że Boska Awe miała ciało przez duże C, choć wiedział też, że niegłupia z niej kobieta.

— Skoro nie, trudno. — Profesorka podeszła do psa i przytuliła go.

Meyer przez chwilę pożałował swej decyzji. Szwagier miałby w stacji badawczej klawe życie. Zdecydowanie lepsze żarcie niż u niego, pieszczoty na zawołanie, a na dodatek byłby naprawdę potrzebny. Ganiałby całymi dniami wzdłuż wilczej woliery. Chodziło o porównanie zachowań wilczych do psich. Pies, który im zdechł, był — jeśli to w ogóle możliwe — przyjacielem Szwagra. Zaraz po przyjeździe Meyera do Jakunówka psy wspólnie uciekły i omal nie zagryzły młodego, oszołomionego wolnością wilka. Wtedy Knutowa miała do Meyera ogromne pretensje i nie tylko nie była miła, wręcz straszyla sądem. Od tamtej pory doszli jakoś do porozumienia, ale długo mieli ze sobą „ostrą kosę”. Wszyscy w okolicy znali tę sprawę. Meyer wiedział, że Knutowa dobrze by się zajmowała Szwagrem, ale to był jego pies, właściwie ojca. Nie pożyczają się zwierząt. Nie ma takiej opcji. Profesorka nie powiedziała nic więcej. Pożegnała się, wsiadła do swojego auta i odjechała.

Meyer zerknął na Lenę, która natychmiast po odjeździe Knutowej straciła swoją ostrość, którą tak w niej lubił. Patrzyła teraz na niego maślanymi oczami i choć wiedział doskonale, dlaczego przyjechała, czekał, aż zapyta. Nie lubił tych damsko-męskich gier. Flirtowania, tokowania, całego tego teatryku. Źle się w tym czuł. Nie tańczył i nie flirtował. Taką miał zasadę. I nie pożyczał swojego psa. Spodobała mu się ta myśl.

— A pani? Co pani chciałaby pożyczyć? — starał się, by jego głos nie był zbyt odpychający, ale wyszło jak zwykle. Rozłożył ręce: — Pieniądzy nie mam. Niczym interesującym nie dysponuję.

— Jesteś zły? — Lena kokieteryjnie przechyliła głowę.

— Jestem dobry.

— Jesteś zły, że przyjechałam?

Meyer westchnął, wziął ją za rękę i nagle puścił. Przestraszył się, że kobieta opacznie zrozumie jego intencje.

— Już o tym rozmawialiśmy — odparł lodowato. — Zresztą całkiem niedawno.

Udało się. Lena była urażona. Starła się jednak pokrywać to nerwowym śmiechem.

— Pół roku to dawno — mruknęła i rozejrzała się. — Ale rozumiem, że tutaj czas biegnie inaczej. Mogę chociaż liczyć na kawę? Wstałam o piątej, żeby tu do ciebie przyjechać.

Meyer jeszcze raz otaksował wzrokiem jej dwudziestodziewięcioletnią sylwetkę i powiedział, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że może ją zranić:

— Aleś się wystroiła.

— To mój normalny strój — odparowała. — Nie ubierałam się specjalnie dla ciebie.

— Wolę cię bez tych wszystkich... — machnął ręką, bo wiedział, że teraz się już pograża. Lena aż zbladła ze złości. Widział, jak wraca jej werwa. Znów była jak żyłotka. Taką właśnie ją zapamiętał z jednego z ostatnich szkoleń, jakie prowadził w centrum policji w Pile. Z trzydziestu dziewięciu osób powołanych do pracy przez komendanta głównego, szkolenie ukończyło tylko pięciu psychologów. Lena była jedyną kobietą wśród nich. Dostała od niego certyfikat i wiedział, że jest zdolna. Ale ponieważ była kobietą, nie wierzył, że utrzyma się w pracy. Nie przeszkodziło mu to jednak nawiązać z nią przelotnego romansu. Okoliczności były nadzwyczaj sprzyjające. Lena wpatrywała się w niego jak w obrazek, podziwiała i traktowała jak guru. Nie mógł się oprzeć takiej pokusie. Potem jednak on wrócił do Katowic, a Pawłowska do Białegostoku. Nigdy nie traktował tej sprawy jakoś wyjątkowo. Zresztą afera w pracy oraz odejście rodziców pochłonęły go całkowicie. Po powrocie ani razu się do niej nie odezwał. Pisała do niego, ukrywając swoją fascynację pod pretekstem spraw służbowych, prośb o radę, pomoc, ale ani razu nie odpowiedział. Szybko przestała go nękać. Była inteligentna i pojęła, że nic z tego nie będzie. Sam się zdziwił, że minęło już pół roku. Teraz uśmiechnął się i zdecydował w jednej chwili.

— Nie wiem, czy mam kawę, ale może jakaś herbata się znajdzie — mruknął chrapliwym szeptem, który tak dobrze działał na kobiety.

Lena widać poczuła się pewniej, bo spojrzała na niebo.

— Zaraz lunie — skwitowała bez uśmiechu. Przez moment zdawało mu się, że Lena coś knuje, ale teraz jego myśli wędrowały wyłącznie wokół jej dekoltu. Objął ją ramieniem i zaczął iść. Przywarła do niego w jednej chwili. Poczuł, że sam też instynktownie prostuje plecy. Pomyślał, że szkoda stracić taką okazję. Dawno nie miał kobiety.

— Będzie burza — uśmiechnął się. Lena odwróciła się i zatrzymała w oczekiwaniu na chwilę, jakby chciała coś odpowiedzieć, po czym pocałowała go, zanim zdążył zareagować. Odsunął się, przyglądał się jej podejrzliwie spod zmrużonych powiek. Po czym zwalczył pierwszą ostrzegawczą myśl i zbliżył się do niej, próbował objąć. Teraz ona mu nie pozwoliła. Czuła się już widać całkiem pewnie, bo dodała zaczepnie:

— Nie podoba mi się ta broda. Wyglądasz jak Rumcajs.

— Tak? — uśmiechnął się.

— Tak.

— Może jej zaraz nie być.

— Nie teraz. Później — odparła.

Oboje wiedzieli, do czego prowadzi ta idiotyczna rozmowa. Zanim weszli do domu, niebo przecięła błyskawica, a po chwili usłyszeli grzmot. Pies i kot zdążyły wskoczyć do środka i Meyer zamknął drzwi. Jeszcze w progu zaczął ściągać z Leny ubranie. Dziwne plecione buty sprawiły mu najwięcej kłopotu. Gustował w klasycie, damskiej mody nie rozumiał. Bez obcasów Lena wydawała się o wiele drobniejsza i wiotka. Nie opierała się. Nie skomentowała bałaganu, choć był pewien, że go zauważyła. Wszystko przebiegało tak, jakby widzieli się zaledwie wczoraj. Meyer pierwszy raz od dawna nawet przez chwilę nie pomyślał o swojej sytuacji, braku pieniędzy i kłopotach. Przebiegło mu tylko przez myśl, że to wcale nie taki najgorszy dzień, jak się tego spodziewał.

Wciąż leżeli w łóżku, obserwując krople deszczu uderzające o świetlik, aż wreszcie Meyer wstał, by nakarmić zwierzęta. Lena chwyciła go za rękę i lekko ugryzła. Zabrał dłoń. Nie lubił takich zabaw.

— Musimy pogadać — oświadczyła poważnym tonem. Obrzucił ją taksującym spojrzeniem i odstonił prześcieradło, którym była

przykryta. Podziwiał chwilę, po czym chciał pocałować jej dekolt. Odepchnęła go lekko. — Słyszałeś, co powiedziałam?

— Rozmawiajmy. Nie przeszkadzaj sobie.

— Poważnie.

Podniósł głowę i wpatrywał się w nią.

— Jesteś w ciąży? — zaśmiał się nerwowo.

Pokręciła głową.

— Byłaś?

Nie uśmiechnęła się nawet.

— A co by było gdyby?

— Najpierw musiałbym o tym wiedzieć.

Pożałował swoich słów, bo przecież nie dał jej nawet jednej szansy. Czekał teraz na scenę odrzuconej kochanki, a tego naprawdę nie cierpiał. Lena jednak długo milczała, jakby się nad czymś zastanawiała.

— Nie o to chodzi — mruknęła wreszcie.

— To o co? — Meyer wstał, chwytając spodenki. Te same, które nosił dziś rano i chyba cały tydzień.

— Nie zakładaj ich, śmierdzą — ostro wydała mu polecenie. — Albo upierz i załóż mokre, jak nie masz innych.

Meyer zignorował uwagę, ale poczuł się, jakby wylała mu na głowę wiadro zimnej wody. Lena widziała, że znów zamknął się w sobie, mimo to zabrała mu je.

— Upiorę ci je.

— Mam pralkę — zachnął się. Szarpali się chwilę z brudną bielizną. Wreszcie Hubert odpuścił. Ta sytuacja zaczynała go irytować. Czy ta kobieta nie za dużo sobie pozwala? — Więc? — spytał po chwili.

Lena wstała. Jednym ruchem założyła sukienkę. Wciągając majtki, patrzyła wyzywająco na Meyera. Musiała przyznać, że nawet z tym okropnym zarostem wciąż wyglądał atrakcyjnie. Ani śladu tłuszczu na brzuchu — rzadkość u mężczyzn w jego wieku — choć na twarzy malowało się pokaźne doświadczenie. Meyer zaś wpatrywał się w idealne proporcje jej ciała i pomyślał, że dla niej musi być starcem. Odwrócił się i z szafy wyciągnął czyste bokserki. Stał do niej tyłem, kiedy poczuł, że podchodzi do niego i oplata go ramionami.

— Weź mnie do spółki — poprosiła.

— Co?

— Chcę być profilerką. Mam dość kwestionariuszy policyjnych, wspierania rodzin ofiar i całego tego syfu.

Meyer nie wytrzymał. Wybuchnął ostrym śmiechem.

— Przespałaś się ze mną, żeby zostać profilerką?

Lena natychmiast zdjęła rękę z jego ramion. Nie dała mu dokończyć.

— Przespałam się z tobą, bo cię lubię, a pracować z tobą chcę, bo jesteś najlepszy — wyrzuciła z siebie i gwałtownie zamilkła, widząc jego konsternację. Dobrze wiedziała, że nie rozegrała tego dobrze. Oboje wiedzieli, że sytuacja jest niefortunna. Zapadła długa, nieprzyjemna cisza. Meyer stał jeszcze chwilę, wpatrując się groźnie w Lenę. Wyczytała w jego oczach coś w rodzaju potępienia, ale może to było tylko niezrozumienie. Musiała się czymś zająć. Po chwili była już w butach, chodziła po pokoju i zbierała swoje rzeczy.

— Muszę dać jeść zwierzętom. — Meyer odwrócił się i wyszedł z sypialni.

Lena zatrzymała się przy łóżku i chwilę wahała się, czy je pościelić. Po długim namyśle zrezygnowała. To byłoby jak zacieranie śladów zbrodni. Nie czuła się ani odrobinę winna i nie żałowała tego, co się już zdarzyło.

Meyer miał mętlik w głowie. Nie wiedział, na czym stoi, nie rozumiał tej sytuacji. Ruszył do lodówki. Chwilę wpatrywał się w jej zawartość, otumaniony bardziej tym, co usłyszał, niż odorem lekko nadpsutego lewego boku wiejskiego wieprza dla Szwagra. Potem metodycznie rąbał mięso i rzucał solidne kawały żeber psu, który podbiegł ze zdobyczą pod drzwi. Meyer otworzył mu je, sam chciałby tak wybiec, z dala od czających się kłopotów. Czuł, że Lena dopiero dotknęła sprawy. Co jeszcze szykuje? Zadała sobie tyle trudu, żeby tu przyjechać. Nie bez powodu. To nie jest głupia dziewczyna. Przeciwnie, okazuje się, że z niej kawał wyrachowanej cholery. Czego ona chce? Na zewnątrz jeszcze kropił deszcz, pies schował się w kącie werandy. Hubert postawił miskę z jedzeniem dla kota i zobaczył, że Lena w sweterku zapiętym pod szyję niczym w zbroi próbuje zrobić sobie kawę.

— Ten ekspres nie działa — mruknął.

Lena nadal manewrowała przy maszynie. Wyjęła z własnej torebki pojemniki z kawą i załadowała dwa espresso. Sprawnie uruchomiła

urządzenie, w międzyczasie zdążyła umyć filiżanki. Meyer patrzył na to wszystko z niedowierzaniem. Nigdy nie pojmował, jak kobiety ogarniają kilka rzeczy naraz. On sam nie był w stanie skoncentrować się na dwóch czynnościach jednocześnie. Zresztą był pewien, że ekspres jest popsuty. Nawet ojciec go nie używał!

— Siadaj. — Lena wskazała mu miejsce przy stole. Postawiła przed nim parującą filiżankę z kawą oraz talerzyk z jagodzianką, która rano musiała być świeża i pachnąca. Teraz przypominała gumę do żucia. Sama usiadła naprzeciwko, po drugiej stronie stołu. Łapczywie zjadła bułkę, otarła usta z granatowego dżemu, popiła kawą, po czym wyjęła papiery i długopis.

— Szykujesz naradę wojenną? — Meyer próbował rozładować atmosferę żartem, ale zignorowała go.

— Moja oferta jest prosta — zaczęła, jakby prowadziła wykład. — Wiem, że teraz jesteś na spalonej pozycji i nie masz forsy. Ja mogę wejść z pieniędzmi i kontaktami. Nasza firma będzie przynosiła zyski. Zaczniemy od kwestionariuszy, potem wejdziemy w profile. Ty jesteś policjantem, wrócisz jako konsultant. Poprosisz o przywrócenie, wypijesz trochę wódki z kim trzeba. Umiesz to robić, poradzisz sobie. Wszystko jedno w jakiej komendzie. Ważne, by oddali ci blachę. Może pogadam z moim byłym szefem. On mnie bardzo lubi.

Meyer czuł narastającą irytację. Kilka razy chciał jej przerwać, ale nie dawała mu dojść do głosu. Uśmiechał się więc tylko ironicznie i puszczał większość jej wywodów mimo uszu.

— Trzeba będzie też załatwiać sądy. To daje prestiż — kontynuowała kobieta. Wyraźnie napawała się swoim genialnym, jak zapewne sądziła, planem. — Mam księgową, która przejmie te pierdoły z papierami. Ty będziesz znów profilował. Źle zrobiłeś, odchodząc — pouczyła go, co ostatecznie go wściekło.

— A ty? Co ty będziesz robić, poza liczeniem pieniędzy? — nie wytrzymał.

— Ja? — szczerze się zdziwiła. — Ja będę się od ciebie uczyła. Powiedziałam przecież, czego chcę. Dla mnie sprawa jest prosta. Czego nie rozumiesz?

Meyer zostawił espresso i wstał. Zaczął chodzić w tę i z powrotem. Lena nie nadążała za nim wzrokiem.

— To nie jest robota dla kobiety — odezwał się wreszcie.

— Jak to nie? Na świecie kobiety profilują. Meksyk, Londyn, nawet Białoruś. Sam mówiłeś, że mam wiedzę i talent. Teraz muszę zdobyć doświadczenie na froncie. Teorię już znam. Sama mogłabym uczyć.

— Chcesz żyć tak jak ja? Widzisz, co się tutaj dzieje, dziewczyno! — podniósł głos. Lena przestraszyła się. Nie widziała go jeszcze w takiej furii. — To nie jest higieniczna robota za biurkiem. Na oględziny nie pójdziesz w takim ubranku. W tych bucikach! Co ty sobie wyobrażasz?

— Przebiorę się.

— Nie tylko o to chodzi. — Opadł zrezygnowany na krzesło. — Mówiłem ci o koszmarach, rodzinach zabitych, robakach łażących po trupach, ciałach w takim rozkładzie, że nie da się rozpoznać rysów twarzy, albo w częściach. Smród, sekcje, rozmowy z patologami. Nie wytrzymasz tego! Porzygasz się na pierwszym miejscu zdarzenia.

— To się porzygam. Na początku będę rzygała. Przeszkadza ci to? Powiem ci, jaki masz problem. Nie chcesz mnie uczyć, bo jestem kobietą! Tak? Powinnam być idiotką, byłoby lepiej dla mnie, co? A może dlatego, że przed chwilą mnie przeleciałeś?

— To ty wlaźłaś mi do łóżka — odparował i zamilkł. Widział po jej twarzy, że przesadził. Sam tego chciał, a teraz zgrywa świętoszka. Niepotrzebnie ją obraził. — Nie, to nie ma sensu. Awe, słuchaj...

— Nie mów tak do mnie! — Teraz Lena też się wściekła. Zerwała się od stołu.

— Jak? — zaśmiał się.

— Dobrze wiesz, jak. — Zapakowała swoje papiery do torby i ruszyła do drzwi. — Jeśli przeszkadza ci mój wygląd, to twój problem. Mam mózg, rozumiesz? I wiem dużo więcej od niektórych twoich uczniów. A poza tym...

— Nie o to chodzi, przemyśl to jeszcze. Wiesz, że cię cenię. — Meyer starał się ją jakoś udobruchać, ale widział, że go nie słucha. Mimo to starał się mówić jak najdelikatniej: — Lepiej zostań, gdzie jesteś. Nie mówię nie. Może za jakiś czas. Pomyśl chwilę i daj mi znać, pogadamy na spokojnie. A co poza tym? Co chciałaś dodać?

Lena trzymała już rękę na klamce. Otworzyła drzwi, Szwagier wbiegł do mieszkania i wytrzepał sierść wprost na jej sukienkę. Rozległ się

grzmot. Cofnęła się przestraszona. Widać, że nie chciała jechać, ale duma nie pozwalała jej po tym wszystkim zostać.

— Muszę już wracać. Mam dużo pracy — skłamała i zamilkła. Dopiero po chwili dodała: — Dostałam się do Davida Cantera, robię u niego doktorat z profilowania geograficznego. Mieszkam w Londynie od września.

Meyera zatkało.

— Naprawdę?

Podszedł do niej. Nagle zapragnął ją zatrzymać. Uchyliła się.

— Tak — odparła rzeczowo. — Mówiłam poważnie. Myślę o tym bardzo poważnie. Jeśli nie chcesz mnie uczyć, znajdę kogoś innego. A poza tym... — zawahała się — ...mógłbyś czasem umyć włosy.

Wybiegła do samochodu. Patrzył za nią, jak wsiada do auta, ale nie ruszył się z miejsca. Po chwili widział, jak zapala światła, uruchamia silnik, brawurowo odjeżdża. Zamknął drzwi i zapadł się w fotelu. Po chwili znów wstał i otworzył puszkę z piwem. Była ostatnia.

— Mam to, co chciałem, nareszcie znów sam jak palec — mruknął do siebie. Na plecy wskoczył mu Radzio, Szwagier ułożył się u jego stóp i skulił. Olbrzym bardzo bał się burzy, która rozpętała się na dobre. Meyer przemawiał do zwierząt, choć dobrze wiedział, że stara się uspokoić samego siebie. — Co za baba! Dokładnie jak moja matka.

Meyer dobrze wiedział, że Lena postawi na swoim. Niepotrzebnie to wszystko powiedział. Może nie powinien był w ogóle zaczynać. Jeśli dostała się do Cantera, musi być dobra. Tam jest osiem miejsc, a chętnych kilka tysięcy, z całego świata. Pewnie też dostała solidny grant na badania. Chwycił telefon i przeszukał listę kontaktów w poszukiwaniu jej numeru. Niestety, zaraz po skończonym szkoleniu skasował go jako nieistotny. Rzucił komórkę i łyknął piwa. Rozejrzał się po mieszkaniu. Bajzel był tu straszny. Obiecał sobie, że kiedyś musi zrobić z tym porządek. Ale to jutro, nie teraz. Włączył telewizor. Trwał mecz. Przerzucił kanał. W wiadomościach to samo. W całej Polsce szaleli kibice. Wyłączył dźwięk i bezmyślnie wpatrywał się w piłkarzy biegnących w tę i z powrotem. Nie cierpiał futbolu. Tak naprawdę żałował, że Lena wyjechała. I że już nie wróci, bo i po co. Podniósł telefon, jeszcze raz sprawdził. Skasował numer, w esemesach też nie było od niej żadnej wiadomości. Wiedział już, że usunął ją pochopnie.

Kot głośno mruczał przez sen, doskonale komponując się z obrazkiem w telewizorze. Szwagier miał zamknięte oczy, ale Meyer wiedział, że czuwa. Trząsał się, czekając, aż grzmoty ucichną. Dopiero wtedy zapadnie w spokojny sen. Zanim Hubert się obejrzał, puszka była pusta. Zamachnął się nią i nie zmieniając pozycji, spróbował trafić do wielkiego kubła na śmieci. Tym razem rzut był celny.

— Gol, panowie — skomentował sarkastycznie. Położył głowę na oparciu fotela i zamknął oczy. — I tak by nie odebrała. Wredna wenera — mruknął, odkładając telefon, po czym wstał, by się wykapać.

Najpierw umył wannę, bo lepiła się od brudu, a potem przetrząsnął mieszkanie w poszukiwaniu jakiegoś płynu do kąpieli. Poza mydłem biały jeleń i spirytusem salicylowym nie miał niczego, co można by zaliczyć do kosmetyków. Wreszcie w starych szpargałach po matce znalazł olejek różany, nalał go sobie od serca, z pół buteleczki. Zapach był niemiłosiernie słodki i gdyby Meyer go czuł, przywiódłby mu na myśl kobietę, którą dopiero co wygonił z domu. Niestety, podczas któregoś zabezpieczania miejsca zdarzenia bezpowrotnie stracił węch. Teraz mógł przebywać w najbardziej śmierdzących miejscach bez obrzydzenia. Wzroku jednak nie stracił. Kiedy napuszczał wody do wanny, raz jeszcze spojrzął w lustro. Po długim namyśle ruszył do sypialni i wysuptał z walizki elektryczną golarkę. Podłączył do kontaktu. Działała. W kuchni przetrząsnął wszystkie szafki w poszukiwaniu nożyczek. W ręce wpadła mu tylko myśliwska finka ojca. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek była używana. Sprawdził ostrze. Teraz już rozumiał. Klasyczny gadżet, zwany nożem dwustronnym. Z obu stron tak samo tępy. Najlepszy byłby do rozcinania korespondencji, gdyby ktoś poza urzędem skarbowym i elektrownią do niego pisał. Westchnął i włączył golarkę. Zaczął metodycznie pozbywać się brody Rumcajsa.

Miejski rower Huberta nie nadawał się na takie trasy jak jazda na przełaj piaszczystą leśną ścieżką w środku nocy. A zwłaszcza nie po kilku głębszych, na które udał się do Kormorana, by podbudować swoje ego po spotkaniu z Leną. Po jej wyjściu musiał przyznać, że przemyślał sprawę raz jeszcze i propozycja kobiety nie była wcale taka zła. Teraz, kiedy alkohol żwawo pulsował mu w żyłach, podobała mu się nawet

bardzo. Niepotrzebnie się uniósł i powiedział zdecydowanie za wiele. To wszystko dlatego, że od tak dawna nie miał kontaktu z rzeczywistością. Schował się w swojej norze, zdziczał. Kiedyś to on panowałby nad sytuacją. Obgadał dziś z miejscowymi koleżkami przy rzutkach zachowania kobiet i uznał, że Lena nie jest taka zła. Inni mieli na karku kobiety bluszcze, głupie idiotki i całą kolekcję drobnomieszczanek, choć nie wychyliły nosa poza swoją wioskę. Lena była nie tylko ładna, ale i niezależna. Na pewno miałby z niej pociechę. Przeklął w duchu swoją męską dumę, która nie pozwoliła mu wysłuchać jej do końca. Wiedział już teraz, dlaczego tak gwałtownie zareagował i odrzucił jej ofertę. Bał się, że baba zacznie nim rządzić. Może zawsze tego obawiał się w związkach.

Kiedy rozmowy zeszyły na tematy sportowe, Meyer zdecydował, że czas opuścić lokal. W kieszeni miał trzy setki, które wygrał w zakładach z kumplami. Cieszył się, że w pobliżu nie ma żadnego kasyna. Żyłkę hazardzisty musiał mieć we krwi.

Po dzisiejszej burzy powietrze było przejrzyste i chłodne. Niebo zaś głęboko granatowe, usiane gwiazdami. Księżyc w pełni. Meyer wiedział, że jutro pogoda będzie jak drut. Odkąd tu zamieszkał, na tyle zsynchronizował się z naturą, że był skuteczniejszy niż synoptycy w telewizji. Kiedy nie odwiedzał Kormorana, chodził spać z kurami i wstawał o świcie, jak jakiś rolnik. Planował jutrzejsze przedpołudnie spędzić na rąbaniu drewna i naprawianiu dachu. Może zdąży też umyć świetlik? Czuł się o wiele lepiej. Trzymała go też nadzieja, że z rana zdobędzie numer Leny i zadzwoni z przeprosinami. Nie żeby od razu zgadzać się na jej warunki, ale może za miesiąc taka współpraca byłaby możliwa. Jakiś honor trzeba mieć. Planował też zrobić wycieczkę do Giżycka, wejść do kafejki internetowej i ostatnie pieniądze z polisy na życie zainwestować w bilet lotniczy. Może polecą gdzieś na wschód, gdzieś do krainy między Europą a Azją. Uzbekistan, Kazachstan, może Armenia. Chciał wyjechać gdziekolwiek, byle dalej od tego, co było tutaj. Był coraz bardziej pewien, że potrzebuje prawdziwych wakacji. Od dawna chciał wybrać się w taką podróż. Podczas jednego ze śledztw poznał pewnego Kazacha, znachora i jogina, który zdobył sławę w Ząbkowicach Śląskich. Ustawiały się do niego kolejki, był naprawdę skuteczny. Kiedy nagle wybuchła bomba, że to czterokrotny morderca

skazany na śmierć w swoim kraju i od trzech lat poszukiwany czerwonym listem gończym, nikt nie mógł uwierzyć. Finał tej historii okazał się romantyczny. Zakochana w znachorze Polka uchroniła go przed krzesłem elektrycznym. Meyer robił profil do tej sprawy, ustawiał taktykę przesłuchań kolejnych świadków. Sprawa była kontrowersyjna i głośna. Wtedy też Kazach wiele opowiadał mu o tym kraju. Do tej pory Meyer myślał, że to postsowieckie monstrum. Bez duszy, jak całe było ZSRR. Unkas, bo tak miał na imię Kazach, wyprowadził go z błędu. Pochodził z rodu wojowników Tama, miał charyzmę, zasady i dar opowiadania. Meyer bardzo chciał kiedyś zwiedzić ten kraj. A po powrocie zgodzi się na każde warunki, jakie zaoferuje mu los. Nawet gdyby jego partnerem miała zostać kobieta. Nie miał już nic do stracenia.

Nagle ciszę przeciął strzał i chwilę później rozległ się rozpaczliwy skowyt. Potem słychać było krótką szamotaninę, ale zaraz potem wszystko ucichło. Meyer zatrzymał się. Zszedł z roweru, nasłuchiwał. Przez moment zdawało mu się, że głos dobiega z oddali.

— Halo! Jest tam kto? — krzyknął, ale odpowiedziało mu tylko echo. Liście drzew poruszały się jednostajnie.

Ruszył dalej. Nie był jednak pewien, czy nie powinien zawrócić i przeszukać głuszy. A jeśli to nie zwierzę, lecz człowiek potrzebuje pomocy? Zanim ta myśl przemknęła mu przez głowę, już otrzeźwiał i pedałowiał w przeciwnym kierunku. Nawoływał jeszcze kilka razy, ale nie było słychać żadnego dźwięku. Za to z oddali dobiegały zgłuszone dźwięki popularnych coverów i rozmowy ludzi. Zrozumiał, że znajduje się z drugiej strony stacji badawczej pani Knut. Nie był zadowolony. Profesorka widać musiała odprawić jakieś czary, by jednak Meyer trafił do nich na nudziarskie party. Nie miał ochoty słuchać o wilkach, bobrach czy głuszcach ani problemach współczesnej biologii. Chciał jak najdłużej pozostać niezauważony. Przejechał kawałek i wychylił się ostrożnie zza krzaków. Widział teraz niewielką grupkę badaczy, w większości byli ubrani jak leśnicy. Kraciaste koszule, długie lniane sukienki, sandały na rzepy — znał ten typ. Zszedł z roweru i zaczął go prowadzić. Starął się iść bezszelestnie, ale cisza panująca w głuszy i tak zdradzała jego obecność. Poczuł, że alkohol powoli wyparowuje mu z głowy, powoli ogarniało go zmęczenie i senność. Dałby wszystko, by

znaleźć się już we własnym łóżku. A jednak tamten głos w środku głośzy nie dawał mu spokoju. Zdecydował się wreszcie tylko podejść do bramy i spytać naukowców, czy też słyszeli to rozpaczliwe wołanie, kiedy usłyszał skowyt po drugiej stronie drogi. Był cichszy, jakby rannemu zwierzęciu brakowało już siły. Potem słychać było odgłos stąpania i ryk motocykla. Meyer był niemal pewien, że w lesie grasuje kłusownik. Nie bacząc, czy będzie widoczny, ruszył w tamtym kierunku. Nie czuł strachu, działał odruchowo. Znów było jak w pracy, kiedy gonił za drapieżnikiem w ludzkiej skórze. Wyszperał latarkę z plecaka i włączył ją. Wąski snop światła nie ukazywał zbyt wiele, ale wraz z dynamem od roweru był wielce pomocny. Po chwili usłyszał głośne sapanie i ciche rżenie. Dopadł zwierzęcia i zamarł. We wnyku na niedźwiedzie tkwił jego własny pies. Szwagier ciężko dyszał, miał zakrwawione pół boku. Meyer nie miał pojęcia, skąd się tutaj znalazł i kto do niego strzelał. Nie było chwili do stracenia. Wnyk trzymał ciasno. Meyer nie był w stanie sam go rozłożyć. Łapa psa była połamana, zaś od wyrywania jej z kleszczy zaczęła mocno krwawić.

— Ty skurwysynu, dopadnę cię! — krzyknął Meyer, choć kłusownik uciekł już daleko i nie mógł tego słyszeć. Po czym, nie wahając się już ani chwili, wyciągnął komórkę, chcąc zadzwonić do profesorki, żeby, jeśli mają weterynarza, przyjechała z pomocą. Zanim to zrobił, spostrzegł, że ma siedem nieodebranych połączeń. Serce zabiło mu szybciej. Pomyślał, że to może Lena starała się go znaleźć, kiedy on pił w Kormoranie. Teraz jednak nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Opisał Knutowej sytuację, podał współrzędne i pogładził po głowie rżącego psa, by dodać mu otuchy. Szwagier wpatrywał się w niego z nadzieją. Meyer poczuł, jak w kącikach oczu zbierają mu się łzy wściekłości. Czekanie wydawało się wiecznością. Ściągnął t-shirt i podarł go na strzępy, po czym zrobił zacisk, który przynajmniej częściowo zatamował krew.

Weterynarz ze stacji wykonał na miejscu operację i usunął kulę. Powiedział, że jeśli rana nie będzie się babrać, pies z tego wyjdzie. Łapy jednak uratować się nie da. Weterynarz złożył ją, jak potrafił, ale wiadomo było, że pies będzie kulał. Dla takiego olbrzyma oznaczało to krótsze życie. Już teraz miał kłopoty ze stawami. Meyer wziął kulę do

foliowej torebki i przyrzekł, że nie odpuści kłusownikowi. Na pierwszy rzut oka stwierdził, że nie była to samodziłowa broń.

— To nie pierwszy raz — poskarżyła się profesor Knut, paląc papierosa za papierosem. — Odstrzelili nam trzy psy i cztery wilki. Nikt z tym nic nie zrobił. Nadleśnictwo umywa ręce, dla policji to zbyt błaha sprawa. Zrzucają odpowiedzialność jedni na drugich.

— Nic nie wiedziałem — mruknął Meyer. Pies spał już spokojnie. Był opatrzony, dostał środki przeciwbólowe. Sierść miał mokrą, zmierzwioną, brzuch wklęsły. Ale żył.

— Jak on się tutaj znalazł? — zapytała profesorka.

Meyer wzruszył ramionami.

— Może polazł za mną?

— Do Kormorana? — Knutowa uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

Naukowcy postawili przed Meyerem kieliszek, ale odmówił. Chciał pojechać po auto i przewieźć psa do domu. Weterynarz gwałtownie zaprotestował.

— Niech zostanie. Jest po ciężkiej operacji. Miał dużo szczęścia.

— Jutro go przywieziemy — dodała Knutowa. — Bez obaw. Oddamy go.

Meyer wstał i ruszył do wyjścia.

— Przepraszam za dzisiejszy poranek — mruknął pod nosem.

Knutowa podniosła rękę w geście pojednania.

— Zajmiemy się nim jak własnym — obiecała.

— Dlaczego oni tak was nienawidzą? — spytał Meyer na odchodnym.

Knutowa westchnęła ciężko. Spojrzała na swoich ludzi. Pokręcili głowami.

— Wszystko przez te chłopskie przesady o wilkach — wyjaśniła. — Że porywają owieczki, napadają na ludzi, duszą, gryzą i są krwiożercze. Co oczywiście jest nieprawdą. Wilk nie jest zwierzęciem ziejącym nienawiścią ani maskotką do przytulania. Nie jest ani niebezpieczny, ani sympatyczny. Jest po prostu jednym z gatunków prześladowanych przez człowieka od stuleci, który potrzebuje miejsca do życia. Mało kto wie, że zdrowe wilki wolą odejść niż atakować. Pokażą zęby dla ostrzeżenia. Chyba że zostaną sprowokowane. Niektórzy to wykorzystują. Gatunek jest pod ochroną, ale dla wielu myśliwych zdobycie wilczej skóry to wyzwanie. W Polsce na wolności żyje może

pięćset sztuk. Wiadomo, to zakazane trofeum, chcą je mieć. Polują nawet na nasze wilki w wolierach. Co jakiś czas łatamy dziury w siatkach. Te, które wyszły, nigdy nie wróciły. Nie mamy pojęcia, co się z nimi stało. Pewnie zostały odstrzelone albo zabite widłami.

— To przecież karalne — wtrącił Meyer. Wśród obecnych wzbudził tym komentarzem salwę śmiechu.

— Nawet w *Czerwonym Kapturku* wilk to jest szwarczarakter — zaśmiała się gorzko profesorka. Podsunęła mu swoją książkę o życiu wilków. Meyer przekartkował. Wypadła z niej naklejka na samochód „Trzeba chronić wilka”. — To dla pana. Niektórzy uważają, że zajmujemy się tutaj produkcją wilkołaków, sama nie wiem. Problem polega na tym, że to nie jest rezerwat. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak ciężko utrzymać tę stację. Ale walczymy. I jesteśmy trzecią co do wielkości grupą na świecie, która bada wilki urodzone w niewoli, ale żyjące praktycznie w naturalnych warunkach. Dlatego też potrzebujemy psa, by je socjalizować. Pański pies prędeż doznałby krzywdy od ludzi niż od naszych wilków, zapewniam. Niech pan już idzie. Widzę, że miał pan ciężki dzień. Przykro mi, że pana nie podwieziemy, ale wszyscy są po spożyciu. Panu też radzę nie wyjeżdżać na drogę. Kłusowników tutaj nie łapią, ale alkomaty mają. Choć panu pewnie nic by nie zrobili — uśmiechnęła się.

Mężczyzna w koszuli khaki oraz spodniach w tym samym kolorze, wyglądający i zachowujący się jak żołnierz w cywilu, wyszedł przed szereg.

— Ja mogę pana zawieźć — odezwał się i wskazał butelkę. — Tak się składa, że nie piję. To będzie dla mnie zaszczyt.

Knutowa popatrzyła na mężczyznę z uznaniem.

— To Łukasz Maciejewski. Nasz strażnik-wolontariusz. Chłuba naszej stacji — przedstawiła go i zaraz zwróciła się do Meyera: — Proszę nie odmawiać. On wie o panu wszystko. To on nam powiedział, jak wspaniałe rzeczy pan robi. Jaka to wiedza... — urwała.

— Miło było poznać. — Każdy z naukowców uściśnął mu rękę. Meyer chciał oddać im pożyczoną koszulę. Zdjął ją, odsłaniając opalony tors. Kobiety wpatrywały się w niego z zachwytem.

— Niech pan nie żartuje. — Weterynarz zwrócił mu ubranie, poklepał po plecach i pochwalił za zatamowanie upływu krwi, które być

może uratowało Szwagrowi życie.

Meyerowi zrobiło się głupio. To byli naprawdę fajni ludzie, niepotrzebnie się tak jeżył i oceniał ich po pozorach. Wziął książkę, dotknął śpiącego psa i skierował się do wyjścia.

Łukasz Maciejewski ruszył za nim. Wsiedli do zielonej terenówki.

— Czy udziela pan lekcji? Może można się u pana szkolić? Dużo wiem o profilowaniu — zagaił Maciejewski, kiedy już ruszyli.

Meyer wzruszył ramionami.

— Raczej bym nie radził, skoro tak wiele pan o mnie wie. Musi pan także wiedzieć, że lepiej poszukać sobie innego mistrza.

— Mnie to naprawdę nie przeszkadza. Uważam, że pan jest najlepszy w tej branży w Polsce. Jeden błąd nie czyni z pana...

— Dziękuję, ale nie. Proszę mnie zrozumieć — uciał Meyer i ziewnął. Zatrzymali się. Uścisnęli sobie dłoń.

— Gdyby pan czegoś potrzebował... — zaczął Maciejewski. — Sam nie wiem.

— Dziękuję — uśmiechnął się Meyer. Przyjrzał się badawczo ubiorowi wolontariusza. — Mogę o coś spytać?

Maciejewski podbudowany szeroko się uśmiechnął.

— Oczywiście, proszę śmiało.

— Sam pan prasuje swoje ubrania, czy ma pan żonę w stacji? — uśmiechnął się figlarnie Hubert.

— Sam. Dlaczego? — Wolontariusz podniósł głowę. Był zaniepokojony, podejrzliwie zerkał na profilera.

— Tak tylko pytałem — mruknął Meyer. — Dzięki za podwózkę.

Tak jak Hubert się spodziewał, furтка była otwarta. Szwagier bez problemu wychodził zawsze kiedy chciał. Meyer nawet nie przypuszczał, że ktoś kiedykolwiek może strzelać do jego psa. Poczł się dziwnie. To miejsce nie było wcale takie bezpieczne, jak wcześniej sądził. Zawołał kota, ale ten nie wyszedł na powitanie. Wstawił rower do szopy i wszedł do mieszkania. Jeśli o tej godzinie miałyby jeszcze poszukiwać Radzia, który nawiał razem ze Szwagrem, byłoby to ponad jego siły. Zapalił światło na ganku i usłyszał szelest, coś jakby poruszyło się na sofie w salonie. Włączył światło. Nie mógł uwierzyć. Kolejna niespodzianka. Pod kraciastym kocem, zwinięty w pałąk leżał wielki jak

niedźwiedź mężczyzna. Komisarz Tomasz Domański, jego stary kumpel z białostockiej komendy. Kiedyś dużo razem pracowali. Potem Doman wyjechał na misję, by zarobić na nowe mieszkanie i wyprowadzić się od teściów.

— Doman, wielkoludzie, co ty tutaj robisz? — Meyer zrzucił z policjanta koc, a ten zerwał się, ukazując wielkie jak szafa gdańska plecy. Uśmiech też miał szeroki. Gdyby nie miał uszu, oplatałby jego głowę niczym szarfa prezent.

— Kopę lat! — Doman był jeszcze lekko zaspany, ale przybił piątkę Meyerowi, który z uśmiechem przyjmował żelazny uścisk. Rozejrzał się kontrolnie po pomieszczeniu, ale po kocie nie było śladu.

— Czekam tu od kilku godzin. Ty drzwi nie zamykasz? Wszystko bym wyniósł, gdybym chciał. Co za lokal! — zaśmiał się rubasznie i rozsiadł, rozkładając ramiona na oparciu sofy. Jego dłonie zdawały się sięgać od jednego brzegu mebla do drugiego niczym rozłożyste gałęzie dębu.

— Mój stary to znalazł. Jeszcze przed śmiercią. Słabo?

— Słabo to będzie dopiero jutro. — Doman pochylił się i wyciągnął z torby trzy flaszki żytniej.

— O nie, nie dzisiaj.

— O tak, nie wymigasz się. Ile się nie widzieliśmy?

— Z siedem lat. Zaraz jak wyjechałeś na misję.

— No, będzie z siedem. — Doman policzył flaszki. — Czyli cztery mamy zaległe. Ty je postawisz. I jak ci się podoba mój gościniec?

Doman stuknął w naklejkę i pokiwał palcem.

— Nie myśl, że to ten szajs — zaśmiał się rubasznie, po czym znów sięgnął do torby i wyjął zawinięte w folię pieczone mięso, wiejski chleb oraz kiszzone ogórki. — A tutaj mamy domowe specjały od mojej teścióweczki z Dojlid. Jak to się mówi: „Dobrze żyć w mieście, jak na wsi masz teście”.

Meyer wybuchnął śmiechem. Doman popatrzył na niego zdziwiony, bo żart był raczej stary i niekoniecznie aż tak zabawny. Dopiero kiedy powędrował wzrokiem za spojrzeniem Meyera, zrozumiał, jaki jest prawdziwy powód wesołości kolegi. Spod koca wysunął się czubek nosa czarnego kocura. Cwany Radzio przez cały ten czas spał sobie w ciepełku i dopiero zapach pieczonej dziczyzny zmusił go do pobudki.

Meyer nie miał wyjścia. Podał kieliszki i deskę do krojenia, na której mężczyźni położyli specjały, oraz jakieś sztucce, których i tak nikt potem nie używał. Wypili po jednym, zagryźli w milczeniu. Doman zaczął opowiadać o dzieciach, żonie, teściach. Wyglądało na to, że jest szczęśliwym facetem. Nagle zamilkł i wyznał, że ma romans z dwudziestotrzylatką.

— Klasyk. — Meyer nie wyglądał na zaskoczonego, choć naprawdę był. Doman był porządnym gościem i dla niego romans oznaczał tyle co nowy związek. Meyer nawet sobie nie wyobrażał, w jakim klinczu był kumpel, choć starał się o tym nie mówić. Obaj jednak wiedzieli, co to znaczy. Po co było strzepić języki.

— A ona? — zapytał Meyer.

— Co ona? Aha, zakochana — odpowiedział Doman i Hubert miał wrażenie, że lekko się zaczerwienił. Chcąc zamaskować poruszenie, w dwóch kęsach pożarł ogórek. — Problem w tym, że to córka przyjaciółki mojej żony.

Meyer gwizdnął z wrażenia.

— To gorzej.

Doman wzruszył ramionami.

— Ktoś wie?

Doman pokręcił głową.

— Przynajmniej taką mam nadzieję — odparł po dłuższej chwili.

— A ty? — Meyer zatrzymał wzrok na Domanie, który mimo niedźwiedziej postury przybrał pozę sztubaka złapanego na kradzieży jabłek z sadu sąsiada.

— Nie umiem wybrać.

— Stary dziad a głupi.

— Co ja zrobię? Kobita winna. Ładna, mądra, gotuje, że palce lizać.

— I nowa. Jeszcze nie jęczy. Wiem wszystko przecież.

Wypili znów po jednym, pierwsza flaszka pękła.

— Na razie chcę to ciągnąć, zobaczyć, jak będzie. Widzisz, jaka pieczonka? Ja miałbym to stracić, tak pochopnie? I jeszcze dzieci — zasepił się.

Meyer przygryzł wargę, wziął papierosa z paczki Domana.

— Dla młodego ciała faceci robią różne głupstwa. Uważaj, bo to kobiety rządzą światem, ja właśnie się o tym przekonałem.

Po czym bez zbędnych ceregieli opowiedział kumplowi, co się dziś wydarzyło. O Lenie, Knutowej, Kormoranie i kłusowniku. Kiedy napomknął o psycholożce, zamyślił się, czy to na pewno zbieg okoliczności, że oboje pochodzą z Białegostoku. Na wszelki wypadek zataił nazwisko kobiety.

— A teraz jeszcze ty. Na mojej sofie. Dajesz wiarę? Czy wierzysz w istnienie węzłów czasu i przestrzeni? — zakończył Meyer i stuknął się z Domanem. Ten spoważniał.

— Jak zwykle trafiasz w sedno.

— Taki mam styl. — Meyer gołnął sobie kolejnego i skrzywił się, bo nie było już czym zagryźć. Ale, prawdę mówiąc, było mu wszystko jedno. Rano nigdzie się nie wybierał. Nie pójdzie nawet pływać, jeden raz go nie zbawi. — Bo jestem najlepszy. I dlatego siedzę tu, w głuszy, jak jakiś emeryt, chłopie.

— Jesteś najlepszy — powtórzył Doman. — I nie powinienes się tu obijać.

— Aha — mruknął Meyer. — Już to dziś słyszałem.

— Wróc i tyle. Ukorzysz się, wezmą cię z powrotem.

— Musiałbym być potrzebny — próbował żartować Meyer, ale wyszło jak skarga. Żałośnie.

— My cię potrzebujemy na cito. — Doman zerknął na zegarek. — Na dziesiątą dokładnie.

— Ty, Doman, upiłeś się czy cię pojebało?

— Ile weźmiesz za ciężką harówkę w stolicy? — Kumpel jakby nie słuchał narzekań Meyera.

— Jakiej znowu stolicy?

— No, u nas, w Białymstoku, nowej stolicy Polski. Lotnisko nam zamknęli przez tych kiboli, ale metro skończyli, cztery linie, piątą zaczęli. — Doman niby żartował, ale twarz miał nieruchomą jak maska. Meyer w skupieniu czekał na puentę. — Zaginęło dziecko. Dziewięć lat, dziewczynka ze szkoły muzycznej. Szukamy jej od przedwczoraj. Matka jest podejrzana. Trzeba z niej wydobyć, gdzie ukryła ciało.

Większość polskich komend wygląda podobnie. Niedoinwestowane budynki, biurka ze sklejki, metalowe popielniczki na słupkach pod tabliczkami „zakaz palenia”, korytarze upstrzone ogłoszeniami o

poszukiwanych sprawcach przestępstw. Budynek białostockiej komendy wojewódzkiej do nich się jednak nie zaliczał. Był jednym z nielicznych wyjątkowo pięknych monumentalnych zabytków, gdzie miało szczęście pracować pół tysiąca funkcjonariuszy. Wejście poprzedzone rzędem schodów z filarami. Przeszkłone drzwi jakby żywcem wyjęte z amerykańskiego serialu. Czysto, elegancko i pusto. Nawet w poczekalni nie kłębił się tłum interesantów, choć, jak zauważył Meyer, dziś był dzień wizyt u samych szefów komendy. Wielkie okna z wykuszami, wysokie stropy, ściany w kolorze chłodnego błękitu wzmagały jeszcze wrażenie, że to prawdziwa twierdza. Niedawno odnowiono elewację i dopiero teraz widać było, w jak wspaniałej budowli przyszło pracować białostockim funkcjonariuszom. Jednak sława tego miejsca nie była najlepsza. Mówiono o nim „kazamaty”. W czasach PRL-u podziemia skrywały wiele niewyjaśnionych spraw, odbyło się tu wiele niedokończonych przesłuchań z powodu nagłej śmierci podejrzanego, czy zaginięć. Do tej pory dla wielu mieszkańców miasta „kazamaty” oznaczały małe szanse na powrót do żywych, choćby i w przenośni. Dla Meyera nie była to nowina. Niemal każda komenda wojewódzka, w której esbecy trenowali podejrzanych, miała taką sławę w swoim mieście.

Przeszli przez bramki chipowe. Dalej było już bardziej przyjaźnie. Menażeria ludzkich osobowości, które tutaj bezbłędnie znajdowały swoje miejsce, niczym fiszki układane w szufladkach przez pedantycznego księgowego, była taka sama jak wszędzie. Pierwszy typ to pracownicy: szybko maszerujący, pewni siebie, pędzący do swoich spraw z plikiem dokumentów w rękach. Drugim typem byli jedno- lub kilkurazowi przybysze. Zwykle smutni, czasem nieco wystraszeni, siedzący na krzeselkach z dowodami osobistymi i zgniecionymi wezwaniami w rękach, pogrążeni we własnych myślach, w oczekiwaniu na przesłuchanie. Wreszcie stali bywalcy: wściekłe „pitbulle” na dołkach policyjnych lub nieszczęśnicy z poczuciem krzywdy, prowadzeni w eskorcie mężczyzn w za ciasnych t-shirtach i bojowych spodniach. Na deser rozemocjonowana hałastrą awanturników, stłoczona przy ladzie recepcji.

Ten kolaż ludzkich krzywd sprawiał, że nie tylko wygląd polskich komend był podobny, ale też i zapach. Żelazisty, wytrawny, czasem

duszny. Trudny do określenia, ale zostający w człowieku, jeśli choć raz miał okazję być tutaj w swojej sprawie. Ktoś powinien kiedyś zbadać, jaki zapach ma strach. Przecież nawet wariograf ma czujnik badający potliwość i napięcie skóry podczas przesłuchania. Meyer byłby w stanie postawić dwie setki za to, że próbki osmologiczne byłyby identyczne. A może takie ekspertyzy już powstawały? Hubert już nie mógł go poczuć, ale kiedy wchodził z Domanem do komendy, miał wrażenie, że przypomina sobie ten niepowtarzalny zapach. Czyżby pobyt w lesie uruchomił coś w jego mózgu? Jego zmysł węchu został bezpowrotnie uszkodzony. To musiała być pamięć emocjonalna, zaś przebłyski to jedynie wspomnienia. To dlatego, że dawno nie pracował.

Co rusz kiwał głową na powitanie znajomym i nieznanym. Tak jak się spodziewał, jego przyjazd wzbudził wielkie poruszenie wśród policyjnej braci. Jedni interpretowali go jako wielki powrót profilerów do firmy. Ale było też wielu sceptyków. Obawiali się, czy w komendzie nie szykują się jakieś zmiany. Ktoś musiał podjąć ważną decyzję, by psycholog ze skazą zawitał właśnie do nich. Nie było bowiem osoby, która nie słyszała o słynnym profilerze oraz jego ucieczce w mazurską głąsę po medialnej pomyłce. Co rusz więc ktoś podchodził, przedstawiał się, witał lub tylko stawał z boku, by obejrzeć go sobie z bliska. Meyer czuł się jak tresowana małpa na cyrkowej arenie. Kiedyś, przyznawał to z niechęcią, bardzo lubił ten szum wokół siebie. Sam nie miał pojęcia, jak powstał mit wokół jego osoby, któremu tylko z próżności zaprzeczał w wywiadach. Był skromny z natury i nigdy nie wychwalał sam siebie bez powodu. Starał się zawsze schować za prowadzonym śledztwem. Być transparentnym jako człowiek, wnikliwym jako psycholog. Sprawy, przy których pracował, były jednak zwykle bardzo ważne zarówno dla poszkodowanych, jak i prowadzących dochodzenie. Kiedy okazywało się, że zagadkę udało się rozwikłać dzięki psychologii, na plan pierwszy zawsze wysuwało się jego nazwisko. Meyer oznaczało solidną markę. Do czasu. Hubert nie chciał teraz myśleć o popełnionym błędzie, jednak był on niczym zadra w oku. O swojej pracy mówił oględnie, by nikogo nie urazić. Nie wchodził w szczegóły, odsyłał do swoich szefów, którzy podjęli decyzję o odrzuceniu profilu. Wiedział jednocześnie, że honor można odzyskać tylko w miejscu, gdzie się go straciło. Propozycja Domana była ogromną

szansą. Bardzo mu też schlebiało, że ma wokół siebie switę słuchaczy. Prawie wszyscy klepali go po plecach, dodając mu otuchy, lub werbalnie wyrażali swój zachwyt. Z tego powodu droga od wejścia do komendy do wspięcia się na górę do pokoju Doman zajęła im trochę dłużej, niż powinna. Od dawna jednak Meyer nie czuł się tak niepewnie. Doman najwyraźniej nie miał nic przeciw tłumowi pochlebców, który za jego sprawą otoczył profilerą, bo szedł dumny jak paw. Nie krył też swoich oczekiwań, że dzięki współpracy z Meyerem sprawa zaginięcia dziecka zostanie wkrótce wyjaśniona.

Przed wejściem do pokoju 232, w którym na co dzień urzędował Doman, stała grupka mężczyzn. Nie wyglądali jak policjanci. Meyer domyślił się, że to ludzie z kryminalnego. Na widok gościa rozstąpili się i błyskawicznie odsunęli pod ścianę, zachowując uprzejmy dystans. Tylko jeden z nich, najstarszy, z daleka wzbudzający respekt, stał wciąż na środku korytarza. Meyer odgadł, że to naczelnik wydziału kryminalnego, który z pewnością nieprzypadkowo tędy przechodził i czekał właśnie na niego. Hubert odruchowo zerknął na zegarek. Do przesłuchania kobiety, którą miał wziąć na warsztat, zostało czterdzieści pięć minut. Niewiele, zważywszy, że chciał przejrzeć materiał zgromadzony w aktach, których Doman nie mógł wynosić z komendy. Zresztą nawet gdyby mógł nagiąć przepisy, nie miał pewności, czy Meyer zgodzi się wejść do sprawy. Wcześniej było wiele prób zwerbowania go poza katowicką jednostką. Zawsze odmawiał. To dlatego Doman przyjechał do niego osobiście. Znali się, wiedział, że tak łatwiej będzie przekonać Meyera. Kiedy powiedział, że ofiarą jest dziecko, nie musiał go zbyt długo namawiać. Profiler postawił tylko jeden warunek. Dostanie wszystkie materiały do analizy. Pozwolą mu uczestniczyć w śledztwie, jak za dawnych czasów, kiedy był jeszcze policjantem. Doman zapewnił, że nie będzie żadnych przeszkód we współpracy z detektywami. Obiecał też swoje osobiste wsparcie i ścisłą współpracę. Kiedy Meyer z niedowierzaniem czekał na wyjaśnienia tej przełomowej decyzji, Doman udzielił krótkiej, klarownej odpowiedzi. Naczelnik poręczył za niego własną głową u komendanta wojewódzkiego. To ostatecznie przypieczętowało zgodę profilerą.

Meyer przyglądał się teraz tej głowie, która pierwsza zaryzykowała swoją opinię w środowisku, bo był pewien, że jego wejście do sprawy jako niezależnego eksperta zaraz rozniesie się po policyjnej wiosce o nazwie Polska. Skłonił się z szacunkiem policjantowi, w którego czarnych jak węgle oczach czaiła się skrywana podejrzliwość — skrzywienie zawodowe niemal każdego wieloletniego pracownika tej firmy. Meyer już na pierwszy rzut oka spostrzegł, że ten facet nie jest urzędnikiem nastawionym na wyniki, jakich wielu było w polskich komendach na tych stanowiskach. Zanim objął zaszczytną funkcję szefa wydziału i zasiadł za biurkiem, niejedną sprawę musiał rozwiązać osobiście. Meyera dławiła ciekawość, co tak naprawdę skłoniło tego człowieka do tego, by zwerbować do białostockiej sprawy profilerą „z miasta”, za którym na dodatek ciągnęła się zła sława.

Podinspektor Lech Pilecki nie był człowiekiem imponującej postury, lecz emanował siłą i pewnością siebie. Czuje oczy przewiercały człowieka na wskroś. Trudno było z nich cokolwiek wyczytać. Tęczówki zlewały się ze źrenicami w czarne dziury bez emocji. Krótkie krucze włosy i smągła cera przywodziły na myśl raczej południowe pochodzenie. Wśród rzeszy słowiańskich ciemnoblonde wąsaczy w białostockiej komendzie, jakich po drodze witał Doman, Pilecki zdecydowanie się wyróżniał. Poza tym nosił kozią bródkę i okrągłe okulary w metalowych oprawkach. Kiedyś musiał być z niego wyluzowany gość. Hubert bez trudu wyobraził go sobie w skórzanej kurtce i niebieskich, wyblakłych dżinsach lub choćby w mundurze szturmowym. To, co miał na sobie dzisiaj, zdecydowanie do niego nie pasowało. Zamiast galowego munduru naczelnika, lniany, wygnieciony garnitur, zdecydowanie nie pierwszej czystości. Prawdopodobnie trzymał go w szafie gabinetu i przebierał się weń dopiero po przyjściu do pracy. Musiał mieć solidną renomę, by nie musieć podporządkowywać się policyjnej etykietce.

Uścisnęli sobie dłonie, wymienili nazwiska, bo wcześniej nie mieli okazji poznać się osobiście. Meyer z niecierpliwością czekał na pierwsze słowa Pileckiego. Ten jednak milczał. Zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, po czym wskazał sąsiednie drzwi. Weszli do małego pomieszczenia. Doman z kolegami pozostał na korytarzu. Jedyne, na co Meyer zwrócił uwagę, kiedy drzwi się za nimi zatrzasnęły, to wzorzysty,

wełniany dywan w kwiaty. Nigdy, w żadnej komendzie nie widział nic podobnego. Widać na wschodzie Polski obowiązywały takie zwyczaje. Meyer nie wszedł na dywan, bojąc się go zabrudzić. Stał przed końcówką frędzli i czekał na pierwsze słowa naczelnika.

Pilecki wyjął paczkę dunhilli i poczęstował Huberta. Ten wziął jednego, gniótł go długo w palcach, by zyskać na czasie, i już miał się odezwać, kiedy podinspektor odezwał się chrapliwym szeptem.

— Pochodzę z ludności napływowej. Romowie, słyszał pan? — zawiesił głos i wpatrywał się w oczy profilerowi. Ale wcale nie liczył na odpowiedź, bo zaraz kontynuował: — Cyganie brzmi mniej dumnie, ale to to samo. Mamy duże rodziny. Rozsiane po świecie. Kiedy coś się dzieje, pomagamy sobie. W pewnym sensie jestem z nią spokrewniony. Pan rozumie?

Meyer zaniemówił. Zastanawiał się, dlaczego Doman nie podał mu tak ważnej informacji. W jednej chwili jednak pojął, dlaczego dopuszczali go do sprawy, choć nie był już policjantem. Podjęcie ryzyka wynikało z osobistego interesu szefa wydziału kryminalnego jednostki.

— Ufam panu — dodał tymczasem Pilecki. — Przekonałem komendanta i poręczyłem za pana. Wierzę, że nie zawiedzie pan mojego zaufania.

— Dziękuję, podinspektorze — powiedział Meyer i dalej trwał w oczekiwaniu.

— Chcę być na bieżąco informowany o wszystkim, co pan ustali. Żadnych własnych tropów, raporty co wieczór na moje biurko. Nie oczekuję, by coś pan pisał. Preferuję kontakt telefoniczny. — Podał mu wizytówkę, na której zanotował swój prywatny numer telefonu. Numer służbowej komórki widniał na wydrukowanej części karteczki.

— Doman wyda panu służbowy telefon. Tylko z niego proszę się ze mną kontaktować — dodał.

Meyer zrozumiał, że miał to być dodatkowy dowód zaufania. Schował kartkę do kieszeni. Pilecki stał jeszcze chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. Po chwili znów zaczął mówić. Spokojnie, choć w jego głosie dało się wyczuć lekkie drżenie.

— Nie znałem blisko tego dziecka. Ale byłem na jej koncercie finałowym w naszym domu kultury. Mój kuzyn to jej stryj. Daleki, ale stryj. Zamówił u rodziny w zachodniopomorskim harfę dla tej małej. U

nas wszyscy są uzdolnieni muzycznie, pewnie pan słyszał. Gramy, śpiewamy. Tamburyn, gitara. Ale Zosia to jest wybitny talent. Tylko raz bardziej poruszyła mnie czyjaś gra. To było dawno temu. — Podinspektor zamyślił się, zapatrzył w okno. Dopiero po chwili znów podjął wątek: — Zresztą nieważne. To jest anioł, niech mi pan wierzy. Jeśli stało się jej coś złego, sprawca musi zostać ukarany.

Meyer milczał chwilę, po czym zdecydował się spytać:

— Czy poznał pan też jej matkę?

Pilecki pokiwał głową.

— Kiedy urodziła Zosię, sama była jeszcze dzieckiem. Tak właśnie się to kończy, kiedy dzieci mają dzieci. U nas to nic nowego, nawet piętnastolatki pobierają się przed cygańską radą starszych, ale ona poszła do obcych. Wzięła białego. To u nas niedozwolone, zwłaszcza u starszych rodów. Dziewczyna zaś myślała, że złapała Pana Boga za nogi. Odcięła się od swojej rodziny, zerwała kontakt. Zresztą nie dziwię się jej. Matka z ciotką są znane naszej policji. Doman panu opowie. Niech pan spyta o napady „na chustę”. Ojciec — autor nieznany, ale Cygan, nie ulega kwestii. Nic więcej nie mogę o niej powiedzieć, poza tym, co wyczyta pan w aktach. Miła dziewczyna, niezwyklej urody, sam pan zobaczy. Ale to tak naprawdę nie ma znaczenia, bo jeśli miała z tym coś wspólnego... — rozłożył ręce. — Nie możemy pozwolić sobie na błąd.

— Dziękuję za zaufanie — odparł Meyer, udając, że nie dostrzegł taksującego spojrzenia.

— Będziemy więc w kontakcie. Doman to dobry chłopak, ale do tej sprawy trzeba kogoś wnikliwego, z pazurem. Za to na Fantomasa bym uważał. Ma za uszami kilka niejasnych posunięć. Nie chcę o nim plotkować, ale niech pan spyta, kogo chce. To nie jest jakaś wielka tajemnica. Skracając, wydaje mu się, że jest Rutkowskim, ale tępy z niego gamoń. Niestety, trawi go niezdrowa ambicja. A my jesteśmy zmuszeni go tolerować. To był kiedyś nasz człowiek, odszedł z firmy dla kasy — zamilkł i zerknął na zegarek. Znów przybrał służbową pozę. Wyprostował się, wygładził klapy marynarki, która pofałdowała się jeszcze bardziej.

— Nie zatrzymuję pana. Rozumiem, że chciałby pan przygotować się do przesłuchania — zawiesił głos. — Świadek poczeka, aż będzie pan gotów. Zezwalam panu na każdą ekstrawagancję. W granicach normy,

rzecz jasna. Ma pan otwarte wszystkie drzwi. I moją protekcję, jeśli trzeba. Oczywiście po uprzednim powiadomieniu, jak wygląda pańska strategia. Tylko proszę nie wyciągać pochopnych wniosków. Pan rozumie? Nie możemy pozwolić sobie na błąd.

— Już pan to mówił. Zrozumiałem — odparował Meyer, nie ukrywając irytacji. Pilecki lekko się uśmiechnął. Spodobało mu się, że jego rozmówca nie jest uległy. Liczył przecież na jego profesjonalizm. Nie musiał być dyplomatą. Profiler wyczuł te intencje, bo powtórzył dobitnie, by sprawa między nimi była jasna:

— Nie będzie żadnej pomyłki. Saper myli się tylko raz.

— I na to liczę — uśmiechnął się smutno Pilecki. — Co do poszkodowanej, bo na razie tak figuruje w papierach, już była przesłuchiwana przez naszych ludzi. Nic z niej nie wycisnęli. Trzeba ją jakoś podejść. Podpompować, jeśli trzeba, dowiedzieć się, co tam skrywa i dlaczego. Sam bym to zrobił, gdybym nie był zaangażowany emocjonalnie. Zresztą źle byłoby to widziane. Białystok to małe miasto, a wieści szybko się rozchodzą.

Naczelnik nie poczekał na odpowiedź. Skinął tylko głową, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Meyer stał jeszcze chwilę, wpatrując się w peta, którego podinspektor dyskretnie rzucił na wzorzysty dywan. Stwierdził, że nie jest to typ pedanta ani formalisty. I kierował się emocjami, choć twardej z niego, to było widać. Hubert zastanawiał się, jak łączył te cechy. Jak widać, ze skutkiem, bo piastował jedno z ważniejszych stanowisk w firmie. Wreszcie Meyer odprężył się i podsumował: będzie miał tutaj dobre warunki do pracy, jeśli regularnie złoży raport. Co zaś do kwitologii, Pilecki załatwi wszystko, tak jak on będzie chciał. Martwił się tylko tym, że kobieta była już przesłuchiwana. Niestety, wiedza zdobyta przez przeciętnych policjantów zwykle jest bezwartościowa dla profilerów. A przy kolejnych przesłuchaniach u świadka zawsze pojawia się irytacja. Ziarna, jakie może wydobyć, nigdy nie są pozbawione plew. Dobrze jednak, że wiedział, na czym stoi. To trochę utrudniało sprawę, ale Meyer miał sposoby, by poradzić sobie z tym kłopotem. Pochylił się, podniósł niedopałek, który wraz ze swoim ukrył w zagłębieniu dłoni, po czym skierował się do pokoju Domana.

W ciasnym pokoju czekała na niego ekipa śledcza pracująca przy sprawie zaginięcia Zosi Sochackiej. Na stole leżały zdjęcia dziecka i podręczne akta sprawy.

— Meyer — przedstawił się Hubert i rzucił okiem na wydrukowane w powiększeniu fotografie dziewczynki. Była pucołowatą brunetką, ostrzyżoną jak chłopak, o ufnych, orzechowych oczach. Smągła cera, regularne rysy, zadarty nosek, dołeczki w policzkach przy uśmiechu. Ubrana w spodnie od dresu i niebieskie polo z samolotem. Oryginalnie jak na dziewczynkę. Największe było jej komunijne zdjęcie, w skromnym wianku i ze świecą w dłoni. Wydawała się dobroduszną i delikatną. Nie była to ślicznotka z reklamy, lecz brzydkie kaczątko, które nagle rozkwitnie w łabędzia; już było widać, że ładniała z każdym rokiem. Meyer miał nadzieję, że będzie jej to dane. Wszystko wskazywało na to, że poszukiwania nie dały rezultatu. Jednak dopóki nie było ciała, istniała nadzieja, że dziecko żyje. Trzeba było teraz zrobić wszystko, by je znaleźć.

Mężczyźni podali sobie ręce. Meyer osobiście znał tylko Domana. Dwóch pozostałych, wyglądających jak członkowie jednego gangu, musiał już kiedyś widzieć.

— Petryka. Wojda — przedstawili się niemal jednocześnie.

Ich twarze nie były mu obce, w każdej komendzie było takich kilkadziesiąt. Typy, które bez trudu wykonają każdą operacyjną robotę, dogadają się zarówno z drobnymi przestępcami, jak i profesorem z filharmonii. Ktoś, kto przypadkiem spotkałby ich w podejrzanym barze, pomyślałby, że to typy spod ciemnej gwiazdy, ale na pewno nie gliniarze. Złamane nosy, ostrzyżone do gołej skóry czaszki, czarne skóry na rozłożystych plecach. Różnili się tylko wzrostem i wiekiem. Petryka był wyższy, przystojniejszy, ale miał problem ze skórą. Cała jego twarz upstrzona była ropiejącymi krostami. Wojda był młodszy, drobniejszy, o lekko skośnych oczach. Musiał mieć domieszkę azjatyckiej krwi. Wyraźnie naśladował we wszystkim Petrykę, który traktował go jak ojciec. Kiedy Meyer zwrócił uwagę na elastyczne opaski na ich nadgarstkach, Wojda od razu się pochwalił, że razem z kolegą trenują boks. Żaden nie wyglądał na myśliciela. Meyer widział jednak, że to w gruncie rzeczy dobre chłopaki i już na pierwszy rzut oka dostrzegł w ich oczach respekt. Trzeci, chudy i kompletnie łysy, z

ordynarnymi tatuażami na przedramionach wystających spod czerwonego t-shirtu z napisem POLSKA, od razu wzbudził jego podejrzenia. Ksywka Fantomas idealnie do niego pasowała. Jego twarz wydawała się Meyerowi znajoma. Łypał na profilera małymi, rozbieganymi ślepiami jak złodziej szukający frajera do skrojenia na targowisku. Widać było też wyraźnie, że nie do końca jest w tym zespole akceptowany.

Policjanci ustawili się po jednej stronie biurka. Wytatuowany stał z boku, pod ścianą, obserwując bacznie wszystko dookoła, niczym drapieżnik w każdej chwili gotów do skoku.

— Fantomas pracuje na zlecenie rodziny poszukiwanej — Doman wyjaśnił wątpliwości Meyera. I dodał po namyśle: — Parę lat temu dzieliliśmy razem pokój.

— Poznaliśmy się już — mruknął Fantomas i zamiast dłoni wyciągnął w kierunku Meyera papierosa. — Czupryna.

Meyer tylko pokiwał głową. Teraz sobie przypominał. Faktycznie, kiedyś się już spotkali. Szkoda tylko, że wtedy nie znał jego przezwiska. Czupryna wprawdzie bardzo się zmienił, ale trudno było o pomyłkę. Schudł jeszcze bardziej i w przeciwieństwie do tamtego okresu, teraz palił jak smok. Ten cały Fantomas, na którego Hubert miał uważać, był jego głównym wrogiem już przed laty, kiedy Hubert pracował nad sprawą zabójstwa aktorki Niny Frank. Gdyby nie komisarz Eugeniusz Kula z mielnickiej komendy, który pomógł mu w śledztwie, seryjny morderca dokonałby kolejnej zbrodni. Meyer uśmiechnął się półgębkiem. Nic więcej nie trzeba mu było wyjaśniać. Wiedział doskonale, że Fantomas to przebiegły typ, a jednocześnie musiał kręcić przy tej sprawie swoje lody. Pytanie tylko: jakie? Czupryna też musiał pamiętać Meyera, bo z trwogą czekał, aż ten przyzna publicznie, że wie o jego niemoralnych działaniach w domku aktorki nad Bugiem. Hubert nie odezwał się jednak na ten temat ani słowem. Wiedział, że po wyjściu Fantomasa i tak dowie się wszystkiego. Najbardziej interesowało go, dlaczego ówczesny szef wydziału kryminalnego został prywatnym detektywem. Za taką decyzją musiała stać jakaś interesująca historia. Zwłaszcza że to właśnie przed nim ostrzegął go Pilecki. I to on dziś piastował dawne stanowisko Fantomasa.

Podeszli do stołu. Policjanci opowiedzieli mu, co dotychczas udało się im ustalić. Dziewczynka zaginęła w piątek w nocy. Zgłoszenie nastąpiło o 23.43, na policję zadzwoniła jej babcia. Oficjalne poszukiwania wszczęli następnego dnia, ale jeszcze tej samej nocy przetrząsnęli osiedle Bojary, gdzie dziewięciolatka mieszkała, Park Zwierzyniecki i okolice zespołu szkół muzycznych imienia Paderewskiego, gdzie się uczyła. Nurkowie sprawdzili rzekę Białą i akwenty na Dojlidach. Ochotnicze patrole społeczne otworzyły każdy domek na działkach przy Ciołkowskiego oraz przesypali każde ziarenko piasku na żwirowni pod miastem. Sprawdzono także dworzec i ciąg pustostanów koło dawnego bazaru. Po dziewczynce ani śladu. Jakby zapadła się pod ziemię. Ostatnio widziano ją, jak wychodziła ze szkoły przy ulicy Podleśnej 2 i kierowała się na przystanek autobusowy. Zwykle wracała szesnastką na osiedle Bojary, to zaledwie kilka przystanków. Krytycznego dnia zwołała się z ostatniej lekcji, a dwa dni wcześniej została ukarana przez dyrektorkę za włamanie do auli szkolnej. Otrzymała zakaz udziału w koncercie finałowym.

— Dlaczego włamała się do tej auli? — zainteresował się profiler.

— Mówiła, że chciała zobaczyć koncertową harfę. To wielkie złoczone pudło. Cenne jak cholera. Kosztuje ze czterdzieści tysięcy euro — odparł Doman. Meyer aż zagwizdał z wrażenia.

— Ile? — upewnił się.

— Czterdzieści kafli — powtórzył Doman. — W ubiegłym roku dziewczynkę przeniesiono do klasy harfy. Wcześniej grała na fortepianie, ponoć nie miała talentu. Ale rodzina się postawiła. Dziadek przeznaczył na to swoje oszczędności. Wpłacił zaliczkę na instrument w szkole.

— Nie miała talentu? Kto tak powiedział? — upewnił się Hubert.

— Dyrektorka. Uprzedziłem, że sam zechcesz zebrać dane. Jest do twojej dyspozycji — odparł Domański i polecił swoim ludziom, by kontynuowali.

— Stroicielka pamięta, że Zosia była tego dnia w doskonałym humorze, chwaliła się, że wkrótce będzie miała własny instrument i zagra koncert dla najbliższych — ciągnął Petryka. Potem podeszli do mapy. Petryka zaznaczył długopisem osiedle Bojary. Meyer zanotował sobie ulicę: Wiślana.

— Mniej więcej tutaj razem z rodzicami i dziadkami mieszka Zosia. To stary dom, w wiejskim stylu. Zabytkowa dzielnica. Mają trzy pokoje z kuchnią. Reszta domu jest zamknięta, wymaga remontu, grozi zawaleniem. Zosia miała własny pokój. Rodzina robotnicza, ale bez patologii. Niezbyt zamożni, raczej na poziomie. Nikt nie pije. Zero przemocy. Przeciętna polska rodzina. Katolicy. Stary Sochacki pracował w Biażecie, babka zajmowała się domem. Synek jeździ na taryfie. Matka dziewczynki pracuje jako recepcjonistka w prywatnej klinice. Dochód: tysiąc siedemset złotych brutto.

— I wydali czterdzieści tysięcy na harfę dla dziewięciolatki? — przerwał mu Meyer.

Doman wzruszył ramionami.

— Tyle kosztowała harfa szkolna, koncertowa. Treningowa nie wiem, ile jest warta. Może połowę. Widać bardzo im zależało, żeby mieć w rodzinie artystkę. Zosia grała na pianinie od piątego roku życia. Do szkoły dostała się warunkowo, ponoć genialna nie była. Dzieckiem zajmowała się matka i babcia, na zmianę.

— Raczej babcia — wtrącił się Fantomas. Wszyscy spojrzeli na niego. Dotąd nie wykazywał zainteresowania raportem.

— Poczekaj, zaraz podasz wersję rodziny oraz swoje obiekcje — przerwał mu Doman i pozwolił śledczym kontynuować wywód.

— Matka często pracowała do późna — ciągnął Petryka. — Jest recepcjonistką w małej klinice ginekologiczno-plastycznej na Mickiewicza. Do domu wracała tym samym autobusem co córka. Bywało, że pomagała przy prostych zabiegach. Nie ma kwalifikacji, chodziło raczej o pomoc techniczną. Przynieś, wynieś, pozamiataj. Po wszystkim zamykała klinikę, układała papiery, dorabiała też jako sprzątaczką. Tego wieczoru operacja się przedłużyła.

— Bzdura, mówcie od razu, jak było — nie wytrzymał Fantomas, znowu wchodząc w słowo Petryce. Doman pokiwał głową i dodał: — Wersja matki jest taka, że miała wyłączony telefon i nie wiedziała, że dziecko próbowało się z nią skontaktować. Nie słyszała też telefonów teściowej i męża. Dzwonili do niej cały wieczór. Wszystko jest w billingach.

— Mówimy o dniu zaginięcia? — upewnił się Hubert.

Fantomas pokiwał głową.

— Kto w tym czasie miał zająć się dzieckiem?
— Otóż i pytanie. — Detektyw rozłożył ręce.
— Kiedy matka była w pracy, dziewczynka była zwykle pod opieką babki lub ojca. Zwykle tak było, ale tego popołudnia nie dotarła do domu — wyjaśnił Doman.

Meyer podniósł głowę.

— Dlaczego więc zaginięcie zgłoszono dopiero przed północą?
— Babka twierdzi, że myślała, że dziecko jest z matką, do której mała często przychodziła po szkole. Nikt nie miał nic przeciw. Matka miała kończyć pracę o dziewiętnastej trzydzieści, zwykle wracały razem. Matka twierdzi, że tego dnia dziecko miało być z babcią. Klasyczne niedopilnowanie. Nikt nie chce być winny zaniedbania.

— Ona nawet nie wiedziała, w co Zosia była ubrana! — wtrącił się Fantomas. Doman próbował go uciszyć, ale ta wiadomość zainteresowała profilerę.

— Nie znała dokładnego planu lekcji córki. Prawie nigdy nie wyprawiała jej do szkoły — wyrzucił z siebie detektyw.

— To prawda? — Meyer zwrócił się do policjantów. Skinęli głowami twierdząco.

— A co z ojcem? — zainteresował się profiler i tym razem zwrócił się bezpośrednio do Czupryny.

— Ojciec był w tym czasie w domu i na automatach.

— Na automatach? — zdziwił się Meyer i podniósł brew. — Był na automatach, kiedy szukaliście dzieciaka?

— Ma stamtąd alibi od trzech osób. Na cały wieczór i całą noc — dodał spokojnie detektyw.

— Czyli rozumiem, że dziecko od momentu wyjścia ze szkoły do godziny dziewiętnastej trzydzieści mogło biegać po mieście samopas i nikt się tym nie przejmował? — podsumował Meyer.

— Na to wygląda — odrzekł Wojda, kiwając głową.

Fantomas przerwał mu:

— To nie tak. Dziadkowie się martwili. Ojciec był w pracy. Pracuje dorywczo, wykonuje zlecenia na telefon. Jak to taryfiarz. Na automaty wpadł tylko na chwilę.

— A czego ty go tak bronisz? — odezwał się Petryka. — Może wpadł do Vegasso, żeby załatwić sobie alibi? Dlaczego akurat wtedy miałoby go

zapamiętać? Codziennie tam bywał.

— Gdzie jest to Vegasso? — zainteresował się Meyer.

Doman pokazał mu miejsce na drugim końcu miasta. Meyer zapisał w notesie: osiedle Dziesięciny. Poprowadził ołówkiem linię od miejsca zamieszkania Zosi do salonu flipperów.

— To bardzo daleko — mruknął. — Dlaczego chodził tu grać? Mieszkał tu kiedyś? Pracował?

Fantomas wzruszył ramionami.

— Może chciał, żeby rodzina nie wiedziała? Znał to miejsce, bo kiedyś miał tam jedną dupę.

Meyer zmierzył detektywa przenikliwym spojrzeniem.

— Jesteście kumplami?

— Białystok to małe miasto, praktycznie wszyscy się tu znają — odciął się Czupryna. — Raz jeszcze powtarzam, cała rodzina: babka, dziadek i ojciec szukali dzieciaka. Czekali na małą najpierw z obiadem, a potem z kolacją. Wieczorem zaczęli jej szukać. Ojciec jeździł po mieście. A matka? Gdzie była w tym czasie matka?

— W lecznicy, tak mówiliście. Pomagała w operacji — podpowiedział Meyer.

— Tak mówiła najpierw. — Doman pokręcił przecząco głową. — Mamy rejestr załączanego alarmu i rejestrację z kamery przemysłowej w przychodni. Klinika tego dnia została zamknięta o szesnastej z powodu remontu wodociągów. Nawet wywieszono kartkę, ale jedna z pacjentek przyszła na wizytę. Mamy jej zeznanie. Problem polega na tym, że tego dnia Marlina w ogóle nie dotarła do pracy. Choć figuruje, że była, to nieprawda. Na jej miejscu była tego dnia koleżanka. Tutaj jest jej zeznanie. Z tego, co dziewczyna powiedziała, tak było od tygodnia. Marlina od tygodnia przed zaginięciem dziecka nie przychodziła do pracy. Ponoć dostała wymówienie i nie musiała świadczyć stosunku pracy. Z domu jednak wychodziła i wracała o tych samych porach co dotychczas. Czasem nawet w nocy, tłumacząc się przedłużającymi się zabiegami. Gdzie w tym czasie była? Nie wiemy. W domu nikt nie miał pojęcia o jej zwolnieniu. Nikomu nie pisnęła ani słowa. Jeśli zaś mała tego dnia faktycznie przyszła do kliniki, nie mogła zastać matki, bo jej tam nie było. Nikogo tam nie było, poza jednym z szefów, niejakim Piotrem Bielachem, który nadzorował naprawę rury.

Doman podsunął profilerowi świstek papieru. Meyer wpatrywał się w dokument.

— A co ona na to? — spytał.

— Najpierw szła w zaparte — mruknął Doman. — Kiedy zrobiliśmy konfrontację, powiedziała, że faktycznie od tygodnia nie pracowała. Kłamała przed rodziną, bo bała się wyznać prawdę. Przyznała też, że krytycznego dnia widziała się z dzieckiem około szesnastej. Odprowadziła małą na przystanek, kazała jechać do domu. Twierdziła, że na ławce siedziało dwóch zakapturzonych dresiarzy. Nie potrafiła podać ich rysopisów. Zrobiliśmy kilka okazań. Nikogo nie rozpoznała. Właściwie nie, rozpoznała jednego.

— Mnie — mruknął Wojda.

Zapadła cisza. Sytuacja wyglądała naprawdę poważnie.

— A kiedy zagroziliśmy, że dostanie zarzuty, zamknęła się w sobie i odmówiła składania dalszych zeznań. Trwa w tym. Mówi, że jest niewinna, płacze. Błaga, by wciąż szukać córki. Twierdzi, że mała dzwoniła do niej z budki telefonicznej. Miała takie połączenie w billingu, ale czy to dzwoniła córka? Tyle ta Cyganka nakłamała, że już nie wierzę w żadne jej słowo. Prorok^[3] nie chce się zgodzić na jej zatrzymanie. Mówi, że mamy za mało dowodów. To w końcu matka małej. Gdybyśmy mieli ją na dołku, już dawno byśmy z niej to wydusili.

Wszyscy patrzyli teraz na Meyera.

— Nie zgodziła się na wariograf — dorzucił Fantomas. — Pompowałem ją, że w ten sposób rzuca na siebie podejrzenie, ale ona wciąż nie chce zeznawać. Mówi, że ją wrabiamy. Mnie traktuje jak wroga. Zero współpracy. Wspomina o braku zaufania, osaczeniu. Zwyczajne mydlenie oczu historiami z przeszłości. Opowiada jakieś brednie o tym, że rodzina ją tłamsi, że ją głodzili, zabierali pieniądze. Coś o niedoszłym ślubie, o mieszkaniu, które miała dziedziczyć po cygańskim królu. Nie chciała rozmawiać z dziennikarzami.

— To akurat mnie nie dziwi. Po co mieszać do tego pismaków? — odparł Meyer. — Może pan powiedzieć coś więcej o tej rodzinie? Jacy to ludzie?

Detektyw Czupryna nabrał powietrza i już miał odparować, że to nie ma znaczenia, ale pod naciskiem wzroku Domana poddał się i zaczął wyrzucać z siebie słowa jak kałasznikow.

— Stara Sochacka całe życie zajmowała się domem. Uczynna, opiekuńcza, doskonale gotuje. W domu czysto, nie powiem. Jej mąż to spokojny, porządny facet. Trzydzieści pięć lat pracował w Biazecie przy taśmie. Ma nawet medal za zasługi, należał do związków zawodowych. Teraz na emeryturze. Od niedawna bierze nocki jako stróż w hurtowni sztucznych kwiatów Walet. Raczej milczek, bardzo kocha wnuczkę. To on pierwszy zauważył, że dziecko ma talent. Arkadiusz, ojciec małej, przez rok jeździł jako kierowca w firmie przewozowej. Zaczął się kryzys, były zwolnienia. Wypadł z rynku pracy na dwa lata. Teraz jeździ na taryfie. Wierzy w Boga, chłopak do rany przyłoż. Taki typek z oazy. W ogóle Sochaccy są bardzo wierzący. Może poza tą wydrą. Cygan to Cygan. Nie zmienisz go.

— Ty, uważaj, co mówisz — odparował Wojda.

— Pierdol się — warknął Fantomas. Był tak zdenerwowany, że gotował się do bitki. — Jakież masz wąty?

— Sam się pierdol, parówo — Wojda nie pozostał mu dłużny. — Moja żona jest Cyganka. Zważaj se.

Doman z trudem ich rozdzielił.

— Jak bardzo są wierzący? — zainteresował się Meyer i wpatrywał się spokojnie w Fantomasa.

— Normalnie. Chodzą regularnie do kościoła, babka jeździ na spotkania biblijne. W domu święte obrazki, różańce. To porządni ludzie. A stara Sochacka żyje jak święta. Prawa ręka proboszcza. Poświęca się rodzinie, dba o dom, o męża. Nie bardzo podobała się jej praca Marleny. Wie pan, stare wychowanie. Kobieta powinna siedzieć w domu i pilnować ogniska. Ale wtedy Arek był bezrobotny. Ciężko im było. Sochacka się zgodziła. W końcu Marlena coś wreszcie zarabiała. Niewiele, ale zawsze. Z tego, co wiem, od lat była na ich garnuszku. Od swojej rodziny nie dostała nic, zresztą wszyscy wiedzą, jaka to była rodzina. Wróżki, oszustki, złodziejki. I do tego bajeczki o tym, że są potomkami jakichś cygańskich włodarzy. Gadane to ona ma jak jej stara, nie powiem. Sam ją kilka razy legitymowałem. Jak Marlena poszła do tej roboty, to wreszcie ich odciążyla. Przynajmniej jeśli chodzi o koszty utrzymania wnuczki. A tę małą wszyscy bardzo kochali, choć wiadomo, rosła mała Cyganka. Podobna do swojej matki, jakby skórę zdjąć.

— Pan zna ich jakoś bliżej? — przerwał mu Meyer, zanim Fantomas zacząłby znów wygłaszać swoje rasistowskie mądrości.

— Raczej nie.

— Raczej? — Profiler przycisnął go wzrokiem. W pomieszczeniu zapadła cisza.

— A co to, przesłuchanie? Mnie pan sprawdzasz? Ją masz przyskrzynić!

Policjanci wpatrywali się w detektywa z politowaniem. Fantomas był inteligentny, dwa razy nie trzeba mu było powtarzać. Sam się zorientował, że przesadził.

— Korzystałem z usług transportowych Arka — przyznał po namyśle. — Mamy wspólne zainteresowania. On chciał jeździć w rajdach. Ja jeździłem. Mieszkam na Dziesięcinach, niedaleko Vegasso. To dlatego zresztą się do mnie zwrócił, kiedy dziecko zginęło.

Teraz Meyer także spojrzął na detektywa podejrzliwie.

— Jak to? — zdziwił się Doman. — Fantomas, nic nie mówiłeś.

— Zadzwoił do mnie o ósmej, może dziewiątej, i zapytał, czy mam chwilę. Jeździliśmy z nim po mieście z chłopakami. Bez skutku.

— To dlatego zgłoszenie jest dopiero przed północą — mruknął Doman. — Czegoś jeszcze zapomniałeś dodać?

Czupryna pokręcił głową.

— Nie myślałem, że to ważne.

— Ważne? To nie jest ważne? Od jak dawna nie jesteś w firmie? — naskoczyli na detektywa koledzy. Byli wyraźnie oburzeni brakiem etyki Fantomasa. — Tak narażać dziecko?

Meyer odwrócił głowę. Zostawił sprawę przesłuchania Fantomasa policjantom. Nie chciał mieć kolejnego wroga, wystarczyli mu ci, których już miał. Przyglądał się teraz zdjęciom dziewczynki. Na jednym z nich była z matką. Wyglądały na bardzo zżyte. Córka tuliła się do matki, zaś ta słała całusa nie osobie fotografującej, lecz komuś, kto musiał stać za nim. Tę fotografię wyjął z leżących na biurku. Pogrzebał w odbitkach. Nigdzie nie było zdjęcia, na którym Zosia byłaby z ojcem. Tuliła się do babci i dziadka. Wreszcie znalazł takie, które go zainteresowało. Zosia siedziała na kolanach ojca. Obok Marlana, matka dziewczynki. Na tym zdjęciu faktycznie były do siebie bardzo podobne. Meyer nie mógł oprzeć się wrażeniu, że choć Zosia siedziała na

kolanach ojca, była sztywna jak słup soli. Ojciec obejmował ją jedną ręką, drugą położył na ramieniu Marleny, tak jak należało pozować do rodzinnej fotografii. Siedzieli na wersalce starego typu, a nad ich głowami wisiał zdobny krucyfiks, niespotykany dziś w prywatnych domach. Wyglądał na stary, przejęty z jakiegoś kościoła. Meyer przyjrzał mu się.

— Byli po rozwodzie? — zapytał.

— Skąd, nawet się nie pobrali. Ponoć byli zgodną, dobrze dobraną parą. Tak w każdym razie mówią dziadkowie — sprostował Doman i czujnie zerknął na Meyera. Wiedział, że psycholog zaczął już profilowanie. Nie miał tylko pojęcia, co kombinuje.

— Żyli bez ślubu w domu ortodoksyjnych katolików? — upewnił się Meyer.

— A kto powiedział, że oni są ortodoksyjni? — bronił rodziny Sochackich Fantomas.

— Sam mówiłeś, że Sochacka miała zakrętkę z Bogiem — rzucił sarkastycznie Wojda.

Fantomas wyduł usta. Meyer nieoczekiwanie przyszedł mu z pomocą.

— Sprawdzimy to. I tak muszę się z nimi spotkać. Może pan nie uprzedzać ich o mojej wizycie? — zwrócił się do Fantomasa.

— Jeśli taka pana wola. — Detektyw rozłożył ręce w geście rezygnacji.

— Będę wdzięczny. To ważne dla zebrania danych wiktymologicznych — odpowiedział Meyer, a pozostali spojrzeli na niego z nutką podziwu. Jako jedyny zachował spokój i mimo wyraźnych uchybień wciąż traktował Fantomasa z szacunkiem.

— Jak ona się nazywa? — kontynuował profiler.

— Zosia — padła odpowiedź.

— Chodziło mi o matkę.

— Marlena. Marlena Czupryna-Mirga.

Meyer uniósł brew; był to jedyny objaw zaskoczenia na jego twarzy.

— Zwykła zbieżność nazwisk — zaprotestował natychmiast detektyw. — Nie jesteśmy spokrewnieni. Ja nie jestem Cyganem. Za to zaginiona jest stryjeczną kuzynką naczelnika.

Meyer udał, że nie słyszy ostatnich słów. Wybrał interesujące go fotografie oraz plakat, który rodzina powieliła na ksero i rozwiesiła w mieście po zaginięciu dziewczynki, po czym zdjął marynarkę i rozwiązał krawat. Wyprostował się.

— Możemy iść.

Ruszyli do drzwi. Nagle Meyer zatrzymał się i spojrzał na Domana.

— Czy jest możliwe, żebym najpierw sam z nią porozmawiał? Możecie uczestniczyć w przesłuchaniu biernie, na przykład obserwować rozmowę przez lustro weneckie.

Komisarz pokiwał głową.

— Weźcie ją na piątkę — wydał polecenie śledczym.

Policjanci wyszli. W gabinecie został tylko detektyw Czupryna.

— Damy ci znać. Jak będziesz miał coś nowego, jesteśmy w kontakcie — zwrócił się do Fantomasa Doman i otworzył drzwi. Detektyw niechętnie opuścił pomieszczenie. Obejrzał się za siebie, wietrząc podstęp. Chyba przeczuwał, że będą go teraz obmawiać, ale Meyer i Doman także wyszli z pokoju, a komisarz zamknął drzwi na klucz.

— Ciao — pomachał mu Doman i uśmiechnął się do Meyera. — Chyba trafi do wyjścia. Zna drogę.

Ruszyli korytarzem do pokoju przesłuchań. Ich krokom wtórował solidny pogłos. Komenda była opustoszała.

— O co chodzi z tą chustą? — zapytał Meyer. — Co to za napady ma na koncie rodzina tej Cyganki?

Doman roześmiał się rubasznie.

— Sprytne oszustwa, niegroźne dla ofiar. Trudne do wykrycia — odpowiedział po chwili. — Matka z ciotką Marleny wybierały dzielnice, gdzie mieszkają starsze panie. Najchętniej eleganckie, kościółkowe, co to rodzina kupiła im mieszkanie na Słonecznym Stoku czy Dojlidach, a sąsiadów nie bardzo znają. Cyganki dzwoniły domofonem, że chcą zostawić wiadomość sąsiadce, która zamówiła u nich chustę czy narzutę na łóżko. Legenda taka, że palce lizać. Babcia je wpuszcza. Podaje kartkę i długopis. Jest nieufna. W tym czasie jedna słabnie, staruszka podaje wodę. Zaczyna się rozmowa. Cyganki są miłe, dobroniuszne, mówią z akcentem. Poubierane tak, że są podobne do siebie. W pewnym momencie zaczynają pokazywać towar. Jedna rozpościera wzorzystą chustę czy narzutę, żeby zasłonić przejście.

Babcia ogląda, nie chce kupować, ale Cyganka się targuje. Trudno ją zbyć. W tym czasie druga, zasłonięta chustą, plądruje lokal. Babcie trzymają kosztowności zawsze w tych samych miejscach. Szybka akcja. Kiedy wreszcie udaje jej się pozbyć handlar, jest zadowolona. Zdarza się, że dopiero po długim czasie odkrywa, że została obrabowana. To wszystko. Żadnej przemocy, awantur. Wyłącznie spryt i manipulacja. Za przeproszeniem cyganienie.

— Oczywiście rysopis jest zawsze taki sam?

— Jasne. Długa wzorzysta spódnica, kolorowa chusta, smągła cera, ciemne włosy. Babcie, podając rysopis, mówią tylko o ich ubraniu. W jakie były kwiaty, kurwa. Róże czy tulipany. I szukaj wiatru w polu. Albo za przeproszeniem na łące. A złoto dawno w lombardzie. Sprzedane. Sprawa zaś zwykle trafia na półkę z „becepami”^[4].

— I to jest rodzina tej Marleny?

— Jej wujowie handlują samochodami, stryjeczni bracia kradzionymi radiami, jeszcze inni kuzyni dilują. To duża rodzina. Wielu mieszka za granicą, ale są w dużej zażyłości. I nikt pary z ust na swojaka nie puści. Wiesz, jak to u Romów. Wszyscy są tam spokrewnieni. Mają ponoć nawet swój sąd. Cygański król sprawy inaczej załatwia. Ponoć jak raz dziewczyna uciekła, nie ma powrotu na łono rodziny. Splamiła honor, nawet matka jej nie pomoże. Białego sobie wzięła, to niech ma za swoje. Trędowata. Cygan może sobie białą wziąć, ale biały Cyganki ni chuja. Chyba żeby za granicę gdzieś wyjechała, gdzie jej nie znają. Wtedy jakąś legendę sprzedają krewniakom, a laskę wydają za męż. Zwykle za jakiegoś starucha, za kasę.

— Też bym się wypisał z takiej rodzinki — dodał Meyer.

— Ja do Marleny nic nie mam — przyznał Doman. — Nienotowana, grzeczna, układna. Uczciwie pracowała, nawet urząd skarbowy w porządku. Nigdy nie widziałem piękniejszej kobiety. Tyle że kłamie jak najęta. I ma związek ze sprawą. Jaki? To już twoja robota, chłopie. Cieszę się, że jesteś. Widzisz, jaki jesteś potrzebny?

Meyer rozpoznał Marlenę od razu. Siedziała skulona w asymetrycznej bluzce, która odsłaniała jej prawe ramię, i w plisowanej, koralowej spódnicy do kostek. Na bosych stopach miała tanie japonki. Nie wyglądała jednak na swoje dwadzieścia kilka lat. Sprawiała

wrażenie dojrzałej, w pełni ukształtowanej kobiety. Przynajmniej trzydziestoletniej. Na widok policjantów zerwała się krzesła. Doman zaprosił ją do pomieszczenia, po czym zamknął drzwi. Wychodząc, dostrzegł Fantomasa, który wciąż zwlekał z zejściem na dół. Głośno rozprawiał o czymś przez komórkę. Tłumaczył, gestykulował. Kiedy zobaczył Domana, machnął ręką i szybko ruszył w kierunku schodów.

— Znaleźliście ją? — szepnęła Marlena, kiedy tylko zostali z Hubertem sami. Choć starała się przybrać naturalną pozę, wyczuł w jej głosie obawę. Wpatrywała się w niego, wstrzymując oddech. Zdawało się, że na ten moment zamarła w bezruchu. Czekając na odpowiedź, nie mrugnęła nawet powieką, ale on zaprzeczył ruchem głowy i odruchowo spojrzął na czubki swoich butów. Zrozumiała go w jednej chwili. Miał wrażenie, że taka odpowiedź mimo wszystko sprawiła jej ulgę, a może nawet ją usatysfakcjonowała. Bała się pewnie, że wezwano ją w związku z przełomem w śledztwie. Tym jednym gestem zdradził jej więcej, niż planował. Oboje to wiedzieli.

Sytuacja nadal była niejasna. Nie było dziecka, ale nie było też ciała. Marlena znów zaczęła oddychać. Skamielina ożyła. Widział, jak trzęsą się jej ręce, jak nerwowo drga kącik ust. Oczy miała zaczerwienione, musiała niedawno płakać. Należała do tych kobiet, które nawet po wylaniu potoku łez nie mają zapuchniętej całej twarzy, otacza je jedynie świetlista aura, jakby obmył je deszcz. Doman miał rację. Była to orientalna piękność, choć nie miała regularnych rysów. Gdyby przyjrzeć się jej z bliska, w każdym elemencie można było dopatrzeć się jakiejś wady. Twarz miała szeroką, lekko asymetryczną, nos stanowczo zbyt duży, usta pełne, karminowe. Ale było w niej coś dzikiego, rodzaj pierwotnej siły, która nie pozwalała przejść obok obojętnie. Jej smagła skóra była w kolorze miodu, czarne, niewiarygodnie długie rzęsy nie wymagały makijażu. Włosy miała niedbale rozsypane na plecach niczym peleryna, z grzywką, którą co jakiś czas odgarniała z czoła. Piuwe oczy krótkowidza pod wpływem emocji uciekały w lekki zez, ale nie nosiła okularów. Nigdy nie patrzyła wprost, raczej spod oka, jak zwierzę. Rysy miała miękkie, a ciało, choć grubej kości, było świeże, mięsiste jak soczysta brzoskwinia. W sumie niejednemu mogła zawrócić w głowie, zwłaszcza przy pierwszym kontakcie. Jako kobieta musiała rozkwitnąć dopiero niedawno. Meyer miał przed sobą

kulminację jej czaru. Niestety, jeśli wystarczająco o siebie nie zadba, szybko się roztyje i zestarzeje. Jej córka, tak bardzo do niej podobna, pewnie też późno przejdzie podobną metamorfozę. Marlena spodobała się Meyerowi, choć tego nie okazał. Był profesjonalnie spokojny, wnikliwie lustrował jej zachowanie, rejestrował każdy grymas i gest. Wskazał jej krzesło, a na pustym stole położył niewielki dyktafon cyfrowy.

— Będę nagrywał, pani pozwoli?

Skinęła głową. Zaczerpnęła powietrza i wyrzuciła z siebie:

— Ale ja nie wiem, co mogłabym jeszcze dodać. Myślałam, że... — Rozpłakała się zupełnie nieoczekiwanie.

Meyer poczekał, aż dojdzie do siebie. Nie pocieszał jej, nie upominał. Wstrzymał się z reakcją, choć trwało to długo. Dopiero kiedy się uspokoiła i przeprosiła za wybuch, podjął rozmowę.

— Niestety, nie mamy na razie żadnych nowych danych. Dlatego tym bardziej muszę panią prosić o zeznanie. Wiem, jak bardzo jest to dla pani trudne, ale musimy znaleźć Zosię. To nasz wspólny cel.

Marlena skinęła głową. Założyła nogę na nogę, poprawiła spódnicę. Coraz bardziej mu ufała.

— Czy pani wie, kim jestem? — spytał.

Kręcenie głową, nieprzytomne spojrzenie. Obawa? Raczej strach. Przed czym? Czego się boi? Czy ma coś wspólnego z zaginięciem dziecka, jak sugeruje Fantomas? Meyer rejestrował w myślach każdą jej reakcję. Szukał niespójności. Był teraz jak komputer, który na twardym dysku zachowuje wszystkie dane, by w dowolnym momencie z nich skorzystać. Nie wiedział przecież, na jakim etapie ta wiedza może się przydać. Pierwsze wrażenie było jednak kluczowe. Na razie nie wyczuwał teatralności, co zaliczał na jej korzyść.

— Jestem psychologiem — podjął rozpoczęty wątek. Słuchała go skoncentrowana. — Pracowałem w policji wiele lat. Pomagałem ludziom, których bliscy zaginęli albo zginęli. Moja wiedza ułatwia detektywom eliminowanie podejrzanych w sprawie i tym samym znalezienie sprawców. Nie jestem jednak policjantem.

Podniosła głowę. Prawdopodobnie zastanawiała się, po co tutaj przyszedł i czego chce.

— Co chce mi pan powiedzieć? Czy doszło do czegoś strasznego? — zapytała prawie szeptem. Pod koniec drugiego pytania głos uwiązł jej w gardle.

— Tego nie wiemy. — Meyer starał się być delikatny. Sączył informacje powoli, ostrożnie. — Ale poszukiwania trwają już bardzo długo. Mogło się zdarzyć coś niedobrego. Wcale jednak nie musiało. Sprawdzamy każdy trop, nawet najdrobniejszy element. Pani zaś wie coś, czego my nie wiemy.

— Czy ja też jestem podejrzana?

— Jeszcze nie wiemy. Musi pani zacząć współpracować. Widzi pani, złapanie świadka na kłamstwie, choćby drobnym, podważa całkowicie jego wiarygodność. Czy pani wie, co robią najlepsi adwokaci w Stanach? I tym samym dlaczego zarabiają tak dużo?

— Ale jaki to ma związek z zaginięciem mojej córki? Nie rozumiem.

— Powiem pani, by nie popełniła pani tego błędu — przerwał jej Meyer spokojnie. Swoim zachowaniem i sposobem mówienia starał się wzbudzić w niej poczucie bezpieczeństwa. To dlatego zdjął marynarkę, rozwiązał krawat. Wiedział, że wtedy wyda się jej bardziej ludzki. — Jeśli w sprawie nie ma dowodów, lecz poszlaki, a głównym atutem oskarżenia jest świadek, choćby tak mocny jak naoczny, który widział zbrodnię, bądź nawet cudownie ją przeżył, najlepszą metodą na podważenie jego zeznań jest pozbawienie go wiarygodności, czyli złapanie go na jakimś niespójnym drobiazgu, choćby niezwiązanym ze sprawą. Małe kłamstewko dotyczące jego życia prywatnego, niewielki detal, delikatna nieścisłość, którą adwokaci nadmuchują bezlitośnie, niczym balon. A kiedy ta pozorowana bomba wybucha, używają jej jak precedensu. Sąd bada wtedy ponownie zeznania świadka. Tyle że nie traktuje ich już jako prawdziwe, lecz sprawdza nieścisłości, szuka kłamstw. Sytuacja odwraca się na jego niekorzyść. Perfidne, co? Wiem, tak jest w istocie. Zwykle jednak dla sądu taki świadek nie ma już tak kluczowego znaczenia, jakie miałby, gdyby mówił prawdę i tylko prawdę. Nawet jeśli on w kwestiach merytorycznych faktycznie nie kłamie — zawiesił głos.

Marlena słuchała wywodu ze spokojem. Nie była typem intelektualistki. Połowy być może nie zrozumiała, ale widział, że jest poruszona i na tyle sprytna, by zrozumieć jego sugestię. Teraz był jej

ruch. Meyer nie zamierzał zmuszać jej do zeznań. Nie cisnął, nie wymagał niczego ponad to, co sama chciałyby mu dać. Wiedział, że może ją „otworzyć” tylko dzięki cierpliwości i wzajemnemu zaufaniu. Marlena wciąż jednak uparcie milczała. Wreszcie podniosła pochyloną głowę i zaczęła wpatrywać się w okno, jakby nad czymś się zastanawiała. Siedzieli tak dłuższy czas. Meyer niby przypadkiem położył na stole papierosy. Spytał wzrokiem, czy może zapalić. Skinęła głową. Poczęstował ją, ale odmówiła.

— Nigdy nie paliłam — mruknęła i odsunęła się lekko od stolika, jakby dym ją drażnił.

Nie odpowiedział. Zaciągnął się papierosem i wypuścił kółko z dymu. Siedzieli tak, patrząc w okno. Wreszcie Meyer wyciągnął na stół zdjęcia, które zabrał z gabinetu Domana.

— To jest prawdziwe uczucie. — Wskazał jej zdjęcie z córką.

— A to jest niepokojące... — Położył obok zdjęcie jej, Arkadiusza i Zosi.

Widział wyraźnie, że to odkrycie wstrząsnęło kobietą. Poruszyła się niespokojnie na krześle. Z trudem hamowała wybuch płaczu. Wiedziała jednak, że na ile zdoła, powinna zachować spokój. Ten psycholog był trochę dziwny, całe to przesłuchanie było inne niż dotychczasowe rozmowy z policjantami. Meyer nie pytał o przystanek, pracę, zakapturzonych rzezimieszków, nawet o jej alibi. Co gorsza, choć siedzieli w ciszy, on wszystko nagrywał.

— Czy wie pani co mnie tu niepokoi? — powtórzył flegmatycznie Meyer. Wydawało się, że ma czas. Bardzo dużo czasu. Marlena zaś była coraz bardziej zdenerwowana. Teraz nie spuszczała z niego wzroku. — Nie tylko to, że tak cudowna córeczka nie tuli się do tatusia, ale to, że między rodzicami nie ma już miłości. I to od dawna.

Meyer oddał strzał. Czekał teraz na wynik. Oczyma wyobraźni widział, jak tarcza strzelnicza z łoskotem sunie w jego kierunku. Nie wiedział, czy trafił, lecz był pewien, że wystarczająco napiął cięciwę łuku. Być może będzie musiał spróbować jeszcze raz. Tym razem zamierzał uderzyć z innej strony. Ale tarcza zbliżyła się i dostrzegł, że zdobył wszystkie punkty: dziesiątkę. Marlena pękła. Ukryła twarz w dłoniach. Kiedy ją podniosła, zobaczył, że ma ją w garści. Teraz powie

mu wszystko, co będzie chciał. Poczuł dreszcz na plecach, intuicja rzadko go zawodziła.

— Nigdy jej nie było — odpowiedziała. — Miłości nigdy nie było.

— A co było? — docisnął.

Zawahała się.

— To dziecko. — Wskazała Zosię i otarła łzy spływające po policzkach. — I strach, że nie ma nikogo, kto mógłby nam pomóc. Właściwie nie miałyśmy dokąd pójść.

Nie łkała, nie zawodziła. Łzy płynęły same potężnym strumieniem. Nie była w stanie ich powstrzymać, choć wiedział, że bardzo się starała.

— Był też jeden ciasny pokój, ciągle na podsłuchu teściowej, i trzeba było się jakoś w nim mieścić. Udawać, że wspólne łóżko służy tylko do spania, bo Bóg patrzy na cudzołóżników. Była jedna półka w lodówce, z wykazem zakupionych produktów. Był krzyż, który trzeba nosić. Nawet jeśli się w niego nie wierzy. Oskarżenia, wyrzuty. Za dużo jem, za dużo wydaję na córkę, na siebie. Jeśli chcę, mogę iść, droga wolna. Ale dziecko zostaje u Sochackich. I jeszcze była teściowa, która dla Arka jest i będzie zawsze najważniejsza, bo jego matka zawsze ma rację. I choć to potwór nie kobieta, to jednak nikt tego nigdy nie powie, bo przecież ona jest święta. Litościwa, dobra, współczująca. O wielkim sercu dla potrzebujących. Ostatni grosz odda do skarbonki w kościele, a mnie wyliczy, ile zjadłam plasterków szynki. Przecież przygarnęła przybłądę z bękartem. Cyganekę, oszustkę, złodziejkę. Jakbym ja sama to dziecko sobie zrobiła!

Kiedy Marlena wyrzuciła to z siebie, wyraźnie poczuła się lepiej. Nabrała powietrza i już bez oporów ciągnęła opowieść. Meyer miał wrażenie, że teraz już nie przestanie mówić. Chciał, by się wygadała, nawet wyplakała. Dopiero potem przejdą do konkretów.

— To wszystko już mówiłam Mariuszowi.

— Mariuszowi?

— Temu detektywowi, to przyjaciel Arka — wyjaśniła. — Zalecał się kiedyś do mnie. Z trudem zniósł odrzucenie. Od początku miał za zadanie oskarżyć mnie o zaginięcie dziecka. Ja się przyznaję, to moja wina. To przeze mnie. Nie dopilnowałam jej. Ale, na Boga, Zosia ma jeszcze babcię, dziadka i ojca. A wszyscy tak bardzo ją kochają, że nikt

nie zauważył, że nie wróciła ze szkoły. Tak, niech mnie pan aresztuje. Jestem winna. Tylko że to nie pomoże odnaleźć mojej córki — urwała nagle. — Wszystko stało się dlatego, że nie chciałam pozwolić, żeby ją ktoś skrzywdził. Czy pan mi wierzy?

— Wierzę pani — przyznał Meyer. I dodał po długim namyśle: — Gdyby było inaczej, nie byłoby mnie tutaj. Moja rola jest inna niż detektywów. Nie spisuję protokołu, jedynie słucham pani relacji. Wyciągnę z niej wnioski. Jestem psychologiem.

— Jeśli mi pan wierzy, niech pan obieca, że wszystko, co powiem, zostanie między nami — poprosiła.

— Tego nie mogę obiecać, sama pani przecież wie.

— Pan również wie, dlaczego skłamałam.

— Tego nie wiem. Nie jestem wróżką.

Marlena oparła się łokciami o stół, zebrała w sobie i zaśmiała. Ten śmiech był gorzki, ostry, straszny. Był rodzajem poddania się woli psychologa. Wiedział, że jeśli kobieta teraz nie pęknie na dobre, będzie musiał pracować nad nią kolejne godziny.

— Ale podejrzewam. Tak myślę — mruknął.

— Chciałam usunąć tę ciężę, przyznaję — zaczęła. Meyer czuł, że będzie to ważna opowieść, więc pozwolił jej mówić, choć policjanci natychmiast by ją powstrzymali. Dla nich to były nieistotne szczegóły. Dla profilerów zaś ważny był kontekst wiktymologiczny. Starał się więc być skoncentrowany i jeśli podawałaby jakieś nieistotne szczegóły, zamierzał nakłonić ją, by wróciła do meritum. Nie było takiej potrzeby. Marlena mówiła składnie i rzeczowo.

— To było na samym początku. Miałam szesnaście lat. Pojechaliśmy na zabieg. Arek tak się zaangażował, że pożyczył auto od ojca. Szukaliśmy ostatniego skrzyżowania ze światłami przed wylotem z miasta. Tam miałam wysiąść i z pustą reklamówką czekać na alfonsa aborcyjnego, który miał mnie stamtąd zabrać. Już dostał zaliczkę. Byłam jeszcze dzieckiem. Bałam się. Nic nie wiedziałam o życiu. I byłam pewna, że nie chcę rodzić, choć w mojej rodzinie to normalna sprawa. Moja matka urodziła mnie w wieku siedemnastu lat. Mam jedenaścioro rodzeństwa. Ojciec odchodził i wracał. W mojej metryce nie figuruje, ale wszyscy w naszej rodzinie wiedzą, że jestem córką Dena. Z innymi kobietami też miał dzieci. Nie chciałam żyć jak matka. Oszukiwać, kraść,

wróżyc na ulicy białym, by mieć co dać jeść dzieciom. Chciałam białego chłopaka, z dobrej rodziny. Chciałam żyć. Pracować, bawić się, podróżować, a nie rodzić dzieci. Ale pojawiła się ta ciąża. To było tak nieprawdopodobne. Nie znaliśmy się prawie z Arkiem. On był jeszcze bardziej przerażony niż ja. To jemu zależało bardziej. Ale kiedy tam dotarliśmy, nie wysiadłam. Nie mogłam, choć on mnie brutalnie wypychał. Krzyczał, że marnuję mu życie. Chciał mnie zmusić do zabiegu, bo już zapłacił połowę. Nigdy nie odzyskał tych pieniędzy. Oddałam mu je dopiero jak zaczęłam pracować. Tysiąc trzysta złotych. To była kwota, której zażądał ode mnie. Zaliczka wraz z odsetkami, dziewięcioletni dług. Wyobraża pan sobie teraz tę miłość? — zaśmiała się jak wiedźma. — Na początku wcale nie było tak źle. Ukorzyłam się. Myślałam: Bóg tak chce. Byłam pewna, że dobrze robię. Będę miała inne życie. U katolików, dobrych ludzi. Sochacka jest religijna, nigdy nie pochwałała pomysłu, by usuwać ciążę. Ona zresztą nic nie wie. Synek nie przyznał się, jakim jest sukinsynem. Pieniądze też oddawałam mu po kryjomu. Przed matką zawsze udawał świętoszka. Dziecko urodziło się zdrowe, dziesięć punktów, dziewczynka. Odrzuciłam ją. Nie mogłam się nią zajmować. To Sochacka przewijała, bawiła się z Zośką, mnie dawała tylko do karmienia. Najpierw nie miałam mleka, mój organizm buntował się przeciwko byciu matką. Ale potem hormony zrobiły swoje. Sama nie wiem, jak to się stało, że ją pokochałam. Dziś nie umiałabym bez niej żyć. Dziecko tak wiele z siebie daje. To dzięki niej przetrwałam. Żyłam dla niej. Trwałam w tym wszystkim. Być może tylko dlatego jestem przy zdrowych zmysłach. Dla mnie była tylko ona i ja, ja i ona. Nikt więcej. Z czasem zżyłyśmy się jak jedno ciało. Nie wyobrażam sobie, co byłoby ze mną, kim bym była, gdybym wtedy wyszła z tą reklamówką — zamilkła.

Oboje siedzieli w milczeniu. Po dłuższej pauzie Marlena znów się odezwała. Była już całkiem spokojna.

— Nie będę pana więcej zanudzać opowieściami o moim życiu. Nie po to pan tu przyszedł.

Meyer pokiwał głową na znak, że chętnie posłucha, ale innym razem. Pochyliła głowę. Patrzyła na swoje ręce, na krótko obcięte paznokcie bez śladu lakieru. Nosila mały, tani pierścionek z perełką. Był zbyt ciasny, żeby można go było zsunąć z palca.

— Muszę wiedzieć, dlaczego pani skłamała. Bo to jest kłamstwo. Pani nie była tego dnia w pracy — powiedział.

— Nie byłam.

— Więc gdzie?

— Z kochankiem — odparła i spojrzała Meyerowi w oczy.

— Z kim?

— Muszę mówić?

— Czy tajemnica romansu jest dla pani ważniejsza niż znalezienie własnego dziecka?

— Nie — przyznała ze spokojem. — To wszystko jest teraz takie błahe. Wstydzę się, że się w coś takiego uwikłałam. Ale sądziłam, że to niemożliwe, by sytuacja powtórzyła się drugi raz. Tymczasem los ze mnie zakpił. Za drugim razem było identycznie. Tak samo, co do joty.

— On da pani alibi?

Wpatrywała się w profilera zaskoczona.

— Nie potrzebuję alibi. Nie zrobiłam nic złego.

— Jeśli pani nie powie prawdy, wkrótce będzie go pani potrzebowała. — Nie chciał jej straszyć, ale taki był efekt jego słów.

— Właśnie dlatego nie ujawniłam go. Właśnie z tego powodu. — Oczy znów miała mokre.

— Kłamiąc, ściągnęła pani na siebie podejrzenie. Musi pani powiedzieć prawdę. Jeśli sami do tego dojdziemy, a dojdziemy, będzie pani mieć kłopoty.

— Wiem. Bardzo żałuję. Wszystko jest nie tak, odkąd zaszłam w tę ciążę. Mogłam być cygańską księżniczką, zabiegali o mnie najbogatsi z naszego klanu, a zostałam pomywaczką u teściów. Co za banał. Tylko Zosia trzyma mnie przy życiu. To, że mogę pomóc jej lepiej przeżyć swoje życie. Ma talent. Coś, czego ja nie miałam. Ten romans to najbanalniejsza historia pod słońcem. Nieistotna — zawiesiła głos.

— Ktoś z pracy?

— Jeden z właścicieli przychodni. Ma żonę, dzieci. Nikt nic nie wiedział — wyrzuciła z siebie, zdenerwowanie próbując pokryć histerycznym śmiechem. — Nie chciałam mieszać go do tej sprawy. Będzie zły, jak się dowie, że go wydałam. Zwolnił mnie tydzień wcześniej, pod byle pretekstem. Obiecywał, że wyjedziemy, że się nami zaopiekuje. Ale to były zwykłe bajeczki. Podejrzewam, że już wtedy

miał plan, by się mnie pozbyć. Może żona się o nas dowiedziała? Zwolnił mnie, bo mu to pasowało, a nie żeby układać sobie ze mną życie. Czyścił teren. A ja się zaangażowałam, idiotka. Walczyłam, prosiłam, by dał nam ostatnią szansę. To dał. Prowadzał mnie po parkach, samochodach, hotelach, a na koniec jeszcze mnie upokorzył. Kochałam się z nim i wciąż się łudziłam, że wszystko się uda, że mogę zacząć na nowo, z kimś innym. Bo on mnie uratuje. Naopowiadał mi wiele głupot. Co ja miałam w głowie? Dziś sama w to nie wierzę — wybuchnęła śmiechem, który łagodnie przeszedł w płacz. — To przeze mnie Zosia zaginęła. Zamiast jej pilnować, zajmowałam się sobą. Teraz słono za to zapłacę. Nie tylko ja... — urwała.

— Proszę konkretniej.

— Ona była w klinice. Piotr do mnie zadzwonił, że córka mnie szuka. Był zdenerwowany, nawet mnie obsztorcował. Poszłam i odebrałam ją. Naprawdę odprowadziłam ją wtedy na przystanek i zostawiłam tam. Obiecałam, że zaraz wrócę. Ale nie wróciłam do wieczora. Poszłam do niego, długo rozmawialiśmy. Wcześniej mnie unikał, nie dokończyliśmy naszych rozmów. Myślałam, że coś się zmieni, wynajmiemy mieszkanie, zabiorę Zosię, wyniesiemy się z tego straszego domu. Zosia od dawna mnie prosiła, żebyśmy odeszły. Tylko dziadka było nam szkoda. On jest dobrym człowiekiem, jemu jedynemu ufałam. Ale ja nie mogłam odejść donikąd. Bałam się. Jak to? Tak po prostu wyjść? Mnożyłam problemy. Nie poradzimy sobie. Zginiemy. Po cichu liczyłam, że Piotr mi pomoże. Już nie chciałam sobie układać z nim życia. Widziałam, że to nie ma sensu i że się pomyliłam. Wtedy, tego dnia wróciłam i poprosiłam go o pożyczkę. Zrobiłam wszystko, co chciał. Nawet nie chcę tego pamiętać. To przypominało gwałt, czułam do niego wstręt. Po wszystkim powiedział, że nie może mi dać ani grosza. Mają wspólne konto z żoną, zorientuje się. Byłam wściekła. Boże, jaka ja byłam głupia. Chciałam tylko być kochana.

— Nie było żadnych zakapturzonych na przystanku?

Marlena potrzęsnęła głową.

— Wymyśliłam to. Sama nie wiem dlaczego. Wiem, że to było głupie. Bałam się, że...

— Że panią posądzą?

— Tak. — Podniosła głowę. — A stało się odwrotnie. Teraz pan mówi do mnie jak do podejrzanej. Czuję to.

Meyer chwilę milczał. Była z nim szczerą i wszystko dobrze rozumiała. Sam nie wiedział dlaczego, ale wierzył jej.

— Musi pani złożyć oficjalne zeznanie — oświadczył w końcu. — Powiedzieć prawdę. To ważne. Dla córki i dla pani.

— Powiem wszystko — skapitulowała.

— Chwyciła go za rękę. — Błagam, niech mnie pan nie zawozi do Sochackich. Ja tam nie mogę wrócić. Oni twierdzą, że ja zrobiłam coś córce. To prawda, że ona przeze mnie zaginęła. To moja wina. Ale ja nie jestem taka zła jak oni o mnie mówią.

Patrzył na nią wnikliwie. Już nie płakała. W jej oczach był prawdziwy strach. Wyglądała jak skrzywdzone zwierzę, które nie ma nic do stracenia i walczy ostatkiem sił. Spojrzał na lustro weneckie, za którym z pewnością czekali policjanci.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby znaleźć pani córkę — zapewnił. — A teraz poproszę policjantów i musi pani powiedzieć do protokołu, co zdarzyło się krytycznego dnia. Kiedy ostatni raz widziała pani córkę. Żadnych krętałów. Żadnego zasłaniania się niepamięcią.

— Obiecuję — szepnęła. — Pomoże mi pan?

Jechali w milczeniu. Meyer prowadził. Marlena to składała, to zaciskała dłonie w dołku między kolanami. Nie kryła, jak bardzo się denerwuje.

— Musi pani zwrócić się do rodziny. Musi być ktoś, komu pani ufa — odezwał się Meyer. — Wyprowadzka donikąd w tej sytuacji nie jest dobrym wyjściem. Zresztą to będzie podejrzone.

— A pan? — Zwróciła głowę w kierunku Huberta. Pierwszy raz patrzyła na niego prosząco. Nie było w tym ani krzty kokieterii. — Pan nie mógłby mi pomóc? Pan przecież musi tu gdzieś mieszkać. Tylko na kilka dni, dopóki nie skontaktuję się z moją rodziną za granicą...

Meyer zacisnął usta. Wahał się chwilę, czy nie sprowadzić jej na ziemię. Trudno o bardziej bezczelną prośbę. Jednak w ostatniej chwili zrezygnował. Zrozumiała jego spojrzenie bez słów. Odwróciła głowę do okna.

— Wie pani, co by było, gdyby na moim miejscu siedział teraz jakiś policjant? — odpowiedział i momentalnie złapał się na tym, że nie powinien się przed nią tłumaczyć. Jaką siłę w sobie miała ta kobieta, że go tak zmanipulowała?

— Żaden policjant nie eskortowałby mnie teraz do tych hien. Wiem, że dobry z pana facet — urwała.

Dalej jechali w milczeniu. Wreszcie Meyer nabrał powietrza w płuca i przerwał męczącą ciszę.

— Gdyby jednak stało się coś... — urwał. — Sam nie wiem, coś niepokojącego. Proszę do mnie zadzwonić. Mieszkam w hotelu Turkus. Łatwo mnie pani znajdzie. W pani stanie... Radziłbym zastanowić się, czy ktoś z rodziny tutaj nie mógłby pani pomóc.

— Powiedziałam panu już wszystko — weszła mu w słowo. — Całą prawdę. Nie ma nikogo. Poza Zosią i dziadkiem nie mam żadnej rodziny — zaznaczyła. Widział, że jest wściekła, walczy ze sobą, być może czuje się upokorzona, ale zaraz dodała już łagodniej: — Niech się pan nie boi, nie będę pana nachodzić.

Potem bardzo długo się nie odzywała. Wpatrywała się w okno, obserwowała mijające samochody. Meyer włączył radio, szukając muzyki, ale wszędzie były wiadomości. Wreszcie znalazł stację, w której mówiono w jakimś dziwnym języku. Nie był to rosyjski ani ukraiński. Dopiero dzingiel radia Racja upewnił go, że jest to białoruska stacja radiowa. Z głośników poleciało hasło o niepodległej Białorusi i ludowa przyśpiewka. Słuchali jej jakiś czas. Meyer momentalnie odzyskał humor, Marlena jednak dalej siedziała naburmuszona. Podejrzewał, że pod tą maską ukrywała strach. Bała się. Teściów, a może aresztowania. Nie powiedział jej, że w obliczu nowych wiadomości raczej jej to nie grozi. Chyba żeby okazało się, że dziecko nie żyje. Wciąż jeszcze nie rozgryzł, czy miała związek z zaginięciem dziecka. Jej zeznanie zdawało się wiarygodne, dla sprawy to jednak nadal nic nie znaczyło. Nagle Marlena odwróciła głowę w jego stronę.

— A tak naprawdę to dlaczego pan mnie odwozi? — zapytała. — Chce mi pan pomóc, czy jedynie mieć pewność, że trafię do domu? Nie ucieknę...

Meyer zerknął na nią, ale nie odpowiedział. Z każdą chwilą żałował tej decyzji. Wiedział, że i tak za bardzo zbliżył się do podejrzanej.

— To okrutne, wie pan o tym — ciągnęła. — Sprawdza mnie pan, czy to dalsza część badań? Jestem kidnaperką, a może morderczynią, co? Tak pan uważa?

— Nie wiem — szczerze odparł Hubert. I zaraz dodał stanowczo: — Moje działanie jest tylko pragmatyczne. Chcę sprawdzić wartość pani zeznania. Nie ma w tym ani odrobiny osobistych emocji, nie ma bezpodstawnych podejrzeń. Nie postawiłem jeszcze żadnej hipotezy. Tylko obserwuję, choć muszę przyznać, że pani historia jest przejmująca. Jeśli ci ludzie mogą zrobić pani krzywdę, chcę mieć pewność, że do tego nie dojdzie. Wszystkiemu nie jestem w stanie zapobiec, ale wiele mogę przewidzieć. Nigdy nie angażuję się w sprawy osobiście. To tylko moja praca.

Marlena patrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem, wreszcie pochyliła głowę.

— Przepraszam — szepnęła. — I dziękuję.

— Proszę się uspokoić, nie jestem pani wrogiem — dodał łagodniej. — Biorąc pod uwagę obecne okoliczności.

Marlena przyjrzała mu się badawczo, zrozumiała. Nie była zbyt wykształcona, ale miała spryt życiowy. Tego był pewien.

Skręcali z ulicy Sienkiewicza w osiedle Bojary. Meyer z zaciekawieniem przyglądał się wiejskim domom z XIX wieku, wśród których wyrastały nowoczesne budynki. Widać było, że nie dbano o tę okolicę, a szkoda, bo była ciekawa. Dla miejskich władz widać bardziej niż historia liczył się koszt ziemi w samym centrum miasta. W kilku miejscach wyburzano stare budynki, ludzie rozbierali zabytkowe belki do palenia w piecu. Na ich miejscu stały już tablice z wirtualnymi projektami, jak będą wyglądały nowe osiedla. W większości były to bezpłciowe rzędy bloków, czasem tylko inspirowane starą zabudową. Kiedy dojechali do ulicy Wiślanej, jak za dawnych czasów wybrukowanej kocimi łbami, Hubert poczuł się już całkiem jak w skansenie. Przed sobą widział rząd XIX-wiecznych budynków, zbudowanych bez użycia jednej śruby czy gwoźdź. Wystarczająco pięknych, by zachować je dla potomnych. Niestety, marniały w oczach.

Zatrzymał auto w połowie ulicy Wiślanej. Wysiedli i ruszyli do ozdobnej drewnianej furtki, niemalowanej od lat. Marlena popchnęła ją, zawiasy zatrzeszczały złowieszczo. Meyer ruszył za nią. Kiedy się

obejrzał, w domku naprzeciwko dostrzegł poruszającą się firankę i kobietą twarz w oknie.

Drzwi otworzył im mężczyzna z siwą brodą, w kraciastej, flanelowej koszuli. Na widok kobiety rozpostarł ramiona, Marlena schowała się w nich i zaczęła chlipać.

— Czekałem na ciebie. Musimy pomówić. Jak się czujesz? — dopytywał się dziadek niskim, mocnym głosem, który wyraźnie nie pasował do jego wyglądu. Sochacki był wprawdzie wysoki, lecz chorobliwie chudy. Na jego twarzy widać było brunatne plamy. Meyer zastanawiał się, czy to ślady po poparzeniu, czy zwykłe przebarwienia.

Spokojnie czekał, aż skończą powitanie. Potem Sochacki spojrzał na Huberta.

— Jan Sochacki — przedstawił się bez podawania ręki.

— To pan Meyer, z policji — powiedziała Marlena. — Jest mama?

Sochacki pokręcił głową.

— Pojechała godzinę temu z Arkiem. Był telefon, że ktoś widział małą na Dojlidach. Ja nie zmieściłem się w aucie. Pan Czupryna ze swoimi ludźmi ich zabrał.

Marlena z wrażenia zaniemówiła. Zasłoniła usta ręką.

— I co? — szepnęła. — Coś wiadomo?

Mężczyzna machnął ręką.

— Kolejny fałszywy sygnał. Dzwonili, że to jakiś wariat. Chciał pieniędzy. Dobrze, że mamy pana Mariusza. On wie, jak z takimi rozmawiać. Święty z niego człowiek, tak nam pomaga.

Marlena posmutniała. Sochacki zwrócił się do profilera:

— Odkąd Zosia zniknęła, cały czas ktoś do nas dzwoni. Na początku wierzyłem, że to może coś da. Te plakaty, cała akcja poszukiwawcza. Ale teraz sam już nie wiem. Jak to się mogło stać?

Hubert stał w milczeniu. Wiedział doskonale, o czym mówi dziadek dziewczynki. Nie pierwszy raz stykał się z rodziną zaginionych. Nagle Sochacki zorientował się, że Hubert na coś czeka.

— Pan wejdzie, zapraszam. — Otworzył szerzej drzwi.

Meyer zawahał się. Przyglądał się tej scenie i zastanawiał się, czy jest reżyserowana, czy Marlena faktycznie mówiła prawdę. Dziadek Zosi nie wyglądał na kogoś, kto życzyłby źle Marlenie. Przeciwnie, zdawał się jej przyjacielem. Meyer podjął decyzję w jednej chwili.

— Mam coś do załatwienia — odparł. — Zajrzę do państwa po południu.

Po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Kiedy odchodził, usłyszał jeszcze, jak Sochacki mówi do matki Zosi:

— Pan Mariusz załatwił nam dziś udział w programie telewizyjnym. Musisz wystąpić. Im więcej osób się dowie, tym lepiej.

Marlena nie odpowiedziała od razu. Pewnie czekała, aż Meyer się oddali. Wreszcie, sądząc, że profiler już nie usłyszy jej słów, odparła:

— Tato, wiesz, co o tym myślę. Przecież ty wszystko dobrze wiesz.

— Ale oni do nas przyjadą. Nie rozumiem, dlaczego tak się upierasz. Chyba chcesz, żeby ją znaleźli. A może nie?

Dalej Hubert już nie słyszał. Drzwi domu zatrzasnęły się. Zatrzymał się i obejrzał. Nie było słychać krzyków. Zapadła cisza. Zerknął na swoje auto zaparkowane przed domem Sochackich i ze zdziwieniem zauważył, że zapomniał go zamknąć. Na szczęście torba z komputerem i drobiazgi wciąż leżały na swoim miejscu. Profiler wcisnął przycisk centralnego zamka i dyskretnie ruszył w przeciwnym kierunku, wprost do domu sąsiadów. Tego, w którym mieszkała czujna obserwatorka. Domek również był drewniany, ale zbudowany w zupełnie innym stylu. Widać było, także po wypielęgnowanym ogródku i strojnej werandzie, że mieszkają tutaj nieco bogatsi ludzie. Zadzwoił do drzwi i po chwili otworzyła mu wymalowana matrona z treską na głowie, która wcale się nie zdziwiła na jego widok. Zachowywała się tak, jakby czekała na jego wizytę. Meyer nie zdążył nawet zadać pytania, a wciągnęła go do środka. Zanim się obejrzał, już siedział w miękkim fotelu, przed nim parowała gorąca herbata i mdliło go od biszkoptów oraz ptasiego mleczka, którymi matrona hojnie go częstowała.

Mieszkanie było urządzone po wiejsku, ale „na bogato”. Makatki, haftowane obrusy, ikona pod sufitem w rogu, częściowo osłonięta haftowaną serwetką. Meyer widział już coś takiego na wschodzie, domyślił się, że rodzina jest prawosławna. Na szyi sąsiadki połyskiwał złoty ortodoksyjny krzyżyk. Sąsiadka trajkotała bez opamiętania, nawet nie zwróciła uwagi, kiedy zaczął nagrywać. Wyglądało na to, że czekała na tak świetną okazję do rozmowy na temat Sochackich.

— Nikt tego dziecka nie pilnował — podkreśliła już trzeci raz sąsiadka. — Mała wracała po nocy. Kto to widział, żeby puszczać małe

dziecko samopas? Nikt też o nią nie dbał. Chodziła umorusana, brudna, w dziurawych skarpetkach. Raz nawet bez butów, nogi miała całe w błocie. To nie było tak dawno. Zresztą nosiła się jak chłopak. Może było z nią coś nie tak, wie pan. Te homoseksualisty teraz. Kto ich tam wie, kiedy się to zaczyna — zawiesiła głos, chcąc zrobić na Hubercie wrażenie. Ten jednak nie zareagował, z trudem powstrzymując ziewanie. — No w każdym razie całe dnię była sama. Ani koleżanki żadnej, ani z dziećmi się nie bawiła. Raz stara skrzyzczała ją przy innych, że jak na trzepaku będzie wysiadywać, to skończy jak jej babcia Cyganka... Nigdy więcej jej nie widzieliśmy z naszymi dziećmi. Ale w domu być nie lubiła, włóczyła się po mieście. Ja to się nawet nie zdziwiłam, jak w końcu zniknęła. To nie pierwszy raz jej szukali.

Meyer ożywił się, nadstawił uszu.

— Zdarzało się to już wcześniej?

— A bo to raz było? Ostatnio z miesiąc temu na noc nie wróciła. Dopiero rano ją przywieźli. Jakies obce ludzie.

— Rozpozna ich pani?

— Ciemno było, nie bardzo widzę o świcie — wyłgała się sąsiadka.

— Ale milicji nie zawiadomili. Tylko tego detektywa.

— Mariusza Czuprynę? Zna go pani?

— Przecież on tu prawie z nimi mieszka. Wszyscy go teraz znają. To wszystko jest prawda. A ta mała ojca nie lubiła najbardziej. Raz był sam w domu, to do mnie przysłała posiedzieć. Żeby na matkę poczekać. A ona wiadomo, późno zawsze wracała. Jak babcia przysłała, to ją odebrała. Najedzoną, wykąpaną. Bo nie mogłam patrzeć, że brudna jak nieboskie stworzenie.

— A czemu się ojca bała? — zainteresował się Meyer.

— A bo to ja wiem, panie? Czy ja plotkara jestem? Dopytywać się nie będę. — Matrona wzruszyła ramionami i złożyła buzię w ciup, tworząc efektowną harmonijkę. Po chwili jednak uśmiechnęła się chytrze i puściła oko do Meyera: — A do tej Marleny cygański król przyjeżdżał. Za każdym razem innym wozem. Wyrzucali go ze trzy razy. Ona też z nim nie rozmawiała. Potem w domu awantury były. Chyba się go bali. Taki stary, dziwnie ubrany na kolorowo, nie wiadomo co gadał. Na uczciwego człowieka nie wyglądał. Imię miał takie dziwne. Jakoś na R.

Rowan, Rewers? Zaraz sobie przypomnę. Tak jak w tym filmie amerykańskim.

Kobieta mogła być kopalnią wiedzy wiktymologicznej, ale ciężko było ją powstrzymać przed dygresjami. Szybko zapominała o głównym wątku i swobodnie zaczynała zupełnie inną opowieść. Teraz opowiadała Meyerowi fabułę widzianego przed laty serialu. Dyscyplinowanie takiego świadka nie należało do najłatwiejszych, nawet dla niego.

— Jaki król? — przerwał jej wreszcie.

— Jaki król? — powtórzyła sąsiadka i wpakowała sobie do ust kolejne ciastko.

— No mówiła pani, że jakiś cygański. Samochody zmieniał.

— A zmieniał! — krzyknęła kobieta, jakby nagle odkryła Amerykę. Kiedy się podniecała, zaczynała śledzikować. Meyer z trudem powstrzymywał śmiech. — A to terenowym był, a to lymuzyno. Panie, toż to kryzys teraz. W telewizji mówio. A ten lymuzyny zmienia jak rękawiczki.

— Kim był ten człowiek? Rozmawiała z nim pani? — Meyer powoli tracił już cierpliwość.

— A tak, nawet kilka razy — potwierdziła z dumą kobieta. — Miły, bogaty.

— Przecież mówiła pani, że się go bali? — zdziwił się.

— No oni tak, wrzeszczeli na niego okrutnie — przyznała. — Ale dla mnie był jak plaster na ranę, taki miły, że nie wiem. Tylko stary i ślepy prawie. Chyba ze sto lat miał, jak nic. Nic dziwnego, że Cyganka go nie chciała. On ją kochał, ja tak czuję. Tutaj była jakaś wielka *liubow*. Jak bum cyk, cyk.

Meyer zaśmiał się i pokiwał palcem.

— Pani to się zna na rzeczy, co?

Kobieta mile połechtana, mówiła dalej:

— Mówił, że jest jej wujo, ale ja tam nie wierzę. To przecież widać, że absztyfikant. Gdzie tam do niej ten Arek. Ona to dorodna łania, kobita jak się patrzy. A po ciąży nic nie przytyła, jeszcze schudła. Tak ją ta rodzina przeczółgała. A Arek? Chłopaczek z niego, dzieciak jeszcze. Nic tylko te gry i zabawki mu w głowie. Te, no telewizyjne strzelanki, albo

te jednorękie bandyty. W kółko tam łąził, żeby tylko stara nie widziała. Bo karą boską go straszyla. W naszych czasach to się na takich trutnie albo gołodupce mówiło, nie?

— Pożyczał od pani pieniądze?

— I nie oddał! — krzyknęła oburzona. — Do matki musiałam pójść. To się obraziła. Nie wierzyła. A co ja bank spółdzielczy jestem, czy jakiś amber gold?

— Ile?

— A czterysta w sumie wyszło. Nie byle co. Niby na szkołę dla dziecka. Ale ja mu nie wierzę. Chłopak nigdy z Zosią nawet na spacerze nie był. Nawet na huśtawkach, a niedaleko są. Co to ja oczu nie mam? Tylko ta jego matka widzi w nim aniołka. Każdy tu wie, jaki to gagatek. Niech pan spyta, kogo chce.

Meyer dyskretnie zerknął na zegarek.

— Niech pan jeszcze siedzi, konfitur popróbuje — zaproponowała kobieta i poderwała się. — Zaraz małżonek wróci, on też dołoży swoje trzy grosze. Dzieci już odchowalim, to mamy czas.

— Ale ja nie mam — uśmiechnął się Meyer. — Może innym razem.

Kobieta wyglądała na zasmuconą. Nagle nachyliła się do niego i dodała świszczącym szeptem, jakby zdradzała tajemnicę:

— Ta Marlina to dobra dziewczyna. Szkoda jej. Ta stara ją niszczy. Jakby się coś okazało, że wie pan, dziecko się nie znajdzie... Oj, bidna będzie. Stara Sochacka już u księdza była w sprawie egzorcyzmów. Ona w proboszcza wpatrzona jak w Pana Boga.

Po czym pokazała kółko na czole.

— Nawet Radio Maryja to dla niej za mało. Wszędzie te szatany widzi.

Meyer wstał.

— Dziękuję za wszystko. Za poczęstunek i rozmowę — powiedział i uśmiechnął się. Z ulgą wyłączył dyktafon.

— A nie ma żadnego kłopotu. Zawsze może pan zaglądać — rozradowała się matrona i serdecznie go uściskała. — Pan naprawdę jest milicjantem?

— Jestem psychologiem. I policjantem, jeśli już. — Meyerowi to ostatnie kłamstwo ledwie przeszło przez gardło. Sąsiadka nawet nie zwróciła uwagi.

— A taki miły i jeszcze przystojny. Nie szkoda pana do tej firmy?

— Też tak sobie czasem myślę, że szkoda — odpowiedział jej szczerze.

Roześmiali się oboje. Kobieta odprowadziła go do wyjścia.

— Tylko jakby co, to ja nic. Ani mru, mru. Chyba żeby trzeba było w sądzie. Wtedy powiem. Wszystko prawda. A zemsty tej się nie boję, tylko żeby innych na mnie nie podbuntowała. — Wskazała domek naprzeciwno.

Do furtki zbliżała się właśnie Sochacka z synem. Wysiedli z auta Fantomasa, który natychmiast odjechał z piskiem opon. Musiał widzieć, że Meyer wychodzi od sąsiadki naprzeciwno. Fantomas był starym policyjnym wyjadaczem, z całą pewnością przesłuchał matronę. Ciekawe, że nawet się o tym nie zająknął Domanowi.

— A dzień dobry, pani sąsiadko — pozdrawiając Sochacką matrona momentalnie się rozpromieniła. W jej głosie nie było ani śladu wcześniejszego jadu i złośliwości. Zachowywała się jak jej serdeczna przyjaciółka. Meyer nie mógł wyjść z podziwu, sam uwierzyłby w jej uśmiech, gdyby wcześniej nie słyszał tych wszystkich oskarżeń.

Sochacka bacznie przyjrzała się Meyerowi, skinęła głową sąsiadce i weszła do domu. Hubert podążył za nią. Sąsiadka zdążyła jeszcze schwycić go za rękaw i wcisnąć mu zawinięty w folię aluminiową pakunek oraz słoik z kiszonymi ogórkami. Sam nie wiedział, kiedy zapakowała ciasto. Uśmiechnął się w podziękowaniu.

— I przypomniałam sobie, widzi pan — szepnęła konfidencjonalnie. — Pamięć dobra, tylko krótka. Król nazywał się Arsen. Harfę dla małej sprowadzał z zagranicy. Porządny gość, a tutaj ma telefon do niego. — Wcisnęła Meyerowi w dłoń karteczkę. — Sam mi dał, żeby dzwonić, jakby coś — dodała i położyła palec na usta.

Meyer zerknął na karteczkę i schował ją do kieszeni.

— Bóg zapłać — powiedział.

— *I sława wo wieki* — odparła kobieta, po czym szybko weszła na schodek, żeby lepiej widzieć, dokąd teraz uda się jej rozmówca. Kiedy odwrócił się, chcąc się z nią pożegnać, pokiwała głową i wskazała na drzwi Sochackich, a następnie wzięła twarz w dłonie i udała, że się martwi. Meyer nie mógł powstrzymać uśmiechu. Zakłamana była ta

kobiecina, ale jednak wielce sympatyczna. Poza tym jej słowa rzucały całkiem inne światło na sprawę.

Sochaccy przywitali Meyera piernikiem i herbatą z mlekiem. Odmówił poczęstunku, bo po wizycie u sąsiadki był pełen aż po szyję. Z grzeczności umoczył usta w bawarce. Marleny nie było. Meyer bezskutecznie rozglądał się po mieszkaniu.

— Gdzie matka Zosi? — zapytał wreszcie, starając się, by jego głos przybrał formalny ton.

Sochacka zerknęła na męża. Meyer zorientował się, że nie wie.

— Wyszła pół godziny temu — mruknął stary Sochacki. — Powinna zaraz być z powrotem.

Meyer nie skomentował, choć od razu zorientował się, że mężczyzna stara się chronić synową przed swoją żoną. Rozejrzał się po mieszkaniu, którego wystrój pamiętał jeszcze młodość dziadków Zosi. Rodzina nie należała do zamożnych, lecz obsesyjnie dbano tutaj o czystość. Sanepid wystawiłby im najwyższą notę. Meblościanka, ława ze szklanym blatem, dwa fotele z nową tapicerką, wersalka ze zdjęciami, które Meyer pokazywał Marlenie podczas przesłuchania. Poza krucyfiksem nie było tak wiele oznak religijności, jak Meyer wyobrażał sobie po rozmowie z Fantomasem. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ma do czynienia ze zgodną rodziną. Boskie imię nie było wzywane tak często, jak to mają w zwyczaju fanatycy. Meyer zauważył jednak coś o wiele bardziej niepokojącego. Coś, co, jak zaczynał podejrzewać, było skazą tej rodziny. Zakłamane relacje. Ci ludzie byli uprzejmi, grzeczni, nadskakujący, nawet troskliwi, ale jedynie pozornie. Nie byli szczerzy, nawet wobec siebie nawzajem. A co dopiero wobec obcych, intruzów w ich świecie. Władzę zaś niewątpliwie trzymała w tym domu babcia. To ona decydowała o tym, co, jak, gdzie i kiedy będzie się odbywało. Wszystko pod płaszczykiem troski, opieki i wszechwiedzy. Pozostali mogli jedynie spełniać jej wolę. Protest był bezskuteczny. Zresztą nikt się nie buntował. Każdy grał w tę grę pozorów, byle mieć spokój. Klasyczne piętno członków rodziny obciążonej fobią religijną. Z takich iskierek czasem wybucha potężna eksplozja. Meyer zbyt wiele widział ich skutków, by teraz zbagatelizować tak ważny detal.

— Zdejmij czapkę, synku, kiedy jesz — matka z troską zwróciła się do Arkadiusza, ojca Zosi. Patrzyła na niego z miłością i oddaniem. Ten jednak tylko odwrócił głowę, tym samym odmawiając spełnienia jej prośby.

Barbara Sochacka była kobietą zażywną, ruchliwą i nadskakującą. Jej mąż stał z boku. Praktycznie się nie odzywał. Teraz miał na sobie białą koszulę, perfekcyjnie uprasowaną. Kołnierzyk gniótł go w szyję, z pewnością nie nosił się tak codziennie. Meyer widział go wcześniej i był pewien, że Sochacka zmusiła go do tej przebieranki, by wyrzucić na profilerze jak najlepsze wrażenie. Sama też ubrała się schludnie i według niej zapewne elegancko. Czerwona bluzka w wielkie grochy i marynarka z poduszkami nie pozwalały oderwać od niej wzroku. Nie była typem zasuszonej staruszki. Nosiła się prosto. Mąż wyglądał na starszego o dekadę. Ich syn, skulony, w zapiętej pod szyję bluzie z kapturem i czapce na głowie, wydawał się podczas tego spotkania cierpieć katusze piekielne. Nie zamierzał ani na chwilę zdejmować bejsbolówki. Kiedy matka podstępnie próbowała mu ją ściągnąć, niosąc z kuchni ptysie, sprytnie się uchylił. Sochacka zaśmiała się sztucznie, nieudolnie pokrywając niezadowolenie.

— My już odchodzimy od zmysłów — poskarżyła się teatralnie i wreszcie na chwilę usiadła na pufie, hicie wnętrzarskim lat osiemdziesiątych. — Słów brakuje, co przeżywamy. Gdzie ona jest, ta nasza wnusia? Co się jej stało? Tylko Pan Bóg raczy wiedzieć.

Wszyscy milczeli. Na dokładkę Sochacka głośno się rozpłakała. Mąż podszedł do niej i otoczył ją ramieniem. Meyer wiedział, że wszyscy tu naprawdę cierpią. Drażniła go teatralność tej sceny. Wiedział, że bardzo kochają dziewczynkę, nie musieli mu tego tak dosadnie pokazywać. Babcia Zosi sądziła chyba inaczej. Chlipała jeszcze chwilę, po czym nagle ogarnęła ją złość.

— A ta wywłoka nic nie powiedziała. Ani słówka — mówiła coraz głośniej. — Ani gdzie była, ani z kim. Dlaczego nie odbierała! Nic. Tylko że nie ma już siły. „Nie mam siły” — przedrzeźniała synową. — Czy to jest odpowiedź? Co ja miałam sobie pomyśleć? Też nie mam siły, a jakoś to ciągnę.

Hubert milczał. Powoli zaczynał rozumieć sytuację matki zaginionej. Co nadal nie zwalniało jej z podejrzeń.

— Muszę wiedzieć, gdzie Zosia chodziła, gdzie bywała. Wszystko, co o niej wiecie — odezwał się.

Dziadek wyjął z kieszeni spodni fajkę i zaczął ją nabijać.

— My już to wszystko mówiliśmy. Policji, panu Mariuszowi Czuprynie. Nie przekazali? — zapytał grzecznie, ale stanowczo.

— Czytałem wasze zeznania — przyznał Meyer. — Ale może od tamtej pory przypomniałście sobie coś jeszcze.

— Ona była jak anioł. Nigdy nie sprawiała kłopotów. To dziecko to skarb — wtrąciła się Sochacka. — Pomagała w kuchni. Odrabiała lekcje, ćwiczyła. Tak pięknie grała, że mówię panu.

— Miała jakieś koleżanki? Była z kimś zżyta?

Sochaccy pokręcili głowami.

— Chyba że w szkole — odezwała się Barbara. Meyer powoli się przyzwyczajał, że to ona jest rzecznikiem rodziny. — Tutaj, z tymi smarkaczami zabraniałam jej się prowadzić. Takie by miała życie: od trzepaka do budki z piwem. Zawsze od razu po szkole wracała do domu. Wie pan, to szkoła muzyczna, dużo obowiązków. Nie pozwalaliśmy jej chodzić samopas. To była taka pierwsza sytuacja. Zrobiłam pierogi z wiśniami, ona tak je lubiła.

Meyer zamyślił się. Słowa babci świadczyły, że dziecko było izolowane od rówieśników.

— Żadnych koleżanek? — upewnił się.

— Ona miała dziewięć lat — dodał dziadek, wzruszając ramionami.

— I nigdy się nie spóźniała? Niektórzy mówili inaczej.

Barbara Sochacka przyłożyła rękę do piersi.

— Jak Boga kocham, nigdy. Anioł!

Meyer przyjrzał się jej, po chwili zaś odwrócił się do Arkadiusza:

— Może pan coś dorzuci? Może jest ktoś, o kim dużo mówiła? Ktoś nowo poznany? Z kim mogła się kontaktować przez internet?

— My nie mamy internetu — zaraz zaprzeczyła Sochacka. Arkadiusz nie zdążył nawet otworzyć ust. Meyer jednak zignorował odpowiedź babki. Czekał cierpliwie na jakiegokolwiek słowo ojca zaginionej, lecz ten uparcie milczał.

— On się słabo czuje. Bardzo to przeżywa. — Barbara pogładziła syna po plecach.

Meyer zmarszczył brwi i wstał.

— Mogę zobaczyć jej pokój? — zapytał.

Arkadiusz nie ruszył się z miejsca. Wziął tylko komórkę i zaczął w niej czegoś szukać. Sochacka zaprowadziła profilerę w głąb mieszkania. Hubert analizował jego rozkład. Było to mieszkanie, w którym wchodziło się z pokoju do pokoju. Pokój Zosi znajdował się na samym końcu, ale żeby do niego wejść, trzeba było przejść przez pokój Marleny i Arkadiusza. Wyglądało na to, że dziewczynka wychodząc, musiała pokonać najpierw „służbę” u rodziców, potem u dziadków. Pełna kontrola. Sochacka otworzyła drzwi. Pomieszczenie przypominało raczej celę klasztorną niż pokój dziecka. Żadnego różu, księżniczek, plakatów. Tylko łóżko, szafa, jeden wątył kwiatek doniczkowy na oknie i niewielki syntezytor.

— Nie mieliśmy pieniędzy na pianino. Wnuczka najpierw grała na tym. W tamtym roku przenieśli ją do klasy harfy. Obiecaliśmy jej instrument — wyjaśniła z dumą i znów potarła oczy.

— Pani tutaj sprzątała? — upewnił się Meyer.

Sochacka pokiwała głową.

— Sprzątam wszędzie. Sama. Marlena trochę mi pomagała, ale po niej miałam jeszcze więcej roboty.

— Nie znalazła pani nic niepokojącego?

Babcia zmieszała się.

— Co pan ma na myśli? Przecież nie będę grzebała w cudzych rzeczach!

Meyer nie odpowiedział. Wszedł i otworzył szafę dziewczynki. Wisiały w niej sukienki, niektóre nieużywane, jeszcze z metkami. W szafce na buty, pomiędzy adidasami i sportowymi klapkami, zobaczył też czerwone baletki z kokardką. W szufladach pełno było przyborów szkolnych, woreczek kapsli do gry wraz z folią pociętą na małe kawałki i flagami wyciętymi z papieru, części do telefonu, a także struny do harfy, specjalne nakładki do ćwiczeń, trochę zeszytów nutowych, książek. Meyer znudzony szybko przejrzał przedmioty i kolejno zamykał szuflady. Dopiero w ostatniej, najniższej, zauważył pod odzieżą warstwę kamieni, które włożono w foliowe, samozamykające się torebki. Były to zwykłe szare kamienie, różnej wielkości, ułożone w rzędach. Żaden z nich nie był drogocenny, choć niektóre można było uznać za ładne. Były tam też kawałki cegieł, piaskowca i przezroczyście

kryształ. Niektóre były nawet brudne, z fragmentami mchu albo śladami ziemi. Podniósł jeden z kolekcji i przyjrzał mu się.

— Co to jest? — zapytał.

Sochacka, która do tej pory pierwsza wyrywała się do odpowiedzi, tylko wzruszyła ramionami.

— Taka dziecinna fanaberia, kaprys — wyjaśnił dziadek. — Zosia zbierała je.

— A ja je potajemnie wyrzucałam od czasu do czasu, kiedy nie mieściły się w szufladzie — wtrąciła się zaraz babcia, jakby zazdrosna o uwagę profiler. — Ale ona zaraz zapełniała ją ponownie. Znosiła je i znosiła. Tylko powiedzieć „po co” nie chciała.

— Wyrzucała je pani? Potajemnie? — dopytywał się zaszokowany Meyer. — Wbrew jej woli?

— Żeby robactwo się nie zaległo — oburzyła się. Nie miała ani trochę poczucia winy.

— Przecież były w folii. I były jej — odparł Meyer.

Sochacka spłoszyła się.

— Zosia nie pozwalała ich ruszać. Bardzo jej na nich zależało. Nie bardzo to rozumiałam. Myślałam, że to przejdzie, jak to dziecku — starała się usilnie tłumaczyć.

Meyer zamyślił się. Przesunął odzież i wpatrywał się w kamienie w foliach. Całe dno szuflady było nimi wyścielone. Pod t-shirtami i bojówkami dostrzegł złożoną w kostkę rozkloszowaną sukienkę, godną kopciuszka wybierającego się na bal. Rozprostował ją, rozwiesił i przyjrzał się jej z daleka. Wszyscy mogli podziwiać tiulowe falbanki i cekiny, którymi była ozdobiona.

— Od kiedy przestała się tak ubierać? — spytał. — Na zdjęciach była głównie w spodniach i bluzkach z samolotami.

Rodzina spojrzała po sobie. Meyer zauważył, że Arkadiusz też podszedł zainteresowany rozmową. Nadal się nie odzywał, stał w milczeniu kilka kroków za rodzicami.

— Od roku, może półtora — powiedział Jan Sochacki.

— Czy coś się wtedy stało? Jakies zdarzenie krytyczne, traumatyczne, niepunktualne?

Kręcenie głowami.

— Niepunktualne? — Sochacka wyraźnie nie rozumiała.

— Coś, co zdarzyło się w nieodpowiednim czasie, za wcześnie lub za późno w tym wieku. Coś co mogło wpłynąć na dziecko. Może coś stało się w rodzinie, w szkole? — wyjaśnił Meyer.

— Poszła do tej szkoły — odezwał się Arkadiusz. Głos miał stanowczy, niski, o ładnej barwie, świadczący o dużym mniemaniu o sobie. Nie był to chłopak, który łatwo się podporządkowuje. Tym bardziej dziwne było, że tak bardzo związany był z matką.

— Do jakiej szkoły? — zainteresował się profiler.

— Tej, do której zapisała ją matka — odparł Arkadiusz. — Tej muzycznej.

— To znaczy? — Meyer odłożył sukienkę Zosi na miejsce. — Co dokładnie pan ma na myśli?

— Wcześniej chodziła do podstawówki naprzeciwko — znów odezwała się babcia. — Ale jak mąż odkrył, że Zosia chce grać, zabraliśmy ją i zapisaliśmy do tej muzycznej. Musiała zacząć od pierwszej klasy, jakby siedziała rok. Długo nad tym dyskutowaliśmy, ale Marlena się uparła. Powiedziała, że sama zarobi na szkołę. Znalazła tę pracę i faktycznie płaciła chesne — urwała.

— W klinice?

— Wtedy to się stało — potwierdził dziadek. Wydawało się, że dopiero teraz to odkrył. — Pamiętam jak poprosiła, żebym ściął jej włosy.

— A co zmieniło się w domu, kiedy Marlena poszła do pracy? — docisnął ich Meyer.

Sochacka pierwsza wyrwała się do odpowiedzi:

— Nie było jej. Ot co. Wszystko było na mojej głowie. Wracła nocami, wiecznie zmęczona. Zaczęła się stroić. Zosię czasem brała tam do siebie. I mała musiała siedzieć tam sama, czekać, aż matka łaskawie wróci do domu. Jakby w domu siedzieć nie mogła albo normalnej pracy sobie znaleźć, a nie harować nocami. My jesteśmy porządnymi ludźmi. Pomagamy biednym, trzy razy w tygodniu kwestujemy na nowy kościół. Na szczęście Arek ma taką pracę, że mógł się dopasować.

— Czyli to pan w większości spędzał czas z córką po szkole?

Arkadiusz z ociąganiem pokręcił głową.

— No nie do końca. Ja miałem swoją pracę. Jeżdżę na taksówce. To nieregularna robota.

Meyer zmrużył oczy.

— Czy mógłbym państwa prosić, by zostawili nas samych? — zapytał grzecznie dziadków.

Sochacka niechętnie opuściła pokój. Meyer był pewien, że będzie podsłuchiwała. Za nią wyszedł jej mąż. Profiler nie zamierzał jednak długo rozmawiać z ojcem dziecka.

— Chcę wiedzieć tylko jedno — powiedział szeptem. Arkadiusz milczał. Meyer nie mógł widzieć jego twarzy, zasłaniał się daszkiem. Wyglądał na znudzonego. Bawił się sznurowadłem od kaptura.

— Dlaczego Zosia bała się wracać do domu? Dlaczego ukrywała się u matki? Może przez ciebie? Co jej zrobiłeś?

Nagle Meyer zerwał mu czapkę z głowy. Arkadiusz odskoczył.

— Spierdalaj! — syknął. I dodał na tyle głośno, że rodzice mogli słyszeć jego podniesiony głos: — Wynoś się, ty świni!

Meyer z godnością odwrócił się i wyszedł, nadzwyczaj uprzejmie żegnając się z zaskoczonymi dziadkami. Sochacka była na tyle zdezorientowana, że nie wypowiedziała ani słowa. Podbiegła tylko i chwyciła syna za rękę, głaskała go po przyklapniętych włosach, jakby chcąc dodać mu otuchy. Meyer pomyślał, że tak głaszcze się małe dziecko lub psa. A nie trzydziestoletniego mężczyznę, który jest przepełniony strachem i agresją. Na dodatek nieudolnie stara się je ukryć.

Zaskoczona para kochanków zerwała się na widok grupy policjantów, którzy znienacka pojawili się na Wzgórzu Miłości, jak miejscowi nazywali skarpe na skraju Lasu Pietrasze. Miejsce było owiane złą sławą. W dzień schodziły się tu drobne lumpy, by popijać tanie wina. Wieczorami w iglastej gęstwinie czaili się ekshibicjoniści i wszelkiej maści podglądacze karmiący się widokiem golizny na żywo. Choć na szczycie niezależnie od pogody zawsze niemiłosiernie wiało, nie przeszkadzało to licealistom i studentom, niemającym gdzie uprawiać miłości, wspinać się tu niestrudzenie, zarówno latem, jak i zimą.

Namacalnym dowodem popularności tego miejsca były rozrzucone pomiędzy kamieniami zużyte prezerwatywy. U podnóża góry, w opuszczonej i nigdy niedokończonej oczyszczalni ścieków niczym w

jaskini pomieszkiwali bezdomni. Nocami brzegi starych basenów i dach biura oczyszczalni rozbłyskiwały gorejącymi ogniskami, przy których w kręgu siedzieli ludzie odrzuceni przez wszystkich lub szukający ukrycia. Zdarzało się, że co jakiś czas ruiny się osuwały. Jeśli bezdomni zdążyli uciec, tracili tylko dobytek. Było jednak wiele przypadków śmiertelnych. Miejsca na górze dla wszystkich było pod dostatkiem i nawet w przypadku pełnego zaludnienia zakamarków leśnej głuszy można było się tu poczuć anonimowo. Nie było to jednak miejsce bezpieczne. Białostocka policja poszukiwała tu czasem delikwentów mających na sumieniu najcięższe przestępstwa, których jedynym motywem była wściekłość za ukradzione parę złotych czy oskarżenie rzucone pochopnie przy alkoholu.

Tych dwoje również nie wyglądało na próżnujących do czasu przybycia policji. Meyer dyskretnie odwrócił wzrok, ale inni bezczelnie przyglądali się, jak dziewczyna w pośpiechu naciąga bluzkę. Przez chwilę wszyscy obecni mogli podziwiać biel jej pączkujących piersi. Chłopak nie osłaniał jej. Spokojnie zajmował się sobą. Znalazł czapkę, nieskończenie długo i dokładnie wkładał pasek do spodni. Obok kocyka, na którym jeszcze przed chwilą musieli figlować, leżały dwie puste puszki po piwie. Dziewczyna była bardzo ładna. Nie musiała się tak mocno malować, by zwrócić na siebie uwagę mężczyzn. Kasztanowa brunetka o sprężystej sylwetce awanturowała się głośniej niż jej partner. Oboje mieli pecha. Seks w miejscu publicznym, do tego alkohol. Nazbierali wystarczająco dużo punktów, by policjanci musieli zareagować. Jeden z ludzi Domana wylegitymował parę i przy wtórze kąśliwych docinków holował na komisariat. Dziewczyna miała najwyżej szesnaście lat. Chłopak pokazał policjantom nowiutki, kilka dni temu wydany dowód osobisty. Ubrany w hip-hopowe ciuchy, nasunął czapkę z daszkiem na twarz i odtrącił rękę dziewczyny, która szukała u niego wsparcia. Jego gest odczytała jednoznacznie. Po chwili, zarzucony gradem pytań śledczych, wyparł się jej, twierdząc, że dopiero teraz dowiedział się, co grozi mu za igraszki z nieletnią. Co gorsza, nieudolnie próbował wyrzucić za plecami resztkę marihuany. Foliowa torebka z drobinkami suszu trafiła w rękę jednego z policjantów, który przekazał ją technikom do ekspertyzy.

— Fiu! — gwizdnął Doman. — Słabo to widzę.

— Ty debilu! — Dziewczyna odsunęła się od chłopaka na bezpieczną odległość, po czym stanęła grzecznie za policjantami. — Nie zbliżaj się do mnie, zboczeńcu.

Doman nie wyglądał na przejętego tą sceną.

— Teraz przyjdzie mamusia, młoda oskarży go o gwałt. Zrobią obdukcję. Będzie trzeba przesłuchać wszystkich znajomych królika — mruknął do Huberta, wyjął papierosa i powoli zapalił. — Potem mała wycofa oskarżenie, w końcu honor zachowała. Smutny finał młodszej miłości, kiedy Romeo okazuje się dupkiem.

Meyer nie słuchał dalej. Stał na skraju urwiska i wpatrywał się w przestrzeń. Nie bez powodu to miejsce było tak oblegane. Panorama miasta była wspaniała, widok ciągnął się aż po horyzont. Hubert patrzył na supermarket, fabrykę dywanów, szczyty blokowiska, biały kościół, który dominował nad miastem. Myślał o zaginionej dziewczynce. Matka twierdziła, że w ostatnim czasie Zosia się tutaj ukrywała. Stwierdził, że to raczej dziwne miejsce odosobnienia dla dziewięciolatki. Czy przychodziła tu sama? Odwrócił się i podszedł do zatrzymanych przed chwilą nastolatków. Wyjął z kieszeni fotografię rodziny Sochackich, wskazał małą.

— Widzieliście ją tu kiedykolwiek?

Chłopak nawet nie patrzył na zdjęcie. Meyer widział, że nie zamierza się wysilać. Doman miał rację, klasyczny frajer. Nastolatka zaś bardzo starała się zdobyć kilka punktów u policjantów. Liczyła pewnie, że kiedy im pomoże, odpuszczą jej wybryk. Długo wpatrywała się w fotografię. W końcu zaprzeczyła i oddała zdjęcie.

— Dziękuję — powiedział zawiedziony Hubert i lekko się do niej uśmiechnął. Zarumieniła się, odwróciła na moment głowę.

— Ale tę kobietę widziałam — odparła zadziornie. I dopytała z miną spryciulki: — To matka poszukiwanej dziewczynki? W całym mieście są plakaty Zosi.

Meyer skinął nieznacznie głową.

— Nie była z nim. — Dziewczyna wskazała na kieszeń, w której Meyer schował zdjęcie. Profiler wyjął je ponownie.

— Jesteś pewna?

— Tak. — Podeszła bliżej do Meyera. I szepnęła tak, by jej partner nie słyszał: — Była tutaj, ale nie z nim.

Meyer dał znak człowiekowi Doman, by puścił dziewczynę. Odeszli na bok. Doman stał w bezpiecznej odległości, słysząc każde słowo ich rozmowy.

— Kiedy ją widziałaś? — Meyer zmierzył dziewczynę badawczym spojrzeniem, aż się spłoszyła. Widać było jednak, że jest pewna swych słów. W jej oczach wciąż świeciły chytre iskierki. — A nie powiecie mojej matce? Głowę mi urwie, jak się dowie.

— Nie targuj się, bo sobie pogorszysz — upomniał ją Doman. — Mówi się. Zobaczymy, coś warta.

— Widziałam ją tutaj kilka razy — zaczęła i zaraz dodała. — A ostatnio w piątek wieczorem. Siedziała tu z takim podstarzałym żelem w białych butach. Głównie gadali.

— Żelem?

— No miał wyżelowane włosy. Typ italo disco. Stary piernik. Ze cztery dychy miał. Solarium, te sprawy. No i te białe buty, masakra. — Skrzywiła się z obrzydzeniem.

— O której dokładnie?

— Długo. — Zamyśliła się. — Kilka godzin. My przyszliśmy, oni nas minęli, kiedy wracaliśmy, wciąż tam byli.

— A konkretnie? — Doman wyjął notes.

— Od siódmej do dziesiątej. Tak mniej więcej.

— Często tu bywasz, co?

Zlekceważyła przytyk policjanta.

— Wyglądało, że nie zamierzają szybko wracać. Mieli jedzenie, alkohol. Ale ona nie piła. Odpuści mi pan? — Spojrzała błagalnie na Meyera. Cwana srocza, od razu widziała, że na Doman nie ma co liczyć.

— Nie bardzo, teraz jesteś świadkiem. — Doman uśmiechnął się. — Zresztą to ja tu rządzę, nie on.

— Jesteś pewna, że to było w piątek, a nie na przykład w sobotę? Rozpoznasz tego mężczyznę? — spytał Hubert.

Dziewczyna, widząc, że nic nie wskóra, wzruszyła ramionami. Obaj wiedzieli, że zaraz przestanie mówić. Była interesowna, wiedziała, gdzie stoją konfitury.

— Zobaczę, co da się zrobić — Doman udał, że mięknie. Dziewczyna natychmiast pokiwała głową. Położyła rękę na sercu i powiedziała

pewnym głosem:

— Przysięgam na świętą Anielkę. Piątek. Pamiętam gościa.

Meyer z trudem opanował się przed wybuchem śmiechu. Była wiarygodna, choć tak pewnie przysięgała każdemu, z którym tu przychodziła.

— I jego typ obuwia? — Uśmiechnął się.

— Dokładnie. — Odwzajemniła uśmiech.

— Ale za picie alkoholu zostaniesz ukarana — podkreślił Doman. — Sporządziliśmy protokół. Nic nie poradzę. W jego sprawie możesz złożyć wniosek o ściganie — powiedział i wskazał na chłopaka.

Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

— Ja jego nie znam. Ten palant już dla mnie nie istnieje.

— Słusznie — mruknął Meyer. — Nie pierwszy on, nie ostatni.

Dziewczyna złożyła ręce jak do modlitwy:

— Proszę, niech mi pan odpuści.

— Niech ci Pan Bóg odpuści, dziewczyno. Zaczynij się lepiej szanować — mruknął Doman, ale zabrał dokumenty od policjantów. Zakreślił jej dane. — Żebyś tu więcej nie widział.

— Odholujcie ją na komisariat — wydał polecenie swoim ludziom. I dodał głośniejszym głosem, jakby ku przestrodze: — Niech matka podpisze kwity, że dziecko odebrała. Nie potrzebujemy nowej sprawy poszukiwawczej.

Kiedy policjanci odprowadzili parę, Doman odezwał się z ociąganiem:

— Daleko nie zajedzie ta mała. Ja w jej wieku nie wiedziałem, o co w tym wszystkim chodzi. Teraz małolaty ruchają się jak marcowe kotki. Czuję, że niedługo znów się zobaczymy, tyle że tym razem na dołku, przy jakiejś okazji. Oby nie.

Meyer nie odpowiedział. Był pogrążony w myślach.

— Jak to się stało, że tu nie szukaliście? — odezwał się wreszcie z niedowierzaniem.

Doman wzruszył ramionami.

— Nie brałem tego miejsca pod uwagę. Dziecko tutaj? Tak daleko od miejsca zamieszkania? No i nie znaleźliśmy wątku z „grzebulcem”.

— Z kim? — nie zrozumiał Meyer.

— No z tym lambrozo z kliniki. Ginekologiem. U was się tak nie mówi?

Meyer uśmiechnął się półgębkiem. Stali jeszcze chwilę w milczeniu, obserwując, jak ludzie Doman metodycznie przeszukują teren. Oddalali się w kierunku starej oczyszczalni. Jeden z nich dał znak Domanowi.

— Coś mają — mruknął komisarz.

Meyer wyteżył wzrok, ale nie dostrzegł nic poza oddalającymi się w dole sylwetkami. Po chwili rozległo się skrzywienie krótkofalówki.

— Idziemy. Czekać — powiedział Doman do mikrofonu. Nie dał nawet słowa wypowiedzieć funkcjonariuszowi. Po chwili urządzenie znów się odezwało.

— Co jest? — mruknął.

— Wezwałem technika. I nurek by się przydał. Mamy coś — usłyszeli.

Obaj zamarli.

— Zwłoki? — spytał Doman.

— Kto to może wiedzieć? — padła odpowiedź. — W chuj tu wody.

— Czekać, bez odbioru.

Ruszyli w tamtym kierunku. Droga nie była łatwa. Trzeba było przedrzeć się przez wysoką trawę, pole jeżyn, wielkie chaszczki na obrzeżach bagna. Po deszczu gąszcz trzymał porządnie wilgoć. Meyer czuł, że spodnie ma mokre po uda, a w butach chlupała mu woda. Doman wyciągał nogi jakby coś go goniło. Odsadził Meyera na dobre kilkaset metrów, szedł jednak dalej, bez oglądania się. Meyer szedł wolniej. Nie znał terenu, a w zaroślach co jakiś czas nieoczekiwanie pojawiały się głębokie studzienki. Niektóre były otwarte, do jednej omal nie wpadł. Pomyślał, że to doskonałe miejsce do ukrycia ciała. Wystarczyło wrzucić zwłoki i zamknąć pokrywę. Wysoka na dwa metry roślinność skutecznie chroniłaby tajemnicę aż do kolejnej wegetacji.

Wreszcie dotarł do ogromnych zmurszałych basenów, połączonych ze sobą żeliwnymi rurami, szerniałych przez lata, lecz wciąż posiadających wystarczającą ilość zakamarków i załamań, by móc się tu ukryć. Nawet teraz ciarki chodziły Meyerowi po plecach, a bał się nawet myśleć, jak musiało tu być nocą. Miejsce było klimatyczne w pełnym tego słowa znaczeniu.

Doman stał na skraju jednego z basenów i wpatrywał się w dół. Po drugiej stronie byli pozostali funkcjonariusze. Najmłodszy z nich,

Wojda, rozbierał się właśnie do bokserek, by wskoczyć do brudnej wody. Meyer też wspiał się na brzeg basenu i zamarł. Powierzchnia wody była ogromna, jak okiem sięgnąć usiana opadłymi liśćmi i stertami śmieci, których od lat nie usuwano. Po wierzchu pływały puste butelki i jakieś szmaty.

— Faktycznie, taki sam jak na zdjęciu poszukiwawczym — mruknął komisarz i wskazał plecak z samolotem pływający przy brzegu. — Ale czy to ten sam?

Meyer długo wpatrywał się w plecak.

— Jest pusty — powiedział. — Może zawartość poszła na dno.

— A może nie — odparował Doman i rozejrzał się. — Trzeba będzie, kurwa, przeczesać ten kamszot. Może kopciuszek coś tutaj zgubił.

Wojda był już gotów do skoku, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Doman zaczął się z niego nabijać. Młody bronił się, starał się tłumaczyć coś kolegom, wreszcie zaczął wskazywać na ścianę basenu.

— Co jest? Boisz się? Zakład, że ciepła? — krzyknął do niego wyzywająco Doman.

Funkcjonariuszowi albo było już trochę chłodno, albo starał się dodać sobie otuchy, bo zaczął się okładać ramionami po plecach. Pozostali podśmiewali się z niego, jakby byli na pikniku. Meyer pierwszy domyślił się, o co chodziło Wojdzie. Wewnątrz basenu nie było drabinki. Osoba, która wpadłaby do wody, nie miałaby jak wyjść. Wysokość basenu liczyła pewnie kilkadziesiąt metrów, jeśli nie więcej. Nie wiadomo było, jak głęboko wkopano fundamenty.

— Kurwa, jeśli to nie ten pierdolony plecak, wścieknę się — mruknął Doman i kazał przeszukać resztę terenu. — Wzywam nurka! — poinformował swoich ludzi. A do Meyera mruknął: — Mam nadzieję, że to się opłaci.

Policjanci zdawali się nie wiedzieć, co mają robić. Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w dryfujący w basenie niebieski plecak. Meyer patrzył na niego i pomyślał, że jego córka nigdy nie zgodziłaby się nosić rzeczy „dla chłopaka”. Zosia była inna. Plecak mógł należeć do niej. Obrazek nie był z daleka widoczny, ale trudno się było nie domyślić, że jest to nadruk złotego samolotu. Identyczny nadruk miała na koszulce polo na zdjęciu, które trzymał w kieszeni. Wyjął je i

porównał. To o niczym nie świadczyło. Dopóki nie wyjmą znaleźiska i nie zrobią badań, nie należy wyciągać pochopnych wniosków.

— Co tak stoicie? Ruszać się — popędził swoich ludzi Doman. — Do wieczora będziemy tu siedzieć?

— Może sprawdzić też te studnie? — zasugerował Hubert. — Mogą tam być niespodzianki. Może dziecko wpadło do którejś z nich?

— Taa, na pewno — narzekał Doman. — Jeszcze mi tego, kurwa, brakowało. Wiesz, ile to ma hektarów? A może Las Wisielców też przesiać, co? Pojebało cię?

— Las Wisielców? — zdziwił się Hubert.

Doman wskazał na ścianę Lasu Pietrasze za oczyszczalnią.

— Chłopie, odkąd pracuję, chyba z kilkudziesięciu odcinałem. Nie pięciu, nie nastu. Były ich dziesiątki! Jakby nie mogli gdzieś bliżej się wieszać. Zwierzyński Park też jest ładny. I miałbym bliżej na miejsce zdarzenia. Nie wiem, dlaczego wszyscy akurat tu się pchają. — Machnął ręką. I zaraz dodał: — To się posramy, zanim sprawdzimy cały ten teren. Co za gówniany trop! Jeśli ten pierdolony plecak nie należał do zaginionej... — Teraz Doman dał popis swojej znajomości przekleństw. Meyer nie przerywał mu, rozglądał się.

— Każdy tu może wejść? — spytał.

— Każdy. Byle znał drogę. Schodzisz ze Wzgórza Miłości, potem prosto, na przełaj. Można też od Agnelli. Za fabryką dywanów też jest droga. Szukaj wiatru w polu. Zresztą to dobry pomysł, wyjdziemy z tamtej strony. Każę komuś iść po radiowóz. Sprawdzimy to drugie dojście, sam zobaczysz.

Ruszyli w kierunku częściowo rozebranego budynku ozdobionego kolorowym graffiti. Obok był skład gruzu. W zagłębieniu, pod ruinami, na zbutwiałej tekturze leżała kupka rzeczy, jakby pozostałości obozowiska. Strzępy ubrań, brudna kołdra, puste butelki i słoik z pozostałością kleju. Choć nie przypominało to przedmiotów mogących należeć do dziecka, Doman kazał wszystko zabezpieczyć.

— Pewnie jakiś bezdomny miał tu swoją norę — westchnął. — Może jednak jest tu jakiś związek ze sprawą Berlinga. Tyle że wtedy wszystko przebiegało szybciej. Pewnie nie słyszałeś, ale kilka lat temu mieliśmy już zaginięcie dziecka. Wtedy zniknął jedenastolatek, Amadeusz Jekel. Uruchomiliśmy wszystkie siły, przeszukaliśmy miasto. Sprawca musiał

się wystraszyć, bo następnego ranka sprzątaczką znalazła zwłoki chłopca w kontenerze na śmieci. Trzy blokasy od miejsca zamieszkania. Zadzierzgnięcie. Leżał tam prawie dobę. Ciesz się, że cię tam nie było. Ja puściłem pawia.

Meyer pokiwał głową ze zrozumieniem. Też miał kilka takich spraw w swoim życiu.

— Jak długo go szukaliście?

— Niecałe dwadzieścia cztery godziny. Poszedł za niego taki dresiarz z Dziesięcin. Sąsiad młodego. Mieszkał na Palmowej. Sławomir Kobierski, dla przyjaciół Cycu. Matka wyrzuciła go z domu. Terroryzował ją i okradał, jak był w ciągu. A był prawie cały czas, od dwunastego roku życia non stop. Tylko lufka, piwko i parę motywów na osi się dla niego liczyło. Swatek zgarnął go pierwszy raz, jak był jeszcze dzieciakiem. Krótkie majty nosił, a już zdołał wzbić się na wyżyny intelektu i wypić sąsiadowi wino z gąsiora przez zamkniętą piwnicę. Przez rurę z kumplem mu wybomblili. Ściany były takie ażurowe, z cegłówek. Potem było coraz gorzej. Klasyk. A to jakiś kiosk z alkoholem zrobił, radyjka, telefony na wyrwę, kilka bójek z ostrym narzędziem i takie tam. Nic poważnego, ale kartoteka rosła. Wreszcie zamieszkał w piwnicy. Włączył się po mieście, wystawał pod Vegasso, jarał, a potem tylko chlał, bo taniej. Zresztą niewiele pamiętał z zajścia. Tyle że nie zaprzeczał.

— Ile dostał? — zapytał Meyer.

— Ze dwanaście — wzruszył ramionami Doman. — Lada chwila będzie wychodził. Kazałem go sprawdzić, jutro będę wiedział bliżej, co i jak.

Policjanci wrócili z zabezpieczonymi dowodami w foliowych torbach. W jednej z nich był nowiutki zeszyt nutowy z nazwiskiem Z. Sochacka, klasa 3c. Tylko jedna kartka była zapisana. Ktoś kopiował menuet Mozarta. Zapis był dziwny, jakby na orkiestrę. Meyer nie znał się na tym, ale widział, że nie jest standardowy. Jego córka swego czasu grała na pianinie.

— No i proszę. — Doman wziął do ręki folię. — A więc jednak możemy założyć, że tu była. Ale kiedy to zostawiła?

— I czy to jej zeszyt? — dodał Meyer.

— Sprawdzimy, udowodnimy — mruknął Doman. Potrząsnął torebką, wypadł z niej kamień. Nieduży, szary. Zwykły płaski kamyk z czarnymi plamkami po jednej stronie. Byłby dobry do puszczania „kaczek” na wodzie.

Meyer podniósł go i wrzucił ponownie do torebki.

— To Zosi Sochackiej — powiedział ze stuprocentową pewnością. Doman spojrzał na niego jak na wariata.

— Była tutaj — dodał Meyer i rozejrzał się. — Trzeba ustalić, skąd ten kamień pochodzi, i zabrać pozostałe z jej szuflady. W tych wszystkich miejscach była ta dziewczynka.

— Ja cię kiedyś uduszę, Meyer — jęknął Doman i przyjrzał się szaremu kamykowi. — Co to, kurwa, ma znaczyć? Wiesz, ile będzie kosztowała taka ekspertyza? Nawet nie wiem, czy mamy kogoś takiego u nas. Trzeba będzie wysłać to do jakiegoś wydziału geologii, czy chuj wie gdzie.

Meyer nie odpowiedział. Zatopił się w myślach. Wiedział, że Doman tak tylko gada, ale ekspertyzę zleci. Ruszyli w drogę powrotną wysoką łąką na przełaj do drogi. Nie było sensu wspinać się znów na wzgórze. W oddali majaczyły budynki fabryki dywanów Agnella. Po pokonaniu morza mokrej trawy, w środku której co jakiś czas napotykali nieczynne hydranty jak słupki odznaczające kilometry przy drodze, weszli wreszcie na grząską ścieżkę, która w nocy, zwłaszcza po deszczu mogła być niebezpiecznie śliska. Meyer odwrócił się i spojrzał z dołu na wzgórze.

— A może leży gdzieś tu, w tych krzakach? — szepnął. — Góra jest wysoka. Łatwo można z niej spaść.

— Puszczę chłopaków, niech sprawdzą dla pewności. Dlaczego matka wskazała akurat to miejsce?

— Podobno dziewczynka ukryła się tutaj, kiedy pierwszy raz uciekła z domu. Przyznała się, że dosyć często tu przychodzi.

— Szkoda, że cichodajka jej nie pamiętała — mruknął Doman. — Może ją jeszcze raz weźmiemy. Może sobie coś przypomni...

Meyer nie odpowiedział, trapiło go coś innego.

— Wtedy nikt nie złożył zgłoszenia o zaginięciu. Dziwne. Poszli do tego waszego detektywa.

— Do Fantomasa? E tam, zwykła gnida. Nie patrz na niego — machnął z lekceważeniem Doman — pojeb i tchórz.

— Na tchórzy trzeba uważać. Są czasem bardziej niebezpieczni od chojraków. Nigdy nie wiadomo, czego się po nich spodziewać — mruknął Meyer.

— W naszym fachu na wszystkich trzeba uważać. Co ja, mały jestem? — odparował Doman.

Meyer obrzucił go spojrzeniem. Musiał zadrzeć lekko głowę, by spotkać wzrok kumpla.

— Mały to raczej bym nie powiedział. — Uśmiechnął się. — A ten Pilecki? Kto to?

— Cygan? Swój chłop. Ufam mu, całe życie w firmie. Nawet jak mu żona zmarła, drugiego dnia był na służbie. Ten facet nawet nie choruje, dajesz wiarę? — Poklepał Meyera po plecach. — Nie bój nic. On ci krzywdy nie da zrobić. Ma dobre przełożenie na górze. Dobrze z nim żyję od lat i patrz, zaraz „wice” mnie robi.

— Zasłużyłeś sobie.

Doman nie odpowiedział, ale widać było, że Meyer mu schlebił. Wyszli na asfaltową drogę, otrzepali buty. Byli cali mokrzy. Meyer natychmiast wyjął papierosy, były przemoczone. Doman zapobiegliwie trzymał swoje w górnej kieszeni kurtki. Zapalili i odwrócili się, by jeszcze raz rzucić okiem. Z dołu góra wcale nie wyglądała romantycznie, raczej ponuro. Okolice oczyszczalni sprawiały przygnębiające wrażenie. Meyer dawno nie był w bardziej odrażającym miejscu. Pomyślał, że skoro dziewięcioletnie dziecko uciekało tutaj, żeby się skryć, musiało mieć poważne problemy w domu, choć wszyscy temu zaprzeczali.

— Dziwne miejsce sobie wybrała. Nie bała się? — mruknął Doman.

— To samo pomyślałem — odparł Meyer.

— Ten Sochacki... — zaczął delikatnie Doman. — On coś jej robił? Zimna dłoń, bicie?

Meyer wzruszył ramionami.

— Coś tam było nie tak, ale nie wiem jeszcze co — odrzekł i zamilkł. Po chwili znów podjął wątek. — Ten Amadeusz? Dlaczego zginął?

— W sumie tragiczny wypadek. Szlajał się po mieście i szukał okazji do zwady. To nie był grzeczny chłopczyk. Pornole, kasety z

wulgaryzmami, pełnoletni notowani kumple z automatów, wymuszanie haraczy w szkole. Uciekał do ojca, który go nie chciał. Matka nie miała nad nim żadnej kontroli. Tego wieczoru zamiast pójść do domu, włóczył się po mieście. Przegrał pożyczone pieniądze na flipperach. Kumple grozili mu, że skopią tyłek, jak do jutra nie odda. Bał się chyba przyznać matce, ruszył w giganta, zresztą ona nie wierzyła, że jest uzależniony. Potem nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Amadeusz spotkał Cyca. Jak na swój wiek był wysoki, dobrze rozwinięty. Próbował terroryzować dresa, wyłudzić papierosy. Potem zażądał pieniędzy. Cycu to kawał chłopca. Ma graby większe niż ja. Osiedlowy siłacz. Wkurzył się, był nagrany. Chwycił go za ubranie, podniósł do góry, przekręcił. Mały zgrywał chojraka, ale miał zwapnienie lewego płuca, cierpiał na astmę. To wystarczyło. Kiedy Cycu postawił go na ziemię, chłopak już nie oddychał. Wrzucił go do kontenera na śmieci. Upozorował motyw seksualny. Jeszcze tej samej nocy zwierzał się ziomalom, co, kurwa, narobił. Nie była to trudna sprawa. Szybko go zgarnęli.

— Ty tego nie robiłeś?

— Nie, ale żyło tym całe miasto. U nas takie sprawy się nie zdarzają. Sto procent wykrytych zbrodni. Dajesz wiarę?

— Meneloki i poroże?

— Tak, kumple od kieliszka, zazdrosne żony, zbrodnie przy kapuście, tym samym nożem, klienci nagrzeni koksem, którzy własną matkę by sprzedali. Zwłaszcza na Dziesięcinach. Cycu nawet do centrum nie jeździł, bo i po co?

— Przyznał się?

— Od razu.

— Mówiłeś, że niewiele pamiętał.

— Ni chuja. Poszedł na ugodę. Byle w pierdłu nie dowiedzieli się, że siedzi za dzieciaka. Z tego, co wiem, do tej pory myślą, że zaciukał jakiegoś ziomala. Zresztą co rusz go przenosili. Stara wiara ma dobre kontakty. Życia to on w pierdłu nie miał.

— Ludzie tak łatwo nie przyznają się do zbrodni — mruknął Meyer.
— Jesteś pewien, że posadziliście odpowiedniego klienta?

Doman nie był człowiekiem, który wydaje pochopne sądy. Meyer widział, że stuprocentowej pewności nie ma, może nigdy nie było. Kumpel nie odzywał się dłuższą chwilę, a wreszcie odparł:

— Mieliśmy twarde dowody. Zeznania innych, jego przyznanie się do winy. Zgodził się na wizję. Wszystko się składało. Wtedy sprawa wydawała się rozwiązana, choć myśleliśmy o tym wszyscy. Wiesz, to było zbyt proste, jakiś nieprawdopodobny przypadek. Amadeusz mieszkał na Berlinga dziewiętnaście, a Cycu na Palmowej dwadzieścia pięć. To u zbiegu ulic. Trzy kroki, dosłownie. Ale sam wiesz, większość polskich zbrodni jest taka. Bezsensowna. Żadnego motywu. Dwie osoby znajdują się w tym samym czasie i miejscu. Wódka, piguły, konflikt, agresja. Gotowe. Co ci będę mówił?

Meyer pokiwał głową. Zgadzał się z kolegą. Większość spraw, nad którymi pracowali, to nie były wielkie łamigłówki. Trzeba było jedynie dobrze pomieszać puzzle, a układanka zaraz była gotowa. Są jednak takie śledztwa, które nawet po pomyślnym zakończeniu zostają w głowie gliniarza. Zwłaszcza jeśli ofiarami są dzieci. Ta sprawa musiała długo męczyć Domana, bo niezachęcany przez Meyera mówił dalej:

— Pewnie bał się, że oskarżymy go o molestowanie. Karnie powtarzał, co mówiły ziomki. Lucek Swatek robił tę sprawę. Porządny gość. Nie katował podejrzanych podczas przesłuchań. Byłem wtedy nowy w kryminalnym, dopiero przeszedłem z PG[5], dużo się od niego nauczyłem. Nie sądzę, żeby cokolwiek było sfingowane. Swatek nigdy nie nagiął procedur. Walczył z takimi cwaniakami, co chcieli się wykazać cudzym kosztem. Choć pamiętam, że mieli jakiś kłopot z wizją. Chyba ją powtarzali. Cycu do zabójstwa przyznał się od razu, ale nie chciał się przyznać, że wrzucił ciało dziecka do zsypu. Nie znam szczegółów, nie wiem dlaczego, ale w efekcie do akt dołączono dwie wersje. Może Lucek naciskał, żeby było wiarygodnie? To raczej w jego stylu. Sąd wziął pod uwagę drugą wersję. Z ukryciem ciała.

— Jak podobne są te sprawy? — Meyer od jakiegoś czasu notował niektóre informacje na nieodłącznych żółtych karteczkach, co dopiero teraz zwróciło uwagę Domana.

— Prawdę mówiąc, wcale — odpowiedział. — Chłopak sam szukał guza. Gigancił. W tamtej sprawie to matka złożyła doniesienie. Florystka. Do dziś pracuje w kwiaciarni w Alfie. Pamiętam ją. Fajna babka. Przed trzydziestką. Chyba wcześniej go urodziła. Coś jej tam z mężem nie wyszło. Ale wciąż była całkiem, całkiem, nawet bardzo. Pół

komendy przychodziło ją oglądać. Taka blondi pchełka, jak moja Liliana — zawiesił głos. Meyer bacznie przyjrzał się koledze.

— Jak twoja żona? Czy...?

Doman uśmiechnął się znacząco, ale nie zaprzeczył.

— Wyprowadziłem się do Patrycji — zawiesił głos. — Innym razem pogadamy.

Meyer spojrział na Domana, który, speszony tym wyznaniem, natychmiast zmienił temat.

— Z Amadeuszem nie było żadnych wątpliwości. W sumie to straszny, koszmarny wypadek.

— Komplementarność zabójcy i ofiary — mruknął Meyer. — Wziąłbym akta do przejrzenia i porównał te sprawy.

— Jak sobie chcesz — odparł Doman. — Zadzwoń do Lucka. Możesz z nim pogadać, on prowadził to śledztwo i pewnie je pamięta. Teraz już na emeryturze. Miał dość tej chałtury. Tamta sprawa już dawno jest zamknięta. Ale rób jak chcesz, byle skutecznie.

Wojda, już z powrotem ubrany w mundur, podjechał cywilnym radiowozem Domana. Przekazał kluczyki i wrócił do pracy. Doman usiadł za kierownicą. Ruszyli. Meyer obserwował pieszych na ulicach. Milczeli.

— Co do Kobierskiego — zaczął znów Doman — nie korzysta z przepustek, choć ma prawo. Wychodzi do pracy. Pracuje w domu starców. Dyrektor pierdła za niego ręczy jak za własne dziecię. Daje mu alibi na ten weekend.

Meyer gwizdnął zaskoczony.

— Nie badałem jeszcze tego, nie było podstaw. Myślisz, żeby złożyć mu wizytę?

— To zależy — odparł Meyer.

— Od czego?

— Komu by się chciało do niego jechać — odparł Meyer.

— Wiadomo, że nikomu. Myślałem, że sam chcesz to sprawdzić — odparował Doman.

— Zobaczymy — odrzekł Meyer wymijająco.

Dojechali do komendy. Doman skinął głową strażnikowi i szlaban podniósł się bezgłośnie. Wjechał niedbale na jedyne wolne miejsce do parkowania. Zostawili otwarte wszystkie szyby. Doman zbyt szybko się tym

nie przejmował. Pozbierał tylko rzeczy swoich dzieci porozrzucane na siedzeniach i schował je do bagażnika.

— Ale parówa — mruknął. Zerknął na niebo, słońce przebijające się przez mleczną pierzynę drażniło oczy. — W nocy będzie burza z piorunami.

Meyer nie słuchał. Stał na chodniku i notował coś zawzięcie na żółtych karteczkach. Nagle Domanowi przemknęło przez głowę, że jego dzieciaki też same wracają do domu. A syn czasem zahacza o kumpli, mają domek na drzewie. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Do tej pory nie pomyślał, że w ich małym mieście mógłby grasować jakiś psychopata. Ale przecież to było możliwe.

— Ta dziewczynka wyglądała jak chłopiec — nagle rzucił Meyer. Doman odwrócił głowę w jego stronę.

— Może — odparł z przekąsem. — I co z tego?

— Nic, chciałbym po prostu zobaczyć zdjęcia Amadeusza z tamtego czasu. To wszystko. A jeśli chodzi o zaginięcie Zosi, trzeba będzie się przyjrzeć jej dziadkom i ojcu. Ostatnio jak tam byłem, dziwnie się zachowywali. I ten Fantomas, on blisko z nimi jest. Też dziwne.

— On jest dziwny, to i wszystko jest dziwne — odrzekł i wzruszył ramionami Doman. — Załatwione. Puszczę na niego kogoś. To co, chcesz pogadać z Kobierskim, umówić cię?

— Co tak naciskasz? — zainteresował się Meyer. — Chcesz się mnie pozbyć?

Doman udał, że nie słyszy ironii w jego głosie.

— Dyrektorem jest fajny facet, dogadacie się — odpowiedział.

— Będę potrzebował jakiejś kobiety, która by ze mną poszła. Jeśli taki z niego twardziel, chcę żeby mnie zbagatelizował. Mam nową technikę. Zobaczymy, ile pamięta naprawdę.

Doman zdziwił się. Meyer zawsze pracował sam. Skąd taki pomysł?

— Masz kogoś konkretnego na myśli? — spytał.

Meyer pokręcił głową, choć tak, właściwie miał. Ale nie przyznał się.

— Poszukam — obiecał Doman. — Dam ci kogoś od nas z zespołu. Na kiedy?

— Spokojnie. Tutaj jest dużo roboty. Najpierw pozamykam tropy tej sprawy, potem wezmę się za analizę porównawczą.

— Masz już jakieś hipotezy?

— Jeszcze nie. I na razie nikomu nic, wersja z seryjnym psychopata to odległa bajka.

— Ale trzeba to sprawdzić.

— Trzeba.

— Pracuję z ciebie — zaśmiał się Doman.

— Jak cholera, wystarczająco się naodpoczywałem.

Gdy wchodzili do komendy, Meyer zauważył przed wejściem kobietę w dzinsach. Była odwrócona tyłem, miała krótkie czarne włosy. Kogoś mu przypominała. Kobieta rozmawiała z kimś, kogo twarzy nie mógł zobaczyć, stał w cieniu. Doman nagle się zatrzymał.

— Ty, słuchaj — zaczął i schwycił Meyera za rękaw. — Właściwie było podobieństwo w tych sprawach. Dzieci zaginęły po wyjściu ze szkoły. Poza tym ten Amadeusz też chodził tam chwilę, potem matka go przeniosła, bo się nie nadawał do muzyki. W kosza, nogę chciał grać.

— Do szkoły muzycznej? Na Podleśną dwa? — zdziwił się Meyer. — Jutro tam idę. Jesteś pewien?

Doman potwierdził.

— Tej samej. On tam chodził miesiąc, może niewiele dłużej. Spierdalał z zajęć, nienawidził grać. Może ktoś je obserwował, uprowadził i... no właśnie. Tam jest taki pojebany stróż, ogrodnik. Śmieci zbiera, co jakiś czas musimy usuwać mu ten towar z domu, bo robaki się zalęgają u sąsiadów.

Meyer skrzywił się.

— To nie ma związku.

— Sam mówiłeś, że przy drugiej zbrodni sprawca uczy się, jak zacierać ślady. Może tym razem lepiej ukrył ciało. — Doman zawiesił głos. — Choć ja osobiście nie wierzę, że Cycu siedzi za niewinność. Wiesz, wprowadzicie to było zeznanie zjaranych dresów. Oni mieli lekki kłopot z pamięcią. Myliły im się dni, ale Kobierski był idealnym i jedynym kandydatem.

— Sam wiesz, że zawsze jest ich kilku. A co do tego, jak mu tam?

— Cycu. Kobierski Sławomir.

— Nie ma na razie tego tematu. Jak się pomylę, urwą mi jaja — mruknął profiler, ale Doman widział, że był poruszony jego sugestią.

— Fakt, Cycu się przyznał. Jakby były jakieś wątpliwości, już dawno byśmy mieli zażalenie na biurku starego.

— Zgadza się. Wytrzeźwiałyby i zaraz po detoksie rozpoczęłyby epistolografię — potwierdził Meyer. — Strasburg, Fundacja Helsińska i dla was wnioski o odszkodowanie. Bankowo. Jeśli o to pytasz, tak, martwi mnie, że dziewczynka zapadła się pod ziemię. Albo ten ktoś dużo wie o naszej robocie i ma doświadczenie kryminalne. Albo...

— Albo co? — dopytywał się zaciekawiony Doman.

— Nie jest łatwo zjednać sobie zaufanie dziecka. Zaś uprowadzenie go siłą musiałyby być zauważone. Tymczasem nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. To nie jest normalne. Zwłaszcza jeśli chodzi o zaginięcie grzecznej dziewczynki. Może więc mała zna sprawcę i ufa mu. Może powinienem już mówić o niej w czasie przeszłym.

— Przecież mówiłeś, że matka jest czysta.

— Tego nie powiedziałem — zaprzeczył szybko Meyer. — Wręcz przeciwnie. Jest jedną z ważniejszych podejrzanych. Słyszałeś o syndromie Medei?

Doman udał, że rozumie, ale patrzył na Meyera wyraźnie zagubiony. Medea kojarzyła mu się z jakimś pojęciem ze szkoły. Słyszał dzwon, ale nie wiedział, skąd dochodzi dźwięk.

— Kobieta odrzucona przez mężczyznę mści się na nim, odbierając mu jego dzieci, które darzył miłością — pośpieszył z wyjaśnieniem Meyer. — Kocha je, nawet bardzo. I dlatego zabija. W ten sposób chce je ochronić przed złem tego świata, bo sama go doświadczyła. Bo skoro ojciec ich dzieci wyrządził jej krzywdę, to świat jest zły.

— Brzmi jak większość tych twoich psychologicznych bredni.

— To Eurypides. — Meyer pokręcił głową zde gustowany. — Czasem po wszystkim próbuje zabić też siebie. Albo ucieka.

— Marlena i samobójstwo? Nie wierzę. I dlatego miałyby zabić córkę?

— Mówię o archetypie, nie o Marlenie — powstrzymał go Meyer. — Tylko że Medea nie ukrywa zwłok, przeciwnie — eksponuje je. Publicznie ogłasza swoją krzywdę. Nie zaprzecza, że to zrobiła, lecz mówi: „Tak, jestem zła. Nawet więcej: wy pozwoliliście nas krzywdzić, więc patrzcie. Nie mam wyjścia, to moja tarcza. Bójcie się, bo nie mam już nic do stracenia”.

Doman z trudem powstrzymywał ziewanie.

— Poczytam sobie.

— Powinieneś. W twojej sytuacji... — zażartował Meyer. — Nigdy nie wiesz, jak zareaguje odrzucona małżonka.

Widząc jednak ponurą minę Domana, zaraz spoważniał: — Więc zgoda. Załatw mi akta zabójstwa Amadeusza Jekela. Co za rodzice dają tak dziecku na imię?

— Jak to jacy? Florystka i drwal.

— Jej mąż jest drwalem?

— Był. Na rękę bym z nim nie wygrał. Florystka i drwal. Czaisz? Samo wychodzi, że dziecko będzie miało na imię jakoś debilnie: Amadeusz albo Emanuelle.

— Kompensacja — mruknął pod nosem Meyer.

— Znów Eurypides?

— Słownik języka polskiego.

Im bliżej byli schodów, profiler był coraz bardziej pewien, że to Lena. Nie miała już długich blond włosów, ale prostą fryzurę, na grzecznego boba. Była w spodniach i prostym marynarskim t-shircie, na który narzuciła skórzaną kurteczkę. Zdawało się, że to zupełnie inna osoba. W drugim rozmówcy Meyer rozpoznał Pileckiego. Podinspektor wyglądał na przychylnie nastawionego do kobiety. Meyer pierwszy raz widział jego rozpromienioną twarz. Do niego ani razu się w ten sposób nie uśmiechnął. Hubert sam nie wiedział dlaczego, lecz bardzo go to zaniepokoiło. Znów cholerna intuicja? Przeczucia, flesze, wizje, których nie potrafił wyjaśnić. Pewnie dlatego został psychologiem. By móc to wszystko racjonalizować. Na razie musiał odpuścić analizę, bo Pilecki wyraźnie miał im coś do zakomunikowania. W naturalnym świetle Meyer dostrzegł ślady siwizny na jego skroniach. Wcześniej tego nie zauważył.

— I już są — mruknął Pilecki do Leny i momentalnie zdjął dłoń z jej ramienia, po czym zwrócił się do Meyera: — Chciałbym panu kogoś przedstawić. — Wskazał wzrokiem Awe i uśmiechnął się.

Lena odwróciła się. Na jej twarzy nie było nawet śladu uśmiechu. Długo na siebie patrzyli, ale żadne z nich nie dało po sobie poznać, że się znają. Doman stał z tyłu i obserwował ich.

— Hubert Meyer, mistrz profilowania. Komisarz Tomasz Domański, mój człowiek — powiedział, po czym kurtuazyjnie wskazał kobietę: —

Pani doktor Lena Pawłowska. Chyba mogę już tak mówić? Najładniejsza polska profilerka.

Meyer dostrzegł, że Awe w zaciśniętych ustach ukryła przekleństwo, jakim chciała poczęstować Pileckiego za ten wątpliwy komplement. Powstrzymała się jednak. Zamiast tego uśmiechnęła się i odparła rezolutnie:

— Jak na razie najzdolniejsza kobieta w tej branży w Polsce. A doktorat jest u recenzenta. David dał mu najwyższe noty — sprostowała.

Lena przywitała się ze wszystkimi po męsku, w dalszym ciągu udając, że się z Meyerem nie znają.

Doman szybko cofnął dłoń i skrzywił się lekko. Nie lubił bojowych kobiet, zwłaszcza nieskromnych i zarazem atrakcyjnych. Zawsze miał wątpliwości co do ich inteligencji.

— My się nie poznaliśmy? — Lena zwróciła się do Domana. Ten zdziwił się.

— Nie sędzę. Przez kilka lat byłem za granicą na służbie — dodał.

Lena pokiwała wyrozumiale głową. Hubert wyglądał na zajętego, nikt zresztą nie był skłonny do kontynuowania rozmowy. Zapadła niezręczna cisza.

— Świetnie, skoro się już poznaliście — zatarł ręce Pilecki — mogę uroczyście oświadczyć, że od tej chwili będziecie państwo pracować razem.

— Słucham? — Meyer nawet nie zamierzał ukrywać niechęci. — Chyba czegoś nie zrozumiałem, ale nie było o tym mowy. Ja pracuję sam — podkreślił.

Pilecki zmierzył go stalowym spojrzeniem.

— To rozkaz.

Meyer wyprostował się. Nie śmiał się dalej sprzeciwiać.

— To dla nas zbyt poważna sprawa, a czasu mało — kontynuował naczelnik. — Dwóch ludzi to nie jeden. Proszę ustalić szczegóły współpracy. Nie przyjmuję żadnych zażaleń. Pani Lena to doskonały fachowiec, studiuje i pracuje w Londynie, kończy doktorat u profesora Cantera. Wkrótce wraca na stare śmieci, może dołączy do naszego zespołu. My tu nie dyskryminujemy kobiet i o to samo pana proszę.

Meyer spiął się w sobie, był wściekły. Doman zaś zdecydował zostawić psychologów samych.

— Czekam na ciebie na górze — powiedział do Huberta i wszedł do komendy. — Zlecę przygotowanie materiałów, o które prosiłeś. Część będzie gotowa jeszcze na dziś.

Naczelnik, nie zwlekając dłużej, ruszył za nim.

— Zostawiam was z tym kłopotem — mruknął na odchodnym. Wyraźnie chciał uniknąć dalszych pytań. — Muszę choć trochę pomieszkać w domu. Proszę omówić sobie wszystko w cztery oczy. Ma pani moje błogosławieństwo. Ta decyzja nie zależy od pana — dodał i wskazał Huberta.

Odszedł lekko pochylony do przodu, jakby miał jakiś problem. Nie odwracał się, nie interesowało go, jak się dogadają. On swoją sprawę załatwił.

Meyer milczał. Lena wyciągnęła papierosa z paczki i zaczęła szukać w torebce zapalniczki. Hubert podał jej ogień. Teraz już zachowywali się jak znajomi, choć nadal milczeli. Wprawdzie nie wymieniali powłóczyстых spojrzeń ani kokieteryjnych uśmiechów, ale nikt nie wmówiłby staremu policyjnemu wydze, jakim był Doman, który wcale nie poszedł do swojego pokoju, lecz obserwował ich zza szyby, że tych dwojga nic nie łączy. Czuł, że coś tu nie gra, ale dopiero kiedy zbyt długo patrzyli na siebie podczas powitania, a Meyer wskazał jej włosy, tknęło go. Patrząc teraz na nich, dałby sobie rękę uciąć, że znają się nie tylko na gruncie zawodowym. Może był prostym chłopakiem, ale nie głupim. Czuł narastającą irytację. Takiej prywaty ze strony Meyera się nie spodziewał. Żeby podstępnie wkręcać w śledztwo swoją kobietę? Z trudem powstrzymał się, by do nich nie wyjść i nie rzucić kąśliwego komentarza. Wreszcie zrezygnował. Co się odwlecze, to nie uciecze. Przyłożył kartę chipową do bramki i ruszył schodami do swojego pokoju.

Meyer nie był zadowolony z nagłego pojawienia się Leny w białostockiej komendzie. W głowie kotłowały mu się różne myśli. Nie miał pojęcia, jak go tu znalazła, skąd zna komendanta i czego chce. Nie wyglądała dziś tak wystrzałowo jak ostatnio, choć nawet gdyby

założyła pokutną szatę i tak nie udałoby jej się ukryć swojej atrakcyjności.

— Co to jest? — zapytał, wskazując jej fryzurę. Praktycznie granatowe włosy nie pasowały do jej typu urody. Wyglądały sztucznie, jak peruka. Lena wpatrywała się w niego, mrużąc oczy od słońca, a w kąciku ust błąkał się szelmowski uśmiech.

— A gdzie broda Rumcajsa? — odpowiedziała pytaniem na pytanie. Zamilkł.

— Chodziło mi o to — wybrnął sprytnie, wskazując szramę koło ucha. — Dawno to masz?

— Odkąd się znamy. Zawsze miałam.

— Tak? — Zmarszczył brwi. — Nie zauważyłem.

— Właśnie — odparła Lena, zaś on wpatrywał się w nią, nie rozumiejąc.

Milczeli dłuższą chwilę. W końcu pochyliła głowę wyraźnie zniechęcona.

— To nie ode mnie wyszło — powiedziała. — Piła mnie wezwał.

— Tak? — Nie uwierzył jej.

— Boisz się — zaatakowała.

— Niby czego? — burknął.

— Że się na tobie uwieszę. Przyczepię jak rzep i nie będziesz mógł się mnie pozbyć — wyjaśniła i nie czekając na jego odpowiedź, dodała: — Profesor Knut zadzwoniła do mnie w sprawie twojego psa. Opowiedziała mi wszystko.

— Co z nim? — spytał Meyer łagodniejszym głosem. W duchu odetchnął z ulgą. Awe nie chciała robić scen. Był bezpieczny. Chciała tylko pogadać o psie. To nie dotyczyło ich relacji ani pracy. Tego ostatniego z nią w duecie zupełnie sobie nie wyobrażał.

— Wszystko dobrze. Jest przydatny — odpowiedziała powoli i nieoczekiwanie uśmiechnęła się. — Cieszę się, że zmieniłeś zdanie. Jestem pewna, że dobrze się nim zajmą. Choć chyba dostał pcheł.

— Nie miałem wyjścia. Musiałem tu przyjechać. Mam tutaj małą robótkę — przerwał.

Lena zgasiła papierosa i spojrzała na profilera badawczo. Nie podobało jej się, że uparcie stara się od niej odgrodzić.

— Wiem przecież, mam ci pomagać — podniosła głowę. — Sami do mnie zadzwonili. Szef dał mi na ich polecenie urlop, żebym mogła być oddelegowana do tej sprawy. Nie wahałam się nawet minuty. Szkoda byłoby stracić taką okazję.

Meyer wyczuł w jej głosie niepewność. A więc jednak miał coś do powiedzenia. Nie odpowiedział, ale też nie zaprotestował, co wyraźnie dodało Lenie animuszu.

— Pochodzę z tego miasta — mruknęła. — Tutaj się urodziłam, tu zaczynałam jako asystentka komendanta. Dobrze się z Piłą znamy. Był dla mnie jak ojciec. Wtedy jeszcze studiowałam, myślałam o pracy z autystycznymi dziećmi. Nic nie wiedziałeś? Dlaczego nic nie mówisz?

— Po prostu jestem trochę zaskoczony — grał na zwłokę Meyer.

— Pamiętam sprawę zaginięcia Amadeusza. Całe miasto tym żyło. Teraz podobna historia. Myślisz, że te sprawy wiążą się ze sobą?

— Nie sędzę. — Meyer westchnął ciężko.

— Pilecki wezwał mnie, ale nie powiedział dlaczego. Może boi się, że mamy do czynienia z seryjnym? — ciągnęła Lena. — Chyba trzeba potwierdzić lub wykluczyć tę hipotezę.

Hubert z trudem ukrył narastającą irytację. Dlaczego sam musi do wszystkiego dochodzić, podczas gdy inni idą na skróty? Pilecki nie sugerował mu niczego takiego, ale tej dziewczynie powiedział o swoich wątpliwościach. Był na niego zły, bo zrozumiał, że jednak nie do końca mu ufał. Co jeszcze trzymał pod stołem?

— Jeszcze wiele się musisz nauczyć — odpowiedział i od razu się zawstydził. Zabrzmiało to tak, jakby się mądrzył. — Nie ma żadnych przesłanek. Filmów się wszyscy naoglądali. Amerykańskich. Jeśli będzie trzeba, pogadamy z człowiekiem, który siedzi za to zabójstwo. Masz jakieś inne ubranie?

Lena poprawiła bluzkę i spojrzała na swoje odbicie w szybie. Przez moment chciała coś kąśliwie odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie.

— Mam wiele rzeczy, w których nie będę przypominała kobiety, jeśli o to ci chodzi.

— Wątpię — mruknął Meyer.

— Czy to znaczy, że się zgadzasz?

— Na co? — odparł pytaniem na pytanie. Zawsze unikał radykalnych ocen i rzadko deklarował ostatecznie swoje sądy; także teraz złożenie

obietnicy ciężko przechodziło mu przez gardło.

— Na to, żebym ci pomagała. Jako psycholog i jako kobieta.

Nie mrugnął nawet okiem. Lena podniosła do góry dwa palce, jak do przysięgi.

— Bez zobowiązań. Tylko ta jedna sprawa.

— Może. — Uśmiechnął się, jakby drocząc się z nią, i podniósł rękę w geście powstrzymania potencjalnych objawów radości kobiety. — To tylko taki test, próba. Bez zobowiązań.

— Jasne — przyznała psycholożka i dodała skwapliwie: — Będziesz miał ze mnie pożytek.

— Zobaczmy — mruknął i ruszył do komendy. Lena podążyła za nim jak cień.

— A ty gdzie? — odezwał się niezadowolony.

Zrobiła minę sierotki, jakby czegoś nie zrozumiała.

— Jak to gdzie? Do Domana. Będziecie mówić o sprawie. Ja chyba też powinnam...

Hubert nie pozwolił jej dokończyć.

— Biorę tylko materiały. Widzimy się jutro na odprawie.

Lena wzięła się pod boki.

— Nie ma takiej opcji — postawiła się. — Zakwaterowali mnie w tym samym hotelu co ciebie. Od lat już tu nie pracuję. Na stałe jestem w Londynie. Jak wrócisz, chcę pomówić o Zosi. Rozdzielimy obowiązki.

— Jak to rozdzielimy?

— Normalnie. Ja robię coś jednego, ty coś drugiego. Oszczędzimy wiele czasu. Nie musisz wszystkiego brać na siebie.

— Zobaczmy. Ja mieszkam gdzie indziej — skłamał i po prostu odszedł. Lena zdumiona długo wpatrywała się w jego plecy.

— Ty, słuchaj! — krzyknęła, nie kryjąc wściekłości.

Meyer nie odwrócił się. Zwyczajnie ją zignorował.

Aleksandra Jekel jednym zdecydowanym ruchem rozwinęła pęk amarylisów i włożyła je według kolorów do stojących na zapleczu hoboków. Nie zachwycała się nimi, choć dzisiejszy towar był wyjątkowej jakości. Dla niej to były rekwizyty. Materiał do pracy. Przystąpiła do metodycznej obróbki. Obrała kwiaty ze zbędnych liści, podcięła sekatorem końcówki. Ustawiła symetrycznie, każdemu z

kwiatów pozostawiając odrobinę przestrzeni, by nie zachodziły na siebie, co mogło spowodować nieestetyczne zagniotki na płatkach lub zbytne oprószenie pyłkiem z pręcików. W chłodnej, lecz nie lodowatej wodzie miały prawo stać tylko łyse łodygi. Wtedy kwiaty żyły dłużej i lepiej wyglądały w bukietach. Każdy niepotrzebny kawałek rośliny w wodzie przyspieszał ich zgon. Ola wiedziała, że procesy gnilne zaczynają się już po jednym dniu stania w wazonie, a jeśli kwiaty są nieświeże, wszystko odbywa się szybciej i błyskawicznie przenosi się na pozostałe, choćby były najzdrowsze. Pracowała w tej branży już piętnaście lat i wiedziała, jak rozpoznać rośliny stare, podrasowane chemią, jeszcze zanim laik zauważyłby podeschnięte płatki czy zwinięte liście. Na giełdzie kwiatowej sprzedawcy robili cuda, byle wypchnąć towar jak leci. Ci, którzy stawiali pierwsze kroki w tym biznesie, nabierali się na te numery nawet przez pierwsze lata pracy. Jej badylarze nawet nie próbowali wciskać kwiatowych trupów. Znała się na roślinach i potrafiła utrzymać nosa nieuczciwemu sprzedawcy. Zresztą miała sprawdzonych dostawców i nawet jeśli ceny u nich nie były wyjątkowo atrakcyjne, płaciła, dla zasady.

Klimatyzacja w kwiaciarni pomagała nieco dłużej zachować świeżość kwiatów, ale nie powstrzymywała całkiem procesów gnilnych. Mimo protestów współpracownicy, z którą Ola od lat prowadziła ten biznes, raz w tygodniu do kontenera na śmieci trafiało kilka stu dwudziestolitrowych czarnych worków z kwiatowymi zwłokami. Niektóre wcale nie były w takim złym stanie. Wiele firm próbowałoby je sprzedać w bukietach. Ola także umiałaby wykonać obłędnej urody wiązanek z zamaskowanym martwym kwiatem, czego klienci na pewno by nie zauważyli, ale gardziła kolegami po fachu, którzy tak postępowali. Nie nasączała roślin narkotykami, choć na rynku było ich mnóstwo, nie spryskiwała żywych trupów nabłyszczaczem. Nie reanimowała, jeśli widziała, że chciałyby już umrzeć. Pozwalała im odejść w spokoju. Taką miała zasadę. Oczywiście miała też świadomość, że to nieekonomiczne i konkurencja tak nie postępuje, ale też właśnie dlatego jej firma była synonimem dobrej jakości towaru oraz niekonwencjonalnych rozwiązań dopasowanych do potrzeb klienta. Ola, zanim wykonała wiązanek, długo rozmawiała z ludźmi, którzy

przychodzili do niej po bukiety. Wiedziała, że kwiaty to towar specyficzny. Muszą być dobrane indywidualnie, idealnie trafić w gust i zapotrzebowanie. Wykonywała więc także bukiety tandetne, na które sama nawet by nie spojrzała. Klienci jednak wychodzili zadowoleni, jak od wziętej krawcowej, która szyje na miarę. Kiedy zaś okazywało się, że kwiaty z „Ogrodu Aleksandry” stoją w domach, firmach i kościołach kilkakrotnie dłużej niż te z innych kwiaciarni, po jakimś czasie wracali właśnie do niej. Czasem jechali z drugiego końca miasta, zamawiali telefonicznie lub przez internet. Wiedzieli, że Ola nie wciśnie im chłamu. Kiedy ktoś kupował kwiaty, wiązało się to z jakąś okazją, wyjątkowym dniem lub znaczącym wyznaniem. Ola tak naprawdę była dobrym psychologiem i słuchała ludzi. Umiała z nimi rozmawiać. Wiedziała, że świąt nie celebruje się tandetą. Kwiaty to nie kawałek badyla z liśćmi, nieważny jest ich kolor ani ozdoba, lecz komunikat, jaki ze sobą niosą. Każdy z gatunków był dla ludzi jakimś symbolem. Nie chodziło o staromodny podział, że kalie daje się na pogrzebach, a żółte róże to znak zdrady. Ola dobierała je intuicyjnie do człowieka i historii, z którą do niej przyszedł. Prawie nigdy się nie myliła. Ludzie przychodzili do niej, by pomogła im się ze sobą porozumiewać. Kwiaty były rodzajem języka, a ten przekaz był często doskonalszy niż słowa. Ola zaś była tłumaczką, przekładała ich emocje na bukiety. A ponieważ była tego w pełni świadoma, trwała tyle lat w branży, osiągając coraz większe sukcesy.

Ola zerknęła na zegarek. Autobus miała za pół godziny. Następny będzie dopiero kwadrans po dziewiętnastej. Powinna była już dawno skończyć przyjęcie towaru, a wciąż jeszcze piętrzyło się przed nią dużo pracy: księgowanie, rozłożenie ozdób, dodatków, ustawienie świeżych kwiatów na ladzie, przecena tych, które jutro rano mogą trafić do śmietnika, jeśli do wieczora nie znajdą nabywców. Wprawdzie lokal zamykała dopiero o dziewiątej, wraz z zamknięciem centrum handlowego, ale chciała dziś wyjść wcześniej, by porozmawiać z Elizą. Przed wyjazdem na kursy do Łańcuta przyjaciółki mocno się pokłóciły. Ola miała poczucie winy, że nie była wystarczająco delikatna. W końcu Eliza bardzo jej pomagała, zniosła tyle jej wyskoków, depresję, zamykanie się w sobie i ataki złości. Zawsze jednak, nawet po

największej kłótni, wracała, żeby się pogodzić. Powtarzała wtedy, że tak bardzo się stara zrozumieć Olę. To prawda, że dotąd zawsze to Eliza wyciągała pierwszą rękę do zgody i próbowała ją udobruchać. Teraz jednak nie odezwała się od tygodnia, choć Ola wiedziała, że wróciła już do Białegostoku. Może ostatnio naprawdę przesadziła i Eliza na dobre chciała zerwać z nią kontakt? Ostatnio ich relacje nie były najlepsze. Ola podejrzewała, że z przyjaciółką dzieje się coś złego. Musiała się pośpieszyć. Tym razem to ona spróbuje przeprosić Elizę. Czuła, że jest w stanie. Dziś tak, dziś porozmawiają. Eliza miała tylko telefon stacjonarny, nie używała komórki ani komputera. Nie dlatego, że nie potrafiła obsługiwać tych urządzeń. Po prostu ich nie potrzebowała. Każdy, kto chciał ją znaleźć, mógł zadzwonić do domu lub do szkoły. Ola już kilka razy chwyciła słuchawkę, ale rezygnowała. Wiedziała, że o tej godzinie Eliza pewnie jeszcze śpi. Codziennie do siedemnastej robiła sobie poobiednią drzemkę, a od osiemnastej przyjmowała uczennice na prywatne lekcje. Zbudzi się za jakieś pół godziny, wyłączy telefon, bo w trakcie pracy lubiła być skoncentrowana na dźwiękach instrumentu, a nie świecie zewnętrznym, a rano pójdzie do szkoły. Jeśli teraz Ola się z nią nie rozmówi, znów się miną. Dla Oli jutro miał być ciężki dzień. Będzie stała za ladą przez niemal dwanaście godzin. Wspólniczka musi pilnie wyjechać załatwić coś u rodziny na wsi. Ola wyjdzie więc z domu przed siódmą, wróci nie wcześniej niż przed dwudziestą drugą. To zmotywowało ją do przyspieszenia działań. Zaczęła od papierkowej roboty, potem wzięła się za przestawianie kwiatów w przestronnym wnętrzu.

W przeciwieństwie do ciemnego i ciasnego zaplecza główny lokal był przeszklony i urządzone w nowoczesnym stylu. Tylko półprzezroczysty plastik udający alabaster, aluminium i szkło. Wszechobecna biel nie tylko sprawiała, że pomieszczenie wydawało się ogromne, a kwiaty stawały się jedynym elementem kolorystycznym, co je doskonale eksponowało, ale panował tu pozór estetycznego chłodu, niczym w pałacu królowej śniegu. Florystka musiała myć wazony dwa razy dziennie, bo choć szkło było mleczne, jakby pokryte szronem, znać było na nim każde zabrudzenie. Agnieszka, wspólniczka Oli, przeklinała ten pomysł, na który się zgodziła, kiedy zakładały razem spółkę, ale nie

opłacało im się teraz zmieniać wystroju. Wszystkie pieniądze inwestowały w dwie kolejne filie: „Secesję” w centrum, na Lipowej, tuż koło deptaka i „Tajemniczy Ogród” w okolicy cmentarza świętego Rocha. „Tajemniczy Ogród” przez lata był zwykłą budą, która jednak przynosiła spory zysk. Teraz wspólniczki wynajęły mały kiosk, który zaadaptowały na kwiaciarnię z prawdziwego zdarzenia. Ola od śmierci syna praktycznie tam nie bywała. Wystrojem wewnątrz obu filii miała zająć się Agnieszka i Ola była prawie pewna, że będą to raczej rustykalne lub bogato zdobione przestrzenie, ale nie miała nic przeciwko temu. Umówiły się, że jednym z tych miejsc będzie zarządzać Agnieszka, zostawiając „Ogród Aleksandry” pod całkowitą opieką Oli.

Choć czuła zbliżający się potworny ból głowy (ataki miała ostatnio coraz częściej i coraz gorzej je znosiła), powtórzyła rytuał z podcinaniem i układaniem róż, tulipanów i reszty kwiatów, które tego ranka przywiozła z giełdy. Niektóre nie lubiły tak niskiej temperatury i ciemności, wyniosła je więc na ladę do sali wystawowej. Żonkile oddzieliła od reszty. Te kwiaty to straszni egoiści. Jeśli przypadkiem zaplątałyby się wśród nich jakaś róża czy goździk, zatrutyby je bez skrępowań. Ustawiła wazony w rzędzie. W jej ruchach była rutyna i pewność, że to, co robi, jest całkowicie słuszne. Działała sprawnie, szybko i dokładnie. To nie były tylko lata praktyki, lecz wrodzone cechy predestynujące człowieka do wykonywania tego zawodu.

Ola była uważana w mieście za florystkę z powołania. Właśnie za florystkę, a nie zwykłą kwiaciarkę, jak na przykład Agnieszka. Choć wspólniczka lubiła się ogrzać w sławie Oli i naśladowała ją we wszystkim, była tylko jej niedoskonałą kopią. Naśladowała sposób wykonywania bukietów i dekoracji, choć w końcu ludzie i tak prosili, żeby to Ola się nimi zajmowała. Ola nosiła się klasycznie i na czarno, w kwiaciarni były więc zawsze dwie „wdowy” za ladą. Agnieszka naśladowała ją nawet w rozmowach z klientami. Ale nie umiała wyczytać, jakie są ich oczekiwania. Nigdy nie pojęła, że nie przychodzą po kwiaty, ale po komunikat. Była jednak zorganizowana, uporządkowana i solidna. Niestety, nie tak utalentowana jak wspólniczka. Ola była wizjonerką, to dzięki niej firma tak dobrze prosperowała. Regularnie wygrywała ze swoimi florystycznymi

projektami międzynarodowe konkursy, była nawet na mistrzostwach świata w Seulu. Jej dekoracje ślubne i komercyjne były czasem szokujące, zdradzały florystyczny geniusz, jeśli coś takiego istnieje, bo Ola nigdy nie traktowała swojej pracy poważnie. Florystyka pojawiła się w jej życiu przypadkiem. Ale skoro tak się stało, starała się wykonywać swoją pracę jak najlepiej. Niektórzy nawet mówili, że dawała z siebie wszystko. Cieszyło ją to, że jej propozycje wzbudzają zachwyty. To dla tych zachwytyłów pracowała. Nie dla pieniędzy, choć kwiaciarnia była jedną z droższych w mieście. Ola nie liczyła sobie tanio, co cieszyło Agnieszkę, która obsesyjnie pilnowała, by to się nie zmieniło. Przez krótki czas Ola pracowała także poza Białymstokiem. Tworzyła projekty wirtualnie i sprzedawała je przez internet. Kiedy jednak stwierdziła, że wirtualne dekoracje sprawiały jej więcej radości, tę pracę przejęła Agnieszka. Z odtwarzaniem wiernych kopii zaprojektowanych przez Olę radziła sobie całkiem nieźle.

W ciągu czterdziestu minut uporowała się prawie ze wszystkim. Mimo pośpiechu amarylisom poświęciła najwięcej czasu. Były to ulubione kwiaty jej syna. Ona sama darzyła je wyjątkową atencją. Nic więc dziwnego, że jako jedyny gatunek zdobyły wystawę w formie minimalistycznego rzędu doniczek. Wszystkie w kolorze białym, niemal identyczne, niczym zgodna kwiatowa rodzina. Ola potrafiła je jednak odróżniać. Dla niej każdy kwiat był wyjątkowy, miał odmienny charakter oraz upodobania, które dobrze znała i starała się zaspokajać. Sama je pielęgnowała, a odkąd zmarł Amadeusz, nie pozwalała ich nikomu dotykać. Posadziła je w dniu jego pogrzebu, na który zresztą nie poszła. Nigdy nie uwierzyła, że syn ją opuścił. Od ponad czterech lat wciąż czuła gdzieś wokół siebie jego obecność: zapach, głos, a potem nawet dotyk. Nie chodziła na cmentarz, mimo protestów ludzi, w tym księdza, bo dla niej syn wcale nie umarł. Nie chciała go pamiętać jako martwe ciało, lecz jako żywego człowieka. Jej najukochańsze i jedyne dziecko. To dlatego wymusiła na Agnieszcze zgodę na to, żeby Ola nie pojawiała się w „Tajemniczym Ogrodzie”. Ta kwiaciarnia znajdowała się zbyt blisko nekropolii, gdzie pochowano jej syna. Symbol dziecka Ola miała na wystawie kwiaciarni. Dzięki temu czuła się tak, jakby on sam wciąż z nią był. Amarylisy bezsprzecznie przypominały jej o

Amadeuszu, bo tak jak on nigdy nie umrą, co najwyżej zasną w cebuli na jakiś czas. Te niezwykle rośliny potrafiły w uspieniu czekać na swoje przebudzenie nawet rok. Choć nigdy nie było pewności, czy odżyją i zakwitną. To w końcu żywe stworzenia, choć dla innych tylko kwiaty. Pewnie też dlatego, mimo że w wersji ciętej były stosunkowo drogie, jak na warunki niewielkiego Białegostoku, klienci zawsze mogli je nabyć w jej kwiaciarni. Ola słynęła z ich kompozycji i promowała je od lat.

Ola nikomu poza Elizą nie zwierzała się z tego, że ma kontakt z duchem zmarłego dziecka. W mieście przez lata i tak miała opinię wariatki. Tuż po śmierci Amadeusza otwarcie rozmawiała z nim, nawet przy obcych. Ludzie patrzyli na nią dziwnie. Początkowo, owszem, nawet bała się, jak się to rozwinie, a nawet broniła przed demonem dziecka, który — jak twierdził ksiądz — mógł ją opętać. Potem się przyzwyczaiła. Amadeusz sam wyjaśnił jej, dlaczego wrócił. Obiecał, że któregoś dnia wreszcie zabierze ją do siebie. Opowiadał o pięknym Ogrodzie, w którym rosną najpiękniejsze kwiaty na świecie, mężczyźni nie poniżają kobiet, a psy się nie gryzą. Ola słuchała tego jak wspaniałej bajki. I którejś nocy faktycznie się tam znalazła. Wierzyła, że to nie był zwykły sen. Miała wrażenie, że jak szamanka weszła w trans i choć jej ciało pozostało wśród żywych, ona sama udała się w podróż w zaświaty. Pierwszy raz była w tej krainie tylko przez chwilę, wróciła bezboleśnie, czując, że odtąd syn będzie się nią opiekował. Potem była tam częstym gościem. Nie mogła jednak bawić się z Amadeuszem ani jeść poczęstunku, który oferowały jej inne duchy. Bo poza nim słyszała tam czasem śmiech innych dzieci. Nigdy nie widziała ich na własne oczy. Amadeusz twierdził, że są w dalszej części Ogrodu. On też nie mógł się z nimi bawić, choć bardzo tego chciał. Kiedy zwierzyła się z tego Agnieszce, ta nasłała na nią księdza. Nie był to prawdziwy egzorcysta, lecz proboszcz z sąsiedniej parafii. Ola słuchając go, czuła, że traci wiarę w Boga. Wyrzuciła go z mieszkania i nie zgodziła się na odprawienie nawet jednego rytuału. Sprawa szybko się rozniosła. Ludzie na jej widok pokazywali kółka na czole. Ksiądz głosił swoje z ambony, a Ola dalej odwiedzała Ogród dziecka, tyle że w tajemnicy. Wizyta księdza uświadomiła jej jedno: nikt jej nie uwierzy. Tylko jedna Eliza zaakceptowała ten unikalny kontakt, jaki Ola miała ze zmarłym

synem, i wspierała ją w tym. Powtarzała jej często, że to dar, coś wyjątkowego, inny wymiar matczynej miłości, której nie każdy może doświadczyć, więc Ola winna się temu poddać. Wkrótce Amadeusz też przyznał jej rację. Zażądał, by Ola zachowała ich związek w tajemnicy.

Ola na zewnątrz funkcjonowała więc całkiem zwyczajnie, a ludzie gratulowali jej powrotu do zdrowia. Nigdy więcej nie zdradziła się z tym, że Amadeusz wciąż z nią jest. Cena za to była jednak wysoka. Ola nie mogła jeść, miała kłopoty ze snem. Bóle głowy rozsadzały jej czaszkę. Były tak potworne, że gdyby nie wiara, iż dzięki temu wkrótce znów odwiedzi syna, gotowa byłaby umrzeć. Za namową Elizy zaczęła się leczyć. Lekarze pyta ją, jak żyje, co je, czy pije alkohol, pali. Nie znajdowali usprawiedliwienia dla takich cierpień. Diagnozy były niepokojąco sprzeczne: od migreny po guza mózgu. Poddała się tomografii komputerowej; zmian w mózgu nie było. Z medycznego punktu widzenia była zdrowa. Pielgrzymki od jednego medyka do drugiego tylko ją wyczerpały. Bała się, że któregoś dnia straci kontakt z dzieckiem. Eliza zaproponowała wizytę u psychiatry. Na jednym specjalście się nie skończyło. Ci z kolei nie widzieli żadnego problemu. Zamiast leczyć, tłumaczyli jej jak dziecku, że to normalne symptomy żałoby.

— Wrażenie, że syn jest obok pani, a nawet słyszenie i widzenie ducha dziecka jest rzeczą normalną — wyjaśniła Oli pani profesor z białostockiej Akademii Medycznej, do której po znajomości zapisała ją Eliza. — Gwałtowna śmierć osoby bliskiej, niemożność pogodzenia się z nią, jako krzywdą, którą niesprawiedliwie pani uczyniono, to jeden z etapów żałoby. Jest ich cztery, musi je pani dzielnie przejść, a potem sytuacja wróci do normy. O hospitalizacji nie ma nawet mowy. Widzę, że dobrze sobie pani radzi, widziałam pani kompozycję w urzędzie miejskim — podkreśliła lekarka i zapisała silne leki psychotropowe, po których Ola traciła przytomność, mówiła od rzeczy lub wymiotowała żółcią. Tak było też z innymi lekarzami, do których trafiała. W efekcie czuła się jak królik doświadczalny. Wtedy Eliza zaproponowała, żeby Ola zaczęła pisać. Eliza brała od niej listy i wysyłała do znanych ekspertów. Oli ten pomysł się spodobał. Liczyła, że z czasem któryś z medyków jej uwierzy. Być może wreszcie ktoś wpadnie na pomysł, by

gruntownie zbadać jej mózg. Być może faktycznie była medium, jak sugerowała Eliza. To zadziało rewelacyjnie. Ola dosyć szybko mogła odstawić silne leki, a co najważniejsze — znów nawiązała kontakt z dzieckiem. Od razu poczuła się lepiej. Amadeusz mówił do niej, słyszała wyraźnie jego myśli, ale odpowiadała mu tylko wtedy, kiedy miała pewność, że nikt tych rozmów nie słyszy.

Kiedyś powiedział, że długo go nie będzie. Prosiła, żeby zabrał ją ze sobą. Była gotowa umrzeć. Poszła nawet do lasu i spróbowała się powiesić na pasku od sukienki. Wtedy Amadeusz ją uratował. „Jeszcze nie teraz — powiedział. — Powiem ci, kiedy”. Kazał jej przyrzec, że nikt nigdy nie dowie się o szczegółach ich więzi, nawet Eliza. Wtedy on wróci i już nigdy jej nie opuści. Była taka szczęśliwa. Ten czas oczekiwania na jego ponowny powrót był najtrudniejszy ze wszystkich po jego śmierci. Wtedy naprawdę poczuła, jak bardzo za nim tęskni. Przyrzekła sobie, że od tej chwili już zawsze będzie go słuchała. Będzie dobrą matką. Wrócił, ale milczący. Czowała jego obecność, lecz nie dane jej było go słyszeć. Najpierw przeszła szereg testów. Sprawdzał, czy wciąż w niego wierzy. Czynił cuda. Uśpione amarylisy zakwitły w jedną noc. Jego ubrania spadły z wieszaków, choć jej rzeczy nadal pozostały na swoim miejscu. Na kuchence pojawiał się ogień. Drzwi otwierały się same. Woda nieoczekiwanie zaczęła lecieć z kranu. Zniszczył jej wszystkie kolorowe ubrania. Pozostawił tylko te czarne i w stonowanych barwach, jakby rozkazał, by wciąż nosiła żałobę. A może chciał, żeby nigdy o nim nie zapomniała? Faktycznie, poszła wtedy na imieniny Agnieszki i dobrze się bawiła. Kiedyś we śnie wyciął jej pasmo włosów. Myślała, że chciał mieć z niej coś, co będzie mu ją przypominało w Ogrodzie, ale wtedy się odezwał i wyjaśnił: „Chcę mieć matkę, nie koleżankę”. Kiedy się obudziła, zorientowała się, że to się stało naprawdę. Jej długie włosy leżały obok łóżka, a na głowie sterczały kosmyki wycięte na chybił trafił. Była wtedy lekko przerażona. Podejrzewała nawet Elizę, ale drzwi były zamknięte, a poza nią w mieszkaniu nie było nikogo. Tego samego dnia ostrzygła się na krótko i już nigdy nie nosiła włosów dłuższych niż za ucho. Potem już nigdy nie bała się ducha dziecka. Wszystko zrozumiała. To była pamiętka. Ona sama też przechowywała jego kosmyk, ząb mleczny i

obrączkę ze szpitala, jaką zakłada się noworodkom. Kiedy za nim tęskniła, było jej źle lub smutno, oglądała te przedmioty jak relikwie. Wiedziała, że to był Amadeusz, choć wtedy już go nie słyszała. Nadal jednak z nim rozmawiała. Podziękowała za te niespodzianki i czekała na jeszcze. Zaakceptowała to, że został z nią, choćby w tak dziwnej formie. Wtedy spotkała ją nagroda: zaczęła regularnie zapadać w trans. W zamian za okazane zaufanie pozwolił jej udać się do swojej krainy. Ola była tam wielokrotnie, narysowała nawet mapę tych światów, które poznała dzięki Amadeuszowi.

Na zewnątrz starała się żyć normalnie. Wróciła do pracy. Kontaktowała się z ludźmi, jak kiedyś. Tak w każdym razie myśleli wszyscy dookoła. Gratulowali, że jej stan się poprawił. Próbowali ją swatać z mężczyznami. Grzecznie dziękowała, starając się nikogo nie urazić. Nikomu nie wspominała już o duchu, który nawiedzał ją w najmniej oczekiwanym momencie. Z czasem nauczyła się kontrolować swoje zachowanie, by nie wzbudzać w ludziach wątpliwości co do jej stanu. Wiedziała już, że nie znajdzie wsparcia. Dla nich była chora albo opętana. Trzeciej możliwości nie było. A przecież ona tylko bardzo kochała swoje dziecko. Ale już nie przejmowała się tym, co myślą inni. Starła się funkcjonować na tyle, na ile pozwalały jej siły. Czasem brała zwolnienie lekarskie i pozwalała sobie na utratę kontaktu z rzeczywistością. Tylko Eliza wiedziała wtedy, co się z nią dzieje. Gotowała lekkie rosołki, żeby Ola nie opadła z sił, podawała witaminy, faszzerowała tranem i świeżymi sokami. Ola ufała jej. W końcu znały się tyle lat. Eliza jako jedyna podała jej rękę w najtrudniejszym momencie. Wtedy praktycznie pomieszkiwała u Oli. To się działo stopniowo, powoli zносиła do niej swoje rzeczy. Kiedy Ola była w złym stanie, nie było innej możliwości — Eliza postanowiła, że będzie u niej nocować. Ola doceniała poświęcenie przyjaciółki. Wiedziała, jak trudno jest mieszkać pod jednym dachem z kimś takim jak ona, i starała się okazywać jej wdzięczność. Mieszkanie i wszystko, co miała, zapisała Elizie w testamencie. Dla Oli dobra materialne nie miały już żadnego znaczenia. Chciała tylko pójść w ślady syna. Czekwała na jego znak jak na zbawienie. Ale nie mogła opowiadać Elizie o spotkaniach z Amadeuszem, o ich miłości. Obiecała to synowi. Nie wolno jej było złamać danego słowa. On odszedłby wtedy na zawsze, a kontakt z nim

to było jedyne, co Oli pozostało. Eliza zaś coraz częściej miała o to pretensje. Zmieniła się. Narzekała, prowadziła z Olą wielogodzinne dyskusje, zmuszając ją do ujawnienia szczegółów, żądała wyjaśnień, odpowiedzi na pytania. Wreszcie podczas kolejnej awantury Ola zrozumiała: Eliza jest o Amadeusza zazdrosna. O jej miłość do syna, o jej zbyt częste odwiedziny w Ogrodzie. Tego Ola nie mogła jej dać. Sprzeciwiła się, pierwszy raz od lat. Powiedziała, że złożyła obietnicę i musi się z niej wywiązać. Eliza musi to zaakceptować. Jeśli nie, mogą się rozstać. Kocha Elizę jak matkę, szanuje jej poświęcenie, ale danego słowa nie złamie. Przyjaciółka żądała od niej zbyt wiele. Potem jakiś demon podkusił Olę i wykrzyczała Elizie, że jest z nią, bo nie ma nikogo innego. Ani miłości, ani przyjaźni. Emocjonalna próżnia. Muzyka to iluzja. A tylko to zostało jej do końca życia. To z własnej winy od lat jest sama, bo poza Olą nikt nie zniósłby jej dziwactw i tyranii. Niech zabierze swoje zupy, soki i tę stertę ubrań, które nieoczekiwanie rozpanoszyły się w jej domu. Jeszcze tylko brakuje, żeby postawiła tu swoją harfę. Będzie komplet. Tego było zbyt wiele. Eliza rozplakała się i wyszła bez słowa. Nie odezwała się przez ponad dwa tygodnie. Ola żałowała swoich słów, były zbyt okrutne. Dziś chciała wszystko wyjaśnić. Przeprzić, ukorzyć się, żeby nie stracić przyjaciółki, ale jednocześnie postawić na swoim. W końcu jej też bardzo na niej zależało. Ola jednak nie mogła przyjaźnić się z kimś, kto nie akceptował tego, że całym jej życiem jest Amadeusz. I nigdy już nie będzie inaczej. Ola zaś robi wszystko, czego jej dziecko od niej zażąda.

Ostatni raz przed wyjściem rozejrzała się po kwiaciarni. Lada, stojaki z kwiatami, kącik z bibelotami, dodatki — wszystko było w należyтым porządku. Może dlatego, że głównie żyła w świecie Amadeusza, zaś świat duchów nie podlegał żadnym normom. Czuła się bezpieczniej, kiedy wszystko było idealnie, tak jak to sobie zaplanowała. Kwiaty zaś dawały się podporządkować. Mogła z nimi robić wszystko, co chciała. Wyginać, przytwierdzać, łamać, ciąć. Mało kto wiedział, że jej podręczny neseser był pełen narzędzi, którymi nie pogardziłby majster, a nawet rzeźnik. Nie ruszała się bez sekatora do cięcia zdrewniałych końcówek łodyg czy krzewów, kombinerek do gięcia drutu, małego tasaka do przecinania dodatków, nożyczek, noży, śrubokrętów,

pilników, a nawet elektrycznej przenośnej piłki do metalu. Kiedy szła na zlecenie, nigdy nie wiedziała, jakie będzie miała warunki do pracy i jaka koncepcja przyjdzie jej do głowy. Tylko ci, którzy przychodzili do kwiaciarni jako klienci, sądzili, że kwiaty to czysta słodycz, kruchość i delikatność. Ola się z nimi zgadzała. To wdzięczne tworzywo, lecz nieprawda, że nietrwałe. To, że bez skrupułów wyrzucała zwiędłe kwiaty, nie znaczyło wcale, że nie wiedziała, jak przedłużyć ich życie. Jak sprawić, by choć dawno martwe, jeszcze przez krótką chwilę wyglądały olśniewająco. Wiedziała też jednak, jak je gwałtownie zniszczyć.

Dla niej wszystko było tylko chemią. Jak ludzkie ciała. Nie miały znaczenia. Prawdziwe życie było gdzieś indziej. Ola w to wierzyła.

Podeszła do drzwi, lecz zauważyła coś przy oknie. Jeden z kwiatów na wystawie pochylał się do dołu, jakby czymś obciążony. Umierał. Ola nie wiedziała, kiedy to się stało. Zatrwożona wpatrywała się w kwiatostan, zastanawiając się, co to może znaczyć. Przez moment ujrzała w szybie własne odbicie. Po śmierci Amadeusza wyrzuciła wszystkie lustra. Do niedawna nie pamiętała już, jak wygląda. Twarz swego dziecka mogłaby za to odtworzyć z najdrobniejszymi detalami. Jej własny widok zaskoczył ją. Tak bardzo się zmieniła. Patrzyła na nią nie trzydziestopięcioletnia kobieta, ale porcelanowa lalka. Krucha, drobna, o przezroczystej skórze. Prosta czarna sukienka bez ozdób dodatkowo ją wyszczuplała. Wydawała się tak wychudzona, że najłżejszy podmuch wiatru mógłby przełamać ją na pół. To prawda, że niewiele jadła, lecz nie czuła głodu. Dzięki temu miała lepszy kontakt z duchem dziecka. Wygładziła sukienkę, chcąc zasłonić kościste kolana. Nogi miała zgrabne, o szczupłych kostkach, obute w płaskie, schodzone baleriny. Ola nie dbała o swój wygląd. Żyła w ascezie. Musiało być jej jedynie wygodnie. Ale teraz patrzyła na siebie, jakby to był ktoś inny. Jakby widziała obce ciało. Najbardziej ją zdziwiło, że mimo talii osy, zapadniętej klatki piersiowej i wystających kości miednicy, biodra wciąż miała rozłożyste, jakby stworzone do rodzenia. Poczowała suchość w gardle. Żal? Smutek? Nie, przez krótką chwilę pojawiło się wspomnienie. Kiedyś chciała mieć dużo dzieci. Z kimś konkretnym. To było całkiem niedawno, zaledwie kilka lat temu. Teraz jednak nie miało

to żadnego znaczenia. Zresztą sama, siłą woli zatrzymała sobie wtedy okres. Żyła w przestrzeni duchowej i tak było jej dobrze. Tylko jej wielkie jasne oczy, okolone firaną rzęs, błyszczały nienaturalnie. Były najsilniejszym akcentem twarzy, która zachowała ślady dawnej urody. Odgarnęła przydługą grzywkę. Na jej rękach wykwitły niebieskie żyły od noszenia ciężkich pojemników na kwiaty. Zawróciła. Dotknęła liścia jednego z doniczkowych amarylisów. Był w agonii. Ciarki przeszły jej po plecach. Co Amadeusz chce jej powiedzieć? Nie rozumiała. Czy coś mu się stało? Włożyła dwa palce, przesiała dłonią tłustą ziemię. Zauważyła mszyce, od dawna musiały zżerać jego korzenie. Skąd się wzięły? Jak mogła go tak zaniedbać? Wiedziała, że nie da się go już uratować. Był zbyt wiotki, umierał. Chwyciła nożyce i jednym stanowczym ruchem odcięła go od cebuli. Kwiat zaś włożyła do wody i wrzuciła doń aspirynę, by choć przed śmiercią przez chwilę poczuł się lepiej. Tyle mogła zrobić. Nic więcej. Teraz już naprawdę nie miała czasu. Zasuwała kratę i zamknęła solidną kłódkę.

Na wprost kwiaciarni pracownicy hipermarketu ze sprzętem elektronicznym Tecna ustawiali koszyki przy bramkach. Piramida nagle zachwiała się i przewróciła. Ola zbyt długo wpatrywała się w młodego mężczyznę, sprawcę całego bałaganu. Wysoki, chudy, o półdługich, rudych, potarganych włosach. Przez krótką chwilę miała wrażenie, że go rozpoznaje, ale kiedy odwrócił się profilem w jej kierunku i uśmiechnął, widząc jej wlepione w siebie spojrzenie, zmieniła zdanie. To był jakiś nowy sprzedawca, nigdy wcześniej go nie widziała. I nie miała ochoty poznawać. Dla niej mężczyźni już nie istnieli. Jedynym, którego teraz potrzebowała i kochała w całym swoim życiu, był Amadeusz.

„Tylko ty i ja” — jak na zawołanie przypomniała sobie szept dziecka. Obejrzała się. Nikogo nie było wokół. — I nikt więcej — odpowiedziała niemal bezgłośnie. Uśmiechnęła się. Tego chce Amadeusz. A ona musi mu być posłuszna.

Dopiero teraz zauważyła, że podcinając amarylis, zraniła się sekatorem. Strużka krwi toczyła się wzdłuż dłoni i skapywała na posadzkę. Ola skrzywiła się niezadowolona. Wiedziała, że zaraz będzie miała zachlapaną sukienkę. Wyjęła z torebki apaszki i obwiązała nią

dłoń — zadarła rękaw i trzymając jedną końcówkę zębami, a drugą ręką, zrobiła profesjonalny zacisk. Przez moment na wewnętrznej stronie jej przedramienia można było dostrzec kilka podgojonych sznytów. Opuściła rękaw i ruszyła różnym krokiem. Skinęła głową ochroniarzom, którzy pomachali jej radośnie.

Już z daleka, przy bramie wejściowej zespołu szkół muzycznych Meyer zauważył plakat ze zdjęciem Zosi Sochackiej oraz wielkim nagłówkiem ZAGINEŁA. Studiował go tyle razy, że treść ogłoszenia znał niemal na pamięć, ale zatrzymał się i przyjrzał mu się ponownie. Tekst zawierał kilka błędów literowych. Zdjęcie było jednak inne niż na ogłoszeniu, które pokazywał mu Doman w komendzie. Przedstawiało ośmioletnią Zosię: uśmiechniętą, uroczą Cyganeczkę z dołeczkami w policzkach. Sama słodycz. Miała na sobie tę samą sukienkę, którą ostatnio wyjął z jej szafy. Meyer zastanawiał się, dlaczego rodzina umieściła na ogłoszeniu tak stare zdjęcie. To nieprawda, że innego nie mieli. Choć musiał przyznać, że zdjęć portretowych dziecka nie było zbyt wiele. Nie było to normalne, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy zdjęcie jest głównym sposobem komunikacji, a można je wykonać nawet komórką. Meyer szybko przeleciał w myślach powody, w jakich okolicznościach ludzie nie robią sobie zdjęć. Wniosek nasuwał się sam. W tej rodzinie nie działa się najlepiej.

Wszedł do korytarza pełnego dzieciaków. Mimo późnej pory panował tutaj typowy szkolny hałas, choć zdecydowanie mniejszy niż w nieartystycznych placówkach edukacji. Widać mali muzycy już od najmłodszych lat uczeni byli, jak zachowywać się z klasą. Kilku chłopców przed aulą zabawiało się grą w zośkę. Ich plecaki i futerały ze skrzypcami leżały zrzucone pod ścianą. Śmiali się i dokuczali sobie. Dopiero teraz Meyer dostrzegł chłopca w okularach, który siedział na ławeczce, zaś o ścianę stała oparta jego wiolonczela. Chłopiec wyglądał, jakby na coś czekał. Nie dołączył do grupy grających, siedział praktycznie bez ruchu. Stojący obok instrument wydawał się o wiele za duży dla tak małego dziecka. Po chwili z sali wychyliła się elegancka, dobrze zakonserwowana blondynka w białym golfie, z włosami zaczesanymi w ciasny kok, i z godnością kiwnęła na okularnika. Chłopiec podniósł się powoli i z ociąganiem ruszył w jej kierunku.

Nagle odwrócił się, jakby nie był pewien, czy może tu bezpiecznie zostawić swój instrument. Kobieta powstrzymała go gestem. Nie miała żadnej biżuterii, jedynie złotą broszkę w kształcie harfy, którą nosiła przypiętą jak uczniowie szkolne tarcze.

— Nie będzie ci potrzebna. To nie egzamin. Tylko porozmawiamy — oświadczyła łagodnie. Podeszła do chłopca i pogładziła go po głowie. Wiolonczelę postawiła bliżej drzwi, ale nie wniosła jej do sali. Meyer zwrócił uwagę na jej doskonałą figurę. Choć była już dobrze po pięćdziesiątce, miała zgrabne nogi i wąską talię. Wiele dwudziestolatek mogłoby jej pozazdrościć proporcji ciała. Tylko twarz zdradzała jej wiek.

— Dlaczego chcesz zmienić klasę? — kobieta zwróciła się do chłopca, który długo zastanawiał się nad odpowiedzią. Wreszcie wzruszył ramionami.

— Nie wiem, maestra — odparł.

Meyer zbyt otwarcie przyglądał się tej scenie. Kobieta zmierzyła go taksującym spojrzeniem. Skinął jej głową. Natychmiast odwróciła się i popchnęła chłopca do klasy.

— Jeśli zdecydujesz się na harfę, być może nigdy nie będziesz już grał na wiolonczeli. To nie jest taka prosta decyzja — powiedziała do chłopca. Meyer nie usłyszał odpowiedzi, bo drzwi sali już się zatrzasnęły.

Dyrektor Anita Świerkowska czekała na Meyera od samego rana. Wiadomość o zaginięciu ich uczennicy od kilku dni była dyżurnym tematem w szkole. Kobieta nie wiedziała, kim jest profiler, ani jaki jest cel jego wizyty. Była też niezadowolona, że kazał jej na siebie tak długo czekać. W normalnych okolicznościach już dawno byłaby w domu. Zresztą nie miała pojęcia, czego ten człowiek mógł od niej chcieć. Wcześniej rozmawiała już z kilkoma policjantami, a nawet z prywatnym detektywem zatrudnionym przez rodzinę dziewczynki. Świerkowska bardzo się obawiała, że taka sprawa źle wpłynie na renomę szkoły. Plotki szybko się rozchodzą. Już wczoraj słyszała w sklepie, że coś jest nie tak z tą szkołą, przecież zamordowany Amadeusz też był ich uczniem. Nie będzie przecież wszystkim tłumaczyć, że był, ale niespełna jeden semestr. Zresztą po co? Wolałaby, żeby żadnej

kryminalnej sprawy nie łączono z jej placówką. Całe szczęście mieli już zamkniętą listę uczniów na przyszły rok.

Rozległo się pukanie. Ktoś, nie czekając na odpowiedź, nacisnął klamkę. W drzwiach stanął wysoki brunet. Wyglądał na zmęczonego, a czarny strój pogłębiał to wrażenie.

— Hubert Meyer. Byliśmy umówieni — przedstawił się.

— Świerkowska. — Kobieta nie podniosła się z za biurka, wskazując mu krzesło po drugiej stronie.

— Napije się pan czegoś? — starała się być miła, ale Hubert wyczuł, że wolałaby, żeby odmówił. Tak też uczynił. Wykrzywiła usta w grymasie, który miał być uśmiechem, i trwała w oczekiwaniu.

Nie spieszył się. Rozejrzał się po jej gabinecie. Ściany zdobiły tableau kolejnych roczników, ryciny nutowe, reprodukcje i obrazy mistrzów. W kąciку poświęconym Mozartowi było wiele eksponatów, w większości duplikatów oryginałów, czym szczyliła się szkoła.

— Czym mogę panu służyć? — zapytała wreszcie dyrektorka.

— Chciałbym pomówić o Zosi Sochackiej.

— Już o tym rozmawiałam z policją. Poza tym, że współczuję rodzicom, raczej niewiele mogę pomóc.

Meyer zastanawiał się, jak można być kimś tak bez serca i jednocześnie zajmować się sztuką. W myślach zgadywał, na jakim instrumencie grała ta kobieta. Ale jeszcze nie był czas na tak intymne pytania. Kobieta zachowywała się, jakby była zamknięta w więzy.

— Czy pani zna ją osobiście?

— Wszyscy ją tutaj znaliśmy. Przepraszam, znamy. To nasza uczennica. Muszę przyznać, że ostatnio zrobiła duże postępy. Czy będę przesłuchiwana jeszcze raz?

— Może się tak zdarzyć — przyznał Meyer. — Ale nie w tej chwili. Zostanie pani oficjalnie wezwana. Ja nie jestem policjantem. Pomagam policji. Przygotowuję ekspertyzę psychologiczną.

Kobieta czekała na dalsze wyjaśnienia. Teraz już nawet nie wiedziała, z kim rozmawia, ale wyraźnie się rozluźniła.

— Nie wiem, co mogłabym dodać — powiedziała. — Proszę pytać.

Meyer mierzył ją wzrokiem.

— Jaka jest Zosia?

Dyrektorka nabrała powietrza w płuca i wypuściła je. Wreszcie wyrzuciła z siebie na jednym oddechu:

— Grzeczna, cicha, nierzucająca się w oczy. Prawdę mówiąc, jakby jej nie było. Nie zauważyłam tego, że od kilku dni nie ma jej w szkole. Nie sprawia żadnych kłopotów. Raczej nie jest zbyt lubiana — dodała.

— Dlaczego? — Meyer nie spodziewał się aż takiej szczerości.

— Nie ujawnia emocji. Jest trochę inna, dziwna.

— Dziwna? — zainteresował się Meyer.

— Taka wsobna. Jakby nie do końca była tu i teraz. Niby miła, odpowiada na pytania, ale kontakt jak przez szybę. Wie pan, o czym mówię?

— Doskonale — uśmiechnął się Meyer.

Świerkowska wyjęła z szuflady srebrną papierośnicę, poczęstowała Meyera cienkim papierosem, po czym podeszła do okna i już tam została. Meyer chciał podać jej ogień, ale odmówiła. Wskazała mu jedynie kryształową popielniczkę, która stała w szafce. Sam musiał sobie ją przynieść. Dyrektorka wydmuchiwała dym przez mały lufcik, tam też strzepywała popiół.

— Ale może też dlatego grała z taką pasją — wznowiła wątek. — Nie była wybitnie utalentowana, robiła wiele błędów, ale kiedy zmieniała instrument, jej interpretacje naprawdę chwytają za serce. Mam nagranie z próby generalnej ostatniego koncertu. Dam panu, sam pan oceni.

Podeszła do dużej szafy i błyskawicznie znalazła właściwą płytę DVD, po czym podała ją Meyerowi. Pomyślał, że była na to przygotowana.

— Tylko do zwrotu, nie mam kopii.

— Oczywiście. — Schował płytę do aktówki i wnikliwie przyjrzał się dyrektorce, która aż się zarumieniła.

— Dlaczego zmieniała instrument? — zapytał Hubert. Zaczynało go denerwować, że musi ciągnąć dyrektorkę za język.

— Zaczynała od fortepianu. Szło jej słabo. Chcieliśmy ją usunąć, ale rodzinie tak zależało, więc maestra się zlitowała i wzięła ją do siebie, do klasy harfy. To był strzał w dziesiątkę, przepraszam za słownictwo — odparła.

— Ależ nie ma za co — mruknął Meyer. — Kiedy nastąpiła ta zmiana?

— W poprzednim semestrze. Zosia przyszła do nas późno, musiała powtarzać klasę. Ale nadrobiła cały materiał. Rzadko się trafia tak zdeterminowany uczeń. Odkąd zaczęła chodzić do klasy harfy, wstawała o piątej rano i przyjeżdżała, by ćwiczyć do ósmej. Codziennie, pan sobie wyobraża? Postępy były piorunujące. Zosia nie miała swojego instrumentu, a materiału jest dużo. Wkrótce grała lepiej niż niektórzy zdolniejsi od niej. Trzeba przyznać, że jest bardzo pracowita, choć zdania co do jej talentu są podzielone.

— Można to zauważyć u tak małego dziecka?

— Oczywiście. — Dyrektorka spojrzała na Meyera z politowaniem, a potem przeniosła wzrok na popiersie Mozarta. — Pan miał do czynienia z muzyką, czy w ogóle nic, nigdy...?

— Kiedyś byłem didżejem — zaśmiał się Meyer. Na twarzy dyrektorki nie drgnął nawet jeden mięsień. Meyer poczuł się więc w obowiązku dodać: — Domyślam się, że samo porównanie tego z muzyką to dla pani profanacja.

— Nie, dlaczego? — nieumiejętnie skłamała.

— A pani na czym gra? — zaatakował w rewanżu.

— Na flecie — odparła z dumą. — Ale od lat nie występuję. Poświęciłam się pracy pedagogicznej.

Hubert także zachował twarz pokerzysty, ale w jednej chwili zrozumiał, skąd biorą się jej problemy. Była sfrustrowana, bo nie zrobiła kariery. Nie było sensu ciągnąć tego wątku. Nauczycielka gotowa zamknąć się w sobie.

— Miała jakąś koleżankę? Powiernika? — wrócił do tematu.

— Nie wiem — zamyśliła się Świerkowska. — Jest taka jedna dziewczynka. Ale to raczej Mira przyjaźniła się z Zosią. Jak by to powiedzieć? Zosia się nią trochę opiekowała. Mira dopiero w tym roku zaczęła się u nas uczyć, miała trudności z aklimatyzacją w klasie. Teraz jednak jest bardzo lubiana. Można powiedzieć, że to żywe srebro. Całkowite przeciwieństwo Zosi.

— Mógłbym z nią porozmawiać?

— Podam panu kontakt do jej rodziców. Ale nie wiem, na ile to pomoże. Kiedy Mira została zaakceptowana przez grupę, odsunęła się

od Zosi.

— Odsunęła się? — upewnił się Hubert. — Zosia ma może jakąś bliską nauczycielkę, była z kimś zżyta? Może ktoś z personelu choć trochę ją zna?

Dyrektorka pokręciła głową.

— Nie, raczej nie.

— A ta harfistka, która wzięła ją do swojej klasy?

— Maestra? Nie sądzę. Oczywiście może pan z nią pomówić. Powinna być jeszcze w szkole. Ma rozmowę w sprawie przeniesienia do klasy wiolonczelisty. Moim zdaniem kompletnie nie nadaje się na harfę. Ale w tej klasie jest zawsze mało osób. Skrzypce, fortepian są oblegane. Harfa to raczej nie jest popularny instrument.

— Chyba przed chwilą widziałem tę panią — powiedział Meyer. — Taka szczupła blondynka? Świetne nogi.

Dyrektorka zmierzyła go spojrzeniem bazyliuszka.

— Możliwe — odparła z przekąsem. I dodała: — Tak, całkiem niezłe.

Po czym z łoskotem zamknęła okno, wrzuciła peta do kosza pod biurkiem, zasiadła w fotelu i założyła ręce do pozycji zamkniętej.

— Czy w ostatnim czasie zauważyła pani coś dziwnego w zachowaniu dziewczynki?

— Nie bardzo rozumiem.

— Zmieniła się, schudła, przytyła, opuściła się w nauce, coś innego niż dotychczas?

— Wszystko było jak zwykle.

— A co pani sądzi o tej sprawie?

— Ja?

— Tak, ale szczerze.

— Ależ ja nie mam nic do ukrycia. — Kobieta rozłożyła ręce. Meyer wciąż patrzył na nią z ukosa. Usiadła i zaczęła recytować:

— Rodzice Zosi regularnie wpłacali chesne, bez opóźnień. Mała została do nas przyjęta na podstawie dostatecznie zdanego egzaminu. Nie wagarowała, zawsze była dobrze przygotowana. Tylko kilka razy opuściła lekcje, powodem była choroba. Matka podpisała usprawiedliwienia.

— Czy ojciec odbierał ją ze szkoły?

Dyrektorka pokiwała głową.

— Czy zauważyła pani w ich relacji coś niepokojącego?

— Nic nie zauważyłam.

— I nie zauważyła pani żadnej zmiany od czasu przyjęcia dziecka do szkoły?

— No wie pan, uczy się u nas ponad czterysta osób. Nie jestem w stanie zapamiętać wszystkich.

Hubert podszedł do tableau i znalazł klasę, w której uczyła się Zosia. Na zdjęciu mała była uśmiechnięta, w bluzce z kołnierzykiem. Potem obejrzał tableau z końca roku, gdzie dziewczynka była już ostrzyżona na krótko i miała na sobie bojową kurtkę.

— Ma pani tegoroczne tableau?

— Jest w przygotowaniu.

— Mógłbym zobaczyć zdjęcia?

— Pan wybacz, ale to chyba nie dotyczy...

— Owszem, dotyczy — przerwał jej ostro Hubert. — Od kiedy Zosia zaczęła nosić się jak chłopak? Czy to było wtedy, gdy matka zgłosiła, że nie chce, by odbierał ją ojciec?

Dyrektorka zaniemówiła.

— Nic o tym nie wiem.

— Przecież była taka rozmowa. Marlena Czupryna-Mirga tak twierdzi. Podejrzewała, że dziecko jest molestowane. Nawet była u szkolnego psychologa. Mimo tego pani nie cofnęła upoważnienia dla jednego z rodziców.

— Nie mam takiego prawa — rozłożyła ręce dyrektorka. — Ojciec ma pełnię władzy rodzicielskiej, nie miałam podstaw.

— Ale matka dziewczynki powiedziała pani o swoich podejrzeniach?

— Tak, ale nie chciała podać przyczyny. Nie zgłosiła też sprawy w prokuraturze, obawiając się, że odbędzie się to ze szkodą dla dziecka. Jeśli mam być szczerą, podejrzewałam ją, że zabezpiecza sobie dowody w sprawie rozwodowej. Matki często tak robią, by zabrać ojcu prawa rodzicielskie. Słowem, to wszystko było niewiarygodne. Dlatego nie podjęłam takiej decyzji. Przepraszam, chyba jednak wolałabym, żeby w naszej rozmowie uczestniczył przedstawiciel policji. To są sprawy zbyt... — zamilkła.

— Czego się pani boi?

Dyrektorka nabrała powietrza w usta. Meyer uśmiechnął się.

— Mamy do czynienia z zaginięciem dziecka, być może ze zbrodnią. To faktycznie poważna sprawa. Jest podejrzenie, że dziewczynka była molestowana. To jedna z hipotez. Jeśli wie pani coś, co mogłoby nam pomóc, proszę to ujawnić. Za składanie fałszywych zeznań lub zatajenie prawdy grozi kara więzienia do lat trzech.

Dyrektorka długo milczała. Wreszcie chwyciła telefon i poprosiła sekretarkę, by wezwała do gabinetu maistrę Fal. Potem otworzyła papierośnicę i bez częstowania Meyera, zapaliła nerwowo. Nie odgrywała już teatru z oknem, przesunęła do siebie popielniczkę. Wbiła ręce we włosy jak szpony i Meyer widział, że wreszcie się rozluźniła.

— Ja nic nie wiem, ale była jedna sytuacja, która może ma jakiś związek. W ubiegłym roku, tuż przed egzaminami Zosia nie chodziła do szkoły przez ponad tydzień. Zadzwoiłam do rodziców, ale nie zastałam ich przez kolejne dwa dni. Wreszcie udało mi się dodzwonić, odebrała babcia. Powiedziała, że mała jest chora i zapomnieli to zgłosić. Nigdy się to nie zdarzało. Matka, Czupryna-Mirga, napisała stosowne usprawiedliwienie. Zosia wróciła, wszystko wydawało się w porządku. Przychodziła punktualnie na zajęcia, odrabiała lekcje, grała, ale z nikim nie rozmawiała. Po prostu nie odzywała się. Do nikogo. Pani Eliza poszła do jej domu, ale nie zauważyła nic niepokojącego. To normalna rodzina. W domu jednak też milczała. Nikt nie wiedział, co się stało. Następnego dnia Eliza zabrała Zosię po szkole na lody do cukierni. Nie wiem, o czym rozmawiały, ale po tej rozmowie Zosia zaczęła znów stopniowo kontaktować się z rówieśnikami.

— Mówiła pani, że Zosia nie ma przyjaciół. Że nikomu się nie zwierzała. Dlaczego pani skłamała?

Dyrektorka podniosła głowę.

— Ja nigdy nie kłamię — podkreśliła stanowczo. Była oburzona tą insynuacją. — Wolałabym, żeby pan sam pomówił z maistrą. Nie będziemy tu grać w głuchy telefon.

Do pokoju zajrzała asystentka. Obrzuciła Meyera badawczym spojrzeniem i oświadczyła:

— Maestra już wyszła.

Dyrektorka skinęła głową. Napisała coś na kartce, po czym podała ją Hubertowi. Meyer przeczytał. Był tam stacjonarny numer oraz adres.

Świerkowska wstała, dając wyraźnie do zrozumienia, że powinien już wyjść.

— Jeśli przypomni pani sobie coś jeszcze, nawet błahostkę, proszę dzwonić. — Położył na stole swoją wizytówkę. Dyrektorka nawet na nią nie spojrzała.

— Oczywiście — odparła. Wiedział doskonale, że tego nie zrobi. Nie rozumiał tylko jej niechęci. Zwłaszcza że dziewczynka wciąż była jedynie poszukiwana.

— Proszę dzwonić do niej do skutku. Zwykle nie odbiera — odezwała się dyrektorka. Meyer wyczuł, że te dwie panie się nie lubią. Im dłużej Świerkowska mówiła, tym więcej uszczypliwości dawało się wyczuć. — A najlepiej od razu pojechać. Może nie odbierać tygodniami. Ma swoje kaprysy. I niech się pan do niej zwraca: maestra. Bardzo to lubi.

— Podobno był jakiś incydent z włamaniem do auli koncertowej — zaczął Meyer.

Dyrektorka zamarła.

— Byłam na delegacji. Może to było wtedy.

— To przecież pani podjęła decyzję, by Zosia nie wystąpiła na koncercie — rzucił z uśmiechem Meyer. Dyrektorka z trudem powstrzymała wybuch złości.

— To zwykle pomówienie. Zresztą harfistka wszystko panu wyjaśni — odparła i zaczęła składać swoje rzeczy, tym samym dając profilerowi znak, że rozmowa jest zakończona.

Hubert po wyjściu ze szkoły obszedł dookoła budynek, po czym postanowił przejść się wzdłuż Parku Zwierzynieckiego, który ciągnął się do samego centrum. Kiedy wszedł głębiej, zorientował się, że nie jest to zwykły park, a raczej ogromny liściasty las, niezwykle klimatyczny, bajkowy. Jak okiem sięgnąć, rozciągał się biały dywan z drobnych kwiatów. Były to zawilce, gatunek chroniony. Na Śląsku można było zobaczyć tylko ich kępki. Pomyślał, że Białystok jest najbardziej zielonym miastem, w jakim miał okazję pracować. Nie mógł się powstrzymać i zrobił komórką kilka zdjęć, po czym przeszedł się alejkami. Zorientował się szybko, że park ma promienisty układ. Z każdej bocznej alejki można było dotrzeć do głównej i odwrotnie. Tym

samym nie sposób się w nim zgubić. Wreszcie wrócił w to samo miejsce, z którego przyszedł, usiadł na pierwszej z brzegu ławeczce, ozdobionej przez zakochanych inicjałami i sercami, by zapalić i odpocząć. Kiedy wstawał, upadła mu zapalniczka. Pochylił się, chcąc ją podnieść. Na nodze ławki jego uwagę zwrócił wydrążony w drewnie wizerunek harfy. Był to raczej znak niż rysunek. Pod spodem widniał monogram: Z. S. Meyer wstał i spojrzał na koniec alejki. Wejście do szkoły muzycznej nawet stąd było wyraźnie widoczne. To nie mógł być przypadek.

Po sprzeczce z Meyerem Lena najpierw ruszyła do hotelu Turkus, choć nie było to blisko. Znała drogę i chciała pokonać ją piechotą, by „wychodzić” złość. Szła pogrążona w myślach prosto przed siebie. Nie rozumiała, dlaczego Meyer nie chce z nią pracować. Trudno jej było uwierzyć, że chodzi tylko o jej płęć. Myślała, że może obawiał się, że ich relacja znów stanie się nieczysta zawodowo. Ona jednak była daleka od flirtów. Przedwczorajszy poranek wystarczająco ją ostudził. Zrozumiała wreszcie, że wchodząc mu do łóżka, popełniła kardynalny błąd, być może nie do odrobienia. Żałowała tego. Zwłaszcza że Meyer na każdym kroku dawał jej do zrozumienia, że nie było to nic wyjątkowego. Czuła się zraniona, ale nie zamierzała się korzyć. Przed oczyma miała teraz wyłącznie swój cel. Tylko dlatego schowała dumę do kieszeni i podjęła wyzwanie, kiedy Pilecki do niej zadzwonił. Czuła, że spełnia się wreszcie jej marzenie. Meyer wciąż był najlepszy i mogła się od niego wiele nauczyć. Powinna teraz zrobić wszystko, co pomogłoby jej budować profesjonalizm. Zagryźć zęby, zapomnieć o tym, na co kiedyś liczyła. Nie robić scen. Obserwować. Meyer był grubianinem i nigdy sam z siebie nie wychodził z inicjatywą. Być może oczekuje od niej, że sama się wykaże? Na przeprosiny czy słowa podziękowania nie liczyła. Spodobała się jej ta koncepcja. Skoro góra nie chce przyjść do Mahometa, to Mahomet pójdzie do góry. Postanowiła nie czekać, lecz działać. Zawróciła i ruszyła tą samą drogą, wprost do komendy.

Przed wejściem stała grupa policjantów. Lena знаła ich w większości z widzenia, kiedy była jeszcze sekretarką Pileckiego. Liczyła, że jej nie rozpoznają, bo przez lata bardzo się zmieniła. Z daleka usłyszała kilka

słów i od razu domyśliła się, że rozprawiają głośno o sprawie zaginięcia dziewczynki. Był z nimi także prywatny detektyw i Doman, którego dziś poznała. Fantomas głośno krytykował wejście do sprawy profilerka. Kiedy Lena pracowała w komendzie, był jednym z jej pracowników. Już wtedy miała go za dupka. Teraz jednak bardziej zdziwiło ją to, że Doman ze spokojem słuchał obelg pod adresem Meyera. Nie powiedział nawet słowa w jego obronie. Na widok zbliżającej się Leny funkcjonariusze ucichli. Rozstąpili się teatralnie, lecz nie spuszczała z niej wzroku.

— A pani do kogo? — odważył się zapytać figlarnie Petryka, ale go zignorowała. Kiedy znalazła się przy bramkach, usłyszała głośny pisk. Nie miała karty chipowej. Podeszła więc do recepcjonistki.

— Jedna psycholaska nam nie wystarczy. Musimy płacić jeszcze jego dupie — głośno powiedział Fantomas, tak by Lena usłyszała obelgę. Położyła dokument tożsamości na blacie, odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem, po czym odważnie ruszyła w kierunku mężczyzn.

— Jakiś problem?

Wpatrywali się w nią kpiąco. Widziała, że nie ma u nich respektu. Powtórzyła dobitniej, ale teraz zwróciła się już bezpośrednio do detektywa:

— Masz jakiś problem z kobietami, Fantomas?

Pozostali z ledwością stłumili śmiech. Czupryna z trudem hamował wściekłość.

— Żebyś ty nie miała problemów. Jak ten twój kochaś — odciął się.
— Z nim daleko nie zajedziesz.

— Nie twoja sprawa. Odpierdol się — rzuciła z desperacją w głosie. Wyczuli to.

— Uuuu, jakie brzydkie słowo — zakpił Fantomas. — Nie bój się. Jego dni są już tutaj policzone. Gównojad. Ty wylecisz zaraz po nim.

— Grozisz mi? — uśmiechnęła się. Tym razem nie zamierzała podnosić głosu. — Czy sobie żartujesz? Bo ja twój wylot pamiętam doskonale.

Fantomas zaniemówił. Jego koledzy nie roześmiali się. Patrzyli na nią z rosnącym podziwem, zastanawiając się, skąd wie o aferze.

— Możemy chwilę pomówić? — zwróciła się do milczącego dotąd Domana. Ten wahał się dłuższą chwilę, po czym wreszcie odszedł z nią

na bok.

Policjanci zaśmiali się, jeden z nich gwizdnął.

— Uważaj, Doman. Jest ostra. Ujeździ cię, zanim się obejrzysz.

Któryś musiał to jeszcze prymitywniej skomentować, ale ona już nie słyszała. Czuła się i tak wystarczająco upokorzona.

Stanęli z boku. Wyzywająco patrzyła Domanowi w oczy.

— Co tu jest grane? — zapytała. — Dostałam wezwanie od Pileckiego. Nie zasłużyłam chyba na krecią robotę.

— Jasne — mruknął. Wyraźnie nie chciał z nią rozmawiać. Ostentacyjnie żuł gumę i patrzył gdzieś w bok.

— Ty mi robisz czarny pijar? Czy kto? — warknęła.

— Nie należy mieszać życia osobistego z pracą — odparł wreszcie, po czym wypluł gumę za siebie. Odwrócił się. — To mała wioska, smród szybko się roznosi i na długo zostaje.

— Co ty gadasz? — przerwała mu Lena i zaśmiała się ironicznie. Nie zamierzała się nikomu z niczego tłumaczyć. Nie była już dzieckiem. Miała w nosie, co pomyślą sobie ci szowiniści. — Nie prosiłam się o łaskę. Wezwano mnie do tej roboty.

— Co ja gadam? — Doman udał zdziwionego. — Ja tam nic nie wiem. Nic nie słyszałem, umyvam ręce. Róbta sobie, co chceta.

— Gdzie Meyer? — spytała ostro.

— Mnie pytasz? Sam chciałbym wiedzieć — odparł, ale mina lekko mu zrzędała.

— Weź nie chrzań. Wchodził do ciebie.

— Wchodził i wychodził. — Doman rozłożył ręce. — Może pracuje? Może powinnaś wziąć z niego przykład?

Lena z trudem zachowała spokój. Blokada ze strony Huberta. Doman też jest przeciwko niej. A Pilecki zaraz będzie żądał stosownego raportu. Co mu powie? Że jej nie lubią? To wystarczający powód do tego, żeby mieli pożywkę na lata, że kobieta nie nadaje się do pracy w policji. Nie to, że nie ma wiedzy. Nie umie współpracować, zaskarbić sobie szacunku śledczych. A jak ma zbierać dane, skoro ją ignorują? Sam rozkaz naczelnika, jak widać, nie wystarczy. Resztę profiler musi wypracować sobie sam. Lena była już bliska płaczu, ale się powstrzymała. Nie mogła rozryczeć się jak baba. Dopiero mieliby radochę.

— Daj mi namiar na Swatka albo idę do Pileckiego, że mi utrudniacie — odezwała się wreszcie.

— A po chuj tam pójdziesz? — zdenerwował się Doman. — Na jakiej podstawie?

— Dajesz czy nie? Muszę coś sprawdzić.

Doman przeszukał komórkę i podyktował jej cyfry. Nie podziękowała, od razu wybrała numer. Usłyszała, że abonent nie istnieje.

— Bardzo śmieszne. — Spojrzała potępiająco na Domana.

Komisarz rozciągnął twarz w chytrym uśmiechu. Nie zamierzał jej dać numeru, ale zaimponowała mu czujnością.

— Musi być nieaktualny. Nie mam innego. Z tego, co wiem, Hubert sam zdobywa informatorów. Może też spróbujesz? A jak nie, zawsze możesz poskarżyć się Leszkowi. Pewnie mu się nie spodoba, że zatrudnił kablę. Chyba że po to tutaj jesteś? — zawiesił głos.

Lena nie odpowiedziała. Odwróciła się i z trudem powstrzymując się od płaczu, odeszła.

Przechodząc obok policjantów, postanowiła nie zaognić sytuacji. Teraz już nie miałyby sił, by odeprzeć ich atak. Ruszyła z mocnym postanowieniem, że zachowa kamienną twarz, choćby gadali nie wiem co. Kiedy przechodziła obok, Wojda próbował ją nastraszyć.

— Nuka!

Lena odruchowo się uchyliła. Reszta sekudowała mu radośnie.

— Była! Nuka była — prychnął Fantomas. — I zdejmij tę perukę. Jako blondynka jeszcze się do czegoś nadawałaś.

Rozległ się gremialny rechot. Lena przyspieszyła kroku. Więc jednak ją rozpoznali, dla nich zawsze będzie sekretarką szefa. Szparką sekretarką, blondyną od herbaty i ksera. Co z tego, że praca w sekretariacie była jedynie epizodem w jej karierze? To, że skończyła studia z najlepszą notą i robi doktorat w Londynie, nie ma dla tych prowincjuszy znaczenia. Według ich opinii kobieta do takiej pracy się nie nadaje. Co ją podkusiło, żeby przyjąć tę propozycję? Mogła pójść do jakiegokolwiek komendy, gdzie jej nie znali i nie ocenialiby przez pryzmat tego, co było kiedyś. Nogi uginały się pod nią. Nie miała siły wydobyć głosu z gardła.

Telefon dzwonił kolejny raz, ale Lena nie odbierała. Po policzkach płynęły jej łzy wściekłości. Po ponizeniu, jakiego zaznała przed komendą, długo nie mogła się pozbierać. Dawno już nie czuła się tak słaba. Pragnęła zniknąć, nie istnieć, wyjechać stąd natychmiast. Ale przecież nie mogła. Płakała coraz głośniej, aż ludzie zaczęli się za nią oglądać. Wtedy się opamiętała. Nie chciała przecież, żeby ktokolwiek zobaczył ją w tym stanie. Ruszyła więc na przełaj, w kierunku rzeki. Zamierzała tam posiedzieć do wieczora. Nic nie robić, mieć wolne. A rano powie Pileckiemu, że rezygnuje ze współpracy. Wykpi się jakimś ważnym rodzinnym zadaniem albo chorobą. Po kobiecemu, miała już w nosie, co sobie pomyślą. Nie byłoby to aż tak wielkie kłamstwo. Od tygodnia walczyła z katarem, dokuczała jej też alergia. Całe nogi miała w pęcherzach. Znów zadzwoniła komórka. Nie miała ochoty sprawdzać, kto jej poszukiwał. W tym momencie na całym świecie nie było nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Z nikim też nie byłaby w stanie rozmawiać bez drzenia w głosie, a słabości nie zamierzała okazywać. Tym bardziej że wciąż była bliska hysterii. Oczywiście podejrzewała, kto starał się z nią tak usilnie skontaktować i na pewno nie był to Meyer. Już nie wierzyła, że mógłby chcieć traktować ją jak partnera w sprawie. Poczochrała swoją czuprynę, która, jak się okazało, tylko u fryzjerki miała doskonały kształt. Teraz zaś oklapła, przypominając starodawny kask motocyklowy typu „orzeszek”, co z pewnością nie dodawało jej urody. Lena pierwszy raz w życiu miała tak krótkie włosy i nie wiedziała, jak je układać. Policjanci, którzy się z niej naśmiewali, mieli całkowitą rację. Wyglądała okropnie. Co gorsza, miała poczucie, jakby wraz z włosami odebrała sobie moc. To była jedynie proteza zmiany, na jaką liczyła, decydując się na tak skrajną metamorfozę. Meyer nic nie powiedział, ale widziała, że mu się nie podoba. Nie chciała wiedzieć, co sobie o niej pomyślał. Dla niego musiał to być wyraźny sygnał jej zmiany psychologicznej, on wszystkich analizował. Zwrócił jedynie uwagę na szramę przy uchu. Choć kilka razy byli tak blisko, że już bliżej się nie da, jakoś zdołała ją zamaskować. Prawie nikomu jej wtedy nie pokazywała. Teraz odsłoniła bliznę wszystkim, jakby krzyczała: patrzcie! Nie wstydziła się już, ale też nie zamierzała niczego wyjaśniać. Dla reszty gliniarzy pozostała nadal przebraną chwilowo blond sekretarką, a takich ci szowiniści używają tylko do jednego. Na pewno

nie traktują ich poważnie w pracy. Lena wiedziała, że to jungowski strach przed własną animą, ale przecież nie będzie im tego tłumaczyć. Nie zrozumieliby ani jednego słowa. W uszach wciąż słyszała ich rechot.

Czuła się zapędzona w pułapkę. Nie miała pojęcia, co teraz zrobić. Chciała tylko być profilerką, a została szpiegiem. Tak to się przecież nazywa w tandetnych thrillerach. Kiedy Pilecki złożył jej propozycję współpracy, cieszyła się jak głupia. Myślała, że spadł jej z nieba. Że będzie mogła pracować z Meyerem, obserwować jego techniki, a przy okazji raz dziennie złożyć raport Pileckiemu. Znali się, wiedziała, że nie miał nic złego na myśli, zlecając jej to zadanie. I rozumiała to. Chciał jedynie zapobiec ewentualnym kłopotom czy przykrościom, jakie mogłyby spotkać jego ludzi i jednostkę, gdyby Meyerowi „coś odbiło”. Dokładnie tak się wyraził. I nie sprecyzował. Oboje wiedzieli, co miał na myśli. Po ostatnich wyczynach Meyera w katowickiej komendzie można było się po nim spodziewać wszystkiego. Prawdę mówiąc, Lena, jak połowa ludzi z ich branży, nie miała pojęcia, dlaczego tak nagle odszedł na emeryturę. Popełnił ewidentny błąd, ale musiało się za tym kryć coś poważniejszego niż pomyłka w profilu. Że zamknęli jakiegoś lamusa zamiast kogoś innego, to zawsze można odkręcić. Nawet jeśli chodzi o śmierdzące samobójstwo szefa drugiej partii w Polsce. Z tego, co się orientowała, zażalenie zostało oddalone, sąd uznał, że oskarżony nie ma podstaw do roszczeń. Jaki był sens decyzji Meyera? Nie wiedziała. Ale skuteczna pomoc w białostockiej sprawie mogła uratować mu tyłek. Pilecki twierdził, że poważnie myślał o włączeniu go do swojego składu ludzi. Ją też chciałyby zatrudnić, jeśli wytrwałaby w postanowieniu bycia profilerką. Pierwszą profesjonalną psycholożką, wykonującą ekspertyzy nieznanym sprawców. Jak to brzmiało! Jej marzenie, któremu jeszcze kilka godzin temu była gotowa poświęcić wszystko. Tymczasem Hubert wykiwał ich wszystkich. Nadal pracował po swojemu, czyli w pojedynkę. Sam łąził po ludziach jak bezpański kot, nie tłumacząc się nikomu, nie puszczając pary z ust o tym, co kłębi się w jego łepetynie. Ewentualnie dzielił się wątpliwościami z Domanem, ale tylko wtedy, gdy potrzebował rzeczywistej pomocy policjanta. Zaś ten ostatni serdecznie jej nie cierpiał. Lena naprawdę nie pojmowała dlaczego. Przecież nie mógł wiedzieć, jaką rzeczywiście pełniła rolę w śledztwie.

Z drugiej strony może właśnie dlatego okazywał jej jawną wrogość? Czuł, że coś jest na rzeczy. Może powinna najpierw z nim pomówić? Gdyby miała respekt u Doman, nikt nie ośmieliłby się jej publicznie poniżyć. Lena zastanawiała się, czy przypadkiem Pilecki nie grał na dwa fronty i nie ujawnił całego planu awaryjnego Domanowi, ten zaś jako dobry kumpel Huberta, w dobrej wierze izolował ją od profilerka. Dzwonek telefonu wydał z siebie jeden pojedynczy odgłos. Tym razem Pilecki wysłał jej esemes. Wiedziała, że to dla niego wyczyn. Owszem, dzwonił dużo i zawsze był na orientacji, ale wiadomości tekstowych nie wysyłał przez telefon prawie nigdy. Szkoda mu było czasu. Mawiał, że woli zadzwonić. To skuteczniejsze i konkretniejsze. Tak w końcu robią Amerykanie. Telefonują albo piszą mejle. Nie esemesują. Po chwili znów usłyszała wesołą melodyjkę. Tym razem odebrała. Jak zwykle usłyszała ciszę po drugiej stronie aparatu.

— Nie mam pojęcia, gdzie jest — mruknęła zamiast powitania.

— A ty? Gdzie jesteś? — Pilecki nie okazał zdziwienia. Komunikat był za każdym razem jednakowy. — I dlaczego nie jesteś z nim?

Lena momentalnie pożałowała, że odebrała. Trzeba było poczekać do jutra, a rano po prostu złożyć dymisję.

— Nie mam na to wpływu — odparła i uświadomiła sobie, że to zdanie najlepiej oddaje jej sytuację. Wtedy też podjęła ostateczną decyzję. Nie miała tutaj nic więcej do roboty. Już chciała oświadczyć Pileckiemu, że zdecydowała się skończyć swoją misję, kiedy odezwał się stanowczym głosem:

— Zajmę się tym. A ty? Co ty zrobiłabyś teraz, gdybyś była dyplomowaną profilerką?

Lena zamyśliła się. Pilecki powtórzył pytanie. Podkreślił, że mimo zatrudnienia profilerka wciąż tkwią w tym samym miejscu.

— Nie ma ciała dziewczynki — zaczął. — Jest za to cały zestaw luźnych, niepowiązanych ze sobą poszlak. Matka, która nie ma alibi na dzień zniknięcia córki, ojciec, który nosi czapkę z daszkiem jak mały chłopiec, i jakiś dawno skazany przestępca, który stara się odkupić winę, pracując w domu starców. Aha, mamy jeszcze niebieski plecak ze starej oczyszczalni. Tego się właśnie obawiałem. To przed tym ostrzegali mnie wszyscy. Chyba popełniłem jednak błąd. Przepraszam, że cię w to zaangażowałem.

Lena nabrała powietrza w usta i odparła:

— Te sprawy są ze sobą powiązane.

— Słucham? — Pilecki zdawał się nie rozumieć kontekstu jej słów. —
Co masz na myśli?

— Sprawa Berlinga i zaginięcie Zosi. Dzieci są do siebie fizycznie podobne. Pamiętam plakaty poszukiwawcze Amadeusza. Identyczne. I on i ona zaginęli po szkole. Włóczyli się po mieście, jakieś zaniedbanie rodziców i ich wina w tym jest... — zawahała się. Zastanawiała się, czy Meyer postawiłby tę śmiałą hipotezę, mając do dyspozycji tak skąpe dane.

— Jak podobne? — spytał Pilecki. — Przecież tamten to był demon, a ta dziewczynka była aniołkiem. Znałem ją.

Lenę olśniło. Mapa Meyera. Profilowanie geograficzne. Dlaczego nie mogłaby wykonać własnej? Przecież skoro Meyer raz się pomylił, mógł to zrobić kolejny raz. Znała podstawy, mogła chociaż spróbować. Myśli przebiegały jej przez głowę jak błyskawica.

— No właśnie — wtrąciła się. — Na zasadzie przeciwieństw. Mówiłam, że coś je łączy. Nie wiem, czy sprawca, ale...

— Ale co, kurwa? Nie mamy nawet ciała. Co ty pierdolisz, Lena? Jesteś trzeźwa? Co to za hałas?

Lena dopiero teraz dostrzegła w oddali awanturę. Cały czas szła wzdłuż rzeki obstawionej gęsto wędkarzami, którzy nacierali na grubą kobietę w dzianinowej sukience do kostek, mimo panującego upału. Lena zatrzymała się w tym miejscu. Nie zamierzała iść dalej, Pilecki nie słyszałby ani jednego jej słowa.

— Nad rzeką. Jakaś kobieta drze się na wędkarzy — odparła.

— My tu sramy ogniem, a ty nad rzeczkę sobie chodzisz? — wściekł się. Lena nie przejęła się tym zbyt. Próbowała przerwać mu gwałtownie, a ponieważ dalej się żołądkował, krzyknęła: — Słuchasz mnie, czy nie?

Pilecki zamilkł. Zorientowała się, że powiedziała to tak głośno, że aż gruba i wędkarze spojrzeli na nią badawczo.

— Dziś wieczorem spróbuję określić miejsce uprowadzenia i ewentualnego ukrycia ciała dziecka — szepnęła, zasłaniając telefon ręką. — Zadzwoń do ciebie, jak tylko uda mi się to ustalić.

Komendant nie odpowiedział, był widać zszokowany jej planem. Lena odwróciła się plecami do wędkarzy, którzy teraz wykrzykiwali coś do niej. Zatkąła uszy i mówiła dalej szeptem prosto do słuchawki:

— Nie wiem, ile mi to zajmie. Ale podam ci to w skali do kilometra, może dwóch.

— Zajmij się tym teraz, wracaj do hotelu i pracuj. — Pilecki odzyskał rezon i zdecydowanie wydał rozkaz.

— Tak, natychmiast — pokiwała głową. — Tylko potrzebuję kilku danych. Gdzie pracuje ta florystka, matka Amadeusza?

— Florystka? Ale do czego ci to?

— Ona może mi pomóc. Być może poda jakieś szczegóły wiktymologiczne dotyczące sprawy syna, które pomogą w znalezieniu Zosi. Żywej lub martwej.

— W dawnej Chemii — odparł Pilecki. — Zbudowali tam teraz nowe centrum handlowe Alfa. Tylko bądź czujna, ta kobieta jest trochę tego... No wiesz, mówili, że odleciała.

— Wiem, pamiętam akcję z duchami — potwierdziła Lena. — Za wiaduktem? Zobaczysz, wszystko ci wyjaśnię, jak tylko skończę. I daj mi kontakt do Swatka. Doman ma stary numer.

— Nie, no, kurwa, następna będzie działała po swojemu. Najpierw ten Ślązak, a teraz ty?

— Obiecuję — weszła mu w słowo Lena. — Będziesz miał mapę zbrodni. Od tego już tylko krok do selekcji podejrzanym.

— Wyślę ci zaraz wizytówkę. Bez odbioru — rozłączył się.

Lena czuła się o wiele lepiej. Takiego obrotu spraw nie spodziewała się nawet w snach. Dali jej wolną rękę. Nie potrzebowała Meyera. Chciała skakać do góry, dziękować Bogu. Zatańczyłaby z radości, gdyby

umiała. Awantura z wędkarzami musiała zostać załagodzona, bo gruba kobieta dogoniła psycholożkę i mijała ją właśnie na drodze. Lena zatrzymała ją, chwytając za ramię, aż gruba odskoczyła. Jej twarz była wykrzywiona wściekłością.

— A pani czego tutaj chce? Pewnie, zamiast stanąć w mojej obronie, lepiej wrzeszczeć do słuchawki — prychnęła.

Lena spojrzała na nią, nic nie rozumiejąc.

— Wie pani może, jak stąd dojść do dawnej Chemii?

Kobieta złapała się za głowę. Po czym pokazała ręką gdzieś daleko, w nieokreślonym kierunku. Lena skrzywiła się.

— Ten nowy supermarket. Centrum handlowe Alfa. Jest pani pewna?

— Oczywiście, urodziłam się tutaj. — Kobieta nawet nie siliła się na uprzejmość. Jednak widząc minę Leny, złagodniała. Kiedy na jej twarzy zagościł uśmiech, wydawała się zresztą całkiem sympatyczna. Widać mogła taka być, jeśli tylko chciała. — Idę w tamtą stronę, mogę panią kawałek doprowadzić. To na Mickiewicza.

Ruszyły równym tempem. Lena musiała przyznać, że zażywna była z niej kobieta. Mimo swojej tuszy poruszała się żwawo, jakby kula z impetem toczyła się po drodze.

— Wędkarze... — zaczęła kobieta. — Mam ochotę wypowiedzieć im prywatny džihad.

— O co była ta awantura?

— A kto to może wiedzieć, proszę pani — odrzekła i machnęła ręką gruba. I zaczęła wywód: — Nie cierpię ich. Te luje anektują każdy skrawek plaży. Rozstawiają swoje wędziska w liczbie przynajmniej cztery na ryło, a wolno dwie. Warczą na wszystkich. Nikt w ich pobliżu nie może korzystać z wody. Przeszkadzają im dzieci, psy, ludzie, którzy chcieliby ochłapać swoje przegrzane zwłoki. Do tego zaśmiecają otoczenie butelkami, puszkami, plastikowymi petami, jarają szlugi jak wściekli i ciągle coś smażą na podręcznych grillach. I jeszcze są maksymalnie chamscy: kurwa, kurwa, spierdalaj. Widać taka w Polsce konwencja. Wkurzyłam się dziś rano, jak przeczytałam porozwieszane na każdym kamieniu komunikaty, że w sobotę i niedzielę będą tu zawody wędkarskie, więc plac zajęty i do widzenia. Niech ich robale rosówki zjedzą. Wiem, że atakując wędkarskie lobby, narażam się, podobnie jak wtedy gdy napisałam nieprzychylny działkowcom

komentarz. Listy i mejle z wyrazami potępienia wciąż przychodzą do redakcji. Ale szlag jasny mnie trafia, jak jakaś grupa zagarnia wspólną przestrzeń i twierdzi, że im się to należy.

— Pani jest dziennikarką?

— Teresa Olenderek. — Kobieta wyciągnęła pulchną dłoń w kierunku Leny. Uścisk miała mocny. — Pracuję z mężem. Jest operatorem, stoi teraz w korku. Szkoda, że nie dojechał. Mielibyśmy kilka świetnych „setek”^[6]. Jesteśmy freelancerami. Robimy materiały i sprzedajemy je różnym telewizjom. Kto więcej zapłaci. Ja także piszę pod pseudonimem w jednej z ogólnopolskich popołudniówek — zaśmiała się. — Oni mnie nie powstrzymają.

Pokazała gest Kozakiewicza i przez chwilę wpatrywała się w Lenę. W jej oczach tliła się niezdrowa ciekawość. Lena przestraszyła się, że cwana dziennikarka zwierzyła sprawę, bo słyszała coś z jej rozmowy z Pileckim. Jak mogła być tak nieostrożna?

— A pani czym się zajmuje?

— Ja? — Lena pochyliła głowę. — Jestem psychologiem. Robię doktorat w Londynie. Kiedyś tu mieszkałam, aż do studiów.

Przedstawiła się, a Teresa Olenderek zapisała jej nazwisko na swoim „twardym dysku”. Może nie była zbyt atrakcyjna, ale z pewnością inteligentna i prawdopodobnie kiedy zamykali przed nią drzwi, umiała się dostać nie tylko oknem, lecz także podkopać tunel lub wejść kominem. Byle tylko wyczuła sensację, którą można sprzedać. Lena wiedziała, że nie wolno jej zdradzić, nad czym pracuje. I tak już dużo powiedziała reporterce.

— Chodziłam kiedyś do psychologa. — Dziennikarka pokiwała głową. Jej zainteresowanie przygasło, spodziewała się widać czegoś innego. — Ciężka robota, ludzie zrzucają na panią swoje smutki.

— No właśnie — uśmiechnęła się Lena. — Trochę tego jest.

Szły chwilę w milczeniu. Teresa poczęstowała Lenę papierosem. Był taniej marki, ale głupio było odmówić. Domyśliła się, że telewizje nie płacą dużo Olenderkom. Musieli mieć we krwi taką waleczność, by znosić upokorzenia, jak te z wędkarzami. Podejrzewała, że takie akcje to dla Teresy codzienność.

— Więc? — dziennikarka przerwała ciszę, podając Lenie ogień. Ta spojrzała na nią zdumiona.

— Więc? — powtórzyła.

— Kogo pani szuka w Alfie, bo tak się teraz nazywa dawna Chemia? Fajnie, nie? Szkoda, że nie Eden. Przynajmniej ci, którzy tam chodzą, mieliby jasność, po co to robią.

Lena uśmiechnęła się. Teresa miała specyficzne poczucie humoru, które jej bardzo odpowiadało. Domyśliła się też, że kobieta nie odpuści, jeśli jej nie odpowie.

— Starej znajomej. Pracuje tam.

Teresa przyjrzała się Lenie badawczo.

— A ja panią pamiętam. — Pokiwała jej palcem. — Widziałam panią w komendzie. Kilka lat temu. Jest pani policjantką?

Lena zarumieniła się.

— Chyba mnie pani z kimś pomyliła.

— Może — przyznała Teresa, ale najwyraźniej jej nie uwierzyła, bo zaraz dodała: — Miała pani wtedy inną fryzurę. Ja mam dobrą pamięć do twarzy.

Lena nie odpowiedziała. Doszły do skrzyżowania. Teresa karnie zgasiła papierosa w popielniczce śmietnika.

— Ja sobie tak myślę, że się jeszcze spotkamy. — Wyjęła z torebki wizytówkę. — Ale policja nie chce z nami gadać. Nie cierpią nas. Tak samo jak wędkarze. Pani jest inna. Jeśli będzie coś trzeba, jakiś niusik... — Zatarła ręce. — Proszę dzwonić. Nie kładziemy się przed pierwszą. Teraz muszę lecieć. Mokra robota czeka.

Lena uśmiechnęła się. Teresa Olenderek wzbudziła jej sympatię. Musiała lubić swoją pracę, bo oddawała się jej z pełnym poświęceniem i pewnie była w tym dobra. Lena w gruncie rzeczy podziwiała to. Stała w miejscu i długo patrzyła za odchodzącą kobietą. Czy ona za dwadzieścia lat będzie tak lubiła swoją robotę? Teresa zatrzymała się na przystanku, gdzie czekał na nią mąż w rozklekotanym aucie. Gdy wsiadła, ostrożnie włączył się do ruchu. Lena zapisała na odwrocie wizytówki numer rejestracyjny wozu. Tak na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, co i kiedy może się przydać.

Barbara Sochacka rozsunała zasłony w pokoju Arkadiusza i spojrzała z miłością na śpiącego syna. Musiał ją usłyszeć, bo zamruczał i odwrócił się do ściany. Głowę nakrył kołdrą. Kobieta pozbierała

rozrzucone części garderoby, płyty i gazety. Kiedy się pochylała, pod łóżkiem dostrzegła magazyn z nagą kobietą na okładce. Dyskretnie kopnęła go głębiej.

— Synku, już po pierwszej. — Usiadła na krawędzi łóżka i wsunęła rękę pod kołdrę. Czule głaskała go po włosach. — Wstawaj. Obiad na stole. Zostawiłam ci najlepsze kąski.

— Jeszcze chwilę — mruknął Arkadiusz i przekręcił się na bok, odstawiając do połowy nagie plecy. Barbara chciała go przykryć, ale zmieniła zdanie i zaczęła gładzić go po plecach. Arkadiusz przez chwilę pozwalał na te pieszczoty, wreszcie zasłonił się kołdrą. Kobieta wstała zarumieniona.

— Ależ tutaj duszno. — Z hałasem otworzyła okna na oścież. Do pokoju wdarł się gwar ulicy.

— Mamo, mówiłem, że zaraz wstaję!

— No już, słodziaku. — Zaczęła ściągać z niego kołdrę. Arkadiusz buntował się, ale wreszcie wstał. Był w podkoszulku i rozciągniętych slipach, które tylko częściowo zasłaniały mu pośladki. Zerknął w lusterko zawieszone nad szafką, poczochnął włosy i wolno poczłapał do łazienki. Matka stała przy oknie i z lubością wpatrywała się w swoje dorosłe dziecko. Sama nie wiedziała, kiedy dojrzało i stało się mężczyzną. Odwróciła się do okna, patrząc na jadące samochody, tramwaj, z którego wysypywali się pasażerowie, drzewa w parku. Wreszcie zerknęła na zdjęcie Marleny, Arkadiusza i Zosi, oprawione w ramkę wykonaną przez wnuczkę, kiedy była jeszcze w przedszkolu. W oczach zakręciły jej się łzy, odwróciła ramkę obrazkiem do dołu. W drzwiach zderzyła się z synem, który wszedł z pianą do golenia na policzkach. Nagle objęła go i rozpłakała się. Arkadiusz chwilę stał sztywno, ale potem wyciągnął ramię i otoczył nim matkę.

— Mamo, proszę — jęknął, nie bardzo wiedząc, jak ją pocieszyć.

— Co będzie synku, co teraz będzie? — Barbara gładziła go po plecach.

— Nie wiem — szepnął. Wzrok miał mętny, też był bliski płaczu. — Nie wiem, mamuś.

Stali tak jakiś czas bez słowa. Matka szukała na jego szyi łańcuszka. Spojrzała na niego zdziwiona.

— Zdjąłem, żeby nie zgubić — odparł i zarumienił się. Wyjął z szuflady nieduży sekretnik, sprawdził, czy krzyżyk jest w środku, wyjął go i założył. Barbara pomogła mu zapiąć łańcuszek i pogładziła go po twarzy. Zniósł pieśczętę z miną cierpiętnika. Nagle chwyciła w dłonie twarz syna i pocałowała go w usta.

— Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś. Nie pozwolę cię skrzywdzić — szepnęła.

— Mamo, co ty? — dopytywał się zdezorientowany Arkadiusz, ale matka już wybiegła do swojego pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. W niego zaś wpatrywał się bacznie ojciec.

— Wypałeś się? — Nie było to pytanie, raczej zaczepka. Arkadiusz nie był łaskaw udzielić odpowiedzi. Ojciec jednak na nią nie czekał, oświadczył tylko: — To ubierz się, zaraz wychodzimy.

Po czym wrócił do oglądania programu przyrodniczego w telewizji. Arkadiusz pospiesznie naciągnął spodnie. Ruszył do salonu.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Nic, trzeba ją znaleźć.

— Ale kogo?

— Marlenę. — Ojciec wyłączył telewizor. Spokojnie nabijał teraz fajkę. — Jak spałeś, twoja matka wyrzuciła ją z domu. Nic nie słyszałeś? Arkadiusz pokręcił głową.

— Pozazdrościć takiego snu — mruknął ojciec. — W takiej sytuacji.

— Ale ja nie chcę jej szukać. Niech się łajdaczy, z kim chce. Znów nie wróciła na noc. Całe miasto już wie, że mnie robiła w bambuko z tym doktorkiem! — wyrzucił z siebie.

— To twoja kobieta. Urodziła ci dziecko.

— Które zabiła! — nie wytrzymał Arkadiusz. — Niech ojciec sam jej szuka. Ja nie idę.

Jan Sochacki wstał.

— Idziesz ze mną.

— Spadaj! — Arkadiusz machnął ręką.

— Nie mów tak do mnie ani nigdy do nikogo, rozumiesz? Idziesz ze mną, bo inaczej oni przyjdą do nas. Dobrze to ująłeś, już wszyscy wiedzą. Wszyscy!

— Kto? — zaśmiał się Arkadiusz. — Niech sobie przychodzą. Niech ona się tłumaczy, co mnie do tego?

W drzwiach pojawiła się zapłakana matka.

— Idź, synku, proszę cię. Powiedz wszystkim prawdę. — Rzuciła się przed nim na kolana. Z trudem zdołał się uwolnić. Ojciec podszedł do drzwi i otworzył je. Do mieszkania wpadł potworny smród. Był tak intensywny, że Arkadiusz musiał zatkać nos. Białe drzwi ich mieszkania były pokryte mnóstwem wulgarnych napisów. Największy z nich — „Tu mieszka pedofil i zabójca” — powtórzono niezliczoną ilość razy sprayem do graffiti. Zaś cała framuga była wysmarowana śmierdzącą, duszącą mazią. Widać było, że część napisów próbowano zmyć, jednak reszta nadal była widoczna.

— Trzeba to szybko zamalować — szepnął Arkadiusz, zamykając drzwi. — Kto to zrobił?

Ojciec wzruszył ramionami.

— Myślałem, że ty wiesz, kto? I dlaczego? Słucham! — odparł Jan Sochacki podniesionym głosem.

— Ja? — Arkadiusz obejrzał się na matkę. Siedziała z pochyloną głową. W kącie stała biała farba, ale ojciec przesunął ją w kąt.

— Zamalujemy, jak policja pobierze ślady, wezwałem też dziennikarzy. Udzielisz im stosownych wyjaśnień.

— Ja? — Arkadiusz cofnął się kilka kroków. — Nie, nie chcę z nikim rozmawiać. Nic z tego.

Rozległo się pukanie do drzwi

— Już są — powiedział Jan Sochacki. — Idź i wypełnij swój zasrany obowiązek. Nikt mnie nie będzie wyzywał od pedofili!

Arkadiusz otworzył. W progu stali Olenderkowie. Mąż Teresy, Karol, zaczął już nagrywać. Teresa z trudem powstrzymywała się, by nie zasłaniać ust. Wreszcie nie wytrzymała i wyjęła chusteczkę. Przedstawili się, licząc, że Sochaccy udzielą im ekskluzywnego wywiadu. Dziadkowie uśmiechali się do nich uprzejmie. Arkadiusz stał z boku, nie przywitał się. Nie zdążył się ubrać, ale nie przejmował się tym. Podszedł do Karola i rzucił:

— Masz pozwolenie na nagrywanie?

— Boże, co to jest? Jaki smród! — Teresa starała się odnaleźć w tej sytuacji. Czuła, że atmosfera nie jest do końca sprzyjająca. Pomiędzy ojcem i dziadkami Zosi był jakiś konflikt.

— Zgodziłem się? — atakował tymczasem Sochacki. — Nie. A to jest gównem, proszę pani. Wypierdalać!

Zanim dziennikarze zdążyli zareagować, Arkadiusz rzucił się na Karola i zaczął go wypychać z mieszkania. Ponieważ operator nie przestawał kręcić, Sochacki wpadł w szal.

— Oddawaj taśmę!

Wyrwał Olenderkowi kamerę i zrzucił ją ze schodów. Wszyscy patrzyli na spadające w dół fragmenty urządzenia. Matka Arkadiusza krzyknęła rozpaczliwie, ojciec patrzył na to w milczeniu. Drzwi naprzeciwko uchyliły się.

— Tu nie radio, nie podsłuchujemy — upomniał sąsiadów Jan Sochacki i schował się do mieszkania.

— Pożałuje pan tego — rzucił Olenderek do ojca Zosi.

Teresa dzwoniła już na policję.

— Zaraz będą — oświadczyła. — Mam nadzieję, że ma pan pięćdziesiąt tysięcy na koncie. Tyle będzie kosztował ten wybryk.

— Zjeżdżaj! — krzyknął do niej Sochacki. — To wy mnie nachodzicie! Życ nie dajecie! Może wy to zrobiliście, skąd mam wiedzieć!

Teresa zachowała spokój.

— Przyszliśmy tutaj w dobrej wierze. Pana ojciec nas wezwał — odparła. Na dole słychać było, że policjanci wchodzili już do klatki. — Swoją drogą, może ci, którzy to napisali, wiedzą coś więcej niż my — przygadała mu. Arkadiusz rzucił się na nią z pięściami i zaczął okładać na oślep. Kobieta zasłaniała się przed ciosami. W takiej sytuacji zastali ich policjanci. Szybko obezwładnili Arkadiusza; po chwili leżał już na brzuchu, z wykręconymi do tyłu rękoma, na które zakładano mu kajdanki. Dopiero wtedy pozwolili mu wstać.

— Brać go — zdecydował najwyższy rangą. — Odpoczniesz sobie na dołku. Przemyślisz wszystko.

Kiedy wyszli, Barbara Sochacka odwróciła się do męża i syknęła:

— To twoja wina.

Zamknęła się w pokoju syna i nie wyszła stamtąd aż do wieczora.

Eliza Fal stała w oknie, wpatrując się w swój pieczołowicie zadbane ogródek. Tuż nad wysokim żywopłotem wisiła rozgrzana kula słońca.

Kobieta owinęła się szarym swetrem z angory i przymknęła oczy niczym kot wygrzewający się na parapecie. Czekwała, aż uczennica odnajdzie swój moment skupienia i zacznie grać.

W pomieszczeniu panowała absolutna cisza. Eliza nie odezwała się ani słowem, nie dała sygnału, tkwiąc w oczekiwaniu. Po chwili zza jej pleców popłynęły pierwsze takty. Zatopiła się w prostym, lecz przesłodkim menuecie Mozarta. Znała barwę każdego dźwięku tego utworu. Kojarzył jej się z własnym dzieciństwem. Przed laty sama uczyła się na nim nowego instrumentu. Zaczynała jako uzdolniona pianistka, bardzo późno odkryła harfę. To była dobra droga, a Mozart do dziś był jednym z jej ulubionych klasyków. Początkowo muzyka rozbrzmiewała jak balsam, potem jednak grająca musiała się zbyt denerwować, co Eliza wyczuła bez spoglądania na uczennicę, ale nie zareagowała, podniosła jedynie brew. Czuła, że dziewczynka coraz bardziej się spieszy. Nadal się nie odzywała, wciąż dając jej szansę na poprawę. Kiedy jednak ta brutalnie zepsuła kulminacyjne glissando, maestra nabrała powietrza i skarciła ją stanowczo:

— Nie szarp za struny. Uderzaj.

Zza jej pleców znów popłynęło allegretto. Tym razem było o wiele gorzej. Harfistka nie fałszowała, dotykała tych strun, co trzeba, robiła to jednak w nieodpowiedni sposób. Eliza nie była w stanie dłużej tego znieść.

— E, gis, as, ha — komenderowała. — Miętko, z wyczuciem. To nie warsztat stolarski.

Mimo podpowiedzi nadal nie było poprawy. Maestra odwróciła się. Zdjęła sweter, miękko położyła go na oparciu stylowego fotela. Na stole stał wazon ze świeżymi mieczykami w kolorze biskupiego fioletu.

— Dźwięk ma być okrągły — powiedziała. — Okrągły, nie płaski, Kasiu.

Niespełna dziesięcioletnia dziewczynka patrzyła na maistrę lekko przerażona. Prawie dwumetrowa harfa Salvi wyglądała przy niej jak kolos. Aż trudno było uwierzyć, że uczennica jest w stanie utrzymać ją w odpowiednim kącie pochylenia. Wbrew pozorom było to jednak łatwe. Harfa była dobrze wypoziomowana. Mimo skromnego pudła rezonansowego i braku zdobień, była jednym z droższych na rynku instrumentów treningowych. Została sprowadzona na zamówienie

Elizy ze Sieny, gdzie ta ukończyła jedną z trzech uczelni. Studiowała w Akademii Muzycznej w Białymstoku, potem ukończyła Konserwatorium w Paryżu i Akademię Chigiana w Sienie. Do dziś zresztą jeździła tam z gościnnymi wykładami.

Dziewczynka miała szeroko otwarte oczy, w kącikach kręciły się już łzy. Maestra dostrzegła to, ale nie skomentowała. Nie mogła dopuścić, by mała się rozsypała. To był trudny moment, ale przejdą przez to razem. Jeśli dziewczynka zrozumie, będzie ją uczyła, jeśli nie, niech szuka innego pedagoga, zdecydowała. Podeszła do dziewczynki, stanęła za nią i położyła rękę na jej ramieniu, by sprawdzić napięcie mięśni. Mała bardzo się denerwowała, mięśnie były twarde jak skała. Eliza podejrzewała to już wcześniej. Nie sądziła jednak, że jest aż tak źle. Z takim aparatem nie jest możliwa gra na żadnym instrumencie, a na harfie w szczególności. Ten instrument wymaga skupienia, ale nie stresogennego. Grający na niej musi być jak otwarta książka, wchłania bowiem wibracje instrumentu. Nie może się przed nimi blokować. W ten sposób można sobie zrobić jedynie krzywdę, i to na zawsze. Eliza poprawiła ułożenie ręki Kasi, która miała nadgarstki nieprawidłowo uniesione do góry, tak by ręka zachowała naturalną fizjologiczną pozycję. A potem, dla lepszej prezentacji ułożyła podobnie swoją. Uderzyła jedną ze strun. Rozległ się miękki, wibrujący dźwięk.

— Okrągły — powtórzyła z naciskiem. — Nie za mocny, nie za słaby. W sam raz. Słuchaj dźwięku. Tworzy doskonały mentalny okrąg.

Po czym wykonała mistrzowsko prościutkie, urocze glissando, z którym tak biedziła się mała. Dziewczynka rozpromieniła się. Dźwięk instrumentu był magiczny. Gra Elizy różniła się diametralnie od gry uczennicy, choć przecież używały tej samej harfy. Wykonanie mastry było bezpretensjonalne, jakby od niechcenia, ale sprawiało, że słuchającemu po plecach przebiegały dreszcze. Eliza też się uśmiechnęła. Widziała już, że Kasia doskonale rozumie. Wciąż były przytulone do siebie, jakby zlepione w jedną całość, i maestra czuła, jak ciało małej stopniowo wiotczeje. Ramię przestało być twarde i napięte. Ręka znów była elastyczna, lecz nie bezwładna. Kiedy poczuła, że wszystko wróciło do normy, dała znak głową i odsunęła się. Tym razem Kasia nie traciła czasu na ustawianie się. Po prostu zaczęła grać. Początkowo cicho, jakby obawiając się kolejnego błędu, ale Eliza kiwała

głową z aprobatą, by dodać uczniom otuchy. Potem uśmiechnęła się szeroko na znak, że jest znacznie lepiej. To dodało małej odwagi, pofolgowała sobie i mimo pomyłek grała już z pasją. Eliza stopniowo czuła błogie zadowolenie, które zdawało się rozchodzić po całym ciele. Wierzyła, że muzyka ma dar uzdrawiania i to dlatego wciąż wyglądała tak młodo. Dzięki wibracjom harfy, dzięki ich oczyszczającej mocy. Ale może to był tylko jej wymysł. Nie wiedziała i nie potrzebowała wcale takiej pewności. Była wymagająca wobec swoich uczniów, żądała intensywnej pracy, lecz nie gnębiła ich, jak wiele sfrustrowanych nauczycielek. Wiedziała, że jeśli ktoś naprawdę chce grać — będzie to robił. Czasem wystarczało tylko ucznia rozluźnić, jak teraz tę małą. Potrafiła zmotywować do pracy nawet najmłodsze dzieci, otworzyć je na muzykę. Uwielbiała patrzeć, jak z pączków zmieniają się w rozłożyste kwiaty. Wtedy były już gotowe iść tą drogą samodzielnie. Czuła się odpowiedzialna za swoich uczniów i utrzymywała z nimi kontakt przez długie lata. Pomagała im w koncertowaniu, nawiązywaniu umów, wspierała w karierze. Koneksji mogłaby pozazdrościć jej niemal każda harfistka w Polsce. Kiedyś Eliza była niekwestionowaną królową harfy. Nie tylko w Polsce. Przez lata koncertowała ze swoim trio po całym świecie. Dekadę spędziła w Buenos Aires, gdzie dorobiła się niezłej fortunki. Grała dla elit, prezydentów i królów. Po powrocie do Polski wszystko zainwestowała w ten dom i ogród oraz oczywiście w kolekcję unikalnych harf.

— Wspaniale — powiedziała, kiedy Kasia skończyła. — Teraz rozumiesz?

— Tak, dziękuję — odparła mała. — To było... ekstra.

— A uśmiech? — pouczyła ją Eliza. Dziewczynka na zawołanie posłała jej japoński uśmiech — grymas warg, bez ukazywania zębów. Idealny na estradę po koncercie. Wyprężyła szyję, wypięła pierś. Z gracją skinęła głową.

— Pięknie, znaczy ekstra — skomentowała maestra z uśmiechem i kilka razy klasnęła w dłonie. Dziewczynka aż pokraśniała z zadowolenia. Eliza wykorzystała ten moment i dodała: — Kiedy będziesz koncertować, będzie się liczyć nie tylko muzyka, lecz także to, jak wyglądasz. Ludzie muszą chcieć na ciebie patrzeć, dopiero potem będą w skupieniu słuchać. Kiedy będziesz tak stara jak ja, nie będzie to

już mieć znaczenia, ale teraz to jest ważne. Rytuały, przyzwyczajenia i czyste serce. A wtedy wszystko będzie przed tobą. Cały świat u stóp. Pamiętaj. To daje ten instrument. Magiczna harfa.

Dziewczynka nie odpowiedziała, wciąż pozostając w niewygodnej pozycji.

Zdawało się, że spija z ust Elizy każde słowo. Od tej chwili maestra będzie dla niej wyrocznią. Eliza wiedziała to. Miała wiele takich dam dworu. Latami budowała swój autorytet. Głaskanie kotka i kopanie kotka. Stara zasada na przywiązanie do siebie przeciwnika. Nigdy już nie odejdzie, będzie biła pokłony. Eliza lubiła to, dlatego wciąż uczyła. Teraz kazała Kasi wstać. Odsunęła stołek. Dziewczynka dygnęła w podziękowaniu za rady i stanęła obok. Dopiero teraz widać było, jak drobna jest Eliza. Dziewczynka sięgała jej do ramienia.

— Wyprostuj się — szepnęła maestra. — Napnij kolana i idź.

Dziewczynka wykonała polecenie. Bez uginania kolan było to bardzo trudne. Zrobiła kilka kroków i zrezygnowała.

— Nie dam rady — jęknęła.

— Widzisz? To teraz je ugnij.

Kasia szła z gracją, niczym baletnica. Stopy stawiała od palców po pięty. Elizę zawsze zachwycało to u niektórych uczennic. Jakby muzyka unosiła je na jakiś wyższy poziom rozumienia świata, dodając delikatności. Nikt Kasi przecież tego nie tłumaczył, sama wiedziała. Eliza nazywała to dotlenianiem dźwiękami. Patrzyła na nią i myślała, że dziewczynka niewątpliwie jest obdarzona wielką wrażliwością. Eliza chętnie prowadziła tak zdolne uczennice. Jeśli jednak chciała grać na harfie, czekało ją jeszcze dużo pracy. Na razie nie zamierzała jej straszyć.

— Teraz już rozumiesz? Składamy się ze stawów. — Wskazała nadgarstek ręki, łokieć i kolano. — Jeśli nie używamy ich w zgodzie z anatomią, nie da się wygodnie i skutecznie chodzić ani grać. Człowiek może się popsuć — zażartowała.

Eliza udała, że chodzi jak robot. Kasia wybuchnęła śmiechem.

— Tak nie gramy. Bo tak też nie chodzimy. Teraz rozumiesz, dziewczyno?

Zerknęła na zegarek w kształcie harfy stojący na komodzie. Większość użytkowych przedmiotów zgromadzonych w pomieszczeniu

miało kształt lub jakiś drobny emblemat harfy: zegarki, puzdereczka, obrazki, kryształ, wazony. Harfa multiplikowała się w tym salonie nieskończoną ilość razy. Widać było, że Eliza jest posiadaczką sporej kolekcji. Miały jeszcze pół godziny, zanim przyjadą rodzice małej. Kasia raz w tygodniu przyjeżdżała do mastry na lekcje z Bielska-Białej. Dla całej rodziny to było wydarzenie, a Eliza wiedziała, że pokładają w dziewczynce wielkie nadzieje. Ona zaś była grzeczną, posłuszną córką i za wszelką cenę nie chciała ich zawieść. Tego Eliza nie pochwałała. Muzyk powinien przede wszystkim sam chcieć tworzyć. Muzyka to twórczość, jak malowanie, pisanie, rzeźba. Gra to sztuka. Tylko wtedy ma sens, gdy płynie z serca. Spełnianie zachcianek innych zawsze kończy się rozczarowaniem. W swojej karierze pedagogicznej Eliza miała wiele takich przypadków.

— Na dziś koniec — zdecydowała Eliza. Dziewczynka zdziwiła się. — Już?

Eliza kiwnęła głową.

— Koniec lekcji, koniec dręczenia dzieci — powiedziała i uśmiechnęła się. Dziewczynka zachichotała. — Ale będzie praca domowa. Musisz dużo ćwiczyć.

— Ale ja gram po pięć godzin dziennie, maestra. Więcej nie dam rady. Mam szkołę i basen. Mama chce mnie jeszcze zapisać na tenisa.

Eliza przerwała jej gestem. Nie była zadowolona z tego wyznania. Zupełnie nie widziała efektów tych ćwiczeń.

— Albo tenis albo harfa. Wybieraj. Poza tym nie musisz grać aż tyle. Przetrenujesz się. Musisz ćwiczyć dobrze, niekoniecznie dużo. Znałam kiedyś harfistkę, która nie ćwiczyła prawie wcale, ale kiedy grała, człowiekowi dech zapierało w piersiach, w głowie wirowało. To był wielki talent. Nie została wirtuozem, choć sztuka została. Zajmuje się kwiatami, ale muzyka wciąż gra w jej sercu. I to jest najważniejsze. Gra przede wszystkim musi sprawiać przyjemność tobie. Inni to poczuć, nie musisz się obawiać. Jeśli jednak... — zamilkła i zapytała, lustrując dziewczynkę badawczym spojrzeniem: — Czy ty lubisz grać?

— Tak — odpowiedziała mała bez namysłu.

— Jak bardzo?

— Bardzo. Naprawdę. — Dziewczynka była gotowa przysiąc.

— Już dobrze, dobrze. — Eliza nie potrzebowała żadnych obietnic. To jedynie słowa. W muzyce one nic nie znaczą. Muzyka obywa się i bez nich. — A co najbardziej? Masz jakiś ulubiony utwór?

— No nie wiem, zagram wszystko, co pani każe. — Kasia przerwała i poprawiła się. — Co maestra każe.

— To, co maestra każe, trzeba grać na lekcji. Teraz lekcja jest skończona. Co ty byś chciała zagrać dla własnej przyjemności. Wiesz, co to przyjemność?

— Chyba tak...

— Chyba?

— Może *Sonatę Księżycową*? Bardzo lubię ją grać.

— Świetny wybór — odparła Eliza. Wskazała trzy harfy stojące w rzędzie. Pierwsza była najwyższa. To współczesna Salvi, na której mała grała przed chwilą. Obok stał XIX-wieczny Erard z barokowo zdobioną ramą. Na samym końcu stała mała, niepozorna harfa koncertowa. Była złocona, delikatnie rzeźbiona, gotycka. Nie była większa niż dziewczynka. Jej mechanizm też różnił się od pozostałych instrumentów. Zamiast siedmiu pedałów, miała jedynie trzy. Tamte posiadały dwa rzędy strun, ta miała tylko jeden. Struny umocowano na specyficznych „barankach”, nieokręcone wokół palików, z możliwością regulacji. Była to zabytkowa, złocona XVII-wieczna Cousineau, wyjątkowa rzadkość.

— Którą wybierasz? — zapytała Eliza. — Na której zagrasz mi sonatę cis-moll?

— Ja? — zawahała się Kasia. — Sama nie wiem.

— Śmiało, nie bój się. Może na tej ostatniej? Nie chciałabyś?

— Ale przecież jej nawet nie wolno dotykać. Nie wiem... Jeszcze coś popsuję.

— Daj spokój — zaśmiała się Eliza. — Nikt nie może zepsuć harfy. Nawet amstaff mojej przyjaciółki nie zdołał jej przegryźć, a co dopiero mała dziewczynka. Ostatnia szansa. Nastroić?

Mała nie wahała się dłużej. Przesunęła stołeczek w kierunku zabytkowej harfy koncertowej, usadowiła się, ułożyła ręce, po czym nagle zdjęła je i zapytała z niepokojem:

— A mogę najpierw siku?

Eliza wybuchnęła niekontrolowanym śmiechem.

— Oczywiście. W takich warunkach harfistka nie może i nie powinna grać. Trzy plusy za to. Leć. Wiesz gdzie.

Eliza zabrała się za strojenie harfy. Kolejno uderzała i dokręcała struny, by instrument wydobywał jak najdelikatniejszy dźwięk. Zanim mała wróciła, harfa była już gotowa. Eliza na zachętę zagrała Kasi celtycką wariację, która wymagała wielkiej biegłości i delikatności jednocześnie. Pod koniec utworu skrzywiła się lekko, jakby coś ją bolało. Zaraz jednak na jej twarzy pojawił się taki sam japoński uśmiech, jakiego przed chwilą uczyła małą.

— Ale maestra pięknie gra — powiedziała szczerze dziewczynka. Eliza uśmiechnęła się. To dla niej oczywiste, nie oczekiwała komplementów, ale słowa dziewczynki sprawiły jej przyjemność. Mała umiała się zachować. Kasia, zachęcona jej przyzwoleniem, mówiła dalej: — Nigdy nie słyszałam, jak pani gra. Tylko na płytach i w telewizji.

— To nie ja gram — odparła skromnie Eliza. — To harfa. Mówiłam ci, że to magiczny instrument. Odgania złe duchy. Jeśli będziesz grać pięknie, one nigdy nie będą miały do ciebie dostępu. Umowa stoi? — Wyciągnęła dłoń do małej.

— Stoi. — Dziewczynka podała swoją delikatnie, jakby z lekką obawą. Po czym zasiadła na stołku i zagrała obiecaną sonatę.

Eliza słuchała bez słowa, z prawdziwym zadowoleniem. Mimo iż Kasia w połowie znów usztywniła rękę, nie zwróciła jej uwagi. Uznała, że na żmudne ustawienie aparatu gry przyjdzie czas. Będą nad tym pracowały przez najbliższy rok, jeśli mała się nie podda. Tego nikt nigdy nie wiedział. To przecież jeszcze dziecko. Jak się rozwinie jej ciało? Czy duch podąży za nim? Jakiej długości będą jej palce, przedramiona, czy nie dopadnie jej choroba stawów? Dla harfistki nawet alergią może być przeszkodą. Kobiety uczulone na metal muszą mieć specjalne struny z jelit, inaczej na palcach robią im się pęcherze. A z nakładkami, plastrami czy z bolącą ręką nie można grać. Dziś maestra nie chciała jej tym wszystkim zniechęcać. Słuchała, znosząc jej płaskie dźwięki i pomyłki. Zauważyła jednak, że mała się stara. Kilka fraz zagrała bardzo okrągło.

Nagle ciszę przeciął głośny dzwonek. Kasia przerwała grę, Eliza zamarła. Nie spodziewała się nikogo. Każdy z jej bliższych znajomych, a

tylko tacy znali jej adres, wiedział, że nie wolno jej przerywać w trakcie lekcji. Nawet Ola nie pozwoliłaby sobie na taki nietakt. Dlatego Eliza zignorowała dzwonek. Jeśli to jakiś natrętny sąsiad, akwizytor czy nawet potrzebujący pomocy pielgrzym, będzie musiał poczekać, aż skończą. Zasady są zasadami. Tylko dzięki dyscyplinie Eliza doszła na sam szczyt. Nakazała dziewczynce dokończyć utwór. Po chwili znowu ktoś zadzwonił. Tym razem dłużej, intensywniej. Eliza nie kryła niezadowolenia. Podeszła do drzwi wejściowych, uchyliła wizjer. Przed furtką zobaczyła wysokiego mężczyznę w skórzanej kurtce. Widziała go po raz pierwszy w życiu, ale poczuła, że musi go wpuścić. Wyglądał na policjanta. Nacisnęła przycisk, bramka odskoczyła.

Hubert Meyer wszedł na posesję i rozejrzał się. W donicach stylizowanych na antyczne amfory rosły przeróżne kwiaty. Także wzdłuż schodów i na żywopłocie. Kostka wokół domu wyglądała jak imitacja piaskowca. Schody zaś były z czystego marmuru. Rezydencja sprawiała wrażenie luksusowej.

— Przepraszam, że przeszkadzam — odezwał się Hubert. — Przyszedłem w sprawie Zosi Sochackiej. Pani jest jej nauczycielką.

Eliza szerzej otworzyła drzwi. Meyer wszedł do środka.

— Proszę dalej, niech się pan rozgości. — Wpuściła go do małego saloniku na półpiętrze, wyściełanego purpurową tkaniną. W ścianie naprzeciwko znajdował się wielki kominek wykładany starymi kaflami oraz różne rodzaje harf, maski, gobeliny i zdjęcia. — Dokończę lekcję i już jestem do pana dyspozycji.

— Oczywiście, zaczekam. — Hubert pokiwał głową. Drzwi za kobietą zatrzasnęły się.

Rozejrzał się po pomieszczeniu i usiadł na wygodnej kanapie w kolorze ścian. Było mu gorąco, więc zdjął kurtkę, kładąc ją na stole. Zaraz jednak się zreflektował. Pokój był wysprzątanym, pełnym bibelotów. Złożył okrycie i zwinął je w kłębek obok siebie. Wtedy zauważył, że na stole leży plik gazet, zaś na samej górze — kolorowy brukowiec. Zdziwił się, nie spodziewał się po harfistce takiej lektury. Na okładce było zdjęcie poszukiwanej dziewczynki. Nie zastanawiając się, zaczął czytać.

— Napije się pan czegoś? — głos Elizy wyrwał go z lektury. Nie zauważył, kiedy ponownie pojawiła się w pokoju.

— Nie, dziękuję. Proszę sobie nie robić kłopotu. — Pokręcił głową.

— Wobec tego powinnam być wolna za niecały kwadrans. Gdyby potrzebował pan skorzystać z toalety, jest na dole.

Postawiła na stole trzypiętrową paterę z ciastkami i sok w dzbanku.

— Proszę się posilić.

Wyszła, a zaraz potem z dołu zaczęły dobiegać eteryczne dźwięki harfy. Meyer nie znał się na tym, ale musiał przyznać, że to plumkanie było nawet przyjemne. Nie był jednak pewien, czy zdołałby wysłuchać całego koncertu.

Przeleciał teksty o Zosi we wszystkich gazetach, jednak poza sensacyjnym tytułem sugerującym, że policja nie dokłada wszelkich starań, by znaleźć dziewczynkę, która być może już nie żyje, nie było tam nic, czego by już nie wiedział. Artykuły opublikowano po rozmowie z rodziną zaginionej i wypowiedali się głównie dziadkowie, detektyw oraz ojciec dziewczynki. Niechęć matki dziecka do mediów została przez dziennikarzy zinterpretowana jednoznacznie — być może jest winna zaginięcia Zosi. Dopiero w brukowcu Hubert znalazł coś ciekawego. Ktoś zadał sobie trud, by zbadać przeszłość młodej Cyganki. Meyer zastanawiał się, jak dziennikarz dotarł do tego, że Marlena nie nazywa się wcale Sochacka, lecz Mirga, i miała już męża, czterdzieści lat starszego od siebie Arsena, szanowanego i jednego z bogatszych przedstawicieli romskiej społeczności. Ponoć wydano ją za mąż w wieku trzynastu lat. Zaślubiny odbyły się nieformalnie przed cygańskim królem w Zgierzu pod Łodzią. Dziennikarz nie podał źródła informacji, powołał się na niezależnego informatora. Nikt ze społeczności romskiej ani sama zainteresowana nie potwierdzili tych rewelacji. Meyer zastanawiał się, dlaczego Marlena zataiła tak ważny fakt w życiorysie. Zanotował nazwisko autora, żeby sprawdzić jego doniesienia, i bacznie przyjrzał się zdjęciom szkolnym Marleny. Patrzyła na niego wierna kopia Zosi.

Rozległ się dzwonek i Hubert usłyszał, że maestra wpuściła do domu kilka osób. Uchylił drzwi, by słyszeć o czym mówią, ale już po chwili stracił zainteresowanie. Byli to prawdopodobnie rodzice uczennicy.

Mowa była o harfie, którą kupili, a w jej znalezieniu pomogła im maestra. Prośli o adres dobrego złotnika, by ją odrestaurować. Maestra kazała im raczej poszukać dobrego stroiciela. Mała musi grać. Wygląd ramy ma mniejsze znaczenie, podkreśliła stanowczo. Wreszcie usłyszał przeraźliwy pisk dziewczynki. Wyjrzał na schody zaniepokojony. Zobaczył śliczną jak aniołek dziewczynkę, która uwiesiła się na szyi maestry.

— Spokojnie, udusisz mnie — powiedziała Eliza i kątem oka dostrzegła obserwującego ich Meyera. Nie schował się. Skinął głową rodzicom małej. Wyglądali na uczciwych ludzi. Nie było jednak wątpliwości, że sami nie zarabiali na życie sztuką. Ona była wystrojona, nosiła tipsy i buty na dużej platformie. On zaś, niższy od niej, gruby i całkiem siwy, musiał mieć problem z alkoholem. Zdradzał go czerwony nos i przekrwione oczy. Wszyscy troje wyglądali na niezwykle zadowolonych.

— Dziękujemy pani — mówiła i kłaniała się maestrze matka uczennicy. — Jeszcze raz dziękujemy za podjęcie tej decyzji. Tak więc będziemy co sobota, tak jak pani kazała. Nie, to żaden problem. Mamy nocleg, rodzina w Supraślu. Nie ma sprawy, naprawdę.

Wyszli. Maestra skinęła na Meyera.

— Potrzebuję pańskiej pomocy — odezwała się delikatnie, lecz stanowczo. Wskazała pomieszczenie, w którym odbywała się lekcja. — Trzeba to przenieść. Wygląda mi pan na silną osobę.

Meyer zmierzył pokój wzrokiem. Stały w nim trzy harfy. Jedna z nich, najwyższa, była częściowo przykryta pokrowcem. Meyer był przekonany, że prośba dotyczy przeniesienia instrumentu, podszedł więc do niego. Maestra powstrzymała go i wskazała podłużną, marmurową donicę stojącą tuż za nim.

— Chodziło mi o te kwiaty. Uczniowie podczas lekcji niszczą ich liście. Sama nie jestem w stanie tego przesunąć. — Wskazała oszklone patio w stylu włoskim. Okazało się, że kąt, do którego chciała wstawić kwiat, był dosyć daleko. Na dodatek cały zastawiony walizkami i pudłami. Wyglądały jak gotowe do przeprowadzki. Hubert zmierzył się z ciężarem. Stwierdził, że nie jest w stanie nawet ruszyć donicy, poprosił więc o koc, podłożył go pod spód i tym sposobem przetransportował w miejsce wybrane przez harfistkę.

— Sprytnie — pochwaliła go Eliza. — Sama bym tego lepiej nie wymyśliła. Dziękuję i jestem już do pańskiej dyspozycji.

Uśmiechnął się.

— Nie dziwi panią, że przyszedłem?

Zachowała nieruchomą twarz.

— Od razu wiedziałam, że jest pan z policji. Ale też że jest pan kimś wyjątkowym. Ma pan inteligentną twarz. Znam się na tym.

Meyer zaśmiał się. Wyjaśnił, czego od niej oczekuje. Nie przerywała mu. Kiwała głową, po czym bez słowa wyjęła notatnik, w którym zapisywała uwagi dotyczące uczniów.

— W tym notesie są tylko osoby wyjątkowe — podkreśliła. — Zosia miała, przepraszam, ma dziewięć lat. Nie da się na tym etapie określić, czy dziecko ma talent czy nie. Talent, jak pan wie, stanowi tylko pięć procent sukcesu. Reszta to ciężka praca. Ale o Zosi mam kilka stron. Większość uczniów zajmuje zaledwie jedną. To chyba o czymś świadczy.

— Dyrektorka szkoły mówiła coś zupełnie innego — mruknął Meyer. — Że ledwie przechodziła z klasy do klasy.

— Dyrektorka jest moją uczennicą i nigdy nie było jej w tym notesie — zaśmiała się Eliza. Po czym wyjęła z szafki martini. — Napije się pan?

Meyer pokręcił głową.

— Przyjechałem samochodem. Poza tym jestem w pracy. — Rozłożył ręce.

— Pozwoli pan, że ja się napiję. Dziś chwilę zagrałam i, niestety, znów mam te bóle w stawach. Dlatego u szczytu kariery oddałam się pracy pedagogicznej. Nie mogę już koncertować. Zbyt wiele mnie to kosztuje — wyjaśniła, ale w jej głosie nie było smutku, jedynie chłodne stwierdzenie faktów.

Podeszła do kredensu i wyjęła z niego szkło. Nalała dosłownie odrobinę do kryształowego kieliszka. Upiła łyk, spróbowała, po czym dopełniła kieliszek do połowy. W jej ruchach była dystynkcja i pewność siebie. Nie wstydziła się tego, że pije. Niczego nie udawała. Zachowywała się, jakby była królową w tym pałacu, i tak było w istocie. Meyer czuł, że ta kobieta wie, jak chce żyć, i robi tylko to, co sama uważa za stosowne. To był też krótki moment, kiedy mógł się jej przyjrzeć. Domyślił się, że całe życie musiała stosować radykalną dietę,

bo mimo wieku zachowała szczupłą sylwetkę. Plecy miała wyprostowane, brzuch wciągnięty. Choć na zewnątrz panował upał, na nogach miała jasne kryjące rajstopy. Jeśli nawet miała żylaki, nie było ich widać. Uwagę zwracały jedynie zgrabne kostki i kształtne łydki. Rozkloszowana spódnica sięgała jej przepisowo za kolano. Tlenione włosy nosiła splecione w ciasny kok, niczym wiekowa baletnica. Miała klasę, gęsta siateczka zmarszczek i lekko zgnieciona skóra na szyi nie były w stanie jej oszpecić. Meyer wciąż zastanawiał się, ile maestra ma lat. Zakładał, że musi być po pięćdziesiątce. Równie dobrze mogła mieć i sto.

— Wracając jednak do Zosi, bo to ona pana interesuje — podjęła wątek. Widać było, że aż pali się do współpracy. Nie potrzebowała zachęty i dobrze rozumiała, czego potrzebuje profiler. — W jej wieku chyba tylko sam Pan Bóg może ocenić, jak daleko dziecko zajdzie jako muzyk. Może będzie wirtuozem, nawet solistką. Albo skończy w orkiestrze, gdzie w trakcie koncertu zagra kilka dźwięków. Może też przestanie grać. To, co warunkuje talent u dziecka w tym wieku, i co mogę stwierdzić z całą pewnością, to cztery rzeczy. Trzy z nich stwierdzam u Zosi.

Meyer zamienił się w słuch. Eliza zaczęła wyliczankę:

— Słyszenie harmoniczne to raz. Jeśli ktoś nie słyszy harmonii, a jedynie melodię, powinien grać na innym instrumencie. Miałam już wielu uczniów, którzy jedynie męczyli się z harfą. Jako pianiści są doskonali. Może nawet robią kariery. Zosi to nie dotyczy. Ona ma wybitny słuch harmoniczny — podkreśliła maestra.

— Druga rzecz to chyba w ogóle słuch — zaczął się wymądrzać Meyer.

— Oczywiście, trzeba słyszeć dźwięki — potwierdziła Eliza. — Ale nie chodzi tylko o słyszenie i odróżnianie. Chodzi o słyszenie dobrych dźwięków: czy dźwięk odbija się, czy jest pełny. My go nazywamy okrągłym. Dziecko musi to słyszeć, inaczej nic z tego nie będzie. Druga podstawowa rzecz to dobry aparat gry. A więc po prostu dobrze ustawiona ręka. Wielu nauczycieli łamie dzieciom kariery błędnym ustawieniem. Weźmy to dziecko, które wyszło. Bardzo zdolna dziewczynka, ale to, z czym się borykamy, to ręka. Ma złe nawyki. Trenowała u słabej harfistki. Znam ją. Nie skończyła akademii. Znam

zresztą wszystkie harfistki w Polsce. Nie ma ich tak wiele. Wszystkie mają pracę do śmierci. Chyba że mają źle ustawioną rękę i cierpią jak ja.

— Pani ma źle ustawioną rękę? — zainteresował się Hubert.

— Odkryłam to zbyt późno, przeszłam terapię, to był cios. Też jestem ofiarą złej harfistki.

— Wszyscy jesteśmy ofiarami ofiar — wtrącił Meyer. — Tak w każdym razie sądzą psychiatrzy.

Eliza uśmiechnęła się. Widział, że spodobała się jej ta zasada. Zaraz jednak wróciła do przerwanego wątku.

— Na szczęście da się ją jeszcze przestawić. Nie będzie to łatwe, ale już to robiłam. Przyszła do mnie wystarczająco wcześnie. Uratuję ją, może będzie wielka. Może, nie jestem wróżką — podkreśliła. — Trzecie to inteligencja.

Meyer uśmiechnął się.

— I w tej branży nie zaszkodzi — mruknął.

— Sam pan wie, że jeśli ktoś jest głupi, nawet najlepsza technika nie pomoże. Chodzi o rozumienie muzyki na poziomie emocji, nie samych nut, instrumentalizacji czy choćby rzemiosła. Jest wielu głupich muzyków, którzy mają doskonałą technikę. Zosia jest inteligentna. Nawet bardzo. Rozumie wszystko, a nawet więcej... — urwała i zamilkła.

— To już trzy rzeczy — podsumował Meyer. — Dziewczynka je posiada. A ta czwarta, ostatnia?

Eliza wodziła palcem po brzegu kieliszka. Zastanawiała się.

— Ta czwarta może ją zdyskwalifikować. Może nigdy nie być solistką. Może się złamać. To, co teraz powiem, dla wielu nauczycieli jest tajemnicą. To jednak jest najważniejsza kwestia. Według mnie kluczowa. I od tego powinno się zaczynać egzaminy do szkół. Nie byłoby tak wielu rozczarowań, tak wielu zniszczonych karier, kiedy jest już za późno na wybór drogi życiowej.

— Słucham więc. — Meyer zapatrzył się w maistrę. Oczywiście miała szkliste.

— Harfistka nie może być obciążona nieudanym życiem. Nie pomoże najlepsza technika, doskonały słuch, idealny aparat gry, jeśli muzyk ma problemy. To wprowadza lęk, że się nie uda. Nie może koncertować,

ćwiczyć, rozwijać się. A nawet jeśli, to wszystko zbyt wiele kosztuje, złamie artystę wcześniej czy później.

— I tak się dzieje w przypadku Zosi?

Eliza pokiwała głową.

— Niech pan mi wierzy, to mogła być wspaniała harfistka. Mogła być i może, pod warunkiem, że ktoś o nią zadba. O jej emocje, o jej bezpieczeństwo. Jeśli nic się nie zmieni w jej życiu — nie będzie. Jej rodzina. To ją niszczy. Nie pomoże to, że wszyscy chcą kupować jej instrument. Nie dziwię się, oddałabym jej swój. To zdolne dziecko.

— Dlaczego? — przerwał jej Meyer. — Dlaczego to takie ważne?

— Nie byłam z nią tak blisko. Niestety, nie dopuściła mnie do siebie, ale to, co widziałam, wystarczy, bym mogła postawić tę hipotezę. Uczę od przeszło czterdziestu lat.

— Czterdziestu? — podniósł brew Meyer.

— Tak, w ubiegłym roku miałam benefis. Jestem już bardzo stara, panie Meyer. I cieszy mnie to, że wciąż żyję i mogę pokazywać innym świat muzyki. Ale wiele już widziałam złamanych talentów.

Meyer wyglądał na niezadowolonego.

— Może pani mówić jaśniej?

— Wcześniej nie było z nią problemów. Nie lubię wtrącać się w nie swoje sprawy. Ale kiedy Zosia włamała się do szkolnej auli, gdzie trzymamy harfę koncertową...

— Kiedy to było?

— W ubiegłym roku, tuż przed finałowym koncertem bożonarodzeniowym — odpowiedziała bez wahania maestra. Widząc konsternację na twarzy profilera, nagle urwała.

— Może pani powiedzieć o tym incydencie coś więcej?

— Dyrektorka nie pisnęła ani słówkiem? — uśmiechnęła się chytrze harfistka.

Potwierdził bez słowa i spojrzał bacznie na Elizę.

— Mogłam się tego spodziewać — mruknęła z przekąsem i natychmiast kontynuowała: — To była wielka afera. Harfa jest specjalnie strojona. Nikt nie może jej dotykać. Zjeżdżają się wszyscy oficjele i wie pan, to dla szkoły bardzo ważny moment. Zosia nie miała swojego instrumentu, codziennie wstawała o piątej rano, żeby ćwiczyć. Stróż otwierał jej salę, a ona przez te trzy godziny grała do rozpoczęcia

zająć. Czasem zapominała o śniadaniu, o rozpoczynającej się lekcji. Tuż przed koncertem zabroniłam jej grać przez tydzień. Zakazałam przychodzić. Miała odpocząć, zrelaksować się. Pojechać gdzieś, wie pan, odetchnąć. Bałam się, że będzie za bardzo spięta. Zdenerwowanie może zabić największego wirtuoza. A kiedy zatnie się przed pierwszymi koncertami, taka blokada może jej zostać. Trzeba wtedy włożyć wiele pracy w jej ponowne otwarcie, wyluzowanie. Zosia zaś to jedna z tych ambitnych dziewczynek, które nigdy nie odpuszczają.

— Włamała się do auli, żeby móc poćwiczyć? — Meyer nadal nie rozumiał motywacji dziecka, wydawała mu się zbyt desperacka.

Eliza pokiwała głową.

— Włamała się to za dużo powiedziane. Instrument nie stał w żadnej szafie. Nikt go nie ukrywał. Harfa stała w swoim miejscu, przykryta jedynie pokrowcem. Wszystkie dzieci wiedziały jednak, że nie wolno jej dotykać. Ona ten zakaz złamała. Chciała być najlepsza. Chciała ćwiczyć. I ćwiczyła. Stróż nakrył ją dopiero trzeciego dnia. Dyrektorka zabroniła Zosi wystąpić. Z trudem zapobiegłam wyrzuceniu jej ze szkoły.

— Zabroniła jej wystąpić? — zachnął się Meyer. — Dziecko chciało sobie pograć. To nieludzkie.

Eliza pokiwała głową.

— Też tak sędzę. Ale nie mogłam cofnąć tej decyzji. Jestem tylko zwykłą nauczycielką. — Maestra spuściła skromnie wzrok. — Zosia zaś zaczęła się buntować.

— Nie odzywała się?

— Do nikogo. Wciąż grała, przychodziła na lekcje, ćwiczyła. Ale była w tym wściekłość. Nikt, kto sam nie grał, tego nie zrozumie. Jej gra się zepsuła. Nie mogłam tego znieść. Któregoś dnia zaprosiłam ją na lody po szkole.

— Co jej pani powiedziała?

— Opowiedziałam jej legendę, którą mówię wszystkim moim uczniom. To zresztą poniekąd prawda. Kiedyś Irlandczycy wieszali harfy na drzewach, by odgonić od siebie upiory i inne złe moce. Wierzono, że ten instrument odgania duchy zmarłych. Skoro ma tak wielką moc, należy go kochać, a nie mścić się na nim. Jeśli w życiu harfisty źle się działo, nie miał prawa grać. Najpierw musiał pojednać się z duchami. Wieształ więc swoją harfę na drzewie, słuchał, jak wiatr

bawi się jej strunami, wydając specyficzne dźwięki, i czekał na stosowny moment. Kiedy się oczyścił, znów wracał do muzykowania. Tak być powinno, ale znam tylko jedną harfistkę, która postąpiła w ten sposób. Wielu lekceważy tę przypowieść, niesłusznie. Wtedy opowiedziałam ją Zosi i dodałam: Nie można się na nikim mścić. Co byś zrobiła, gdyby kopnął cię koń? Oddałabyś mu? Mściciel zawsze jest pierwszą ofiarą swojej zemsty.

Eliza siedziała bez ruchu. Meyer zastanawiał się nad sensem tej opowieści. Miał już zadać kolejne pytanie, kiedy kobieta zaczęła mówić:

— Wtedy Zosia pękła. Była bardzo nieszczęśliwa. Skarżyła się, że matka ją odrzuciła. Nie przytula jej, nie całuje, po prostu nie ma dla niej czasu. Babcia każe jej odmawiać co wieczór modlitwę przeciw demonom. Podśluchała też kłótnię babki z matką, w której została nazwana bękartem. O ojcu nie chciała wspominać, jakby nie istniał. Kochała tylko dziadka, ale jego nigdy nie było, wciąż pracował. Nie chciała być w domu, czuła się niekochana, gorsza od innych. Dzieci przezywały ją, mówiły, że jest Cyganką. Problem w tym, że ona naprawdę jest inna. To ktoś niezwykły, wyjątkowy. Nie zasługiwała na takie traktowanie. Potrzebowała wtedy, by ktoś podał jej rękę, a nie kopał jeszcze bardziej. Wie pan, to może był tylko taki zły czas, brak poczucia bezpieczeństwa. Nie wiem dokładnie. Więcej z nią nie rozmawiałam. Otworzyła się tylko raz i zaczęła się stopniowo odzywać do innych. Ale nigdy nie grała już tak pięknie. Potem dowiedziałam się, że zaginęła.

— Jak się pani dowiedziała?

Eliza zastanowiła się chwilę, jakby starała sobie przypomnieć.

— Ktoś mi powiedział. Przez telefon. Byłam wtedy w Łańcucie, na kursach. Prowadzę tam co roku takie zajęcia z dziećmi. Pomyślałam...

— przerwała.

— Tak? — zachęcił ją Meyer.

— Pomyślałam, że stało się tam coś złego. Coś, co przelało czarę goryczy. Tam, w tej rodzinie ta dziewczynka została zamordowana już wcześniej. Oczywiście w sensie duchowym, jako harfistka. Widziałam to na własne oczy. Ten genialny dar, pasja, czystość. To wszystko gdzieś przepadło. Nie mam pojęcia, jak to wyrazić. Ale widzi pan, wyjątkowe dzieci zdarzają się bardzo rzadko. Znałam tylko kilka takich osób, dwie,

trzy, może jedną — dokończyła i siedziała bez ruchu, wpatrując się w profilera.

Hubert też milczał.

— Dla pani muzyka jest wszystkim, prawda? — upewnił się.

Pokiwała głową.

— Poświęciłam jej całe moje życie. Także prywatne, jak pan wie. Czy było warto? Tak, nie żałuję. Moja córka jest daleko, praktycznie mnie nie odwiedza. — Wskazała paczkę listów związanych różową wstążką, leżących na komodzie. — Pisze do mnie. Prawdziwe listy. Nie mejle czy esemesy. Nie widziałam jej od lat. Mieszka we Włoszech, z mężem i dziećmi. Nie mogła tu żyć, nie udźwignęła mojej sławy, splendoru, jaki zawsze mnie otaczał. Też miała talent, ale była leniwa. Ja jej nie zmuszałam. Może gdybym to zrobiła, miałyby inne życie. Dziś jest przy mężu, ale, co ciekawe, zajmuje się złoceniem harf. Myślę, że to, czym się zajmuję, ma z tym jakiś związek. Skoro nie mogłam nauczyć mojej córki, chcę chociaż dać to innym dzieciom. Takie zastępstwo, żebym sobie coś przebaczyła.

Meyer pokiwał głową. Współczuł tej kobiecie. Wydawało się, że ma wszystko, jest diwą harfy. Maestrą. Ale to były jedynie pozory. Nie ona jednak była teraz obiektem jego zainteresowań.

— Czy pani wie, że dyrektorka skłamała? Nie chciała mówić o włamaniu, o tym, że to jej wina.

— Bo to jest jej wina — powiedziała Eliza z naciskiem. — Gdyby nie zakazała Zosi zagrać, może nic by się nie stało. Ona to wie i ja wiem. A skoro pana tu wysłała, wie też, że pan już wie — dodała z uśmiechem.

— Była pani w tym domu, prawda? — zapytał Meyer. — U Sochackich?

Eliza nabrała powietrza w płuca i uśmiechnęła się po japońsku.

— To nie jest dobry dom. Niech się pan tam wybierze. Sam pan poczuje, że w takich warunkach kwiat nie może rozkwitnąć. I proszę sobie wyobrazić, jaką musiał mieć siłę, że wykiełkował. Na takim ugorze — odpowiedziała metaforą, ale Hubert wiedział doskonale, o czym mówiła.

— Muszę zadać to pytanie — zaczął najdelikatniej jak potrafił. Nie musiał kończyć, Eliza zrozumiała od razu.

— Pyta mnie pan o alibi? Tak to nazywacie? — weszła mu w słowo.
— Byłam w Łańcucie, może pan sprawdzić. A od tamtej pory nie miałam kontaktu z Zosią. Po tym spotkaniu, kiedy tak nagle się przede mną otworzyła, unikała mnie. Nikt nie lubi, by zaglądać mu do serca, zwłaszcza jeśli tam są zgliszcza. Dotyczy to szczególnie małych dzieci. Zrobią wszystko, by zakłamać świat, usprawiedliwić się, bo obwiniają się za zło, które ktoś im wyrządził. Myślę, że Zosia miała taki właśnie problem.

— Molestowanie? — zapytał Meyer.

Eliza wzruszyła ramionami.

— Nie znam się na tym. Nic nie wiem. Może to byłoby zbyt proste?

Wstała i znów podeszła do komody. Hubert pomyślał, że wyjmie butelkę martini, ale ona przyniosła inny notes, wyjęła z niego karteczkę i zapisała mu numer na kartce.

— To jest krewny Zosi, z jej cygańskiej rodziny. Konsultował się ze mną w sprawie zakupu instrumentu. On chciał odebrać tym ludziom to dziecko. Nie wiem dlaczego, ale może on to wie i panu wyjawi.

Meyer wstał. Rozmowa była zakończona. Maestra była poważna, wyczerpana i smutna. Hubert pożegnał się, odprowadziła go do drzwi. Pochwalił mieszkanie, ogród. Podziękowała. Stała przy bramie, patrząc, jak wsiada do samochodu. Odwrócił się.

— Wyprowadza się pani? — zagaił, przypominając sobie o pakunkach stojących w patio.

— Nie — zaśmiała się szczerze, odsłaniając zęby. Były białe i lśniące, nie wyglądały na protezę. — Właśnie przyjechałam. W moim zawodzie trzeba być zawsze spakowanym. Wciąż jestem w rozjazdach. Dopiero teraz pomieszkam u siebie. Mam taką nadzieję. Nigdzie się nie wybieram. Jeśli byłabym potrzebna, zapraszam.

Widział ją we wstecznym lusterku, machała mu po przyjacielsku, a z jej twarzy ani na chwilę nie schodził uśmiech.

Lena widziała w oddali rząd sympatycznych domków jednorodzinnych z ogródkami. Spięta się w sobie i nastawiła na wielką batalię. Czuła, że przepętnia ją złość, która może dać jej siłę. Złość na Meyera i policjantów, którzy wciąż brali ją za słodką idiotkę. Zmiana koloru włosów nic nie dała. Co gorsza, faktycznie czuła się jak w peruce.

Kiedy spoglądała w lustro, nie poznawała siebie. Jakby była kimś innym, weszła w cudzą skórę. Nie wystarczy przebrać się za kogoś innego, obciąć włosy, by zmienić tożsamość. Dotychczasowe problemy pozostają, nie da się od nich uciec. Decyzję podjęła pochopnie. Teraz jednak nie było czasu na osobiste rozważania. Włosy odrosną, czas leczy rany. Od teraz zamierzała działać inaczej. Najpierw pomówi z emerytowanym policjantem, który, jak wszyscy pozostali, z pewnością będzie chciał jej udowodnić, że nie odróżnia oskarżonego od podejrzanego, oraz zapozna ją z procedurą. Była na to gotowa, ale zdecydowała, że nie da się tak łatwo zbyć. Wyciągnęła z kieszeni kartkę z adresem Lucjana Swatka. Zgodził się od razu, po pierwszym telefonie. To już coś. Zbliżała się do celu. To Meyer odbierał jej wszystkie siły. Przy nim nie umiała zaważać o swoje, bała się śmieszności, czuła się źle. Jak na cenzurowanym. Bolało ją też to, jak się wobec niej zachował. Nie tylko nie stanął w jej obronie, ale udawał, że jej nie zna. — Prostack — fuknęła. Teraz jednak, kiedy nie było go u jej boku, chciała przeprowadzić przesłuchanie we własnym stylu. Ruszyła wprost do furtki.

Na podjeździe stała mazda. Była wypolerowana, choć nie pierwszej młodości. Na pedantycznie wystrzyżonym trawniku centralne miejsce zajmował gumowy basen, do połowy wypełniony wodą. Wzdłuż ścieżki do domku ułożono kostkę brukową. W ogródku stały miniatury znanych budowli, wykonane z kamieni: Sagrada Familia, wieża Eiffla, Pałac Kultury i Nauki. Lena podniosła brew w niedowierzaniu. Rażnym krokiem podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Rozległ się świergot ptaszków. Stała tak dłuższą chwilę, ale nikt nie otwierał. Nacisnęła dzwonek ponownie. Po chwili usłyszała pośpieszne stąpanie i w drzwiach ukazała się kobieta o figurze gruszki. Pośladki rozsadały jej kwiecistą spódnicę, nogi miała potężne, odziane w dziurkowane kroksy. Górną część ciała miała normalną, całkiem atrakcyjną. Włosy czarne, długie, spięte wymyślną klamrą. Gospodyni uśmiechnęła się na widok Leny i nie pytając o nic, zaprosiła do środka. Lena domyśliła się, że to żona Swatka.

— Mąż już na panią czeka — wyjaśniła. — Czego się pani napije?

— Kawy, jeśli to nie kłopot — odparła Lena i ruszyła korytarzem wprost do salonu.

Dom musiała urządzać ta sama osoba, która wstawiła do ogrodu kamienne kopie znanych budowli. Była tam wzorzysta kanapa, brązowa wykładzina w geometryczne wzory, zasłony w tłoczone róże. Na półkach stały pamiątki z wycieczek: tandetne egipskie koty, portugalskie koguty, rosyjskie matrioszki, niemieckie kufle z napisem Oktoberfest i mnóstwo innego kiczu. Lena wcale nie zdziwiła się, kiedy gospodyni podała jej kaptcie. Choć wiedziała, że złamie tym samym zasady panujące w tym domu, odmówiła ich założenia. Zdjęła jednak buty. Dom był wysprzątnany i wyfroterowany, a lustra, których tylko w tej części mieszkania było chyba z pięć, nie nosiły śladów tłustych paluchów czy zacieków, jakby nikt ich nie używał.

— Proszę, śmiało — zachęciła Lenę gospodyni i wskazała schody prowadzące na górę. Wzdłuż ściany wisiało wiele amatorskich zdjęć, głównie z wakacji. Lena w trakcie krótkiej wspinaczki na górę poznała nie tylko Swatka wraz z dziećmi, ale także jego liczną rodzinę, wnuki i kolegów, z którymi fotografował się podczas policyjnych konferencji, praktycznie w jednej pozie.

U szczytu schodów zatrzymała się. Przedpokój na piętrze był urządzony mniej więcej w tym samym stylu, ale drzwi do czterech pokoi były zamknięte. Lena nie wiedziała, czy ma zaglądać po kolei, czy to jakiś test na inteligencję. Wreszcie usłyszała spuszczenie wody i z łazienki wychylił się Lucjan Swatek.

Zdziwiła się, bo zobaczyła pocziwinę o anonimowej twarzy. Gdyby miała podać rysopis, wielką trudność sprawiłoby jej wskazanie jego cech szczególnych. Okrągła twarz, prosty nos, włosy podgolone na bokach, najeżone na czubku głowy. Koszula w kratkę, spodnie w kant. Brzuch wylewał się nieznacznie znad skajowego paska.

— Swatek — przedstawił się bez podawania ręki i wskazał drzwi naprzeciwko toalety. — Witam w skromnych progach.

— Pawłowska.

Mężczyzna odwrócił się i nacisnął klamkę. Jej oczom ukazał się warsztat. To tutaj powstawały te koszmarnie budowle.

— Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli skończę kościół Mariacki? Pilna sprawa, to ma być prezent. — Puścił do niej oko.

— Oczywiście, proszę pracować.

Obrócił na obrotowej paterze formę z żelaznych prętów, częściowo oblepioną cementem, i zaczął kończyć wieżyczkę.

— Cukiernik z Lipowej to pani rodzina? — zapytał nieoczekiwanie. Zamarła.

— Dziadek — odrzekła i uśmiechnęła się.

— Ano właśnie. Ale na szczęście nie widać podobieństwa — zaśmiał się. Po chwili spoważniał. — Wiem, co pani myśli o tych dziełach, ale na emeryturze ciężko wytrzymać. Zwłaszcza jeśli człowiek żył na najwyższych obrotach. Poziom adrenaliny znacznie się obniżył i na początku myślałem, że dostanę bzika. Potem wpadłem w depresję, obejrzałem wtedy wszystkie filmy świata. Niestety, także te idiotyczne. Odtwarzanie budynków jest najzdrowszą formą rehabilitacji starego gliny. To moja nadzieja, by zachować resztki zdrowego rozsądku. Pani jest policjantką?

— Psychologiem. — Pokręciła głową. — Pomagam w wykonaniu profilu.

— Wiem, wszystko wiem — przerwał jej. — Leszek mnie uprzedził. Proszę pytać, co potrzebujecie. Pomogę, o ile zdołam.

— Przychodzę w sprawie Amadeusza Jekela. Pan prowadził to dochodzenie.

Swatek skinął głową. Skończył lepienie wieżyczki, odstawił ją, by przeschnęła. Teraz segregował z hałasem kamienie, którymi zamierzał obłożyć dzieło.

— Cała komenda mi pomagała. Ja nadzorowałem. Dobrze tę sprawę pamiętam. Nieczęsto w takich okolicznościach ginie dziecko — zawiesił głos. Przyglądał się dwóm identycznym kamykom i nie mógł się zdecydować, który powinien przykleić pierwszy. Lena wskazała ten po lewej, podziękował jej uśmiechem.

— Teraz zaginęła dziewczynka, pewnie pan słyszał — odezwała się. — Zastanawiamy się, czy nie połączyć tych dwóch spraw.

Swatek odłożył oba kamienie i pierwszy raz spojrział na nią z uwagą.

— Połączyć? — zdziwił się. I natychmiast zmienił temat. — A dlaczego taka miła dziewczyna chce zajmować się brudnymi sprawami? To nie jest zajęcie dla kobiety.

Lena zacisnęła usta. Znów to samo, znów ma się tłumaczyć ze swojej płci. Nie odzywała się, bo bała się, że jeśli teraz otworzy usta, może powiedzieć o jedno słowo za dużo.

— Pani wybaczy, ale ja nie miałem wyboru. Poszedłem do milicji, to były inne czasy. Żeby nie być w SB, pracowałem w wydziale zabójstw. Najokropniejsze sprawy. Do dziś je wszystkie pamiętam. Pani dopiero w to wchodzi. Po cholere? Kobieta powinna rodzić dzieci, mieć dom, męża. Spokojnie sobie żyć. Moja żona wiele ze mną przetrwała. Alkohol, bijatyki, groźby, wyzywanie dzieciaków w szkole. Cóż, mówię tylko jako starszy człowiek — przerwał, widząc jej minę. I zaraz dodał: — Nie chciałem pani urazić.

Lena podeszła do niego na wyciągnięcie ręki i odgarnęła włosy. Swatek wpatrywał się w jej kilkucentymetrową szramę koło ucha.

— Po nożu? — zapytał.

Pokiwała głową.

— Miałam piętnaście lat — zaczęła opowiadać z uśmiechem, jakby to była anegdota. — Poszłyśmy z koleżanką opalać się na Dojlidy. Rozłożyłyśmy się na kocu, czytałyśmy, śmiałyśmy się. Spędziłyśmy spokojne przedpołudnie. Poza nami na plaży było jeszcze wielu ludzi. Około drugiej słońce grzało jeszcze mocniej. Część ludzi z dziećmi poszła do domów na obiad. Zostało tylko kilka par. Migdalili się, grali w piłkę, pływali. Nagle na plażę wpadło trzech wyrostków. Nie byli wiele starsi od nas. Może ze trzy lata. Zaczęli nas zaczepiać, a ponieważ nie reagowałyśmy — poleciały wyzwiska. Wie pan, końskie zaloty. Wszyscy udawali, że nie widzą. Zdecydowałyśmy się stamtąd iść. Nie przeszłyśmy nawet kilkuset metrów. Pamiętam, że zgubiłam klapki w gąszczu krzaków pod wiaduktem. Akurat ich szukałam, kiedy nas dogonili. Jeden z nich szarpnął mnie za rękę, obezwładnił. Byłam zbyt zaskoczona, by zrobić cokolwiek. Teraz wiem, że to był stupor. Wyjął nóż, dziabnął mnie. Dopiero wtedy otrzeźwiałam. Jakoś mu się wyrwałam, zaczęłam uciekać. Oczywiście gonili mnie. Wiedziałam, że nie mam szans. Nagle skręciłam i zaczęłam biec w innym kierunku. Zbaranieli. Dotarłam do skarpy i skoczyłam. Nie myślałam, czy się połamię. Na jakiś czas straciłam przytomność. Kiedy się obudziłam, nie byłam w stanie się ruszyć. Zwichnęłam sobie nogę. Mogłam tylko czekać, aż mnie dopadną. Wtedy nie było komórek. Dopiero wieczorem

doczołgałam się jakoś do drogi. Ktoś podwiózł mnie do szpitala i zawiadomił rodziców — Lena przerwała opowieść.

Policjant słuchał jej uważnie. Nie przerywał. Teraz czekał na ciąg dalszy. Lena dopiero po chwili podjęła wątek. Wspomnienie wciąż musiało być dla niej żywe. Sama nie zdawała sobie sprawy, że to siedzi w niej tak głęboko.

— Moja koleżanka została zgwałcona. Przez wszystkich po kolei. Potem całe miasto wytykało ją palcami. To ta, zgwałcona. Miała obrażenia wewnętrzne. Ani śladu pobicia czy ran po nożu. Tylko rozerwana pochwa i trochę siniaków. Żyła. Pewnie dlatego, że poddała się, tak jak ja. Tylko że ja miałam odrobinę więcej szczęścia. Wiele razy składała zeznania. Tych trzech nigdy nie znaleźli. Sprawa została umorzona.

Zapadła cisza.

— Myśli pani, że może zrobić coś więcej niż policjanci prowadzący dochodzenie? — odezwał się Swatek. Nie wydawał się zszokowany. Takich historii znał pewnie wiele. Może sam prowadził takie śledztwa. Może równie bezskutecznie.

— Nie wiem — odparła. — Wiem jednak, jak ważne dla tej dziewczyny było to, żeby oni zostali zatrzymani. Nie chodziło tylko o karę. To nie jest kwestia zemsty. Chodziło o jej honor. Bo ona była podwójną ofiarą. Najpierw na plaży, potem na komendzie i przez następne lata, wytykana przez sąsiadów, znajomych i nieznajomych, którzy niby jej współczuli. Ale nikogo nie obchodziła. W końcu wyjechała, nigdy nie wróciła do domu. Nie dziwię się jej. Ze mną też nie utrzymuje kontaktu, za bardzo jej o tym wszystkim przypominam. Ja też wyjechałam. Teraz w Londynie pracuję jako psycholog. Pilnuję, żeby taka powtórna wiktymizacja nie występowała, jeśli to możliwe. Staram się. Pomagam ofiarom przestępstw. Ale to mi nie wystarczy. To działanie tylko po zdarzeniu. Tych ludzi i tak przepełnia poczucie krzywdy, niesprawiedliwości. Sam pan wie, ile z tych spraw nigdy nie zostaje wykrytych. Chciałabym móc pomagać policjantom w znajdowaniu takich skurwysynów. Dlatego będę profilerką. Jeśli chce pan jeszcze o coś zapytać, proszę śmiało.

— Pali pani? — Swatek wziął ją pod rękę. Z kamizelki wędkarskiej wyjął papierosy bez filtra. Wyszli na balkon, skąd rozciągał się widok na

ogrodzone pola.

— Tutaj wszędzie będą zaraz domy. Kiedy kupowałem swój, nie było tu nic. Głusza. I to mi pasowało. Myślałem, że chcę ciszy. Ale to nieprawda, cisza mnie niszczy, zabija. Każdy z nas ma swoją historię, która go napędza — dodał.

Lena nie odpowiedziała.

— Mocna z pani kobieta — stwierdził i spojrzał na nią z podziwem. Lena pierwszy raz poczuła się dobrze, na swoim miejscu. Tutaj, przy tym emerytowanym policjancie nie udawała silnej. Była słaba, ale właśnie dlatego miała siłę. Swatek jakby czytał w jej myślach, bo powtórzył: — Mocna z pani kobieta, ale tylko na pozór. Wciąż jest w pani ta trauma. Ona siedzi i zjada panią od środka.

— Wiem — odrzekła i skinęła głową. — Dlatego tylko obcując z bardziej poszkodowanymi od siebie, czuję się lepiej.

— Jak my wszyscy — przyznał. — Każdy z gliniarzy ma coś podobnego. To rysa w przeszłości, jakiś nadmiar lub brak, może jeszcze z dzieciństwa. Mówię oczywiście o tych zaangażowanych, a nie karierowiczach. To dlatego łapiemy zbójów i dążymy do równowagi. Nie dla pieniędzy przecież.

— Trzysta siedemnaście funtów brutto — dodała Lena. — Taką nagrodę dostałam ostatnio za udaną negocjację.

— Proszę sobie wyobrazić, że ja tyle dostawałem w złotych. I medal. Na co on komu?

Roześmiali się oboje. Po chwili Swatek spoważniał.

— Jeśli chodzi o sprawę Berlinga, tak ją nazywaliśmy — zaczął. Lena wzięła kolejnego papierosa. Odpaliła od poprzedniego. Swatek zgasił swój niedopałek w doniczce i zapakował do pustego pudełka po zapałkach, jakby ukrywał ślady zbrodni.

— Żona myśli, że nie palę. — Uśmiechnął się. — Obiecałem, że rzucę, ale sama pani wie, jak jest. Nie można zrezygnować ze wszystkiego. Jakieś wady trzeba mieć. Nieważne. Do dziś gnębi mnie to pytanie, z którym pani przychodzi. Bo chce pani zapytać o Kobierskiego, prawda?

Lena kiwnęła głową.

— Dobrze pamiętam tę sprawę. I pracowałam wtedy w komendzie jako sekretarka. Słyszałam na korytarzach, co się działo.

— Nie wiem — odpowiedział Swatek.

— Nie wie pan, czy posadziliście prawdziwego sprawcę? —
upewniła się Lena.

Pokiwał głową.

— Śni mi się czasem ten koszmarny widok. Dziecko wśród obierek i śmieci. Z jego ucha wychodzi robak. Czarny, ogromny prusak. Karakan monstrum. Smród. Rozpięte spodnie. Zadarta bluza. I spokojna twarz tego dziecka. Nie była wykrzywiona bólem ani zniekształcona. Wyglądał jak cherubin. Gdyby nie ta brunatna bruzda na szyi, można było pomyśleć, że śpi. Patolog nie miał wątpliwości. Zadzierzgnięcie. Zaś sznurówka z kluczem, który w aktach figuruje jako domniemane narzędzie zbrodni, była w jego kieszeni. Nie na szyi dziecka.

— Co pan sugeruje? — dopytywała się Lena.

— Nic. — Wzruszył ramionami. — Sprawca mógł oczywiście zdjąć po wszystkim klucz z szyi i włożyć go do kieszeni dziecka, tak jak upozorował motyw seksualny.

— Ale po co?

— Nie wiem do dzisiaj — przyznał. — To pani chce być profilerką. On nic nie pamiętał. Zupełnie nic. Mariola trzy razy powtarzał mu przebieg zdarzeń, zanim ten przyjął je do wiadomości.

— Kto to jest Mariola?

— Prokurator Mariusz Tomaszuk. Dziś szef okręgowki. Wypłynął na tym. Niech pani z nim pogada. Może Kobierski to zrobił? Wszystkie inne dowody na to wskazywały. Łączyło się to nawet nieźle. Sąd nie miał wątpliwości. A sam zainteresowany nie złożył apelacji. Lechu też to łyknął. On był wtedy naczelnikiem kryminalnego w miejskiej komendzie. Moim szefem.

— Inspektor Pilecki?

— Wtedy obaj byliśmy tylko nadkomisarzami. Ja nim zostałem, a on awansował na szefa wydziału. A teraz? Fiu, fiu, jest szefem w wojewódzkiej. Wszyscy poza mną jakoś się na tej sprawie wspięli. Choć pamiętam, że Pileckiego też ruszyła ta historia. Wziął ją osobiście. Miał wtedy ciężki czas, żona mu umierała. Młoda jeszcze kobieta. Został sam jak palec. Nie wziął ani dnia wolnego, po kilka dyżurów poza kolejnością. Byle nie myśleć.

— Niemądrze — skwitowała Lena.

— Tacy są faceci. Mają swoje sposoby na przeżywanie żałoby. Nigdy nic po nim nie widziałem. Czasem płakał jak się spił. Teraz nawet nie pije. Wtedy to on mnie odciążył. To on zawiadomił matkę Amadeusza o zbrodni. Chwała mu za to. Choć do dzisiaj nie wiem, jaką trzeba mieć w sobie siłę, żeby zrobić coś takiego, samemu przeżywając ogromną tragedię.

— Pewnie nawet było mu łatwiej. Wiedział, co kobieta czuje, czuł to samo. Trauma jednoczy. Dlatego takie skuteczne są grupy wsparcia — podsumowała Lena i zapytała: — Ale pan nie jest tego taki pewien, prawda?

— Czego? — Swatek był pogrążony we własnych myślach. Nie dosłyszał. — Czego pewien?

— Tego, że Kobierski jest mordercą. Ile pan stawia? Sto? Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt? Trzydzieści do siedemdziesięciu?

— Powiedzmy, że jest to jedna ze spraw, która gnębi mnie tak, jak panią incydent na plaży. Bezsilność. Trudno się z nią pogodzić.

Usłyszeli z dołu stłumione nawoływanie żony Swatka. Było radosne, pozbawione smutku. Lena wzdrygnęła się na samą myśl, że kobieta zaraz tu przyjdzie i przerwie im rozmowę. Dopiero zdołała nawiązać ze Swatkiem nic porozumienia. Niestety, policjant uznał widać dyskusję za zakończoną.

— Idę, słonko! — odrzyknął żonie. I zaraz się poprawił: — Zaraz idziemy!

— Zje pani z nami? — zwrócił się do Leny. — Żona na pewno się postarała. Będzie jej miło.

Lena potrząsnęła głową. Wiedziała, że teraz już nie dowie się niczego więcej. Może pozna garść faktów. Moment na zwierzenia minął. Ale się pomyliła. Swatek stanowczym ruchem podszedł do drzwi balkonu i przymknął je od środka. Czekwała na jego słowa, ale on długo milczał.

— Pamiętam tę kobietę. Matkę, której zabito to dziecko — odezwał się wreszcie. — Widziała pani te obrazy w kościołach? Ale nie te nasze, chodzi o takie wschodnie.

— Bizantyjskie? — podpowiedziała.

— Ona wyglądała jak jedna z nich — przytaknął. — Z tych boskich matek w cerkwiach. Madonna uduchowiona, cierpiąca, ale spokojna. Potem mówili, że zwariowała. Gadała z duchem dziecka. Jeśli pani ma

serce, niech pani pomoże tej biednej kobiecie, której dziecko zaginęło. To samo nie przechodzi, ona wymaga pomocy. Ją trzeba chronić. Jeśli pani ma serce. Tamta kobieta nigdy się po tym nie podniosła.

Lena pokiwała głową ze zrozumieniem. Swatek miał rację.

— Ona też jest podejrzana. Chodzi mi o matkę Zosi — uściśliła Lena.

— To nie ma znaczenia. Kobiety nie mordują własnych dzieci bezkarnie dla siebie — odparł i zamilkł.

Lena przyjrzała mu się.

— Dlaczego pan odszedł? — zapytała. — Mógł pan przecież zostać, wspiać się na tej sprawie, jak inni.

— Nie wiem, już nie pamiętam — zbył ją. Lena wiedziała, że Swatek kłamie, ale nie skomentowała tego. Nie było czasu na zwierzenia. Musiała zająć się analizą.

Drogę powrotną znalazła szybciej, niż się spodziewała. Choć gospodyni usilnie zapraszała ją do stołu, wabiła domowym chłodnikiem, Lena odmówiła. Po tym wszystkim nie byłaby w stanie nic przełknąć. Kiedy odchodziła, obejrzała się. Lucjan Swatek wciąż stał na balkonie. On pewnie też potrzebował chwili, by wejść w swoje normalne życie, wrócić do rzeźb, jeść, żyć. Zaczynała rozumieć, co Meyer miał na myśli, ostrzegając ją przed tym zawodem. Ale teraz najwyraźniej czuła, że nie powinna, nie mogłaby się już wycofać. Za daleko zaszła, by zawrócić.

Rozległo się pukanie do drzwi. Najpierw delikatne, potem intensywniejsze. Piotr Bielach nie odezwał się. Wpatrywał się chwilę w zamknięte drzwi gabinetu. Ktoś nacisnął klamkę. Nie ustąpiła.

— Proszę zaczekać! — krzyknął.

Starał się, by zabrzmiało to entuzjastycznie, lecz dalej siedział rozparty na obrotowym krześle. Wpatrywał się w poukładane pedantycznie na biurku przedmioty i czuł, że ogarnia go coraz większy marazm. Był znudzony, zniechęcony, przybity. Ile już porodów odebrał, nadżerek zamroził, ile wyleczył grzybic. Wszystko przebiegało tak samo rutynowo.

W jego branży precyzja była cechą nieodzowną. Był cenionym i lubianym przez pacjentki ginekologiem ze specjalizacją chirurga, co podkreślano w katalogu medycznym. Od lat jednak poza cesarskim

cięciem nie wykonał żadnej poważniejszej operacji. Mógłby równie dobrze napisać sobie na wizytówce „pochlebca” lub „pocieszyciel”. Bo taką rolę pełnił codziennie w swoim prywatnym gabinecie. Wypisywał też recepty, doradzał, czy pigułki są lepsze od plastrów, po porodzie zalecał spirale. Badał piersi, łona, pobierał wymazy. Nienawidził swojej pracy. Z ideowej misji chirurga zrezygnował wiele lat temu dla pieniędzy. Nie chciał spędzać połowy życia w zapyziałym gabinecie lub na szpitalnym korytarzu. To miał za swoje. Teraz spędzał trzy czwarte życia w klimatyzowanej, ekskluzywnie urządzonej prywatnej klinice Star-med, którą założył z przyjaciółmi ze studiów: ginekologia, dermatologia i chirurgia plastyczna. Ich klientkami były niemal same kobiety. Seksmisja. Jeśli trafiał się jakiś facet, z pewnością był gejem lub pracował w show-biznesie. Bielach miał wrażenie, że z wiekiem osiąga apogeum rutyny i perfekcjonizmu. Dalej była już tylko dewiacja. Tak naprawdę pragnął wyzwania, wyjątkowości, jakiegokolwiek odstępstwa od normy. Naprawdę cieszył się z każdej komplikacji ciąży. Choćby mała wada genetyczna, drobny uraz, zrośnięte palce radowały go bardziej niż liczba zer rosnąca z każdym dniem na jego koncie. Mógł się tym przypadkiem chwalić przed kolegami, mówić, rozprawiać. Coś się działo! To było jakieś wyzwanie, przygoda. Praca w prywatnym gabinecie bardzo go rozczarowała. Pacjentki były przewrażliwione, punktualne i doskonałe. Nawet leki kupowały na czas, kąpały się przed zabiegami. On sam zaś czuł się coraz gorzej. Wiedział, że dla kolegów jest i będzie tylko zwykłym „grzebulcem”. Sam tak o sobie mówił, kiedy przesadził z alkoholem. Dlatego z utęsknieniem czekał na przypadki wyjątkowe, trudne i zalecał ze szczerym zachwytem rodzenie dzieci z trisomią lub innym typem patologicznej wyjątkowości. Mógł je obserwować w łonie, potem analizować ciekawe wyniki badań, mierzyć się z zagadkami. A jednocześnie wiedział, że walczyłby z tym, gdyby to dotyczyło jego samego. Choć rzadko chwalił się tym pacjentom kliniki, przeszedł już siedem bolesnych operacji plastycznych. Gdyby ktoś obejrzał jego zdjęcia z młodości, nie poznałby go. Teraz był innym człowiekiem. Lepszym, piękniejszym, doskonalszym. W środku pozostał jednak ten sam zakompleksiony chłopiec, który bał się wejść do kałuży, by nie zamoczyć sobie stóp. Porządek dawał mu pozorne poczucie kontroli nad własnym życiem. Kiedyś jedna z jego kochanek,

odchodząc, powiedziała mu, że gdy brakuje fantazji, porządek dobrze się sprawdza. Wtedy tego nie zrozumiał, domyślił się jedynie, że chciała go obrazić. Dziś wreszcie pojął, co miała na myśli. Często marzył o czymś wielkim, nietuzinkowym, wspaniałym, ale tego nie robił. Tkwił na dyżurach od godziny do godziny, wykonywał podstawowe zabiegi niemal z zamkniętymi oczami, zachowywał pozory wspaniałego małżeństwa, jeździł na wycieczki last minute. Żonę miał doskonałą i elegancką, dzieci ułożone, z dobrymi wynikami w nauce. Matka i ojciec byli nieprzyzwoicie zdrowi oraz dumni z syna. Czasami jednak, kiedy czuł, że się dusi, zamykał oczy i marzył o czymś, co choć trochę odbiegałoby od normy. Na prawdziwe szaleństwo nie zdecydował się nigdy. Tylko raz prawie zaryzykował, ale wtedy też to Marlena zdecydowała za niego. „Wyjedziemy, nikt nas nie znajdzie. Zaczniemy na nowo” — kusiała, a on tego słuchał jak najpiękniejszej muzyki, bo przecież to były jego własne myśli. Tyle że nie śmiał ich nigdy wypowiedzieć na głos. Chciałby kiedyś zdobyć się na taką odwagę. Sprawa z Marleną umarła śmiercią naturalną, kiedy przyszło do czynów. Musiałby zabezpieczyć swoje sprawy, zadbać o jej przyszłość i wziąć na barki odpowiedzialność za jej córkę. Zostawić swoje poukładane, wygodne życie. Marlena nie miała żadnych oporów, od razu zaczęła załatwiać podróż. Odnowiła kontakty z rodziną w świecie, znalazła tymczasowe mieszkanie w jakimś mieście daleko stąd. Nie pamiętał gdzie, nie słuchał jej uważnie, bo już wtedy czuł, że wcale z nią nie pojedzie. Czy miłość jest warta takiej ceny? Czy to w ogóle jest miłość? Wahał się. Przecież z czasem i ona okaże się taką samą kobietą jak jego obecna żona. Jak będzie, kiedy znajdą się gdzieś daleko tylko we dwoje? Właściwie we troje. Czy będzie mógł wrócić? Jeśli honor nie pozwoliłby mu na to, mógłby skończyć na dworcu, mieszkać gdzieś pod mostem. Na samą myśl czuł wstręt. Do samego końca nie miał odwagi powiedzieć jej, że się wycofuje. Bał się jej szyderstwa. Wiedział, co myślała o tchórzach. Wielokrotnie opowiadała mu o swoim mężu: tchórz pod pantoflem mamusi. To, jej zdaniem, zabiło jej związek z Arkadiuszem. Dlatego też nie ufała i jemu. Wiele razy upewniała się, czy spotkają się na dworcu. Zamiast odpowiedzi całował ją, dotykał, przytulał. Czuł, że zbliża się koniec. Kiedy stała się podejrzliwa, zaczął jej unikać. Dużo go to kosztowało, była taka piękna. Świeża, dzika,

zmysłowa. Ale mimo tego powiedział współpracownikowi, by zwolnił ją z pracy. Sam nie miał odwagi tego zrobić. Podał jakiś głupi powód: spóźnienia, niekompetencja, bałaganiarstwo. Doniósł na nią, kiedy nadarzyła się okazja. Żałował tylko trochę. Została jakaś wyrwa, czuł, że coś stracił, ale w swoim starym świecie czuł się znów komfortowo. Rutyna wydawała się jedynym ratunkiem. Choć nie mógł jeszcze uporządkować swych emocji, starał się przynajmniej posprzątać przestrzeń wokół.

Przesunął bloczek z receptami w lewy róg biurka, pieczętkę umieścił kilka centymetrów bliżej siebie, pióro w etui ułożył równoległe do notesu, by, kiedy przyjdzie taka konieczność, nie musieć go szukać. Zauważył, że słuchawki nie są schowane do futerału. Natychmiast naprawił to niedopatrzenie. Zamknął zamek i dwa razy sprawdził, czy jest zasunięty do końca. Ani jeden ząbek nie był bezużyteczny. Potem odwrócił się i zerknął na kalendarz wiszący na ścianie. Wstał, zerwał kartkę. Zgniół ją i wrzucił do kosza. Zmiótł niewidoczne okruszki, urwał nitkę od guzika. Skręcił ją w kulkę, zamierzył się, by ją wyrzucić, ale w końcu pstryknął ją pod stół. Od razu poczuł się lepiej.

Podszedł do okna zasuniętego designerską roletą, podniósł ją. Pomieszczenie zalała fala słońca. Z wieszaka zdjął fartuch, strzepnął go, założył. Powoli zapinał guziki, jeden po drugim, od dołu. Zdjął białe wypastowane buty i wsunął stopy w medyczne klapki w tym samym kolorze. Potem podszedł do drzwi i przekręcił zamek.

— Zapraszam — rzucił, nie patrząc na pacjentkę.

Kątem oka dostrzegł nową recepcjonistkę, która wpatrywała się w niego oczami wielkimi jak spodki. Widząc, że drzwi się otworzyły, poderwała się gwałtownie z miejsca, aż zatrzepotały papiery leżące na jej stole.

— Panie doktorze! — krzyknęła rozpaczliwie.

Teraz już nie mógł udawać, że jej nie widzi.

— Chwileczkę — mruknął. Gestem zaprosił pacjentkę do środka. Kiedy tylko weszła, zatrzasnął drzwi do gabinetu i zasiadł za biurkiem. Rutyna. Perfekcja. Bezpieczeństwo.

— Słucham panią. — Przykleił do twarzy uśmiech numer dwadzieścia trzy, przeznaczony dla takich kobiet jak ta, która siedziała teraz przed nim. Popielate włosy miała modnie ostrzyżone i

utapirowane. Dzianinowa minisukienka z golfem w stonowanym beżu uwydatniała jej największy atut — nogi, które były smukłe i opalone. Była sporo po czterdziestce, wciąż jednak bardzo atrakcyjna. Niestety, wszystko psuła nadmierna dekoracja. W uszach, na rękach i na szyi kobieta miała połyskujące milionem odblasków kryształły Swarovskiego, które sprawiały, że wyglądała jak podłączona do prądu choinka. Bielach obrzucił kobietę spojrzeniem, czekając, aż sama zacznie mówić. Z tyłu głowy wciąż miał sprawę tajemniczego zaginięcia dziecka Marleny, której na szczęście zdążył na czas wręczyć wypowiedzenie. Czuł, że i tak będzie miał w związku z tym kłopoty. Dziewczynka była tu w dniu zaginięcia. Wszyscy ją widzieli, sam z nią rozmawiał. Zupełnie nieodpowiedzialnie pozwolił, by romans z Marleną przerodził się w coś poważnego. Nawet nie chciał myśleć, co będzie dalej. Wiedział, że ta sprawa może go słono kosztować.

Pacjentka niecierpliwie poprawiła się na krześle. Patrzyli tak na siebie jakiś czas, aż wreszcie to ona przerwała ciszę.

— No i co? Co pan sądzi?

Lekarz zaniemówił. Nie ukrywał, że nie zrozumiał pytania.

— Ale o czym? — Przez chwilę podejrzewał, że kobieta wie o nim coś więcej, niż sam by tego chciał, i wcale nie przyszła po poradę. Przestraszył się, że to jedna z licznych koleżanek jego żony, wysłana na zwiad. Żona już wcześniej robiła mu takie numery. Zdradzał ją notorycznie, a ona udawała, że nic nie wie, ale lubiła mieć wszystko pod kontrolą. Uśmiech numer dwadzieścia trzy momentalnie zniknął mu z twarzy.

— O mojej szyi — szepnęła i odciągnęła golf. Odetchnął z ulgą. To tylko pacjentka. I to nie do niego. Na razie nic mu nie grozi.

— Nazwisko — spytał sucho i poprawił okulary na nosie. Nie miał wady wzroku, ale wiedział, że tak wygląda bardziej profesjonalnie.

— Jankowska — odparła kobieta.

Bielach wyszukał jej kartę i podał z uprzejmym uśmiechem.

— Pokój dwieście trzy.

Kobieta rozejrzała się po pomieszczeniu z wahaniem.

— Przecież ja czekałam od godziny. Nie było doktora.

— Nastąpiła pomyłka. Mamy nową recepcjonistkę. Najmocniej przepraszam — mówił jak automat. Ale był już odprężony, spokojny.

— Ale ja już tutaj byłam. Tyle że u innego lekarza. Robił mi implanty i botoks. I...

— Zgadza się, to mój wspólnik — wyjaśnił. — Ale dziś wyjątkowo to ja zajmuję ten gabinet i przyjmuję głównie ciężarne pacjentki. Taki mam kaprys — zażartował, ale kobieta nawet nie mrugnęła powieką. Najwyraźniej nie była w nastroju. Wyglądała na poirytowaną. Jeszcze chwila, a wybuchnie. Zdecydował się temu zaradzić. Wstał i odsłonił fotel ginekologiczny stojący za kotarą. Kobieta spłoniła się, przeprosiła za pomyłkę i zaczęła się nerwowo zbierać. Wyszła szybciej, niż się pojawiła.

Piotr Bielach odetchnął z ulgą, a potem, korzystając z chwili samotności, poprawił sobie fryzurę w lusterku. Wykrzywił twarz w uprzejmym grymasie. Uśmiech numer siedem był przeznaczony dla pracowników. Nowa recepcjonistka jakby czytała w jego myślach, bo znów zapukała. Tym razem z ociąganiem ruszył do drzwi. Nie zmienił mimiki twarzy i z tym samym grymasem słodkiej uprzejmości, wyjrzał na zewnątrz.

— Mogę panią prosić? — zwrócił się do niej. Zabrzmiało to ostro, nieprzyjemnie. Recepcjonistka odwróciła się zaniepokojona.

— Coś się stało? — zapytała, wyraźnie nie rozumiejąc. Podeszła bliżej.

— Proszę zwracać uwagę, komu kładzie pani karty. Przed chwilą doszło do nieprzyjemnej sytuacji — powiedział takim tonem, jakby doszło do tragedii. Był nieprzejednany, a pracownica kulila się w sobie ze strachu, że wyleci, zanim skończy jej się umowa na okres próbny.

— Ale... — zająknęła się i wskazała na ludzi stojących w korytarzu. Dopiero wtedy ich dostrzegł. Koło drzwi kliniki stał jego wspólnik — chirurg plastik, w otoczeniu kilku policjantów i mężczyzny w cywilu, który z zainteresowaniem czytał ogłoszenia na tablicy. Pod ścianą siedziała jeszcze jedna, ostatnia dziś pacjentka w zaawansowanej ciąży. Rozpoznał ją. Na widok swojego ginekologa zerwała się, podpierając plecy dłonią, ale on całkowicie ją zignorował. Zaczęła z zainteresowaniem przysłuchiwać się prowadzonej dyskusji.

— Słucham. — Bielach podszedł do mundurowych. — Czym mogę służyć?

— Panowie zabierają mnie na komisariat — pośpieszyła z wyjaśnieniem nowa recepcjonistka. — Jeśli pan doktor wyrazi zgodę. Muszę złożyć zeznanie. Zastępowałam Marlenę tego dnia, kiedy jej nie było.

Lekarz spojrzał na policjantów, którzy mieli grobowe miny, i zdecydował, że nie wolno mu okazywać niezadowolenia.

— Oczywiście, jeśli to jest konieczne, może pani już iść. Ale kto panią zastąpi?

— Chyba już zamykacie, sądząc po godzinach przyjęć — odparł jeden z policjantów. Wyciągnął dłoń i przedstawił się: — Komisarz Tomasz Domański.

Pozostali nie poszli w jego ślady. Komisarz górował nad nim; Bielach był niższy nawet od recepcjonistki. — Pan Meyer pracuje z nami. Wszystko panu wyjaśni. — Domański wyciągnął ramię, które zdawało się lekarzowi gałęzią rozłożystego dębu, i wskazał Huberta Meyera, którzy już dawno stracił zainteresowanie ogłoszeniami.

— Mogę już iść. — Kobieta stanęła obok policjantów. Poprawiła torebkę na ramieniu. — Jestem gotowa.

Bielach pożegnał ich z ulgą, zupełnie lekceważąc obecność profilerka. Cieszył się, że to nie on będzie przesłuchiwany, a za kilka chwil pozbędzie się ich wszystkich. Zamierzał przyjąć ciężarną, a potem zrobić sobie wolne, jednak gość w cywilu podszedł do niego i oświadczył:

— Chciałbym z panem pomówić.

Bielach udał, że go to nie poruszyło, choć na plecach poczuł dreszcz niepokoju. Recepcjonistka z mundurowymi już wyszła. W klinice nie było żadnego policjanta.

— Ale w jakiej sprawie? — zapytał, starając się nadać swojemu głosowi normalny ton. — Może kolega mógłby mnie zastąpić?

— Nie sądzę — odparł mężczyzna i dodał: — To dotyczy pana prywatnych spraw. Wolałbym na osobności, chyba że życzy pan sobie tutaj.

Lekarz zerknął na korytarz. Jego wspólnik udawał, że pisze coś w komputerze. Pacjentka Jankowska stała nad nim i dyktowała dane do faktury. Tak naprawdę wszyscy nasłuchiwali bacznie każdego słowa i nie spuszczała z nich wzroku, zaś pacjentka nie ukrywała nawet, jak

bardzo zżera ją ciekawość. Wybałuszała na nich oczy i chłoneła każde słowo. Bielach był pewien, że o tym, co już widziała, za chwilę dowie się całe miasto.

— Musi pan poczekać. — Wskazał swój gabinet. — Mam teraz pacjentkę.

— Ja zajmę się panią Wacław — z pomocą przyszedł mu wspólnik, wpychając Bielacha w ręce Meyera.

Lekarz nie miał wyjścia. Wskazał salę konferencyjną na końcu korytarza, profiler ruszył w tamtym kierunku. Klapki lekarza równomiernie wybijały rytm ich kroków. Kiedy weszli, wskazał Meyerowi krzesło, sam zaś zajął miejsce naprzeciwko ogromnego stołu. Dzielił ich spory dystans. Meyer usiadł więc najpierw grzecznie we wskazanym przez lekarza miejscu, a po chwili zmienił pozycję, chwycił z łoskotem krzesło i dosiadł się z brzegu stołu. Teraz niemal mógł dotknąć lekarza.

— Tak będzie nam łatwiej rozmawiać — zażartował, lecz Bielach tym razem nie zdobył się na uśmiech. Odparł, starając się, by zabrzmiało to obojętnie: — Jestem do pańskiej dyspozycji, lecz nie mam zbyt wiele czasu. Będzie pan łaskaw wyłuszczyć cel swojej wizyty?

Meyer nie od razu odpowiedział. Chciał wprawić lekarza w stan lekkiego zdenerwowania. Lustrował każdą zmarszczkę na jego twarzy, a nie było ich wiele. Chirurg zostawił sobie tylko te, które dodawały mu czaru. Meyer musiał przyznać, że mimo niskiego wzrostu jego rozmówca mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę. Miał w sobie urok szelmy, który pociąga kobiety. Już na pierwszy rzut oka sprawiał jednak wrażenie sprytnego, śliskiego. „Lisem podszyty”, jak powiedziałaaby profesor Magdalena Knut. Zdawało się, że Bielach ani przez moment nie jest sobą, cały czas uparcie zasłaniając się maską pana doktora. Meyer nie zamierzał długo z nim rozmawiać. Chciał szybko załatwić sprawę.

— Pani Marlena wszystko mi powiedziała — zaczął.

Bielach nie okazał zdziwienia. Nie potwierdzał ani nie zaprzeczał. Wpatrywał się w Meyera w oczekiwaniu. Pewnie kombinował, jak wybrnąć z tej sytuacji.

— Macie romans. — Meyer już się nie uśmiechał. — A raczej mieliście.

— Przepraszam, ale nie rozumiem — odezwał się wreszcie ginekolog. — Pan mnie chyba z kimś pomylił.

— Raczej wątpię. Pan Piotr Bielach, prawda?

Lekarz skinął głową.

— Nie wiem, o czym rozmawiał pan z moją byłą pracownicą, ale nie łączą mnie z nią żadne interesy.

— A kto tutaj mówi o interesach? — uśmiechnął się Meyer. — Mówimy o bliskiej zażyłości kobiety i mężczyzny. Planowaliście nawet romantyczną ucieczkę we dwoje. No właśnie, może pan wie, gdzie zniknęła jej córka? Było dziecko i go nie ma. To nie jest takie proste. Swoją drogą, to nieludzkie wyrzucać ciężarną kobietę w tak trudnej sytuacji.

— Ja nic o tym nie wiem. — Bielach trwał przy swoim, ale momentalnie zbladł.

Meyer zagwizdał z wrażenia. Wiedział, że doktor się boi. I to bardzo. Pewnie zaraz zacznie atakować.

— Czyżby? — Przechylił głowę.

— To zresztą nie jest moja sprawa — odparł już spokojniej ginekolog.

— Pan pozwoli, że my to ustalimy. A jeśli chodzi o ciążę, test na ojcostwo wskazuje je z dokładnością dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć. To chyba jednak jest pana działka. — Meyer wykrzywił twarz w kpiącym uśmiechu.

— W jakim celu pan tutaj przyszedł? Na jakiej podstawie mnie pan wypytuje? — zdenerwował się Bielach.

— Więc nie potwierdza pan, że od roku jesteście kochankami? — dopytywał się profiler.

Lekarz zaśmiał się szyderczo.

— Pan śmie sobie żartować? Ja mam żonę i trójkę dzieci.

Meyer wyjął notesik i zanotował coś, wyraźnie podkreślając to dwiema kreskami.

— To akurat nie wyklucza posiadania kochanki. Czyli sugeruje pan, że pani Mirga kłamie?

— Tego nie powiedziałem.

— I nie zabierał jej pan na wycieczki, nie obdarowywał prezentami, nie jeździł na Wzgórzu Miłości, nie spał z nią, także w godzinach pracy,

a być może również tutaj, w tej sali? Kto wie? — Profiler rozejrzał się.

Lekarz gładko przełknął obrazę.

— Nie — odparł, zanim Meyer zdążył skończyć zdanie. — Jeśli ona tak twierdzi, wszystko zmyśliła.

— Więc jednak kłamie? Romansu nie było? — Profiler obserwował dłonie lekarza, którymi starał się poustawiać na tacy puste szklanki i łyżeczki. Po chwili ułożył je w perfekcyjnym kręgu.

— Owszem, rozmawiałem z nią, zwierzała mi się. Głupio mi było nie słuchać. Sam pan wie, miło się na nią patrzy, nie powiem. Może trochę flirtowałem, ale taki mam styl. Jednak nic więcej nie było. Ot, koleżeńska relacja. Dziewczyna coś tam sobie pomyślała, pan wie, jak to czasem bywa — dodał, próbując załagodzić sytuację. Po czym zadowolony z siebie wstał, dając do zrozumienia, że rozmowę uznaje za zakończoną.

Meyer także wstał. Wziął jedną z łyżeczek przez całe spotkanie układanych pieczołowicie przez lekarza i zaczął grzebać nią w cukiernicy. A potem bezczelnie wysypywać cukier na talerzyk. Patrzył przy tym na Bielacha spod zmrużonych powiek. Ten jednak, choć nie był w stanie ukryć irytacji, nie odważył się zwrócić mu uwagi. Meyer był pewien, że dla takiego pedanta jego zachowanie musiało być torturą.

— Czy chciałby pan wiedzieć coś jeszcze? Bo jeśli chodzi o to pomówienie, to nie pomogę. Przykro mi. — Twarz lekarza nie wyrażała emocji, lecz nie był w stanie powstrzymać pierwszego odruchu ciała, jakby do gwałtownego skoku, żeby wyrwać z rąk Meyera cukiernicę. Potem jednak opanował się i zamarł w bezruchu. Meyer wiedział jednak, że z trudem się kontroluje i narasta w nim złość. Liczył, że za chwilę uda mu się rozwścieczyć lekarza.

— Pan zdaje sobie sprawę, że wypierając się tego romansu, podważa pan wiarygodność pani Marleny, że o alibi już nie wspomnę. Pan był z nią tego wieczoru, kiedy dziewczynka zaginęła. Jest świadek, może pana rozpoznać. Pozostałe kwestie wykażą stosowne badania — odezwał się Meyer. — Zresztą tamte sprawy mniej mnie interesują, ale jest poszlaka mówiąca o tym, że to pan ostatni widział dziecko żywe. Zosia była tutaj około szesnastej. Macie może monitoring?

Bielach zbladł, lecz wciąż zdawał się trzymać nerwy na wodzy. Profiler zdecydował się pomóc mu przekroczyć granicę. Przesunął łyżkę na brzeg pojemnika i nacisnął. Cukiernica przewróciła się, a cukier ze środka wysypał się promieniście dookoła.

— Z naszego punktu widzenia pańskie zeznanie będzie okolicznością obciążającą. Miałby pan motyw, by uprowadzić i zlikwidować dziewczynkę. Przeszkoda w osiągnięciu szczęścia? Po co wyjeżdżać we trójkę, skoro we dwoje jest taniej i wygodniej? A może mała coś wiedziała? Coś, czego nie powinna nikomu mówić? Może dowiedziała się o siostrzyczce lub braciszku i jak to dziecko, chciała wypaplać wszystkim dookoła? — Uśmiechnął się.

Lekarz nie zareagował. Meyer musiał przyznać, że twardy z niego zawodnik. Skoro i tak nic nie wskórał, postanowił jeszcze chwilę się z nim podrażnić.

— Najmocniej przepraszam. Zrobiłem to zupełnie niechcący. Już sprzątam.

Po czym wyjął z kieszeni niezbyt czystą chusteczkę higieniczną i starał się pozbierać cukier, który wrzucał z powrotem do naczynia. Dla doktora było to stanowczo za dużo. Odsunął Meyera, a zebrany przez niego cukier wrzucił ze wstrętem do kosza wraz z naczyniem.

— Przepraszam, jestem dziś bardzo zajęty. — Podniósł głowę. — Powtarzam, nie mam nic wspólnego z tą kobietą ani ze sprawą, którą się pan zajmuje.

— To się jeszcze okaże. — Meyer wskazał śmietnik. — Widzi pan, kiedy sieje się wiatr, trzeba zebrać burzę.

— Czy pan jest w ogóle z policji? — podniósł głos lekarz. — Jakim prawem pan przychodzi tutaj, robi bałagan i imputuje mi jakieś świństwa. Proszę o legitymację! — Wyciągnął rękę w rozkazującym geście.

Meyer zlekceważył go.

— Jestem psychologiem — odparł. — Pracuję przy tej sprawie. I kazano mi zbadać wątek romansu, którego, pana zdaniem, nie było. To z pewnością zainteresuje śledczych.

Bielach natychmiast poczuł się pewniej. Skoro ten intruz nie był policjantem, był dla niego nikim.

— Nie muszę z panem rozmawiać! — krzyknął. — Jeśli dostanę wezwanie, przyjdę na komendę policji. Teraz proszę wyjść!

Meyer wykonał polecenie. Kiedy wyszedł, stwierdził z satysfakcją, że musieli ich słyszeć wszyscy obecni na korytarzu. Poza oczekującą pacjentką przybyły jeszcze dwie inne. Szeptaly teraz między sobą i zerkały na niego zaciekawione. Meyer nie miał wątpliwości, jaki był temat ich rozmowy. Wspólnik uporał się widać z panią Waław, bo także starał się rozeznac w sytuacji. Bielach zaś stał wciąż przed salą konferencyjną i odprowadzał wzrokiem profilerą. Chciał mieć pewność, że ten wreszcie wyjdzie i przestanie go dręczyć. Meyer też najbardziej marzył o tym, by jak najszybciej znaleźć się z dala od tego gada. Ginekolog martwił się tylko o to, żeby żona nie dowiedziała się o romansie, co w tej sytuacji było przecież nieuniknione. Hubert nie miał wątpliwości. Zachowanie lekarza utwierdziło go w przekonaniu, że Marlena mówiła prawdę, a Bielach kłamał. Będzie szedł w zaparte, ale przyciśnięty przez Domana, wyśpiewa wszystko. Potrzebuje jedynie dobrej kotwicy, by wyjść z tego z twarzą. Meyer znał ten typ. Może zacząć robić Marlenie przykrości. Jakiś szantaż, groźby. Byle tylko ratować swój tyłek. Jak ta kobieta mogła się w nim zakochać? Nie ma dziewczyna szczęścia do facetów. Co jeden to gorszy. Ale czy to było w ogóle uczucie, czy tylko patologiczna potrzeba bliskości? Nie ulegało wątpliwości, że mieli romans. Niestety, kochanek wyparł się Marleny, więc formalnie nadal pozostanie w sprawie jako podejrzana. Co gorsza, do tego grona dochodził jeszcze ten palant. Zemsta? Zlecenie? Eliminacja przeszkody do szczęścia? Może dziewczyna szantażowała go, że doniesie na niego szanownej małżonce? Kto ich tam wie? Jak najszybciej musiał stworzyć ostatnią linię życia dziewczynki i prześledzić to samo w przypadku podejrzanych. Zatrzymał się w drzwiach, jakby nagle coś mu się przypomniało, ale to był zwykły blef. Zmierzył wzrokiem kłamliwego kochanka.

— Do zobaczenia, doktorze Bieluch — rzucił od niechcienia, ale tak, by wszyscy słyszeli. — Na komisariacie.

— Bielach — poprawił go wspólnik. Też był przeciwko Meyerowi. Zdawał sobie sprawę, że to może zagrażać interesom kliniki. Plotki szybko się rozchodzą. Meyer podziękował mu wzrokiem i dodał z uśmiechem, jakby dopiero teraz sobie o tym przypomniał:

— Jeśli pan nie przyjdzie sam, policjanci pana doprowadzą. Tylko uprzedzam. — Zawiesił głos i zdecydował się na chamski blef oparty na zeznaniu Marleny: — A jeśli chodzi o tę fakturę za wyjazd z byłą asystentką do spa w Jastrzębiej Górze, proszę wziąć ją na przesłuchanie. Już sprawdzaliśmy w hotelu. Mamy potwierdzenia, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, prawda? Meldowali się państwo oboje na podstawie dowodów tożsamości, więc nie będzie żadnych problemów. To jedynie formalność.

Bielach zbladł. Wspólnik obrzucił go nienawistnym spojrzeniem. Meyer wiedział, że lekarz będzie musiał się gęsto tłumaczyć.

— Gdyby coś jeszcze pan sobie przypomniał, proszę dzwonić. — Hubert położył na blacie recepcji swoją wizytówkę i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Ola otworzyła oczy. Wokół była zielona mgła. Po bąbelkach, które wypuściła z ust, zorientowała się, że jest pod wodą. Przez chwilę nie czuła niepokoju. Przeciwnie, wreszcie była wolna. Dryfowała w dół, miała wrażenie, że zabiera ją otchłań. Ręce miała wolne, nie poruszała nimi, spadała. Kiedy poczuła delikatne mrowienie i nagłe szarpnięcie, spróbowała poruszyć nogami, ale nie mogła. Były ciasno związane bandażem. Ktoś założył jej też opaskę uciskową. Wiedziała, że nawet gdyby próbowała się uwolnić, nie zdąży. Przestraszyła się. Odruchowo nabrała powietrza w płuca i natychmiast zachłysnęła się wodą. Zaczęła się dusić, ale jednocześnie włączyło się racjonalne myślenie. Kiedyś doskonale pływała. Ryzykując, że spadnie jeszcze niżej, gwałtownie rzuciła się w bok. Był to jedyny sposób, by wydostać się z wiru. Nie był zbyt silny. Przesunęła się jeszcze trochę. Dopiero teraz spróbowała rozpiąć opaskę, ale jedną ręką nie potrafiła. Spadła jeszcze niżej. Pochyliła się i łamiąc paznokcie, rozpięła zacisk. Rozpaczliwie machała nogami. Widziała, że bandaż się rozplata. Poruszając jedynie rękoma, usiłowała wzbić się do góry i jednocześnie kręciła się niczym wrzeciono, by bandaż spłynął z niej, uwalniając nogi. Starła się w tym czasie nie oddychać, choć było to bardzo trudne. Widziała coraz mniejsze banieczki powietrza, które wypływały z jej nozdrzy. Nie wiedziała, jak głęboko się znajduje, ani na ile starczy jej sił. Temperatura i ciemny kolor wody wskazywały, że była blisko dna.

Przymknęła oczy i skupiła się, by wzbić się ponad powierzchnię. Płynęła ostatkiem sił. Kiedy ponownie otworzyła oczy, dostrzegła, że tafla jest bardziej przejrzysta i cieplejsza. To dodało jej mocy. Sprężyła się jak do skoku i wynurzyła na powierzchnię, chwytając łapczywie powietrze. Nie widziała nic poza granatem rozgwieżdżonego nieba. Oddychała, spokojniej poruszając rękoma. Nagle ktoś chwycił jej głowę i ponownie zanurzył. Walczyła, nie będąc w stanie pokonać tak silnego oporu. Chciała krzyczeć, ale głos wiał jej w gardle. Nabierała przy tym zbyt wiele powietrza. Odpuściła, poddała się. Wtedy nacisk zelżał. Ktoś szarpnął ją za rękę. Ola chwyciła się pomocnej dłoni z całych sił. Dryfowała do brzegu, praktycznie nieprzytomna.

— Już dobrze. — Amadeusz pogłaskał ją po głowie i uśmiechnął się figlarnie. W pierwszej chwili nie poznała go. Dorósł i zmienił się w młodego mężczyznę, choć wciąż nosił te same ubrania. Spodnie miał przykrótkie, a bluza nie dopinała się. Na głowie miał za małą czapkę. Tę samą, z daszkiem i trzema iksami na przedzie. Była tak brudna, że nawet Ola nie zgadłaby, że kiedyś była cytrynowa.

— Nie gniewasz się? — Amadeusz przekrzywił głowę i Ola zobaczyła, jak bardzo jest do niej podobny. Te same wielkie, przezroczyście oczy i wydatne usta. Ten sam grymas wyższości. Wystające kości policzkowe, ostry zarys podbródka. Serce jej się ścisnęło, że został uwięziony w Ogrodzie. Mógł żyć dobrze, a nie tkwić tutaj w nieskończoność.

— Sprawdziałem coś — dodał.

Kiedy wydostała się na zewnątrz, przede wszystkim była wściekła. Chciała go nawet zrugać, ale sam jego widok sprawił, że złość szybko minęła. Znała go aż nadto dobrze. Zabawy w podduszanie jej poduszką, zakładanie torebek foliowych na głowę czy straszenie ostrymi przedmiotami bawiły go też w jej realnym świecie. W Ogrodzie jednak nigdy dotąd jej nie atakował. Nie mógł jej przecież dotykać. Co się zmieniło? Czy to znaczy, że wreszcie umarła? Nie miała sił, by zapytać. Nie była w stanie wydobyć słowa. Syn też się nie odzywał. Wydawało się nawet, że czuje się winny. Przytulał się do niej z czułością, patrzył wyraźnie stęskniony. Ola wiedziała, że tak naprawdę cieszy się na jej widok. Agresja była jedynym zachowaniem, na jakie sobie pozwalał, odkąd odszedł do Ogrodu. Pomógł jej się wydostać z sadzawki, okrył ją

kocem, który zabrał ze stojącego pod drzewem wózka. Dopiero wtedy Ola dostrzegła, że w wózku znajduje się dziecko. Kiedy Amadeusz zabrał jej okrycie, Zosia otworzyła oczy. Była wychudzona, biała koszula wisiała na niej jak na kościotrupie. Patrzyła na Olę z obawą. Ola była wstrząśnięta.

— Co ty tutaj robisz? — Rzuciła się w jej kierunku, ale dziewczynka zerwała się i uciekła przed nią w krzaki. Ola spojrzała badawczo na Amadeusza. Wzruszył ramionami.

— Na początku też się bałem. Przyzwyczaj się — odpowiedział i wziął matkę za rękę. — Kochasz mnie?

Ola pospiesznie przytuliła chłopca. Tak dawno nie trzymała go w ramionach. Ale syn tylko przez chwilę pozwalał na pieszczoty. Zaraz wyswobodził się z jej objęć.

— Dlaczego jest noc? — Ola rozejrzała się wokół.

Nigdy nie było tutaj tak ciemno. Po kaczkach nie było nawet śladu. Sadzawka pełna była zgniłych liści, a krzewy, na których jeszcze niedawno kwitły wszystkie gatunki kwiatów, obumarły. Nagie gałęzie sterczały jak szkielety. Było zimno i nieprzyjemnie. Amadeusz bezlitośnie łamał konary i zrzucał je na wielką stertę. Dookoła ułożył okrąg z kamieni. Zaczął krzesać ogień. Po chwili cienkie gałązki zajęły się płomieniami, ale zanim dały choć odrobinę ciepła, zmieniały się w popiół. Amadeusz chwycił konar drzewa i połamał go na kolanie. Ola ze zdziwieniem patrzyła na jego popis siły. Twarz miał jej, ale ciało ojca. Będzie wysoki, przystojny. Pomyślała z żalem, że tylko ona będzie mogła go oglądać.

— Od kilku dni tak tu jest — mruknął od niechcienia. — Nudzi mi się. Masz papierosy?

Ola pokręciła głową.

— Nie powinieneś palić.

— Ty miałaś zacząć — odparł opryskliwie.

Spojrzała na syna z wyrzutem. Wstała.

— Co tu się dzieje? Dlaczego ogród obumiera?

Po Zosi nie było śladu. Pod płotem dostrzegła tylko martwe ptaki i zwłoki psa, którym żywiły się robaki. Odsunęła się przerażona. Jej twarz wykrzywił grymas wstrętu, co bardzo rozbawiło Amadeusza. Dopiero kiedy zgromiła go wzrokiem, przestał się szyderczo śmiać.

— Uciekła do lasu — odpowiedział, nie podnosząc nawet głowy. — Tylko sobie żartowałem, a ona od razu się rozryczała.

— Co jej zrobiłeś? — spytała.

— Nic. Chciałem się pobawić. Dałem jej prezent. — Wskazał martwego ptaka.

Ola patrzyła na niego z niepokojem. Podeszła i dotknęła jego czoła.

— Dobrze się czujesz? Wszystko w porządku, synku?

Amadeusz machnął ręką.

— Durna dziewczyna. I brzydka. Ani słowa nie powiedziała, odkąd się pojawiła.

— Synku. — Podeszła do Amadeusza i próbowała go przytulić. — Tak bardzo za tobą tęskniłam. Możesz mi wyjaśnić? Nic nie rozumiem.

— Zostaw, pomoczysz mnie — odepchnął ją. Ola siłą przyciągnęła go do siebie. Był teraz dużo wyższy i silniejszy od niej. Jej mały mężczyzna. Wtuliła się w jego ramię i zamarła.

— Tak długo czekałam — szepnęła. — Wiesz, jak bardzo cię kocham?

Amadeusz stał jak słup soli, ale tym razem pozwolił się obejmować. Zdjęła mu czapkę i starała się ułożyć długie, splątane włosy. Musiała go za mocno pociągnąć, kiedy rozdzielała pasma, bo syknął. Wreszcie przerwał jej. Ola zaśmiała się.

— Dla mnie zawsze pozostaniesz małym chłopcem.

— Nie wrócisz już, mama — odpowiedział jej. — Jest tak, jak chciałaś. Już nie możesz wrócić.

Rozpromieniła się.

— Naprawdę? Będziemy już razem?

Amadeusz nie odpowiedział. Ola poprawiła ubranie, skrzyła spódnice i wycisnęła z niej wodę.

— Umarłam? — zapytała radośnie.

— Jeszcze nie — odparł. — Ale już niedługo. Musisz załatwić jedną rzecz.

— Jaką? — zapytała. I dodała, bijąc się w piersi: — Zrobię wszystko, wiesz przecież.

Ogień wypalił się. Ola patrzyła ze zdziwieniem na garstkę popiołu. Teraz zrozumiała, że czas tutaj biegnie szybciej. Wszystko znikało. Nie wiedziała, z jakiego powodu ogród umierał, ale to musiało mieć

związek z dziewczynką, która tu przybyła. Dopóki Amadeusz był sam, wszystko kwitło.

— Synku, dlaczego Zosia tu jest? — zapytała stanowczo.

Amadeusz nie odpowiedział.

— Musisz nas stąd wydostać. I to szybko — oświadczył. — Jeśli chcesz mnie jeszcze zobaczyć.

Ola stała wyprostowana, wpatrując się w przestrzeń. Jej wzrok już przyzwyczał się do ciemności i dostrzegła, że znajdują się na wyspie. Ogród dramatycznie skurczył się od jej ostatniej wizyty. Sadržawka zaś była większa niż myślała. Ta woda, w której przed chwilą tonęła, praktycznie znajdowała się u jej stóp. Ola przesunęła się kawałek. Stopy miała całkiem mokre. Ogród zniknął na jej oczach, zaś woda otaczająca kryjówkę Amadeusza zajmowała stopniowo każdy skrawek ziemi. To dlatego musiała pokonać przejście, ryzykując, że utonie. Brama wejściowa, gdziekolwiek była, musiała być zalana.

— Jeśli się nie pośpieszysz, nie spotkamy się więcej — ostrzegł ją syn.

— Jak mam nas wydostać? — szepnęła.

— Oddasz mi swoje ciało — powiedział. — Nikt się nie zorientuje.

Ola patrzyła na syna z niedowierzaniem. Zgodziłaby się na wszystko, kochała przecież tylko jego. Dla niego żyła. Ale nie rozumiała, co miał na myśli. Jak miałyby to zrobić? Trochę też obawiała się, co Amadeusz może zrobić, mając jej ciało w pełni do dyspozycji.

— Nie bój się. Wrócę po ciebie — obiecał i przytulił matkę. — To jedyny sposób, żebyśmy zawsze byli razem.

— Tylko ty i ja? — upewniła się i pochyliła głowę. Syn objął ją ramieniem.

— Nikt więcej — dodał.

Ola zerknęła na Zosię. Dziewczynka bawiła się żółędziami, ukryta za krzakiem. Zdawało się, że rozmowa, którą ona prowadziła z Amadeuszem, jej nie interesuje. Co gorsza, zachowywała się tak, jakby nie rozpoznawała Oli.

— Masz tylko jedno ciało — dodał Amadeusz. — Możesz uratować tylko jedną osobę.

Ola zaniemówiła. Znów spojrzała na Zosię. W jej oczach zakręciły się łzy. Syn dobrze ją znał. Wiedział, że poświęci małą. Zawsze robiła to,

czego on chciał. Ola cierpiała, ale wybór był tylko jeden. To Amadeusz był jej dzieckiem i bez wahania zrobiłaby wszystko, byle on zyskał życie. Obawiała się czegoś innego.

— Ale nie zrobisz nikomu krzywdy? — upewniła się Ola.

Amadeusz uśmiechnął się szelmowsko.

— Ja? Mamuś, no co ty?

— Więc dobrze. — Pokiwała głową. — Niech będzie. Ale pamiętaj, jeśli zrobisz coś głupiego, znajdę cię, choćbym miała przepłynąć cały ocean piekła.

— To tylko większa sadzawka — zaśmiał się. — Przywrócę ład, zobaczysz.

Poprowadził ją do wody. Cały czas trzymał ją za rękę i mówił do niej tonem dojrzałego mężczyzny, a nie szesnastolatka, jakim teraz był.

— Zaufaj mi — szepnęła i gwałtownym gestem zanurzył jej głowę. Ola przez chwilę stawiała opór. Amadeusz dodał więc łagodnie: — Będzie dobrze. Sprawdziłem to dzisiaj. Tylko tym razem nie walcz.

Ola poddała mu się, zamknęła oczy. Wydawało jej się, że niebo znów staje się błękitne, a ogród kwitnie. Kaczki pływają w sadzawce, jak kiedyś. Zosia zobaczyła ją z daleka leżącą na trawie i podbiegła się przywitać. Ola uśmiechnęła się: znów była w raju.

Amadeusz też się zanurzył, przytulił do niej jak kiedyś, gdy był dzieckiem, i poczekał, aż zabraknie jej powietrza. To był tylko jeden przykry moment, potem straciła przytomność. Czuła jeszcze, jak syn całuje ją w czoło, a potem wszystko zniknęło.

Kiedy otworzyła oczy, znajdowała się w swoim mieszkaniu. Obok niej siedziała Eliza.

— Wróciłaś? — rozpromieniła się Ola. — Nawet sobie nie wyobrażasz, co się stało. Pozwolił się przytulić. Dotknęłam go! — opowiadała z zapalem. Zerwała się z sofy, ale nie mogła się podnieść, bo ręce i nogi miała oplecione długą metalową struną.

Eliza wskazała na nie i spytała surowo:

— Dlaczego to robisz, Ola?

— Ja? Ale co? — odpowiedziała pytaniem na pytanie, jakby nie rozumiała kierowanych do niej słów.

Eliza podała jej szklankę wody i zaczęła metodycznie wyjmować z apteczki środki dezynfekujące oraz medykamenty. Nie zdążyła ich użyć, bo wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Zaczęła rozplątywać więzy Oli, jednocześnie głośno łkając.

— Ja już więcej nie zniosę. Nie jestem w stanie. Ty jesteś chora! Chora!

Zerwała się i wybiegła z mieszkania. Ola patrzyła za przyjaciółką, ale nie zatrzymywała jej. Zwłaszcza teraz miałyby z nią jedynie kłopot. Dobrze, że to ona podjęła tę decyzję. Powoli rozwinęła cienką drucianką linkę. Była to czerwona struna do harfy, jedna z basowych, dzieląca oktawę. Nie była ani zaskoczona, ani przestraszona. Patrzyła na świeże, niezbyt głębokie przecięcia delikatnej skóry na przegubach jak na coś znajomego, choć nieestetycznego. Zmartwiła się. Nie pamiętała, kiedy to zrobiła. Zdarzało się to coraz częściej. Wstała, opatrzyła rany. Pozbierała resztki opatrunków i podeszła do okna. Dotknęła kwiatu amarylisa. Dawno już nie wyglądał tak wspaniale. Zadzwończy dzwonki wietrzne. Uśmiechnęła się do nich błogo.

— Ja ciebie też, kochanie — powiedziała.

Meyer wcale nie zamierzał urazić Leny. Po prostu nigdy nie pracował z innym psychologiem i, szczerze mówiąc, chyba nie potrafił. Był indywidualistą i nic nie mógł na to poradzić. Zresztą nie mogła mu pomóc w ułożeniu zebranych dotąd faktów. Musiał mieć spokój i chciał zrobić to sam. Kiedy sobie wyobraził, że Lena będzie go o wszystko pytała, zawracała głowę, był pewien, że nie zdoła zebrać myśli.

Wiedział też, że gdyby powiedział jej, że będzie nocował w komendzie, wzięłaby to do siebie. Oczywiście przeszkadzało mu, że byli kiedyś blisko, ale bardziej obawiał się siebie niż jej. Ona wyraźnie dała mu do zrozumienia, że to już nieaktualne. W zasadzie był z tego zadowolony. Nie pamiętał już, kiedy spał w śpiworze, pracując nad jakąś sprawą. Doman pozwolił mu przenocować w komendzie, gdzie Meyer miał dostępne wszystkie możliwe akta i materiały procesowe. Hubert miał wrażenie, że Doman nawet się ucieszył, wietrząc konflikt między profilerami. Wyciszył telefony, zostawiając włączone wibracje, by w razie potrzeby wiedzieć, kto go szuka. Jeszcze nie dzwonił do Pileckiego. Chciał najpierw zebrać fakty.

Teraz odciął się od wszystkich prywatnych spraw i zajął analizą planu miasta oraz okolic. Chciał dziś ustalić ostatnią znaną linię życia dziewczynki, by określić miejsce ewentualnego ukrycia ciała. Chyba nikt z policjantów nie wierzył już, że mała znajdzie się żywa. Białystok nie był wielkim miastem. Hubert poznał większość lokalizacji, dokładnie przestudiował mapę, w miarę dobrze orientował się w topografii terenu. Teraz zaznaczał kolejno miejsca ważne dla sprawy: dom dziewczynki, szkołę muzyczną, pracę matki, miejsce pracy dziadka. Wszystko to znajdowało się w okolicy Bojar i centrum Białegostoku. Jedynie stara oczyszczalnia na skraju Lasu Wisielców znajdowała się dalej. To go zastanawiało. Musiał istnieć jakiś związek dziecka z tym miejscem. Jak na razie był tylko jeden. I, o dziwo, podsunął mu to Fantomas, jego główny wróg. Przyznał, że ojciec dziecka przychodzi na automaty do salonu gier Vegasso, na osiedlu Dziesięciny. Zerknął na mapę. To osiedle było położone w pobliżu starej oczyszczalni. Poza tym to jedno z większych blokowisk w mieście. Jeśli Zosia znajdowała się w tej okolicy, żywa lub martwa, jej poszukiwanie mogło przypominać szukanie igły w stogu siana. Musiał ograniczyć przestrzeń. Zakreślił mosty, trakcje kolejowe, wszelkie wiadukty, ale nic to nie dało. Nadal pozostawał ogromny teren do sprawdzenia. Zaczął więc szukać łącznika między tymi dwoma miejscami: dom Zosi — oczyszczalnia. Dziecko musiało tam jeździć autobusem. Z tego, co wiedział, nie wybierała się nigdy do miasta rowerem. Tylko ojciec miał samochód, którym woził pasażerów. Autobus był jedynym możliwym tropem, zwłaszcza że w rzeczach znalezionych w kieszeni pustego plecaka był bilet miesięczny dziewczynki. Przejrzał rozkład jazdy komunikacji miejskiej i precyzyjnie przestudiował każdy z przystanków, patrząc na mapę. Szukał linii bezpośredniej lub z jedną przesiadką. Nie trwało to długo. Linia autobusowa numer 16 jechała bezpośrednio spod domu dziewczynki i kończyła swój bieg na przystanku Berlinga-Dziesięciny/Pętla. Stąd przez osiedle domków dziewczynka mogła przejść do starej oczyszczalni. Nie musiała przedzierać się przez chaszczce ani wchodzić na Wzgórze Miłości. Mogło być tak, że odkryła to miejsce przypadkiem, jeżdżąc bez celu po mieście autobusem. A może w tym autobusie spotkała swojego oprawcę?

Zadzwonił telefon. Meyer wahał się, czy odebrać. Nikt poza Domanem nie wiedział, że tu jest. Zanim zdecydował się podnieść słuchawkę, telefon przestał dzwonić. Odetchnął z ulgą, wrócił do analizy. Znalazł jednak swoją prywatną komórkę, która leżała zakopana pod stertą ubrań. Zobaczył, że ma kilka nieodebranych połączeń od Domana i Pileckiego. Nie zdążył wybrać żadnego numeru, bo komórka zaczęła wibrować. Podniósł, na wyświetlaczu zobaczył prywatny numer. To nie mógł być przypadek, ktoś go intensywnie poszukiwał.

— Halo — powiedział do telefonu, ścisząc głos, bo wydawało mu się, że nazbyt niesie się po pustej komendzie.

— Gdzie jesteś? — spytała Lena stanowczo. — Mam cię zgarnąć po drodze.

— W komendzie. Co się stało?

— Wszyscy cię szukają, zjedź na dół — powiedziała i rozłączyła się.

Na wszystkich bramach cmentarza świętego Rocha wisały taśmy policyjne. Mimo nocnej pory wokół kłębił się już niewielki tłum gapiów. Taksówka, którą Meyer i Lena dotarli na miejsce zdarzenia, nie miała gdzie zaparkować. Policjanci wskazywali kierowcom objazd, ale i tak z każdej strony na krawężnikach stały tymczasowo zaparkowane samochody z włączonymi światłami awaryjnymi. Niektórzy zatrzymywali się chociaż na chwilę, obserwowali zbiegowisko z okien, inni wysiadali, żeby zobaczyć, co się stało. Profilerzy postanowili przejść spory kawałek na piechotę. Musieli minąć rozdyskutowanych i stłoczonych w ciasną grupę ludzi z kamerami, dyktafonami, aparatami fotograficznymi. Miejsce zdarzenia musiano zabezpieczyć co najmniej godzinę temu. Meyer starał się iść z pochyloną głową, żeby żaden z dziennikarzy go nie rozpoznał. Nie potrzebował dodatkowych kłopotów, wystarczały mu te, które już miał. Stawili się tu pewnie wszyscy lokalni reporterzy. Były też wozy ogólnopolskich stacji. Palili, żartowali — dla nich to było tylko jedno ze zdarzeń, które musieli obsłużyć dla swojej firmy. Czekali na rzecznika prasowego, bo nikt inny nie chciał im udzielić żadnej informacji. Ekipa drogówki pilnowała, żeby samochody, które jechały tędy do centrum, omijały strefę wokół cmentarza szerokim łukiem. Doman pierwszy zauważył Lenę i Huberta. Podszedł do nich i przeprowadził przez taśmy, by nie było kłopotów z

legitymowaniem. Ruszyli drugim wejściem od alei Konstytucji 3 maja. W tę i z powrotem wędrowała wataha funkcjonariuszy zabezpieczających miejsce zdarzenia.

Nekropolia świętego Rocha była piękna, położona na wzgórzu, zaplanowana w stylu włoskim. Alejki oświetlały światła lamp gazowych. Na samym szczycie cmentarnego wzgórza, niczym iglica, górował kościół z białego kamienia, z kopułą w stylu bizantyjskim. Prowadził do niego rząd szerokich schodów, obleganych teraz przez techników policyjnych. Meyer i Lena ruszyli za Domanem w górę. Z bliska kościół nie był wcale tak ogromny. Białą elewację odnowiono niedawno, wokół budowano właśnie oszklone patio, część szyb nie została jeszcze wstawiona. Kiedy profilerzy wspięli się na samą górę, ich oczom ukazał się wspaniały widok na miasto. Panorama budynków osadzonych w rozłożystej zieleni. Teraz Meyer przekonał się naocznie, że parki, skwery i lasy zajmują wiele miejsca w tym mieście. Niemal każda dzielnica tonęła w zieleni. Dla niego to była ważna wskazówka. W takich pozornie bezpiecznych miejscach sprawcy łatwo było się zaszyć. Choć policjanci zastrzegali, że nie notują tu poważniejszych przestępstw, kiedyś wreszcie musiało do tego dojść.

Doman skinął ręką i poprowadził ich wzdłuż okrągłego kościoła, na skarpe, która aż do podnóża była usiana grobami. Na samym jej szczycie było kilka starych pomników. Były to chyba jakieś pamiątkowe groby, wszystkie z czarnego marmuru, wykonane starą techniką. Nie posiadały krzyży ani wymyślnych figur Chrystusa patrzącego na przechodniów w sposób, jakby odprowadzał ich wzrokiem, co było przejawem tutejszej mody funeralnej. Meyer, idąc wzdłuż głównej alejki, naliczył kilka takich rzeźb. Czarne nagrobki wyglądały na anonimowe. Policjanci wyjaśnili, że marmurowe płyty z intencją, kto został tutaj pochowany, zostały zdjęte na czas remontu, a w ich miejscu zostały tylko otwory po śrubach.

— To symboliczne groby założycieli cmentarza — wyjaśnił Doman.
— Liczą sobie setki lat.

Tuż obok, w niedokończonej części szklanego patio wokół kościoła, dostrzegli czerwoną spacerówkę z białymi lamówkami. Nogi dziecka w sportowych adidasach były za długie na model wózka dla kilkuletniego

dziecka i opierały się nienaturalnie na ziemi. Ciało wraz z głową przykryto błękitnym pledem.

— Czekaliśmy na ciebie — Doman zwrócił się do Meyera, który w milczeniu obserwował działania policjantów zabezpieczających miejsce zdarzenia. — Nic nie było ruszane. Zrobiliśmy tylko wstępną dokumentację fotograficzną, tak jak prosiłeś.

Na miejscu był też prokurator. Skinął głową, że mogą zaczynać oględziny. Policyjny operator włączył kamerę. Technik podniósł koc.

Dziewczynka miała zamknięte oczy i zsiniałe wargi. Jej twarz nie była zmasakrowana, ale już stężała. Usta rozchyliły się w nienaturalny grymas, przywodząc na myśl upiorny uśmiech. Mimo widocznych plam opadowych bez trudu można było ją rozpoznać, choć ciało w niczym nie przypominało słodkiej dziewczynki z plakatów poszukiwawczych. Głowa była lekko zwrócona na bok, ręce nienaturalnie splecione i wciśnięte w materiałowe ścianki wózka. Ciemne włosy dziecka rozwiewał wiatr. Na szyi zaś widniała brunatna bruzda. Dziewczynka nie była jednak ubrana w niebieskie polo z samolotem i dres, które miała na sobie w dniu zaginięcia, lecz w białą, płócienną koszulę nocną. Nikt nie miał wątpliwości, że to Zosia Sochacka.

Panowała kompletna cisza, zakłócana jedynie odgłosami miasta dobiegającymi z oddali. Nie ulegało wątpliwości, że sprawca musiał zadać sobie wiele trudu, by przywieźć tutaj zwłoki. Wspinaczka po schodach wymagała wysiłku. Z drugiej strony, zdecydowanie łatwiej było wjechać tutaj wózkiem, niż przynieść zmarłą dziewczynkę na plecach. Meyer podszedł bliżej i zauważył, że jej koszula jest wilgotna. W niektórych miejscach przyklejała się do ciała. Czyżby sprawca najpierw próbował utopić ją w rzece?

— Jezus... — szepnęła Lena i zakryła usta ręką, starając się powstrzymać torsje. Meyer zgromił ją wzrokiem. Kiedy technicy skończyli zbierać ślady i dokumentować miejsce zbrodni, profiler podszedł do ofiary i nachylił się nad nią.

— Jak ci to zrobił? — szepnął. Chodził potem w kółko i przemawiał do zmarłej: — Dlaczego ci to zrobił? Kto ci to zrobił?

Policjanci ze zdziwieniem obserwowali jego rozmowę z trupem. Lena odeszła szybkim krokiem jak najdalej od ekipy. Nie była w stanie

dłużej powstrzymywać odruchu wymiotnego. Wracając, usłyszała rozmowę Domana z prokuratorem.

— Może to jakiś rytuał? — Mariusz Tomaszuk rozkładał ręce. — O co tutaj chodzi? Wózek, cmentarz...

— Sprawdzimy. Mariola, nie podniecaj się tak bardzo. Już wystarczająco jesteś sławny — odparł Doman i podszedł do Meyera, który stał teraz z technikiem i oglądał ślady obuwia, najprawdopodobniej sprawcy, jakie udało się zabezpieczyć w gliniastej ziemi. Policjanci właśnie robili ich odlew. Wyglądały na sportowe adidas, być może uda się ustalić ich markę, a z pewnością rozmiar. Meyer odwrócił się, zanim Doman zdołał wypowiedzieć pierwsze słowa.

— Macie tu monitoring? — zapytał, wskazując na uchwyt na kamerę w budowanej werandzie. Doman zlecił sprawdzenie tego swoim ludziom i zwrócił się do Huberta:

— Chodź, mam tu coś dla ciebie.

Kiedy ruszyli wzdłuż schodów, pokazał mu rysopis mężczyzny, którego widziano, jak wychodził z cmentarza.

Meyer spojrzał na Domana.

— Turyści go widzieli — wyjaśnił policjant.

— Turyści? — zdziwił się Meyer. — Co robili na cmentarzu w środku nocy? Zwiedzali?

— Mówią, że spóźnili się na pociąg i postanowili przenocować na trawie pod gołym niebem. Nie są Polakami. Faktycznie, mają plecaki i śpiwory. Przejechali całą Europę autostopem, utkwili tutaj na parę dni, właśnie mieli wracać do domu. Wyglądają na świrów, ale dałem im tłumacza. Są już przesłuchiwani. Mówią, że widzieli tego faceta. Wyszedł wejściem na Wysoki Stoczek. Niby nic nadzwyczajnego, ale widzieli, jak pod koniec alejki do śmietników coś wrzucał.

Doman pokazał Meyerowi torebkę na dowody. Wewnątrz była paczka czystych bandaży. Jeden z nich był precyzyjnie pocięty na wąskie pasma. Wyglądały na nieużywane.

— Niby co to ma być? — spytał Meyer.

— Może narzędzie zbrodni? — odparł Doman.

— Skąd wiadomo, że to właśnie sprawca wrzucił je do śmietnika? — zastanowił się na głos Meyer.

— Nie wiadomo — przyznał mu rację Doman i podniósł do góry czarno-biały szkic wykonany przez policyjnego rysownika. Przedstawiał zakapturzoną postać w czapce z daszkiem. Nie było na nim widać twarzy, jedynie spiczastą brodę i wydatne usta. Drugi rysunek przedstawiał sylwetkę z tyłu. Właściwie mógł być nim każdy, kto założyłby hip-hopową bluzę i czapkę.

— W śmietniku były zeschnięte kwiaty, stare znicze, niedojedzone kanapki, zagraniczna flaszka wódki i te bandaże. Koleś nie wyglądał, jakby przyszedł odwiedzać babcię. Przytaszczył tu martwe dziecko. A ten gadżet najbardziej mi do niego pasuje. Kosz ustaliliśmy stuprocentowo. Petryka osobiście w nim nurkował.

Meyer pokiwał głową. Trudno było się nie zgodzić z rozumowaniem Domana. Obaj jednak wiedzieli, że dla prokuratora i sądu ten dowód nie znaczy nic. Podobnie jak enigmatyczny rysopis.

— To raczej niewiele. Właściwie nic — rzucił Meyer. I dodał z przekąsem: — Trzeźwi? Nic nie brali?

Doman wzruszył ramionami.

— Są już w komendzie. Czekaając tutaj, nieźle wymarzli. Dziewczyna jest wystraszona. Lekarz musiał ją zbadać, ledwie doszła do siebie.

— Co jej się stało? — zainteresował się Meyer.

— Zemdląła. To ona znalazła wózek. Poszła się odlać.

— Na cmentarzu?

— Jak ich zobaczysz, zrozumiesz. On wygląda na podstarzałego metalowca, ona ma wszystko czarne, włącznie z ustami.

— Może to Murzynka — wtrącił kąśliwie Meyer. I zaraz dodał: — Teraz to się boi, a chciała nocować na cmentarzu.

— Sprawdzi się to. — Doman machnął ręką. — Gdzie on z tym jechał? Chciał je tu zakopać? Kupy się to nie trzyma.

— Dziecko ma mokrą koszulę. Jest tu gdzieś rzeka? — zapytał nieoczekiwanie Meyer.

Doman pokręcił głową: — Raczej ściek, niewielki kanał. Kawał drogi stąd. Na piechotę nie przejdiesz. — Wskazał kierunek. — Musiałby iść z godzinę. Jeszcze z tym pakunkiem? Zbyt ryzykowne. Zbadamy, co to za woda na jej odzieży.

Rozejrzeli się wokół. Pochowanie dziecka na cmentarzu, będąc całkowicie niezauważonym, wydawało się niemożliwe. Alejki były z

każdej strony oświetlone, podobnie jak okolice kościoła, gdzie sprawca je zostawił.

— Sprawdzamy, czy jakieś groby nie były ostatnio ruszane. Posłałem też człowieka po księdza. Otworzy nam kaplicę — powiedział Doman, jakby czytając w myślach profilerą. Podeszedł funkcjonariusz i szepnął Domanowi coś na ucho. Potem wrócił szybkim krokiem do ekipy.

— Jest dobra wiadomość — oświadczył Doman. — Był włączony monitoring. Nie będzie nagrania z tej kamery, która by nas interesowała, ale wszystkie wejścia są pod ich nadzorem. Będziemy mieli wszystkich, którzy się tu kręcili, co do sekundy.

— Ten klient ma tupet — przyznał Meyer. — Albo to jakiś wariat. W którym kierunku uciekł?

Doman wskazał tylne wyjście z cmentarza.

— Nie uciekł, tylko wyszedł. Ponoć nawet nie przyspieszył na ich widok. Na Wysoki Stoczek. Puściłem tam już ludzi. Nikt go nie widział. Jakby rozplynął się w powietrzu. Dziwne.

Ruszyli w tamtym kierunku. Była to duża, dwujezdniowa ulica. Praktycznie zawsze, o każdej porze mogła być uczęszczana. Po drugiej stronie znajdował się rząd bloków mieszkalnych. Meyer spojrzał na ulicę, wzdłuż której ciągnęła się nekropolia. Była to jedna z głównych arterii miasta. Tu także stały bloki. Z trzeciej strony jak okiem sięgnąć wznosiły się niemal identyczne wieżowce. Z tej odległości okna, w których świeciło się światło, wydawały się miniaturowe, a otaczające ich jednakowe osiedla przywodziły na myśl mrowiska. Doman wskazał ręką:

— Antoniuk, Wysoki Stoczek, a tu Dziesięciny.

— Dziesięciny? — upewnił się Meyer.

Obaj wyraźnie czuli grozę sytuacji.

Wrócili na miejsce zdarzenia. Ciało dziecka było już zapakowane w czarny worek. Zamek był jednak tylko częściowo zasunięty i widać było twarz dziecka.

Podeszła do nich ostrzyżona na zapałkę dorodna kobieta w rogowych okularach. Na gotycką sukienkę narzuciła biały fartuch ze służbową plaketką „dr hab. Zofia Makerosz”. Na nogach miała glany. W nosie, uszach i twarzy wiele kolczyków. Na szyi, zza kołnierzyka wystawał jej tatuaż ziejącego ogniem smoka. Trudno byłoby go nazwać

dziełem sztuki, był jednak efektowny. Na rękach kobieta miała zielone fluorescencyjne rękawiczki. Jej ręce świeciły się z daleka, niczym w horrorze. Meyer nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Kobieta wskazała bruzdę na szyi dziecka.

— Zadzierzgnięcie. Więcej powiem jutro.

— Była molestowana? Gwałt? — zapytał Doman.

— Jutro — odparła twardo patolożka. I dodała: — Aha, dziewczynka ma uczesane włosy. Jest umyta i ufryzowano ją po śmierci. Nie żyje od wczoraj. Nie dłużej.

Wszyscy zamarli.

— To znaczy, że była przetrzymywana — szepnął Doman. — Można ją było uratować.

Zanim lekarka zdjęła rękawiczki, dotknęła jeszcze pieszczotliwie ciała dziecka, jakby chciała je pocieszyć, lecz z jej ust nie padło ani jedno słowo. Patrzyła jeszcze chwilę na zwłoki dziewczynki, po czym zasunęła zamek w worku i odeszła wolnym krokiem.

— Kto to? — spytał Meyer.

— Makerosz, nasza patolożka — odpowiedział Doman. — Doktor habilitowany. Sława w branży zimnych chirurgów. Nie tylko ze względu na wiedzę. Sam zresztą widziałeś. Ma dziwne metody pracy. W dawnych czasach pierwsza pankówa w mieście. Przez lata wszyscy myśleli, że jest lesbijką, ale ma męża bankowca i trójkę dzieci. Prawie nikt nic o niej nie wie. Dotąd myślałem, że tylko ona gada z trupami, ale widzę, że... jak by to powiedzieć, dogadacie się — zaśmiał się krótko Doman.

Usłyszeli chrząknięcie. Meyer odwrócił głowę. Lena dawała im znaki.

— Za chwilę — zbył ją profiler.

— Chcę, żebyś na coś zerknął — powiedziała z uporem. — To zajmie tylko chwilę.

Doman spojrzał na psycholożkę nieufnie, ale ponieważ właśnie zbliżał się do nich Pilecki, ruszył do naczelnika. Meyer nie miał już wymówki i poszedł za kobietą. Szli dosyć długo, klucząc między grobami. Meyer zerknął na daty pochówku. Leżeli tu zmarli kilka lat temu, aż trudno było uwierzyć, jak szybko rozrastał się ten cmentarz. Lena zatrzymała się przed niedużym granitowym nagrobkiem praktycznie bez ozdób. Widniało na nim nazwisko „Amadeusz Jekel”. Płonął na nim znicz, a w wazonie stały świeże amarylisy.

— I co? — zapytał Meyer.

— Policz kwiaty — poleciała Lena.

— Osiem — mruknął. — No i co? Nadal nie rozumiem.

— Gałązek jest osiem, ale kwiatów piętnaście. Tyle miałyby dziś lat — dodała.

Dopiero teraz Meyer zerknął na datę śmierci Amadeusza.

— Znicz zapalono nie wcześniej niż przed dwiema godzinami — powiedziała Lena. Faktycznie, nie wypalił się nawet w jednej trzeciej. — Może ktoś chciał zrobić mu prezent? Makabryczny prezent urodzinowy?

Meyer nie skomentował, ale też nie zachnął się, nie zaprzeczał, że to może mieć znaczenie. Rozejrzał się i zapytał, wprawiając Lenę w osłupienie:

— Jeździ tutaj może jakiś autobus?

Psycholożka szybko odzyskała rezon. Skupiła się na chwilę, po czym ruszyła do bramy tym samym wejściem, którym wchodzili. Podniosła rękę i wskazała przystanek. Znajdował się tuż obok przejścia dla pieszych, nie dalej niż dwieście metrów od wejścia do nekropolii. Meyer poszedł tam i przeczytał numery. Jednym z nich była szesnastka.

— Co jest? — Do psychologów podszedł Pilecki z Domanem.

Meyer dał znak Lenie, by nie puściła pary z ust. Nie miał ochoty teraz niczego wyjaśniać, a już na pewno nie tutaj, gdzie roiło się od gapiów i dziennikarzy.

Ci ostatni stłoczyli się przed taśmami wokół rzecznika prasowego w galowym mundurze i paląc papierosy, obserwowali policjantów oraz wejście na cmentarz jak dobre widowisko. Starszy aspirant Dariusz Leczycki, który z radością pozował do obiektywu, bo wprost uwielbiał swoją rolę mały na drucie, musiał właśnie opowiedzieć jakiś żart, bo niemal wszyscy reporterzy wybuchli śmiechem. Zbyt głośnym, aż stojący na obrzeżach tłumu gapie upomnieli ich. Większość to były jeszcze dzieciaki z notesami lub dyktafonami w rękach. Z zapartym tchem notowali lub nagrywali niemal każde słowo spływające z ust Leczyckiego. Ci bardziej doświadczeni nadrabiali miną, zgrywając stare wygi dziennikarstwa śledczego. I na dowód swoich kontaktów ostentacyjnie kiwali głowami do Domana, na co ten niechętnie odpowiadał zdawkowym półuśmieszkiem. Radiowcy trzymali w rękach

mikrofony i małe urządzenia. Wykorzystywali czas na nagranie wypowiedzi gapiów i dźwięków, które w porannych serwisach wyemitują wszystkie białostockie rozgłośnie. Stali tam też fotoreporterzy, a ich wścibskie, długie obiektywy wycelowane były w wejście na cmentarz.

Z dala od grupki pismaków Meyer zauważył niską, przysadzistą kobietę w dzianinowym chałacie, mającym być pewnie sukienką. Na jej obfitym ciele wyglądał jednak raczej jak sutanna eremity. Kobieta wyróżniała się z grupy, choć od razu odgadł, że jest dziennikarką. Miała na szyi identyfikator ze zdjęciem, szeptała coś na ucho wąsatemu poczciwinie z kamerą na ramieniu. Operator obejrzał się za siebie, po czym bezgłośnie się oddalił. Obszedł tłum gapiów i zniknął za zakrętem. Meyer śledził go przez chwilę, ale szybko stracił z oczu. Spojrzał znów na kobietę, która patrzyła teraz w przeciwnym kierunku. Podążył za jej spojrzeniem i dostrzegł szpaler gapiów. W tłumie stał mężczyzna w bejsbolówce i bluzie z kapturem nasuniętym na twarz. Przeciętnej postury, z daleka wyglądał na ucznia zawodówki. Meyer dyskretnie wyjął telefon i zrobił zdjęcie. Po chwili mężczyznę w bejsbolówce dopadł operator kamery. Z drugiej strony zaatakowała go gruba z identyfikatorem. Meyer musiał przyznać, że zaimponowała mu szybkością działania. Jeszcze przed chwilą była tuż koło nich. Zaraz też mężczyznę zainteresowali się pozostali reporterzy. Ten odwrócił się i zasłonił twarz. Wybiegając, popchnął operatora, który omal nie upadł na ziemię.

— Masz to? Masz? — krzyczała grubaska do poczciwiny, który tylko raz kiwnął głową, zajęty sprawdzaniem stanu technicznego sprzętu. — Cała, mam — odpowiedział z ulgą.

— Kto to? — zainteresował się Meyer, wskazując na dziennikarzy.

— Olenderki dopadli ojca poszukiwanej — wyjaśnił Doman. — Trafił im się niezły kasek.

Meyer skierował na niego pytające spojrzenie.

— Dlaczego uciekał?

— Właśnie — mruknął Doman. — I widziałeś, jak był ubrany?

Doman zdmuchnął kurz z podręcznych akt dotyczących śmierci Amadeusza, które przyniesiono właśnie z archiwum.

— To wszystko, co mamy — powiedział i rzucił je na stół.

Część tych materiałów Meyer znał. W archiwalnych aktach były jednak także tropy, które badano operacyjnie, ale po zatrzymaniu Kobierskiego te prace wstrzymano.

Profilerów najbardziej interesowała kwestia, czy florystka była brana pod uwagę jako podejrzana w sprawie zabójstwa dziecka. Doman pokiwał głową.

— Tylko potencjalnie. W tamtych czasach matki nie tak często mordowały swoje dzieci. Dla nas była w głównej mierze poszkodowaną — wyjaśnił.

Pokrótce opowiedział jej historię. Ola Jekel, z domu Leszczyńska, nie urodziła się w tym mieście. Pochodzi z tych Leszczyńskich po kądzieli. Przed laty jej rodzina należała do najzamożniejszych w regionie. Ziemie uprawne, szklarnie, udziały w fabryce nawozów sztucznych. Rodzina na Kresach i kuzynostwo rozsiane po świecie. Ola była dobrze zapowiadającą się pianistką. Stypendystka ministra kultury. Jedynaczka. Wszystko się załamało, kiedy ojciec dostał zarzut w głośnej swego czasu aferze korupcyjnej. Był radnym, kandydował na wojewodę. Szanowana postać w województwie zbrukana w kilka godzin, za sprawą mass mediów. Zmarł w areszcie na atak serca, nie doczekawszy procesu. Jego domniemani współnicy wyszli z tego cało, niektórzy wciąż piastują zaszczytne stanowiska. Niewiele później matka Oli dołączyła do zboru Świadków Jehowy. Tańczy, modli się, żywi według pięciu przemian, kocha Boga i siebie. Majątek zlicytowano, rodzina odziedziczyła po starym Leszczyńskim kolosalne długi. Ola miała wtedy siedemnaście lat. Całe szczęście, że zapobiegliwy ojciec kupił jej mieszkanie. Nie wiadomo, dlaczego akurat tutaj. Może po prostu była to jakaś okazja. Dopiero budowali Dziesięciny, to był jeden z pierwszych bloków. Nieobciążone kredytem, hipoteczne. Pięćdziesiąt dwa metry solidnego lokalu z wyposażeniem na Berlinga dziewiętnaście. Tego komornik nie miał prawa ruszyć. Z jego wynajmu Ola spłacała przez lata zobowiązania ojca. Dalej policja miała dużą lukę w jej życiorysie. Może wtedy nauczyła się nowego zawodu i spotkała przyszłego męża? Ślub odbył się w Ujściu — małej wiosce czterdzieści kilometrów stąd, gdzie do tej pory mieszka szanowny małżonek. Ola była od niego młodsza o siedem lat. Wróciła stamtąd już jako ceniona florystka. Z

dyplomami i sukcesami w branży, ale nie od razu założyła własną firmę. Przeniosła się tu na stałe, kiedy rozstała się z mężem. Amadeusz miał wtedy nie więcej niż trzy lata. Rozwód wydano zaocznie. Do papierów dołączono wyrok sądu o znęcaniu się nad rodziną. Ona jednak nie zmieniła nazwiska. Przez kolejne osiem lat samotnie wychowywała syna. Była ceniona w mieście, lubiana, radziła sobie. Nigdy nie widziano jej z żadnym mężczyzną. Ojciec Amadeusza nigdy ich nie odwiedzał. Z tego, co wiadomo, nie płacił też alimentów. Dostawała parę złotych z funduszu alimentacyjnego od państwa. Kiedy jednak chłopak skończył dziesięć lat, stara Jekelowa, babka Amadeusza, zapałała do niego nagłą miłością. Zaprosiła dziecko do siebie, poznała z ojcem. Po tym spotkaniu zaczęły się schody. Amadeusz zaczął uciekać do ojca, jeździł kolejką, autostopem. Matka straciła nad nim kontrolę. Buntował się przeciw niej, oskarżał, że przez nią nie ma normalnej rodziny. A ona pozwalała mu na wszystko, dawała pieniądze, które on przegrywał na flipperach. Kochała go, jak to matka. Amadeusz był już duży, nie potrzebował jej opieki. Wymagał twardej ręki, silnego przeciwnika. Tego dać mu nie mogła. Chłopak szukał więc męskiego wzorca u starszych kolegów i otaczających go mężczyzn. Problem polegał na tym, że w większości były to lamusy i darmozjady z Dziesięcin. Wykorzystywali małego do różnych celów. Podburzali go przeciw matce, zachęcali, by odzyskał ojca. Tyle że stary go nie chciał. Nigdy nie powiedział mu tego wprost, wstydził się lub bał. A może po prostu nie zależało mu na dziecku. Sam pochodził z pijackiej rodziny. Skąd miał wiedzieć, jak to powinno wyglądać? Zresztą zaraz po odejściu Oli założył nową rodzinę, uspokoił się. Może taki podrośnięty chłopak nie pasował do jego wizerunku twardziela? Był jak wyrzut sumienia, który każdy mógł dostrzec.

Kiedy Amadeusz zaginął, matka od razu przybiegła to zgłosić. Obwiniła się, że to przez nią, że go nie upilnowała.

— To był mały diabełek, wierzcie mi. — Doman wzruszył ramionami. — Rozwydrzony bachor, rozpuszczony jak dziadowski bicz, któremu wydawało się, że jest dorosły.

Florystka nie przyszła ani na pogrzeb, ani nigdy nie odwiedziła go na cmentarzu. Po jego śmierci coś stało się z jej głową. Mówiono, że rozmawia z duchem zmarłego dziecka, że widzi go, a nawet czuje jego dotyk. Próbowwała się powiesić. Trafiła do szpitala. Leczyli ją kilka miesięcy. Jak wyszła, wyglądała na zdrową, plotki ucichły. Wydawało się, że wszystko wróciło do normy.

— Wróciła do pracy, a jest naprawdę zdolna. Mojemu szwagrowi robiła dekorację ślubną. I w urzędzie projektowała rabatki — wtrącił Wojda.

Meyer wstał z krzesła i zaczął nerwowo chodzić po pomieszczeniu.

— Może ona wcale nie została wyleczona? Może tylko udawała, żeby wrócić do normalnego życia? — powiedział wreszcie.

— Ale czy można normalnie funkcjonować, a jednocześnie gadać z duchami? — spytała Lena i zaraz zamilkła. Oboje z Meyerem wiedzieli, że jakiś czas można, ale nie długo. Nie tyle lat.

— Dzień śmierci Zosi jest wigilią urodzin Amadeusza. Zbrodnia też jest odtworzona niemal co do joty. Pytanie tylko, gdzie sprawca wiózł ciało dziecka. I czy mogła to być kobieta — podsumował Meyer.

— Zrobimy eksperyment. — Doman wzruszył ramionami. — Sprawdzimy. Na razie ojca Zosi też trzeba przytrzymać. Po ostatniej akcji z kamerą papuga w godzinę go zabrała. Teraz nie możemy dać mu się wymknąć.

— Jakiej akcji? — zainteresowała się Lena.

— Ktoś obsmarował mu gównem drzwi. Pismaki to zwęszyły. Sochacki pobił dziennikarzy i stłukł im sprzęt. Na szczęście tylko obudowę. Będzie bulił. Olenderki mu tego nie darują — wyjaśnił. — Teraz będziemy mieli trochę więcej czasu, żeby go przycisnąć. Czekamy na materiał z kamer na cmentarzu.

— A może oni ze sobą współpracowali? — zastanawiał się Wojda.

— Kto? — huknął na niego Doman.

— No... florystka z tym drugim, ojcem dziecka — wyjaśnił młody policjant.

Petryka wybuchnął głośnym śmiechem. Meyer machnął tylko ręką. Wszyscy zebrani wiedzieli, że to idiotyczne.

— Ty lepiej już nie myśl, bo ci słabo wychodzi — pouczył go Doman.

— Zapierdalaj do tego, na czym się znasz! Uruchom Gałę, Hormona i

tych swoich informatorów, rzuć im cynę. Jest trup, mamy fundusze.

— Tak jest, szefie! — Wojda wstał i ruszył do wyjścia. Za nim powlókł się Petryka.

Lena siedziała zamyślona. Nie odzywała się.

— Chcesz coś jeszcze dodać przed odprawą? — zapytał ją Doman. Było jej miło, że zwraca się do niej z takim szacunkiem. — Trochę danych pozbierałaś. Może masz coś, co nam umknęło?

Lena nie od razu odpowiedziała.

— Jest coś, co mnie gryzie, ale nie mam wiarygodnych zeznań.

Czekała aż zaprotestują, ale trwali w oczekiwaniu.

— Mówiłeś, że florystka przez te wszystkie lata była sama. Taka ładna kobieta i sama? Nie wierzę. Musiał ktoś być. To może być klucz.

— Może — mruknął bez przekonania Meyer i dalej wertował akta. Doman zapalił nowego papierosa. Wreszcie zdecydował się odpowiedzieć:

— Najpierw leczyła się po Jekelu, ponoć to był damski bokser. Potem starała się być dobrą matką. Był jakiś absztyfikant z supermarketu, sprawdzaliśmy go, ale to się nie potwierdziło — wyjaśnił.

Zapadła cisza.

— Jeszcze ten „grzebulec” i matka dziecka. Trzeba tam podłubać, uciekła z domu w dzień odkrycia ciała — mruknął Doman. — Nie mamy jeszcze podstaw, by wydać za nią liścia. Kto się tym zajmie? Chętni?

— Mam pewien pomysł, gdzie może być — odezwał się Meyer. — Wykonam telefon, a jak nie zadziała, puścisz ludzi w miasto.

— Dobra, no to wyjazd. — Doman klepnął się po udach i poderwał z krzesła. — Dziadkowie czekają. Lena, weźmiesz ich, jakby były trudności. Trzeba się im też przyjrzeć, ale delikatnie, tak po kobiecemu.

— Jasne — uśmiechnęła się psycholożka. I zapytała: — Ten prokurator wczoraj na cmentarzu to był Mariola?

Meyer zerknął na Lenę zaciekawiony. Doman potwierdził.

— To on prowadził sprawę Berlinga? — pytała dalej.

— Ten sam. Piękny Mario Tomaszuk we własnej osobie. Lata już nie te, ale kto wie, kto wie, może się dogadacie. — Doman puścił do niej oko.

— A co? — zainteresował się Meyer. — Jaki masz do niego biznes?

— Chcę z nim pomówić o Cycu — odparła spokojnie Lena i także wstała, gotowa do wyjścia. — Swatek mówił, że to on przybił Kobierskiemu sprawę Amadeusza.

Doman i Meyer spojrzeli na nią z niedowierzaniem.

— No to już chyba wiem, kto z tobą jedzie na widzenie — zaśmiał się Doman i poklepał Meyera po plecach.

Rozległ się dzwonek telefonu. Doman odebrał.

— Nie mam dziś dyżuru. Wojda. Zaraz mu powiem, żeby śmigał na dół. Tak? Aha, dobra, dawajcie ją. Niech czeka.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Meyera. — Możesz sobie oszczędzić wykonywania tego telefonu. Znalazła się ptaszyna. Idźcie sami, dojdę.

Zofia Makerosz w milczeniu stała nad stołem sekcyjnym. Dziś miała liliowe rękawiczki. Na szczęście ten rodzaj lateksu się nie świecił. Prokurator Mariusz Tomaszuk wyglądał na znudzonego, co chwila zerkał na zegarek. Kiedy do pomieszczenia weszła Lena, od razu się ożywił. Prosektorium nie wyglądało wcale jak w filmach. Białe kafle, którymi wyłożona była sala, pamiętały jeszcze czasy Gierka, a metalowe stoły też służyły tutaj dobre kilkadziesiąt lat. W przeszklonej szafce widać było narzędzia do przecinania czaszek, cążki, piły i akcesoria chirurgiczne do cięcia ludzkich ciał.

— Czy rozpoznaje pani swoją wnuczkę, Zofię Sochacką? — zapytał policjant sporządzający protokół.

Dziewczynka leżała przykryta prześcieradłem. By oszczędzić widoku bliskim, lekarka odsłoniła jedynie głowę dziecka. Bruzdy na szyi prawie nie było widać, ale pożółkła twarz trupa była już pośmiertnie wykrzywiona.

Barbara Sochacka była spokojna. Oczywiście miała jednak szkliste, nieruchome, musiała być na środkach uspokajających. Mąż podtrzymywał ją pod ramię. W pewnym momencie nie wytrzymała, odwróciła głowę. Nagle zachwiała się i gdyby jej nie utrzymał, upadłaby na posadzkę. Widać było, że zaraz zacznie płakać. Policjant spojrzał na dziadka dziewczynki i zapytał jak najdelikatniej:

— Może to jednak nie najlepszy pomysł? Chyba będzie lepiej, jeśli pan zidentyfikuje ciało. Taka jest procedura — dodał na

usprawiedliwienie.

— Tak, rozpoznaję — wyszeptała stanowczo Sochacka i pociągnęła nosem. — To Zosia. Moja wnuczka.

— Babcia zamordowanej rozpoznała denatkę jako Zofię Sochacką, wnuczkę — zaczął dyktować do protokołu.

Prześcieradło powróciło na miejsce. Znów mieli do czynienia jedynie z białym całunem. Policjant zapisywał coś w dokumentach. Był teraz zajęty wypełnianiem stosownych rubryczek. Dziadkowie dziewczynki stali, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Lekarka zdjęła gumowe rękawiczki i zerknęła na nich.

— To wszystko? — upewniła się. Policjant pokiwał głową.

Doman zwrócił się do Sochackich: — Mogą państwo wyjść. Zostaną państwo przesłuchani. Dostaniecie wezwanie.

Sochacki podziękował i skierował się do wyjścia, ale żona zatrzymała go jeszcze.

— Kiedy będzie można ją pochować? — zwróciła się do Leny. Ta odwróciła głowę, jakby kierując pytanie do prowadzącego identyfikację prokuratora. Zawahał się.

— Przecież musimy ją pożegnać — naciskała babcia.

— Najpierw musi się odbyć sekcja, trwa dochodzenie — wszedł jej w słowo Tomaszuk. — Zostanie pani powiadomiona, kiedy będzie można odebrać ciało.

Nagle metalowe drzwi się otworzyły. W drzwiach stała Marlena. Obok niej jak bodyguard szedł Doman.

— Czego ona tu? — Na widok matki Zosi Barbara Sochacka ożywiła się i zaczęła się miotać. — Jak śmiesz! Po tym wszystkim... — przerwała. Mąż z trudem próbował ją obezwładnić.

— To moje dziecko — odparła z godnością Marlena, ale zrobiła krok w tył. Nie była pewna, czy może podejść do stołu. Wreszcie ośmieliła się i nie zważając na okrzyki Barbary, ruszyła w stronę lekarki. Kiedy jednak mijala Sochacką, ta splunęła jej pod nogi i zaczęła pod nosem wypowiadać słowa w obcym języku. Brzmiały jak zaklęcia. Wszyscy obecni patrzyli na nią zszokowani.

— Proszę się uspokoić, bo usunę państwa z sali — upomniał ją Doman.

Marlena zignorowała dziwne zachowanie teściowej, jakby była do niego przyzwyczajona, po czym zbliżyła się do ciała córki.

— Chcę ją zobaczyć — oświadczyła twardo. Ale już po chwili głos jej się załamał, a w oczach pojawiły się łzy. — Muszę ją zobaczyć. Jestem jej matką.

Lekarka pokiwała głową i natychmiast odsłoniła zwłoki aż do klatki piersiowej. Brązowa bruzda wraz z zasinieniami wyglądała odrażająco. Barbara Sochacka aż zasłoniła usta i wydała z siebie nieokreślony jęk przerażenia. Marlena długo wpatrywała się w córkę. Nagle osunęła się i z hukiem uderzyła głową o kant jednego ze stołów. Policjant natychmiast zaczął ją cucić. Lekarka podsunęła jej pod nos wacik. Kobieta powoli wracała do przytomności. Kiedy otworzyła oczy, Barbara Sochacka wykonywała nad jej głową znak krzyża.

— W imię Jezusa rozkazuję ci, zły duchu, przestań mnie dręczyć — wyszeptała trzykrotnie. — Amen.

Marlena wyglądała, jakby jeszcze bardziej osłabła. Zwinęła się w kłębek przy ścianie i cicho łkała. Nie dawała się dotknąć policjantowi, nie chciała wziąć leków podawanych jej przez lekarkę. Wyglądała jak zaszczute zwierzę.

— Dobrze ci tak — syknęła Sochacka, odchodząc. — Niech twoja noga więcej nie postanie w moim domu.

Spokojny do tej pory Sochacki schwycił żonę za ramię.

— Zostaw ją — powiedział podniesionym głosem. — Wystarczająco się nacierpiała.

Jego wybuch podziałał na kobietę obezwładniająco.

— Co ty, Janek — wydusiła. Wpatrywała się weń przestraszona. Po chwili jednak odzyskała rezon: — Albo ona, albo ja.

Mężczyzna nie odpowiedział. Podszedł do Marleny, z saszetki, którą miał przypiętą u pasa, wyjął kraciastą, wyprasowaną w kant chusteczkę i podał kobiecie. Przyglądała mu się zaniepokojona, ale wreszcie wzięła i otarła łzy. Potem podał jej rękę. Wstała. Wyprowadził ją na zewnątrz, obejmując ramieniem. Barbara ruszyła za nimi wolnym truchtem.

Kiedy drzwi się zamknęły, pozostali spojrzeli po sobie. Już nie było słyhać krzyków. Zapanowała cisza. Zofia Makerosz sprawdziła identyfikator zwłok przymocowany do stopy dziewczynki, oznaczyła go numerem przyjęcia i powoli zaczęła wsuwać ciało do szuflady. Nie

chciało wejść w całości. Jeden z policjantów chciał pomóc lekarce, lecz niechcący zsunął prześcieradło, odsłaniając drobne stopy dziewczynki. Makerosz odepchnęła go, z czułością przykryła dziecko, jakby przepraszając je za tę niesmaczną scenę i ordynarne potraktowanie, po czym lekko i sprawnie uniosła wieko szuflady. Teraz zwłoki wjechały do lodówki bez przeszkód.

Meyer zerknął na Lenę. Była poruszona.

— Nadal chcesz być profilerką? — spytał.

— Straszniejsze niż widok zwłok jest to, co zbrodnia robi z żywymi. Umarli mają już spokój — odparła na jednym oddechu.

— Nie byłabym taka pewna — weszła jej w słowo Makerosz. — Słyszę tutaj różne odgłosy. Ciała mówią. Wierzy pani w duchy? Bo ja tak. Dlatego trzeba szanować ich stare opakowania, traktować je z szacunkiem. — Pogładziła czule lodówkę ze zwłokami.

Lena nie wiedziała, co odpowiedzieć. Patrzyła w oczekiwaniu, jak lekarka zdejmuje z wieszaka gruby foliowy fartuch i przygotowuje sprzęt do sekcji.

— Swoją drogą niezła aktorka z tej dziewczyny. — Kobieta wskazała drzwi, którymi wyszli Sochaccy z Marleną.

— Udawała omdlenie? — zdziwiła się Lena.

Zofia Makerosz uśmiechnęła się i zamiast odpowiedzieć, podsunęła Lenie pod nos wacik, którym orzeźwiła Marlenę. Lena wzięła go do ręki, powąchała. Jej mina zdradzała, że nie był nasączony amoniakiem. Makerosz najwyraźniej nie zamierzała niczego wyjaśniać.

— Za godzinę rozpoczynam sekcję — oświadczyła. — Proszę, żeby nikt się nie spóźnił. Nie lubię marnować czasu.

Lena bez trudu znalazła kwiaciarnię, w której pracowała matka Amadeusza. Została wysłana przez Meyera i Domana, by delikatnie wy badać Olę Jekel, a dopiero potem policjanci mieli ją wezwać na przesłuchanie.

Kiedy weszła do centrum handlowego, ogłuszył ją hałas, nieodłączny w tego typu przybytkach. Poczowała jakby znalazła się w ulu. Odczuła też natychmiastową ulgę. W pomieszczeniu była klimatyzacja. Jej koszt przewyższał pewnie roczną dostawę wody do afrykańskich wiosek dotkniętych suszą, ale ludzie chaotycznie przemieszczający się w tę i z

powrotem, z naręczami pakietów, torebek i torebeczek, w których nieśli nabytą odrobinę szczęścia, z pewnością o tym nie myśleli. Liczył się komfort, polowanie, satysfakcja. Wszystko mieli tutaj gwarantowane. Ci, którzy wraz z Leną włączyli się do centrum przez obrotowe drzwi, zachowywali się jak wygłodniałe zwierzęta, rozpaczliwie pragnące upolować cokolwiek. Akurat trwał w najlepsze czas wyprzedaży. Na wystawach wisiały wielkie plakaty informujące, jaki procent ceny zaoszczędzą, jeśli przyjdą akurat tutaj. Lena musiała przeciskać się przez tłum wylewający się z marketu, którego nazwę zasłaniał kolosalny plakat informujący o dziewięćdziesięciu procentach zniżki. Ludzie grzebali z koszach z ubraniami jak muchy na gnojowisku. Lena skrzywiła się, kiedy sympatyczna dziewczyna dopadła ją i zaczęła jak automat mówić o niezwykłej okazji, jeśli zakupi pakiet kosmetyków z naturalnych produktów. Zero chemii, czysta natura zamknięta w szklanych ampułkach. Ich koszt przewróciłby Goliata. Lena z litości wzięła ulotkę i grzecznie podziękowała. Dziewczyna szła jednak obok niej i wciąż mówiła. Nie dało się jej w żaden sposób wyłączyć. Lena przyspieszyła kroku, ale akwizytorka wciąż wlokła się za nią. Dopiero kiedy strategicznie weszła do hipermarketu z pralkami i lodówkami, skutecznie jej się pozbyła. Ruszyła w kierunku telewizorów, stanęła tam i odczekała chwilę. Gdy zobaczyła, że natrętna dziewczyna dopadła inną ofiarę i nie zwracała już na nią uwagi, skierowała się do wyjścia. Na przeszkodzie stanął jej teraz sprzedawca w koszulce z napisem: „Żeruj na nas”. Na głowie zaś miał śmieszny czapeczek z przekreśloną ceną. Lena sprytnie go ominęła, nie pozwalając nawet dokończyć zdania.

— Chamka — rzucił za nią, ale nie zareagowała.

Postanowiła nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z nikim w uniformie, bo nigdy nie dotrze do kwiaciarni. Kiedy udało jej się przedrzeć przez tłum ludzi bijących się o przecenione telefony i wyszła na główną alejkę, ze zdziwieniem stwierdziła, że ma przed sobą ogromną kwiaciarnię. Odróżniła się od reszty sklepów całkowitym brakiem wystawy, nie licząc białych kwiatów w doniczkach, zaś prosty szyld napisany na szkle białym sprayem, stylizowanym na śnieżynki malowane w wiejskich oknach przez mróz, głosił: „Ogród Aleksandry”. Nie namyślając się długo, weszła do środka.

W pomieszczeniu było chłodno jak w igloo i jasno jak w prosektorium. Musieli zapalić wszystkie możliwe światła. Lena nigdy nie widziała takiej ilości egzotycznych kwiatów. Polacy kupowali zwykle róże, tulipany i storczyki. Tutaj jednak było inaczej. Lenie kręciło się w głowie jak zgłodniałemu kotu czekającemu na swoją porcję świeżego dorsza, i zanim doszła do siebie, musiało minąć trochę czasu. Za ladą stała niemłoda kobieta z dużym kokiem na czubku głowy, ubrana w czarną indyjską sukienkę na ramiączkach. Uśmiechała się do trzyosobowej rodziny, która przyszła zamówić kwiaty na jakąś rocznicę. Lena nie słuchała, co mówili. Liczyła, że nie będą zbyt wybredni i szybko dokonają wyboru, a wtedy ona wyjawi cel swojej wizyty. Zastanawiała się, czy to matka Amadeusza. Kobieta nie wyglądała ani na madonnę, ani na wariatkę. Dobrze odżywiona, rumiana, choć z pewnością ezoteryka i idee new age nie były jej obce.

Rodzinka jednak wybierała i wybierała. Widać było, że rządzi tam matka. Ta wiązanka jej się nie podobała, ten bukiet był zbyt strojny, a tamten wyglądał, jakby żałowali pieniędzy. Co ciocia na to powie? W kwiaciarni było sporo wolnego miejsca. Poza kwiatami nie było tam bibelotów, dodatków, rameczek na zdjęcia i stroików, jakie zwykle można było nabyć w tego typu przybytkach. Interes równie dobrze kręciłby się w pomieszczeniu mniejszym o połowę. Lena musiała jednak przyznać, że ta przestrzeń stanowiła świetną ekspozycję dla niezwykłych układów kwiatowych na stelażach. Niektóre były makabryczne, lecz piękne, jak choćby serce z żółtych suszonych narcyzów, precyzyjnie nanizane na gąbkę florystyczną i otoczone kolczastym wieńcem z różanych łodyg i główek ostów, w samym środku zaś złamane przez rząd żywych fioletowych hortensji. Z daleka wyglądało, jakby krwawiło. Kiście hortensji musiały być wymieniane w instalacji codziennie. Lena podziwiała tę i pozostałe. Domyśliła się, że to prace Oli Jekel. Musiała przyznać, że florystka jest naprawdę tak dobra, jak o niej mówiono. Kwiaty prezentowano tutaj jak obrazy w galerii. Można było podziwiać je z dystansu, ale też one same były najwyższej jakości. Rodzinka wreszcie ruszyła do wyjścia. Lena była gotowa do ataku na kwiaciarkę, kiedy nagle matka zmieniła zdanie i wskazała na jarzębinę, którą chciała dołożyć do bukietu. Rozpoczęło się

układanie wiązanki od nowa. Lena nerwowo zerknęła na zegarek. Pomyślała, że chyba trzeba będzie im przerwać. Podeszła z boku lady i zatrzymała się przy wazonie z półtorametrowymi różami w kolorze czerwonego wina. Wtedy do kwiaciarni wszedł starszy mężczyzna. Już na pierwszy rzut oka zwracał uwagę. Lena nie słyszała jego kroków. Kiedy się odwróciła, stał tuż za nią. Czarne włosy miał wciąż gęste, cerę smagłą z odcieniem żółci. Był niski, krępy i pozbawiony delikatności. Przypominał sunącego naprzód bawołu. Oczy zasłaniały mu okulary starego typu w plastikowych oprawkach, dawno już niemodne. To, co jednak zwracało uwagę najbardziej, to marynarka, którą miał na sobie, mimo panującego na zewnątrz upału. Kraciasta, w ostrych odcieniach pomarańcza i fioletu. Koszula pod spodem była czarna, a pod kołnierzykiem zawiązał czarny fular. Na jego rękach i szyi Lena dostrzegła siermiężną, lecz z pewnością złotą biżuterię. Zdążyła jedynie pomyśleć, że to dosyć dziwny strój dla statecznego starca, kiedy mężczyzna wskazał róże i zwrócił się do Leny, jakby była tutaj ekspedientką:

— Przy ilu dostanę zniżkę? — spytał. Głos miał niski, władczy, z wyraźnym akcentem, jakby od lat nie mieszkał w Polsce.

Kobieta zaniemówiła. Rozejrzała się wokół. Hipiska z kokiem dalej rozmawiała z rodzinką. Za ladą nie było nikogo.

— Ale ja... — próbowała się tłumaczyć. — Nie jestem sprzedawcą.

Mężczyzna przyjął ten fakt do wiadomości, ale nie przeprosił. Zachowywał się tak, jakby nie miało to dla niego znaczenia. Skrzywił się na widok wielkich fioletowych kul allium, a potem podszedł do róż, przy których stała Lena. Wyjął jeden kwiat z wazonu, zmierzył go w rękach, dotknął płatków, powąchał. Teraz psycholożka się domyśliła. Musiał słabo widzieć, lecz duma nie pozwalała mu się do tego przyznać.

— Nie pachnie. — Skierował różę w stronę Leny. — Czy to sztuczne?

— Naturalne. Nowa holenderska rasa. Krzyżówka antyalergiczna — oboje usłyszeli czyjś niski, aksamitny głos. Obok nich stała niemłoda kobieta w czerni. Nie uśmiechała się. Twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi miała dziwnie zastygłą, oczy zmrużone, nieco podejrzliwe. Jej sylwetka godna była wybiegu dla modelek. Lena od razu pomyślała, że ta kobieta przed laty musiała mieć urodę nimfetki, ale starzała się z godnością. Czy to właśnie była florystka?

— Nie boję się alergii. Chcę, by pachniały — powiedział starzec. — Najbardziej interesują mnie słoneczniki, ale ich u pani nie widzę.

Kobieta rozejrzała się po kwiaciarni i pokiwała głową.

— Bo sezon na nie jeszcze się nie zaczął. Możemy je jednak na pana życzenie zamówić. Ile pan potrzebuje i na jaką okazję?

— Cena nie ma znaczenia. Wnuczka kochała te kwiaty — odparł, zaś twarz kobiety momentalnie stężała.

— Kochała? — upewniła się i rozejrzała za drugą kwiaciarką, która kończyła wreszcie obsługiwać kapryśną rodzinę i pakowała ogromną wiązanek z róż i storczyków do szeleszczącego celofanu.

— Chciałbym zamówić okazały wieniec ze słoneczników, ale bez wydziwiania. Prosta wiązanek, bez ozdób, jeśli możecie taką wykonać — powtórzył mężczyzna z szerokim uśmiechem ujawniającym przednie uzębienie idealnie dopasowane do noszonej biżuterii. Mówił w taki sposób, jakby opowiadał zabawną anegdotę, i bacznie obserwował, jak jego słowa działają na kobietę. Kiedy skończył, uśmiech znikł z jego twarzy. Wpatrywał się we florystkę w czerni. Lena stała z boku i nie wiedziała, jak się zachować. Nikt jednak nie zwracał na nią uwagi.

— Wieniec? — szepnęła florystka z niedowierzaniem. I zaraz dodała: — Ale ja, my nie wykonujemy funeraliów. Wszyscy w mieście o tym wiedzą.

— Nie jestem stąd — odparł starzec i włożył różę ponownie do wazonu. Ręka drżała mu tak bardzo, że omal go nie wyrzucił. Florystka musiała mu pomóc, przez moment ich dłonie zetknęły się. Lena dostrzegła, że kobieta ma ciasno zabandażowane oba przeguby. Florystka spojrzała na mężczyznę. Uśmiechnął się smutno. — Ale w sumie te róże też by się jej podobały. Mogą być. Tylko proszę nie dokładać tych wstążek z krzyżykami. Wystarczy, jak pani napisze: „Kochamy Cię, Zosiu”.

Słyszając imię zmarłej, kobieta w czerni podniosła głowę i uważnie wpatrywała się w klienta. Mężczyzna czekał w milczeniu na jej decyzję.

Hipiska zorientowała się w sytuacji. Podeszła do współpracownicy i starca, po czym z radością ogłosiła: — Oczywiście, nie ma żadnego problemu. — Próbowała chwycić go pod rękę. Kobiecie w czerni dała

zaś porozumiewawczy znak. — Olu, tutaj pani czeka. A ja panu zaraz coś wybiorę.

Starzec wyswobodził się z jej objęć.

— Nie chcę pani. Chcę, żeby ona zrobiła ten wieniec. — Wskazał florystkę.

Wyglądało na to, że się uparł. Nie chciał ruszyć się na krok.

— Ale ona ma taką zasadę — Agnieszka twardo stanęła w obronie Oli. — Proszę to uszanować. Gdyby pan wiedział, co ona przeżyła.

Zapadła cisza. Lena odsunęła się, czekając, aż dojdą do porozumienia.

— To moja krewna. — Mężczyzna po namyśle wyjął z kieszeni zdjęcie i pokazał Oli. Widząc je, zamarła. Lena widziała ból na jej twarzy. Florystka starała się panować nad sobą, ale drobne grymasy wokół ust i mruganie powiekami ją zdradziło. Musiała rozpoznać dziecko.

Hipiska także zajrzała przez ramię.

— To Zosia, poszukiwana dziewczynka — powiedziała. — Pan jest jej rodziną?

Mężczyzna nie odpowiedział.

— Polecono mi tę kwiaciarnię jako najlepszą w mieście. Ale skoro pani nie chce mi pomóc, trudno, pójdę gdzieś indziej.

Ola chwyciła go za ramię i zatrzymała gwałtownie. Nie wrywał się. Dopiero po chwili go puściła. Wskazała białe rozłożyste kwiaty, które zdobiły wystawę.

— A co pan myśli o tych? To amarylisy. Ulubione kwiaty mojego syna — odparła.

Kwiaty były niemal całkowicie pozbawione liści. Nagie, soczyste łodygi, z których wyrastały wielkie rozłożyste płatki z białymi pręcikami w środku. Niektóre były biało-zielone, jakby niedojrzałe. Inne miały delikatne plamki, jakby ktoś zachlapał je brunatną farbą. Starzec podszedł tak blisko, że niemal nosem dotykał ich pręcików.

— Godne mojego aniołka — rozpromienił się. Zdjął okulary, teraz widać było, że oczy miał zapuchnięte, przetarł je rękawem marynarki. Nie wstydził się łez.

— Możemy zrobić ten bukiet dla pana na koszt firmy. Po ścięciu wszystkich kwiatów wyjdzie piękny wieniec. Same kwiaty, bez ozdób

— dodała Ola. Po czym zwróciła się do hipiski: — Aga, podasz mi nóż?

Hipiska westchnęła, gromiąc ją wzrokiem. Florystka nie zwracała na nią uwagi.

— Olu, wiesz co robisz? — powtórzyła z niedowierzaniem.

Ta odepchnęła ją lekko. Pokiwała głową.

— Zrobię to dla pańskiej... — zawahała się — ...wnuczki. Pod warunkiem, że amarylisy się panu podobają. Słońce Zosia będzie miała w niebie. Nie trzeba jej więcej. Zaś amarylisy...

— Ale to przecież wystawa? — Mężczyzna zebrał się już w sobie, był teraz miłszy, w rozmowie z Olą bardzo się starał. Wciąż jednak nie był pewien, czy kobieta mówi poważnie. — Chyba nie mogę się na to zgodzić.

— Powinien pan. — Ola wzięła go za rękę. — Amarylisy to jedyne znane mi kwiaty, które mogą się odrodzić. Jedyne, które nie są trupami. Wszystko, co pan tu widzi, to piękne zwłoki. — Wskazała ręką wokół i dodała: — One już od dawna nie żyją. Zamordowano je przedwczoraj. Wytrwały w chłodniach kilka tysięcy kilometrów, zachowując swój czar i urok, ale tak naprawdę od dawna już nie żyją. Ktoś je odciął od ziemi i są sztucznie utrzymywane przy życiu. Niewyobrażalnym okrucieństwem jest według mnie darować je osobom, które także odeszły. Tam, gdzie są, jest przecież mnóstwo kwiatów. — Zamilkła. Zrozumiała, jak to zabrzmiało. Lena i Agnieszka wpatrywały się w nią zszokowane. Ona jednak nie przerwała wątku. — Ale amarylisy to co innego. Niech mi pan wierzy, doświadczyłam tego.

Po czym, nie czekając na reakcję obecnych, wzięła nóż i zaczęła ścinać kwiaty tuż u nasady. Nikt nie zdążył zareagować... Kiedy skończyła, ułożyła stos na ladzie, wzięła papier, długopis i zwróciła się do mężczyzny:

— Mogę prosić o nazwisko?

— Arsen Mirga — padła odpowiedź. Ola szybko zanotowała. Charakter pisma miała ładny, litery stawiała okrągłe, łączyła je w jedną linię.

— Dokąd mam wysłać wieniec? — spytała z drzeniem w głosie.

— Nie wiem, kiedy będzie pogrzeb — odpowiedział cicho. — Właściwie Zosia wciąż jest w kostnicy policyjnej. Podobno mają robić sekcję, badać jej ciało.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Ola wcale się nie zdziwiła. Uśmiechnęła się i skreśliła nazwisko mężczyzny.

— Przywiozę je osobiście — zapewniła. — Niech się pan nie obawia, nawet gdyby to trwało tydzień, umiem sprawić, by wyglądały jak świeżo ścięte. Znam się na tym, niestety.

— Wie pani, tam, dokąd ona się wybiera, wcale nie ma kwiatów — odpowiedział jej Arsen.

Ola była zszokowana, ale nie śmiała zaprotestować.

— To wszystko nieprawda. Raju nie ma — kontynuował. — Dlatego chciałbym, żeby przynajmniej żywi na ostatnim pożegnaniu z Zosią czuli zapach prawdziwych kwiatów. Pani wie, że nie przypadkiem przyszedłem? — zapytał nagle. Ola zamarła, wpatrując się w dziadka. Nie zamierzał się tłumaczyć. — Dziękuję pani. Może pani nas zrozumie. Tego nie da się wyjaśnić — szepnął z naciskiem, położył na blacie pieniądze, po czym wyszedł, nie czekając na resztę, i zmieszał się z tłumem w alejce. Trzy kobiety w kwiaciarni stały bez ruchu, wpatrzone w jego kraciaste plecy. Ale po chwili już go nie było. Zniknął tak samo bezszelestnie, jak się pojawił.

— Panie Arsenie! — Ola nagle zerwała się i wybiegła za nim. Zaraz jednak wróciła, rozłożyła ręce w geście rezygnacji. Pierwsza odezwała się hipiska. Podeszła do lady i przeliczyła pieniądze, po czym schowała je do kasy.

— Nigdy cię nie zrozumiem — zwróciła się do Oli agresywnie, tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Wyjaśnisz mi?

Ola układała kwiaty. Oczyszczyła ich końcówki z ziemi i wyciągnęła z wielkiej szpuli zieloną wstążkę, która praktycznie nie odróżniała się od łodyg. Wyglądało, jakby nie zamierzała odpowiadać, ale po chwili podniosła głowę. Jej twarz była zmęczona, oczy patrzyły błagalnie.

— Nie mam siły — odparła.

Hipiska jakby nagle przypomniała sobie o Lenie.

— Przepraszam za to zamieszanie i za to, że musiała pani tak długo czekać.

Lena wyprostowała się i zwróciła w kierunku Oli, ignorując hipiskę, która wydeła wargi, nie kryjąc, że po raz kolejny czuje się obrażona. Lena już nie zamierzała się ukrywać ani pełnić roli szpiega, choć tak jej nakazano. Na własne oczy widziała sytuację, która nie świadczyła o

chorobie psychicznej florystki, co najwyżej o jej nieprzeżytej żałobie po stracie dziecka. Chciała z nią pomówić. Teraz. To była doskonała okazja.

— Lena Pawłowska. — Wyciągnęła rękę do powitania. Wskazała drzwi, w których zniknął mężczyzna. — Chodzi o sprawę zamordowanej dziewczynki. Nie przyszłam po kwiaty. Muszę z panią porozmawiać.

Ola podniosła głowę, przyjrzała się psycholożce, wstała. Wyjęła wielki liść, na którym najspokojniej na świecie zaczęła układać kwiaty.

— Proszę się tym nie martwić — odparła. — Widziałam ją wczoraj. Nie czuje już bólu ani cierpienia. Pewnie bawi się z moim synkiem. Amadeusz zaś wreszcie przestanie się skarżyć, że jest mu tam nudno.

Po wyjściu z supermarketu Arsen skierował się do amerykańskiego perłowoniebieskiego auta zaparkowanego na podziemnym parkingu centrum handlowego Alfa. W środku czekała na niego zapłakana Marlena. Podał jej leki i dotknął twarzy z ojcowską czułością.

— Z niektórymi rzeczami trzeba się pogodzić, Mare. Nie walcz z tym, na co nie masz wpływu — powiedział. Marlena pociągnęła nosem i ukryła twarz w dłoniach.

— To moja wina, dziadku. Moja — chlupała rozpaczliwie. — Nigdy sobie tego nie wybaczę. Widziałam ją dzisiaj, ale jakby to nie była ona. Nie mogę uwierzyć, że jej już nie ma. Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić. Co teraz będzie? Co będzie ze mną?

Arsen odwrócił twarz do okna. Z tyłu szła roześmiana para z pękiem toreb z zakupami. Śmiali się, wygłupiali. Kiedy ich minęli, przekręcił kluczyk w stacyjce. Nadal jednak nie ruszył. Oboje siedzieli, wsłuchując się w rytmiczną pracę silnika. Wreszcie Marlena zaczęła głośno zawodzić. Arsen wyłączył silnik, pochylił się i przytulił kobietę.

— Nic już nie mów. Nie dam cię skrzywdzić. Drugi raz nie pozwolę ci na samowolę. Gdybyś mnie wtedy posłuchała... — Zamilkł. Nie chciał jej pogrążyć. Była wystarczająco rozbita.

— Wiem, wszystko byłoby inaczej! — krzyknęła histerycznie. Cała się trzęsała. — Żałuję, ale nie mogę tego cofnąć. Nie mogę! Dlaczego mi to robisz?! — Wzniosła oczy ku niebu.

Arsen wyjął z opakowania kilka tabletek i podał kobiecie. Potem odkręcił butelkę z wodą. Marlena popiła podane jej leki. Sam zrobił

kilka łyków z metalowej piersiówki, którą nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Musisz być teraz silna. To nie koniec wszystkiego, to dopiero początek — powiedział. — Będą cię teraz ciągać na przesłuchania, okazania, konfrontacje. Nie wiem, co już wiedzą, a czego jeszcze nie. Ale nie możemy dopuścić, żeby cię złamali. Nie damy cię złamać. Wszystko załatwiłem.

— Dziadku... — Kobieta już się trochę uspokoiła, podniosła głowę i wpatrywała się w niego wzrokiem zranionej łani. — Ale ja nie chcę uciekać. Nic złego nie zrobiłam. Ty mi nie wierzysz?

— Wierzę, kochana, wierzę — odparł, choć widać było, że nie jest do końca przekonany. — Właśnie dlatego musisz jak najszybciej wyjechać.

— Dziadku, ja nie zrobiłam nic złego — podkreśliła Marlena. Puścił mimo uszu jej słowa. Ponownie przekręcił kluczyki w stacyjce. Silnik zawarczał i zaczął pracować miarowo. Arsen zerknął w lusterka, po czym sprawnie wyjechał tyłem.

— Musimy zadzwonić do tego policjanta, powiedzieć mu, gdzie jestem. Nie chcę się ukrywać — mówiła. Wyglądało na to, że doszła do siebie. — On mnie zrozumie. Wiem to.

— Ty, dziecko, nie rozumiesz mężczyzn. Gdybyś rozumiała, dawno byłabyś moją żoną i jedyne, co byś robiła, to leżała i pachniała. Wolałaś uciec.

— Przecież mnie wychowałeś. Jesteś moim dziadkiem — oburzyła się. — Nawet gdybyś mnie zamknął w pałacu ze złota, uciekłabym.

Nie słuchał. Miał widać swój własny plan. Marlena wpatrywała się w niego lekko przerażona. Szybko zorientowała się, że wcale nie jadą na Bojary.

— Oni i tak mnie znajdą. A wtedy posadzą. Może mnie już nie zobaczysz — powiedziała ostro.

— Zamówiłem amarylisy. Ta kwiaciarka była bardzo miła — dodał po chwili. — Jedziemy do domu.

— Ale mój dom był tam. — Wskazała tylną szybę auta. Teraz była wściekła. — Tam są wszystkie moje rzeczy. Wszystko, co mam. Całe moje życie.

— Rzeczy? Obchodzą cię teraz jakieś rzeczy? — prychnął Arsen. — Kupię ci nowe. One nie mają znaczenia. Tam tylko chwilowo

mieszkałyście z Zosią. Teraz, kiedy jej nie ma, możesz po prostu odejść. Jesteś Cyganką. Twój dom jest w sercu. Jest tam, gdzie ty jesteś.

— Gdzie mnie wiesz? — spytała zimno. Nie odpowiedział, więc powtórzyła: — Gdzie? Słyszałeś, o co pytałam?

— Zobaczysz — odparł. — Powiedziałem, że cię obronię. I nie bój się. Żyję wystarczająco długo, by nie narobić głupot. Gdybyś mnie słuchała, Zosia by żyła.

Tego Marlenu nie wytrzymała. Wpadła we wściekłość i zaczęła okładać Arsena pięściami. Odsunął się i krzyknął po cygańsku:

— Spokój. Ani mi się waź! Załatwimy sprawę po swojemu. Twoi rodzice już czekają.

Opadła na fotel.

— Proszę, nie zawoź mnie tam. Nie wrócę. Zgadzam się na wszystko. Zamieszam z tobą, będę ci gotowała, zrobię wszystko, co każesz. Tylko nie odwoź mnie do nich — błagała.

— Zapnij pas — polecił jej.

Jechali dosyć szybko. Arsen milczał. Marlenu skuliła się i cicho płakała. W pewnym momencie przez skrzyżowanie przejechał motocyklista, omal nie zderzając się z nimi. Arsen z trudem utrzymał kierownicę, unikając poślizgu. Zatrzymał się na poboczu. Z trudem zachowywał spokój. Odwrócił się do Marlenu, która w trakcie manewru poleciała do przodu i uderzyła się w głowę. Miała rozbitą dolną wargę, trzymała rękę w tym miejscu.

— Nic ci nie jest? — spytał z troską. Pokręciła głową. — Zadzwoń do tego człowieka. Powiedz mu, gdzie jesteś — rozkazał i nie zwracając uwagi na ciągłą linię, zawrócił.

Apartament w Hotelu Gołębiowski był urządzone jak nakazują normy. Bezpłciowo i wygodnie, ze szczyptą luksusu. Meyer siedział na skórzanej sofie, wpatrywał się w Marlenu i Arsena, którzy od jakiegoś czasu milczeli.

— Dlaczego nic pani nie zrobiła? Nie zgłosiła tego, nie przerwała? — rzucił w jej kierunku oskarżenie. Marlenu zamrugła oczami i podniosła się gwałtownie, po czym wybuchła płaczem.

— Nie wierzy nam pan? — zapytał Arsen.

— Zaskakujące, że dowiaduję się o tym dopiero teraz — odparł z wyrzutem Hubert i znów spojrzął na kobietę. Nie odważyła się podnieść na niego wzroku. — Nie sposób teraz tego udowodnić — dodał.

— Przeszukajcie dom, sprawdźcie tego człowieka. Pan wie lepiej, co robić — powiedział Arsen.

— Teraz mamy na głowie poważniejsze sprawy. Dziecko nie żyje, a pan mi mówisz o molestowaniu. Jeśli były jakiegokolwiek dowody, z pewnością zostały zniszczone. Nawet idiota wie takie rzeczy. Chyba że jest coś, co mogłoby potwierdzić ten zarzut. Ale nie wiem czy i to coś da. Matka podejrzewała, ale milczała. Pozwalała na to? Było to dla niej wygodne? O czym to świadczy? Wie pan, jak to przyjmą funkcjonariusze?

Arsen pochylił głowę.

— Ona nie miała pewności. Zosia tylko mnie powiedziała — odparł. — Chciałem ją stamtąd zabrać, ale nie zdążyłem.

— A ona? — Meyer wskazał Marlenę.

— Nie chciała mnie znać. Myślała, że... no wie pan. Rodzice sprzedali mi ją, zanim się poznaliśmy. Miała kilkanaście lat. A oni mieli długi. Sam pan wie, co to za rodzina.

Meyer był niezadowolony.

— Nic z tego nie rozumiem. To jesteście małżeństwem, czy nie?

— Według polskiego prawa jesteśmy dalekimi krewnymi. Według naszego — tak, jesteśmy mężem i żoną — odpowiedział staruszek. Meyer patrzył na nich i nie mógł uwierzyć. Marlena była od Arsena młodsza o czterdzieści lat. Arsen musiał się domyślić, co Meyerowi chodzi po głowie, bo dodał: — Nigdy między nami nic nie było. I nigdy nic nie będzie. Zawsze była dla mnie jak wnuczka. Zresztą ja nie mieszkam w Polsce. I nie zamierzam tutaj zostać dłużej niż potrzeba. Kiedy wyjedziemy, zajmę się nią, jak potrafię najlepiej.

Marlena głośno wydmuchała nos, otarła oczy.

— On mnie wychował. Był mi bliższy niż rodzona matka — powiedziała. — Uciekłam, bo byłam głupia. Myślałam, że on będzie chciał... Sami wiecie, co myślałam. Problem jest taki, że ja już powrotu do rodziny nie mam. Arsen też sprzeciwił się naszym zasadom. Jeśli ktoś się dowie, oboje będziemy sądeni przez cygański sąd. A wyrok

skazujący zapadnie na pewno, wtedy oboje możemy zginąć. Po cichu, w jakimś bagażniku.

— Za co? — Meyer nadal nie rozumiał.

— Za to, że nie upilnowałam dziecka. — Marlena znów się rozkleiła. — A on, zamiast wykonać zemstę, jeszcze mi pomaga. Dostałam już ostrzeżenie. Te drzwi u Sochackich... Myśli pan, że kto to zrobił?

— Czego ode mnie chcecie? — Hubert wstał i włożył ręce do kieszeni.

— Niech pan jak najszybciej znajdzie sprawcę. Wtedy przestaną mnie szukać — poprosiła Marlena. — I błagam, niech pan nikomu nie mówi, gdzie jestem. Zawsze może mnie pan tu znaleźć. Będę na każde wezwanie. Byle tylko dziennikarze, nikt, kto może upublicznić ten adres, się nie dowiedział..

Rozległo się pukanie do drzwi. Marlena spłoszona zerknęła na Arsena, który kazał jej przejść do sąsiedniego pokoju, a sam poszedł otworzyć. Meyer wciąż stał, gotów do wyjścia.

W drzwiach stał kurier w uniformie. Podsunął Arsenowi papiery w folii do podpisu. Ten złożył swój autograf i otworzył szerzej drzwi. Po chwili trzech mężczyzn wtaszczyło do pomieszczenia ogromny pakunek. Ustawili go we wskazanym przez Arsena miejscu. Kiedy drzwi się zamknęły, dziadek wyjął z kieszeni scyzoryk i przeciął nim opakowanie. Rozdarł papier, zdarł kawałek folii. Ich oczom ukazała się rama złoczonej harfy. Marlena wyszła z pokoju i na jej widok zemdląła.

Meyer nie ruszył się z miejsca, choć kobieta leżała nieprzytomna na podłodze. Arsen, widząc, co się stało, podbiegł do niej i zaczął ją cucić.

— Zosia była dla niej wszystkim! — krzyknął z wyrzutem. — Dlatego wytrzymywała w tym piekle u Sochackich. Niech pan da wodę. Szybko!

Meyer powoli podszedł do tacy, chwycił karafkę, powąchał, wreszcie nalał do kryształowej szklanki odrobinę płynu, ale nie podał jej.

— Ona udaje — mruknął. — Już to widziałem.

Arsen patrzył na niego z niedowierzaniem.

— A ona panu tak ufała — szepnęła, próbując uciskać piersi Marleny. Bez skutku. Potrząsał nią zrozpaczony. — Ona jest w ciąży! — jęknęła.

Meyer powoli zbliżył się i wylał zawartość szklanki na twarz Marleny. Zero reakcji. Kucnął, dotknął jej dłoni. Potem pochylił się nad

jej twarzą. Uderzył ją mocno. Potem drugi raz. Powoli otwierała oczy. Wtuliła się w Arsen.

Meyer wstał i zmarszczył brwi. Zastanawiał się, co ci Cyganie przed nim odgrywają. Wreszcie bez słowa ruszył do wyjścia.

— I co? Jaka jest pana decyzja? — zapytał Arsen podniesionym głosem.

— Macie tu zostać i być z nami w kontakcie. Niech pan wezwie lekarza. Jeśli jest ciężarna, musi być pod obserwacją. O tyle dobrze, że nie będzie aresztowana — powiedział na odchodnym. — Prawdopodobnie będziecie mieli ogon, więc bez żadnych numerów. Uprzedzę prowadzącego dochodzenie o wszystkim, co usłyszałem. Jeśli sytuacja się zmieni, pojawią się nowe dowody albo zajdzie potrzeba zatrzymania pana lub jej, nie będę mógł nic zrobić — dokończył.

— Dziękuję — szepnęła Marlena i pokiwała głową. Arsen patrzył na niego taksującym wzrokiem. Kiedy profiler wyszedł, zwrócił się wnuczki:

— Nie musisz mu dziękować. Pierwszy będę o tym wiedział. Leszek nie odważyłby się pozostawić mnie w niepewności. Ma u mnie dług. Przecież obiecałem, że włos ci z głowy nie spadnie. Ja nie rzucam słów na wiatr. I wiem, co mówię.

— Wiem, dziadku — odparła Marlena. Wstała i lekko się zataczając, ruszyła do sofy. Położyła się na niej w pozycji embrionalnej. — Muszę odpocząć, bardzo słabo się czuję.

— Zdrzemnij się. Sen to najlepsze lekarstwo na smutki — szepnęła. Zsunął jej buty, przykrył troskliwie kocem, po czym, omijając stojącą na samym środku pokoju, wciąż nierozpakowaną harfę, ruszył do drzwi. Marlena nie słyszała już obracającego się od zewnątrz klucza. Momentalnie zasnęła kamiennym snem.

Adwokat pochylił się w kierunku Barbary Sochackiej i szeptał jej coś długo do ucha. Jan Sochacki siedział grzecznie na krześle. Oglądał swoje dłonie. Recepcjonista wezwał całą trójkę do siebie. Wskazał na młodego policjanta, który czekał na dziadków Zosi z dokumentami w rękach. Podeszli do niego nieco spłoszeni. Wojda zmierzył adwokata czujnym spojrzeniem.

— Jest na trójce, możesz pan wejść — mruknął.

Kiedy jednak adwokat ruszył, Wojda zatrzymał go gestem.

— Legitymacja.

Przy obcych mógł wreszcie zaprezentować swoją władzę. Nie był teraz najmłodszym policjantem w ekipie, był po prostu jedynym policjantem. Mecenas pospiesznie wysupłał z aktówki stosowny dokument i okazał. Wojda skinął recepcjoniście, że teraz może otworzyć bramkę.

— Dowód osobisty — zwrócił się do dziadków zamordowanej. W jego głosie nie było współczucia ani agresji. Zachowywał się po prostu jak urzędnik pilnujący porządku. Podali mu plastikowe dokumenty. Przepisał z nich numery, oddał. Weszli.

Wojda zaprowadził ich wprost do małej salki, gdzie czekali już na nich Doman i Fantomas. Barbara Sochacka odetchnęła z ulgą na widok znajomego detektywa.

Doman wskazał dziadkom Zosi krzesło i sam zasiadł naprzeciwko nich. Fantomas stał wciąż przy oknie, przyglądał się im z boku. Zdawało się, że unika ich spojrzeń, choć Barbara cały czas wodziła za nim wzrokiem.

— Pan Mariusz chciałby wycofać alibi, którego udzielił na krytyczną noc państwa synowi — odezwał się Doman.

Barbara aż otworzyła usta ze zdziwienia. Chciała coś powiedzieć, ale zamiast tego poruszyła tylko kilka razy bezgłośnie wargami, jak ryba wyrzucona na brzeg. Zapadła niezręczna cisza. Jej mąż nie zmienił pozycji. Nie wykonał jednego ruchu. Ona znów ubrała się kościółkowo, w wypchaną poduszkami na ramionach marynarkę, która upodabniała ją do kolosalnego owada, lecz Sochacki tym razem nie dał się przebrać. Był w swojej nieodłącznej koszuli w kratę i skórzanej kamizelce z kieszeniami, która wisiała na nim jak na wieszaku. Zdawało się, że za chwilę się złamie, musiał schudnąć znów parę kilo od ostatniego czasu.

— Czy chcą państwo coś dodać do swoich zeznań wobec nowych okoliczności w sprawie? — Doman wnikliwie spojrzał na Barbarę. Kobieta pochyliła głowę. Była zdruzgotana.

— Czy nadal utrzymuje pani, że w dniu odkrycia zwłok syn był z wami w domu od godziny dwudziestej trzydzieści do rana? Podobnie było z dniem zaginięcia dziecka, czy tak?

Barbara długo milczała. W końcu wreszcie natarła na policjanta:

— Nie cofnę ani jednego słowa z tego, co powiedziałam. Wierzę mojemu synkowi i nie dam się wyprowadzić w pole. Pan mecenas powiedział nam, że państwo zaniedbaliście swoje obowiązki. Złożymy zażalenie. Oczekiwałamby raczej...

Doman przerwał jej gestem. Momentalnie zamilkła.

— Czy mam to zaprotokołować? Podtrzymuje pani swoje zeznanie?

— Tak — odparła pewnym głosem.

— Za składanie fałszywych zeznań grozi kara więzienia do lat trzech — uprzedził ją uprzejmie. — Chcą państwo, bym wszczął procedurę?

Ojciec Arkadiusza przeszukiwał właśnie kieszenie kamizelki w poszukiwaniu tytoniu do fajki, którą miał już w rękach. Była to tania, stara fajka Bruyere bez ozdób, rzeźbiona jedynie wokół ustnika.

— A pan? — Doman zwrócił się do ojca Arkadiusza.

Jan nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami i spojrzął na żonę, która skinęła głową w milczeniu. Z jej twarzy można było wyczytać, że oczekuje od męża podobnej odpowiedzi.

— Co państwo robicie? — zachnął się Doman i odłożył długopis na bok. Petryka przestał stukać na maszynie. Czekał na rozwój sytuacji. — Przecież syn w momencie odkrycia zwłok Zosi był na cmentarzu. Dziennikarze go nagrali. Mamy też inne dowody potwierdzające ten fakt. Jeśli zaś chodzi o dzień zaginięcia Zosi...

— Ja nie mam nic więcej do dodania — przerwała mu Sochacka. — Bóg pana osądzi za to, co pan wyprawia.

Doman skinął na Fantomasa, który niechętnie podszedł do stolika.

— Siadaj, Mariusz — mruknął. — I powiedz im, bo mnie nie wypada. Państwo chyba nie rozumieją, w jakie kłopoty się pakują.

Barbara wpatrywała się w Fantomasa, Jan zaś włożył do ust fajkę i spytał wzrokiem, czy może zapalić. Doman podsunął mu zapałki. Sam wyjął papierosa i zaczął go zgniatać.

— Jeździliśmy do dwudziestej pierwszej — zaczął Fantomas. — Potem się rozdzieliliśmy. Arek miał przeszukać osiedle. Nie było go ze dwie godziny. Znalazłem go w Vegasso. Nie chciał iść, akurat wygrywał. Wreszcie zdecydowałem, że zadzwonię do państwa. Dzwoniłem z tej komórki. — Wyjął nowiutkiego iPhone'a na stół i podyktował do protokołu swój numer. — Można to sprawdzić w billingach. Przez następne kilka godzin na państwa polecenie szukałem Arka, nie Zosi.

Odkąd wyszedłem z salonu, zniknął. Tak było. Wszystko to państwo wiecie. Wrócił około północy i dopiero wtedy pojechaliście na najbliższy komisariat zgłosić zaginięcie wnuczki.

Barbara siedziała niewzruszona, jakby to wszystko jej nie dotyczyło. Jan pykał fajkę. Doman wpatrywał się w nich. W końcu dał znak Fantomasowi, że może odejść.

— Więc? — zwrócił się do Sochackich. — Jak będzie? Co naprawdę zdarzyło się tej nocy?

— To prawda — odpowiedział Jan. — Pan Czupryna mówi prawdę. Zamiast szukać Zosi, w pewnym momencie szukaliśmy syna. Jest hazardzistą. Kradł mi pieniądze, nic się do domu nie dokładał. Wciąż tylko jego długi płaciliśmy. Sam nie wiem, ile jeszcze jest do oddania. Matka wie więcej, jest z synem bardzo blisko.

— Jak możesz! — zachnęła się Barbara. Wstała gwałtownie, kierując się do wyjścia. — Ja nie cofam ani jednego słowa. Róbcie sobie, co chcecie, ale mój synek jest niewinny. A jeśli chodzi o te nagrania, co je w telewizji pokazywali, to mógł być każdy. Każdy! A dlaczego nie kobieta? Może Marlena przebrała się za Arka i zawiozła tam to biedne dziecko? To by wyjaśniało, dlaczego uciekła. A co to jest się przebrać? To ona zabiła Zosię i chce zrzucić winę na naszego syna, a nas wpędzić do grobu, diablica!

Bilon dźwigał w kieszeni Arkadiusza Sochackiego, kiedy mężczyzna chodził w tę i z powrotem po małej przestrzeni pokoju przesłuchań. Był tam tylko jeden stolik, trzy krzesła, stary telewizor na podstawce i najeżona niedopałkami popielniczka. Meyer przyglądał się Sochackiemu, który przez drobną budowę ciała i sposób ubierania się z daleka mógł przypominać podejrzanego. Ruchy miał miękkie, niemęskie. Dłonie krótkie i pulchne. Kiedy je zaciskał, wydawało się, że są to piąstki dziecka, a nie dojrzałego mężczyzny. Profiler nie sądził, żeby kiedykolwiek musiał pracować fizycznie. Nie był to jednak typ ciamajdy. Ciało miał gibkie, jednak Meyer w żaden sposób nie mógł dopasować go do jego atrakcyjnej partnerki. Być może poznali się z Marleną, będąc jeszcze emocjonalnymi dziećmi. Z czasem zarówno ich ciała, jak i umysły zaczęły rozwijać się w innych kierunkach. Marlena wydawała się starsza, musiała też być od niego wyższa o głowę.

Paczka marlboro leżąca obok Doman była pusta. Nagle policjant zerwał się i usadził młodego mężczyznę jednym ruchem na krzeselku. Czapka z daszkiem, którą przesłuchiwany miał na głowie, spadła na podłogę, odsłaniając przyklepnięte włosy. Nie podniósł jej, musiałby odwrócić się do nich tyłem. Spojrzał tylko, żeby sprawdzić, gdzie leży, i pewnie zyskać na czasie, odwlec odpowiedź, bo zaczął się nerwowo czochrać. Nadal milczał. Ten dwudziestosześcioletek swoim biernym oporem mógł wyprowadzić z równowagi świętego. Był wyniosły i okazywał jawny brak szacunku dla policjantów — widać myślał, że ma jakieś „plecy”, bo ma kumpla detektywa... Meyer z trudem zachowywał jeszcze spokój, ale Doman już od dawna kipiał ze złości. Gdyby był bykiem, para buchałaby mu z nozdrzy. Bezowocne przesłuchanie trwało kilka godzin z okładem. Doman był u kresu wytrzymałości.

— To jeszcze raz. Co robiłeś tamtej nocy? — powtórzył twardo.

Arkadiusz uśmiechnął się półgębkiem. Meyer zauważył, że zagryzł wargę od wewnątrz. Miał spierzchnięte usta, a w kąciку niewielką ranę. Na jego szyi wisiał złoty łańcuszek. Meyer wiedział, że zawieszona jest na nim miniaturowe puzderko. Zastanawiał się jedynie, co skrywa. Krzyżyk, medalik czy zdjęcie kobiety. Już kilka razy ozdoba wymykała się przesłuchiwanemu spod koszuli, ale Sochacki zawsze ją chował. Widać wstydził się jej przed policjantami.

— Nie słyszał pan? Ile razy mam powtarzać? — krzyknął i już miał się ponownie zerwać, kiedy Doman natarł na niego i zamachnął się: — Jeszcze jedna głupia odpowiedź, a dostaniesz w ryło!

Ojciec Zosi skulił się na krześle, nie potrafił jednak powstrzymać nerwowego odruchu kiwania stopą. Wbił wzrok w policjanta, jakby wyzywał go na pojedynek.

— To ona — rzucił. — To jej wina.

— Co ty pierdolisz? — zaśmiał się Doman. — Teraz będziecie się przerzucali, kto bardziej zawinił?

— Ona się szlajała po nocy. Odrzuciła dzieciaka, miała niby depresję — ciągnął Arkadiusz.

Usłyszeli litanie oskarżeń. Jak Marlina naciskała, żeby usunąć ciążę, a potem, kiedy się nie zgodził, żeby się z nią ożenił. I nawet myślał o tym na poważnie, ale nie było pieniędzy, czekali, aż sytuacja się poprawi. Ale się nie poprawiała, więc poszła do pracy. Od razu wiedział,

że kogoś ma. Zaczęła się stroić. Nowe ciuchy, perfumy, lakier na paznokciach, depilacje. Skąd na to brała? Od kochanka! Zostawała po godzinach. Wyładniała. Dziecko dała do tej szkoły, zamiast wynająć jakieś mieszkanie. Chciała go upokorzyć. Zawsze była wyrachowana.

— Gdyby miała gdzie pójść, od razu by nas zostawiła — zakończył.
— Gdyby nie moja matka, kto by się zajął Zosią? Nigdy jej nie zależało. Nawet ochrzcić dzieciaka nie chciała — wyrzucił z siebie. Meyer i Doman spojrzeli na siebie, a potem na niego. Doman pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Może była za młoda — Hubert odezwał się delikatnym głosem. Doman fuknął i podniósł do góry pustą paczkę papierosów. Zgniół ją i wrzucił do kosza. Meyer przesunął w jego kierunku swoją. — Oboje byliście trochę za młodzi — dodał.

Sochacki wpatrywał się w Meyera i zastanawiał się, co ten chce powiedzieć. Każdy zna zabawę w dobrego i złego policjanta.

— Trzeba było wcześniej myśleć, zanim zrobiłeś jej dziecko — rzucił Doman. Wyglądało na to, że się uspokoił. Pomogła chwila odpoczynku i papieros.

— Bóg tak chciał — odparł Sochacki po dłuższym namyśle. — Trzeba było podziękować za dar i jakoś żyć. A ona nie. Tylko wyjedźmy i wyjedźmy. A skąd ja miałem na to wziąć?! Ile ja się naćwiczyłem, żeby wytłumaczyć ją przed mamą. Przecież wiedziała, jak nam zależy na tym, żeby wychować dziecko zgodnie z wiarą.

— Przecież nie poznaliście się na pielgrzymce — wtrącił Meyer. — Wzięłeś ją z dyskoteki. Na pierwszej randce poszliście w krzaki.

Sochacki zaczerwienił się i machnął ręką.

— Ona to zaplanowała — rzucił.

Doman wybuchnął śmiechem.

— Też mi partia z ciebie. Gołodupiec, jak się patrzy.

— Ona w nic nie wierzy — odparł spokojnie Arkadiusz. — Po co kłamała? Przez nią straciliśmy tak dużo czasu. Może potrzebowała go, żeby ukryć zwłoki?

— Może to był strach? — odpowiedział pytaniem na pytanie Meyer.
— A pan by się nie bał na jej miejscu?

— A ktoś ją bije, przypala? — zaśmiał się przesłuchiwany.

W tym momencie Doman znów przystąpił do ataku. Podniósł do góry protokół ostatniego przesłuchania Sochackiego i odczytał zeznanie. Wynikało z niego, że mężczyźni dała alibi matka, ojciec i trzech kumpli z salonu gier Vegasso.

— Czy tak zachowuje się ojciec dziewięcioletniej dziewczynki? Idzie na automaty, kiedy córka nie wraca ze szkoły? Zajmowałeś się nią w ogóle? A może na rękę ci było się jej pozbyć? Tym samym pozbyłbyś się i Marleny. Czysta sprawa.

— Jak pan śmie! — Sochacki wstał. Doman położył swoją niedźwiedzią łapę na jego ramieniu. Czytał dalej:

— Pracuje dorywczo jako kierowca, dochód miesięczny czterysta — siedemset złotych. Ta kobieta cię utrzymywała, a ty ją oskarżasz. I mnie tu, kurwa, Bogiem straszysz? Matce możesz takie pierdoły wciskać, ale ja i Bozia wiemy swoje — zamilkł.

Sochacki ciężko oddychał, ale nie mógł się ruszyć, wciąż trzymany przez Domana.

— Bierzesz zasiłek na to dziecko. Ty go odbierasz, od czterech lat. A może opłaca ci się nie pracować, co? Na czarno robisz, żeby wszystkie zapomogi ciągnąć. Zosia wszystkich was utrzymywała!

— Pan weźmie tę rękę, bo złożę zażalenie — szepnął Sochacki.

— Możesz składać, chłopie, zażalenia do Pana Boga, tutaj nic tymi gadkami nie wskórasz — odparł spokojnie Doman, ale zdjął rękę. Przesunął krzeselko najbliżej jak się dało. Teraz policjant i świadek stykali się prawie nosami. Arkadiusz z trudem znosił dym z papierosa, który Doman wdmuchiwał mu w twarz.

— Chodziłeś z nią po zasiłek i do fundacji. I tu, i tu dostawałeś kaszkę. Razem prawie tysiąc złotych. A zbliża się piąty, jak teraz pójdiesz? Z kim? Chyba przepadnie. Będziesz musiał pójść do pracy albo tatuś ci coś wrzuci. Coś pierdolniesz o Bogu i hyc, sypnie się ze skarbonki. A może ksiądz ci da, taki jesteś biedny, dziecko ci zajebali? Bo ile masz długu w Vegasso, co? A może powód był jeszcze inny? Dymałeś córkę na boku, a kiedy zaczęła puszczać farbę, przestraszyłeś się, że mamusia ci egzorcystę załatwi, co? Wymyśliłeś chytry plan. Żona suka, co się puszcza, dziecko i tak cały czas jest z nią. Załatwiłeś sobie alibi i hura dziecko do wora. Problem z czaszki, co? To co, powiesz grzecznie, jak to naprawdę było?

Arkadiusz zerwał się i odsunął.

— To jakaś bzdura. — Rozpłakał się. — Czego pan ode mnie chce?

— Czego? No chyba że nie rozmiaru buta! — Doman spojrzał na Sochackiego i roztarł pięść. Dłonie miał jak bochny chleba, ramiona niczym skrzydła małego samolotu. Potem zwrócił się do Meyera: — Ty, on chyba chce znów dostać wpierdol. Weź coś zrób, bo mu zaraz przyjebię tak, że go mamusia nie pozna.

Arkadiusz wpatrywał się w Domana przerażony. Szukał pomocy u Meyera, ale jej nie znalazł. Profiler wstał, podszedł do starego typu monitora, który stał w kącie, i włączył go. Na ekranie pojawił się czarno-biały obraz z grubym ziarnem. Na dole był rząd cyferek, ostatnie migotały, wskazując jako początkową godzinę 23.34 i odliczając nieubłaganie sekundy, minuty. Wszyscy trzej wpatrywali się w telewizor w napięciu. Nagranie pochodziło z kamery przemysłowej. Przedstawiało wejście na cmentarz. Nagle w kadr wszedł mężczyzna w hiphopowej bluzie, luźnych spodniach, butach sportowych i czapce z daszkiem. Przed sobą prowadził spacerowy wózek dziecięcy. Skręcił w alejkę, obraz się urywał. Ekran zaczął śnieżyć. Potem obraz znów się pojawił. Z daleka widać było, że mężczyzna wspina się z wózkiem po schodach. Nie było to łatwe, kółka wózka ledwie niosły ciężar. By wjechać na najwyższą część schodów, musiał stanąć bokiem i podnieść wózek. Teraz widać było, co jest w środku. Pakunek był szczelnie przykryty, ale nogi zwisały bezwładnie. Mężczyzna poradził sobie z wózkiem, spokojnie poprawił koc i skręcił za kościół. Nie zauważył, że coś mu wypadło. Nawet się nie odwrócił. Przez długi czas na ekranie widać było jedynie cmentarz. Jakiś czas później mężczyzna wrócił, podniósł upuszczony pakunek, na chwilę zsunęła mu się czapka, ale twarz pozostała w cieniu. Nie można było nikogo rozpoznać. Na tym nagranie urywało się. Ekran był czarny. Po chwili widać było kolejno pozostałe wejścia na cmentarz. Kamera musiała być nastawiona na tryb automatyczny. Obrazki przeskakiwały: klatka 2, 3, 4, a kiedy znów pojawiło się wyjście na ulicę Wysoki Stoczek, można było zobaczyć jedynie zakapturzoną postać, która zniknęła w bramie. Na cmentarzu znów było pusto i spokojnie.

W pomieszczeniu panowała cisza. Pierwszy przerwał ją Doman.

— Czego ja chcę? — odezwał się łagodnie, lecz nikt mu nie odpowiedział. Słysząc tylko świszczący oddech Arkadiusza. — Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś, skurwysynu!

— Co? Tu przecież nie widać twarzy! To mógł być każdy! To jest zmontowane. To jakaś podpucha — bronił się rozpaczliwie przesłuchiwany.

Mężczyźni spojrzeli na leżącą na podłodze czapkę. Mogła to być ta czapka. Czarno-biały obraz nie pokazywał koloru. Kamera była zbyt daleko. Bluza mężczyzny też była mniej więcej w takim samym stylu, jakie nosił Sochacki. Podejrzany wreszcie zrozumiał, o co chodzi. Kręcił tylko głową i powtarzał:

— Nie, nie. To nieprawda! Pan się myli.

— Jak mogłeś być tak głupi, by zrobić to pod okiem kamer? Po co wiozłeś ją na cmentarz? I po co, chuju, wróciłeś i stałeś wśród gapiów, kiedy zabezpieczaliśmy miejsce zbrodni? — atakował Doman. Był już spokojny. Wiedział, że film zrobił swoje. Nie miał wartości dowodowej, ale z zeznaniem mógł posłużyć jako dowód pomocniczy w sądzie. Teraz musieli to z niego wydobyć. Albo podejrzany się złamie, albo trzeba będzie zastosować technikę siłową. Nagle Arkadiusz schwycił się kurczowo Meyera i upadł przed nim na kolana.

— Niech mi pan pomoże. Błagam. Ja kocham moje dziecko. Nie mógłbym. To niemożliwe.

Meyer strząsnął rękę Arkadiusza, mówiąc:

— Czy zna pan zasadę, że morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni? Wie pan, po co?

Doman zachnął się:

— Wie, kurwa. Daj już spokój.

— Żeby napawać się swoim przestępstwem. Czuć się Bogiem. Ekscytacja, karmienie fantazji.

— To nie ja, nie ja, błagam, proszę — szeptał Arkadiusz.

— To po chuj przylazłeś tam w nocy i stałeś w tłumie? — zaatakował go policjant.

— Możecie mnie zamknąć. — Nagle Arkadiusz poddał się. — Wszystko mi jedno.

Widzieli, że mówi nieprawdę. Spojrzeli na nich błagalnie.

— To co, przyznajesz się? — spytał Doman. — Sąd weźmie to pod uwagę jako okoliczność łagodzącą. Może nie dostaniesz czapy, tylko ćwiartkę. Nie mogę ci jednak zagwarantować usłanego różami życia. W pierdłu szybko zwąchają, że siedzisz za dzieciaka. Będziesz srał ziemniakami do końca życia. Chyba, że nam pomożesz, to zobaczę, co da się zrobić. Prorok czeka już z kwitami. To co, jak będzie?

Arkadiusz wpatrywał się w policjanta wybałuszonymi oczyma. Słyszał, ale jakby nie rozumiał. Wreszcie pokręcił głową.

— To nie ja.

— Jasne. Pewnie duch święty — natarł na niego Doman. — Ten sam, który kazał ci załatwić sobie alibi na ten wieczór w Vegasso. Bo po to tam poszedłeś, co? Chciałeś być tego wieczoru zauważony. Wiedziałeś, że matka z ojcem nie będą wystarczająco wiarygodni. Słusznie, to rodzina. To jak było? Po co i gdzie zniknąłeś na dwie godziny spod oka kumpla detektywa? Żeby dobić dzieciaka, czy ukryć zwłoki?

Sochacki zamrugał kilkakrotnie oczami i jęknął:

— Nie zrobiłem tego. Nigdy nie zrobiłem Zosi nic złego. To ona mnie nienawidziła. Nie wiem dlaczego. Może matka nastawiła ją przeciw mnie. — Łzy płynęły mu po policzkach. Jakby dopiero teraz dotarło do niego, że ten pakunek na wózku był jego córką. Może bardzo chciał usłyszeć, że to nieprawda. Ale odpowiedzieli mu milczeniem.

Teraz już Sochacki nie płakał. Wył jak pies. Rozpaczliwie, nie powstrzymując się:

— O Boże! Dlaczego mnie nie ratujesz?

Przesłuchanie nie przyniosło nic nowego. Wciąż nie mieli pewności, czy to ojciec jest sprawcą. Kilka poszlak mogło na to wskazywać. Tyle że na wiele pytań musieli jeszcze znaleźć odpowiedzi.

Po gwałtownym ataku Arkadiusz siedział pochylony, z twarzą ukrytą w dłoniach. Wreszcie odezwał się, ale nie był spokojny. Przeciwnie, coraz bardziej się nakręcał:

— Byłem na pogrzebie innego dziecka. Pamiętam go, bawił się w naszej piaskownicy. Mieszkaliśmy obok. Jak mama odeszła od ojca. Siedem lat spędziłem u babci, na Dziesięcinach. Nie było wtedy tej stacji benzynowej ani tego supermarketu. Przyłąził do nas za sklep monopolowy. Wpadał na automaty. Niezły ancymon. Palił, ćpał, zawsze był gotów do bitki. A potem widziałem jego trupa. Niosłem wieniec z

chłopakami. Był mi winien kasę. Nigdy jej nie oddał. Wrzucili go do kontenera. Jak śmiecia. Tego dzieciaka! — przerwał. Głos miał chrapliwy, jednostajny. Jakby nie wydobywał się z gardła, lecz z trzewi. — Czy po czymś takim mógłbym zrobić coś mojej córeczce?

Meyer i Doman wpatrywali się w niego zaskoczeni. Nie mieli pojęcia, czy ojciec Zosi nie manipuluje nimi. Czy to możliwe, że znał Amadeusza?

Nagle Sochacki zerwał łańcuszek z szyi, rzucił go pod nogi i nadepnął. Zmiażdżony sekretnik otworzył się. Wewnątrz był krzyżyk.

— Nienawidzę cię, Boże — szepnął. — Za to wszystko, co mi robisz.

Hubert wpatrywał się w swój autorski kwestionariusz profilu nieznanego sprawcy, który wypełnił zaledwie w połowie. Wciąż miał zbyt mało danych. Zdecydował, że wróci do początku i jeszcze raz przeanalizuje sytuację. Jeśli dziś w nocy nie skończy ekspertyzy, Pilecki się wścieknie. Owszem, zaniedbał raporty, jakie miał składać, ale nie było na to czasu. Musiałby na bieżąco dzwonić do szefa z kolejnymi pierdołami. Liczył też po cichu, że Doman przejmie od niego ten nieszczęśliwy obowiązek. Zresztą nie miał jeszcze żadnych konstruktywnych wniosków, wciąż był w trakcie zbierania materiału. Sprawa Amadeusza zbyt często pojawiała się przy okazji zabójstwa Zosi, by mógł ją zbagatelizować. Niepokoiło go także, że kiedy po przesłuchaniu Sochackiego zadzwonił wreszcie do naczelnika, ten nie odebrał, a przez następną godzinę odrzucał jego połączenia. Meyer myślał, że Pilecki ma coś na głowie i nie może rozmawiać, ale po jakimś czasie zrozumiał, że naczelnik po prostu czuje się zlekceważony. Godzinę temu sam się z nim skontaktował. Dzwonił z telefonu, którego wcześniej mu nie podawał. Tym razem nie wściekał się, nie upominał. Meyer domyślił się, że mimo braku jego raportów i tak wiedział na bieżąco, co robił. Był zadowolony z jego rozmowy z Marleną, a zwłaszcza z tego, że pomógł zdobyć informacje dotyczące starej oczyszczalni, gdzie znaleźli plecak. Pochwalił go także za taktykę przesłuchania Arkadiusza Sochackiego. Nie narzekał, czego Meyer obawiał się najbardziej, że nadal nie mają nikogo, komu mogliby postawić zarzuty, ani żadnego dowodu zbrodni poza kiepskim rysopisem i nagraniem z monitoringu, który tylko w połączeniu z

zeznaniem stanowił dowód w sprawie. Postawił mu ultimatum. Jeśli Hubert do rana nie określi profilu sprawcy, może wracać do swoich spraw. Misja zakończona. Meyer przeanalizował dane i sporządził linię ostatniego dnia życia ofiary. Lista wciąż posiadała wiele luk.

6 maja (PIĄTEK)

10-13 — Zosia jest w szkole

13.00 — zwalnia się ze szkoły, nie ma usprawiedliwienia. Decyzję o wcześniejszym wyjściu Zosi podejmuje nauczycielka Eliza Fal.

13.30 — ze szkolnego inwentarza wypożycza komplet dodatkowych strun. Opowiada o harfie, którą ma wkrótce dostać, i czekającym ją koncercie dla najbliższych.

13.45 — mimo obietnicy, że pojedzie prosto do domu, nie wsiada do autobusu numer 16 jadącego do domu i zatrzymującego się przed jej blokiem, jak zwykle czyniła po szkole, ale idzie na piechotę do pracy matki.

14-15 —?

15-16 — Zosia pojawia się w klinice, spotyka Bielacha. Klinika wyjątkowo jest zamknięta. Matka nie odbiera telefonu. Zosia nie odbiera telefonów od dziadków i ojca, którzy czekają z obiadem. Bielach wzywa matkę, która odbiera dziecko i idzie z nim na przystanek. Matka wraca do kochanka. Zosia wysiada z autobusu.

17.30 — w starej oczyszczalni odnajduje ją matka. Matka przekonuje córkę, by wracała do domu, obiecuje, że będzie o 18, ale nie przychodzi (umówiła się z kochankiem na ostateczną rozmowę).

19.30-23.30 — Arkadiusz jeździ z Fantomasem w poszukiwaniu dziecka. Na dwie godziny (20: 00-22: 00) znajdował się w nieujawnionym miejscu (według zeznania Sochackiego przebywał w salonie gier Vegasso — alibi graczy). Dziadkowie obdzwaniają szpitale (rejstry billingów).

23.35 — babcia zgłasza zaginięcie dziewczynki

7 maja (SOBOTA)

???

8 maja (NIEDZIELA)

20.00-22.00 — Zosia zostaje zamordowana

9 maja (PONIEDZIAŁEK)

23.30 — ciało Zosi sprawca transportuje na cmentarz św. Rocha.

Meyer wpatrywał się w luki w profilu. Na razie nie umiał ich wypełnić. Musiał odwiedzić jeszcze wiele osób, by zebrać dane. Po zastanowieniu wziął inny wykaz, który zwykle dołączał do ekspertyzy.

Miejsca przebywania dziecka

(bezpieczne)

1. Szkoła

2. Stara oczyszczalnia

Długo myślał, czy może wpisać coś jeszcze. Zosia nie miała żadnej bliskiej koleżanki. Uderzał długopisem o blat stołu. Wreszcie spojrzął na kolejną rubrykę.

(niebezpieczne)

1. Dom

2. Stara oczyszczalnia

Potencjalne zetknięcie sprawcy i ofiary Meyer oznaczył na 16.30–21.00. Od momentu pozostawienia dziecka przez matkę na przystanku po zmierzchu, który był terminem krytycznym. Dziecko pętające się samotnie wieczorem musiałyby zwrócić czyjąś uwagę, ale wtedy już Zosi nikt nie widział ani na Dziesięcinach, ani na Bojarach. O tej porze zresztą Fantomas z Arkadiuszem dokładnie przeczesywali miasto. Nic nie znaleźli. Dalej Meyer bazgrał. Wiedział, że zapisuje raczej natłok myśli niż konstruktywne wnioski. Nie mógł tego pokazać policjantom. Założył, że porywacz musiał znać lub obserwować Zosię. Możliwe, że to ktoś z rodziny lub osoba, która udawała jej przyjaciela. Zbliżyła się do dziecka dużo wcześniej. Może to do tej osoby Zosia uciekała z domu? Krytycznego dnia sprawca jedynie wykorzystał okazję. Być może śledził ją, kiedy wyszła wcześniej ze szkoły. Może obserwował ją w starej oczyszczalni? Całkiem możliwe jest, że dziewczynka nie zauważyła tej osoby. Teren jest rozległy i łatwo się w nim ukryć. A może wróciła do oczyszczalni, zamiast jechać do domu? Może właśnie tam zaatakował ją sprawca? Doman ze swoimi ludźmi przesłuchali dokładnie wszystkich bywalców tego miejsca. Marlina temu zaprzeczała, ale możliwe, że Zosia poszła za matką, jak jego pies za nim do Kormorana. Być może

widziała spotkanie Marleny z kochankiem, była rozbita, wstrząśnięta, zwłaszcza jeśli zobaczyła jakąś scenę kłótni czy seksu. Mogła chcieć uciec, zaszyć się. To był łatwy łup dla kogoś, kto szuka ofiary. Chyba że porywaczem także było dziecko albo nastolatek. Dwójka bawiących się dzieci mogła nie zwrócić niczyjej uwagi. Z tym że Zosia nie miała przyjaciół. Osoba, która wprowadziła wózek na cmentarz mogła być nastolatkiem. Mogła być każdym. Przebranie skutecznie ukrywało detale sylwetki, nawet płęć. Doskonały kamuflaż.

Meyer przeanalizował teraz alibi potencjalnych podejrzanych.

Zarówno matka, jak i ojciec byli w tym czasie gdzieś indziej. Marlena z kochankiem, Arkadiusz z kumplami w Vegasso. Dziadkowie czekali w domu z obiadem. Alibi nie miała jedynie florystka, która twierdziła, że nie bywa na cmentarzu, a nawet nie wykonuje funeraliów. Mieszka sama, tego dnia zamknęła wcześniej kwiaciarnię, choć nigdy wcześniej tego nie robiła. Ochroniarze widzieli, jak wychodziła z centrum handlowego.

Dalej następowała lista pytań, na które nie było odpowiedzi:

1. Jaki jest motyw zbrodni?
2. Dlaczego sprawca uprowadził dziewczynkę? Czy wiedziała coś, co chciał ukryć? Czy motywem jej śmierci mogła być czyjaś zemsta? Komu była przeszkodą? Czy motyw jest seksualny?
3. Czy dziewczynka знаła swojego oprawcę?
4. Dlaczego sprawca użył do transportu zwłok dzieciennego wózka?
5. Dlaczego zostawił je na publicznym cmentarzu, pod okiem kamer?
6. Czy zamierzał je ukryć, czy pokazać?
7. W jakim celu podrzucił do śmietnika czyste bandaże?
8. Komu najbardziej zależało na tym, żeby dziewczynka zniknęła?
9. Kto najbardziej zyskuje na jej śmierci?
10. Kto i po co podrzucił plecak do basenu w starej oczyszczalni?
11. Jaki jest związek tej sprawy ze zbrodnią na Amadeuszu?
12. Jakie znaczenie ma podobieństwo wizualne dzieci?
13. Jaką rolę w sprawie pełni florystka?

Nagle Meyer usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Zamarł. To nie było włamanie. Ktoś nacisnął klamkę i próbował wejść, jak do siebie. Profiler podszedł do drzwi, otworzył. W progu stała Lena. Była równie zaskoczona jak on.

— Myślałam, że mieszkasz w innym hotelu — powiedziała.

— Nie miałem czasu niczego szukać — odparł. — A ty? Co tu robisz?

Podniosła do góry klucz. Spojrzała na numer na drzwiach i machnęła ręką.

— Pomyliłam piętra. — Odwróciła się na pięcie i ruszyła korytarzem.

— Lena, zaczekaj! — Dogonił ją. Był spocony, miał wygnieciony t-shirt. Dwudniowy zarost znów pokrywał jego twarz. Oczy miał przekrwione, cerę ziemistą. Widać było, że potrzebuje odpoczynku.

— Czego chcesz, bo nie mam czasu? — Nie siliła się na uprzejmości.

— A co masz takiego pilnego? — zaśmiał się nieprzyjemnie. Zmierzyła go wzrokiem.

— Potrzebuję pomocy — przyznał z trudem.

Odwróciła się. Zmarszczyła brwi.

— Miałeś zadzwonić po przesłuchaniu — rzuciła. — Nie zauważyłam, żebyś wcześniej mnie potrzebował.

— O, będzie scena — zakpił. — Tego mi brakowało. Dlatego właśnie nie lubię pracować z kobietami.

— Jasne — odwróciła się i ruszyła w swoją stronę. Nagle zatrzymała się. — I wiesz, szkoda, że mnie tak lekceważyłeś, bo bez mojej pomocy jutro wylecisz z roboty. Ale i tak nawet przez myśl ci nie przejdzie, że przyczyna jest taka, że nie umiesz z nikim współpracować.

Chwyił ją za ramię. Wyrwała się.

— Gdzie z łapami!

— Nagle taka święta się zrobiłaś — zaśmiał się. — Czy ja cię prosiłem o cokolwiek? Masz okres czy jak?

— Sam masz okres — burknęła. I natarła na niego: — Dziewczynka była molestowana przez ojca. Zwierzała się florystce, Oli Jekel. Matce Amadeusza. To do niej uciekała, uważała ją za swoją starszą siostrę. Krytycznego dnia florystka widziała się z nią dwukrotnie, zaraz po szkole i wieczorem. Nocowała u niej. Pół godziny temu ekipa policyjna zarekwirowała w kwaciarni rysunki Zosi, które mała zostawiła pod jej opieką. Zosia nie chciała wracać do domu. Prosiła, żeby florystka

odprowadziła ją i została aż wróci matka. Bała się, że zostanie z nim sama. Matka musiała wiedzieć, ale zamiast coś zrobić, pieprzyła się z lekarzem. Zresztą dziewczynka nakryła ich w ruinach. To wtedy zniknęła i pojechała do florystki.

Lena wyrzuciła to z siebie jednym tchem. Meyer patrzył na nią oniemiały.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Rozmawiałam ze Swatkiem. A potem z florystką. Połączyłam fakty. To tylko hipoteza, ale wydaje się wiarygodna. Idę teraz wykonać ostatnią linię życia ofiary oraz profil geograficzny. Jeśli ojciec zabił córkę, żeby sprawa molestowania się nie wydała, rytuał z cmentarzem by pasował. Nie wiem tylko, gdzie trzymał małą. I czy gwałcił ją na przykład przed śmiercią. To powie nam ta szalona patolożka. Myślę też, że mógł dowiedzieć się o więzi córki z florystką. Wykombinował, że zrzuci winę na nią. Zapalił znicz, kupił kwiatki. Żebyśmy pomyśleli, że to ona morduje. Ciało było przykryte. Sprawca nie chciał, by dziecko patrzyło na niego, nie mógł tego znieść.

— A plecak? Kto wrzucił go do basenu? — przerwał jej Meyer. Nie wiedziała. Wzruszyła ramionami.

— Pracujmy razem — zaproponował i szerzej otworzył drzwi.

Lena zawahała się. Nie wyglądała na zainteresowaną.

— Przepraszam — dodał niechętnie. — Za wszystko i na zawsze.

Psycholożka spojrzała na niego pojednawczo.

— Tylko praca, żadnych flirtów — postawiła warunek i delikatnie się uśmiechnęła. — Albo działamy, albo się wygłupiamy. Ostatnio przez ciebie serce mi omal nie pękło. Nie wytrzymam takiego napięcia.

— Praca, żadnych flirtów — potwierdził.

Uścisnęli sobie ręce po męsku. Hubert uśmiechnął się. Widział, że Lena jest zadowolona, choć bardzo nie chciała dać tego po sobie poznać. Kiedy Meyer się odezwał, mina jej trochę zrzędała:

— Dobrze się spisałaś, ale to nie amerykański film. Naprawdę rzadko się zdarza, żeby morderca na grobie sadził kwiatki. Zresztą ta hipoteza wymagałaby od mordercy wielkiej inteligencji, a tego klienta raczej o to nie podejrzewam.

— Dobrze, może przesadziłam. Wpadłam na to teraz, po drodze. Ale może ta osoba, która podrzuciła plecak, wie, co się stało, i chce,

żebyśmy to wykryli. Może to matka albo dziadkowie? Może ktoś inny? Ktoś, kto nie radzi sobie z tą wiedzą. Może się boi. Trzeba go znaleźć. Po nitce do kłębka.

Meyer strzepnął nitkę z jej ubrania. Lena spojrzała na niego bojowo.

— To jedynie dobre intencje. Teoria. Ale w tym, co powiedziałaś, jest jedna ważna rzecz. Kluczowa, która ustawia nam całą sprawę — powiedział i czekał, aż kobieta sama się domyśli.

— Florystka знаła Zosię?

Pokiwał głową, ale to jeszcze nie było to.

— Florystka ostatnia widziała ją żywą?

Rozciągnął usta w uśmiechu. Pokręcił głową.

— Mała jej ufała?

Lena rozłożyła ręce. Poddała się. Ta zagadka była za trudna.

— Wszystko racja — przyznał Meyer i zamilkł na chwilę. — Ale najważniejsze dla nas jest to, że florystka, matka zamordowanego przed laty dziecka, ukryła Zosię na czas poszukiwań i nikomu nie pisnęła ani słówka, choć na całym mieście wisiały jej plakaty. Dlaczego?

— Motyw — szepnęła Lena, jakby doznała olśnienia. — Ona ma motyw. Odwet za uczynioną krzywdę?

Meyer wzruszył ramionami.

— Może. Pytanie, co stało się potem? Zważywszy, że zbrodnia została popełniona dokładnie w taki sam sposób. Nawet wiek i wygląd zewnętrzny dzieci jest podobny. Sposób działania jest podobny, nie wiem jeszcze czy ten sam. Może to być nadal copycat^[8], ale zbyt wiele elementów kręci się wokół tej kwiaciarki.

Lena zaniemówiła.

— Sądzisz, że ona mogła to zrobić? — odezwała się po dłuższym milczeniu.

Meyer wzruszył ramionami.

— Trzeba rozważyć profil pod jej kątem. Wchodzisz? — Odsunął się. Wewnątrz Lena dostrzegła potworny bałagan, wszędzie były porozkładane dokumenty i zdjęcia.

— Za chwilę wracam. Muszę się wykapać — powiedziała. — Muszę zmyć z siebie te jazdy o duchach.

— Jakich duchach?

Lena westchnęła głęboko i zaczęła wyjaśniać:

— Florystka jest nieźle zwichrowana. Nie dziwię się, po tym, co przeżyła. Nieprzeżyta żałoba. Obecność dziecka, wizje, transy. Była badana, ale w końcu stwierdzili, że psychotropy załatwią sprawę. Ale jej najważniejsze zeznanie dotyczące krytycznego dnia potwierdziła współpracownik z kwaciarni. Włącznie z tym, że dziewczynka była u nich w dniu zaginięcia. Wyszły razem. Widziała ją w przelocie, ale kiedy pokazałam zdjęcie, domyśliła się, że to było to dziecko.

Meyer zamyślił się.

— Co z molestowaniem? Może ta wariatka to sobie dośpiewała?

— Wątpię. Lena wyjęła z torby blok rysunkowy. — Zobacz je sobie na spokojnie. Technik zebrał z nich ślady, zostały też skopiowane cyfrowo, będą dołączone do akt. A te kamienie, które zbierała... Florystka twierdzi, że one miały ją chronić. Mała wymyśliła sobie, że w nich zaklina całe zło, jakie spotykało ją od ojca. To dlatego trzymała je w foliowych torebkach. To miało dawać jej siłę.

Meyer wertował blok. Był pełen rysunków dziecka. Zosia musiała rysować od dawna. Kolejne strony ujawniały jej rozwój i doświadczenie. Początkowo wszystkie ilustracje były kolorowe, we wszystkich barwach tęczy. Miała talent. Dla kogoś, kto nie ma wiedzy psychologicznej, wydawałyby się po prostu obrazkami rodziny, rejestracją świata. Ale w połowie zarysowanego bloku Meyer dostrzegł niepokojące objawy. Matka i Zosia były przedstawione osobno po dwóch stronach kartki. Nie stały na ziemi, lecz unosiły się nad nią. O ile jednak matka miała wielkie skrzydła, to skrzydła Zosi były małe i leżały na ziemi, płonąc brunatnymi językami ognia. Matka i córka były namalowane w różowych i żółtych barwach. Ojciec zaś był w dużym oddaleniu od nich. Dziewczynka namalowała go intensywnie czarną kredką, zaś jego postać była proporcjonalnie mniejsza od reszty. Wyglądał jak zwierzę stojące na czterech kończynach z długim czerwonym ogonem. Na dole rysunku znajdował się podpis: *Pan Pierdołka spadł ze stołka, złamał gicę o piwnicę, przyszedł Lew, wypił krew, pan Pierdołka smacznie zdechł.*

Meyer nie pytał Leny o nic więcej. Wertował rysunki. Większość odzwierciedlała relacje rodzinne. Im Zosia była starsza, tym tworzyła coraz bardziej metaforyczne obrazy. Jeden z nich, który najbardziej zastanowił Meyera, przedstawiał rodzinę namalowaną jako pięć

głazów. Rysunek był piękny. Kompozycja, odcienie szarości, światłocien. Podpis głosił: *Siedzi baba na cmentarzu, trzyma nogi w kałamarnu. Przyszedł duch, babę buch, baba fik, a duch znikł.*

Meyer zatrzymał się dłużej nad tym rysunkiem. Nie wiedział, co mógł oznaczać, ale był pewien, że miał związek z kolekcją. Przypomniawsobie ostatni kamień z plecaka. I resztę w foliowych torebkach. Wszystko zaczynało się jakoś układać. Odkrycie Leny wiele zmieniało.

— Jak długo one się znały? — zapytał.

— Z florystką? — upewniła się Lena. — Chyba rok, jakoś tak. Odkąd zaczęła chodzić do tej szkoły. Wiesz, że florystka też grała na harfie?

— Tam był jakiś wątek z muzyką, ale myślałem, że to pianino...

— Też tak myślałam. Ona była harfistką. Ale nie zrobiła dyplomu.

— Wobec tego trzeba będzie pogadać o niej z maistrą. Mówiła, że zna wszystkie harfistki w Polsce. Musi ją znać.

— Poza tym Arkadiusz znał Amadeusza. Chodzili na te same flipery. Może znajdziemy odpowiedź dotyczącą luki w życiorysie florystki. To, co nie udało się Domanowi.

— Najpierw zajmijmy się tym, co najpilniejsze. Do rana muszę dać Pileckiemu profil. O której dokładnie Zosia była pierwszy raz u florystki?

— Od razu po szkole. Coś koło czternastej. Wiedziała, że matki nie ma w pracy. Odkryła to kilka dni wcześniej. Poszła tam tylko się upewnić. Za drugim razem była już bardzo zdenerwowana, rozdygotana. To był wieczór. Zadzwoiła do florystki, kiedy ta zamykała już kwiaciarnię. Spotkały się u niej, na Dziesięcinach.

— Florystka też mieszka na Dziesięcinach... — szepnął Meyer, jakby porządkując dane.

Lena nie zrozumiała jego poruszenia. Dopiero po chwili zakryła usta ręką.

— Cmentarz świętego Rocha jest tylko kilka przystanków od jej domu — szepnęła. — Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?

— A co florystka mówi o jej zniknięciu? Dlaczego nie odwiozła dziecka do domu? Dlaczego pozwoliła jej przemocować? — zainteresował się Meyer.

— Bała się — odparła Lena. — Mała obawiała się, że matka wyjedzie i zostawi ją z ojcem. Florystka zdecydowała, że odprowadzi ją rano. Tak

w każdym razie mówi.

— Nie zadzwoniła, żeby uspokoić rodzinę? — zdziwił się Meyer.

— Powtarzam tylko jej słowa. Nakarmiła ją, położyła spać w pokoju swojego zmarłego dziecka. Rozmawiały przed snem, powiedziała jej coś, co sprawiło, że mała rozplakała się, ale wreszcie zasnęła. Kiedy florystka obudziła się rano, małej już nie było. Uciekła. Tak w każdym razie twierdzi.

— Ale co jej powiedziała? Dlaczego miałyby uciekać?

— Tego nie wiem — pokręciła głową psycholożka. — Ciężko ją rozgryźć. Sam zobaczysz.

— W plecaku miała nowy kamień — stwierdził Meyer. — Jeśli kamienie oznaczałyby razy, kiedy tatuś się do niej dobierał, to...

— ...to może ojciec tego dnia znów zrobił jej krzywdę? — weszła mu w słowo Lena. — Ale kiedy? Na całą dobę ma alibi.

Meyer pokręcił głową.

— Rodziców i kumpli z fliperów. Gównno warte alibi — zawahał się. — Trzeba przy tym podłubać. Doman wie?

Lena skinęła głową.

— Florystka jest pod stałą obserwacją. Mamy iść do niej rano i dyskretnie ją zgarnąć. Sprawa jest delikatna. To wariatka. Nie możemy jej spłoszyć. Ona jest zresztą chętna do współpracy.

— Jedźmy do niej teraz — zapalił się Meyer.

Lena pokręciła głową.

— Hubert, nie masz czasu. Weź to, co masz, i zrób ekspertyzę. Inaczej jutro Pilecki wyeliminuje cię ze sprawy.

— Skąd wiesz? Bzdura! — Machnął ręką. — Nie teraz, kiedy tyle wiemy.

— Uwierz mi — powiedziała. — Wiem.

— Skąd? — spytał ostro. Chciał znać prawdę.

Lena nie miała odwagi odpowiedzieć mu szczerze. Musiałaby przyznać, że na niego doniosła. Była pewna, że profiler i tak nie zrozumie. A nawet jeśli by ją zrozumiał, nie miała pojęcia, jak zareaguje. Zdecydowała, że zostawi to wyznanie na lepszą okazję.

— Nieważne — wymigała się od odpowiedzi. — Jestem u ciebie za kwadrans. Aha, ktoś cię szukał w ciągu dnia.

Meyer chciał coś jeszcze dodać, ale w pokoju zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. Recepcjonistka urzędowym tonem odczytała mu nadaną faksem wiadomość: „Pies zdrów. Kot je za trzech i straszy młode. Ktoś próbował podpalić pana dom. Umieściłam tam naszych ludzi. Już posprzątali. Klucz był, sam pan wie gdzie. Proszę się nie martwić. Co z kulką?”

Meyer z trudem opanował wybuch śmiechu.

— Osoba nie podała nazwiska, dlatego nie dzwoniłam na pańską komórkę — wyjaśniła recepcjonistka. — Nie mówiła też, że to pilne.

— Dziękuję. Jeśli moja przyjaciółka, pani profesor Knut zadzwoni jeszcze raz, proszę zawiadomić mnie natychmiast — podkreślił Meyer. — I przekazać jej, że mój telefon jest wciąż aktualny. Nie musi faksować telegramów.

Słyszał, że kobieta notuje, bo powtarzała końcówki wypowiedzianych przez niego zdań.

— Mam to powtórzyć? — upewniła się.

— Będę wdzięczny. — Odłożył słuchawkę i spojrzał na blok rysunkowy zdobyty przez Lenę. Wiedział teraz, że do rana jest w stanie wykonać rzetelną ekspertyzę.

Ola siedziała w kuchni, przy stole nakrytym obrusem w żółte kaczuszki. Miała na sobie proste czarne spodnie i gładką bluzkę w tym samym kolorze. Przed nią stała wypita do połowy szklanka herbaty. Na spodeczku leżały okrojone skórki chleba. Drugie nakrycie było przeznaczone dla dziecka: kolorowy talerz, szklanka z motywem *Gwiezdných wojen*, serwetki w kształcie samolotów. Na środku leżała wielka pizza. Była nietknięta. Kobieta wpatrywała się w dzwonki wietrzne wiszące na framudze okna. Wszystkie lufciki były zamknięte. Firanka nie poruszała się.

— Wiem, że tu jesteś — szepnęła. — Daj mi jakiś znak.

Odpowiedziała jej cisza. Ola ukryła twarz w dłoniach.

— Zrobiłam pizzę. Przecież tak lubisz. — Podniosła głowę. — Będę już dobrą matką. Będę cię słuchać. Będzie, jak chciałeś. Tylko nie odchodź!

Dzwonki poruszyły się. Ola rozciągnęła usta w uśmiechu.

— Obiecuję, że cię nie wydam. Wezmę wszystko na siebie. Nie odchodź — dodała i po dłuższej chwili zapytała z obawą: — Kochasz mnie?

Dzwonki znów zadźwięczały. Tym razem dłużej.

Wstała i pokiwała palcem, jakby ku przestrodze.

— Tylko nie rób głupot. Ja cię znam, urwisie — uśmiechnęła się.

Spod bluzki wydobyła klucz, który nosiła zawieszony na przybrudzonej sznurówce. Przyjrzała mu się. Był to zwykły yeti w kolorze starego złota.

— Stęskniłam się za tobą. — Pocałowała go jak relikwię.

Zerknęła na jedyne zamknięte drzwi w mieszkaniu. Podeszła do nich, włożyła klucz, przekręciła. Położyła rękę na klamce, nacisnęła. Nagle rozległ się dzwonek.

Ola spojrzała na dzwonki wietrzne, ale tym razem uparcie milczały. Zmarszczyła brwi, wyjęła klucz z zamka, obciągnęła bluzkę, ukryła pod nią sznurówkę z kluczem. Spojrzała przez wizjer na postaci stojące na klatce schodowej. Zobaczyła wysokiego, szpakowatego bruneta w średnim wieku, o spojrzeniu wilka i wydatnej szczęce. Za nim stała kobieta, z którą Ola rozmawiała wczoraj w kwiaciarni. Odsunęła zasuwę.

— Dzień dobry. Przeszkadzamy? — spytała Lena.

— Nie, proszę. — Ola szerzej otworzyła drzwi. Stali chwilę w progu, musiała zaprosić ich gestem do środka.

— Hubert Meyer — przedstawił się mężczyzna. — Koleżanka uprzedzała, że przyjdę.

— Witam, proszę usiąść. — Ola wskazała miejsce przy stole.

Profilerzy rzucili okiem na dwa nakrycia i wymienili się spojrzeniami. Lena usiadła z boku.

— Lena streściła mi waszą rozmowę — zaczął Meyer. — Wygląda na to, że jest pani ostatnią osobą, która widziała Zosię żywą.

— Napiją się państwo czegoś? — przerwała mu Ola. Głos miała radosny, jakby nie dotarło do niej, co próbował powiedzieć Meyer.

Psychologowie pokręcili głowami.

— Może chociaż wody, soku? — upierała się florystka. — Bo ja właśnie miałam zrobić sobie herbatkę.

— Niech będzie — zgodził się Meyer.

Kobieta zapaliła kuchenkę gazową. Lena i Hubert wpatrywali się, jak sprawnie porusza się po kuchni. Kiedy stawiała czajnik na palniku, na moment włożyła rękę do ognia. Poczuli zapach spalenizny. Ola cofnęła oparzoną dłoń i dopiero po chwili włożyła ją pod zimną wodę. Lena pomogła jej opatrzyć rękę, a już po chwili Ola podawała gościom napoje. Nawet się nie skrzywiła, kiedy używała poranionego palca, zносиła to dzielnie, można powiedzieć, że nawet bez mrugnięcia okiem, choć na pewno ją bolało.

— Ja jednak poproszę wodę — zmienił zdanie Meyer.

— Ja też — dodała Lena. Rozejrzała się po mieszkaniu. Poza jedną doniczką z amarylisem, nie dostrzegła ani jednej rośliny. Nie było też żadnych ozdób. Wszystkie sprzęty miały jedynie cel funkcjonalny.

— Pani Aleksandro — zaczął znów Meyer — nie wiem, czy pani słyszała. Potrzebne są nam pani zeznania, by znaleźć sprawcę zabójstwa Zosi Sochackiej.

Dzwonki poruszyły się, zadrżały. Kobieta zerknęła na nie i zamarła. Po chwili zasłoniła sobie usta dłonią, jakby pierwszy raz słyszała o zabójstwie dziewczynki. Radio i telewizor były wyłączone. Meyer i Lena spojrzeli po sobie, potem ich wzrok powędrował do nakrycia dla dziecka. Usłyszeli trzy piknięcia, ktoś wstukał kod do domofonu. Ola zerwała się z krzesła i ruszyła do drzwi.

— Przepraszam na chwilę, to chyba moja koleżanka. Przyszła po kilka rzeczy. Powiem tylko, żeby przyszła później — oświadczyła.

Kiedy wyszła, Meyer trącił Lenę łokciem i pokazał kółko na czole. Wzruszyła ramionami.

— Wczoraj była w lepszej formie. Może w domu czuje się gorzej? Widziałeś? Omal nie spaliła sobie ręki — szepnęła. — Poza tym tutaj nie ma ani jednego kwiatka. Co to za florystka?

Ktoś wszedł do mieszkania. Usłyszeli szepty w przedpokoju. Meyer dyskretnie się wychylił, ale nie dostrzegł twarzy gościa florystki. Musiała coś ustalić ze znajomą, bo po chwili tamta wyszła, zaś Ola postawiła na stole łubiankę z truskawkami.

— Zjedzą państwo, prawda? — rozpromieniła się.

— Nie, dziękujemy. Wolelibyśmy porozmawiać — oświadczył Meyer.

— Ależ proszę, słucham. — Kobieta wpatrywała się uważnie w gości.

— W czym mogę pomóc?

— Przede wszystkim muszę wiedzieć, co się zdarzyło, kiedy Zosia została u pani na noc — sprecyzował.

Kobieta pochyliła głowę.

— Nie mogę panu powiedzieć. Obiecałam jej, że to będzie nasza tajemnica.

— Pani Aleksandro, chyba pani nie rozumie. Nie możemy mówić nieoficjalnie. Jest pani ostatnią osobą, która widziała Zosię żywą. Rzuca pani podejrzenie na siebie. Będę zmuszony wezwać policję, by panią zatrzymano.

Ola nabrała powietrza w płuca, by odpowiedzieć, ale przerwał jej dźwięk dzwonek. Zadrzały i zamilkły. Teraz spojrzeli na nie wszyscy.

— Wszystko jest dla mnie jasne — odparła. — Ale nie mogę. Nieważne, tutaj czy na komendzie. To nasza tajemnica. Jej, mojego syna i moja.

— Pani syna? A co on ma do tego? — zniecierpliwił się Meyer. — Proszę nam pomóc lub dzwonię na komendę.

— Może mnie pan aresztować. — Wyciągnęła ręce jak do założenia kajdanek. Rękawy podsunęły się do góry i zobaczyli sznyty na jej przedramionach; niektóre nie były do końca wygojone, rany babrały się. Teraz Lena zrozumiała, dlaczego kobieta bandażuje sobie przeguby. — Mogę mówić o wszystkim, ale nie o tym, co powierzyła mi Zosia. Ufała mi i nie mogę jej zawieść. Już raz popełniłam ten błąd. Mogę was jedynie zapewnić, że dziewczynka nie cierpiała.

Meyer zamilkł. Wpatrywał się w kobietę. Dotarło do niego, że to chora psychicznie osoba. Nie było czasu do stracenia. Teraz musieli szybko zawiadomić Domana. Dał znak Lenie, która dyskretnie wstała i poszła do salonu, by napisać Domanowi esemes.

— Niech mi pan wierzy... — Ola tymczasem dotknęła ręki Meyera. Dłoń miała chłodną, poranioną, skóra była spierzchnięta, zaczerwieniona. Paznokcie miały przebarwienia, skórki wokół nich nosiły ślady obgryzania lub były zniszczone jakąś chemiczną substancją. Odsunął się gwałtownie, z trudem powstrzymując wstręt. Patrzył na jej szalone, pełne słodyczy oczy. Rozciągnęła wydatne usta w błogim uśmiechu. Wyglądała na naprawdę szczęśliwą. Zrozumiał, że ta rozmowa nie ma sensu. To prawdziwa wariatka. Zdecydował się do

czasu przybycia funkcjonariuszy rozmawiać z nią w jej języku. Tylko wtedy mógł utrzymać z nią kontakt.

— Syn pani to powiedział?

— Dokładnie tak — potwierdziła. — Zresztą widziałam ją. Jest bezpieczna. Jeszcze trochę wystraszona, ale Amadeusz się nią zaopiekuje. Zawsze chciał mieć siostrzyczkę.

Lena wróciła do nich, dając znak Meyerowi, że policja już jest w drodze. Patrzyła na kobietę lekko przestraszona. Ola tymczasem roześmiała się i podeszła do kredensu, gdzie na jednej z półek leżały pamiątki po jej dziecku. Było tam szkolne zdjęcie Amadeusza z mapą, jakie wykonują obwoźni fotografowie, pierwsze bućki, obrączka ze szpitala. Ola sięgnęła do bogato rzeźbionej szkatuły i wyjęła z niej bibułę. Trzymając ją w rękach jak relikwię, usiadła, rozwinęła ją i ich oczom ukazał się ząb mleczny dziecka oraz jasny kosmyk włosów.

— Siódmego mój syn miał urodziny — powiedziała z uśmiechem. — Myślę, że siostrzyczka jest dla niego najlepszym prezentem, jaki mogłabym mu dać.

Rozległ się jednostajny gwizd. Woda na herbatę się zagotowała.

Eliza szła, lekko utykając. Na dodatek zrobił się jej pęcherz na nodze, właściwie dlatego pojawiła się niespodziewanie w domu Oli. Chciała jedynie wymienić obuwie na bardziej wygodne. W mieszkaniu przyjaciółki wciąż było pełno jej rzeczy. Nadal też miała klucz. O tej godzinie Ola zwykle była w kwaciarni, więc Eliza myślała, że wejdzie tylko na chwilę. Na szczęście miała ze sobą truskawki, które natychmiast wręczyła przyjaciółce, jako pretekst wizyty. Nie spodziewała się tam zastać Huberta Meyera. Musieli już dojść do tego, że Ola jest zamieszana w sprawę, bo głos profilerka rozpoznała już w progu. Miała jedynie nadzieję, że jej nie zobaczył. Nikt spośród jej znajomych nie wiedział, że pomieszkiwała u Oli. Nikt też nie wiedział o ich przyjaźni. Pomyślała, że to było bardzo nieodpowiedzialne. Musi jak najszybciej zabrać resztę swoich rzeczy. Powinna zrobić to ostatnim razem, zbytnio się uniosła. Emocje nigdy nie są najlepszym doradcą. Dziś wieczorem musi dyskretnie dowiedzieć się, co Ola powiedziała policji. Jeśli nie zostanie natychmiast aresztowana. Nie chciała, by łączono ją ze sprawą zabójstwa Zosi. Nie potrzebowała kłopotów. Miała

nadzieję, że trafili na atak Oli i nie potraktują jej słów poważnie. Ona sama miała już dosyć podopiecznej. Wszystko, co mogła dla niej zrobić, już zrobiła. Nawet więcej. Teraz Ola musi radzić sobie sama.

Podbiegła do nadjeżdżającego autobusu i wskoczyła w ostatniej chwili, zanim drzwi się zamknęły. Nie było wolnych miejsc, ale jakiś elegancki młody człowiek ustąpił jej swoje. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, być może był jej uczniem. Jednak podeszły wiek do czegoś się czasem przydawał. Eliza siedziała i czuła, że powoli schodzi z niej napięcie. Jednak doskonale wiedziała, że czeka ją ponowna rozmowa z przystojnym brunetem. Skoro wiedzą o Oli, przyjdą i do niej. W końcu była jej nauczycielką. Będzie musiała wyjaśnić im tę skomplikowaną relację. Nie bała się, nie musiała kłamać. Po prostu powie, że wcześniej nie pytał o Olę, lecz o Zosię. Najważniejsze, żeby nikt nie skojarzył jej z dzisiejszym przybyciem.

Na następnym przystanku wsiadł kontroler, w tylnej części autobusu powstało zamieszanie. Grupka młodzieży nie miała biletów, głośno awanturowali się, nie chcąc podać dokumentów. Eliza odwróciła się, by zobaczyć, co tam się dzieje, i zamarła. Za plecami młodych ludzi, tyłem do niej siedziało dziecko w żółtej bejsbolówce. Było ubrane w dżinsową katanę i spodnie od dresu. Patrzyło w okno. Eliza natychmiast odwróciła twarz w kierunku okna. Serce biło jej jak szalone, aż musiała położyć rękę na piersiach. Po chwili znów się odwróciła, by się upewnić. To była Zosia. Eliza wstała, zaczęła przeciskać się w tamtą stronę. Kontroler ustawił gapowiczów do wyjścia, grożąc, że zawiadomi policję. Eliza minęła ich i podeszła do dziecka. Jednym gwałtownym ruchem odwróciła jego twarz do siebie.

— Gdzie z łapami?! Wariatka! — rzuciła się na nią matka dziecka.

Eliza przeprosiła i poszła dalej. Odetchnęła z ulgą. To nie była Zosia Sochacka, lecz jakiś chłopiec, na dodatek chyba opóźniony w rozwoju.

Mimo iż powinna jeszcze przejechać trzy przystanki, wysiadła, kiedy tylko autobus się zatrzymał. Poszła dalej na piechotę. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. Martwiła się o siebie, o to, co się przed chwilą stało. Czy choroba zaczyna ogarniać także ją? Czy to może być zaraźliwe? Była zbyt przerażona, by dłużej to analizować. Nie chciała skończyć jak florystka, która nie rozumiała, co się z nią dzieje. Ale Eliza wiedziała więcej od niej i doskonale знаła skutki. Opętanie przez ducha

u Oli przejawiało się koszmarowymi wyskokami. Eliza nawet nie chciała myśleć, że to dotknie także ją. Zaczęła racjonalizować sytuację. Postanowiła odwołać dzisiejsze lekcje pod pretekstem choroby. Zamiast tego posprząta, uspokoi się, rozpakuje rzeczy, które przywiozła od Oli. Dzięki Bogu, większość zdążyła już zabrać. To, co zostało, mogła wziąć przy okazji. Wieczorem po nie pojedzie, chyba że wcześniej odwiedzi ją Meyer, bo tego właśnie się spodziewała. Zdecydowała, że w związku z tym taksówkę zamówi w ostatniej chwili. Nie chciała prosić znajomych ani jechać autobusem. Wiedziała, że całą operację musi przeprowadzić bardzo dyskretnie.

Długi korytarz sądowy był o tej porze opustoszały. Mijała piętnasta czterdzieści pięć. Ostatnie pracownice zamykały swoje sekretariaty i z torebkami w rękach ruszały do wind. Z szacunkiem kiwały głowami Marii Turowskiej, która w tutejszym sądzie słusznie była uważana za szarą eminencję. Żartowano sobie, że kiedy Maria odejdzie, jej duch w tym budynku pozostanie już na wieki. Była zawsze miła dla interesantów, zaś twardą ręką trzymała wszystkie pracownice biurowe, sekretarki i protokolantki. I wiedziała o nich niemal wszystko. Mimo sędziwego wieku szczyciła się doskonałą pamięcią, wzrok jej nie zawodził, choć wiele lat spędziła na wypełnianiu druków i czytaniu pism. Chlubiła się, że nie musi nosić okularów, oraz jako jedna z niewielu pracownic starej daty sprawnie obsługuje komputer i podczas nagłej absencji zawsze może zastąpić, kogo trzeba. Turowska pracowała w tym sądzie przeszło trzydzieści lat. Pamiętała najgłośniejsze procesy, a nawet uzasadnienia wyroków, jakie w nich zapadały. Z zegarmistrzowską precyzją podawała sygnatury owych spraw i nazwiska uczestniczących w nich sędziów czy adwokatów. Znała także większość prawdziwych nazwisk skazanych, choć dla wielu byli oni jedynie inicjałami znanymi z prasowych komunikatów. Maria już dawno mogłaby odejść na zasłużoną emeryturę, ale zbyt lubiła tę pracę, by z niej zrezygnować. Bała się też, że bez swojej codziennej rutyny zachoruje i nagle umrze. Nigdy nie miała męża ani dzieci. Jej życie toczyło się w tym budynku, dom traktowała jak hotel: spała w nim, jadła, myła się i odpoczywała przed telewizorem, choć ostatnio bardzo rzadko. Większość jej rodziny mieszkała na północy kraju, a

Maria odwiedzała ją regularnie dwa razy do roku. To jej w zupełności wystarczało. Teraz obejrzała się za siebie.

Lena i Meyer karnie podążali jej śladem. Nie odzywali się słowem, wdzięczni, że mimo późnej pory zgodziła się zostać i udostępnić im materiały z akt. Dwie czarne kasety, które niosła, wydawały się dla nich na wagę złota. Minęli czarną salę rozpraw, w której wydano jeden z ostatnich wyroków śmierci w Polsce, a zaledwie cztery lata temu zapadło orzeczenie w sprawie Amadeusza Jekela. Doskonale pamiętała tamten proces, nie chciała jednak odzywać się niepytana. Jeśli zaszłaby taka konieczność, udzieliłaby im wszystkich niezbędnych informacji. Szef wydziału karnego w tutejszym sądzie, któremu podlegała, dał jej wyraźne instrukcje. Miała pomóc profilerom we wszystkim, czego potrzebowali. Przedstawił ją jako osobę, bez której sąd prawdopodobnie przestałby działać, i dla takich właśnie momentów Turowskiej chciało się żyć. Na pewno nie dla tych marnych pieniędzy, które zresztą trzymała na koncie, a jeśliby umarła, dostanie je Caritas albo jedna z fundacji pomagających chorym dzieciom. Jeszcze ostatecznie nie zdecydowała. Maria od dekady kochała się w swoim szefie. Żyła i pracowała wyłącznie dla niego. Jej miłość była dyskretna i zupełnie platoniczna. Być może nawet sam zainteresowany niczego nie podejrzewał. Wiedział, że kobieta jest na każde jego zawołanie, ale nie znał przyczyn takiego oddania. Była zawsze solidna, punktualna i chłodna w obejściu, choć kiedy się uśmiechała, w jej oczach błyszczały szelmowskie iskierki. Nie śmiałaby okazać swojego uczucia sędziemu, lecz było ono trwałe jak mury budynku, które przetrwały w doskonałym stanie obie wojny. Turowska była jak ten sąd. Niezawisła i nieprzenikniona. A także odporna na manipulacje. To dlatego przezywano ją Marylką Temidą. Wiedziała o tym i wcale się nie gniewała.

Wreszcie zatrzymała się, puszczając gości przodem. Z pęku kluczy opatrzonych numerkami wybrała jeden. Oczywiście trafiła za pierwszym razem. Weszli, choć nie zapaliła światła, a pomieszczenie spowijała kotara ciemności, na chwilę tylko rozdarła światłem z korytarza. Po chwili ich wzrok przyzwyczaił się do panującego mroku. Lena rozejrzała się. Salka była bardzo mała, z jednym tylko oknem, zasuniętym żaluzją. Telewizor schowano w czarnej szafce, która

również była zamknięta na klucz. Z szuflady Turowska wysunęła odtwarzacz wideo starego typu i podała Meyerowi cztery piloty. Oboje z Leną zajęli miejsce na ławce dla oskarżyciela i czekali na wytyczne, ale kobieta wyszła bez słowa. Klucze zostawiła na sędziowskim stole, tym samym dając im do zrozumienia, że mają całkowitą swobodę, jeśli chodzi o materiały z akt.

Meyer spojrział na Lenę, która też nie rozumiała zachowania starej sekretarki. Kiedy próbował uruchomić kasetę, psycholożka wyjrzała na korytarz. Turowska stała pod drzwiami niczym kamienny lew. Lena szybko zatrzęsnęła drzwiami. Wróciła do sali.

Hubert w tym czasie zdążył już dojść, który pilot do czego służy, i po chwili na ekranie pojawiły się cyfry, a potem data nagrania, którą profiler zanotował w swoim notesie wraz z nazwiskami uczestników wizji lokalnej.

— Faktycznie, Mariola nadzorował tę sprawę — mruknął.

— Znasz go? — zainteresowała się Lena. — Nic nie mówiłeś.

— Poniekąd — odparł Meyer, co mogło znaczyć zarówno tak, jak i nie.

Najpierw zobaczyli tłum ludzi zgromadzonych nocą wokół kilkupiętrowego bloku. Teren otoczony był ze wszystkich stron czerwono-białymi taśmami. Widok z daleka nie był doskonały, na osiedlu było zbyt dużo drzew, które ograniczały widoczność. Porządku pilnowali policjanci w mundurach. Musieli doświetlać miejsce sztucznymi lampami, bo obraz momentami był prześwietlony. Operator zaś nie należał do utalentowanych. Widać było, że ledwie radzi sobie z obsługą policyjnej kamery. Prokurator odczytał nazwisko Sławomira Kobierskiego, którego policjanci rozkuli z kajdanek i przyprowadzili bliżej kamery. Był to dorodny, pucołowaty, krótko ostrzyżony blondyn bez zarostu. Kreszowy dres z lamówkami jeszcze dodawał mu tuszy. Siłacz nie wyglądał na bandytę, choć zaufania także nie budził. Widać było, że bardzo się denerwuje. Co chwila oglądał się na kogoś za plecami kamerzysty. Podano mu miękkiego manekina, którego wziął w ręce z obawą. Prokurator upomniął go, by trzymał go jak tamto dziecko w dniu zdarzenia. Kobierski zaczął mówić.

— Chłopiec podszedł do mnie i krzyknął: „Kopsnij szluga, zakapie!”

— zaciął się. Zerknął w stronę prokuratora.

— To wszystko? — spytał Tomaszuk.

— Chyba nie, mówił coś jeszcze — podejrzany niechętnie podjął wątek. — Chciał się bić. Wkurzyłem się. Podniosłem go do góry za ubranie i przekręciłem. Kiedy go puściłem, poczułem, że jest bezwładny. Położyłem go tutaj. — Cycu położył manekina na stopniach, u wejścia do pierwszej klatki, po czym odszedł. — Miałem nadzieję, że odzyska przytomność.

Jeszcze jeden rzut oka kamery na publiczność. Niektórzy szeptali coś między sobą. Kobierski uśmiechnął się do prokuratora. Meyer dostrzegł, że ten klepie go po plecach, jakby dodając mu otuchy. Koniec nagrania. Ekran śnieżył.

Meyer włożył do urządzenia drugą kasetę. Początek był taki sam, lecz przy prezentacji podejrzanego prokurator wyjaśnił, że zapomniał on dodać kilku ważnych szczegółów, które dotyczą sprawy. Z tego powodu wizja zostaje powtórzona. Lena zakryła oczy, patrząc na to wszystko przez rozczapierzone palce.

— Patrz, ważne są szczegóły — pouczył ją Hubert i zatrzymał na stop-klatce. Tym razem wśród publiczności było już mniej osób.

— Wiem — odparła Lena i z ociąganiem zdjęła ręce z twarzy. — Straszne to jest. Takie trywialne. Głupie.

— Jak większość zbrodni — dodał Meyer. Przesunął nagranie kilka klatek do przodu. Zobaczył, że na drugim planie policjanci usuwają awanturujących się gapiów. Włączył.

Znów usłyszeli opowieść mordercy, obejrzeni podnoszenie manekina, duszenie go i porzucanie pod klatką oraz obserwowali odejście. Potem Kobierski jednak wrócił, podniósł manekin udający ciało chłopca i schował go za drzwiami zsypu. Jeden z policjantów, Meyer domyślił się, że to był prowadzący dochodzenie Lucjan Swatek, wyjaśnił, że ciało znaleziono właśnie w tym pomieszczeniu, w jednym z kontenerów na śmieci.

Na tym nagranie się zakończyło.

Meyer siedział chwilę w skupieniu. Zmusił Lenę, by jeszcze kilka razy, klatka po klatce obejrzeni obie wizje. Po wszystkim wstał i wyjął kasetę w magnetowidu.

— Możesz zawołać tę panią? — zwrócił się do psycholożki. Widział, że nie wygląda najlepiej, ale starała się zachować rezon. — Dobrze się

czujesz?

Pokiwiała głową i ruszyła do drzwi. Po drodze pstryknęła światło. Nagła jasność podrażniła oczy, wyłączyła więc odruchowo, ale Meyer kazał jej zostawić.

Turowskiej nie było za drzwiami. Lena wyszła na korytarz. Spojrzała na dziedziniec, za róg korytarza. Jakby sekretarka zapadła się pod ziemię. Psycholożka wróciła do pomieszczenia. Rozłożyła ręce na znak, że nie udało jej się znaleźć.

— Poczekamy. — Meyer zasiadł za stołem sędziowskim. — Daleko nie mogła odejść.

— I jak sądzisz? — nie wytrzymała Lena.

— Recytował na pamięć — odparł. — Tylko trema go zjadła i zapomniał o najważniejszym. Gdyby był mądry, od razu złożyłby zażalenie. Dziwię się, że tego nie zrobił. Każda instancja odwoławcza wzięłaby takie zaniedbanie pod uwagę. Ten gość idealnie nadawał się na zabójcę. Chociaż dla niego może w tamtym czasie więzienie było najlepszym wyjściem.

— Biedny chłopiec — szepnęła Lena.

— Martwi mnie to usunięcie publiczności zza taśm. Co tam się działo? — zapytał Meyer, choć wiedział, że na razie pytanie pozostanie bez odpowiedzi.

— Dziennikarze tam wpadli, nagrywali wszystko, policja zarekwirowała im taśmy — usłyszeli za plecami głos Turowskiej. Odwrócili się gwałtownie, bo nie słyszeli jej wejścia. Pojawiła się w pomieszczeniu cicho niczym kot.

— Tak? — Meyer udał, że ich nie nastraszyła.

Turowska stała, wpatrując się w profilera.

— Byłam tam. Widziałam to na własne oczy. Mieszkam kilka bloków dalej, na Palmowej siedemnaście — ciągnęła. — I tego chłopca też znałam. Nie był taki zły. Tyle że wódka go zgubiła. Coś tam też brał pewnie, ale niewiele, nie miał na to pieniędzy. Jego matka, która się przedstawia jako ofiara agresywnego syna, to była prostytutka. Nic poważnego, żadna agentura, ot, sąsiedzka cichodajka. Przyjmowała mężczyzn za kawałek kiełbasy, litr wódki. Ojciec Sławka to oczywiście autor nieznany. A ci dziennikarze to Teresa i Karol Olenderkowie. Są zawsze tam, gdzie dzieje się coś złego. Żadnych skrupułów. Dziwię się,

że jeszcze nikt ich porządnie nie przetrzepał. Ja muszę ich tolerować. Mają legitymacje, współpracują z największymi stacjami. Ta sprawa to była dla nich prawdziwa żyła złota. Emisje tych materiałów sprzedali wszędzie, gdzie się dało. Jeśli potrzebne panu jakiegokolwiek nielegalne nagrania, oni to mają. Nie tylko z tego zdarzenia — podkreśliła.

Meyer przyjrzał się kobiecie.

— Nie stosujemy takich metod, chyba że znajdą nadzwyczajne okoliczności.

— Jeśli Olenderki wyniuchają, że sprawa Amadeusza ma związek z zabójstwem tej dziewczynki, sami was znajdą — dodała Turowska.

Meyer oddał jej kasety VHS oraz wszystkie cztery piloty.

— Dziękujemy pani.

— Nie ma za co. Proszę dzwonić, gdyby jeszcze czegoś państwo potrzebowali.

— Trafimy do wyjścia — dodał Hubert i jeszcze raz przyjrzał się kobiecie. — A co pani sądzi o tym procesie?

Wzruszyła ramionami.

— Cóż ja, stara kobieta, mogłabym powiedzieć, ponad to, co znajduje się w aktach? Wyrok zapadł, nie było apelacji — wymigała się, choć wyraźnie chciała, żeby Meyer pociągnął ją za język. Profiler wyczuł jej intencje, ale nic nie powiedział. Wiedział, że jeśli będzie trzeba, zapuka do jej drzwi.

Kiedy wyszli z budynku, Lena chwyciła Huberta za ramię. Odwrócił się zdziwiony.

— Ja spotkałam tę dziennikarkę — powiedziała. — Mam do niej telefon. Może warto byłoby ich przesłuchać?

Meyer zmierzył ją wzrokiem.

— Po co?

— Może ta sekretarka ma rację? Przecież jeśli Olenderki naprawdę tak skutecznie szukają sensacji i wiedzą wszystko, co dzieje się w mieście, szkoda nie skorzystać ze źródła. Może faktycznie mają jakieś nielegalne nagrania? Coś więcej niż policja? Możemy tylko na tym skorzystać.

Meyer nie był tego taki pewny. Ziewnął znudzony. Tej nocy pracował do rana i spał zaledwie trzy godziny. Poza sennością nie czuł jednak

zmęczenia. Przeciwnie, dawno nie był w tak świetnej formie.

— Jak chcesz, to się tym zajmuj — odparł bez entuzjazmu. — Ja muszę podjechać do Pileckiego i spytać, co sądzi o naszej opinii. Trzeba też przygotować się do przesłuchania florystki.

— Naszej opinii? — zdziwiła się Lena.

— No tak — odpowiedział. — Podpisałem cię. W zebranie danych wiktymologicznych włożyłaś sporo pracy.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ale mina szybko jej zrzędała.

— Wiesz, muszę ci coś powiedzieć — zaczęła. Chciała mu teraz wyznać wszystko, by sprawa zaangażowania jej do sprawy nie wypłynęła w najmniej oczekiwanym momencie. Hubert spojrzał na nią spod oka:

— Co znowu?

— Po prostu jest coś, czego nie powinnam... — zaczęła, ale nie potrafiła wytłumaczyć mu tego w jednym zdaniu. Co gorsza, zaczęła dzwonić jej komórka.

— Odbierz sobie — powiedział Hubert. Lena posłusznie wykonała polecenie, a on wciąż trwał w oczekiwaniu. Wyraźnie się nudził. Usiadł na murku i zapalił papierosa. Kiedy jednak domyślił się, z kim rozmawiała, od razu przeszła mu senność. Starał się nie uronić ani jednego słowa.

— Tak, jest ze mną — powiedziała Lena do aparatu, po czym wyszeptała bezgłośnie do Huberta, że dzwoni Pilecki. — Chcesz z nim mówić? Nie? Tak, mogę przyjechać. Nie dostałeś profilu? To dobrze, podpisałam się, bo zgadzam się z nim w stu procentach. No właśnie, musimy to przegadać, koniecznie. Jaka odprawa? Teraz? Oczywiście, jedziemy do komendy. Ale nie za bardzo rozumiem. Jak to sama?

Lena spojrzała na Meyera.

— Rozłączył się — powiedziała szczerze zdziwiona. — Kazał mi przyjechać samej. Pokłóciliście się? On chyba nie zrozumiał ekspertyzy. Kazał wypuścić Sochackiego, a florystkę umieścić w szpitalu na obserwacji psychiatrycznej. Zlecił za to wydanie listu gończego za Marleną. Wpisaliśmy, że zabójcą może być kobieta, ale nie ta Cyganka! Przecież ona zupełnie nie pasuje!

— Co? — zachnął się Hubert. — Przecież my wiemy, gdzie jest Marlena.

— Wiemy? — Lena przekrzywiła głowę. — Kto niby wie? Ja nic nie wiem.

— Ja wiem, Doman, cały wydział. Jest z Arsenem w hotelu Gołębiowski. To jej dziadek, mąż... Znaczący, to skomplikowane — zaplątał się Hubert.

— To jedźmy po nią — podpowiedziała Lena. — Weźmy ją do komendy razem z mężem czy dziadkiem i wyprostujmy tę sytuację. Coś jest nie tak. Nie możemy pozwolić, żeby śledztwo nagle skręciło na lewe sanki. Dlaczego florystka jedzie do Choroszczy, a ja mam przyjechać do komendy sama? O co tu chodzi? Wydawało mi się, że wszystko ustaliłeś z Domanem.

— Coś jest nie tak — potwierdził Meyer i natychmiast wyjął baterię z telefonu, który dostał od Pileckiego, po czym wrzucił ją do kosza.

— Co ty robisz? — zdziwiła się Lena i bez wahania zanurkowała w śmietniku, wyjmując baterię. — Chory jesteś? Nikt cię nie namierza ani nie podsłuchuje.

— Coś mi tu zajężdza padliną — odparł stanowczo. — I chyba wiem co. To ja sam tak śmierdzę, skoro naczelnik dzwoni do ciebie, a mnie ignoruje, choć stoję obok. Nie mamy wyjścia. Trzeba jechać jak najszybciej do komendy, dopóki ty masz jeszcze możliwość działania. Marlena nie ucieknie. Nie odważyłaby się.

— Jesteś pewien? — Lena nie dowierzała. — Skąd ta pewność?

— Tak, jestem pewien — powtórzył Meyer, ale nie zamierzał niczego wyjaśniać. — Za to wypuszczenie na wolność florystki może być tragiczne w skutkach.

— Choroszcz to szpital psychiatryczny. Ona nie będzie na wolności — sprostowała Lena. I dodała: — Jeśli oni nie zrozumieli ekspertyzy, trzeba im ją wyjaśnić. Dzwon do Domana. Niech wyjdzie na kawę. Tylko co z Piłą, znaczy z Pileckim?

— On będzie na odprawie — odpowiedział Meyer. — Ty z nim pogadasz. Ja nawet nie zamierzam tamtędy przechodzić. Wyeliminowałam mnie podstępem i zrozumiałem ostrzeżenie. Drugiej żółtej kartki nie będzie. Od razu dostanę czerwoną. Jak długo się da, nie chcę włączyć mu w oczy. Najpierw muszę wy badać, co jest naprawdę grane, dopiero potem podpiszę zakończenie kontraktu.

Teraz Lena nie była już w stanie wyjawić Hubertowi tego, co zamierzała. Jak w zaistniałej sytuacji miała mu powiedzieć, że to ona donosiła na Meyera u szefa? Szła na miękkich nogach, licząc, że wszystko da się jeszcze jakoś odkręcić. Z drugiej strony знаła naczelnika i wiedziała, że jest w swoich decyzjach nieprzejednany. Ruszyli szybkim krokiem do komendy na Sienkiewicza. Nagle psychologka się zatrzymała. Na jej twarzy nie było już niepokoju, lecz wściekłość i stuprocentowa pewność. Meyer przeszedł jeszcze kilka kroków, ale po chwili też się zatrzymał i zerknął na nią zdziwiony.

— Stało ci się coś? — zapytał. — Pośpiesz się, nie mamy czasu.

— Musisz iść ze mną — oświadczyła. — Musisz! Rozumiesz?

— Nie ma mowy — powiedział, ale nie zrobił nawet kroku.

— Nie chowaj się jak tchórz. Zawalcz! — rzuciła mu rękawicę. — Skoro on chce to załatwić psim śwędem, spodziewa się właśnie takiej reakcji. Wie, że nie przyjdiesz, dlatego zadzwonił do mnie. Liczy, że nas poróżni, i prawie mu się to udało.

— Co ty pieprzysz, Lena? — przerwał jej i nie czekając na jej odpowiedź, dopowiedział: — Ja już nie pracuję w policji, dlatego można mnie po prostu wyprosić ze sprawy. Jestem cywilem, a skoro szef uznał, że jestem niepotrzebny, muszę odejść. Rozumiesz?

— To bzdura — szepnęła. — Pracujesz przy tej sprawie, odkąd Doman cię wezwał. Masz posłuch u reszty i cenią cię. Byłeś na wszystkich przesłuchaniach, na miejscu zbrodni, w prosektorium. Tylko chwilowo jesteś cywilem.

Meyer pokręcił głową, nerwowo zerknął na zegarek.

— Dosyć już tego pompowania, Lena. Mamy plan.

— On mnie wezwał, żebym cię śledziła, Hubert — wyrzuciła z siebie. Twarz Meyera była nieruchoma jak maska... — Wiedział, że się zgodzę, bo mi zależy. I wiedział, że kogoś takiego jak ty łatwo będzie ponownie oskarżyć o błąd — im dłużej mówiła, tym było jej łatwiej. Czowała, że robi dobrze. Nie było sensu dłużej niczego ukrywać. — Wybacz mi, wiem, że trudno w to uwierzyć, ale ja dopiero teraz to zrozumiałam. On to wszystko zaplanował. On chciał, żeby tak było. Czekał jedynie na pretekst, by obarczyć cię winą za to kulawe śledztwo. Tu jest coś schowane pod stołem. Rozumiesz? I my musimy to znaleźć.

— Co ty zrobiłaś? — Hubert już nie słuchał. Był zły, zmarszczył brwi, aż połączyły się w jedną kreskę. — Śledziłaś mnie? Donosiłaś na mnie? Ty?

Lena pochyliła głowę.

— Przepraszam — szepnęła. — Musiałam się na to zgodzić, żeby wziął mnie do sprawy. Ale tyle się działo, że na niewiele mu się przydałam. Zresztą tak mnie izolowałeś, że byłam bezużyteczna... Ale tak, to prawda, byłam jego szpiegiem — wyznała.

Hubert zaczął się śmiać. Głośno, szczerze, z głębi trzewi, aż przechodnie oglądali się za nim, by upewnić się, czy wszystko z nim w porządku. Lena zawstydzona stała wciąż w tym samym miejscu. Nagle twarz mu znieruchomiała, a oczy zaczęły ciskać w nią błyskawice.

— Widzisz — zaczął — gdybyś była facetem, dałbym ci teraz w twarz. Pobilibyśmy się i wyjaśnili wszystko, a potem poszli na wódkę. A z tobą jak mam to teraz załatwić? Jak mamy dalej razem pracować?

Lena milczała. Hubert zaś był teraz przerażająco poważny. Na jego twarzy nie było nawet śladu uśmiechu. Mówił spokojnie, świszczącym szeptem:

— Ty naprawdę zrobisz wszystko, żeby być profilerem. Sprzedałaś mnie. Mnie, kurwa, wystawiłaś — powtórzył z niedowierzaniem. Po czym nagle zbliżył się do niej dużymi krokami, brutalnie chwycił ją za podbródek, uniósł do góry i z całej siły pocałował. Choć broniła się, gryzła i szarpała, trzymał ją jak w kleszczach. Wreszcie z trudem odepchnęła go i wyswobodziła się z jego ramion. Teraz już oboje byli wściekli. Ona rzucała w jego stronę nienawistne spojrzenia, aż wreszcie nie wytrzymała. Zamachnęła się i wymierzyła mu siarczysty policzek, a potem poprawiła z drugiej strony. Nie oddał jej, wyglądało nawet, że go tym ubawiła. Rozcierał twarz, uśmiechając się zagadkowo.

— No, to na razie jesteśmy kwita — mruknął pod nosem, po czym uśmiechnął się triumfująco i pogroził jej palcem, jak małej dziewczynce, mówiąc: — Zdradę i kłamstwo wybaczam tylko raz. Gadaj teraz, jak to naprawdę było.

Popołudniowa narada dopiero miała się zacząć. Przy stole siedzieli policjanci z wydziału kryminalnego. Doman stał przy oknie i wydmuchiwał dym z papierosa w szparę we framudze. Meyer stał przy

mapie i wpinał kolorowe szpilki w bok korkowej tablicy, którą naczelnik kazał przynieść z konferencyjnej. Potem uporządkował swoje fiszki i naniósł ostatnie poprawki. Na zmywalnej tablicy zapisał dwa imiona: Zosia i Amadeusz. Otoczył je kółkami. Z każdego narysował strzałki. Pozostawił je puste.

Lena stała przy drzwiach. Nie była pewna, czy nie zostanie wyproszona z sali. Chciała też w razie czego zablokować drzwi, żeby Meyer mógł dokończyć wywód, jeśli Pilecki zastosuje kategorię weto. Profilerzy podejrzewali, że Pilecki nie będzie zadowolony, gdy zobaczy Huberta, choć reszta ekipy zdawała się nic nie wiedzieć o decyzji naczelnika. Zachowywali się całkiem normalnie. Sprawa odejścia Huberta musiała być jednak przesądzona, bo szef zlecił zamknięcie jego rachunku w hotelu oraz wysłał mu podpisany kontrakt do recepcji. Widać nawet nie zamierzał z nim o tym rozmawiać. Hubert odebrał i podpisał dokumenty, zdecydował, że na razie nie piśnie o tym Domanowi ani słowa. Uświadomił też Lenie, że w gruncie rzeczy mają nad Pileckim przewagę. Naczelnik nie wiedział, że zdecydowali działać wspólnie. I mieli plan, by wykorzystać wszystkie możliwości, które dawało im działanie w podziemiu, a których nie mogliby wykorzystać, gdyby byli wciąż na służbie białostockiej policji. Lena zaś, dopóki się da, miała odgrywać dotychczasową rolę sojuszniczki naczelnika, lecz tak naprawdę być teraz podwójnym szpiegiem. Jeśli Pilecki da się wykiwać, będzie informowała Huberta o wszystkim, co dzieje się w śledztwie.

Kilka miejsc w sali było pustych. Tak samo jak fotel naczelnika. Prawie wszyscy obecni nie spali dzisiejszej nocy, pracując nad sprawą zabójstwa dziecka na najwyższych obrotach. Nikt jednak nie ziewał ani nie okazywał zmęczenia. A miało być jeszcze ciężiej i gorzej. Wszyscy wiedzieli, że z samego rana komendant wojewódzki miał spotkanie z prezydentem miasta. Było też kilka telefonów z komendy głównej. Plotka niosła, że zamierzają przysłać im kogoś do nadzoru śledztwa. To dlatego Pilecki był dziś wściekły jak szerszeń.

— Znacie ten dowcip? — przerwał ciszę Wojda. Nikt się nie odezwał. Mimo to młody policjant, niezrażony milczeniem, zaczął opowiadać: — Ateista umarł i trafił do raju. Święty Piotr oprowadza go i mówi, że jeśli chce, może tu zostać. I pokazuje mu: „Już niczego nie będzie ci brakowało”. Ateista patrzy: stopy jedzenia, alkohol, nagie kobiety, muza

na full. Wszyscy są szczęśliwi jak po dragach i pływają do rytmów latino. Ateista dziwi się: „To wszystko jest naprawdę? Raj istnieje?”. „Tak, istnieje”, odpowiada Święty Piotr. Ateista chwyta się za głowę. „To znaczy, że piekło też istnieje?”. „No tak”, odpowiada Święty Piotr. „Skoro jest raj, musi być i piekło”. Ateista klęka, chwyta Świętego Piotra za nogi i prosi, żeby wstawił się za nim u Boga. „Ale nie ma problemu”, mówi Święty Piotr. „Baw się, tańcz, wypoczywaj”. Ateista nie daje się odciągnąć. „Proszę cię, pójdz do Pana Boga i powiedz, że ja chcę go przeprosić, wyznać mu wiarę. Tak bardzo żałuję”. Święty Piotr idzie do Boga, który odpoczywa na leżaku, popijając mojito. Piotr streszcza mu prośbę ateisty. „No i co ja mam zrobić?”, pyta Święty Piotr. „On się nie odczepi”. Bóg myśli, myśli. Nagle odwraca się i odpowiada: „Wiesz co, powiedz mu, że mnie nie ma”.

Rozległ się tylko krótki, urwany śmiech Petryki. Poza nim nikt nie zareagował, choć zebrani byli wdzięczni Wojdzie, że przełamał tę nieprzyjemną ciszę, która za chwilę dawałaby się kroić. Nagle skrzypnęły drzwi. Oczy wszystkich powędrowały w tamtym kierunku.

— To tylko ja, żaden duch — zażartowała sekretarka. Przed sobą niosła tacę, na której ustawione były w rzędzie kubki z parującą kawą. Policjanci podziękowali jej zdawkowo. Petryka położył nogi na jednym z wolnych krzeseł, rozparł się i zaczął drzemać. Sekretarka miała już wyjść, ale nagle dostrzegła Huberta i zapytała: — Pan Meyer?

Hubert spojrzał na nią.

— Dzwoniła jakaś kobieta. Nie chciała się przedstawić, ale zostawiła numer. Mówiła, że może rozpoznać tego człowieka, który prowadził wózek.

— Następna — skwitował Petryka z przekąsem, otwierając jedno oko. — Sprawdziliśmy już z siedemnaście osób. Mamy dwa razy tyle rysopisów. Jeden lepszy od drugiego.

— Nie wiem, o co chodzi. — Kobieta wzruszyła ramionami. — Przekazałam jej numer do dyżurki, ale chciała rozmawiać wyłącznie z panem. — Przesunęła w jego stronę karteczkę.

Meyer zerknął na numer. Był to stacjonarny telefon, kierunkowy wskazywał, że kobieta była mieszkanką Białegostoku. Hubert przykleił fiszkę do swojego notesu. Zastanawiał się, kto wie o tym, że pracuje

przy tej sprawie. Odkąd tu przyjechał, rozmawiał z wieloma kobietami. Musiała to być jedna z nich.

— Stara czy młoda? — spytał szybko, zanim sekretarka zniknęła w drzwiach.

Policjanci wybuchnęli śmiechem.

— Jak młoda, to ja chętnie ją wezmę. Nie musi być nawet ładna — powiedział Petryka. Sekretarka spojrzała na niego z politowaniem i odparła z naciskiem:

— Raczej niemłoda. Ale ciężko wyczuć. Rozmawiałyśmy kilka minut. Powiedziała, że będzie dziś wieczorem w domu, jeśli miałby pan czas się z nią spotkać.

Rozległy się grubiańskie gwizdy. Meyer zlekceważył je.

— Dziękuję, skontaktuję się z nią po odprawie — odparł.

— Aha. — Kobieta odwróciła się. — Powiedziała też, że jutro od rana będzie w szkole, tam też może pan ją złapać. To chyba jakaś nauczycielka.

Tym razem nikt nie skomentował jej słów. Zwłaszcza że teraz odezwał się Doman:

— Miłka, nie wiesz, jak długo to jeszcze potrwa? Ile można tu siedzieć? Mamy co robić.

— Chyba niedługo — odpowiedziała kobieta. — Kończyli, kiedy wychodziłam. Naczelnik już kilka razy wstawał, ale wiecie, jaki jest komendant.

— A jak jest w ogóle? — docisnął ją Doman. — Wiesz przecież. Powiedz.

— Nie za dobrze. Przepraszam, muszę już wracać — odparła i szybko wyszła.

W drzwiach zderzyła się z Lechem Pileckim. Zarumieniła się aż po czubki uszu. Naczelnik był zaś blady jak ściana. Miał na sobie mundur, który wyglądał, jakby był na niego za duży. Ku zdziwieniu Meyera nie był wcale wygnieciony, jak większość jego ubrań, w których go do tej pory widywał. Był gładko ogolony, okulary na nosie miał przekrzywione, jakby pogięte. Na jego twarzy zaś malowało się wielkie zmartwienie. Zdawało się, że nie robi mu różnicy, czy Hubert jest na sali, czy go nie ma. W każdym razie nie zwrócił na niego uwagi. Lena była lekko skonsternowana, nie rozumiała tej gry. Wymieniła z

Hubertem spojrzenia, pewnie myślał to samo. Na razie mogli tylko tańczyć, jak Pilecki im grał. Najważniejsze zostawili sobie na koniec, kiedy zorientują się, jak rozwinie się sytuacja.

— Witam wszystkich — powiedział naczelnik, obrzucając krótkim spojrzeniem wszystkich zgromadzonych. — Proszę zająć miejsca, możemy zaczynać.

Usiedli. Pilecki mocno pośladził sobie kawę i wypił ją jednym haustem. Nikt się nie odzywał. Czekali na wyraźny znak szefa, który długo się nad czymś zastanawiał.

— Ta sprawa jest priorytetowa dla wszystkich — zaczął wreszcie. — Mamy na karku główną, pismaki będą nam teraz zaglądać w każdą dziurę. Dla mnie to będzie ostatnie śledztwo w karierze. Po jego zakończeniu odejdę na zasłużony spoczynek.

W sali rozległ się szmer niezadowolenia.

— Ale szefie... — zaczął Doman.

— Już zdecydowałem. — Naczelnik podniósł dłoń. — Teraz musimy spać pośladki i znaleźć sprawcę tej zbrodni. Trzeba było wypuścić ojca małej. Ma dobrą papugę. Ale miejcie go na oku. Za Marleną Mirgą, matką dziewczynki, został wydany nakaz poszukiwawczy. Od wczoraj nie pojawiła się w domu. Jakies nowe tropy? Pomysły? Może przymknąć tego „grzebulca”? Sam nie wiem, ale pismaki muszą mieć coś na żer. Uruchomcie wszystkich informatorów. Róbcie, co chcecie, byle komuś szybko to przybić.

Pilecki zamilkł. Wskazał Domana, który przedstawił dotychczas zdobyte informacje.

— Zosia zginęła w wyniku uduszenia — zaczął komisarz Domański oficjalnym tonem. Bruzda na szyi miała pół centymetra, bez śladów ran czy uszkodzeń skóry. Narzędzie zbrodni musiało być miękkie, na przykład pasek, bandaż albo sznurówka. Na jej ciele było kilka drobnych siniaków i zadrapań. Powstały co najmniej dwadzieścia cztery godziny przed śmiercią. Nie była ogłuszona ani pod wpływem leków czy innych substancji. W jej żołądku ich nie stwierdzono. Zarejestrowano prawidłowy mechanizm obronny przedśmiertny, bo palce miała zsiniałe i wyłamane w stawach. Ciało było przetrzymywane w pozycji horyzontalnej. Zostało połamane, by usadzić je w wózku, umyte, uczesane i przebrane. Koszula, którą miała na sobie dziewczynka, nosiła ślady kociej sierści. Prawdopodobnie mogła być nabyta w tym celu w sklepie z odzieżą używaną; zabezpieczono na niej śladowe ilości środków dezynfekujących stosowanych w tego typu

sklepach. Nie da się ustalić jej dokładnego pochodzenia. Metki zostały usunięte. Pled, którym była przykryta dziewczynka, to artykuł dostępny w każdym supermarkecie, produkcja chińska. Był nowy, prawdopodobnie specjalnie kupiony na tę okazję. Wózek mimo licznych ogłoszeń prasowych nie został zidentyfikowany. Nikt nie przyznał się do jego posiadania ani wypożyczenia. Nie ma danych na temat jego kradzieży. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie w nocy z niedzieli na poniedziałek. Oznacza to, że dziewczynka od piątku była przetrzymywana. W jej treści żołądkowej zabezpieczono niestrawione resztki jedzenia, głównie słodczyce. Musiała jeść przynajmniej godzinę przed śmiercią. Nie stwierdzono oznak zżecania się. Pobrano ślady biologiczne: krew, włosy oraz wyskrobiny spod paznokci. Prawdopodobnie mamy DNA sprawcy do analizy porównawczej. Czy przed śmiercią dziewczynka była molestowana, patolog wskaże jutro w szczegółowej ekspertyzie. Błona dziewicza nie została jednak przerwana.

W sali rozległ się szmer. To podważało hipotezę o molestowaniu, choć całkiem jej nie wykluczało. Doman zakończył przemówienie, usiadł i spojrzał znacząco na Meyera. Profiler wstał, Pilecki dał mu sygnał, by zaczął wykład. Lena też zajęła miejsce przy stole. Już widziała, że nie będzie potrzeby robienia żadnych gwałtownych scen. Pilecki wyglądał na pogrążonego w myślach, zdawał się nie zwracać uwagi na otaczających go ludzi.

Hubert podszedł do tablicy z rozpiętą mapą i zaznaczonymi na niej punktami. Zakreślił obszar wokół cmentarza, gdzie znaleziono zwłoki dziewczynki. Oznaczył miejsce znalezienia zwłok niebieską chorągiewką. Oznaczył też ulicę Wiślaną jako miejsce zamieszkania dziewczynki, szkołę muzyczną oraz wejście do Parku Zwierzynieckiego, miejsce pracy matki, ulicę Berlinga 19, gdzie mieszka florystka, ulicę Palmową, gdzie znaleziono ciało Amadeusza, oraz starą oczyszczalnię ścieków wraz z linią brzegową Lasu Pietrasze. Potem wszystkie te punkty połączył w jedną linię i napisał nad nią w kółku numer autobusu — „16”.

— Miejsce zdarzenia jest osłonięte z każdej ze stron murem — zaczął mówić. — Nie jest to miejsce zbrodni, lecz ukrycia ciała. Sprawca

dużo ryzykował, idąc ze zwłokami tą drogą. Dlaczego porzucił dziecko na cmentarzu?

— Śpieszył się? — rzucił ktoś z sali.

— Ktoś pokrzyżował jego plany — dodał ktoś inny.

Meyer zaś stał przy tablicy i kręcił głową.

— Raczej postarał się, żeby tak to wyglądało. Żebyśmy tak właśnie pomyśleli. — Hubert wskazał na szczegółową mapę cmentarza. — Są cztery główne wejścia, wszystkie otwarte i całą dobę pod nadzorem kamer. Sprawca wiedział, że będziemy mieli nagrania z monitoringu. Chciał, żebyśmy je mieli. Dlatego się przebrał. I dlatego też nie mogliśmy go zidentyfikować, choć wyszedł jedną z promienistych dróg z cmentarza. Musiał pod spodem mieć własne ubranie. Może przeszedł obok nas, może był w tłumie gapiów. Przebrania nie znaleziono. Przeszukano wszystkie śmietniki i okoliczne klatki w blokach, rów wokół cmentarza. Bez skutku. Musiał je zabrać ze sobą, a może gdzieś ukrył. Być może zostało już zniszczone, choć wątpię. O tym za chwilę. Te ciuchy to jedynie kamuflaż — Hubert przerwał i nakazał Lenie zgasić światło. Policjanci obejrzel nagranie z monitoringu. Nie było zbyt dobrej jakości, ale sprawca był wyraźnie widoczny.

— Obuwie sportowe, jakie miał na sobie sprawca, to buty sportowe typu adidas, no name, produkcja chińska. Nie da się ustalić ich marki, ale mamy rozmiar. Sprawca nosi rozmiar trzydzieści osiem. To bardzo mały numer jak na mężczyznę — znów zawiesił głos. W pomieszczeniu panowała kompletna cisza.

— To kobieta! — słychać było pojedynczy szept z sali. Hubert nie odpowiedział. Po chwili mówił dalej: — Teren, na którym sprawca pozostawia ciało, zwykle służy w innym celu. Sprawca nie chce, by zostało znalezione lub stara się opóźnić jego odnalezienie. Chce być bezkarny. Tutaj jest inaczej. To był show dla nas. Ten ktoś chciał nam coś pokazać, próbował coś powiedzieć. Oto ja, patrzcie.

— To znaczy, że on chce być złapany? — zapytał jeden z policjantów.

— Podświadomie tak — odpowiedział profiler. — Świadomie podjął z nami grę. Na przykład zamierza zrzucić winę na kogoś innego. Wrzucić nas na lewe sanki. Być może sprawców jest dwóch.

— Dwóch? Skąd pan to wie? — odezwał się Pilecki.

Meyer nie odpowiedział od razu.

— Jest wiele przesłanek wskazujących na to, że nie działa sam. Ktoś mu pomaga — zawiesił głos i poprosił o ponowne włączenie projektora. Na ścianie wyświetliła się fotografia wózka z ciałem. Technik, który wykonał zdjęcie, musiał się cofnąć i zgodnie z zasadą fotografowania cebulkowego zarejestrował coraz bliższe plany. Policjanci jeszcze raz obejrzel kolejną fotografię z miejsca zdarzenia. Pokaz slajdów zakończył się na zbliżeniu przykrytego pakunku w wózku.

— Dlaczego przewoził je w wózku? — skierował do zgromadzonych pytanie Meyer. Nikt z sali się nie odezwał, więc rzucił odpowiedź: — Mógł je przenieść i zostawić, jeśli chciał coś ogłosić.

— Ale co? Co ogłosić? — oburzył się Petryka. — Czy nie dorabiamy tu jakiejś ideologii? Cmentarz, przebranie, rytuały. Przesada. To zwykły psychopata.

— Daj dokończyć — wtrącił się Pilecki i zasugerował: — Może wydawało mu się, że tak będzie lepiej zamaskowany. Że nikt nie pomyśli, że dziecko nie żyje, a na przykład śpi.

— Ile waży takie dziecko? — wtrącił Wojda. — Ze dwadzieścia pięć kilo. Jeśli był silny, mógł dać radę sam.

— Trzydzieści parę plus opakowanie. Razem ze czterdzieści — przerwał mu Meyer. — Ciężko się tak spaceruje, a ucieczka z solidnym pakunkiem wymaga dużej siły fizycznej. Nawet ty dałbyś radę je donieść, ale czy nie złapałbyś zadyszki podczas ucieczki? On był mikry. To nie był Goliat. Rozmiar buta trzydzieści osiem. To najpopularniejszy damski rozmiar.

Zapanowała cisza. Wszyscy analizowali to, co powiedziało.

Profilier wziął kartkę i odczytał z podanego rysopisu:

— Metr siedemdziesiąt wzrostu, szczupła budowa ciała, szara bluza z kapturem, buty sportowe, czapka z daszkiem. Zamaskowany, w przebraniu, zastosował legendę. Wykorzystał wszystkie swoje atuty, by nie tylko ujawnić ciało, ale też bezpiecznie opuścić miejsce zdarzenia. Plan wykonał znakomicie. To spryt życiowy, ale i inteligencja. Nie mamy do czynienia z człowiekiem po zawodówce czy bezrobotnym. To osoba, która sama umie organizować pracę, skutecznie rozwiązuje konflikty i potrafi dostosować się do istniejących warunków.

— Czyli nie porzucił ich przypadkowo, jak myśleliśmy. Chciał dowieźć ciało do tego miejsca, a potem łatwo się oddalić — podsumował Pilecki.

Meyer skinął głową i kazał cofnąć slajdy. Znów mieli przed sobą kadr ogólny miejsca zdarzenia. Sprawca wjeżdża z wózkiem na cmentarz. Każdy z nich zrozumiał teraz, dlaczego nikt nie zatrzymał sprawcy. Z oddali wózek nie wyglądał podejrzanie. Dach skutecznie zasłaniał głowę dziecka, zwisające nogi były oparte o gumową podpórkę.

— Wózek spełniał jeszcze jedną rolę — powiedział Meyer. — To legenda. Spośród przesłuchanych kilkudziesięciu osób tylko cudzoziemców zaniepokoił mężczyzna z wózkiem. Kiedy?

— Gdy wjeżdżał po schodach i nogi dziecka omsknęły się z podpórki — odpowiedział Doman.

— Dokładnie. — Meyer pokiwał głową. — Ten ktoś wiedział, że będzie musiał pokonać nie tylko płaski teren. Nie skorzystał z prostej drogi, ale wjechał nim na schody. Miał wprawę, musiał to robić już wcześniej.

— Przyjechał autobusem? — spytał Wojda.

Meyer pokiwał głową.

— Bingo — powiedział. Wziął długopis i wrócił do tablicy, na której zaznaczył cyfrę szesnaście.

— On mieszka na tej linii. Pod swoim domem ma przystanek. I bezpiecznie przemieścił się nim na cmentarz. Po to wziął wózek. Żeby nie nosić ciała, lecz bezkarnie się go pozbyć.

Zapadła cisza.

— Ten koleś nie mógł działać sam. Nie sposób wozic zwłok po mieście — podważył teorię Meyera Petryka. — Ktoś musiał stać na czatach. Trzeba go znaleźć.

Meyer przerwał mu:

— Zaraz do tego dojdziemy.

Znów podszedł do mapy. Miejsce odkrycia zwłok oznaczył czerwoną chorągiewką. Potem wkładał kolejno żółte szpilki.

— Tu mieszkała, tutaj chodziła do szkoły, tutaj przychodziła do matki, a tutaj — zatrzymał się i oznaczył na zielono starą oczyszczalnię — tutaj była jej bezpieczna strefa.

Potem wziął pisak i połączył wszystkie punkty w nieregularny wielobok. Miejsce znalezienia ciała znajdowało się poza nim.

— Przepraszam, ale nic nie rozumiem — wtrącił się naczelnik. — Co to właściwie znaczy?

Meyer spojrzał na Lenę, która nabrała powietrza i wyjaśniła:

— Każdy człowiek ma swoje rytuały. Chodzimy tymi samymi drogami. Niechętnie zmieniamy tor naszych myśli, przyzwyczajęń. Tak czujemy się bezpiecznie. Na tej podstawie można ustalić tak zwaną mapę mentalną ofiary, która wskaże, gdzie zaatakował ją sprawca. Zwykle strefa bezpieczna pokrywa się u ofiary i sprawcy. Ta część jest komplementarna, ponieważ sprawca musi dobrze znać ofiarę, by nad nią zapanować, jeśli chce dokonać zbrodni. To oznacza, że ten zielony punkt i przestrzeń wokół jest też strefą bezpieczną sprawcy. Tu mieszka lub pracuje, porusza się, czuje się swobodnie.

— Co tam jest? — Naczelnik wstał i podszedł do mapy.

Meyer zakreślił kółkiem przestrzeń wokół punktu.

— Osiedle Dziesięciny.

— Co nam to daje, poza tym, co już wiemy? — spytał Pilecki. — To ogromny teren.

— Nic, bez określenia procesu polimotywacyjnego oraz identycznej mapy mentalnej sprawcy — odezwał się Meyer. Podszedł teraz do tablicy, na której zapisane były imiona dzieci.

Przy imieniu Amadeusza dopisał przy strzałce Kobierskiego. Podkreślił go dwa razy. Przy Zosi oznaczył matkę, ojca, lekarza, którego po zastanowieniu skreślił. Czwartą strzałkę pozostawił pustą.

— Kto ostatni widział dziecko żywe?

— Nauczycielka ze szkoły — odpowiedział Doman.

Po chwili pokręcił głową.

— Nie. Ta kobieta z kwaciarni. Ona z nią rozmawiała ostatnia.

W sali zapadła cisza. Meyer oznaczył na tablicy czwartą podejrzaną: Aleksandra Jekel. Po czym połączył ją strzałką z Amadeuszem.

— O, kurwa! — wymsknęło się jednemu z policjantów. — A co to jest?

Meyer wziął kartkę i zaczął czytać:

— Amadeusz zginął w wyniku uduszenia. Bruzda na szyi miała pół centymetra, bez śladów ran czy uszkodzeń skóry. Narzędzie zbrodni

musiało być miękkie, na przykład pasek, cienki kabel albo sznurówka. Na jego ciele było wiele drobnych siniaków i zadrapań. Powstały co najmniej dwadzieścia cztery godziny przed śmiercią. Brak śladów walki. Ciało było przemieszczone i ukryte w kontenerze na śmieci. Nie było przykryte ani przebrane. Chłopiec miał zadartą bluzkę i rozpięte spodnie. Zwłoki odkryto następnego ranka. Znalazła je sprzątaczką.

Nie stwierdzono oznak znęcania się. Motyw seksualny nie został potwierdzony.

— Czy to znaczy, że kobieta z kwiaciarni mogła dokonać obu zbrodni? — zapytał Doman.

Meyer wzruszył ramionami.

— Nie widzę na razie podstaw, by tak sądzić. Ale zabójstwo Zosi jest niemal wiernym odtworzeniem zabójstwa Amadeusza. Z tym, że tamto ciało zostało ukryte, a to zostało wystawione na pokaz.

— Co to znaczy? — padło pytanie z sali.

Hubert pokiwał głową.

— Odwet za uczynioną krzywdę? Ale może też próba ochrony. Zaprzyjaźniła się z dziewczynką. Zachowanie misterium śmierci, przykryta twarz, miejsce wystawienia zwłok i sposób zabójstwa świadczą o szacunku do ofiary.

— Dlaczego miałyby czekać tyle czasu? Dlaczego zwlekała? Minęło prawie pięć lat od śmierci jej syna. Co się stało? — dopytywał się Doman.

— Właśnie — pochwalił go Meyer. — Może Zosia uruchomiła ponownie jej traumę? Może florystka zidentyfikowała się z nią? Trzeba do sprawy zabrać się delikatnie, by jej nie spłoszyć. Obserwować ją, ale żadnych gwałtownych ruchów. Trzeba podjąć z nią grę, by doprowadziła nas do współnika. Ona mogła zabić, by w swoim szalonym umyśle chronić dziecko przed dalszym cierpieniem. Wszyscy chyba wiedzą, w jakim jest stanie.

— Syndrom Medei — szepnął Doman, na co Meyer przytaknął. A po chwili dodał: — Ale może udaje. W ten sposób chce uniknąć odpowiedzialności. Wszyscy wiedzą, że wariaci nie idą siedzieć. Duch dziecka jest wspaniałym pretekstem do leczenia. Po kilku latach wychodzi się na wolność. Cudownie uzdrowiona.

— Przyciśnijmy ją i tyle — poderwał się jeden z policjantów. Doman natychmiast go usadził.

— Już ją mieliśmy — mruknął. — Była nawet przesłuchiwana. Niestety, musieliśmy ją natychmiast odwieźć do szpitala. Zemdląca w trakcie. Potem już nie było z nią kontaktu.

Wszyscy wpatrywali się teraz w Domana.

— Coś powiedziała? — zainteresował się Pilecki.

— Tak, opowiadała bardzo ciekawie — odparł Doman. — O ogrodach, kwiatkach i miłości do syna. Na koniec przyznała się, że podejrzewa, że to Amadeusz zabija.

— Co? — poderwał się Pilecki.

— To wariatka! — dodał Petryka.

Doman wzruszył ramionami.

— Dokładnie, szefie. Znaczą się, leżymy — mruknął. Pilecki wsunął ręce we włosy i zamarł. — Nie możemy czekać, aż ta kobieta się wykuruje. Trzeba to szybko wykryć. Jest ciśnienie. Na jakiej podstawie mamy postawić jej zarzuty?

Teraz do tablicy zbliżyła się Lena.

— Zakładamy, że florystka mogła zabić to dziecko, a nawet je przewieźć. Może chciała, żeby Zosia była bliżej jej dziecka. Mówiła dziś o tym, że Amadeusz chciał mieć koleżankę. Po śmierci czuł się samotny i tak dalej. Ale ten teatrzyk ze zniczem tutaj nie pasuje. Ona nie chodziła na cmentarz. Może to nie jej pomysł. Może wręcz przeciwnie, pomiędzy sprawcami doszło do konfliktu i drugi sprawca zastosował legendę, by rzucić winę na florystkę. Zakładamy, że to drugi sprawca podrzucił plecak, bo chciał nas doprowadzić do ciała. Myślał, że połączymy cmentarz z florystką. Podobieństwo dokonania zbrodni, wiek dzieci. Powinniśmy udawać, że tak właśnie myślimy. Kiedy zauważy, że jesteśmy w ślepych punkcie, da nam kolejny znak. Odezwie się.

— Kto to może być?

Meyer wzruszył ramionami.

— A matka Zosi? Ta Marlana? Jej byłoby na rękę, gdyby pozbyła się ciężaru. Mogłaby zacząć na nowo, z kimś innym — zaczął Doman.

— Nie wiem. Może to być matka Zosi, choć na razie nie ma danych, że one się ze sobą kontaktowały. Ojciec? Nie wiem. Nie ma dowodów na to

molestowanie. Może to być lewy trop. Mamy tylko rysunki i obciążające go zeznania osób, które same są w kręgu podejrzanych.

Pilecki, który wciąż stał i przyglądał się mapie, odwrócił się nagle i wskazując na zieloną szpilkę, zapytał:

— Tutaj znajduje się ta bezpieczna strefa, tak?

Meyer pokiwał głową.

— Ale co tu jest? Dokładnie.

— Na przykład „Ogród Aleksandry”. Kwaciarnia, w której pracuje florystka. Tam dziewczynka zostawiła swoje rysunki, do niej uciekała z domu.

Meyer położył rysunki dziecka na stole.

— Molestowanie nie zostało potwierdzone. Ale to ważny trop.

— Skoro tak, to dlaczego florystka wam to wszystko oddała? Nie rozumiem. To jawne skierowanie na siebie podejrzeń — drążył Pilecki.

— Dlaczego się przyznała?

— To wariatka — zachnął się jeden z policjantów. — Ona ześwirowała po śmierci syna. Gadała z nim, widziała duchy. Trzeba ją zamknąć i przycisnąć. Krótka piłka.

— Ją możemy mieć w każdej chwili — odezwała się Lena. — Tak naprawdę niebezpieczna jest ta druga osoba. To ktoś nieobliczalny, działający spektakularnie, na dodatek czuje się bezkarny. Ten, kto podrzucił plecak, przebrał ciało i umieścił jak transparent w samym środku miasta. A teraz jest pewien, że zrobimy dokładnie tak, jak mówisz. Zamkniemy florystkę, a on pozostanie niewinny.

— Ta osoba... — zaczął Meyer — ...ta osoba nie ma nic do stracenia. Jest inteligentna, przewiduje nasze działania. Jest w bliskim związku emocjonalnym z tą kobietą.

— Czyli matka i ojciec dziewczynki odpadają?

— Związek emocjonalny nie oznacza miłości czy przyjaźni. Może być też strachem, nienawiścią, współczuciem. Jest ich połączeniem. Może być oparty na wspólnej krzywdzie. Trzeba go znaleźć.

— A co z tą legendą? — uniósł się naczelnik. — Co z przebraniem, cmentarzem, zniczem na grobie Amadeusza? Czy ja jestem ślepy, czy ja czegoś nie rozumiem? Ktoś wozi trupa po mieście, a potem zapada się pod ziemię i śmieje się nam w twarz. Jak mamy to wyjaśnić ludziom? Że zrobiła to wariatka? Dlaczego? Zapanuje panika.

— Trzeba sprawdzić każdą osobę, z którą florystka miała kontakt. Odkopać wszystkie związane z nią wątki, przetrzepać jej dom — zdecydował Doman. Po chwili jednak zmarkotniał. — Jeśli sama nie zechce, nie możemy jej trzymać w szpitalu w nieskończoność. Trafiała tam po urazie, dostanie środki uspokajające i zostanie wypuszczona. Trzeba ją tam jakoś zatrzymać, podłubać przy tym, a potem zostanie przesłuchana i puszczona na wabia. Ma być pilnowana dzień i noc, a każdy jej ruch i wszystkie osoby, które się z nią kontaktują, trafiają na przesłuchanie.

— Tylko dyskretnie, bez szału — poparł Domana naczelnik, patrząc na nabuzowanych policjantów. — Proszę rozesłać profil do wszystkich tu obecnych, a wy przekazcie go swoim ludziom. Wydaję rozkaz zapoznania się z tym raportem i trzymania się jego wytycznych.

Odprawa była zakończona. Lena była w szoku. Nie tego się spodziewali z Meyerem. Niesłusznie podejrzewali Pileckiego o złe zamiary, a on okazał się rzetelnym gliną. Policjanci powoli podnosili się z krzeseł. Naczelnik podszedł do mapy i raz jeszcze ją przestudiował.

— Mam nadzieję, że pan się nie myli — zwrócił się do Meyera zaczepnie, kiedy zostali sami. — Położyłem dziś za pana głowę na szafot. Za bardzo ją lubię, żeby tak pochopnie ją stracić.

— Tak jest — odparł Meyer. Naczelnik nie dawał mu znaku, by odmaszerował, stał więc w tym samym miejscu i czekał.

— Każe mi pan ją wypuścić? — upewnił się Pilecki.

Meyer potwierdził.

— Ale według pana to ona?

— Wiele na to wskazuje — odparł Hubert. — Pobrano jej wyskrobiny spod paznokci. Lada dzień będą wyniki analizy porównawczej.

— A jeśli w tym czasie dojdzie do kolejnej tragedii?

— Potrzebujemy tylko, by skontaktowała się ze współnikiem. Nic więcej — zapewnił go Meyer.

— Nie dałoby się jej jakoś zwerbować, obstawić mikrofonami? — spytał naczelnik. — Każdy ma jakąś cenę.

— Tej kobiecie zależy już tylko na jednym — odezwał się Meyer. — Na śmierci. Ona chce być ze swoim synem. Nie da się z nią negocjować.

Można ją tylko wykorzystać jako wabik. Ta druga osoba jest sprytna i dużo wie o naszej pracy.

— Ktoś z policji? — zaniepokoił się Pilecki.

Meyer nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Pan wie, że nie mogę wskazać, czy jest to ta czy inna osoba. Mogę tylko przygotować profil z jej cechami. Ale, owszem, może mieć protektora znającego naszą pracę. Warto to sprawdzić.

Naczelnik milczał. Tym razem nie protestował przeciwko łączeniu spraw i skupianiu się na tej jednej, jakby zrozumiał, że Meyer wie, co robi.

— Jest pan lepszy niż mówią — stwierdził wreszcie i spojrzał na Huberta z nieskrywanym podziwem. — Słusznie liczyłem na pana. Dzięki panu rozwiążemy tę sprawę, zanim całkiem osiwieję.

Dopiero teraz Meyer zauważył, że włosy Pileckiego na skroniach są jakby obsypane pudrem. Jeszcze kilka dni temu było to mało widoczne, dziś nie dało się ukryć. Ten człowiek musiał bardzo przeżywać to śledztwo. Pewnie w Białymstoku od dawna nie mieli tego typu zdarzeń.

— Mogę odejść? — zapytał Hubert. Pilecki wyciągnął do niego rękę w geście pojednania.

— Dziękuję za pomoc.

Nie było więcej słów, pożegnania czy wyjaśnień. Oficjalna misja Meyera została zakończona. Mógł wracać do domu.

— To ja dziękuję za danie mi ostatniej szansy — odpowiedział i ruszył do wyjścia. Kiedy zamknął drzwi, poczuł, że plecy ma mokre od potu. Od dawna nie czuł na sobie tak ogromnej odpowiedzialności. Wiedział przecież, że dopiero teraz zaczyna się prawdziwa misja. I tym razem nie da się zbyć, by ktoś zasłonił się jego błędem. Za drzwiami na końcu korytarza stała Lena. Czekwała, aż wszyscy już pójda, by móc wejść do naczelnika. Kiedy Meyer odchodził, mrugnęła do niego porozumiewawczo. Wszystko mieli dogadane.

Eliza obawiała się, że policja opieczętowała już drzwi mieszkania Oli, ale okazało się, że nie. Kobieta zdecydowała się skorzystać z okazji. Pośpiesznie otworzyła drzwi kluczem i rozejrzała się wokół. Większość jej rzeczy była już spakowana. Elizę zabolalo to, co zrobiła przyjaciółka, ale nie pierwszy raz próbowała się jej w ten sposób pozbyć. Tym razem

będzie to wreszcie raz na zawsze. Wystawiła walizkę na kółkach na korytarz i pomyślała, że na szczęście kiedyś ją tutaj przywiozła. Nie będzie musiała daleko nosić ciężkich pakunków. Biodro doskwierało jej coraz bardziej. Środki przeciwwzapalne, które brała w ogromnych dawkach, przestały pomagać. Eliza wiedziała, że powinna iść z tym do lekarza. Zebrała jednak wszystkie siły i zdecydowała, że najpierw musi zlikwidować ślady swojej bytności u florystki. Skoro Ola została aresztowana, zaraz przyjdą i do niej. Zaczną je podejrzewać o bliski związek, a zanim Eliza wszystko wyjaśni, już będzie pośmiewiskiem w swoim środowisku. Nie wolno jej pozostawić ani jednego drobiazgu. Rozejrzała się, czy o niczym nie zapomniała. Po namyśle wróciła do kuchni i wytarła wszystkie blaty, starła też kurze tam, gdzie mogła sięgnąć. Wkrótce była zmęczona i ciężko dyszała. Usiadła na chwilę na sofie, aby złapać trochę powietrza. Nagle usłyszała skrzypienie drzwi. Odwróciła się i zobaczyła, że dźwięk dochodzi z pokoju Amadeusza. Chwilę potem drzwi otworzyły się same, bardzo powoli, jakby pchnięte podmuchem wiatru. Eliza poczuła, że włosy na karku stają jej dęba. To pomieszczenie było zwykle zamknięte na klucz. Ola nigdy nie pozwalała jej tam wchodzić. Eliza wiedziała jednak, że pod jej nieobecność Ola przesiadywała tam całymi godzinami, zwłaszcza kiedy miała te swoje ataki. Początkowo Eliza się ich bała, ale potem przyzwyczała się, że Ola musi spokojnie wyjść z transu. Jedyne co mogła zrobić, to pozostawić ją samą. Czasem przytrzymała ją, by za mocno nie poobijała się podczas drgawek. Czasem musiała ją opatrywać lub nawet leczyć. Ola nikomu nie chciała o tym mówić, ale Eliza wiedziała, że kiedy przyjaciółka wpada w trans, kontaktuje się ze zmarłym dzieckiem. Nawet nie chciała wiedzieć, jak to wygląda, choć kiedyś Ola opowiadała jej fragmenty z podróży. Mówiła wtedy o pięknym ogrodzie, który istniał tylko w wyobraźni florystki. Brzmiało to jak utopijne marzenie o raju, o jakim marzą wszyscy katolicy. Próbowała wtedy namówić Olę na leczenie, ale ta zawsze odmawiała i z powodzeniem odgrywała zdrową przed psychiatrami. Godziła się jedynie na półśrodki: psychoterapię i farmakologię. Nigdy nikt jej porządnie nie zbadał, a zdaniem Elizy była to konieczność.

— Odbiorą mi dziecko — protestowała Ola. — Chcę, żeby było ze mną, choćby w takiej formie.

Eliza nie rozumiała tego, ale nie zwykła nikogo do niczego zmuszać. Poza tym kochała Olę jak własną córkę, martwiła się o nią, troszczyła. To dlatego tolerowała też inne dziwne zachowania florystki. Zresztą, choć to niewiarygodne, z czasem do nich przywykła. Mantrowanie nad relikwiami po dziecku, przebieranie się w jego ubrania. Rozmowy z dzwonekami wietrznymi, zimne podmuchy wiatru, które czuła jedynie Ola. Raz, kiedy amarylis zakwitł, próbowała jej wmówić, że to Amadeusz wrócił. Innym razem pokazywała jej swoje rzeczy, które spadły z wieszaków, podczas gdy rzeczy syna spokojnie wisały na swoich miejscach. Albo gotowanie bigosu dla dwunastoosobowej rodziny, robienie dziesiątków naleśników, zamawianie pizzy, której potem nikt nie jadł i trzeba ją było wyrzucać, a wreszcie listy, które Ola pisała do różnych instytucji. Eliza brała je, obiecując, że je nada, z tym że nie bardzo wiedziała, do kogo. Do dziś trzymała je w sekretarzyku, związane różową wstążką. Nie miała odwagi ich wyrzucić. Teraz na pewno to zrobi. Jeśli policja by je u niej znalazła, gotowi oskarżyć ją o współudział. Oli to i tak nie pomoże. Już wcześniej Eliza zauważyła, że nie ma znaczenia, czy wysyła te listy, czy też nie. Ola czuła się lepiej, gdy je pisała. Były dla niej formą terapii, mogła wyrzucić z siebie nagromadzoną złość, radość, całe szaleństwo. Eliza знаła Olę od przeszło dwudziestu lat. Pamiętała ją jeszcze jako zdolną dziewczynkę, która ze słuchu grała Mozarta. Była wybitnie uzdolniona, ale dla Amadeusza zrezygnowała z muzyki. Zdecydowała się wyjechać do męża, w jednej chwili porzucić szkołę. Nie zrobiła nawet dyplomu. Maestra z jednej strony podziwiała jej poświęcenie, z drugiej nigdy tego nie zrozumiała i nie wybaczyła. Była jedną z jej zdolniejszych uczennic, a skończyła najgorzej. Eliza widziała wiele talentów, ale jeśli ktoś miał taki dar jak Ola, nie powinien go marnować. Eliza nawet teraz zrobiłaby wszystko, by znów móc grać. Ale pewnych rzeczy nie da się cofnąć. Żadna z nich nie grała. Ola, bo po urodzeniu Amadeusza nawet nie zbliżała się do harfy, Eliza — z powodów zdrowotnych. Ponownie spotkały się po powrocie Oli do miasta. Uczennica uciekła z malutkim dzieckiem od męża. Maestra, poruszona tą tragiczną historią, pomogła jej wtedy wynająć mieszkanie, zanim Ola nie odzyskała swojego. Ponieważ było obciążone hipoteką za długi ojca, Eliza zapłaciła je wszystkie, po czym pozwoliła w nim zamieszkać. Wedle prawa wciąż

było to mieszkanie Oli, ale Eliza wiedziała, że w razie śmierci florystki to ona je dziedziczy — uczennica pokazywała jej kopię testamentu, który spisała po śmierci syna. Poza tym materialnym gestem Ola nigdy nie okazywała starej nauczycielce wdzięczności. Eliza pomyślała o tym z żalem. Kiedyś bardzo kochała tę dziewczynę. Jak własną córkę, której od lat nie widziała. Za opiekę, czułość i poświęcenie Ola odpłacała jej chłodem, łaskawą zgodą, by żyć obok siebie, a w dobrych chwilach — popisami kulinarnymi. Choć sama jadła niewiele, lubiła gotować dla kogoś i patrzeć, jak ktoś je z apetytem.

Eliza nigdy nie wierzyła w ducha Amadeusza, który miał żyć z nimi w tym mieszkaniu, ale teraz, kiedy drzwi zaskrzypiały złowieszczo, siedziała jak porażona. Ciekawość była jednak silniejsza niż strach. Wstała i popchnęła drzwi.

Pomieszczenie było małe, spowite w ciemności. Przez kolorowe zasłonki w samoloty przedzierała się łuna zachodzącego słońca. Nie było tam nic nadzwyczajnego. Tylko wąska szafa ubraniowa, półki na książki i zeszyty, ułożone tak, jakby Amadeusz wciąż z nich korzystał, biurko, na którym leżały rozłożone dokumenty ze śledztwa, oraz tapczan z pościelą małego lotnika. Gdy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i upewniła się, że w pokoju nie ma nic niebezpiecznego, podeszła do okna. Rozsunęła zasłony. Odwróciła się i rozejrzała. Zamarła.

Na tapczanie leżało rozprostowane ubranie, udając leżącego człowieka: spodnie od dresu, szara bluza z kapturem i żółta, przybrudzona bejsbolówka. Ta sama, w której Amadeusz był niemal na każdej fotografii przed śmiercią. Obok, na podłodze leżała zwinięta reklamówka z popularnego dyskontu. Eliza zasłoniła usta ręką, by powstrzymać krzyk przerażenia. Nie wahając się ani chwili, zwinęła rzeczy do reklamówki i zatrzasnęła drzwi pokoju. Wyszła na korytarz i kiedy szukała kluczy, by zamknąć drzwi od mieszkania, ktoś dotknął jej ramienia. Wzdrygnęła się. Torba z ubraniami Amadeusza wypadła jej na podłogę.

— Hej, zalewa mnie pani — niewyraźnie mruknął młody człowiek ubrany w luźne spodnie z obniżonym krokiem i bluzę w panterkę. Grzywka emo zasłaniała mu prawe oko.

— Ja? — zdziwiła się Eliza.

— No tak. Na czachę mi kapie. Piecyk i konewkę[9] mam w piwni[10]. Może sprawdzimy?

Eliza dałaby sobie rękę uciąć, że nic nie słyszała. Ale otworzyła drzwi i wpuściła mężczyznę do środka. Pod drzwiami łazienki nagromadziła się już spora kałuża. Teraz wyraźnie słychać było szum lejącej się wody. Mężczyzna podszedł do wanny i zakręcił kurki.

— Skleroza nie boli. — Popukał się w głowę. — Ma pani jakieś ubezpieczenie, czy bilety NBP będą? Se pani uszczelki zmieni, to nie pierwszy raz mi gary[11] zalewa.

Eliza odparła, że woli zapłacić gotówką. Wysupłała z torebki banknot stużłotowy. Chłopak wyrwał go jej z ręki, zaśmiał się i zasalutował:

— Nara babciu. Podbiję do ciebie jakby brakowało — powiedział i zszedł do piwnicy, naśladowując dźwięki perkusji.

Eliza dokładnie sprawdziła, czy kurki gazu i wody są zamknięte, wyjęła wtyczki z kontaktów. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że tak zawsze przed wyjściem robiła Ola. Śmiała się przy tym, że jej synek lubi sobie głupio żartować i nawet teraz czasem robi jej psikusy. To jeszcze dziecko. Nie wolno mu na wszystko pozwalać. Teraz w głowie Elizy wędrowały straszne myśli. Czyżby wszystko, co mówiła Ola, było jednak prawdą? Duch dziecka był w tym mieszkaniu? Przycisnęła do piersi reklamówkę z ubraniem Amadeusza. Wiedziała, co z nim zrobić i komu to oddać. Zamknęła drzwi na klucz, który dokładnie wytarła rąbkiem od sukienki, tak jak pokazywali na filmach, po czym schowała go pod wycieraczkę. Nie planowała przychodzić tutaj już nigdy więcej. Zresztą nie była pewna, czy kiedykolwiek wystarczy jej odwagi.

Po wyjściu z komendy Meyer ruszył na przystanek autobusowy. Spytał jakiegoś przechodnia, gdzie złapie szesnastkę, i wolnym krokiem poszedł w tamtą stronę. W kiosku na przystanku kupił papierosy i kilka biletów. Planował dziś pokonać trasę Zosi w tę i z powrotem. W oczekiwaniu na przyjazd autobusu przestudiował rozkład jazdy. Tak jak się spodziewał, autobus kończył bieg na Dziesięcinach. Dziś Hubert nie zamierzał wysiadać na pętli, skąd było najwygodniej dojść do starej oczyszczalni ścieków. Prześledził kolejne przystanki i zdecydował, że pokręci się po ulicy Berlinga, gdzie mieszkała florystka, a kilka bloków dalej zginął jej syn, Amadeusz.

Mimo późnej pory w autobusie było pełno ludzi. Większość wracała z pracy, wyglądali na zmęczonych i smutnych. Kobiety taszczyły siatki z zakupami, a rozkraczeni na siedzeniach dresiarze ani myśleli ustąpić im miejsca. Popisywali się przed dziewczyną jednego z nich, która nie odzywała się, ale wyglądało na to, że jest dumna z tego, w jakim jest towarzystwie. Z tyłu autobusu siedziało trzech mężczyzn w kurtkach typu players i glanach ze sznurówkami zaplecionymi w biało-czerwoną drabinkę. Głowy mieli ogolone na łyso, patrzyli spod oka na dresiarzy bawiących się nowym modelem telefonu. Hubertowi przemknęło przez głowę, że skini siedzieli grzecznie, bo dresiarze mieli nad nimi zdecydowaną przewagę liczebną. Czuło się jednak ich niechęć, choć nie odzywali się ani słowem.

Meyer ustąpił miejsca ciężarnej kobiecie, sam zaś śledził przebieg trasy. Zastanawiał się, jak florystka poznała Zosię. Gdyby nie było z nią tak źle, zdołałby się tego dowiedzieć. W tej sytuacji trzeba czekać. Wiedział, że musi ponownie spotkać się z maistrą. Jeśli Ola była harfistką, nauczycielka będzie ją kojarzyć. Może nawet ją uczyła. To mądra kobieta, z pewnością bardzo mu pomoże. Zanim się obejrzał, dojechał do celu. Wraz z nim na przystanku wysiadło wiele osób, w tym grupka dresiarzy. Wolnym krokiem, zaśmiewając się z jakiegoś rubasznego dowcipu, ruszyli do ławeczek koło trzepaka. Z kieszeni wyciągnęli puszki z piwem, podłączyli mp3 do przenośnych głośniczków i rozpoczęli imprezę. W ostatniej chwili, kiedy autobus ruszał już z przystanku, wyskoczyło z niego dwóch łysoch w playersach. Rozpierzchli się w różnych kierunkach. Meyer patrzył za nimi chwilę, wydali mu się podejrzani. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym, choć wietrzył zbliżającą się bójkę. Skini ruszyli pewnie na zwiad po kumpli i wrócą tutaj, zanim dresiarze opróżnią swoje puszki.

Hubert rozejrzał się. Większość bloków była identyczna. Ten sam kolor, układ, zaplecze sklepów, garaży. I oczywiście mnóstwo zieleni. Wszędzie wypielegnowane trawniki, żywopłoty, rabatki. Rozłożyste liście drzew skutecznie osłaniały dzielnicę przed wścibskim wzrokiem obcych. Dotarł do numeru 19. Był to długi, klockowaty jamnik składający się z trzech części niczym absurdalny tort. Na froncie ktoś napisał: „Jebać policję” i niżej: „Jagiellonia Pany”. Pierwsza część

wieżowca liczyła siedem pięter, druga dziesięć, a ostatnia — ta, w której mieszkała Aleksandra Jekel — trzynaście. Wszystkie klatki były otwarte, domofony nie działały. W najniższej części znajdowało się pomieszczenie na kontenery. Meyer ruszył wprost do trzeciej klatki. Wiedział, że florystka jest w tej chwili w drodze do szpitala, nie mógł więc nikogo zastać w mieszkaniu, ale chciał zerknąć na układ bloku. Chciał też zbadać, ile czasu zajęłoby jej dowieszenie ciała Zosi na przystanek, zakładając, że dokonała tej zbrodni.

Mieszkanie Oli znajdowało się na parterze, tuż obok windy, która wyglądała na dużo nowszą niż cały blok; musiała być niedawno wymieniana. Nie było tu innych mieszkań. Wystarczyło wejść do klatki, pokonać przedsionek ze skrzynkami listowymi, trzy schodki w górę, winkel w prawo i było się na miejscu. Hubert pomyślał, że to doskonałe warunki, by wchodzić i wychodzić niezauważonym. Do tego droga do autobusu nie zajęłaby florystce dłużej niż siedem minut, włącznie z wyjściem z domu. Skąd jednak mogła mieć wózek i dlaczego nikt jej nie widział? Rozejrzał się i uświadomił sobie, że jest tu już ponad kwadrans, a nikt się nim nie zainteresował. Wszedł ponownie do klatki, otworzył drzwi do piwnicy. Wewnątrz było kolejne wejście, trzeba było mieć klucze. W przedsionku zaś stały rowery i wózki. Spacerówki, gondole. Można było wybierać do woli. Nikt tego nie pilnował, nie zamykał na kłódkę. Nagle z pomieszczenia wyszedł chłopak w spodniach z obniżonym krokiem, naśladowując rytm perkusji. Nie zwrócił na Huberta uwagi.

— Przepraszam — zaczepił go Meyer, ale dopiero wtedy dostrzegł, że z uszu chłopaka wystają kable, szarpnął go więc za rękaw. Młodzieniec natychmiast się odwrócił.

— Czy tu zawsze jest otwarte? — zapytał.

— No, chyba tak — odparł emo i ruszył dalej. — Nie wiem, pan się spyta dozorczy. Co to ja, informacja jestem?

Hubert ruszył za nim do wyjścia. Kiedy obaj wspięli się po schodach, już na zewnątrz, zaczepił młodego jeszcze raz.

— A Palmowa dwadzieścia pięć to gdzie będzie? — Poczęstował go papierosem, ale chłopak odmówił. Wskazał sąsiedni blok.

— Tutaj? — zdziwił się Hubert. Bloki znajdowały się obok siebie, oddzielone tylko wewnętrzną drogą wjazdową, na której stały

samochody. Oznaczało to, że Amadeusz został napadnięty dokładnie pod swoim domem, zaś Cyc był jego bezpośrednim sąsiadem.

— Pan z policji? — zapytał chłopak. Był już zniecierpliwiony tym wypytywaniem.

Meyer rozpromienił się.

— Nie, na szczęście. A co?

Chłopak od razu się rozluźnił.

— Wypasiona kurtka — powiedział i wskazał na kurtkę Meyera. — Niezły dermoszpan — dodał.

— Szukam Vegasso, gdzie to?

Chłopak wskazał barak między blokami. Z tej perspektywy widać było jedynie tył budynku i soczyste od przekleństw graffiti.

— Ale zamknęli to na kilka dni. Chyba ten koleś wyjechał, czy jak?

Meyer zdziwił się.

— Zaraz po tym, jak skiny spaliły Kopiluwak — nieoczekiwanie rozgadał się młody. — Popyta się pan, to powiedzą. To chyba jeden właściciel był.

— Dzięki — mruknął Meyer i poszedł w tamtym kierunku.

Pilecki stał odwrócony tyłem, kiedy Lena weszła do gabinetu. Wszystkie okna były zasłonięte roletami z tkaniny. Naczelnik wkładał i wyjmował długopis z dziury wypalanej papierosem. Kiedy trzasnęły drzwi, odwrócił się i wskazał jej wolne krzesło. W pomieszczeniu panował półmrok. Z radia dobiegała skoczna muzyka. Naczelnik podszedł i gwałtownie wyłączył odbiornik z kontaktu.

— Słucham panią — powiedział i usiadł z łoskotem w swoim fotelu.

Lena wpatrywała się w niego, nic nie rozumiejąc. Uśmiechnęła się.

— Panią?

— To rozmowa oficjalna. Proszę o potraktowanie jej poważnie, wraz z konsekwencjami — wyjaśnił chłodnym tonem.

Lena zamilkła i pochyliła głowę.

— Trochę długo to trwa, Lena — rozłożył ręce Pilecki. — Nie mamy nic, czym moglibyśmy się pochwalić. Ty zaś grzebiesz w starych, dawno zamkniętych sprawach. Po co?

— One są ze sobą powiązane — odpowiedziała. Obejrzała się na tablicę, która była już umyta do czysta. Nie zostało na niej nic, co

mogłoby świadczyć o niedawno zakończonej odprawie. — Przecież dobrze wiesz, że ciężko pracuję. Nie rozumiem, dlaczego...

— Oczywiście, tylko po co, ja się pytam? — przerwał Pilecki i przesunął w jej stronę plik kartek.

— Co to jest? — Lena nie ruszyła się, by je przejrzeć.

— To skargi ludzi, którzy mieli okazję pracować z wami przy tej sprawie.

— Słucham? — Poczowała, że oblewa ją zimny pot. — Jakich ludzi? Mogę to zobaczyć?

— Po to je przyniosłem, choć właściwie nie muszę ci tego pokazywać. — Szybko zabrał kartki. Zaczął je przeglądać. — Petryka, Wojda, Czupryna, Domański i kilku innych. — Rzucił plik na biurko.

— Domański też jest ze mnie niezadowolony? — spytała z niedowierzaniem.

Komendant uśmiechnął się.

— Jak widać.

— Rozmawiałam z nim dziś rano. Nie narzekał.

— A do mnie złożył skargę. Proszę, możesz zobaczyć. — Przesunął papiery na róg biurka.

Lena wzięła dokumenty, przejrzała je pobieżnie. Faktycznie, podpisy były oryginalne, zaś treść szablonowa. Jakby ktoś nawet nie zadał sobie trudu, by wyglądało to wiarygodnie. Zarzucano jej brak kontaktu z jednostką, działanie na własną rękę, nietrzymanie się procedur i metody pracy zmuszające policjantów do zaniedbywania swoich obowiązków. Daty wskazywały jednoznacznie, że skargi złożono jeszcze przed znalezieniem zwłok Zosi. Lena wnikliwie przeczytała jedynie opinię wystawioną przez komisarza Tomasza Domańskiego. „Samowolne decyzje, polegające na opuszczaniu miejsca pracy w celu przesłuchiwania świadków, działania operacyjne, które można wykonać przy pomocy innych jednostek”.

— To jakiś żart? — Potrząsnęła dokumentami. — To stare skargi, na dodatek z większością tych ludzi nigdy nie rozmawiałam. Widziałam ich jedynie na korytarzu lub podczas odpraw.

— Za to oni często widują ciebie z kochankiem — odparował Pilecki.

— Słucham? — Nie wierzyła własnym uszom. — Dałeś mi do zrozumienia, że mogę pracować tak jak potrafię. Staram się wykonywać

swoje obowiązki wzorowo. Przecież nakazałeś mi współpracować z Meyerem. Sam mnie zatrudniłeś.

— I co my z tego mamy? Tylko kilka skarg i domysłów. Wspaniałe wykłady na odprawach i rozgrzebaną sprawę. Poza tym nie wiedziałem, że będziesz używała hotelu jako miejsca schadzek, zamiast pracować — rzucił Pilecki. — Skarga numer sześć, starszy sierżant Akaya Gilewski. Proszę uważniej czytać przekazywane dokumenty.

Lena przeszukała plik i teraz zrozumiała. Widziano ją w hotelu, jak nad ranem wychodziła z pokoju Meyera. Data wskazywała, że było to po jej pierwszej rozmowie z florystką, wtedy, gdy kłócili się na korytarzu, a potem wspólnie kończyli ekspertyzę.

— Nie muszę się z niczego tłumaczyć. — Rzuciła plik kartek na stół. — Poza tym to moja sprawa, z kim sypiam.

— Oczywiście, ja wam pod kołdrę nie zamierzam zaglądać. Byle nie działało się to za pieniądze obywateli — Pilecki znów przyjął oficjalny ton. — Chyba rozumiesz, co to dla ciebie oznacza?

— Od jak dawna mnie pan śledzi? — spytała zaczepnie. — Od początku?

Komendant nie odpowiedział na zadane pytanie.

— Nie mam wyjścia, pani doktor Pawłowska — westchnął ciężko, jakby to nie była jego decyzja, lecz nieprzyjemny obowiązek. — Musicie odejść oboje. Ludziom nie podobają się wasze metody pracy, a ja nie mam nic na waszą obronę. Piszesz raport o zwolnienie, czy mam cię wyręczyć?

— Na odprawie mówiłeś inaczej — podniosła głos Lena. — Co to za gra?

— Uspokój się, bo będziemy rozmawiali inaczej — uprzedził ją spokojnie. — Na razie nie jestem twoim wrogiem, więc mnie nie prowokuj. Staram się wam pomóc.

— Pomóc? — prychnęła Lena. — Dziwnie pracujecie w tej komendzie. Sprawa zabójstwa Amadeusza Jekela śmierdzi na kilometr. Szantażem zmuszacie więźnia, by nie złożył zażalenia. To śledztwo ślimaczy się ze względu na klasyczne zaniedbanie, które pan osobiście przyklepuje. To nie jest przypadek, że florystka pojawia się w tej sprawie. Wystarczy zlecić analizę mieszkania florystki, a ją samą

zamknąć do przesłuchania. Dlaczego nikt tego nie robi, tylko wysyłacie ją do szpitala?

— Tak zalecił pan Meyer, twój guru — odparł Pilecki, wzruszając ramionami.

— Tylko na wabia — zachnęła się Lena. — Ona powinna być pierwszą podejrzaną. Komuś bardzo zależy, by ją ochronić. I wkręca się matkę zamordowanego dziecka, ojca, przypadkowych ludzi. Może czekacie, aż znajdzie się jakiś biedny dresiarz, który nie będzie nic pamiętał?

— Dosyć! — Pilecki wstał. Lena jednak mówiła dalej:

— Oboje wiemy, że coś tu śmierdzi. Nie wiem jeszcze co, ale to ty działasz wbrew prawu. Gdyby sugestia Meyera była inna, nie zgodziłbyś się tak łatwo z profilem. Pasuje ci, że florystka ma pozostać na wolności. A może tym kimś, komu zależy na ukręceniu łba sprawie, jesteś ty sam? — wyrzuciła oskarżenie na jednym oddechu. Po chwili już wiedziała, że źle rozegrała tę partię. Pilecki zacisnął usta i patrzył na nią wzrokiem bazyliuszka. Była pewna, że dopiero teraz wytoczy najcięższe działa.

— Została pani warunkowo zatrudniona do sprawy zabójstwa Zosi Sochackiej — wyrecytował. — Dałem pani szansę. Nie wykorzystwała jej pani, tylko rozgrzebuje stare sprawy, by zdeprecjonować pracę naszej jednostki. Postaram się, by miała pani dożywotni zakaz współpracy z policją. Proszę zwrócić wpłaconą zaliczkę za swoją pracę. Księgowa wystawi pani stosowną korektę rachunku. Jeśli nie, będziemy dochodzić wpłaconego honorarium w trybie sądowym. Dziękuję za współpracę. Nie wejdzie pani więcej do tej komendy. Chyba że konwojowana przez moich ludzi.

Lena wstała. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Wiedziała, że nawet nie zbliżyła się do rozwiązania intrygi, ale była już pewna, że miała być narzędziem w rękach Pileckiego. Ponieważ jednak zaczęła działać na własną rękę, musiał ją wyeliminować z gry. To, co usłyszała, było tylko wierzchołkiem góry lodowej. Mogła się teraz spodziewać najgorszego.

— Co do pani kochanka — Pilecki zawiesił głos, a Lena nie zaprotestowała. Nie chciała dawać mu żadnych dodatkowych informacji. Niech sobie myśli, co chce. — Zachował się na poziomie, dlatego nie będę robił mu przeszkód. Proszę mu jedynie przekazać, że może się wynosić razem z panią. Hotel został opłacony do dnia

jutrzejszego. Dalsze wakacje mogą państwo sobie robić już na własny koszt.

Lena z trudem hamowała wściekłość. Czuła się jak wtedy, na plaży. Została podwójnie wykorzystana. Zgwałcona i pozbawiona godności. Nie powiedziała wtedy Swatkowi całej prawdy. To ona została zgwałcona, a koleżanka uciekła. To ją ciągnano na przesłuchania i wytykano palcami. Teraz czuła się identycznie, ale tym razem nie zamierzała dać się upokorzyć. Miała ochotę podejść i uderzyć naczelnika w twarz, ale wiedziała, że dałaby mu jedynie pretekst do tego, by wziął ją na dołek. Wówczas faktycznie miałyby dożywotni zakaz pracy z policją. Mimo to nie mogła się powstrzymać od zgryźliwego komentarza, który, miała nadzieję, wzburzy krew Pileckiemu.

— Pan kiedyś był pod urokiem tej kobiety — rzuciła niby mimochodem. Blefowała, chciała mu jedynie dopiec. — Rozumiem to. Każdy ma prawo do błędu. Ale to, co pan teraz robi, jest współdziałaniem ze sprawcą. Może pan mnie wyeliminować, ale ta sprawa i tak wyjdzie. Wcześniej czy później zapłaci pan za to.

Ze zdziwieniem spostrzegła, że Pilecki momentalnie zmienił się na twarzy. Jakby dotknęła jakiejś delikatnej struny. Wpatrywał się w nią bez słowa i, o dziwo, nie przerwał. Po policzku płynęła mu strużka potu.

— Wypierdalaj — syknął.

Lena przed wyjściem obrzuciła go jeszcze ostatnim spojrzeniem.

— Nie ochroni jej pan. Sam pan nie umie siebie uratować.

Dopiero kiedy wyszła, dotarło do niej, że Pileckiego naprawdę coś łączyło z florystką. A jeśli to on jest współnikiem zbrodni na Zosi Sochackiej?

W głowie kłębiły się jej różne myśli. Cała się trzęsła. Chciała jak najszybciej powiadomić o wszystkim Meyera. Zrobiła tak jak on wcześniej, usunęła baterię z telefonu, żeby nikt nie mógł jej namierzyć. Jeśli jej teoria okaże się prawdziwa, Pilecki będzie bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Zrobi wszystko, by zniszczyć ich własną bronią. Wykorzysta ich ekspertyzę, by ukrećić łeb sprawie. Publicznie ich upokorzy i zmiecie w zawodowy pył. Obarczenie

profilerów winą za nieudane śledztwo to jedyny sposób, by mógł wyjść z tego z twarzą.

Przed wyjściem z komendy, na krzeselku dla oczekujących koło recepcji dostrzegła Jana Sochackiego. Na widok Leny zerwał się i podszedł do niej szybkim krokiem.

— Szukam tego pana, który przywiózł wtedy Marlenę — powiedział.
— Ale mówią, że już tu nie pracuje.

Lena odwróciła się i wzięła dziadka Zosi pod rękę.

— To nie do końca prawda — odparła, wskazując na drzwi. Kiedy byli już poza murami komendy, zapytała delikatnie: — Co się stało?

— Chciałbym z nim pomówić. Jest coś, czego wcześniej nie ujawniłem, bo nie sądziłem, że to może być ważne — oświadczył. A potem pochylił głowę. — Właściwie to Baśka mi zabroniła. Wie pani, to się wiąże z uciezkami Zosi, a moja żona zaprzecza temu, udaje, że tego nie było. Jej to po prostu trudno zaakceptować...

— Co takiego chce mi pan powiedzieć? — spytała psycholożka. — Może się pan nie obawiać, pracujemy razem. Właśnie do niego jadę.

Jan wahał się chwilę, wreszcie odważył się mówić:

— Baśka mówiła, że Marlena jest opętana, ale to nieprawda — zaczął.

— Wiem — powiedziała Lena. Czekwała na ciąg dalszy, nie spuszczając z Sochackiego wzroku.

— Ten pan pytał mnie o przyjaciół Zosi. O to, z kim się spotykała. Nie przyszło mi to do głowy, ale kilka razy Marlena znalazła ją w tej oczyszczalni. Któregoś razu Zosia uciekła i martwiliśmy się. Pan Mariusz pomagał jej szukać. Bez skutku. No i właśnie wtedy...

Lena widziała, że mężczyzna nie wie, jakich słów użyć. Wreszcie podniósł głowę:

— Widzi pani, wnuczka wcale nie była sama. Miała przyjaciółkę, ale to nie była dziewczynka w jej wieku. To była dorosła kobieta. Marlena widziała ją potem z Zosią jeszcze kilka razy. Nigdy z nią nie rozmawiała. Wnuczka nie chciała powiedzieć, kim jest, ale kiedy w wiadomościach podali, że aresztowana została ta florystka, Marlena ją rozpoznała. To była ona. To była przyjaciółka Zosi, to do niej wnuczka uciekała. Pomyślałem, że to może się wam do czegoś przydać.

Lena długo wpatrywała się w Sochackiego.

— Czy pan ma kontakt z Marleną? — spytała w końcu.

Pokiwał głową.

— Ale nie wiem, gdzie jest, ona dzwoni do mnie. Szkoda mi tej dziewczyny. Jest dla mnie jak córka, której nie dane nam było nigdy mieć... — zawahał się.

— I w wiadomościach podano informację o aresztowaniu florystki? — upewniła się Lena.

— Tak, właściwie to była jedynie sugestia. Pokazano jej zdjęcia z czasu, kiedy zginął jej syn. Pamiętam tę sprawę. Powiedzieli, że ona ostatnia widziała nasze dziecko żywe.

— O której była emisja, na którym kanale? — dopytywała się psychologka. Jan Sochacki podał godzinę i wciąż wpatrywał się w Lenę z nadzieją.

— Dziękuję, że pan z tym przyszedł.

— Chciałbym tylko, żeby to wszystko się skończyło — szepnął i otarł rękawem zaczerwienione oczy.

Kilkuletni chłopczyk, zabawnie machając rękami, wybiegł w za dużych kaloszach ze spienionego morza. W wyciągniętych rękach miał bursztyny. Pokazywał je osobie filmującej go z dużej odległości. Plaża za jego plecami była zupełnie pusta. Mewy głośno ostrzegały się przed nadchodzącym sztormem. Niebo było zaciągnięte czarnymi chmurami. Kropił deszcz. Osoba filmująca włączyła zoom. Po chwili twarz dziecka wypełniła niemal cały kadr.

— Mama, zobacz, bukszpany — wyseplenił Amadeusz i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. Na przedzie brakowało mu dwóch jedynek.

Zza kadru rozległ się radosny śmiech kobiety.

— Bursztyny, skarbie — poprawiła go matka. Głos miała zniekształcony: niski i chropowaty. Teraz chłopiec musiał zabrać kamerę, bo kadr był lekko przekrzywiony. Widać było piasek, potem małe czerwone kalosze, wreszcie czubki dużych zielonych kaloszy, a na koniec twarz matki. Na moment mignął kawałek jej biodra i uda odzianego w niebieskie džinsy. Była to piękna blondynka o urodzie aktorek z lat sześćdziesiątych. Włosy nosiła spięte w gruby, staroświecki kok. Choć od tamtej pory bardzo się zmieniła, bez trudu można było rozpoznać Aleksandrę Jekel. Złożyła usta w ciup i posłała

synkowi całusa. Chwila, którą udało się im wspólnie uchwycić, wydawała się kwintesencją macierzyńskiego szczęścia. Zmrużone jasne oczy, okolone niemal białymi rzęsami, wystające kości policzkowe, porcelanowa cera, wydatne karminowe usta.

— Powiedz mi coś — poprosiła kobieta, wdzięcząc się do obiektywu.

— Kocham cię — padła odpowiedź.

— Ja ciebie bardziej — odpowiedziała Ola, po czym podbiegła i chwyciła chłopca pod rękę. W kadrze zawirowało: morze, plaża, chaszczę na wydmach. Chłopczyk śmiał się perliście.

— Jeszcze, szybciej! — wołał. Chwilę potem musiała skończyć się bateria w aparacie, bo film się urwał, na ekranie pojawiła się czarna plansza.

Lena siedziała na wytartej i pozbawionej koloru kanapie w mieszkaniu Teresy i Karola Olenderków. Obok niej stał miniaturowy stolik z niedojedzoną szarlotką oraz pusta filiżanka po kawie. Gospodarze tłoczyli się przy miniaturowym stole do montażu. W tle widać było wciśniętą szafę wnękową na ubrania. Na podłodze leżał tani chodniczek z supermarketu. Wystrój mieszkania nie wskazywał, że dziennikarze biorą za swoje materiały ciężkie pieniądze. A nawet jeśli, na pewno w nie nie inwestowali. Było skromnie urządzone i wymagało gruntownego remontu, wyposażenie było jednak funkcjonalne i praktyczne. Tylko sprzęt do produkcji materiałów telewizyjnych musiał słono kosztować. Prawdopodobnie to była ich główna skarbonka. Pracowali, by móc kupować nowe monitory, kamery, sprzęt do nagrywania dźwięku. We wnęce Karol miał swoje archiwum. W równych rzędach stały tam setki płyt. Chwalił się, że ma zarejestrowane zmieniające się miasto oraz wszystkie ważniejsze afery na twardych dyskach. Kiedyś to będzie warte fortunę. Lena szczerze w to wątpiła. Uważała jednak, że ci ludzie niesłusznie byli uznawani za hieny. Byli po prostu ideowcami. I kochali swoją pracę.

— Może jeszcze szarlotki? — poderwała się Teresa. — Specjalnie upiekłam.

Lena pokręciła głową. Zerknęła na zegarek. Siedziała tutaj już prawie trzy godziny.

— Późno już — odparła. — Państwo pewnie chcą położyć dzieci spać.

— Nie — zaprotestowała dziennikarka. — Proszę się nie martwić. Przy czwórce to naprawdę proste. Starsze opiekują się młodszymi.

Karol Olenderek pokiwał głową, jakby na potwierdzenie jej słów. Lena miała ochotę spytać, czy zawsze są tacy jednomyślni.

— Idź tam, Karol, zobacz. — Teresa wysłała jednak męża do dzieci. Wyraźnie chciała pomówić z Leną na osobności.

— I co pani myśli? — zapytała, kiedy wyszedł. Kiedy psycholożka zastanawiała się nad odpowiedzią, gospodyni położyła jej na talerz kolejną porcję jabłeczника. Lena nie miała już ochoty i tylko z grzeczności nie odmówiła. Zaczęła dziubać ciasto łyżeczką.

— Dopiero kiedy zobaczyłam to nagranie, poczułam grozę — przyznała się. — Czy pani jest całkowicie pewna tego, co mówi? Nie mogę uwierzyć, że można tak kochać dziecko, a potem je poświęcić. W imię czego?

— Miłości? — odpowiedziała dziennikarka. — Tak w każdym razie pewnie myślała florystka.

— Nie wiem, naprawdę. — Lena wciąż nie dowierzała.

— No właśnie. My też tak myślimy. Chciałam pokazać pani coś jeszcze. — Usiadła za stołem i zaczęła sprawnie przewijać taśmy. Część z nich już oglądali.

Na ekranie pojawiło się ogłoszenie o zaginięciu Zosi. Teresa zrobiła stop-klatkę. Ten plakat Lena знаła. Podobizna dziecka, szczegóły ubioru, okoliczności zaginięcia. Po chwili na ekranie ukazał się niemal identyczny plakat, tyle że przedstawiał poszukiwanego Amadeusza. Na klatce obok Olenderkowie zrobili fotomontaż. Wyraźnie widać było podobieństwo ubioru dzieci. Teresa znów zaczęła przewijać. Bardzo długo nie mogła znaleźć. Wreszcie zajrzała do notesu Karola i kazała Lenie odczytać numery klatek. W końcu wspólnymi siłami znalazły właściwy obrazek. To był niemal identyczny plakat poszukiwawczy, który rodzina rozkleiła po zaginięciu. Tyle że zaginioną była osoba dorosła. Zdjęcie słabej rozdzielczości przedstawiało dobrze zbudowaną szatynkę z kręconymi włosami. Już na pierwszy rzut oka widać było, że to kawał kobiety. Oczy miała niebieskie, policzki pucołowate, nos zadarty. Jej śmiech musiał być zaraźliwy. Śmiała się całą twarzą: ustami, oczami, dołeczkami w policzkach. Nie była pięknnością, ale widać było, że to szczerą dziewczyna.

— Julia Zduniecka, lat dwadzieścia trzy. Wyszła z domu i nie wróciła — Teresa przeczytała treść ogłoszenia. Próbowała powiększyć obrazek, bez skutku. Zmieniła okulary i dokończyła: — Miała na sobie sportową kurtkę typu parka, buty traperki i błękitne dżinsy. Ktokolwiek widział, proszę o telefon... — podała numer i spojrzała bacznie na Lenę. — To telefon Pawła Nawrockiego. Tego, z którym romansowała florystka. Pracowali w supermarkecie Alfa, w jednej alejce. Ona w kwiaciarni, on w sklepie AGD — podkreśliła, po czym doczytała pośpiesznie dalej: — Lub zgłoszenie się na najbliższy posterunek policji.

— On brał udział w poszukiwaniach? — dociekała Lena.

Dziennikarka pokiwała głową. Zdjęła okulary.

— Jeszcze jak! Udzielił nam nawet wywiadu. Gdzieś go mamy. Karol zaraz pani pokaże. Chodził wszędzie z matką Julki. Nawet kiedy go aresztowali, niedoszła teściowa cały czas była za nim. Broniła go przed wszystkimi, próbowała wybielać. Niech pani zgadnie, kto wpłacił kaucję?

— Matka Julii?

Teresa pokiwała głową.

— Paweł i Julka mieli zaplanowany ślub. Zduniecka od początku twierdziła, że to florystka zabiła jej córkę, ale nikt jej nie słuchał. W całym mieście huczało od plotek. A policja nie brała jej słów pod uwagę.

— Może brała — odparła Lena. Zdecydowała się bronić dawnej firmy. — Tyle że hipoteza się nie potwierdziła.

Kobieta wybuchnęła szyderczym śmiechem.

— Julia spłonęła w bloku florystki, naprzeciwko jej mieszkania. Z jej mieszkania nie pobrano śladów, nikt jej nie przesłuchał, nie siedziała nawet jednego dnia. Aresztowano zaś Pawła. Jego mieszkanie przetrzepano do ostatniej nitki w zasłonce. To on był głównym podejrzanym. Policjanci forsowali hipotezę, że sprzedawca próbował zrobić florystkę w zbrodnię. Co za absurd!

Lena wpatrywała się w Olenderkową zaskoczona.

— To niemożliwe. Jest analiza pożarników. Prokurator nadzoruje sprawę. Nie da się tak po prostu zatuszować takiej zbrodni. Gdy nie ma dowodów, są poszlaki.

— Tylko że, widzi pani... — Teresa zawiesiła głos — ...Julka spaliła się tam na płamę tłuszczu. Identyfikowano ją po DNA. W takiej sytuacji

nie można nikomu udowodnić zbrodni, bo nie ma dowodów, że osoba zginęła przy udziale osób trzecich. Nie można określić obrażeń, jest tylko zwęglony kawałek miednicy. Stwierdzili jedynie, że była już martwa, kiedy wybuchł pożar. Zginęła w nieustalony sposób. To wszystko. I dlatego też w końcu musieli wypuścić Pawła, który natychmiast wyjechał z miasta. Florystka zaś żyje sobie dalej i, jak widać, czyni swoją powinność.

— Nie wierzę — upierała się Lena. — To łatwo udowodnić. Gdyby ktoś chciał ukrećić temu łeb, musiałyby sfałszować dokumenty. A akta zostają na zawsze. Rozumie pani?

— Rozumiem — przytaknęła Olenderkowa. — Ale jeśli ktoś jest sprytny, może dokonać zbrodni tak, by nie dało mu się jej udowodnić. Nikt nie zaprzecza, że dziewczyna spłonęła. Tylko nie wiadomo, kto i jak pomógł jej przedostać się na tamten świat.

— Może florystkę sprawdzono i faktycznie była poza podejrzeniem?

— O, na pewno! — zachnęła się dziennikarka. — My tak tego nie odbieraliśmy. Była bolejącą matką, rozumiem, ale mogli przyjrzeć się temu dokładniej. Nawet powinni. Naszym zdaniem tam były poważne uchybienia. Gdyby wtedy zatrzymali tę kobietę, dziś nie byłoby kolejnych zbrodni.

Teresa zmieniła płytę. Na ekranie zobaczyli znów plakat zaginionej Zosi Sochackiej. Informacje były podobne, jak na poprzednich ogłoszeniach. Okoliczności zaginięcia, strój, zdjęcie.

— Wszystkie ofiary uprowadzono, a potem przetrzymywano — powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Jest *modus operandi*. Florystka porywa, morduje i utylizuje ciała.

Lena zawahała się.

— Chyba pani przesadza — powiedziała.

— Nie sądzę. — Teresa podparła się pod boki. — Może jedynie z jedzeniem.

Lena uśmiechnęła się.

— A motyw?

— Motyw? — zawahała się dziennikarka. — Dziecka chciała się pozbyć, bo przeszkadzało jej w romansie, Julkę też wyeliminowała z tego samego powodu, a to ostatnie dziecko może z zazdrości, że ktoś

może mieć dziecko, a ona jest sama? A może faktycznie jej odbiło i chciała mu złożyć ofiarę? Czy ja wiem? To wasza robota.

Lena zaczęła chodzić po pomieszczeniu, wyrzała za okno. Mieszkanie Olenderków znajdowało się w samym środku Dziesięcin, z daleka widać było cerkiew prawosławną, a obok kościół. Olenderkowa podeszła do Leny.

— Tam mieszkał Paweł. — Pokazała ręką skupisko najwyższych bloków w oddali. — Na Studziennej jedenaście, a naprzeciwko niego nasz naczelnik, Pilecki.

Chciała coś jeszcze dodać, ale psycholożka przerwała jej:

— Dlaczego właściwie pani się tym zajmuje? Po co nagrywacie te filmy? One przecież niczego nie dowodzą. Nawet tego, że florystka miała romans z tym sprzedawcą.

Teresa uśmiechnęła się. Odwróciła się i obrzuciła spojrzeniem męża, który bezszelestnie wszedł do pokoju.

— Ile pani ma lat? — zapytała Lenę, ale widać nie oczekiwała odpowiedzi, bo mówiła dalej: — Trzydzieści? Pewnie nawet nie.

— Dwadzieścia dziewięć.

— A ja czterdzieści osiem — odparowała. — To nie matematyka. To życie. Widziałam wiele nieszczęśliwych kobiet na granicy załamania nerwowego, które odzyskują blask na twarzach pod wpływem zwykłego zakochania. Pięknieją, chudną, osiągają sukcesy, rzucają nałogi, po prostu zmieniają się. Gwałtownie. I nie ma w tym nic złego. Chwała im za to. Miłość to lekarstwo na wszystko. Na raka, depresję, otyłość. — Spojrzała z wyrzutem na męża, który udawał, że czyści twardy dysk komputera. Machnęła ręką. — Nieważne. Wiem, jak odróżnić zakochaną osobę od takiej, która jest sama. Pani jest sama. Nie znaczy to, że nagle i pani się to nie zdarzy. Ale teraz nie jest pani zakochana.

Lena zaśmiała się. Obie wiedziały, że pokryła śmiechem zdenerwowanie. Teresa łaskawie nie ciągnęła tego wątku. Lena zaś wpatrywała się w dziennikarkę coraz bardziej zaciekawiona.

— I jak pani to poznaje? — spytała.

Teresa nie odpowiedziała. Mówiła stanowczym tonem, za wszelką cenę starając się ją przekonać.

— To lekarstwo działa tylko wtedy, gdy jest odwzajemnione. Są różne rodzaje miłości. Nie mówię o wielkich uczuciach. Ludzie myślą miłość z żądzą, zauroczeniem, a zwykle myślą się, i to bardzo. Ale to działa. Każda kobieta kiedyś tego doświadczyła. Dlatego ręczę pani, że Aleksandra Jekel była w nim zakochana, a on w niej — powtórzyła dobitnie dziennikarka. — Być może nie byli razem w sensie wspólnego życia, ale była pod jego urokiem, zresztą nie dziwię się. Ładna była z nich para. Tylko Julka stała im na przeszkodzie. Paweł był tchórzem, nie chciał rezygnować z dobrego posagu i okazji do łatwego życia, bo Zdunieccy to majątna rodzina. Miałby się u nich jak pączek w maśle. Ale tak od razu porzucić Olę też było mu widać trudno. Odwieczny problem przystojnych mężczyzn rozpieszczanych przez kobiety. Chciał mieć ciastko i zjeść ciastko. Ola zaś chciała Pawła. I dlatego Julka musiała zostać usunięta. Czy to nie jest doskonały motyw zbrodni?

Lena bardzo chciała to zrozumieć. Jednak Olenderkowa przekazywała jej jedynie mgliste przypuszczenia, zasłyszane plotki, nieistotne szczegóły, których nijak nie dałoby się upleść w łańcuszek poszlak. Dla sądu, a nawet dla policji to zbyt mało. Lena wiedziała, że potrzebuje twardych dowodów.

— Nie rozumiem, na jakiej podstawie wyciąga pani wniosek, że oni mieli romans, skoro nic tego nie potwierdza. Nawet sami zainteresowani — upierała się.

— Bo nieskonsumowany romans jest czasem niebezpieczniejszy niż ten, który rozwija się normalnym torem — odezwał się Karol. Lena gwałtownie się odwróciła. Mężczyzna stał teraz za nią, zbierając brudne naczynia. Lena uświadomiła sobie, że mąż Teresy tak rzadko się odzywał, że zadziwił ją niski wibrujący tembr jego głosu. Był wciąż spokojny, mówił ściszym tonem, ale dobitnie. Fakt, że zdecydował się wtrącić w ich rozmowę, oznaczał, że mimo milczenia w pełni zgadza się z teorią żony.

— Obsesja. Słyszała pani? — dodała zaraz Teresa. — Ktoś bardzo czegoś pragnie, a im trudniej to dostać, tym intensywniej o to walczy. Naszym zdaniem florystka uparła się, że zdobędzie tego chłopaka. Bo on sam nie miał odwagi zawalczyć o tę miłość. Wzięła sprawy w swoje ręce. Dla niej to była pierwsza prawdziwa miłość. Tak mogła myśleć.

— To jakaś bzdura. Nie była już podlotkiem — zaoponowała Lena.

— Właśnie! — przyznała dziennikarka. — To jeszcze gorzej. Była sama przez lata. Kompletnie sama. Z dzieckiem na karku, które kochała i któremu się poświęciła. Przez lata tłumiała wszelkie pragnienia, marzenia, emocje. Skupiała się na Amadeuszu. I nagle zniemacka pojawia się facet, który sprawia, że wszystko jest lepsze. Czuje się jak po środkach rozweselających, szczęśliwa, pełna energii. To była iluzja, oczywiście, bo przecież nie mogła to być dojrzała miłość. To było trawiące ją przez lata tłumione pożądanie! Ona pragnęła tego chłopaka za wszelką cenę! Nie tylko seksualnie. Ona chciała go mieć! Być przez kogoś kochana. Był dla niej lekarstwem, dzięki niemu znów ożyła. To wystarczy, by zrobiła wszystko, żeby zdobyć ten eliksir. Tylko że on okazał się tchórzem. Nie chciał stracić dostatniego życia, jakie zapewniał mu związek z Julką. Był wzorowym narzeczoną, uwielbianym przez przyszłą teściową. Co on miałby bez tej rodziny? Pracę w sklepie? Był człowiekiem znikąd, bez domu, bez rodziny, bez pieniędzy. Wszystko, co miał, to ładna buźka. Kiedy sprawy zaszły za daleko, zerwał z florystką, zasłaniając się przyszłym ślubem. Ola zaś wcale nie chciała odpuścić. On był jej wielką i jedyną szansą na związek. Ideał, tak pewnie sądziła. Ale miała swój honor, nie chciała otwarcie rozpoczynać wojny. Być może zdecydowała, że sama posprząta i...

— I? — zapytała Lena.

— ...uwolni go od niechcianego jarzma — dodała Teresa i zawahała się na moment. Czekwała na wyrazy uznania, ale się nie doczekała. W pokoju zapanowała nieprzyjemna cisza.

— Może powinna pani zostać wróżką? — zakpiła Lena. — Tyle pani wie, może warto byłoby radzić ludziom?

— Będzie pani w moim wieku, też będzie pani wiedziała dużo. Zresztą matka Julki jest wróżką. I nie przewidziała tragedii. Nie była w stanie jej zapobiec. Wiedza nie powstrzymuje wydarzeń. Zbyt mały mamy na nie wpływ — odpowiedziała dziennikarka i skinęła głową mężowi.

Karol podszedł do szafki i odszukał płytę z napisem „Winda do nieba”. Lena domyśliła się, że tak trywialnie nazywał się ich materiał, który wyemitowano w kilku komercyjnych stacjach telewizyjnych, tuż przed kolejnym odcinkiem serialu. W najlepszym czasie antenowym.

Teresa przytłumiła światło, by osiągnąć lepszy efekt wizualny na ekranie. Obraz był pozbawiony dźwięku.

— Dogrywaliśmy go na innym nośniku — wyjaśnił mąż Teresy. — To jest wadliwa surówka. Akurat ten materiał nie poszedł w stacjach. Wypadł na montażu. Setka bez dźwięku dla telewizji jest bezużyteczna. Ale zachowałem go, sam nie wiem dlaczego.

— Dopiero kilka dni temu wszystko zrozumieliśmy. Przeglądaliśmy materiały, robiliśmy taki przypominający miks na zamówienie. No i Karol znalazł to — wyjaśniła Teresa.

Lena kiwnęła głową. Nie mogła się doczekać następnego materiału. W przeciwieństwie do ich ideologii, nagrania miały wartość obiektywną. Z sąsiedniego pokoju dobiegały głosy strzelanki. Najstarszy syn chyba nie zamierzał tak szybko kłaść się spać. Karol nacisnął start. Patrzyli w milczeniu.

Języki ognia toczące ostatnią klatkę bloku rozprzestrzeniały się gwałtownie od dziesiątego piętra w górę. Widać było ludzi ewakuowanych z mieszkań, zawiniętych w koce, wyrzucających resztki dobytku na trawniki. Dzieci płakały, matki tuliły je do piersi. Niższe piętra nie były zagrożone. Strażacy zdejmowali dzieci z balkonów i podawali je rodzicom. Przebitki po pożarze. Na ekranie pojawiła się winda z wypalonym wnętrzem, czarna plama na podłodze. Osmalone ściany, wyrzuczone od ognia drzwi mieszkań na piętrze. Spustoszenie było ogromne. Karol zatrzymał i wskazał na okna na parterze. Były wolne od płomieni.

— Tutaj mieszka florystka — powiedział. — Jej mieszkanie jest naprzeciwko windy.

Lena wpatrywała się w okna płonącego wieżowca.

— Co wiecie o ich relacji? Po kolei — spytała i wyjęła notes.

Olenderkowie z radością opowiedzieli jej historię, która na pozór nawet nie miała cech romansu. Paweł Nawrocki przyjechał do miasta na krótko. Nikt nie wiedział, skąd pochodził, ani dokąd potem wyjechał. Ale pewne było, że po śmierci Julki i oczyszczeniu go z zarzutów zniknął z miasta na dobre. Od początku się wyróżniał. Każdy, kto przychodził do Alfego, od razu go zauważał. Obieżyświat, dredy, bursztynowe oczy, jasna karnacja. Nosił się tylko na białym. Ponoć uważał się za artystę. Miał kiedyś zespół muzyczny. Próbował go nawet

reaktywować. Bezskutecznie. Przyciśnięty do muru zatrudnił się jako sprzedawca w sklepie z elektroniką Tecna, *vis-à-vis* kwiaciarni Oli. Wszedł do sklepu przypadkiem, akurat szukali ludzi. Zgodził się pracować za pół stawki, tydzień później zrobił rekord sprzedaży. Dostał podwyżkę i specjalne warunki. Mógł nosić koszulę jak menedżer. Nie była pomarańczowa, jak uniformy pozostałych, lecz biała. Kierowniczka sklepu chwaliła go, choć notorycznie spóźniał się do pracy, nie brał wieczornych dyżurów i rzadko pomagał przy rozładunkach, choć tak dorabiali wtedy wszyscy sprzedawcy. Mimo to nie czuł się tam najlepiej. Męczył się. Ale miał wdzięk i dużo sprzedawał. Głównie kobietom. Oli też sprzedawał lodówkę. Tak się poznali. Ktoś musiał wnieść tę lodówkę na plecach do jej domu. Paweł nie należał do osiłków. Przeciwnie — chudy i długi jak szczypior, o wklęsłych, chrystusowych policzkach. Mimo to z kumplem z pracy zaoferowali pomoc samotnej kobiecie. Paweł został na herbatę. Krótko rozmawiali. Byli tak bardzo skupieni na sobie, że kolega znudził się i wyszedł. Wystarczyła mu zgrzewka piwa w podzięcie. Paweł nie pił, nie palił, nie jadł mięsa. Po tej rozmowie florystka błyskawicznie załatwiła mu starą perkusję. Paweł zaczął grać z chłopakami na zapleczu sklepu, potem w hali, wreszcie w jej piwnicy. Dali nawet kilka koncertów w knajpie Kopiluwak. Była to jednak kocia muzyka. Potem hałasowali głównie do piwa w klubie motocyklowym. Ola przybiegała do Pawła na przerwach, przynosiła czekoladki, spędzali ze sobą każdą wolną chwilę. Koledzy naigrawali się z niego i z jego „koleżanki”. Ola i Paweł byli w tym samym wieku, ale dla reszty jego kumpli florystka była stara. Nosła się zresztą klasycznie, po kobiecemu. Żadnej mini czy dekoltów. Jak to wzorowa matka. Ktoś podsunął mu Julkę, miss piękności ze szkoły krawieckiej. To nie była zbyt lotna dziewczyna, ale miała dobre serce i pochodziła z zamożnej rodziny. Julka miała proste marzenia. Zrobić licencjat z turystyki, jeździć nad morze latem, na narty zimą. Wyjść za męża, urodzić kilkoro dzieci. Ojciec już stawiał im dom na działce, obok komisum samochodowego, którego do dziś jest właścicielem, by córeczka żyła z mężem blisko mamusi i tatusia. W domu była zasada: znać ciężką pracę, ale być niezależnym. Julka uczyła się zaocznie, w tygodniu sprzedawała pierścionki i bransoletki na innym piętrze Alfego. Paweł raz w tygodniu umawiał się z nią — jeździł do jej domu, bratał z teściami i przyrodnim rodzeństwem

dziewczyny. Ojciec Julki był już raz żonaty i ma dzieci z inną kobietą. Żyje jednak z Kasandrą, to pseudonim artystyczny matki Julki. Paweł i Ola w pracy ukrywali się. Paweł może nawet wstydził się jej przed kolegami. Wyparł się jej wiele razy. To jednak u niej grał niemal codziennie. Z czasem o Julce ludzie zaczęli mówić jak o jego dziewczynie. Chodzili ze sobą pięć miesięcy, zanim Paweł zaproponował, by wybrała sobie pierścionek. Ponoć nie była w ciąży, ale różnie gadali. Florystka o ślubie Pawła dowiedziała się, kiedy matka Julki zleciła jej dekorację weselną. Do ślubu nie doszło. Tydzień wcześniej zaginął syn florystki. Paweł tak gorąco pocieszał przyjaciółkę po stracie Amadeusza, że Julka oszalała z zazdrości. Śledziła go, awanturowała się, groziła odwołaniem uroczystości. Matka Julki wstawiła się za Pawłem, prosiła, by córka nie robiła głupstw. Wierzyła, że Paweł kocha dziewczynę. Ojciec też był za tym, by przymknąć oko na wyskoki przyszłego zięcia. Zaplanowana impreza ślubna zbyt drogo kosztowała, by teraz wszystko odwoływać. Przesunęli ją jedynie na późniejszy termin. Tydzień później Julka przypadkowo spłonęła w windzie.

— Te informacje są pewne? — zapytała Lena.

— Każdy w mieście to wie. To jest w aktach. Matka Julki o tym mówiła. Znajomi Pawła. Mamy opowieści tych ludzi na taśmach. Dla policji to zwykłe pogłoski. Nieistotne dla śledztwa. Zresztą nie udowodniono, że to była zbrodnia, uznano, że nie można udowodnić udziału osób trzecich, choć poszlaki były. Ktoś zablokował windę drutem. Ale w efekcie sprawę uznano za wypadek, a wiadomo, wypadki traktuje się inaczej — wyjaśniła Teresa.

— Dlaczego nikt tego nie wziął pod uwagę? Dlaczego nikt nie sprawdził tej hipotezy? Nie wierzę. — Lena wstała i nie patrząc na gospodarzy, wyjęła z paczki papierosa. Teresa podsunęła jej popielniczkę. Sama też zapaliła. Karol otworzył okno i ostentacyjnie zaczął machać ręką na znak dezaprobaty.

— Dlaczego? — odpowiedziała pytaniem na pytanie Olenderkowa. Wskazała tłum ludzi zgromadzonych pod płonąca klatką. — Dlatego.

Lena zbliżyła się do ekranu, nosem niemal dotykała telewizora. Odwróciła głowę, nadal nie rozumiejąc. Teresa wskazała w tłumie mężczyznę. To nie był Paweł. Raczej niski, szczupły brunet o ostrych

rysach twarzy, ubrany w skórzaną kurtkę i dżinsy. Na nosie miał okrągłe okulary lenonki. W ręku trzymał radiostację. Wskazywał coś strażakom. Lena zwróciła uwagę na wyraz jego twarzy — błogi, rozświetlony, dziwny w tej tragicznej sytuacji. Podążyła za jego wzrokiem i dostrzegła, że patrzył na jakąś kobietę, która była niemal cała zasłonięta kocem. Lena próbowała sobie przypomnieć, gdzie widziała ten profil, a zwłaszcza wydatne usta. Teresa nie wytrzymała. Zgasiła na wpół zapalonego papierosa.

— To przecież florystka — powiedziała, dotykając palcem monitora. Karol skrzywił się, żona natychmiast cofnęła palec. — A to kto? Nie poznaje pani?

Lena pokręciła głową. Aż nagle odwróciła się i spojrzała pytająco na dziennikarzy.

— Swatek? — szepnęła niepewnie.

Teresa kazała Karolowi zrobić powiększenie. Kiedy na ekranie pojawiły się wyraźne piksele, odparła:

— To naczelnik Pilecki, wtedy wiceszef kryminalnego w komendzie miejskiej. Dziś naczelnik jednostki wojewódzkiej. Nie prowadził tego dochodzenia. Wziął je na własne życzenie. Tak się przejął jej tragedią, że osobiście ją przesłuchiwał. W domu, nie w komisariacie, jak nakazuje procedura. I to on przesłuchiwał Pawła. On przekonywał nas na konferencjach prasowych, że ta kobieta to anioł i nie ma nic wspólnego ze zbrodnią. Robiliśmy z nim wywiad. Zażądał zmiany głosu, odmówił ukazania wizerunku. Został przedstawiony jako anonimowy informator.

— Zresztą tej zbrodni w sumie nie było — zaśmiał się Karol. — Tylko tragiczny wypadek. Instalacja zaiskrzyła. Julka miała pecha.

— Teraz pani rozumie? To dlatego nikt nam nie wierzy. I nikt nas nie słucha. — Dla Teresy najwyraźniej wszystko było już jasne. — Czy to jednak nie dziwne, że wokół jednej osoby wciąż padają trupy?

Lena odsuwała od siebie wszelkie zbyt radykalne hipotezy. Martwiła ją tylko jedna rzecz. Czuła, że wszystko zaczyna się układać w jedną całość. Tylko dla formalności zapytała:

— Ale jaki związek ma z tą sprawą naczelnik wydziału kryminalnego wojewódzkiej policji?

Okienko depozytowe było tak małe, że Ola nie była w stanie zobaczyć twarzy policjantki, która wydawała jej osobiste rzeczy. Na wyświechtanym blacie pojawiały się kolejno: klucze, portfel w tłoczone kwiaty, dokumenty, kilka banknotów o niewielkich nominatach, garść drobników, chusteczki, miniapteczka z plastrami i bandażami, opaska uciskowa z haczykiem, pinceta, leki przeciwmigrenowe, płócienna torebka, notes z telefonami i wyłączona komórka. Każdą z tych rzeczy policjantka oznaczyła w protokole i przy wydawaniu głośno nazywała. Brzmiało to jak mantra. Płócienna torebka była ostatnia na liście. Policjantka zawahała się na długą chwilę. Nie było jej w plastikowym pudełku, w którym znajdowały się wszystkie rzeczy florystki. Na szczęście dostrzegła ją w zasięgu wzroku, odetchnęła z ulgą i położyła na kupce. Torebka była opróżniona i złożona w kostkę. Następnie kazała Oli policzyć pieniądze, po czym podsunęła dokument z zaznaczonym ptaszkiem w miejscu podpisu. Ola dostrzegła na samym dole podpis Pileckiego i złożyła obok swój. Oddała dokument.

— Czy ktoś wpłacił za mnie kaucję? Jestem oczyszczona z zarzutów?
— zapytała.

W okienku zapadła długa cisza.

— Niech pani spyta swojego adwokata. Nie udzielam takich informacji — usłyszała odpowiedź.

— Nie mam adwokata — odparła Ola. Czuła się całkiem dobrze, nawet głowa jej nie bolała. — Nie potrzebuję.

Tym razem policjantka wychyliła się, żeby przyjrzeć się zatrzymanej. Przepisowa czapka z otokiem przekrzywiła się i kobieta w ostatniej chwili złapała ją, zanim ta upadła.

— Ja tam nic nie wiem, choć tak całkiem za darmo tutaj nikt nie trafia — powiedziała.

Ola milczała długą chwilę. Przyglądała się starszej już policjantce o włosach zabarwionych różową płukanką. Zastanawiała się, czy kobieta spędziła tutaj większość życia, czy może dorabia tu na emeryturze. „Dziwne miejsce do pracy. Kto chciałby przesiedzieć na policyjnym dołku całe swoje życie? Nawet aresztowani kiedyś stąd wychodzą. Kim musiała być ta kobieta, jakie miała życie, co ją tutaj sprowadziło?” — zastanawiała się florystka, tkwiąc nieruchomo przed okienkiem.

Policjantka musiała chyba inaczej zinterpretować zachowanie zatrzymanej, bo powtórzyła z naciskiem:

— Jest pani wolna. Do widzenia.

— Mam nadzieję, że nie — uśmiechnęła się pobłaźliwie Ola, na co policjantka fuknęła niezadowolona. Ola spakowała swoje rzeczy i skierowała do wyjścia.

— Któż to może wiedzieć, droga pani — usłyszała jeszcze za plecami.

Cały korytarz przeszła na bosaka, trzymając buty w rękach i machając nimi dla dodania sobie animuszu. Wiedziała, że strażnik stojący przed drzwiami przez cały czas nie spuszcza z niej wzroku, ale nie przejmowała się tym. Nie założyła butów nawet po wspięciu się na schody i wyjściu z komendy. Przeciwnie, chciała jak najdłużej iść boso. Liczyła, że doświadczy kontaktu z ziemią, miała dość odlotów fundowanych jej przez Amadeusza. Choć zdawała sobie sprawę, że ludzie będą się na nią gapić, zamiast gładkim deptakiem, ruszyła ścieżką pomiędzy krzakami, potem weszła na nierówny, zakończony ostro krawężnik. Przymknęła powieki i chwilę bawiła się utrzymywaniem równowagi. Wyobrażała sobie, jak drobne kamyczki wbijają się w jej stopy, ale nie czuła bólu. Sam fakt, że podjęła próbę, sprawiał jej ogromną przyjemność.

Oczy otworzyła dopiero kiedy poczuła ukłucie, a potem usłyszała chrzęst pod piętą. Podniosła stopę i zobaczyła, że nadepnęła na szkło. Chwilę przyglądała się krwi, która obficie kapała na trawnik. Wyjęła z torebki chusteczki, oczyściła jako tako ranę, ale nie było łatwo zatamować krwi. Rozcięcie było małe, lecz głębokie. Ola skrzywiła się, wyjęła z torebki bandaż i z wprawą opatrzyła nogę. Zmartwiła się, bo nie mogła iść dalej bez obuwia. Nie chodziło o ból. Wiedziała, że bandaż wkrótce przesiąknie i będzie zostawiała krwawe ślady stóp, a tego przecież nie chciała. Miała konkretny plan.

W oddali majaczył deptak na Lipowej, w środku którego chlupała fontanna. Kiedy Amadeusz był jeszcze z nią, tą ulicą można było normalnie jeździć samochodem. Ola dostrzegła grupkę kilkuletnich dzieci bawiących się wodą. Oczy zaszyły jej mgłą. Natychmiast ruszyła z tego miejsca, jak najdalej od roześmianych dzieci. Nie mogła dziś znieść tego widoku. Szła tak jakiś czas, wreszcie wsiadła do pierwszego przejeżdżającego autobusu. Wyskoczyła, kiedy skręcał w Podleśną, i

szybkim krokiem ruszyła w kierunku Parku Zwierzynieckiego. Było w nim pełno ludzi. W większości zakochani albo rodziny z dziećmi, psami, wózkami. Jakieś maleństwo darło się wniebogłosy, domagając się jedzenia lub przewinięcia. Dopiero kiedy Ola weszła głębiej, w jedną z bocznych alejek, zauważyła kilka wolnych ławek w cieniu akacji. We wszystkich nasłonecznionych miejscach kłębili się ludzie. Postanowiła, że zrobi sobie kilka minut przerwy, by pozbierać myśli.

— Zadowolony jesteś? — spytała pod nosem. I dodała z nutką niechęci w głosie: — Jest tak, jak chciałeś, demonie jeden. Nie inaczej.

Rozejrzała się wokół. Nikt na nią nie patrzył, nikt jej nie słuchał. Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami. Dzieci śmiały się perliście, dorośli rozmawiali półgłosem, ktoś śpiewał. Para na murku całowała się zapamiętale. Drzewa szumiały, powiewał lekki wietrzyk. Nie było tak upalnie, jak jeszcze kilka dni temu. Ola czuła, że jest zbyt lekko ubrana na dzisiejszą pogodę. Z przyjemnością zsunęła buty i wyprostowała nogi, po czym przymknęła oczy, próbując przywołać dziecko. Wyobrażała sobie, że Amadeusz puszcza szybowiec z innymi chłopcami, biega za piłką po gładko wystrzyżonej murawie albo siedzi z nią na ławce i pokazuje złapaną cykadę. Ten ostatni obrazek był najsilniejszym wspomnieniem, wręcz czuła obecność syna. Ale to jeszcze nie było to. Wciąż tkwiła jedynie w swojej wyobraźni, nie przekroczyła magicznej granicy. Znów skoncentrowała się na tamtej chwili, którą tyle razy wspominała. Synek droczył się z nią, grożąc, że urwie owadowi jedną nogę, choć przecież wiedziała, że tego nie robi. Śmiała się rozkosznie, nawet przez chwilę nie czując niepokoju. Nagle zobaczyła martwy zielony pancerzyk. Amadeusz zaś zniknął. Przeraziła się. Otworzyła oczy. Działo się coś dziwnego. Nigdy wcześniej nie zmieniał jej wspomnień. Na dodatek nadal nie czuła jego obecności. Była pewna, że Amadeusz musi być gdzieś blisko, ale z jakiegoś powodu nie chciał się ujawnić. Może obraził się, bo nie odzywał się przez całą noc, kiedy była w areszcie, mimo wyraźnych próśb z jej strony.

Od gwałtownego transu, w jaki wprawił ją podczas przesłuchania, aż zemdląta na oczach policji, nie rozmawiali ani razu. Zresztą wtedy też nic nie powiedział. Zabrał ją tylko do Ogrodu i pokazał, że wszystko znów jest po staremu. Na nieboskłonie było już słońce, kwiaty znów kwitły, a woda w oczku otoczonym sitowiem była klarowna niczym

lustro. Ola ucieszyła się na widok obojga dzieci w Ogrodzie. Zosia zaaklimatyzowała się już w nowym miejscu i nawet pomachała Oli z daleka. Florystka bardzo polubiła małą, może dlatego, że dziewczynka była tak inna od jej synka-urwisa. Odetchnęła z ulgą, bo wiedziała, że skoro oboje są w Ogrodzie, nic im nie grozi. Widać ostatnia wizyta musiała być jedynie głupim żartem syna. Choć wtedy tak nieelegancko pozbył się jej ze swego świata, nie miała do niego żalu. Nie obawiała się już także, że nigdy go nie zobaczy. Wiedziała, że wróci i zabierze ją do siebie, kiedy nadejdzie stosowna pora. Oby w końcu na zawsze. Martwiła się jedynie, że zrobi to w najmniej oczekiwanym momencie. Odkąd umarł, stawał się coraz bardziej upiorny. Na początku to ona kontrolowała jego wizyty. Umiała panować nad nim i tym samym nad sobą. To dlatego tak dobrze funkcjonowała i nikt nie domyślał się, jaka jest jej tajemnica. Amadeusz zresztą długo starał się być dla niej dobry. Jak za życia, kiedy potrzebował pieniędzy na flipery, nowe ubranie, czy grę. Wkupiał się w jej łaski, podlizywał, ale też pomagał we wszystkim. Nawet sznurki za blokiem powiesiła, dostosowując do jego wzrostu, bo to on rozwieszał pranie. Sprzątał, zmywał, opiekował się nią, kiedy była przeziębiona. Zbyt późno zrozumiała, że to on, a nie ktoś inny, jest najważniejszą mężczyzną w jej życiu. Darzy ją wielką miłością, a ona odwzajemnia to uczucie. Naprawdę nie potrzebowała nikogo innego. Kiedy ją opuścił, wszystko się zmieniło. Amadeusz zorientował się, że nie musi już zabiegać o jej względy. Na zbyt wiele mu pozwalała, nie postawiła żadnych granic. Sama przecież powtarzała, jak bardzo go kocha i że ma tylko jego. Z bólem serca odsunęła od siebie wszystkich, nawet Pawła i Elizę. Byle tylko syn jej nie opuszczał. „Tylko ty i ja, nikt więcej”, dźwięczało jej w uszach. Kiedy miał już pewność, że uzależnił ją od siebie, zaczął się zachowywać jak wredny, rozpieszczony bachor. Znikał, by cierpiała, a ona błagała o jego powrót. Wracał dopiero kiedy obiecała mu coś w zamian. Ola nie mogła uwierzyć, że jej synek jest tak interesowny. Chciał, by wyrzuciła Elizę z domu — robiła to. Chciał jeść naleśniki — smażyła mu tyle, ile chciał. Prowadzała go na karuzelę, na łyżwy, na boisko czy do biblioteki, gdzie sam wybierał sobie książeczki, które chciał czytać. Podmieniał jej kwiaty, niszczył wiązanki. Dlatego przestała przynosić zlecenia do domu. Usunęła wszystkie doniczki, bo tak kazał. Mówił, że ich nie znosi. Tłukł naczynia, ciął ubrania. Gasił i

zapalał wszystkie żarówki, włączał palniki z gazem, śmiał się do rozpuku, kiedy z wentylatora wyłaziły stada prusaków. Ola tak bardzo nie chciała, żeby odchodził, że zносиła to ze stoickim spokojem. Sprzątała po nim, tłumaczyła nadzwyczajne zdarzenia Elizie, która z niedowierzaniem się temu przyglądała. Kłamała, zasłaniała się bólem, udawała chorobę, brała na siebie wszelkie jego winy. Byle był z nią. Byle miała z nim kontakt. Ale potem wszystkie te ofiary przestały mu wystarczać. Zażądał prezentu. I znikł. Ola nie wiedziała, co można podarować duchowi. Pytała, prosiła, błagała, obiecywała. Bez skutku. Uparł się, by sama się domyśliła. Pisała mu karteczki, które znajdowała Eliza i interpretowała po swojemu. Kupowała kolejne zabawki, które ustawiała w jego pokoju. Nie wracał. Wiedziała, że się myli. Chciał czegoś, ale nie miała pojęcia, jak sprawić mu radość. Na dodatek bardzo tęskniła, chodziła pod szkołę i obserwowała dzieci. Zauważyła, że jest wielu chłopców podobnych do niego. Próbowwała go sprowokować, że jeśli nie wróci, weźmie sobie inne dziecko. Nic. Nawet szeptu. Nawet cienia zapachu czy choćby chłodnego podmuchu wiatru. Zauważyła, że sama zaczęła być agresywna. Stroiła fochy, milczała całymi dniami, a potem wybuchwała bez powodu. To Eliza była głównym świadkiem jej męczarni. Dostawało jej się za Amadeusza i Ola wiedziała, że niesprawiedliwie. Eliza była jedyną osobą, która wyciągnęła do niej rękę w najtrudniejszej chwili. Kiedy umarł Amadeusz, a zaraz potem wyjechał Paweł. Była dla Oli kimś więcej niż matka. Zwierzyła się przyjaciółce z tego, co dzieje się w jej głowie. Eliza nie chciała wierzyć. Wiedziała, jak wszyscy w mieście, że Ola rozmawia ze zmarłym dzieckiem, ale nie sądziła, że odwiedza go w jego świecie. To było niepojęte. Co gorsza, Ola zamiast wsparcia miała teraz nad sobą cerbera w postaci przyjaciółki, która zaczęła ją ciągać po specjalistach. Były nawet u księdza, bo Eliza twierdziła, że Olę opętał duch dziecka. Ola zrozumiała, że zwracając się jej ze wszystkiego, popełniła największy błąd. Wtedy zamknęła się w sobie. To był trudny czas. Amadeusz nie wracał. Eliza coraz bardziej naciskała, by Ola poddała się leczeniu. Kłótnie były na porządku dziennym. Wreszcie Eliza odeszła. Pierwszy raz z własnej nieprzymuszonej woli spakowała swoje rzeczy i zostawiła ją samą. Wcześniej to Ola próbowała się jej pozbyć. Zawsze bezskutecznie. Eliza musiała ją na swój sposób kochać, bo dzielnie

znosiła jej wybryki. Tym razem Ola wiedziała, że sytuacja jest poważna. Poczła się naprawdę samotna. Żałowała, że nie zatrzymała maistry. Była pewna, że nawet gdyby zadzwoniła i poprosiła, nie wróci. Wtedy na parapecie dostrzegła martwą cebulę amarylisa. Zobaczyła, że puścił zielony pęd. Zadzźwięczały dzwonki. Ola rozpromieniła się. Poczła znajomy zimny powiew, choć wszystkie okna były zamknięte. Amadeusz był znów z nią. Zrozumiała wtedy, czego chciał syn. By pozbyła się Elizy. Chciał mieć matkę wyłącznie dla siebie.

— Zrobię wszystko, co każesz — obiecała. — Tylko już nie odchodź.

Dwa tygodnie później wyraźnie było już widać łodygę i liście. A sześć tygodni później pojawił się kwiat. Najpiękniejszy, jaki Ola widziała w życiu. Kiedy go odkryła, Amadeusz znów zaczął do niej mówić. Powiedział jej, że za miesiąc będą jego urodziny.

— Prezent, prezent, prezent — słyszała jego głos jak szeptane zaklęcie, kiedy się budziła i zasypiała. Znów schudła, całkiem zapomniała o jedzeniu. Nadal nie wiedziała, co może podarować dziecku. Miałby dziś 16 lat. Dlatego nie chciał już sklepanych samolotów, gier, czy dzieciennych ubrań. Myślała, szukała, wypatrywała znaków z otoczenia. Do pracy chodziła tylko, by zachować pozory. Poza tym musiała utrzymywać kontakt ze światem, żeby słuchać syna. Czasem mówił do niej ustami innych ludzi. Słyszała ich słowa, które były odpowiedzią na kłębiące się w jej głowie pytania. Czasem milczał, a czasem coś jej pokazywał, wystarczyło jedynie wyciągnąć wnioski. Tak jak wtedy, kiedy nieoczekiwanie znalazła się pod swoją szkołą muzyczną, gdzie wciąż uczyła Eliza. Stała przed wejściem dłuższą chwilę. Szkoła była opustoszała, choć Ola wiedziała, że Eliza jest wewnątrz i pewnie udziela korepetycji. „Może Amadeusz chce, żebyśmy się pogodziły?” — pomyślała. I jednocześnie sama w to nie wierzyła. Tak bardzo zależało mu, żeby się jej pozbyć. Żeby mieć ją tylko dla siebie.

— Ola? Ola Leszczyńska? — spytał dozorca. W rękach miał wiaderko i grabki. Musiała zastać go w trakcie pracy. Zresztą on nigdy nie próżnował. Lubił grzebać w ziemi. Rozpoznał ją, choć zamiast dziesięcioletniej dziewczynki stała przed nim dojrzała kobieta.

Pokiwała głową.

— A pan nic się nie zmienił, panie Staszku. — Uśmiechnęła się. Była to prawda. Pamiętała, że już gdy chodziła do szkoły, miał twarz pomarszczoną niczym podeschnięty owoc. Miała wrażenie, że czas się dla niego zatrzymał. — Wciąż sady pan irysy przed inauguracją? To już dawno niemodne.

— Wiem, wiem. — Machnął ręką. — Co zrobię, jak one mi najlepiej wychodzą. Nie to co pani. Panią lubią każde kwiaty.

Uśmiechali się do siebie.

— Może to kwestia tutejszej ziemi. — Ola pokiwała głową.

— Może — odpowiedział. — Ale ja panią zatrzymuję, proszę wejść. Do kogo pani przyszła?

— Ja? — Zamrugła oczami, sama przecież nie wiedziała. — Po prostu przechodziłam. Zajrzałam, tak z sentymentu.

Spojrzała na sprzęty, które dozorca trzymał w rękach.

— A wie pan co? Może ja panu pomogę? — Podwinęła rękawy i otworzyła furtkę.

— Nie, niech pani się nie brudzi! — zaproponował pan Staszek.

— Jaka tam pani. Ola. — Zaśmiała się i ruszyła pewnym krokiem przed siebie. Widziała, że dozorca jest zdezorientowany. Pewnie dobrze wiedział o jej tragedii, ale zawsze był łagodnym, sympatycznym człowiekiem. Nie zapytał o nic. Była mu wdzięczna.

Poprowadził ją do rabatek, które знаła sprzed lat. Zdawało jej się, że nic się nie zmieniło. Przybyło tylko kilka rzędów. Wycięto stare drzewa i w tym miejscu postawiono otwartą scenę koncertową. Ola wiedziała o tym od Elizy, władze szkoły od lat to planowały. Irysy kwitły zapamiętałe. Trzeba było je jednak wypielić. Pod krzakami róży leżały motyki i wiadro na chwasty. Ola podeszła, by je wziąć. Wtedy zobaczyła to dziecko. W dżinsowej kurtce, spodniach z niebieską lamówką, adidasach, żółtej bejsbolówce. Szczupłe dłonie grzebiące w ziemi. Twarz zasłonięta przybrudzonym daszkiem. Serce jej się zatrzymało. Była przekonana, że widzi syna. Miała ochotę podbiec i pochwycić go. Czy to był duch, czy Amadeusz zmartwychwstał? Wtedy chłopiec podniósł głowę i Ola zamarła. To nie był on, ale dziewczynka ubrana jak chłopiec. Oczy czarne jak węgle, smągła karnacja, brązowe usta, jak obrysowane konturówką. „Za kilka lat będzie z niej orientalna piękność” — pomyślała Ola. Mała była jednak przeraźliwie smutna.

Zamrugnęła długimi jak firany rzęsami i przygryzła wargę. Wstydziła się obcej kobiety.

— To jest moja pomocnica — przedstawił dziecko pan Staszek. — Zosia Sochacka.

Dziewczynka wstała. Była dużo niższa od syna Oli. Z bliska pucołowata buzia nie była jeszcze zbyt ładna. Nie powinna też ubierać się jak chłopak i tak krótko ścinać włosów. Patrzyła na florystkę z obawą. Kobieta podeszła do dziewczynki i wyciągnęła rękę.

— Jestem Ola. Też się tu uczyłam, wiesz?

Dziewczynka bez słowa odeszła do swoich grządek. Musiała często pomagać dozorczy, bo pielęła z dużą wprawą. Ola zauważyła też, że delikatnie obchodzi się z kwiatami. Palce miała grube i krótkie. Nie mogła grać na pianinie.

— Jaki instrument? — Ola podeszła do dziewczynki i pokazała jej, jak oczyścić korzenie rośliny, by nie rozrastała się pod ziemią, lecz efektownie zakwitła. Dziewczynka patrzyła na nią zauroczona.

— Harfa — powiedziała cicho.

Ola zamarła.

— Naprawdę?

Dziewczynka pokiwała głową.

— Najtrudniejszy instrument. Wymaga oddania mu duszy — powiedziała Ola i dziewczynka pierwszy raz się do niej uśmiechnęła. Była teraz naprawdę śliczna. Ukrywała swoją urodę pod chłopięcym przebraniem. Chciała być brzydka, nie chciała być dziewczynką. Ola wtedy nie wiedziała dlaczego.

Kiedy tego dnia wróciła do domu, Amadeusz zażądał od niej ofiary. Kazał jej zniszczyć amarylis. Nie mógł patrzeć na to, że kwiat żyje i ma się świetnie, podczas gdy on musi tkwić zamknięty w Ogrodzie. Ola nie była w stanie tego zrobić. Czuła, że jest zazdrosny o dziewczynkę ze szkoły. I wtedy pierwszy raz go oszukała. Próbowwała wykonać rozkaz, przyniosła sekator, przyłożyła do główki rośliny, ale szybko go odłożyła. Wydawało się jej, że utnie głowę własnemu dziecku. Potajemnie schowała go do siatki i wyniosła do kwiaciarni. Z czasem dokupiła następne amarylisy i tak powstała jej wystawa w „Ogrodzie Aleksandry”.

Ola otworzyła oczy. Ktoś gwałtownie potrząsał ją za ramię.

— Ej, dobrze wszystko? — Chrapliwy głos przywrócił ją do rzeczywistości. Odruchowo pokiwała głową. Przed nią stał mężczyzna, od którego bił odór nieprzetrawionego alkoholu. Obok śmietnika stał jego wózek pełen makulatury i śmieci. Ola przyglądała się spacerówce i nie mogła uwierzyć, że ta mała konstrukcja jest w stanie unieść tak wielki ciężar. Kształt i wzór na tkaninie wózka coś jej przypominał, musiała go gdzieś widzieć. W kuble grzebała kobieta, która wyglądała na niedorozwiniętą. Wyjmowała puszki z kosza i wrzucała je do pojemnika w wózku.

— Masz fajki? — Mężczyzna zerknął na Olę i wskazał swoją kobietę.
— Nie dla mnie. Marysia potrzebuje.

Ola pokręciła głową, ale poszperała w torebce i oddała mężczyźnie wszystkie pieniądze. Mężczyzna aż podskoczył z radości.

— Skąd ma pan ten wózek? — zapytała.

— A, Marysia znalazła — odparł. — Podoba się pani? Mogę sprzedać.
Ola pokręciła głową.

— Nie trzeba — uśmiechnęła się. Już sobie przypomniwała. — Mój syn miał podobny. Tylko czerwony. Ale pański też jest ładny.

— Dzięki, królowo życia! — Mężczyzna kłaniał się Oli jeszcze kilka razy. Zanim odszedł, wyjął z kieszeni papierosy i podał swojej partnerce. Ola nie czuła złości, że ją oszukał. Patrzyła, jak mężczyzna wyjmuje zapałki i próbuje krzesać ogień. Bez skutku. Dopiero trzecia zapałka się zapaliła. Ola wpatrywała się w płomień jak zafascynowana. Menel rzucił pudełko. Nie trafił do kosza. Chwycił swoją kobietę za ramię, awanturowała się chwilę, ale w końcu pozwoliła się przytulić. Odeszli, a Ola słyszała jeszcze w oddali skrzypienie ich wózka. Wstała, podeszła do śmietnika i podniosła pudełko. Chodziła po nim biedronka. Ola policzyła kropki. Sześć. Amadeusz powiedziałby, że biedronka ma sześć lat. Uśmiechnęła się smutno. Wiedziała już, co ma robić. Dostała znak. Odsunęła wieczko pudełka. Wewnątrz były dwie zapałki. Jedna zużyta, druga z solidną kropelką siarki. Zamknęła je, biedronka wpadła do środka. Ola schowała ją do kieszeni.

Salon z flipperami był zamknięty na cztery spusty, ale Meyer znalazł jego właściciela w sąsiedniej knajpie Kopiluwak, którą właśnie

remontowano. Właściciel lokalu, Michał Szczęśniak, stał na drabinie w czapce z gazety i pokrywał specjalnym płynem fragmenty zniszczone przez ogień. Poza nim w pomieszczeniu było jeszcze trzech robotników. Na widok Meyera zszedł z drabiny i dał znak chłopakom, żeby zrobili sobie przerwę.

— Już u mnie byliście — powiedział. — Pewnie do umorzenia, co?

— Ja nie z policji — wyjaśnił Hubert.

— Dziennikarz? Nie mamy o czym mówić. Do widzenia! — Szczęśniak odwrócił się na pięcie.

Meyer pokręcił głową.

— Ani to, ani to. Powiedzmy, że przechodziłem.

— Więc słucham, ale streszczaj się pan. — Właściciel był nieufny. Bał się.

— Podobno zna pan dobrze Arkadiusza Sochackiego?

— Więc jednak z policji — zachnął się Szczęśniak.

— Już nie. Sprawa interesuje mnie osobiście.

— A ja osobiście muszę sterczeć przy robocie, bo wy nic nie robicie — odparł opryskliwie. — Może sam to sobie podpaliłem, co? Z ubezpieczenia nawet na farbę nie starczy. Trzech gości wam wystawiłem, a wy nic. A teraz proszę, jesteście jak koza do woza! — Rzucił na podłogę szmatę i kopnął ją ze złością.

Meyer rozejrzał się po lokalu. Obszedł go dookoła. Tylko z przodu było widać ślady pożaru. Dalej był w nienaruszonym stanie. Plastikowe stoliki jak z lat 50. Karta z menu zawierała tylko kilka pozycji. Wśród nich ze zdziwieniem Meyer dostrzegł budyń, kakao i kisiel.

— Co tu się stało? — zapytał.

— Gazet pan nie czytasz? — zdenerwował się Szczęśniak. Kiedy jednak Meyer podsunął mu otwartą paczkę papierosów, podszedł i wziął jednego. — No to kim pan jest i czego chce?

— Jestem profilerem. Pracuję przy sprawie zabójstwa dziewczynki.

Szczęśniak wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem przyniósł dwa krzesła, przetaił je szmatą.

— Znałem tego gościa. Wisi mi kilka tysięcy. Był u nas kilka razy dziennie — powiedział wreszcie. I dodał: — Fajną ma pan robotę.

Hubert wzruszył ramionami.

— Różnie bywa.

— Jak wszędzie. Pan widzi, co tu się dzieje. Tylko dlatego, że źle wybrałem lokalizację. W samym centrum walk. Co mi strzeliło do łba? Jeździć mi się do centrum nie chciało. Teraz mam za swoje.

— Jakich walk? — zainteresował się Hubert.

— Dresiarze kontra skini.

— Skini? Ta subkultura już nie istnieje. A tym, co się ostali, nie chce się już z nikim walczyć. Są pewnie w moim wieku.

Szcześniak zaśmiał się.

— Sam kiedyś się w to bawiłem. Sochacki też udawał skinheada, ale matka go prześwięciła i przeniósł się do oazy. To straszne z tym jego dzieciakiem. Coś już wiadomo?

Meyer milczał.

— Nie może pan powiedzieć?

Profilier potwierdził i spytał:

— Ile lat prowadził pan tamten biznes? Vegasso. To już parę lat będzie, co?

— Ze dwanaście. Tylko dzięki temu ciągnę. Sam nie wiedziałem, że tak dobrze pójdzie. Tam nikt się nie bije, wszyscy mają w oczach tylko symbol dolara — dodał.

— Pamięta pan może tego chłopca z Berlinga, syna florystki? Podobno on też był uzależniony.

— Jasne, byli u mnie w tej sprawie. Na miejscu nie mógł usiedzieć. Szukał guza i znalazł. Choć o zmarłych źle się nie mówi. Ale co mi tam, teraz już pozamiatane. Cycu pewnie zaraz wychodzi. Słyszałem, że się zmienił.

— Znał go pan?

— Nie osobiście, nie przychodził grać. Ale każdy o nim słyszał. Degenerat osiedlowy. Matka cichodajka, wie pan. Lekko też nie miał. Choć tutaj się różnie mówiło. Że na przykład to nie on zrobił, a ten fircyk z AGD.

Meyer podniósł głowę, wyraźnie zainteresowany.

— O kim pan mówi?

— No ten Romeo z Alfą. Łaził za matką Amadeusza. Już ja szczególnie go nie cierpialem. Julkę mi odbił. Nie wiem, na co poleciała. Chyba na tego mopa na głowie, bo goły i wesoły był. Potem nagle dowiedziałem się, że w windzie skończyła. Nic pan nie wie? To była głośna sprawa.

Nagle zadzwoniła komórka Meyera. Zobaczył na wyświetlaczu, że to Doman. Przeprosił Szcześniaka i odebrał.

— Mam wyniki badań tej kulki — mruknął Doman. — Będziesz miał chwilę, to podjedź do mnie. Chyba cię zainteresują. Jestem w komendzie.

— Teraz nie mogę — odpowiedział Meyer i ani słowem nie zająknął się, że do komendy nie ma już wstępu. Zależało mu jednak na informacji o pocisku, jaki weterynarz ze stacji badawczej wyjął z jego rannego psa. — Może złapię cię w domu?

Doman był zakłopotany. Nie wiedział widać, w którym domu będzie dziś nocował.

— Dobra, to się dzwoniemy. Wszystko dobrze? — zapytał.

Hubert spojrzał na stojącego przed nim właściciela i odparł:

— Jak cholera. Będę miał jeszcze jeden biznes do ciebie.

— No, wal śmiało. Znajdziemy, wykryjemy, załatwimy — próbował żartować Doman, ale Hubert nawet się nie roześmiał. — Nie możesz gadać — domyślił się wreszcie policjant.

— Dokładnie, stary — odparł Meyer i rozłączył się.

Odłożył słuchawkę, spojrzał na Szcześniaka, wtedy ten zapytał:

— Ja pomogę panu, pan mnie. Zgoda?

Meyer uśmiechnął się.

— To zależy, ile pana wiedza jest warta.

— Pożar mojego lokalu obstawiał ekspert, który robił windę w bloku florystki. Jest dobry, dlatego nie dostałem pełnego odszkodowania. Facet krótko potem odszedł z psiarni, sam nie wiem, czy mu nie kazali. Teraz dobrze zarabia i pieprzy system. On do dziś ma tę ekspertyzę. Tę właściwą — zaznaczył Szcześniak.

— A niby dlaczego miałyby chcieć mi ją dać i skąd mam wiedzieć, że to nie jakaś podpucha?

— Bo on chce ją wreszcie komuś dać. Jeszcze dopłaci. Jest wściekły, że go wydymali. Rozumiesz pan?

Meyer skierował się do wyjścia.

— Nie będę brał udziału w jakichś machlojach — oświadczył. — Sam pan podpaliłeś lokal, to się teraz bujaj.

Szcześniak dogonił go i chwycił za ramię.

— Nie o to mi idzie, panie. Kasę odbiję sobie na Vegasso. Mam osobisty interes, żeby ta sprawa wyszła na jaw. Ten chuj zabrał mi dziewczynę, a potem ją zabił. Niech pan pogada z jej starymi. Dam panu adres. Jej matka jest szurnięta, wróży z kart. Pół miasta do niej łązi.

Eliza stała przed recepcją w hotelu. Pod pachą trzymała zwiniętą reklamówkę z rzeczami Amadeusza znalezionymi w mieszkaniu Oli. Wyglądała na zmęczoną, jakby od jakiegoś czasu nie sypiała. Worki pod przekrwionymi oczami, ziemista cera. Włosy w nieładzie. W hotelowym holu było pusto. Mężczyzna za ladą w przepisowej granatowej marynarce z broszką z logo hotelu niczym steward siedział w milczeniu ze słuchawką przy uchu, stukając nerwowo długopisem o blat. Słychać było stłumiony jednostajny sygnał telefoniczny.

— Nie odbiera — mruknął, po czym odłożył słuchawkę. — Może jednak coś przekazać?

Eliza zawahała się. Jeszcze raz spojrzała na drzwi wejściowe, które obróciły się z głośnym skrzypnięciem, ale zamiast Meyera zobaczyła młodą brunetkę, która zmierzała wprost do windy. Na ramieniu niosła wielką torbę z dokumentami i komputerem. W ręku trzymała szary karton z nazwą sklepu elektronicznego. Aż ugięła się od tego ciężaru. Postawiła pakunki przy windzie, nacisnęła przycisk i dopiero wtedy podeszła do recepcji. Eliza zauważyła, że w pudle były płyty DVD i kasety VHS.

— Czy mogę w czymś jeszcze pomóc? — zwrócił się do Elizy recepcjonista. Maestra pokręciła głową i wskazała fotele w foyer. — Poczekam. Proszę mi powiedzieć, kiedy pan Meyer wróci.

— Ten pan wraca o bardzo różnych porach — recepcjonista próbował ją zniechęcić, ale Eliza już zajęła miejsce, skąd miała najlepszy widok na drzwi wejściowe.

Lena zauważyła starszą, elegancką kobietę, gdy tylko weszła do hotelu. Udała, że nie słyszy jej rozmowy z recepcjonistą i że jej nie rozpoznała. Kiedy byli z Meyerem u Oli Jekel, właśnie ona odwiedziła ją nieoczekiwanie. Lena już wtedy miała wrażenie, że florystce zależało, żeby nie zobaczyli jej koleżanki. Psycholożka siedziała jednak wtedy w takim miejscu, że doskonale widziała twarz kobiety w odbiciu lustra. Miała okazję dobrze się jej przyjrzeć i była teraz pewna, że to ta sama

osoba. Dziś wyglądała na zdenerwowaną, a może nawet przestraszoną. Lena pomyślała, że skoro szuka Meyera, chce mu powiedzieć coś ważnego. Zdecydowała się sprawdzić, kim jest i czego chce od profilerka.

— Sto dwa proszę — rzuciła, starając się, by jej głos zabrzmiał obojętnie. Recepcjonista odwrócił się i bez słowa podał jej klucz do pokoju. — Są jakieś wiadomości dla Meyera? — zapytała, a on spojrzał na nią zdziwiony. Lena nigdy nie odbierała informacji dla Huberta. Zawahał się i pokręcił głową. Psycholożka kątem oka zauważyła, że kobieta w foyer ożywiła się. Z zaciekawieniem wpatrywała się w Lenę, a ta natychmiast odwzajemniła jej spojrzenie i uśmiechnęła się. Ruszyła w jej kierunku.

— Nie pamięta mnie pani? — zagaiła. Kobieta wydawała się zaskoczona, przycisnęła mocniej reklamówkę do piersi.

— Nie bardzo. My się znamy? — Wstała.

— Lena Pawłowska. — Psycholożka wyciągnęła rękę.

— Eliza Fal — przedstawiła się maestra.

— Pani jest przyjaciółką Aleksandry Jekel, prawda? — Lena chciała być jedynie miła. Okazało się jednak, że jej słowa przyniosły odwrotny skutek. Eliza zbladła, zgarbiła się. To trwało jednak tylko krótką chwilę. Szybko odzyskała rezon.

— Byłam nauczycielką Oli. Znam ją od dziecka — wyjaśniła.

Lena była poruszona. Spodziewała się, że kobieta należy do kręgu znajomych florystki. Być może jest z nią spokrewniona lub łączy je przyjacielska relacja — znała w końcu kod do domofonu. Nie spodziewała się jednak, że to osoba, która zna Olę tak długo. Nie mogła przepuścić takiej okazji.

— Możemy chwilę porozmawiać? — zapytała. Eliza cofnęła się o krok. — Czekałam na kogoś. Na pana z policji. Był u mnie kilka dni temu.

— Na Huberta? — Lena figlarnie przekrzywiła głowę. — Może pani pomówić ze mną. Pracujemy razem.

— Wolałabym jednak porozmawiać z nim. To sprawa osobista — zaznaczyła Eliza i dodała: — Gdyby jednak była pani łaskawa przekazać mu, że go szukałam, będę zobowiązana. Muszę mu coś powiedzieć. To dotyczy Oli i jest raczej pilne. — Przycisnęła do piersi reklamówkę, po czym zerknęła na przedmioty, które Lena pozostawiła w holu. Winda

zjechała właśnie na dół i kilka osób wysiadło. Musieli omijać karton z kasetami, pożyczony od Olenderków. Blondyna w różowym kostiumie fuknęła, że ktoś zrobił taki bałagan. Lena przeprosiła Elizę i poszła uprzątnąć swoje rzeczy. Kiedy przesunęła je pod ścianę i odwróciła się, foyer było puste.

Kilka brzózek okalało pomieszczenie z pustaków na kontenery śmieciowe, w którym uwijali się policjanci. Wreszcie jeden z nich wytaszczył przed wejście kolorowy wózek. Klasyczną tanią gondolę dla niemowlęcia. Doman pokręcił głową.

— Jeszcze tego mi brakuje do kolekcji. Po chuja mi to pokazujesz? — ryknął. — Zabezpiecz i idziemy dalej.

Technik natychmiast przystąpił do zbierania śladów. Wszyscy wiedzieli, że komisarz Domański jest dziś w wyjątkowo złym nastroju. Cały dzień sprawdzali, skąd sprawca wziął wózek, i czy go gdzieś widziano. Wszystkie gazety i stacje telewizyjne pokazały zdjęcie czerwonego wózka z białymi lamówkami. Każdy, kto coś o nim wiedział, miał obowiązek zgłosić się na komendę. I się zgłaszali. Wariaci, bezdomni, pijacy, ci, którzy chcieli zarobić, i żartownisie. Policjanci musieli sprawdzić i zweryfikować każdy trop. Nic dziwnego, że Doman był coraz bardziej poirytowany. Odpalał jednego papierosa od drugiego, licząc, że dzięki temu jakoś wytrzyma fetor bijący od bezzębnego dziadka, który wózek widział przedwczoraj. Obok niego stał rysownik i tworzył portret pamięciowy poszukiwanego. Mieli już spory plik takich kartek. Wózków też mieli kilka do wyboru. Żaden trop jednak nie wydawał się tym właściwym.

— Krzywy nos, tak? — dopytywał się Doman.

Menel kiwał głową.

— Sztuczne oko, tak?

— Tak, panie oficerze, tak. — Menel kiwał jeszcze intensywniej. Gdyby mógł, rozpląszczyłby się na ziemi jak pies. Doman zbliżył się do niego. Nie musiał nic mówić ani robić. Dominował nad przesłuchiwanym swoją niedźwiedzią posturą.

— I może jeszcze proteza zamiast nogi, co? A może to był kapitan Hak?

Zerknął na kompanów menela, stojących pod trzepakiem i kibicujących mu w rozmowie z policją, po czym ruszył w ich stronę.

— Pilnuj go — rzucił do jednego ze swoich ludzi.

Menel skulił się i wpatrywał się w Domana, który niebezpiecznie szybko zbliżał się do grupki bezdomnych. Od razu przestali się gapić na widowisko pod śmietnikiem i udawali, że ostro biorą się do pracy: zaczęli pospiesznie zgniatać puszki po piwie, segregować zebrane trofea w wózkach.

— Który dzwonił? — huknął na nich Doman.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Każdy z pewnością miał swoją historię. Ich twarze wyglądały odrażająco. Kiedyś byli trędowaci, dziś są bezdomni. Alkohol i choroby zjadały ich powoli. Już za życia wyglądali jak trupy. Tyle że mówiące, czujące, u niektórych budzące współczucie. Nie u Domana, policjant znał wiele takich osób. Wiedział, że w większości to był ich wybór. Stał przed trójką zagubionych ludzi. Jako świadczenie byli bezużyteczni, choć niekoniecznie. Jeden z nich, najmłodszy, nie był jeszcze tak szpetny jak pozostali. Widocznie niezbyt długo żył na ulicy. Doman szybko oszacował, że to on rządzi watahą. Wyjął paczkę i podał mu papierosa. Młody wziął dwa.

— No? — zachęcił go komisarz, ale ponieważ młody nadal nie odpowiadał, spytał: — Z której budki?

W oddali majaczyła budka telefoniczna.

— Tamta nie działa — odezwał się najstarszy. Zamiast zębów miał brunatne korzonki. Kiedy mówił, co jakiś czas pluł na rozmówcę. Doman odsunął się zawczasu.

— To jak? Gadacie czy nie? Inaczej z wiśniówki nici.

Nagle zza krzaka wychyliła się kobieta. Musiała być opóźniona w rozwoju albo niepełnosprawna. Nie wyglądała normalnie. Była mała, cała pokrzywiona i pijana.

— Ja, kurwa. A co?

— A nic. — Doman wzruszył ramionami. — Witam panią.

— A, witam szanownego. Oni nic nie wiedzą, чуje. — Kobieta machnęła ręką.

— Maryśka, daj spokój. Cicho bądź — starał się ją uspokoić najstarszy. Zwrócił się do Domana: — Pan wybaczy, ona taka nerwowa.

— Sam jesteś nerwowy! — Kobieta trzepnęła starego po głowie, po czym zaczęła go okładać na oślep. Pozostali przyglądali się temu znudzeni. Doman schwycił ją za rękę. Uspokoila się natychmiast.

— Spokojnie — powiedział twardo. — Rysopis.

— Powiedz mu! — Kobieta szturchnęła młodego w bok. — No!

— Odczep się. — Zamachnęła się na nią mężczyzna. Był zły, że plan zdobycia pieniędzy się nie powiódł.

— On go nie widział. — Kobieta wzruszyła ramionami i głośno czknęła. Po czym zasłoniła sobie usta, jakby była primadonną, a nie żebraczką. — Nie widzieliśmy go.

— To jak to jest? Czasu nie mam — ponaglał Doman. — Chcecie mieć dzisiaj nocleg u nas?

— Ten jest lewy, chcieli was wychujać. — Wskazała zabezpieczoną gondolę po drugiej stronie ulicy. — Ale Wiśniak widział ten właściwy wózek. Czerwony z takimi białymi paskami. Kółko mu trochę chybotąło. Przed wejściem na cmentarz stał, koło kontenera. Pakował na niego rzeczy, kiedy nagle ktoś mu go hycnął. No, powiedz, było tak, czy nie?

— Prawda? — upewnił się policjant. — Przed cmentarzem świętego Rocha?

Młody wolno skinął głową.

— Rozpoznasz tego hycła?

Młody zastanowił się. Obrzucił kobietę nienawistnym spojrzeniem, ale znów skinął głową.

— Jedziemy! — Doman schwycił młodego za rękaw i pociągnął za sobą. Młody aż się zatoczył, ale poszedł za policjantem. Nagle policjant zawrócił i wciąż trzymając za kołnierz młodego, wcisnął kobiecie do ręki banknot dziesięciozłotowy.

— Widzisz, Kaziu, trzeba umieć załatwiać interesy. — Marysia dumnie wypięła pierś.

— Idź, ty jędzo, bo... — Stary zamachnęła się, ale uniknęła ciosu. Śmiała się jeszcze chwilę, wachlując się dziesięciozłotówką. Starzec i tak zabrał jej banknot. Zaczęli się zbierać do pobliskiego monopolowego.

Dom rodziców Julki znajdował się przy alei Konstytucji 3 maja, będącej przedłużeniem Berlinga w kierunku centrum Białegostoku.

Nieotynkowany, trzypiętrowy klocek otaczały ze wszystkich stron drzewka owocowe, które obsiadły szpaki. Z jednej strony z domem sąsiedował warsztat naprawy aut, a z drugiej zakład pogrzebowy. Właściciele musieli planować posesję z rozmachem, ale widocznie zabrakło pieniędzy. Ogromny plastikowy baner na furtce informował, że znajduje się tutaj autokomis i firma transportowa. Żadnych magicznych znaczków nie było. Meyer był kiedyś u wróżbitów, spodziewał się więc wszystkiego. Nacisnął klamkę, furtka była otwarta. Rozejrzał się, czy w pobliżu nie ma psów, ale nie zobaczył na horyzoncie żadnego czworonoga, więc śmiało ruszył w kierunku domu. Chodnik był wyłożony kostką, trawniki przycięte. Pod płotem stała pokaźna trampolina oraz plac zabaw z karuzelą i huśtawkami dla dzieci.

Posesja wyglądała na opustoszałą. Drzwi do domu były zamknięte, zaś dzwonek nie działał. Spojrzał, czy firanki w oknach nie poruszyły się, ale wyglądało na to, że nikogo nie ma. W dalszej części majaczył garaż z otwartymi na oścież drzwiami, więc Meyer udał się tam. Ku jego zdziwieniu zastał tam kilka otwartych aut, które jeszcze przed chwilą ktoś musiał czyścić. Kanarkowy mini morris lśnił, jakby dopiero zjechał z taśmy produkcyjnej. Na podwórku stały spakowane walizki. Był to luksusowy czteroczęściowy komplet wraz z kosmetyczką. Meyer rozejrzał się ponownie.

— Jest tu kto? — zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział.

Już chciał wyjść, kiedy dostrzegł pod płotem niewielki kurhan, ukryty w krzakach róż, z ułożonymi w kręgu kamieniami. Nie było żadnej tabliczki, lecz wypalony znicz i świeże kwiaty wskazywały jednoznacznie, że jest to symboliczna mogiła. Meyer domyślił się, że powstała w intencji zmarłej córki gospodarzy.

— Ciao — usłyszał damski głos i odwrócił się. Do kanarkowego wozu podeszła młoda kobieta w dziwnym kostiumie arlekina i trampkach. Była nieprawdopodobnie chuda i wysoka, z powodzeniem mogła pracować jako modelka. Poruszała się z gracją, jakby nieco unosiła się nad ziemią. Jasne włosy miała ostrzyżone krótko i asymetrycznie. Trójkątną twarz zasłaniały jej ciemne okulary. Pomachała komuś w oknie i zaczęła pakować walizki do wozu. Meyer zadarł głowę i spostrzegł w oknie głowę kobiety, która jednak zaraz

zniknęła. Domyślił się, że dom musi mieć inne wejście, którego używają domownicy. Kiedy zbliżył się do modelki, ta nie wydawała się zdziwiona jego obecnością.

— Przepraszam — zaczął Meyer. — Szukam pani Zdunieckiej.

— Której? — Kobieta odsłoniła rząd białych zębów w uroczym uśmiechu.

— Matki Julii.

Uśmiech znikł z jej twarzy. Pojawiła się wrogość. Meyer znał ten garnitur min. Modelka reagowała klasycznie.

— W sprawie?

— We wiadomej sprawie — powiedział niezbyt uprzejmie, by skrócić wyjaśnienia i stworzyć dystans.

— Mama nie jest dziś w formie. Bardzo przeżywa mój wyjazd — wyjaśniła kobieta i wróciła do pakowania bagaży. Tył auta zapakowany był po dach. Meyer pomógł jej wtaszczyć największą walizkę do środka.

— Całe szczęście, że nie zostaje sama — powiedziała kobieta. — Julka to nasz rodzinny temat. Ja osobiście trochę mam tego dosyć. Musiałam wyjechać daleko stąd, żeby się odciąć.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Widziałem mogiłę.

Kobieta zaśmiała się.

— To grób naszego psa — wyjaśniła. — Julka stoi na kominku. Jeśli można tak powiedzieć o tej szkatule na prochy. Jak pan zapewne wie, jest praktycznie pusta. Ale mamie daje to dużo siły. Zresztą mówiła, że pan przyjedzie.

Meyer spojrział na kobietę z ukosa. Pokiwała głową. Nie wyglądała na zdziwioną.

— Oczywiście nie zna nazwiska, ale powiedziała dziś rano, że przyjdzie poślaniec z wiadomością od Julki. Więc witamy. Mama wie różne rzeczy — wyznała całkiem poważnie. — Niech mi pan wierzy, jako dziecko nienawidziłam tego. Chyba lepiej być dzieckiem prostytutki niż szamanki. Ale dziś doceniam jej dar. Myślę, że czeka już na pana.

Otworzyła drzwi i wskazała mu schody prowadzące na górę.

— Miło było poznać. — Ucisnęła mu dłoń i odwróciła się na pięcie. Po chwili usłyszał warkot silnika.

Meyer rozejrzał się po domu. Ściany były oklejone tapetami w kwiatowy wzór, meble też nawiązywały do okresu secesji. Był to dom z duszą. Żadnej tandety, żadnych kadzidełek, mandali, piramidek ze szkła czy malowanych we wzory świeczników. Meyer był zaskoczony, z jakim gustem go urządzono. Wytarł buty i ruszył na górę. Wzdłuż schodów wisały zdjęcia całej rodziny. Meyer stwierdził, że kobieta, z którą rozmawiał, była dzieckiem państwa Zdunieckich. A mieli ich sporą gromadkę. Kiedy natrafił na zdjęcie grupowe, policzył dzieci. Była ich szóstka. Julka była druga w kolejności. Najstarszy był brat. Na jednej fotografii ktoś uciął osobę stojącą z brzegu. Została tylko ręka o długich szczupłych palcach, obejmująca krzepką dziewczynę. Meyer rozpoznał kobietę z plakatów poszukiwawczych, to musiała być zmarła córka, zaś odcięta postać to pewnie był Paweł, jej niedoszły małżonek.

— Zapraszam tutaj — kobiecy głos przerwał jego rozmyślenia. W drzwiach gabinetu zobaczył brunetkę w nieokreślonym wieku, z włosami rozsypanymi na plecach niczym peleryna. Długą luźną tunikę nosiła narzuconą na spodnie w kwiaty typu alladynki, ściągane w kostce na gumki. Miała delikatne rysy twarzy i drobne, smukłe dłonie. Meyer dostrzegł, że modelka, którą widział obok auta, była jej wierną kopią. W takim razie zmarła córka odziedziczyła geny po ojcu. W porównaniu z matką była toporna i nazbyt dobrze odżywiona, choć mogła się podobać.

— Pani Kasandra? — zapytał nieśmiało.

Kobieta zmierzyła go od stóp do głów.

— Pan na konsultację? — upewniła się. Kiedy długo nie odpowiadał, dodała: — Proszę tak do mnie nie mówić. Wiem, co pana sprowadza.

Nie odpowiedział. Przyglądał się jej, ciekaw, co odpowie.

— Julia Zduniecka — wyciągnęła rękę. Meyer zastanawiał się, czy kobieta z niego nie kpi, ale uścisnął jej dłoń. Kobieta na dłuższą chwilę przytrzymała ją w swojej i powiedziała: — Proszę, niech pan obieca, że on poniesie karę.

— Kto? — zapytał, starając się, by zabrzmiało to neutralnie.

— Nawrocki. Przecież to on zabił moją córkę. Julka nie żyje, a ten chodzi sobie po wolności. Przecież po to pan tutaj przyszedł, żeby mnie przesłuchać, czyż nie?

Meyer miał ochotę kąśliwie skomentować jej słowa, ale powstrzymał się w porę, bo Zduniecka, widząc jego minę, natychmiast się zreflektowała. Wyjęła ze sterty dzisiejszą gazetę i pokazała artykuł opatrzony zdjęciem florystki, która opuszczała więzienie na bosaka. Kobieta podała Meyerowi dziennik, by mógł go spokojnie przejrzeć. Teraz już wiedział, że będąc matką zamordowanej przed laty dziewczyny, nie potrzeba szklanej kuli, by domyślić się wizyty policjanta.

— A może się mylę? — zapytał. Sięgnęła do papierošnicy, wyjęła z niej cienkiego papierosa, po czym zapaliła. Meyer dawno nie widział kobiety palącej z taką gracją.

— Nie myli się pani — oddał jej gazetę. — Jednak o tym, czy Nawrocki jest winien, zdecyduje sąd, nie ja.

— Już raz zdecydował — odparła Julia. — Pozwolili mu uciec. Cała sprawiedliwość. Jeśli tak ma być kolejnym razem, nie mamy o czym mówić. Nie przeżyję tego ponownie.

Wskazała Hubertowi krzesło i nacisnęła przycisk przy drzwiach. Po chwili pojawiła się w nich kobieta w fartuszk.

— Czego się pan napije? — Zduniecka zwróciła się do profilera. — Kawy, herbaty, może lemoniady? Anielka robi doskonałą lemoniadę.

— Wobec tego lemoniady — odparł Meyer. Już nie pamiętał, jak smakuje kultowy napój z dzieciństwa. Julia odwróciła się do gosposi: — Ja również poproszę. Dwa razy. I podaj biszkopty.

— To była państwa druga córka? — zaczął Meyer, kiedy drzwi za Anielą się zamknęły. Zduniecka znów zaciągnęła się papierosem.

— Moja pierwsza. Bartek jest synem męża z pierwszego związku. Julka nie była jego biologiczną córką. Poznaliśmy się, kiedy byłam w drugim miesiącu ciąży. Kochał ją jak pozostałe dzieci. Zresztą zanim zmarła, nikt o tym nie wiedział, nawet nasza rodzina. Potem mieliśmy jeszcze pięcioro dzieci. Kama jest najmłodsza. Pracuje w Mediolanie. Projektuje dla Armaniego. Była krótko modelką, ale na szczęście ma wiele talentów.

— Widziałem ją. Nie wątpię — mruknął z przekąsem. Julia zmierzyła go wzrokiem i uśmiechnęła się delikatnie.

— Z czym więc pan przychodzi? Nie chcę zgadywać — oświadczyła. Zanim drzwi się otworzyły wstała i podeszła do drzwi. Po chwili ktoś

nacisnął kławkę i Zduniecka odebrała z rąk gosposi tacę z napojami i paterą pełną ciastek.

— Mówiłam o biszkoptach — zgaśniła ją. Z gracją przeszła z powrotem do stołu. Meyer zauważył ten sam chód co u córki, jakby Zduniecka poruszała się baletowym krokiem. Idąc, stawiała najpierw palce, dopiero potem opuszczała piętę. Stąd wynikała ta lekkość, mimo jej dojrzałego wieku. Meyer miał ochotę zapytać, czy zanim została wróżką, nie była tancerką, ale się nie odważył.

— Chcę wiedzieć wszystko, co pani pamięta z tamtego czasu. Pojawiły się nowe okoliczności w sprawie. Badamy każdy trop — zaczął, ale Zduniecka natychmiast weszła mu w słowo.

— Przez całe lata zastanawiałam się, jak on zwabił Julkę do tego bloku — mówiła spokojnie i rzeczowo. W jej głosie nie było nawet śladu uduchowienia czy szaleństwa, jakiego Meyer spodziewał się, myśląc stereotypowo o jej profesji. Słuchał uważnie jej opowieści. — Nawet przez myśl mi nie przeszło, że ktoś mógł mu pomagać, ale kiedy dziś obejrzałam wiadomości, sądzę, że to możliwe. Florystka poznała moją córkę. Zleciłam jej dekorację weselną. Poza tym może to ona była mózgiem tej operacji. Paweł jedynie wykonywał jej polecenia. Durzył się w niej. Dziś wydaje mi się to prawdopodobne, choć kiedy Julka szalała z zazdrości, śmiałam się z tego.

— Była o niego zazdrosna?

— I to jak! Przeglądała jego telefon, sprawdzała pocztę, przeszukiwała wpisy w komunikatorach internetowych. Śledziła go. A on skarżył mi się, przekonywał, że Julka nie ma żadnych podstaw.

Meyer upił łyk lemoniady.

— Świetna, prawda? — spytała. Jej szklanka była już prawie pusta. Hubert nie zauważył, kiedy ją opróżniła. Mówiła niemal cały czas.

— A miała podstawy? Jak pani sądzi? Był romans, czy go nie było? — zadał pytanie, na które nie od razu odpowiedziała.

— Raczej tak. — Wstała, podeszła do giętego sekretarzyka i wyjęła poźólką kartkę w kratkę, schowaną w foliowej koszulce. Zamiast odręcznego pisma wyklejono tekst z zielonych naklejek: „Ten wyjazd był jedynie próbą ratowania związku. Twój chłopak wciąż się z nią spotyka. Nie daj się nabrać, bo będziesz cierpiała. Życzliwy”.

— Idiotyczne, co? — Kiedy Julia zapalała kolejnego papierosa, drżała jej ręka. — Ktoś wrzucił to do skrzynki. Mąż to znalazł. Policja nie wzięła tego pod uwagę. Nie pobrali odcisków, nie przeanalizowali pisma. Nic, kompletnie nic.

— Córka widziała ten list? — zapytał Meyer. Kobieta pokiwała głową. — I mimo to nadal była zdecydowana, by wyjść za Nawrockiego?

— Kochała go. A my wszyscy mu wierzyliśmy. Ze mną na czele. To ja wpłaciłam za niego kaucję — przyznała jakby zawstydzona. — Pamiętam, jak pomagał w poszukiwaniach córki, pocieszał mnie, zarzekał się, że nigdy nie pokocha innej i takie tam.

— Ale dlaczego Paweł miałby zabijać Julkę? — spytał Meyer. — Czy nie prościej było się rozstać?

— Paweł był winien mężowi dużą sumę pieniędzy. Organizacja wesela też słono kosztowała. Jego rodzina to nędzarze, tak w każdym razie mówił. Zresztą on nie miał nikogo. Nawet matki nie zaprosił na wesele. Tylko kilku kumpli, z którymi grał w jakimś zespole. Frak mu kupiłam, koszulę, obrączki, wszystko. Biedak mentalny. On nigdy nie będzie miał pieniędzy. Te długi musiałyby spłacić. Nie lubił pracy, o nie. Poza tym to tchórz. Julka śledziła go, coś wykryła, może musiała zginąć, bo była dla niego niewygodna. I tak nagle wyjechał. Klucze od mieszkania wysłał pocztą, gdzieś znad morza. Szukaliśmy go, bez skutku.

— Przecież to pani wpłaciła za niego kaucję — przypomniał Meyer.

— To prawda. — Pochyliła głowę, ukrywając narastającą złość, widać do tej pory się o to obwiniała. — Sama poszłam do policjanta, który nadzorował śledztwo, i wstawiłam się za Pawłem. Dałam mu solidne alibi. Omotał mnie. W noc po zaginięciu Julii Paweł był u nas. Pamiętam, staliśmy na balkonie, a on zobaczył coś za oknem. Był przekonany, że to ona. Wybiegł, szukał jej na polach. Kiedy znaleźli ją w tej windzie, płakał, że pewnie jej duch przyszedł się pożegnać. Musiała tej nocy już nie żyć, biedaczka. Ja oczywiście w to uwierzyłam. Uwierzyłam w ducha. Chciałam wierzyć. Że ona żyje gdzieś tutaj, w innej formie, i że on nie ma z tym nic wspólnego.

— Jak się nazywał ten policjant, z którym pani rozmawiała? Pamięta pani?

Kobieta długo myślała, nie mogąc sobie przypomnieć. Wreszcie poszła znów do sekretarzyka i zaczęła grzebać w dokumentach, starych gazetach.

— Nie wiem, ale to był ten człowiek. — Wskazała mężczyznę na zdjęciu grupowym z okazji odsłonięcia jakiegoś pomnika w mieście. Meyer zaniemówił.

— Jest pani pewna? — spytał z naciskiem.

— Oczywiście. On wypuścił mordercę mojej córki na wolność. Nie zapomnę tej twarzy do końca moich dni. Mogę to zeznać w sądzie lub pod przysięgą. — Uderzyła się w piersi. — I powiem panu coś. Od tamtej pory nie wierzę w żadne duchy ani życie pozagrobowe. Poza tym tutaj nic już nie ma. Trzeba z niego czerpać, ile się da.

Kiedy Meyer wyszedł, włączył dźwięk w telefonie. Od razu zobaczył na wyświetlaczu numer komisarza Domańskiego, który kilkakrotnie próbował się z nim skontaktować. Hubert oddzwonił natychmiast.

— Dzwoniła Zofia Makerosz, jest już opinia — oświadczył Doman rzeczowo. W tle Meyer słyszał płacz dziecka, więc kumpel musiał wrócić do domu. Na chwilę zapadła cisza. Hubert czekał. Słyszał, że Doman gdzieś się przemieszcza. Mówił ściszym głosem, jakby osłaniał usta ręką. — Nie da się stwierdzić, czy dziewczynka była molestowana przed śmiercią, ale błona dziewicza z całą pewnością nie została przerwana, resztę masz w ekspertyzie. — Umilkł i czekał na reakcję Meyera.

— Coś jeszcze? Może o obrażeniach?

— Wrzuciłem ci kopię opinii, masz ją na recepcji w hotelu, zapieczętowaną — odparł Doman. — Makerosz powiedziała, że obrażenia nie wykazują śladów walki. Oczywiście pomijając te instynktowne, gdy tuż przed śmiercią dziewczynka broniła się z powodu braku dostępu powietrza. Makerosz twierdzi, że śmierć zadano w identyczny sposób jak w przypadku Amadeusza Jekela, ale narzędzie zbrodni inne. Bardziej miękkie, delikatniejsze.

— Sznurówka?

— Mówiła coś o pasku z materiału albo wstążce. Może to też być taki pocięty bandaż, który znaleźliśmy w śmietniku. Jak będziesz chciał coś więcej, pogadaj z nią. Czeka na twój telefon.

— A co z kulą kłusownika? — zapytał Meyer.

Doman zawahał się, czy mówić przez telefon, wreszcie obniżył głos i szepnął.

— To klasyczny glock, dziewięć milimetrów. Twój kłusownik używa broni takiej, jaką mamy w komendzie.

— Swatek? — zapytała Lena z niedowierzaniem. I upewniła się: — Matka Julki wskazała Lucjana Swatka? Nie Pileckiego?

Meyer pokręcił głową. Od godziny siedzieli z Leną w hotelowej restauracji, którą właśnie zamykano. Wymienili się zebranymi z różnych źródeł danymi i próbowali wyciągać wnioski. Ta noc była dla nich ostatnią w tym hotelu. Następnego dnia wieczorem planowali wyjechać w teren. Rozmawiali półgłosem. Meyer co jakiś czas upominał Lenę, żeby nie mówiła zbyt głośno. Lokal był opustoszały, a wokół nich kręciła się obsługa. Psycholożka była jednak tak podniecona, że co jakiś czas traciła nad sobą kontrolę.

— Nie wierzę — mówiła z niedowierzaniem. — Czy to znaczy, że obok tych makabrycznych spraw toczy się jakaś większa afera?

— Na pewno są jakieś nieprawidłowości. — Meyer wzruszył ramionami i skinął głową na kelnera, po czym kazał dopisać kolację do rachunku hotelowego. — Jakie, nie dojdziemy sami. Trzeba porozumieć się z Domanem.

— A jeśli on też bierze w tym udział? — zapytała Lena. Profiler zmierzył ją wzrokiem. — Musimy sami to sprawdzić — dokończyła myśl. Nie zaprotestował.

— Trzeba się z tym przespać — oświadczył po chwili. — Jeszcze nie wiem jak, ale dojdziemy do tego.

Wsiedli do windy. Meyer przyglądał się Lenie, która błędziła gdzieś myślami. Wydała mu się zupełnie inną osobą niż ta, którą pamiętał w Jakunówku, czy na szkoleniach w Pile. Okazało się, że jest naprawdę skuteczna. Pomagała mu, za co był jej wdzięczny. Przede wszystkim jednak uświadomił sobie, że znów mu się podoba. Im mocniej go odpychała, tym stawała się bardziej interesująca. Miał teraz ochotę porozmawiać z nią jeszcze raz o jej propozycji. Wstydził się odsłonić, ale wiedział, że jeśli to zrobi, ona to doceni. Zrobił krok w jej stronę, stali teraz obok siebie. Ona spojrzała na niego i uśmiechnęła się delikatnie, po czym odwróciła głowę. Nie odsunęła się jednak. Nagle

winda się zatrzymała. Na pierwszym piętrze wsiadł drobny Azjata ubrany na sportowo. Stał przed nimi. Meyer wyciągnął ramię i odsunął Lenę do ściany. Patrzyła na niego lekko zdziwiona. Zanim zareagowała, pochylił się i pocałował ją. Przymknęła oczy, pozwoliła się objąć i oddała pocałunek. Kiedy winda się zatrzymała, stali jeszcze chwilę spleceni w uścisku. Azjata wysiadł, dyskretnie przyglądając się parze. Lena otworzyła oczy, Meyer dotknął jej włosów. Chwyił ją za rękę i wyprowadził z windy, Lena dawała się prowadzić. Kiedy dotarli do jej pokoju, włożyła klucz do zamka, przekręciła. Poczochnęła go po czuprynie i spojrzała mu w oczy bez uśmiechu, po czym zniknęła w drzwiach. Meyer dostrzegł tylko numer 102. Stał jeszcze chwilę, czekając, aż otworzy, ale nic się nie zdarzyło. Zapukał dwa razy, odpukała. Uśmiechnął się. Musiała tak jak on stać przy drzwiach. Znow zapukał. Cisza trwała zbyt długo, wreszcie usłyszał jedno stuknięcie. Miał odchodzić, kiedy otworzyła. Pochyliła się w jego stronę, a po chwili usłyszał jej szept i szelmowski chichot:

— Bez zobowiązań, tylko praca.

Drzwi zatrzasnęły się. Meyer już nie pukał. Ruszył korytarzem i schodami zszedł na swoje piętro. Dzisiejszej nocy nie zamierzał ruszyć nawet najmniejszym palcem. Musiał się wypaść. Ale, o dziwo, czuł się rzeński i radosny. Już w swoim pokoju usiadł na łóżku i napisał esemesa: „Śpij słodko”. Potem zamienił „słodko” na „dobrze”. Wreszcie skasował wszystko i długo wpatrywał się w wyświetlacz. Wstukał: „Szkoda, że cię tu nie ma”. Wysłał bez czytania i od razu pożałował. Lena oczywiście nie odpisała.

Wejście do piwnicy było uchylone. Ola nie musiała używać klucza, by dostać się do przechowalni rowerów. Poszukała na ścianie włącznika, ale światło się nie zapaliło. Pewnie przepaliła się żarówka albo ktoś znow ją ukradł. Ola była na to przygotowana. Miała ze sobą parafinową świeczkę i jedną zapałkę, którą trzymała w pudełku znalezionym w Parku Zwierzynieckim. Świeca nie dawała zbyt wiele światła, ale Oli to wystarczało. Przyszła tu w określonym celu. Minęła część z rowerami i dotarła do miejsca, gdzie mieszkańcy okolicznych bloków składowali niepotrzebne wózki. Te cenniejsze były przypięte do metalowej barierki kłódkami, pozostałe stały luźno, gdyby ktoś chciał je sobie

wziąć. Nie były już potrzebne właścicielom. Ola szukała czerwonego wózka z białymi lamówkami. Doskonale pamiętała, gdzie go przypięła. Wózek praktycznie był bezwartościowy. Starego typu spacerówka, jeden z pierwszych jej samodzielnych zakupów, kiedy wróciła do miasta po odejściu od męża. Wosiła nim Amadeusza nawet kiedy już chodził. Oboje bardzo go lubili. Ola wiedziała, że podstawka pod nogi dziecka czasem się zrywała i trzeba było ustawić ją pod odpowiednim kątem, żeby nie odpadała. Inaczej nogi dziecka ciągnęły się po ziemi. Liczba zgromadzonych w przechowalni wózków wskazywała, ile lat minęło od czasu, kiedy Amadeusz był małym chłopcem. Ola przedzierała się przez ten skład nikomu niepotrzebnych pojazdów, aż wreszcie dotarła do ściany. Kłódkę z łańcuszkiem rozpoznała od razu. Była przecięta nożycami do metalu. Miała takie w swojej podręcznej walizce florystycznej. Wózka jednak nie było. Została tylko zaczepka do podstawki na stopy. Ola podniosła ją i schowała do kieszeni. Tyle zostało z pamiątki po dziecku. Przełknęła ślinę i skierowała się do wejścia do piwnic. Minęła starą suszarnię, gdzie przed laty Paweł z zespołem robił próby. Ich muzyka Oli nie odpowiadała, ale była tak zadurzona w mężczyźnie, że czasem, pod pretekstem dostarczenia chłopakom kanapek i napojów, przychodziła posłuchać. Nie wytrzymywała jednak nigdy długo ich rzępolenia na elektrycznych gitarach. Paweł był w grupie perkusistą. Kiedy go poznała, zachwyciło ją to, że mają wspólne zainteresowania. Bębny jednak do niego wcale nie pasowały. Był smukły i wiotki, zaś walenie w bębny to ciężka praca. Nic dziwnego, że po każdej z takich prób wychodził kompletnie wykończony. To Ola namówiła go, żeby zamienił się z kolegą i zaczął śpiewać. Od tamtej pory grał w zespole na gitarze z partią solową. Czasami też śpiewał. Ta rola zdecydowanie bardziej mu odpowiadała. Piwnica Oli znajdowała się w rogu. Wisząca na haczyku kłódka była przerdzewiała i drzwi można było otworzyć jednym silniejszym kopnięciem. Ola postawiła na podłodze kaganek ze świeczką i kolejno wkładała do kłódki klucze, ale żaden nie pasował. Spoglądała co jakiś czas na gasnący płomień, martwiąc się, czy parafiny wystarczy na tyle, by odszukała to, czego potrzebowała. Wreszcie znalazła właściwy klucz i przekręciła dwukrotnie. Zdjęła zasuwkę. Drzwi otwały się ze skrzypnięciem. Wewnątrz panowała całkowita ciemność. Ola przez

chwile rozglądała się po zagraconym pomieszczeniu. Wreszcie znalazła karton z narysowanymi dziecięcą ręką obrazkami samolotów. Otworzyła go. W środku były stare zabawki i ubrania Amadeusza, jeszcze z czasów, kiedy miał kilka lat. Także trochę niemowlęcych śpiochów i gryzaków. Ola przeglądała to z rosnącym rozczuleniem. Kiedy natrafiła na maleńkie kapciuszki, nie mogła się powstrzymać od płaczu. Prawie przewróciła świeczkę, tak była poruszona. Niechcący zrzuciła puszkę z rozpuszczalnikiem, który był potrzebny podczas remontu mieszkania, kiedy się przeprowadziła. Zakrętka odpadła i potoczyła się pod szafkę. Ola nie była w stanie jej odnaleźć w takich ciemnościach. Postawiła wielką puszkę na szczycie szafki, ale zorientowała się, że to zbyteczne. Puszka musiała być otwarta, bo była pusta, widać rozpuszczalnik ulotnił się. Wtedy zobaczyła doniczki stojące pod ścianą. Były wypełnione ziemią, a z jednej z nich wystawała cebula kwiatu. Ola rozgrzebała ziemię palcami i dostrzegła, że cebula nie jest martwa. Wystarczyło ją jedynie podlać, a mogła puścić pędy. Ucieszyła się, otarła łzy, zaczęła ponownie składać niemowlęce ubranka Amadeusza. Nagle usłyszała szelest, a potem ciche stąpanie. Ktoś zmierzał w jej kierunku. Podniosła głowę, chwyciła świeczkę, ale ta jak na złość zgasła. Zapanowała kompletna ciemność i grobowa cisza. Ktoś zatrzymał się i także czekał. Ola czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Wymacała wyłącznik na ścianie, pstryknęła, ale oczywiście nie działał. Po chwili usłyszała oddalające się kroki. Ktoś starał się być jak najmniej słyszalny. Nie myśląc zbyt wiele, wybiegła za nim. Nie zobaczyła nikogo, ale po chwili drzwi zatrzasnęły się. Ruszyła w tamtą stronę, gwałtownie szarpnęła za drzwi, ale były otwarte. Na zewnątrz zaś nie było nikogo. Pospiesznie wróciła do swojej piwnicy, pozbierała rzeczy i wrzuciła byle jak do pudełka. Potem zabrała ożywioną cebulę amarylisa i wybiegła z klatki na powietrze. Odetchnęła z ulgą. Nad jej głową wciąż wisiało rozgwieżdżone niebo. W tym momencie uświadomiła sobie, że od dawna nie słyszała dziecka. Nie czuła go i nie bolała jej głowa. W pierwszym odruchu miała wielkie wyrzuty sumienia, że zapomniała o Amadeuszu. Potem jednak zmartwiła się, że może jednak odszedł na zawsze. Zdecydowała, że musi sprowokować go do powrotu. Skoro tego chce, będzie to miał.

Ochroniarze nawet nie mrugnęli okiem, kiedy Ola weszła do nieczynnej kwiaciarni.

— Urlopik? — zażartował jeden z nich. Ola niezobowiązująco pokiwała głową.

— Niektórym to dobrze — dodał.

Wejście było zasunięte kratą. Kiedy Ola ją odsunęła, oniemiała. Jej współpracowniczka na własną rękę zmieniła dekorację. Było tam wszystko to, czego Ola nienawidziła. Tandetne wiązanki z różnych rodzajów kwiatów w plastikowych „mikrofonach”, papierowe ozdoby, ptaszki z drewna i motyle z piór. Koszmar. W innych okolicznościach po prostu wrzuciłaby ten cały chłam do czarnego worka i wyniosła do zsypu. Dziś jednak miała ważniejsze rzeczy na głowie. Postawiła doniczkę na blacie, nie bacząc, że go pobrudzi, po czym zaczęła pospiesznie wygrzebywać cebulę. Wreszcie ją wyjęła i obejrzała dokładnie. Nie było w niej żadnych pasożytów. Była idealnie wysuszona. Takiego kwiatu Ola jeszcze nie miała. Trwał w inkubacji ponad pięć lat, bo właśnie wtedy wyniosła go do piwnicy, nie mając serca wyrzucić. Poszła na zaplecze, gdzie trzymała ziemię, nawozy i akcesoria, po czym zabrała się za sadzenie cebuli w nowej, żyznej ziemi. Kiedy skończyła, była cała złana potem. Otarła czoło i ustawiła cebulę w miejscu, jakie amarylisy lubią najbardziej — pod żarówką. Podlała, nie szczędząc nawozu. Wiedziała, że wkrótce puści pierwsze pędy. Potem zabrała się za wykonanie niedużej wiązanki. Wybrała kiść narcyzów i splotła je w pęk. Kwiaty były tak ułożone, że sprawiały wrażenie naturalnego bukietu. Jakby nie włożyła żadnej pracy w wykonanie wiązanki. Potem chwyciła fioletową wstążkę. Odmierzyła długi kawałek. Owinęła jej końce o przeguby i rozciągnęła z całej siły, sprawdzając czy wytrzyma spory nacisk. Wstęga wbiła się w jej skórę, tworząc czerwone pręgi, ale nie pękła. Ola poluzowała zacisk. Uznała, że wstążka jest wystarczająco mocna, by zostać użyta jako skuteczne narzędzie. Potem wyprostowała ją nożykiem, owinęła nią łodygi kwiatów, zawiązała w łatwy do rozwiązania węzeł, długie końce kokardy pozostawiając, by spływały luźno w dół i nie wzbudzały niczyich podejrzeń co do ich planowanego użycia. Przed wyjściem jeszcze raz sprawdziła swoje narzędzie — pociągnęła za jeden z końców. Węzeł bez kłopotu można było rozwiązać jednym ruchem.

— Będiesz miał swój prezent — mruknęła pod nosem, zasuważąc kratę i oddając klucze ochroniarzom. Podpisała listę, wyszła. Po drodze pobrała z bankomatu plik pieniędzy. Taksówka czekała na nią przed wejściem do sklepu. Kierowca otworzył jej drzwi. Z głośników wydobyło się pojedyncze intro gitary Jeffa Buckleya. Ola знаła dobrze ten kawałek. *Halleluyah*, najsmutniejsza piosenka świata. Paweł często wykonywał ten cover. Ola pomyślała, że to nie mógł być przypadek.

— Proszę jechać do szpitala dziecięcego — rzuciła.

Za oknem zapadał już zmierzch. Na ulice wyległy zakochane pary. Ola przyglądała się im, jakby siedziała w sali kinowej i oglądała film. Nie czuła smutku, choć piosenka dotykała drażliwej struny i wspomnienia powracały w postaci krótkich, rwanych fleszy. Patrzyła na tych ludzi i przyszło jej do głowy, że to wszystko mogło się przecież ułożyć inaczej. Innym ludziom się układa. Dlaczego nie jej? Nie pamiętała już, jak to jest być zakochanym, kiedy nie ma się żadnych zmartwień, a nawet jeśli — pokonuje się je razem. Ola wzdrygnęła się, nie wierzyła w świat widziany przez różowe okulary. Można powiedzieć, że miłość nigdy dla niej nie istniała. Co najwyżej była cierpieniem, tęsknotą, nigdy błogością. Odkąd pamiętała, zawsze była spięta, poważna, odpowiedzialna. Jeden, jedyny raz była gotowa poświęcić wszystko dla miłości, ale wtedy właśnie doszło do tragedii. Więcej nie da się nabrać. Woli pozostać pod kloszem, obserwować życie zza szyby. W jej oczach natychmiast pojawiły się łzy. Wiedziała, że okłamuje sama siebie. Chciała być kochana. To była jedyna rzecz, jakiej tak naprawdę pragnęła. Jeff był w połowie utworu, jego głos przewiercał jej wnętrzności, rozdrapywał powierzchownie zabliznione rany. Ola nie mogła tego dłużej znieść. Poprosiła, by taksówkarz wyłączył radio. Mężczyzna zerknął tylko na jej czarną sukienkę, niewielki bukiet, który skojarzył mu się z wieńcem, choć nie było na nim żadnych pogrzebowych wstążek, i zrobił to, o co prosiła. Kiedy dojechali na miejsce, wziął tylko połowę kwoty, jaką wybił licznik. Pasażerka wydała mu się najsmutniejszą kobietą na świecie.

Ola kupiła w automacie foliowe ochraniacze i śmiało ruszyła korytarzem na oddział dla pacjentów terminalnych. W głowie wciąż rozbrzmiewała jej muzyka Buckleya, choć może to była jednak gitara

Pawła? Dla Oli nie miało to już żadnego znaczenia. Szła śmiało przed siebie. Kiwała głową kolejnym pielęgniarkom. Najstarszej, która próbowała wyprosić ją z kwiatami, odpowiedziała butnie, że ma zgodę ordynatora. Niech sprawdzi w dokumentach. Dalej nikt jej nie zatrzymywał. Dotarła do drzwi i po prostu weszła. W pierwszej chwili nie mogła się zorientować, które dziecko wybrać. Wreszcie zdecydowała się na najmłodszą dziewczynkę przy oknie. Dziecko nie poruszało się, wyglądało, jakby było już martwe. Tylko zielony wykres na monitorze wskazywał, że jego serce wciąż biło. Ola aż zaniemówiła, zdjeta nagłym współczuciem. Nie spodziewała się takiego widoku. Ciało dziewczynki było wyniszczone chorobą jak u starca. Ręce i głowa, podłączone do niezliczonych rurek i urządzeń, miały liczne rany od ukłuć. Niektóre ropiały, nie było już miejsca, by włożyć nowe igły. Kroplówka skapywała regularnie. Ola wsłuchiwała się chwilę w jednostajny odgłos: kap, kap, kap. Jednym ruchem rozwiązała wstążkę, położyła kwiaty u podnóża łóżka, jak czynią żałobnicy w czasie pogrzebu, i podeszła do dziewczynki. W ręku trzymała pudełko. Uśmiechnęła się, choć z małą nie było żadnego kontaktu, i powiedziała łagodnie:

— Chcesz coś zobaczyć? — Odsunęła pokrywkę, na jej rękę wyszła biedronka. — Raz, dwa, trzy — zaczęła liczyć kropki na jej skrzydełkach. — Sześć. Ma sześć lat. Może ty też masz tyle. A jeśli nie, to wkrótce będziesz miała.

Po czym pozwoliła biedronce spacerować po ręce chorej dziewczynki. Nic się nie zdarzyło. Mała nie otworzyła oczu, nie poruszyła się gwałtownie. Ale też Ola na to nie liczyła. Obejrzała się, czy nikt nie nadchodzi, i roztarła rękę dziecka. Kiedy stała się znów ciepła, pochylila się i nawinęła wstążkę na przeguby, jakby chciała zarzucić ją na szyję dziecka, ale po chwili zrezygnowała. To nie było potrzebne. Chwyliła poduszkę i po prostu przyłożyła ją do ust dziewczynki. To było prostsze, niż Ola podejrzewała. Dziewczynka nie poruszyła się, nie walczyła. Tylko maszyna zaczęła wydawać głośniejszy dźwięk. Tętno spadało. Ola trzymała dziewczynkę za rękę. W ostatnim momencie poczuła, jak paluszki dziecka delikatnie zaciskają się na jej dłoni, i poczuła grozę.

— Już dobrze, już. Nie bój się. Spokojnie. Jest takie miejsce, gdzie nic już nie będzie cię bolało. Ktoś tam na ciebie czeka. Zawsze bardzo chciał mieć siostrzyczkę — szeptała, by uspokoić małą.

Dopiero kiedy na monitorze pojawiła się jednostajna linia, zdjęła poduszkę z twarzy dziewczynki, która wyglądała tak jak wcześniej, wyswobodziła się z uścisku dziecka i poprawiła jej pościel. Wstążkę schowała do kieszeni. Nagle dziewczynka zakaszła. To mógł być jedynie odruch, ale na monitorze znów pojawił się puls. Ola patrzyła na to zszokowana. Nic więcej się nie działo, ale Ola miała pewność, że dziecko wcale nie jest martwe. Słyszała już kroki zbliżającej się pielęgniarki. Pogłaskała małą po głowie, pocałowała w czoło na pożegnanie i uśmiechnęła się, po czym wzniosła oczy do nieba i powiedziała przepaszającym głosem: — Nie mogłam, przepraszam.

Ruszyła do drzwi. Przed wyjściem dostrzegła jeszcze biedronkę, która żwawo wędrowała po szyi dziecka, zupełnie nieświadoma tego, co przed chwilą się zdarzyło. Ola chciała ją zabrać z powrotem do pudełka, ale rozmyśliła się. Zatrzymała ją jednym ruchem i położyła na ręku dziecka. Pomyślała, że dziewczynka ucieszy się, gdy rozpozna ją w Ogrodzie. Kiedyś tam trafi, może wkrótce. Ale nie za jej pośrednictwem. Nie dzisiaj.

— Sześć — uśmiechnęła się do małej. — Sześć lat. Jak ty.

Wyszła, zanim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać. W windzie towarowej nie było nikogo poza pustym łóżkiem do transportowania chorych. Obejrzała się za siebie, ale nie było jego właściciela. Zdecydowała, że nie będzie czekać, i nacisnęła przycisk parteru. Kiedy winda ruszyła, poczuła lekki powiew i już wiedziała, że Amadeusz do niej wraca. Pewnie będzie niezadowolony, ale nie martwiła się tym. Spojrzała w lustro. Było w połowie pęknięte, przecinało jej twarz na pół.

— Nie dałam rady, demonie jeden — poskarżyła się, ale tak naprawdę wcale nie była zła. Czuła ulgę, a nawet radość, że nie spełniła obowiązku, a mimo tego syn nadal z nią był. — Zamiast żądać prezentów, sam lepiej byś się nią zaopiekował — rzekła z wyrzutem. Winda zatrzymała się, Ola wysiadła. Ruszyła długim opustoszałym korytarzem. Nawet nie rozejrzała się wokół, czy ktoś słyszy, że mówi do siebie.

Dopiero po wyjściu na ulicę i oddaleniu się od szpitala, zauważyła, że kierowca w aucie jadącym po drugiej stronie ulicy nie spuszczał z niej oka. Domyśliła się, że jej cudowne opuszczenie aresztu nie było do końca przypadkowe. Cały czas była pod obserwacją. Zaniepokoiła się. To znaczyło, że musieli wiedzieć o jej wizycie u chorej dziewczynki. Szła dalej równym tempem, ale nagle weszła w małą uliczkę prowadzącą do parku. Nie uciekała. Czekala, aż auto zawróci i ruszy jej tropem. Miała ochotę trochę się z nim pobawić. Uśmiechnęła się. Tak zrobiłby Amadeusz. Rozejrzała się. Samochodu nie było już widać. Musiał się zatrzymać na światłach. Ale zaraz tu będzie i ją znajdą. To było pewne, nie miała złudzeń. Zanim zobaczyła światła skręcającego auta, poczuła słodki zapach dzikich róż. Wiedziała, jak bardzo kolczaste są te krzewy. Mimo to zadarła sukienkę i wspięła się po siatce. Zanim spadła, pomyślała, że syn zrobiłby to lepiej. Umiał się wspinać po drzewach jak nikt. Podniosła się, wszystkie kończyny były całe. Mogła chodzić, kostka musiała być jednak zwichnięta, trudno jej się stąpało. Ruszyła wzdłuż ogrodzenia, kiedy dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi auta.

— Widzę cię — usłyszała męski głos. Zamarła, ale poczuła ulgę. To nie był nieznajomy.

— Czego chcesz? — rzuciła niezbyt miło.

— Wyjdź, porozmawiamy — odpowiedział. — Czekam w samochodzie.

Z trudem znalazła furtkę, musiała ją odblokować, bo była zamknięta od wewnątrz. Stała, wpatrując się w samochód. Blask reflektorów oślepił ją, nie mogła dostrzec twarzy mężczyzny, ale wiedziała dobrze, kim jest.

— Boże, Ola, krwawisz. — Podszedł do niej i chwycił ją pod rękę. Dopiero wtedy zobaczyła, że jest poraniona. W przedramiona i stopy miała powbijane dziesiątki małych kolców. — Odwiozę cię do domu.

— Nie, jeszcze ktoś nas zobaczy. Będziesz miał kłopoty.

— Nie martw się tym.

Meyer obrzucił spojrzeniem pusty pokój. Walizka była już spakowana i stała przy drzwiach. Zajrzał do łazienki, czy nie zostawił tam jakichś drobiazgów. Kiedy zamykał drzwi, zadzwonił telefon.

Odebrał, ale nikt się nie odezwał. Po drugiej stronie słychać było jednak, że ktoś ciężko oddycha.

— Halo — powtórzył profiler. — Kto mówi?

— Pan Meyer? — usłyszał kobiecy głos.

— Zgadza się. Z kim mam przyjemność? — spytał.

Osoba nie odpowiedziała.

— Trudno pana zastać — poskarżyła się kobieta. — Dzwonię już trzeci raz. Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć.

— Słucham — zachęcił kobietę Hubert. — Wolałbym jednak, żeby się pani przedstawiła.

— Ekspertyza pożarnicza wykazała, że to nie był wypadek — usłyszał. Sam nie wiedział dlaczego, ale pomyślał o matce Julki.

— Z kim rozmawiam? — spytał ponownie, nie kryjąc zdenerwowania.

— Nie znamy się — odparła kobieta. — Proszę natychmiast przyjechać do Jakunówka. Wiadomości są w drodze.

Rozległ się trzask słuchawki, a po chwili słyszał tylko krótki przerywany sygnał. Stał chwilę zszokowany. Zastanawiał się, kto może wiedzieć o jego ranczu, i nie rozumiał, jaki ma z tym związek ekspertyza pożarnicza. Czyżby w jego domu ktoś skutecznie podłożył ogień? Natychmiast oddzwonił do recepcji.

— Nie przedstawiała się — wyjaśnił recepcjonista. — Poprosiła jedynie o połączenie z pana pokojem. Tak, znała numer pokoju.

Meyer odłożył słuchawkę. Chwycił z wieszaka kurtkę i podniósł walizkę. Wydawała się cięższa, niż kiedy tutaj przyjeżdżał. Zjechał windą na parter i zostawił klucz od pokoju w recepcji.

— Nikt dla mnie nic nie zostawił? — zapytał.

— Nie ma żadnej przesyłki — stanowczo zaprzeczył recepcjonista. Był przystojny i wymuskany. Szczupłe dłonie musiał często oddawać pod opiekę kosmetyczki. Manikiur na paznokciach był profesjonalny, zaś lakier, którym były pociągnięte, nie błyszczał. Nawet okropny uniform hotelowy nie odbierał mu uroku. Na twarzy nosił dwudniowy zarost. Oczy miał zielone, w ciemnej oprawie. Zmierzył nimi Huberta od stóp do głów, aż ten się speszył.

— Może wczoraj? Albo w nocy? — podsunął myśl. — To dosyć ważne.

— Sprawdzę. — Mężczyzna wstał i podszedł do przegródek z kluczami. Odwrócił się i ponownie pokręcił głową.

— Nic nie ma. Przykro mi.

— Jeśliby coś przyszło, proszę mnie powiadomić. — Położył na blacie wizytówkę.

— Oczywiście — zapewnił mężczyzna i uśmiechnął się kokieteryjnie. — To pana prywatna komórka?

— Tak, bardzo proszę jej nie rozpowszechniać. — Meyer jednym spojrzeniem zgasił uśmiech recepcjonisty, po czym odwrócił się i ruszył do foyer, by poczekać na fotelu na Lenę.

— Przepraszam, musi pan jeszcze uregulować rachunek — powstrzymał go gestem recepcjonista. Nie był już taki miły jak wcześniej.

— Jaki rachunek? — zdziwił się Meyer. — Z tego, co wiem, do dzisiaj jest uregulowany.

— Rachunek na pokój tak, ale został jeszcze rachunek za płatną telewizję. — Mężczyzna znacząco zawiesił głos. — Karta czy gotówka?

— Proszę pokazać ten rachunek.

Recepcjonista podał mu wydruk komputerowy. Był to rodzaj billingu za EuroTV. Meyer zerknął na numer pokoju. Wszystko się zgadzało.

— To chyba pomyłka, ja nawet nie włączałem telewizora.

Recepcjonista chwycił za słuchawkę i poprosił menedżerkę hotelu.

— Proszę zaczekać. Dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona, nie mogę panu oddać dokumentów — powiedział recepcjonista.

Z windy wysiadła Lena. Na ramieniu miała staroświecką skórzaną torbę podróżną. Włosy były w nieładzie, widać już było jasne odrosty. W przeciwieństwie do Meyera była zmęczona. Całą noc przeglądała materiały od Olenderków.

— Co się dzieje? — zapytała.

— Ktoś na mój koszt oglądał pornosy — odparł Meyer. — Próbują mi to dopisać do rachunku.

W tym momencie do holu hotelowego wszedł kurier. Jego uniform był cały zadrukowany logami sponsorów. Wyglądał jak chodzący słup ogłoszeniowy. Połowę twarzy zasłaniały mu lustrzane gogle. Podszedł do lady, zdjął z pleców wypchaną kurierską torbę, wyjął z niej cienką kopertę, którą położył na blacie.

— Mam małe opóźnienie. Jest jeszcze gość o nazwisku Meyer? Mam doręczyć do rąk własnych.

Recepcjonista, zajęty rozmową telefoniczną, gestem wskazał Meyera. Kurier zwrócił się do nich.

— Pan czy pani jest adresatem? — zapytał. Meyer wskazał na siebie.
— Proszę o jakiś dokument tożsamości.

Hubert zawahał się. W tym momencie podszedł do nich recepcjonista. Wręczył mu jego dowód i przeproszającym tonem wyjaśnił:

— W czasie pana pobytu w naszym hotelu mieliśmy dwóch gości o tym samym nazwisku, stąd pomyłka. Wszystko już się wyjaśniło. — Odwrócił się i odszedł. Lena spojrzała bacznie na profilerę. Nie odezwał się. Podpisał dokument i gdy tylko kurier zniknął z pola widzenia, otworzył list. Wewnątrz było jego zdjęcie przed domem w Jakunówku. Zrobione długim obiektywem, tło było lekko zamazane, ale Meyer natychmiast wszystko rozpoznał.

— Dobrze wyszedłeś — skomentowała psycholożka. I zaraz dodała:
— Co to ma znaczyć?

— Nie mam zielonego pojęcia — wzruszył ramionami. Chwycił ją pod ramię, wyszli. Palili, czekając na taksówkę. W tym czasie Hubert opowiedział jej o tajemniczym telefonie.

— Musisz tam pojechać — skwitowała Lena. — I koniecznie zadzwoń do pani profesor, może ona coś wie. Jadę teraz oddać dziennikarzom płyty, ale potem do ciebie dołączę — obiecała.

Taksówkarz zapakował już bagaże Leny do bagażnika, Meyer zaś wciąż stał w tym samym miejscu. Nawet nie ruszył się do swojego auta. Lena odwróciła się, jakby sobie o czymś przypomniała.

— A co z maistrą? Byłeś u niej?

Meyer pokiwał głową twierdząco.

— Nie było jej w domu — mruknął. — Zostawiłem jej wiadomość z prośbą o kontakt pod drzwiami, ale jak dotąd nie zadzwoniła. Podjadę do niej jeszcze raz po drodze.

— Zrób tak. Wyglądała na przerażoną. No i nie wiem, dlaczego uciekła — odparła Lena, wsiadając do taksówki. Meyer nie słuchał jej uważnie. Jego myśli krążyły wokół innej sprawy, jak widać wciąż niezakończonych. Z kieszeni wyjął własne zdjęcie na tle domu rodziców i zastanawiał się, co miała znaczyć ta wiadomość. Wahał się chwilę, wreszcie wykręcił numer do profesorki. Starał się, by jego głos brzmiał

spokojnie, żeby kobieta nie wyczuła w nim zdenerwowania. Ku jego zdziwieniu Knutowa zaprzeczyła wszystkim katastroficznym nowinom. Choć oczywiście nie wspomniał o zdjęciu ani o anonimowym telefonie.

— Ależ wszystko jest pod kontrolą — powiedziała lekko obrażona.
— Było zagrożenie pożarem, owszem. Tutejsza policja badała sprawę, ale właściwie nie ma żadnych szkód. Nie musi się pan niczym martwić. Gdyby coś się działo, na pewno pierwsza bym pana poinformowała. Moi ludzie dwa razy dziennie jeżdżą tamtędy do miasta. Tak swoją drogą, kiedy pan wraca?

— Na razie nie jest mi po drodze — odparł. — Ale już niedługo będę musiał. Chciałbym się dowiedzieć, kto robi mi koło pióra.

Knutowa zaśmiała się.

— To rozumiem. Zbadał pan może kulkę?

— Tak, jestem w trakcie — odparł Meyer. — Zajmę się tym po powrocie. Obiecałem i dotrzymam słowa.

Dzieci ustawione parami na dziedzińcu szkoły czekały na sygnał wuefisty. Większość miała w rękach pojedyncze kwiaty, ale niektórzy przynieśli spore wiązanki. Starsi rozwijali transparenty „Stop przemocy”, unosili na próbę ogromne plakaty usztywnione i zamocowane do potężnych drągów, które mieli zamiar nieść wysoko ponad tłumem. Trójka samorządu uczniowskiego, ubrana na galowo, była gotowa do podniesienia poczty sztandarowej. Młodsze dzieci wzięły drobne instrumenty, sekcja dęta wyróżniała się błyskiem złota w rękach. Trąbki, puzony, flety i trójkąty były gotowe do odegrania żałobnego requiem, które szkoła muzyczna przygotowała na dzisiejszą uroczystość. Koleżanki i koledzy z klasy Zosi Sochackiej trzymali w rękach zdjęcia zamordowanej dziewczynki, które nauczycielki powieliły i zalaminowały. Kiedy policzono i ustawiono wszystkie dzieci, padł sygnał do wyjścia na ulicę. Nie mieli już wiele czasu. Czarny marsz przeciw przemocy, który zaplanowano na dzisiejsze przedpołudnie, w ciągu trzech godzin miał przejść ulicami miasta. Kolumna dzieci z hałasem ruszyła wprost na jezdnię. Eliza Fal wraz z pozostałymi nauczycielkami pilnowała, by żadne z dzieci nie oddaliło się ani nie zgubiło drogi. Kiedy delegacja szkoły dołączyła do marszu, dano znak i rozległy się pierwsze dźwięki. Najpierw zagrały smyki, cicho, potem

coraz głośniej. Muzyka rozdzierała serce. Ludzie idący obok zatrzymywali się na chodnikach, niektórzy tak jak stali dołączali do marszu. Eliza szła ze wszystkimi. Nagle dostrzegła, że jedna z dziewczynek z jej klasy nie radzi sobie z instrumentem. Była jeszcze zbyt mała, by grać idąc. Maestra precyzyjnie się sprawnie przez tłum i uwolniła ją od tego obowiązku. Po chwili inne nauczycielki i dyrektorka także włączyły się do szkolnej orkiestry.

Kiedy dotarli do kościoła, gdzie znajdowała się otwarta trumna z ciałem Zosi, tłum rozstąpił się. Ksiądz zajął swoje miejsce, gotów do rozpoczęcia pogrzebu. Rodzina dziewczynki stała z boku, pogrążona w smutku. Marlena wraz z Arsenem także przybyli na ceremonię. Otaczał ich tłum Cyganów, którzy chronili matkę Zosi przed oskarżeniami Barbary Sochackiej.

Eliza ruszyła przodem w kierunku koncertowej Salvi, która została tutaj ustawiona wczorajszego wieczoru. Była ubrana w długą czarną suknię, a na piersi miała przypiętą złotą broszkę z wizerunkiem ukochanego instrumentu. Grono pedagogiczne zdecydowało, że w kościele nie będzie żadnych szkolnych popisów. Tylko maestra miała pożegnać od wszystkich Zosię krótkim utworem na harfie. Eliza nie zdążyła dotrzeć do instrumentu. Na stołeczku ktoś już siedział, zaś zwielokrotnione doskonałą akustyką, pełne, okrągłe dźwięki poruszyły publiczność na tyle, że nikt nie śmiał przerywać grającej. Przy instrumencie siedziała florystka. Grała z zapamiętaniem *Requiem*, przymykając co jakiś czas oczy. Trumnę dziecka niczym wieniec oplatały głowy amarylisów. Te same, które Arsen zamówił w jej kwiaciarni kilka dni temu.

Meyer obserwował czarny marsz z okien korytarza sądowego. Widział z góry ludzi stłoczonych w ciasne grupy z małych ulic, którzy niczym koryta rzek wlewające się do morza, dołączali do tłumy podążającego wzdłuż głównej ulicy miasta. Poza muzyką nie słychać było żadnych okrzyków. Wszyscy szli w milczeniu, wsłuchani w *Requiem*. Widział już kilka takich marszów przeciw przemocy, ale ten był wyjątkowy z powodu przejmującej muzyki. Mieszkańcy miasta zegnali w ten sposób nie tylko Zosię Sochacką. W rękach trzymali zdjęcia innych ofiar, które w ostatnim czasie tragicznie zginęły w tym

rejonie. Wiedział z radia, jaki jest plan marszu. Najpierw mieli pójść na miejski deptak, potem na cmentarz, gdzie w miejscu odkrycia zwłok dziewczynki złożą część wiązanek, a potem do grobu Amadeusza Jekela.

Zerknął na zegarek. Miasto będzie zablokowane przez najbliższe trzy godziny. Dobrze, że przyjechał do sądu wcześniej. Dzięki uprzejmości Marii Turowskiej, szefowej sekretariatu, miał do dyspozycji tę samą salę z telewizorem. Ponownie włożył kasetę VHS do odtwarzacza. Tym razem zamierzał dokładniej przyjrzeć się wizji. Teraz jednak, zamiast Cyca, interesowała go publiczność zgromadzona przed blokami.

Obraz był słabej jakości. Tłum ludzi, zgromadzonych nocą wokół niskiego bloku z płyty, zlewał się w tło anonimowych twarzy. Teren otoczony był ze wszystkich stron czerwono-białymi taśmami. Porządku pilnowali policjanci w mundurach. Prokurator odczytał nazwisko Sławomira Kobierskiego, policjanci rozkuli go z kajdanek i przyprowadzili bliżej kamery. Podano mu miękkiego manekina. Prokurator upomniał go, by trzymał go jak tamto dziecko, w dniu zdarzenia. Cycu zaczął mówić:

— Chłopiec podszedł do mnie i krzyknął: „Kopsnij szluga, zakapie!”.

— To wszystko? — spytał prokurator.

— Potem mówił coś jeszcze — niechętnie odparł podejrzany. — Chciał się bić. Wkurzyłem się. Podniosłem go do góry za ubranie, przekręciłem. Kiedy go puściłem, poczułem, że jest bezwładny. Położyłem go tutaj. — Położył manekina na stopniach u wejścia do pierwszej klatki, odszedł. — Miałem nadzieję, że odzyska przytomność.

Jeszcze jeden rzut oka na publiczność. Niektórzy szeptali coś między sobą. Cycu uśmiechnął się do prokuratora. Koniec nagrania. Ekran śnieżył.

Meyer włożył do odtwarzacza kolejną kasetę. Identyczny początek, wyjaśnienie, dlaczego wizja będzie powtórzona. Znowu tłum gapiów. Tym razem zebrało się mniej osób. Meyer bacznie się im przyglądał. Ponownie włączył. Znowu opowieść Kobierskiego, podnoszenie manekina, porzucanie go po klatkę, odejście. Potem mężczyzna wrócił, podniósł ciało chłopca i schował za drzwiami zsypu. Jeden z policjantów, Meyer wiedział już, że był to Lucjan Swatek, uściślił, że ciało znaleziono właśnie w tym miejscu.

Koniec nagrania. Meyer cofnął i zatrzymał na stop-klatce. Ekran wypełniła twarz Swatka. Meyer przesunął film na podglądzie. Przyglądał się teraz nie głównym bohaterom wizji: podejrzanemu, policjantowi i prokuratorowi, lecz gapiom. Powoli przesunął taśmę, analizował każdą ze stojących osób. Potem włożył do odtwarzacza pierwszą taśmę i zrobił to samo. Klatki przeskakiwały, ich jakość wołała o pomstę do nieba.

— Może chciałby pan drugi odtwarzacz? — usłyszał za plecami. Odwrócił się. W drzwiach stała Maria Turowska. — Powinien pan zamykać drzwi — upomniała go i wskazała na klucz w drzwiach.

— A jest taka możliwość? Byłoby wspaniale — odparł z uśmiechem.

Kobieta wyszła. Zanim Meyer zdołał przewinąć kasetę, w sali pojawił się mężczyzna z telewizorem. Maria niosła w rękach drugi odtwarzacz.

— Pomogę panu — oświadczyła, kiedy monter zainstalował sprzęt i zostawił ich samych. — Doskonale znam te filmy. Widziałam je kilka razy, nie licząc odtwarzania podczas procesu. Szuka pan czegoś konkretnego?

— Jeszcze nie wiem — mruknął Meyer.

— Widziałam w gazecie rysopis tego poszukiwanego i chcę panu coś pokazać — powiedziała urzędniczka.

Meyer z podziwem patrzył, z jaką wprawą kobieta obsługuje odtwarzacz. Jego matka zawsze prosiła o to jego lub ojca. Maria zatrzymała pierwszą kasetę w miejscu, które oglądał wcześniej. Drugą wizję zaś zatrzymała na podobnej klatce.

W milczeniu wpatrywali się w gapiów. Turowska nie musiała mu nic pokazywać. Sam dostrzegł różnicę. Na pierwszej taśmie w tłumie wyróżniała się postać nastolatka w żółtej bejsbolówce. Na drugiej już go nie było. Meyer przewinął kasetę na zwolnionych obrotach i dostrzegł, że zdołał wycofać się, zanim policja zaczęła usuwać gapiów.

— Da się to powiększyć? — zapytał. Maria pokręciła głową. — Może pan wziąć te kasety i zgrać je. Odda mi je pan przy okazji. Na przykład jutro albo za tydzień.

— To legalne? — upewnił się.

— Nie, ale ja rządzę tym archiwum i wiem, że pan nie użyje ich do złych celów.

— W żadnym wypadku — zapewnił.

Po wyjściu z sądu ruszył na piechotę. Wiedział, że nie ma sensu brać taksówki. Czuł się dobrze, od dawna nie spał tak dobrze, jak dzisiejszej nocy. Wstał dziś o świcie i pracował. Informacje zdobyte od matki Julki oraz nowe okoliczności dotyczące romansu florystki ze sprzedawcą rzucały całkiem nowe światło na sprawę. Meyer przeanalizował raz jeszcze każdą ze spraw. Tylko Aleksandra Jekel miała motyw, by dokonać każdej ze zbrodni. Ta pierwsza, na własnym dziecku, była najbardziej porażająca i, prawdę mówiąc, Meyer wolałby traktować ją nadal wyłącznie jako jedną z hipotez, ale musiał brać ją pod uwagę. Wiedział, jak wielka odpowiedzialność ciąży nad nim w przypadku tej ekspertyzy. Jednak, jak by na to nie patrzeć, wszystkie sprawy nieodmiennie krążyły wokół tej jednej kobiety. W tym celu przeanalizował dziś rano życiorys florystki na tyle, na ile był w stanie w tak krótkim czasie i okolicznościach. Interesujące było to, że Ola Jekel przez wszystkich była postrzegana identycznie: zboleła matka, anioł, madonna. Ludzie nie mają tak jednowymiarowych twarzy. Inni na ich temat zazwyczaj wyrażają skrajne opinie. To oznaczało wyłącznie jedno. Wciąż nie trafił na osobę, która naprawdę dobrze znała Aleksandrę Jekel. Doman próbował dotrzeć do jej matki, ta jednak od lat nie miała z córką kontaktu. Niewiele im pomogła. To, co udało się z niej wycisnąć, było jedynie laurką okraszoną niezdrową egzaltacją, typową dla ofiar religijnych guru. Meyer był zły, jej zeznania do niczego mu się nie przydały. Powinien sam porozmawiać z matką florystki. Większość polskich policjantów nigdy nie nauczy się, że psychologia to podstawa dobrego przesłuchania świadka. Umieją jedynie uzyskać przyznanie się do winy bądź nie. Reszta jest dla nich stratą czasu. Meyer machnął na to ręką. Musi koniecznie dowiedzieć się, gdzie przebywa Paweł Nawrocki, i spotkać się z nim.

Na razie pracował na tym, co miał. Każdą z zamordowanych osób łączyła z florystką jakaś bliższa relacja: syn, narzeczona, kochanka, dziecko, które jej ufało. Dwie pierwsze ofiary mogły być dla niej przeszkodą w osiągnięciu celu. Meyer wiedział, że to jeden z głównych motywów działania kobiet zabójczyń. Nie mordowały dla samych pieniędzy czy dla sławy, zwykle cel był szczytny. Zrabowane pieniądze miały utrzymać rodzinę, a eliminacja przeszkody do szczęścia

przyciągnąć miłość. Jedyne zemsta była innym typem motywu. Zdradzona kobieta mści się okrutniej niż mężczyzna. Być może to było głównym powodem zabójstwa Julki. Jeśli przyjąć, że między Olą i Pawłem faktycznie istniał związek bliższy niż znajomość z pracy, być może zdesperowana kobieta, za wszelką cenę pragnąca miłości, mogła usunąć rywalkę z pola widzenia. Jednak trzecia zbrodnia w jej przypadku musiałaby mieć inny motyw. Florystka, jeśli naprawdę to zrobiła, chciała uratować to dziecko. Przed ojcem pedofilem lub matką, która nie potrafiła jej obronić, bo sama była uwikłana w romans. Wciąż możliwe jest, że to jednak matka zabiła dziecko. Zosia z pewnością od początku komplikowała jej życie. Zabicie jej znacznie ułatwiłoby sytuację: Marlena mogłaby zacząć wszystko od nowa. Tylko czy kobieta musiałaby w tym celu zabijać? Była badana przez psychologa i nie wykazano rysu psychopatycznego ani nawet zaburzeń osobowości. Już prędzej Arkadiusz byłby w stanie to zrobić. Był w klinczu religijnym, miał długi, na dodatek obawiał się, że podejrzenie molestowania wyjdzie na jaw. Wykorzystał romans żony i jej spóźniony powrót do domu, by uprowadzić dziecko. Upozorował poszukiwania, wykorzystał jako alibi rodziców i detektywa, który natychmiast stanął po jego stronie. Ale ostatecznie zarówno Fantomas, jak i jego własny ojciec stanęli przeciw niemu. Dlaczego w takim razie nie zakopał zwłok gdzieś w lesie, tylko porzucił je na cmentarzu, by pokazać wszystkim? Istniała wprawdzie teoria, że sprawca często przychodzi oglądać swoje dzieło, ale reszta nie pasowała. Tyle że znał Amadeusza i jak on był uzależniony od fliperów. Czy miał związek także z jego śmiercią?

Do tego dochodziło wiele niewyjaśnionych sekretów: romans florystki ze sprzedawcą, o którym oboje nie chcieli pamiętać, i dwóch policjantów zamieszanych w ukręcenie łba „sprawie windy”. Meyera dręczyła też myśl, czy Pilecki nie wezwał go do miasta tylko po to, by rzucić na niego winę za ewentualne błędy w śledztwie. Przecież od dawna był spalony. To byłoby bardzo łatwe i umiejętnie wykorzystane, odwróciłoby też uwagę od uchybień w śledztwie. Jeśli jednak jeden z szefów miejscowej policji macza palce w takiej sprawie, była to rzecz bardzo poważna. Nie mógł rzucić takiego oskarżenia Domanowi bez podania dowodów na tacy. Jednego był pewien: wszystkie trzy zbrodnie

łączy ze sobą postać florystki. Wciąż jednak brakowało mu danych. Działał po omacku. Musiał więc być niezwykle ostrożny.

Zwłaszcza że trop, na który wpadł teraz, dzięki uprzejmości szefowej sądowego archiwum, z punktu widzenia detektywów był jedynie szczegółem, zupełnie nieistotnym dla sprawy.

Nie bez powodu postać człowieka w bejsbolówce pojawiała się w każdej ze spraw. Zapisał sobie:

1. Wizja lokalna w sprawie o zabójstwo Amadeusza — jeden z gapiów

2. Sprawca transportujący zwłoki Zosi — rysopis świadków

3. Wygląd obojga dzieci — plakaty poszukiwawcze, ekspertyza wiktymologiczna

Czy to wciąż ta sama osoba? Raczej przebranie. Kamuflaż doskonały, mundur sprawcy. Dzięki niemu skutecznie wtapia się w okolice blokowiska. Trudno ocenić figurę, płeć. Czapka i szeroki kaptur pozwalają na zasłonięcie twarzy. Sportowe buty i wygodny strój umożliwiają swobodne ruchy i nie rzucają się w oczy. Tak ubranych młodych ludzi mieszka na Dziesięcinach bez liku.

Maestra skończyła już sprzątanie. Stare ubrania i pościel wrzuciła do pojemnika PCK, który stał tuż obok jej domu. Wyrzuciła zbędne papiery, usunęła całą kolekcję bibelotów z harfami. Z ciężkim sercem pozbyła się wielu cennych egzemplarzy, ale czuła, że potrzebuje przestrzeni. Kilka kartonów pełnych drogocennych kiedyś dla niej precjozów czekało na wyniesienie do kontenera. Spojrzała na pokój. Był opustoszały. Poza trzema harfami, stołem i komodą nie zostało tu nic więcej. Usunęła też zdjęcia, maski, które przywiozła z zagranicy, i wszelkie ozdóbki, które przez całe życie tak uparcie zbierała. Nie żałowała ani jednej rzeczy. Błaty mebli były już puste, na oknach i w wazonach stały jedynie świeże kwiaty, które przed chwilą przyniosła z ogrodu. Usiadła przy stole i wyciągnęła karafkę z martini, ale ze zdziwieniem spostrzegła, że jest pusta. Otworzyła szafkę i przyjrzała się zawartości. Stało tam bardzo wiele butelek. Wdzięczne rodziny uczniów często obdarowywały ją dobrymi trunkami. Maestra nie była pijaczką, bardzo rzadko je otwierała. Zdarzało się, że darowała je znajomym przy byle okazji. Niektóre z alkoholi miały już wiele lat. W samym kącie

szafki znalazła kilkudziesięcioletnie porto i zdecydowanym ruchem je odkorkowała. Wybrała swój ulubiony kieliszek i nalała sobie od serca. Trochę się denerwowała, bo minął już kolejny dzień, a ani nie zadzwonił, ani nie przyszedł, tak jak się tego spodziewała. Żałowała, że wyrzuciła wizytówkę, którą jej dał. Nie sądziła, że będzie jej potrzebna. Teraz nie miała jak się z nim skontaktować. Do komendy dzwoniła już trzykrotnie. Mimo iż nie chciała się przedstawić, sekretarka zaczynała już poznawać ją po głosie. Eliza nie chciała jednak rozmawiać z nikim innym. Duszkiem wypita porto i zdecydowała, że wyniesie kartony do śmietnika. Dziś znów odwołała wszystkie lekcje; jak tak dalej pójdzie, straci wszystkich uczniów. Nie była jednak w stanie skupić się na niczym innym. Bała się. Chciała jak najszybciej pomówić z Meyerem. Wiedziała, że florystka nadal jest na wolności. Eliza zaś najlepiej ze wszystkich znała swoją uczennicę. Schowała butelkę do szafki, dokładnie umyła kieliszek, wypłukała usta i spojrzała w lustro przed wyjściem. Ze smutkiem stwierdziła, że nie poznaje siebie. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jest starą kobietą. Kiedy to się stało? Nagle usłyszała ciche kroki. Zaniepokoiła się. Nikt nie dzwonił do furtki, a była przecież zamknięta. Nastawiła uszu i zerknęła, czy drzwi wejściowe są zamknięte. Nie odważyła się jednak podejść do wizjera, by zobaczyć, kto czeka za drzwiami. Sama nie wiedziała dlaczego, ale nie była w stanie ruszyć się nawet na krok. Chwilę trwała w ciszy, pomyślała nawet, że może się przesłyszała, że to było jedynie złudzenie, kiedy nagle usłyszała ciche pukanie. Ktoś, nie czekając na odpowiedź, nacisnął klamkę. Eliza zamarła. To nie był Meyer. Wiedziała, kto to, zanim osoba po drugiej stronie włożyła klucz do zamka. Maestra postawiła kartony na ziemi, odsunęła się i chwyciła mosiężną parasolkę z kosza przy drzwiach. Trzymała ją jak kij bejsbolowy, wiedząc, że nie zawaha się jej użyć, jeśli napastnik będzie chciał zrobić jej krzywdę. Dopiero wtedy pod dywanikiem przy drzwiach dostrzegła wystający róg białej kartki. Podniosła ją i zdążyła jedynie przeczytać nazwisko Meyer, kiedy drzwi wejściowe uchyliły się. Stała w nich Ola, zdziwiona na widok gotowej do walki Elizy.

— Nie zbliżaj się — szepnęła maestra. — Zostaw mnie.

Florystka zlekceważyła jej słowa. Postawiła na podłodze doniczkę z ziemią, a potem starannie zamknęła drzwi. Eliza zobaczyła, że Ola ma

zabandażowaną stopę i oba przedramiona.

— Daj już spokój — odparła Ola i mijając Elizę z kpiącą miną, weszła do środka. Ponieważ jednak maestra nie wykonała żadnego gestu i wciąż stała jak rażona piorunem, florystka wróciła i odebrała jej parasolkę, po czym umieściła ją ponownie w koszu. — Nie pada, w każdym razie nie zauważyłam — dodała.

Eliza dała się poprowadzić. Wpatrywała się w uczennicę ze strachem.

— Czego chcesz? — odważyła się wreszcie zapytać drżącym głosem.

Ola wzruszyła ramionami, po czym wyjęła klucz spod bluzki. Eliza wpatrywała się weń dłuższą chwilę.

— Dlaczego? — zapytała z wyrzutem.

Eliza milczała. Była blada, z trudem hamowała drżenie warg.

— Dlaczego tam weszłaś? — spytała Ola ostrym tonem i zbliżyła się do maestry na wyciągnięcie ręki. — Przecież obiecałaś.

Eliza nadal nie była w stanie wydusić słowa.

— Przez ciebie odszedł, opuścił mnie! — Ola prawie krzyknęła. — Nic nie czuję, nic nie słyszę, rozumiesz! Wszystko mu poświęciłam, wszystko, a teraz ty to zrobiłaś. Przez ciebie on odszedł!

— Ale Oluś, ja tylko zajrzałam. Było otwarte — zaczęła Eliza, ale nie dokończyła, bo Ola wpadła w histerię.

— Czy ty nie rozumiesz, że on był dla mnie wszystkim? Wszystkim! Nic i nikt się nie liczy. Tylko mój synek. To dla niego żyję. Jak mam teraz żyć? Nie po tym wszystkim — łkała.

Eliza wstała, pokonując opór, i przytuliła Olę do siebie.

— Uspokój się — szepnęła. — Boże, jak się bałam. Już dobrze, dobrze...

Ola płakała, wciąż mówiąc do siebie. Nagle obejrzała się na doniczkę z kwiatkiem i powiedziała:

— Myślałam, że wykiełkuje, że ożyje. A on nic. Dałam mu tyle nawozu, tyle serca. — Pokazała poranione dłonie. — Jest wciąż martwy. Mój syn nie jest martwy, on żyje. To nieprawda! — Teraz już płakała na dobre.

Eliza patrzyła na przyjaciółkę i czuła, że nie przejmuje się jej cierpieniem jak kiedyś. Coś się stało, coś pękło. Ola musiała to wyczuć, bo spojrzała na Elizę zawiedziona.

— Nic nie powiesz? — zapytała. — Nawet przepraszam? Za to, że weszłaś do jego pokoju? Bo on zniknął przez ciebie, przez ciebie! Rozumiesz?

Eliza odsunęła się kilka kroków w tył, patrząc, czy ma otwartą drogę ucieczki. Szepnęła bezwiednie:

— On nie żyje. Wiesz przecież. To wszystko nieprawda. Jego nie ma.

Florystka przestała płakać i spojrzała na nauczycielkę z ukosa.

— Ja już wiem wszystko, Ola — dodała maestra zimno. — Znalazłam twoje przebranie.

— Jakie przebranie? — ostro zapytała florystka.

W jej oczach nie było już rozpacz, zamiast niej pojawiła się czujność ptaka, narastająca złość, zew walki. Nie była już skrzywdzonym zwierzątkiem, jak przez tyle lat traktowała ją Eliza. Teraz była wyłącznie furią. Eliza natychmiast poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

— Ty to zrobiłaś! — krzyknęła. — Ty razem ze swoim wymyślonym duchem syna zabiłaś Zosię. Ty sama to zrobiłaś, bo on nie istnieje! Nie istnieje! Już nie musisz udawać. Nie wierzę ci! Mordujesz, żeby się zemścić, ale wcale nie za dziecko, tylko za to, że Paweł cię zostawił. Bo nawet jak Julia umarła, nie chciał być z tobą! A ty dla niego pozbyłaś się Amadeusza! Ty sama zabiłaś swojego syna!

Ola nie dała Elizie dokończyć, rzuciła się na nią z pięściami. Zatkła jej usta, powaliła na podłogę i zaczęła okładać, krzycząc:

— Kłamiesz! Amadeusz żyje. Żyje!

W trakcie szarpaniny jedna z harf, ta najmniejsza, zabytkowa, zachwiała się i upadła, roztrzaskując złoconą ramę o blat komody. Pod wpływem gwałtownego uderzenia struny wydały przeraźliwy dźwięk, jakby ostatnie miauknięcie zarzylanego kota. To otrzeźwiło Olę. Zerwała się i stanęła nad Elizą przerażona.

Maestra z trudem się podniosła. Odepchnęła Olę, kiedy ta próbowała ją przeprosić.

— Musisz iść i się przyznać — oświadczyła oschle, już bez strachu.

Z szuflady w komodzie wyjęła reklamówkę, w której było ubranie Amadeusza.

— Tak, przyznaję się. — Mężczyzna mówił spokojnie, bez emocji. — Do dzisiaj żałuję tego, co się stało. Staram się żyć dobrze.

Meyer i Lena siedzieli naprzeciw Sławomira Kobierskiego przy małym stoliku, w pokoju przeznaczonym na widzenia z dziećmi. Poza kratami w oknach nie czuło się tutaj więziennej atmosfery. Otaczały ich kolorowe obrazki, wesołe makatki, witraże wykonane przez osadzonych, stosy książeczek i bibelotów stłoczone na półkach. W kąciku zabaw dla małych dzieci, na wykładzinie w księżniczki stały dwie wielkie pufy, skrzynia z zabawkami i stos maskotek, w których dominował intensywny róż i fluorescencyjna zieleń. Stolik, przy którym usiedli, był jedynym normalnym sprzętem w pokoju. Pozostałe przystosowane były do potrzeb dzieci. Miniaturowe krzeselka, stoliki, a na nich zestawy malowanek i przyborów do rysowania. Przebywanie w tym pomieszczeniu i temat rozmowy wprawiały Sławomira Kobierskiego w zakłopotanie, ale też potwornie go blokowały. Było to najgorsze miejsce na spotkanie, ale władze więzienia wyznaczyły im ten pokój, ponieważ akurat dziś był termin widzeń i wszystkie inne salki były już zajęte przez rodziny więźniów. Meyer czuł, że będą musieli przejść z przesłuchiwanym długi proces otwierania. Cieszył się, że jest z nim Lena, której z ulgą pozwolił na wykonanie tej najdelikatniejszej roboty.

Cyc zmienił się nie do poznania w porównaniu z nagraniem wizji lokalnych, które widzieli. Schudł i wyprzystojniał. Patrzył na nich pocziwymi oczyma, których kąciki opuszczone były w dół, przywołując na myśl skrzywdzonego psa. Miał półdługie włosy w kolorze ciemnoblonde, choć na czole pojawiły się już wysokie zakola. W lewym uchu nosił srebrny kolczyk w kształcie kółka. Nos miał kartoflowaty, usta zaś tak wąskie, że całkiem ginęły w rysunku twarzy. Nie wyglądał na swoje dwadzieścia dziewięć lat. Mówił głównie do Leny, jakby licząc na większe zrozumienie z jej strony. Meyer musiał na nim zrobić wrażenie nieprzeniknionego, nieco groźnego. Potęgował to fakt, że Hubert nie ogolił się ani nie włożył garnituru, jak zazwyczaj, lecz czarną bokerską kurtkę ze skóry, prosty t-shirt w tym samym kolorze i powycierane dzinsy. Ten strój odmładzał go, ale nie budził zaufania. Był raczej próbą wyzwania rzuconego mordercy. Lena dobrze wiedziała, że dla profilerów ubiór jest rodzajem komunikacji z przesłuchiwanym

świadkiem. To dlatego Hubert kazał jej ubrać się jak najbardziej oficjalnie. Mimo upału miała na sobie żakiet i dopasowane, ale nie obcisłe spodnie w nieokreślonym kolorze. Wszystko uprasowane w kant, wyglądała jak w mundurze. Na nogach miała płaskie mokasyny. Hubert prosił też, żeby nie malowała się zbyt i nie odsłaniała ani odrobiny ciała. Zastosowała się do jego poleceń aż nadto. Co jakiś czas zerkał na jej czarną jak skrzydła kruka, wystrzępioną fryzurę i nie wierzył, że to ta sama Lena, którą znał. Z krótkimi włosami wydawała się jeszcze drobniejsza, ale ich kolor sprawiał, że była teraz drapieżna. Jakby zdjęła maskę aniołka, którą nosiła w jakimś określonym celu, bo już nie była jej potrzebna. Wyraźnie widział teraz długą szramę wzdłuż policzka, wyglądała jak po nożu. Meyer był spostrzegawczy i gdyby nie starała się jej ukryć, z pewnością by ją dostrzegł. Był ciekaw, czego to pamiątka, ale jak dotąd mu nie powiedziała. Musiał przyznać, że był z niej całkiem zadowolony, choć wciąż nie do końca wierzył w jej umiejętności. Teraz też siedział w milczeniu i czuwał nad każdym wypowiedzianym przez nią słowem. Przy okazji mógł ułożyć sobie nową sytuację, w jakiej się znalazł.

Wszystkie rady Meyera okazały się zbędne. Cyc nie zwracał uwagi na wygląd Leny ani nie dążył do konfrontacji z profilerem. Brutalny morderca dziecka sam wyglądał jak zraniony przed laty chłopiec. Meyer wiedział, że to dobry znak. Resocjalizacja musiała przebiegać zgodnie z planem. Pracownikom więzienia udało się go wyprowadzić na prostą. Jeśli wziął winę na siebie, jeśli ją przeżył i starał odpokutować uczynione krzywdy, była dla niego nadzieja. Patrząc na Cyca, Meyer myślał jednak o pozorowanym motywie seksualnym zabójstwa. A jeśli była to jedynie nieudolna próba? Cyc miał w sobie coś miękkiego, emocjonalność chłopca, jaką mają pedofile. Meyer wiedział, że trzeba to dobrze zbadać.

— Ile jeszcze zostało panu do wyjścia? — zapytała Lena. Głos miała poważny, niski i czuło się bijącą z niej siłę. Zachowywała się jak zawodowiec.

— Półtora roku, bez siedemnastu dni — odparł bez zająknięcia. Jak każdy więzień skrupulatnie odliczał nie tylko dni, ale i godziny odsiadki. Pewnie z utęsknieniem czekał na tę chwilę. — Już dwa lata

temu przenieśli mnie na P2. W celi mam dwóch krótkoterminowych więźniów. Mam prawo do przepustek, ale nie korzystam.

— Dlaczego? — spytała psycholożka. Meyer zauważył, że Cyc był trochę zdenerwowany. Czy dlatego, że zdawał sobie sprawę, jak wiele zależy od tej rozmowy? Czy też chodziło o coś innego? Chciał wyjść, to pewne. Miał dobrą opinię u strażników, wychowawcy, regularnie spotykał się z psychologiem. Nie chodził na msze, to była jedyna rzecz, jakiej odmówił — kontaktu z kapłanem. Ale według dyrektora więzienia był jednym z lepiej przystosowanych do życia w społeczności więziennej osadzonych. Zresztą kiedy dyrektor zaproponował Cycowi spotkanie z profilerem, ten nie robił żadnych przeszkód. Zgodził się, obiecał współpracę. Pewnie chciał wykorzystać każdą okazję, by zdobyć kilka plusów u służby więziennej.

— Nie chcę robić matce kłopotu — wyjaśnił. — Wystarczająco się przeze mnie wycierpiała. Jak wyjdę, też do niej nie wrócę. Może zatrudnią mnie w domu starców na pół etatu. Wychowawca obiecał, że znajdzie mi pokój przy kimś. Są różne ośrodki. To mi wystarczy. Nie chcę wracać do tamtego życia — recytował jak podczas rozprawy przed sądem penitencjarnym.

— Matka przysyła panu pieniądze?

— Teraz ja jej wysyłam — odparł. — Anonimowo. Nie chcę, żeby wiedziała. Mnie tu prawie niczego nie trzeba. W kantynie kupię sobie wszystko. Rzuciłem nawet palenie. To duża oszczędność.

Meyer wiedział z akt, że Sławomir Kobierski był kiedyś utrapieniem dla matki. Pracowała jako sprzątaczką, salowa, ostatnio listonoszka. Niewiele zarabiała, ale liczyła, że dociągnie na pocztę do emerytury. Kiedy syn ukradł jej torbę z pieniędzmi, które miała dostarczyć głównie emerytom i rencistom, straciła i tę posadę. Świadczyła sąsiedzkie usługi seksualne. Wszyscy o tym wiedzieli. To musiał być dodatkowy stygmat dla młodego wówczas chłopaka. Żyli praktycznie w nędzy. Cyc pił na umór. Bywało, że i na matkę podnosił rękę. Nie była to jakaś wielka historia. Meyer znał takich dziesiątki. Otaczała ich patologia i to był jego świat. Złe towarzystwo już od podstawówki, której nie skończył, brak ojca, który trzymałby go twardą ręką. Matka ledwie radziła sobie ze sobą. Kiedy wreszcie znalazła stałego konkubenta, tokarza, kalekę, zaczęła odsuwać się od syna. Ojczym oczywiście nienawidził pasierba.

Dla niej ponoć był dobry. Matka nie miała dochodów, żyli z renty tokarza. I kiedy Cyc zrabował mu połowę tych drobniaków, któregoś dnia po prostu wygnał go z domu. Teraz Cyc zapewniał, że to rozumie. Ojczym starał się tylko chronić swoją kobietę przed złym człowiekiem, jakim on wtedy był. Ale też wiedział dzisiaj, dlaczego narastała w nim wściekłość. Był leniem, zmarnował sobie życie, nie zdobył wykształcenia. Nie miał żadnych perspektyw, uciekał w alkohol. Korzystał z każdej okazji, żeby się zamroczyć, zapomnieć o tym, kim jest. Klej, denaturat, spirytus metyłowy. Pił wszystko, co miało płynną konsystencję i dawało w czaszkę, nawet trochę ćpał, ale to była dla niego za droga impreza. Próbował dilować. Jednak zamiast zarabiać, przecpał wszystko z kumplami. Omal się wtedy nie przekręcił. Diler kazał mu odpracować straty jako cieć w barze. Zapił, nie przyszedł. Pobili go do nieprzytomności. Trafił do izby wytrzeźwień, potem do noclegowni. Matka nie miała pieniędzy, by płacić te wszystkie rachunki.

— Powinienem być wtedy umrzeć. — Cyc pochylił głowę.

Dwa tygodnie później doszło do zbrodni. Kiedy wyrzucili go z noclegowni (za picie, które było surowo zabronione), włamał się do piwnicy matki i tam urządził sobie lokal. Nie pozwalał tylko, żeby kumple wpadali do niego na melinę. To była jedyna rzecz, jakiej pilnował. Przez te dwa ostatnie tygodnie był w ostrym ciągu. Byle nie myśleć. Nie słyszeć, nie czuć. Żebrał, kradł, ludzie zostawiali mu jedzenie, ubrania. Sprzedawał to wszystko na wódkę. Którejś nocy spotkał tego chłopca. Nie pamięta, kiedy to było ani w jakich okolicznościach. Ponoć o tym, co zrobił, mówił kumplom, a oni donieśli na policję. Nie ma im tego za złe. Wie, że był w takim stanie, że coś złego wreszcie musiało się stać.

— Szukałem kogoś, kto by mnie wyzwolił. Kto by mnie skasował, bo sam nie miałem odwagi się zabić. Tak naprawdę chciałem żyć. Tyle że nie umiałem wyjść z matni. Ten chłopak pojawił się jak czarny anioł i mnie uwolnił. Choć wiem, że zrobiłem coś strasznego, widocznie musiało tak być. Innego wyjaśnienia nie widzę — tłumaczył z pochyloną głową.

— Przesłuchania, wizje, proces. To musiało być trudne — zaczęła ciepło Lena.

— Było ciężko, bo byłem wtedy uzależniony — potwierdził. — Trząsałem się, nie kontaktowałem, kiedy podczas procesu pokazywali mi te nagrania — przerwał.

— Wizje lokalne? — Meyer odezwał się po raz pierwszy.

Cyc pokiwał głową.

— Patrzyłem i nie wierzyłem, że to ja.

Zamilkł. Lena i Meyer wpatrywali się w mordercę. Widać było, że gryzie go sumienie.

— Gdybym był wierzący, byłoby mi łatwiej. Ale nie jestem. Gdyby Bóg był, nie pozwalałby na takie rzeczy. Czasem rozmawiam o tym z panem Stanisławem. Opiekuję się nim w domu starców. Nigdy nie miałem ojca, teraz jakbym miał.

— Tutaj nikt nie wie, za co siedzisz? — zapytała Lena.

— Jeszcze nie — odezwał się po dłuższej chwili. — Siedem razy mnie przynosili. Za pierwszym razem byłem chojrak.

— Grypsujesz? — dopytywała się Lena.

— Tutaj nie. Ale kiedyś tak. Chciałem być człowiekiem, nie frajerem. Ani tym bardziej cwelem. — Zamilkł. I nagle zaczął mówić. Szybko, z łatwością: — A więc wskakuję pod celę, staję na środku z betami. Podchodzi do mnie kolo. Później się okazało, że to przywódca grupy. I pyta: „Za co?”, więc mówię, że dziesiona i włam, skręcenie na gorącym. Kolo mówi: „Grypsujesz?” a ja, że jeszcze nie, bo ja nawet nie mam jeszcze wyroku. A on mi wali z plaskacza w pysk, więc ja mu walę z piąchy w ryj i zaczyna się bitwa. Trwa to kilka minut. Wpadam w trans. Nie czuję bólu, tylko dziki amok. W pewnym momencie łapię go za grdykę i zaczynam dusić. Z kolanka dostaje w jaja. Skręca się. W tym momencie jeden z jego kumpli wali mi od tyłu w baniak taboretą. Padam na kolana, a oni biorą mnie w obroty. Po półgodzinie biją w klapę, dzwonią po zgreda i mówią, że wywołałem bójkę. Ja zalany krwią, posiniaczony, dostaję dziesięć dni izolátky na starcie. Kara regulaminowa. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czy sobie nie przejechałem, ale po dziesięciu dniach, gdy wracam pod celę, koleś częstują mnie papierosem i czajem. Egzamin zdany. Nikogo nie zakapowałem, winę wziąłem na siebie. Zostałem przez grupę zaakceptowany. Miałem prawo do siadania z nimi przy blacie i do

korzystania z usług cweli. Przy wszystkich rozmowach byłem obecny. Wiedziałem, że stałem się równym im kołesiem.

Lena wpatrywała się w mężczyznę.

— Nieżle — pokiwała głową. Cyc uśmiechnął się lekko.

— Na jak długo się udawało? Kiedy się dowiadawali?

— Czasem miesiąc, czasem dwa — wzruszył ramionami. — Zostało mi już niewiele miejsc, których nie zwiedziłem.

— Ile godzin tygodniowo pracuje pan poza zakładem? — wtrącił się Meyer.

— Piętnaście, dwadzieścia. Zależy, ile mnie potrzebują. Gdybym mógł, pracowałbym każdego dnia, także w soboty i niedziele. Ale przepisy na to nie pozwalają. Gdyby nie dyrektor, nie mógłbym i tego. Zaufał mi. Nigdy nie spóźniłem się na bramę, a to zdarza się nawet tym, co dojeżdżają konwojem.

— To pan nie jeździ do pracy z konwojem?

Cyc pokręcił głową. Zerknął na Lenę lekko przestraszony. Bał się, że za dużo powiedział.

— Dom starców jest na drugim końcu miasta. Chodzę na piechotę. Czasem podjadę autobusem. Lubię jednak chodzić. Tutaj nie ma za bardzo gdzie.

Meyer dyskretnie przerzucił swoje żółte karteczki.

— Szóstego maja był pan w pracy? — zapytał.

Cyc wzruszył ramionami.

— Nie pamiętam. Wszystko jest u dyrektora.

— Piątek, szóstego. Był pan?

— W piątki mam dyżur. Pewnie tak.

— Słyszał pan o zabójstwie dziewczynki, uczennicy szkoły muzycznej?

Cyc pokręcił głową. Chyba zrozumiał wreszcie prawdziwy powód ich wizyty, bo zaczął się usilnie tłumaczyć:

— Nie oglądam telewizji, nie słucham radia. A już tych kryminalnych historii nienawidzę. Ale ja nigdy nie zbaczam z mojej trasy. Idę do domu starców, tam pracuję, czasem wychodzę na spacer ze staruszkami, głównie z panem Stanisławem. Wracam, i tak w kółko. Nie chcę nawet wiedzieć, co się dzieje.

— Ta dziewczynka została zamordowana. Obrażenia są podobne do tych, jakie zadał pan Amadeuszowi — przerwała mu Lena.

— Chcę tylko wyjść na wolność, poukładać sobie życie. Nie wracać do tego, co było. — Spojrzał na nich przerażony. Trudno było o bardziej przekonującą minę. Żadnego płaczu, emocji, wymuszonego współczucia. Tylko chłodne stwierdzenie faktu: — Nie mam z tym nic wspólnego.

Dyrektor więzienia Mirosław Dereń albo był szalonym miłośnikiem ręcznie malowanych butelek, albo ktoś z jego rodziny prowadził skup materiałów do recyklingu. W jego gabinecie, za drzwiami i koło wieszaka umieszczono piramidę ze skrzynek z pustymi przezroczytymi butelkami. Niektóre miały jeszcze oryginalne nalepki z napisem marek alkoholi. Na półkach honorowe miejsce zajmowały malowane flaszki różnego kształtu i wielkości. Zanim Meyer i Lena zaczęli z nim rozmawiać, musieli obejrzeć je wszystkie oraz wysłuchać historii pierwszej, od której zaczęła się kolekcja. Na nic okazały się zapewnienia, że się śpieszą.

— Byłem pijakiem — wyznał Dereń otwarcie i rozparł się na fotelu. — To łatwe w moim zawodzie. Sam pan wie — zwrócił się do profilera, który zaśmiał się nerwowo, bo domyślił się, że dyrektor zna już jego życiorys. Uwaga dotyczyła początków kariery Meyera, który zaczynał od posady psychologa więziennego we Wronkach. To tam wykonał pierwsze autorskie badania morderców i na zlecenie katowickiej komendy napisał pierwszy profil. Okazał się na tyle skuteczny, że policjanci coraz częściej prosili go o radę. Dopiero potem zdecydował się wstąpić do policji. Musiał zostać funkcjonariuszem, by profilować. Wtedy innej drogi w Polsce nie było. Co jednak miał na myśli dyrektor? Tego Meyer nie wiedział. Nie lubił ludzi, którzy zbyt szybko przełamują barierę intymności, pewnie dlatego, że sam w pracy często stosował ten chwyt na otwarcie rozmówcy. Tak, musiał to przyznać, poczuł się teraz lekko zagrożony.

— Niech pan nie bierze moich słów do siebie — uspokoił go Dereń i zapewnił: — Wielu tak kończy, jak ja zaczynałem. Piliśmy wtedy wszyscy, już na studiach. Może trzeba mieć w sobie jakiś rodzaj nadwrażliwości, by studiować resocjalizację?

Skutecznie ukrywał swój nałóg. Nikt się nie zorientował, nawet żona. Pił w pracy, do domu wracał samochodem. Ponieważ znał wszystkich policjantów, a oni znali jego, nikt go nigdy nie zatrzymał.

— Zresztą wtedy były inne czasy. Piliśmy z sędziami. Oni to dopiero piją! — Nie przerwał nawet kiedy weszła sekretarka z herbatą dla gości. Widać to był jego sposób na pogodzenie się z własną słabością. Mówił o tym otwarcie wszystkim, także tym, którzy nie chcieli słuchać.

Lena wstała i zaczęła zdejmować z półek kolorowe butelki. Były pomalowane w kwiaty, paski, azteckie wzory. Cały gabinet był nimi obstawiony, stały też pod ścianami i na podłodze.

— Pani Jadzia przeklina mnie, bo strasznie się kurzą — zaśmiał się dyrektor. — A żona nie pozwala mi ich przewieźć do domu. Kazała je ustawić w garażu. Na razie z nią negocjuję. I stoją tutaj. Pracowałem wtedy z Giermkim.

— Rafałem? — zainteresował się Meyer.

— Znacie się? — ucieszył się dyrektor.

— Był moim szefem, kiedy zaczynałem we Wronkach — odparł profiler. — Ponoć teraz jest szyczą w centralnym zarządzie.

— To jesteśmy w domu — odparł Dereń. — Wtedy byliśmy kumplami. Ja przestałem pić, a on zaczął pić, z kim trzeba. Karierowicz, straszny lamus. Bez obaw, wiem, co mówię, a on ma pełną jasność, co o nim sędzę. Ostatnio próbował mnie wykurzyć ze stanowiska. Podsunął mi swoją bratanicę. — Znacząco zawiesił głos, żeby nie było wątpliwości, kim owa bratanica była dla Giermka. — Chciał, żeby przyjąć ją do pracy. Dobra dziewczyna, ładna, cycata, ale się nie nadawała. Wziąłem kogoś innego. Wkręcił mnie w aferę, nastął kontrolę. Bo, wiecie państwo, ja w polskim więziennictwie przoduję w nowych metodach resocjalizacji. Misy tybetańskie, kryształowy Toyana, joga, uzdrawiający oddech. Inni pukają się w głowę i każą tym biedakom szydełkować, a to błaga, nie działa. Ja ufam moim ludziom. Każę im pracować i rozwijać się duchowo, bo tylko tak mogą odkupić swoje winy. Joga zaś uspokaja. Sam zresztą zrobiłem kurs leczenia dźwiękiem i po godzinach prowadzę zajęcia na oddziale terapeutycznym.

Wyciągnął z szafy kolorową, bogato wyszywaną sukienkę. Przyłożył ją do siebie. Lena z trudem powstrzymała śmiech. Meyer patrzył

zaskoczony. Nie ulegało wątpliwości, że dyrektor miał niekonwencjonalne metody. Lubił sobie pogadać, ale traktował swoich podopiecznych jak wyrozumiwały, sprawiedliwy ojciec. Tym, którym ufa, daje zawsze drugą szansę. Taką właśnie dostał Kobierski. Teraz już ani Hubert, ani Lena wcale się nie dziwili, że Dereń pozwolił groźnemu mordercy na spacer po mieście. Psychologowie bardziej obawiali się, co będzie, jeśli Centralny Zarząd Służby Więziennej dowie się, że dyrektor więzienia samodzielnie podjął tak ważną decyzję i obszedł przepisy, zatrudniając osadzonego na ćwierć etatu w domu starców. Dyrektor zaś nie wyglądał na zaniepokojonego tym faktem, ani zdradzającego tajemnice służbowe. Przeciwnie, siedział wygodnie na kanapie i snuł w najlepsze swoje opowieści.

— Krysztaly Toyana? Co to takiego? — zainteresowała się Lena. Dyrektor aż pokraśniał z zadowolenia. Zerwał się i z biurka przyniósł gruby katalog w języku angielskim. Zaczął pokazywać i tłumaczyć, jak uspokajająco działają na więźniów magiczne kwarcy.

— Doktorantka ze Szczecina robi teraz badania na naszej grupie. Wyniki są oszałamiające. Spadła nam liczba samookaleczeń. Ci, którzy mieli myśli samobójcze, mogą chodzić do pracy. Próby samobójcze zdarzają się tylko wśród nowo zatrzymanych. To wielki przełom. Wzoruję się na skandynawskich metodach — dodał. I nagle zatrzymał się, jakby wpadł na genialny pomysł. Zerknął na zegarek.

— Co tam butelki, co tam opowieści! Zobaczycie sami. Za dwie godziny mamy sesję z dźwiękiem — objawił.

— Ale my musimy zaraz jechać. Nie mamy czasu — tłumaczyła psycholożka. Meyer powstrzymał ją ręką.

— Chętnie zobaczę, jak pan z nimi pracuję — powiedział. — Ale czy teraz moglibyśmy skupić się na Kobierskim? To dosyć ważne.

— Tak, oczywiście. — Dyrektor usiadł i zamienił się w słuch.

— Powiedział nam dzisiaj, że wychodzi do pracy. Spaceruje po mieście — streścił Meyer.

Dereń duszkiem wypił gorącą herbatę, potem wstał, wyjął z szafy wygnieciony brulion z numerem 23 na okładce i podał go profilerowi.

— Wszystko jest pod kontrolą. To książka jego wyjść — oświadczył dyrektor. I dodał z dumą: — Nieoficjalna, mój patent.

Meyer zmarszczył brew w niedowierzaniu. Zauważył, że w szafie było wiele takich zeszytów. Każdy z nich miał numer na grzbiecie. Przekartkował go. Był to dosyć dziwny kalendarz. Na górze każdej ze stron widniała data, a pod spodem był wykaz metod resocjalizacyjnych, jakie dyrektor zastosował wobec osadzonego. Niżej znajdowały się opisy zachowań więźnia i wnioski. W ramach umieszczono podsumowanie, niepokojące uwagi oraz liczbę gwiazdek czerwonych i niebieskich. Profiler przejrzał pobieżnie dziennik, Lena zaglądała mu przez ramię. Oboje wydawali się poruszeni, dyrektor zaś stał dumny jak paw.

— Numer dwadzieścia trzy to Cyc — wyjaśnił. Szerzej otworzył szafę. Podejrzenie Meyera się potwierdziło. Każdy z niebezpiecznych przestępców obserwowanych przez dyrektora więzienia miał w tym pokoju swoją osobistą kartotekę. Dereń zamknął szafę na klucz. Odwrócił się do psychologów.

— Zresztą, co tam. Skseruję panu przebieg jego procesu resocjalizacyjnego. Będzie łatwiej rozmawiać. Pani Jadziu! — krzyknął. Sekretarka natychmiast pojawiła się w drzwiach. Podał jej zeszyt i kazał powielić.

— To jakaś metoda badawcza? — upewnił się profiler.

— Moja autorska. Polegająca na obserwacji behawioralnej, dzień po dniu, godzina po godzinie. Nie wszystkich prowadzę osobiście. Wiadomo, nie mam tyle czasu. Teraz każdy z moich wychowawców ma pod sobą kilku delikwentów. Nie badamy też wszystkich, tylko tych długoterminowych. Są już efekty. Ale na początku sam się tym zajmowałem. Właściwie nie wiedziałem jeszcze, co robię.

Lena wzięła zeszyt od Meyera i zaczęła go czytać.

— To jest niesamowite — powiedziała dobitnie. I zapytała, nie patrząc na Meyera: — Mogłabym kiedyś posłuchać o tym ze szczegółami?

Dyrektor podziękował jej wzrokiem.

— Może kiedyś opublikuję coś na ten temat. Na razie pokazałem to tylko mojej kuzynce. Chciała robić magisterium o metodzie, ale jej promotor uznał to za bzdurę. Zmieniła temat na coś oklepanego i przepisuje teksty z książek. Pewnie dostanie najwyższą ocenę — zaśmiał się gorzko.

— Ja chętnie się temu przyjrzę — potwierdziła Lena. — Mówię całkiem poważnie.

— Zapraszam. W każdej chwili. A jaką uczelnię pani reprezentuje?

— Międzynarodowe Centrum Badawcze Psychologii Śledczej w Wielkiej Brytanii. We wrześniu kończę studia doktoranckie pod kierunkiem profesora Davida Cantera.

Dereń aż pokraśniał z zadowolenia.

— Moja szafa stoi przed panią otworem. Jestem do dyspozycji, kiedy tylko pani zechce — zapewnił.

Meyer wyglądał na lekko urażonego. Czuł, że jego towarzyszka zdominowała spotkanie. Zupełnie nieoczekiwanie dyrektor skupił na niej całą uwagę i jakby zupełnie zapomniał o nim.

— Możemy przejść teraz do meritum naszego spotkania? — chrząknął znacząco.

Dereń i Lena wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Cyc był jednym z pierwszych, którzy osiągnęli największy sukces według mojej metody — pospieszył z wyjaśnieniem dyrektor więzienia.

— To dlatego zdecydowałem się na złamanie przepisów. Nie bójmy się tego słowa. Tak zostanie to zinterpretowane przez szefów, kiedy sprawa się wyda — uśmiechnął się. Na jego twarzy nie było śladu zażenowania, raczej triumf. — Jestem pewien, że ten człowiek nie zrobił w tym czasie nic złego.

Meyer patrzył na mężczyznę i zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest szalony.

— Skąd ta pewność?

— Z nim zaczęliśmy od detoksu. Sam piłem, to wiem o tym wszystko. Potem wziął go na terapię psycholog. Dalej joga, dźwięki, kryształy. Wszystko, o czym mówiłem wcześniej. Kiedy zmiany zaczęły być widoczne fizycznie, rozpoczęliśmy terapię pracą. Najpierw miałem zamiar dać go do hospicjum dla dzieci, ale z oczywistych względów tego nie zrobiłem. W domu starców odnalazł się znakomicie. Mężczyzna, z którym się zaprzyjaźnił, odmienił go. Nie chodzi przecież tylko o pracę, ale o sam fakt, że może uczynić komuś coś dobrego. Zobaczył, że dobro istnieje. Że można komuś ufać. Zrozumiał, co dostaje, kiedy czyni coś pozytywnego. On jest teraz innym człowiekiem. To już nie ten sam Cyc. Teraz to po prostu Sławek. Posłuszne, skrzywdzone ludzkie szczenię,

które wie, że wcale nie musi kąsać obcej dłoni, bo może okazać się pomocna.

Nawiedzony wywód dyrektora przerwało wejście sekretarki, która podała szefowi brulion wraz z kopią. Ten z kolei przekazał ją Meyerowi, a zeszyt z numerem 23 — Lenie. Meyer przekartkował materiały, zatrzymując się na dniu 6 maja. Podniósł głowę.

— Poszukiwane dziecko zaginęło w godzinach od czternastej do dziewiętnastej. W tym czasie pański podopieczny przebywał poza zakładem. Jeśli akurat spacerował po mieście, będąc w drodze do aresztu, będzie miał kłopoty. Znajdzie się w gronie podejrzanych. Przypuszczam, że także i pan może mieć pewne problemy ze strony zwierzchników.

Dyrektor zawahał się, ale natychmiast wykonał telefon. Podał datę, poprosił o pilne potwierdzenie. Niemal natychmiast otrzymał informację. Choć starał się zachowywać spokój, momentalnie zbladł. Podniósł głowę i skinął nią. Meyer nie odezwał się. Wstał.

— Sądzę, że na razie musi pan zawiesić swoje badania wobec tego osadzonego. Do czasu wyjaśnienia tej sprawy musi on pozostać w areszcie. Proszę o raport na biurko komisarza Tomasza Domańskiego, który nadzoruje to dochodzenie. Pewnie ktoś zgłosi się, żeby także i pana przesłuchać.

Dyrektor nie wydawał się przestraszony ani poruszony. Stał w milczeniu, spokojnie słuchając słów profilerka. Potem podszedł do szafy i zaczął pedantycznie ustawiać butelki w rzędzie.

— On tego nie zrobił — powiedział, nie oglądając się za siebie.

— Nie chodzi o to, że nie wierzę w pańską metodę — odparł Meyer, na co dyrektor machnął tylko ręką. — Dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy, nie zgłoszę tego oficjalnie, jedynie operacyjnie. Śledczy jednak dowiedzą się o zaistniałej sytuacji. Będziemy zmuszeni przesłuchać osadzonego ponownie. Tym razem będzie musiał złożyć oficjalne zeznanie. Nie będzie to luźna rozmowa, jak dzisiaj. Jeśli zaś okaże się, że to pan ma rację, nie zostaną wyciągnięte żadne konsekwencje. Zostawiam to zresztą pańskiemu sumieniu.

— To nie on — powtórzył twardo dyrektor. Otworzył zeszyt na przedostatniej stronie. — Gdyby zrobił coś tak potwornego, byłaby zmiana w jego procesie resocjalizacji. Z zachowań ludzkich można

czytać jak z książki. Mogą mówić, co chcą, ale analiza behawioralna nigdy się nie myli. Sam pan o tym wie. A ja takiej zmiany nie zarejestrowałem.

Meyer założył kurtkę i ruszył do drzwi. Wyciągnął dłoń, by pożegnać się z dyrektorem, ale on nie podał mu ręki. Lena była zaskoczona, widząc tę nieskrywaną wrogość między mężczyznami.

— Proszę się nie denerwować. Będziemy w kontakcie — starała się udobruchać Derenia.

— Podtrzymuję naszą umowę, choć nie wiem, czy w tej sytuacji nie zmieni pani decyzji — odparł Dereń.

— Nie zmienię. Przyjadę tym bardziej. Nie wiem nawet, czy nie prędeż, niż pan sądzi — zapewniła.

Wyszli. Dyrektor wyjął z szuflady butelkę i obejrzał ją pod światło. Odkręcił, zaciągnął się zapachem alkoholu, jakby się nim odurzał. Korek wrzucił do kosza. Z kieszeni wyciągnął sprężynowy nóż, sprawnie zdrapał naklejkę, po czym ustawił butelkę na obrotowej paterze. Otworzył pudełko z zestawem pędzli, do pojemnika po jogurcie nalał wody z konewki, wycisnął na paletę kilka kolorów z tubki i zaczął je mieszać, by uzyskać odpowiednią konsystencję. Choć starał się być spokojny, ręce drżały mu coraz bardziej. Kwiaty, które wychodziły spod jego pędzla, były nierówne, koślawe. Mimo to ani na chwilę nie przerywał pracy. Dopiero kiedy doszedł do siebie, zawołał sekretarkę.

— Daj mi tu Cyca — wydał polecenie.

— Ale jest przed siedemnastą. Prawie wszyscy już poszli. Pan też powinien — powiedziała kobieta. Była już w płaszczu, przygotowana do wyjścia.

— Zawołaj go, a potem możesz iść — machnął ręką.

Bрудna woda na jego biurku rozlała się na papiery służbowe. Kobieta zdjęła płaszcz, papierowymi ręcznikami wytarła dokumenty, a dopiero potem poszła po więźnia.

Odkąd Paweł wyjechał, ekipa pracowników w sklepie elektronicznym zmieniała się wielokrotnie. Ze starych pozostał tylko jeden: Maciek Biernacki, jeden z członków byłego zespołu Pawła. Choć minęło tyle lat, on wciąż pracował na tym samym stanowisku. Menedżerka twierdziła, że jest jednym z lepszych sprzedawców. Odpowiedzialny, uczynny, nigdy się nie spóźniał. Dziś akurat

przychodził na popołudniową zmianę. Lena z Meyerem czekali na niego od dobrej godziny. Wspólnie zdecydowali, że hipotezę udziału w sprawie Pileckiego trzeba sprawdzić oddzielnie. Meyer osobiście obejrzał przekazane mu kopie posiadanych przez dziennikarzy filmów i wciąż nie rozumiał motywacji Olenderków.

— Czego oni chcą?

— Niczego. — Lena wzruszyła ramionami. — Chcą tylko wznowienia sprawy.

— Ale dlaczego? — dopytywał się profiler. — Nie są spokrewnieni z ofiarami, nie mają związku z żadnym bohaterem dramatu. Co zyskują?

— To dziennikarze. Chcą, żeby sprawa została ujawniona.

— Nikt nie daje nic za darmo — upierał się Hubert. Widząc jednak konsternację na twarzy Leny, machnął lekceważąco ręką. — Dowiemy się. To wyjdzie.

Nie skomentował nowych wiadomości, choć zapisał je w punktach, tak jak je przedstawiła Lena. Zgodził się, że sprawę koniecznie trzeba wziąć pod lupę. Ale by wyjaśnić nieścisłości, trzeba było najpierw znaleźć Pawła Nawrockiego. On mógł być ostatnim elementem tej układanki. Dlatego tutaj byli. Liczyli, że dowiedzą się, gdzie mężczyzna może być teraz i jak naprawdę wyglądały jego relacje z florystką.

— W dzisiejszych czasach nie da się tak po prostu zniknąć. Sprawdzimy konta internetowe, portale społecznościowe, karty kredytowe i wszystkie numery telefoniczne na to nazwisko. Niestety, to może potrwać — obiecał im Doman, kiedy jeszcze profilerzy pracowali przy sprawie. Meyer teraz postanowił sam odnaleźć Pawła.

— Gdzie on mieszkał? — Meyer zapytał jeszcze raz. Lena spojrzała na niego, jakby jej nie słuchał. Pokazała na mapie. Studzienna 11. Dziesięciny.

— Kilka ulic od florystki — stwierdził profiler. — Wszystko nadal rozgrywa się w tym samym kwadracie. Ale skąd pochodził? Miejsce urodzenia. Rodzice, byłe żony, dzieci.

Lena w jednej chwili zrozumiała, co miał na myśli.

— Wyciągnijmy z tego sklepu, ile się da. To na razie jego jedyna legalna robota, o jakiej wiemy — zaproponowała. Wskazała menedżerkę, która z zainteresowaniem wpatrywała się w przystojnego

profilera. — Ty idź do niej. Mnie dała tylko to. — Pokazała plik papierów. — Ja zajmę się tym klientem.

Maciek Biernacki na widok Leny, którą musieli mu błędnie przedstawić jako policjantkę, wpadł w panikę i starał się potajemnie opuścić sklep. Lena zatrzymała go tuż przy bramkach. Była szczerze zdziwiona jego zachowaniem, przypomniała też sobie, że już go spotkała. Był to ten sam ofensywny sprzedawca z reklamą „Żeruj na nas”, którego starała się uniknąć, kiedy pierwszy raz odszukała florystkę. Wtedy nie był spięty ani nieprzyjemny. Dziś zachowywał się jak zaszczute zwierzę. Coś ukrywał. Lena uspokoiła mężczyznę, że na razie nie przychodzą po niego i nie interesuje jej, dlaczego tak się zachował. Ku jej zdziwieniu kłamał dalej. Najpierw zaprzeczył, że znał Pawła Nawrockiego. Choć od lat pracował w markecie naprzeciwko kwiaciarni, zapewniał również, że nie kojarzy florystki. Dopiero kiedy Lena przypomniała mu, że to dla Pawła Ola Jekel pożyczyła ze szkoły muzycznej perkusję, na której grał w piwnicy jej bloku, pękł. Zrozumiał widać, że kobieta wie więcej, niż się spodziewał. W trakcie całej rozmowy był jednak spięty i trzeba było z niego wyciągać informacje, jakby były to jakieś tajne dane. Lena czuła, że chłopak wie dużo. Pewnie znał adres Pawła i był z nim w stałym kontakcie. Nie mogła jednak zapytać o to otwarcie. Biernacki natychmiast by zaprzeczył, a wtedy rozmowa byłaby zakończona. Nie mogła sobie pozwolić na zamknięcie go. Nie mieli już wsparcia policji. Poprosiła więc, by opowiedział, co pamięta z tamtych czasów.

Mężczyzna zaprzeczył, że pomiędzy florystką i Pawłem było coś więcej niż tylko przyjaźń. Paweł miał być zaangażowany emocjonalnie w związek z Julką. Wszyscy wiedzieli, że to jego dziewczyna.

— Jeśli już, to ta kwiaciarka za nim latała — potwierdził. — Przynosiła czekoladki, wpraszała się na przerwy obiadowe.

— Nie lubiłeś jej? — zapytała Lena. — Dlaczego?

— Nie, skąd — zaprzeczył, ale nie zabrzmiało to szczerze. — W sumie jej nie znałem. I, prawdę mówiąc, nie rozumiałem, dlaczego Paweł się z nią przyjaźni. Była trochę dziwna. Jakby nie z tego świata.

— Przyjaźni?

— Nie było nic więcej — zapewnił. — Ta kobieta go nachodziła. Zaoferowała się, że zrobi im dekorację ślubną, choć wszyscy wiedzieli,

że się w nim podkochuje.

— Czyli jednak coś między nimi było? Sypiali ze sobą?

Wzruszył ramionami.

— Niech pani jego spyta, jak tam nic nie wiem.

— Chętnie. Gdzie on jest? Wiesz przecież — dodała z naciskiem.

Pokręcił głową, ale był jeszcze bardziej przestraszony.

— Może wyjechał za granicę? Pewnie tak zrobił, kiedy tylko oczyścili go z zarzutów. Po tym wszystkim nie miał tu ładu — odparł.

Lena wyciągnęła dokumenty, które dała jej z archiwum menedżerka. Było tam skąpe CV Pawła. Pozwoliło jednak Lenie zorientować się w przebiegu jego pracy. Wynikało z niego, że Paweł nie skończył nawet szkoły zawodowej. Faktycznie dużo podróżował, grał na statkach turystycznych, siedział trochę w Meksyku. Praca w sklepie była jedną z niewielu, które można było sprawdzić. Do dokumentów dołączono jednak wiele referencji: po angielsku i hiszpańsku. Lena zastanawiała się, czy są prawdziwe. Może Paweł był mitomanem? Skąd miał na to pieniądze? Pochodził z małego miasteczka na Mazurach. Nie miał wykształcenia. Może działał w półświatku? A może te dokumenty były nieprawdziwe?

— Dałeś mu poręczenie kredytu. Nie spłacił go przed wyjazdem. — Rzuciła na stół jeden z kwitów, które dostała od menedżerki. — Jest ci winien osiem tysięcy plus odsetki. Nie zgłosiłeś się po nie? Ani razu nie zadzwoniłeś? Zarabiasz tutaj tak dużo?

Biernacki spojrział na Lenę. Jego twarz nie wyrażała emocji.

— Nie chcę już mieć z nim i z całą tą sprawą nic wspólnego. Kredyt spłacam regularnie. Nic więcej nie wiem.

Wstał i zaczął przebierać się w strój służbowy. Lena wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. Przestał się rozbierać. Zobaczył, że kobieta jest zdeterminowana i nie wyjdzie.

— Na co były te pieniądze? — drążyła temat. Tak naprawdę zastanawiała się, dlaczego sprzedawca kryje Pawła. Musiał mieć jakiś powód. Po głowie tłukło jej się, że kiedy ona opuści sklep, chłopak natychmiast zadzwoni do Nawrockiego, by go ostrzec. Albo Paweł miał na niego tak wielki wpływ, albo zastraszył go lub zmanipulował, albo interes był obopólny. Innego wyjścia nie było.

— Chcieliśmy nagrać płytę — odezwał się wreszcie. Widać zrozumiał, że baba się przyczepiła i nie odpuści. Może też nie chciał mieć więcej kłopotów. — Paweł znał pewnego człowieka w wytwórni. Dostał demo, podobało mu się. Ale żeby zainteresować profesjonalistów, musielibyśmy mieć nagranie kilku kawałków w studio. To miała być zaliczka. Po tym wszystkim, co się stało, Paweł wyjechał. Zespół się rozpadł. To on go stworzył i bez niego wszystko się rozlazło.

— Widziałeś florystkę z dzieckiem, kiedy tam u niej graliście? Jaką była matką? — zapytała Lena.

— Nigdy nie spotkałem jej syna — zapewnił i Lena odniosła wrażenie, że była to jedyna informacja, którą podał szczerze, bez oporów. — Znałem za to Julkę. To była naprawdę miła dziewczyna.

W tym momencie podszedł do nich Meyer.

— Adres — rzucił bez zbędnych ceregieli. — Gdzie jest teraz Nawrocki? — Nie wysiłał się, nie podniósł nawet głosu.

— U matki — szepnął Biernacki i pochylił głowę. — Nie wyjechał z kraju, bo chce mieć kontakt z dzieckiem.

— On ma dziecko? — zdziwiła się Lena.

— Córkę. Bardzo ją kocha. Ale nie mówcie, że go wystawiłem. I lepiej tam pojedźcie, jest na pewno u matki.

Doman siedział w nieoznakowanym radiowozie i obserwował, jak Luiza Bogacz, młoda policjantka w tandetnej blond peruce, ubrana w kusą spódniczkę i bluzkę odsłaniającą jej dekolt prawie do pasa, wędruje w tę i z powrotem wzdłuż uliczki oświetlonej gazowymi latarniami. Kanapki, które zrobiła policjantowi żona, leżały na fotelu. Nie miał ochoty ich jeść. Gwałciciel, na którego się czaili, nie nadchodził. Policjantka wymachiwała torebką, nudziła się.

— Chyba nic z tego — usłyszał jej głos w urządzeniu podsłuchowym.

Podniósł mikrofon do ust i powiedział: — Postoisz jeszcze kwadrans i spadamy.

— Tak jest, oficerze. — Dziewczyna uśmiechnęła się i pokręciła zalotnie tyłeczkiem.

— Bogatka, nie przesadzaj. Jeszcze złapiesz klienta — zganił ją żartobliwie. — Tylko nie tego, co trzeba.

— Spokoloko — odparła Luiza. — Bez odbioru.

Doman podkręcił policyjne radio. Usłyszał, że w innej dzielnicy rabuś w masce Lorda Vadera przeciął łącza telekomunikacyjne, po czym obrabował kasę telepunktu.

— Zero siedem do trzynaście dwa zero — powiedział do mikrofonu.

— Trzynaście dwa zero zgłasza się — padła odpowiedź.

— Jestem na Kolejowej, czekam na klienta. Wystawka. Kończymy za kwadrans, mogę być, jeśli potrzebujecie wsparcia.

— Mamy już klienta. Kasjerki wystraszone. Słaby żart — usłyszał. — Wziął całe siedemset trzydzieści trzy złote. Godzinę wcześniej konwój zabrał utarg do banku.

— To się obłowił. Bez odbioru — odpowiedział.

Wziął do ręki telefon i odczytał esemesa od Patrycji. Wiedział, że bardzo przeżyła jego powrót do żony. Odpisał, że też tęskni. Wysłał. Nagle rozległ się sygnał. Na wyświetlaczu zobaczył numer Meyera. Nie miał siły z nim teraz rozmawiać. Był zły, że Hubert tak go zostawił. Pilecki wszystko mu powiedział. Doman nie spodziewał się po Meyerze takiej zagrywki. Żeby wyjechać w trakcie dochodzenia pod byle pretekstem? Z powodu jakiejś skargi, którą Piła kazał mu podpisać? Po chwili jednak telefon znów zadzwonił. Doman wciąż nie odbierał, więc Meyer zaczął się dobijać na dwa pozostałe służbowe telefony. Komisarz poczekał, aż zapadnie cisza, po czym wysiadł z auta i podszedł do budki telefonicznej. Wygrzebał z kieszeni kurtki kartę i wybrał numer profilerka.

— Gdzie jesteś? — usłyszał zamiast powitania.

— A co? — droczył się z nim Doman.

— Ulica, numer. Gdzie? — Meyer nie odpuszczał.

— W kurwidołku za dworcem, ale będę tu najwyżej z kwadrans.

Zamiast odpowiedzi usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Zanim doszedł do auta, spostrzegł, że policjantka zniknęła. Ruszył biegiem. Wsiadł, odpalił wóz. Włączył aparaturę podsłuchową. Usłyszał śmiech dziewczyny, kokietowała kogoś.

— Jestem — szepnął. — Sorry, musiałem zadzwonić. Daj mi jakoś znać, gdzie jesteście.

— To naprawdę twój wóz? — usłyszał. Natychmiast rozejrzał się wokół. — Ale tego zielonego koloru chyba sam nie wybierałeś?

Słysząc było pląśnięcie. Mężczyzna musiał zauważyć podsłuch. Zaczął okładać dziewczynę.

— Odłóż to! — krzyknęła Luiza. Połączenie zerwało się.

Doman rozpaczliwie rozglądał się wokół. Nigdzie nie widział zielonego auta. Wreszcie po drugiej stronie parkingu dostrzegł ruszającą z piskiem furgonetkę. Bez wahania przejechał przez trawnik i zatarasował jej przejazd.

— Zero siedem, do wszystkich jednostek. Potrzebne wsparcie. Parking za dworcem. Kurwidołek, Kolejowa. Klient uzbrojony.

Wysiadł z auta i z wyciągniętym glockiem ruszył w stronę kierowcy. Ten uśmiechał się krzywo. Dopiero teraz Doman dostrzegł, że trzyma dziewczynę na muszce. Perukę miała zdjętą, nos rozbity, po twarzy ciekła jej cienka strużka krwi. Doman położył pistolet na chodniku i powoli podchodził z uniesionymi do góry rękoma.

— Puść ją! — krzyknął do alfonsa. Mężczyzna był grubawy, jasne włosy miał posklejane w strąki. Wyglądał na przestraszonego. — Nie rób głupstw. Pogadajmy.

— Spierdalaj, zaraz będą tu pały, co? — syknął mężczyzna. Zanim Doman się obejrzał, tamten strzelił do niego. Doman upadł i przez chwilę leżał bez ruchu na chodniku. Patrzył na leżący obok pistolet, ale nie był w stanie go dosięgnąć. Alfons wysiadł z auta, podniósł glocka i wymierzył w Domana oba pistolety, tak jak mógł podpatrzeć na starym westernie. Policjant od razu wiedział, że ma do czynienia nie z profesjonalistą, lecz z desperatem. Mężczyzna popisywał się jeszcze chwilę.

— Zginiesz, szmato — rzucił do Domana. Rozkazał mu położyć się na brzuchu, ręce spleść na głowie. Sam szybkim krokiem ruszył do samochodu, w którym siedziała uwięziona policjantka, i starał się uruchomić silnik. Na szczęście auto nie chciało zapalić. Wtedy w szparze pomiędzy podwoziem a ziemią Doman dostrzegł stopy człowieka zachodzącego auto od tyłu. Miał nadzieję, że to któryś z patroli zdołał dojechać na miejsce. Nie słyszał jednak kogutów policyjnych. Ktoś jednak prawdopodobnie próbował mu pomóc. Nagle Doman zobaczył, że drzwi się otwierają i ktoś jednym ruchem obezwładnił napastnika. Oba pistolety wyrzucił przez okno. Bogatka z piskiem wybiegła na zewnątrz. Wciąż miała związane ręce. Doman

wstał z trudem i rzucił się do pomocy w zatrzymaniu podejrzanego. Dopiero teraz rozpoznał Huberta.

— Dzięki — mruknął, zakładając kajdanki porywaczowi.

— Musimy pogadać — odpowiedział profiler.

Doman pokiwał tylko głową. I skrzywił się, bo aresztowany, wijąc się, uderzył go w ranną nogę. Bez wahania uderzył go pięścią w twarz.

— Złożę zażalenie — jęczał alfons.

— Chyba do Bozi — odpowiedział spokojnie Doman. — Będziesz miał sprawę za usiłowanie zabójstwa funkcjonariusza policji na służbie. No i uprowadzenie oraz pobicie policjantki. Słabo to widzę. Chyba będziesz musiał zapłacić też za jej nowy nos. Miała całkiem ładny.

Chwilę potem na parking zajęchały radiowozy i karetka, by zabrać policjantkę na oddział. Lekarz wskazał na krwawiącą nogę Domana.

— Draśnięcie. — Policjant pokręcił głową, bagatelizując sprawę. Lekarz nie odpuszczał, więc Doman zadarł nogawkę spodni i wszyscy mogli zobaczyć jego rozharataną łydkę. Technik podniósł do góry pocisk, który drasnął komisarza.

— I pan jeszcze stoi? — spytała zachwycona pielęgniarka, która robiła mu opatrunek.

— Przy pani nie śmiałbym się położyć — próbował jeszcze żartować Doman.

Pielęgniarka zaśmiała się, zaś lekarz wręczył mu nakaz kontroli lekarskiej i zwolnienie na tydzień. Zanim karetka odjechała, papiery tkwiły już w stercie śmieci za siedzeniem kierowcy w radiowozie. Meyer i Doman zostali na parkingu sami.

— I przez najbliższy tydzień będę w komendzie bohaterem — powiedział Doman z przekąsem. — Bo spierdoliłem akcję.

Po chwili poklepał profilera po plecach.

— Dzięki, stary.

Meyer zachował stoicki spokój. Jakby codziennie ratował kumpli z opresji.

— Podpisałeś to? — Rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał.

Doman spojrzał na profilera.

— Co?

— Skargę na mnie i Lenę. Połowa wydziału podpisała — przypomniał niechętnie Meyer. — Wiem wszystko.

— Dziś to odwołam — zarzekał się Doman. — To było wtedy. Wkurwiłem się, że z Lenką coś kombinujesz.

— Nie o to chodzi, stary — przerwał mu Hubert. — Właśnie, chciałbym się dowiedzieć, o co tu chodzi?

— Dla ciebie to wszystko, kurwa, takie proste — odparł Doman.

— Jest proste, bo jestem szczery ze sobą. Proste, ale niełatwe. Kurwa, przycweliłeś mnie.

Doman podniósł ręce do góry w geście rezygnacji.

— Dostałem wybór, ja lub ty. Wybrałem. Może źle. Ty sobie i tak wyjedziesz, a ja muszę dalej pracować. Mam rodzinę na utrzymaniu.

Meyer przyjrzał się policjantowi.

— Ja nie wyjadę, wiesz o tym.

Doman uśmiechnął się. Machnął ręką.

— Jesteś kompletnie porąbany. Oni mają już sprawcę. Dziś posadzili matkę tej dziewczynki. Na podstawie twojej opinii. Kobieta, inteligentna, wiek się zgadza. Motyw: desperacka próba ratowania jej przed złem, czyli ojcem, który ją molestował. Zgarnęli ją zaraz po pogrzebie. Cygańska brać jej nie obroniła. Sochackiego też zabrali, Wojda magluje go teraz. Pewnie się przyzna. Wojda młody jest, ale ma ciężką rękę.

— Przecież nie ma dowodów — zachnął się Hubert.

— E tam, nie ma — machnął ręką Doman. — Zaraz będą. Szykują eksperyment z wózkiem. Jakies meneloki znalazły go pod cmentarzem, a ktoś im go zwinął. Tylko przybijemy to komuś i potem pójdzie jak z płatka. Mariola przyklepie. Co tu jest do rozumienia?

— Co? I mówisz to z takim spokojem? A florystka?

— Sam dostarczyłeś nam dowody. To tylko kwestia interpretacji. Nikt nie potrzebuje łączenia spraw, odgrzebywania starych trupów z szafy. Nie bądź świętszy od papieża.

Meyer wyjął z torby kasety VHS, które pożyczył od Marii Turowskiej. Były na nich naklejki z sygnaturą akt oraz pieczęcie sądowe.

— Zgraj to na DVD, muszę to zwrócić — powiedział.

— Ocipiałeś? Jak mam to zrobić? Skąd to masz? Ukradłeś z sądu? — zarzucił go pytaniami Doman.

— Dostałem. Całkiem legalnie. Ale muszę jutro oddać. Na tych filmach jest facet w bejsbolówce. To klucz. Skoro jest eksperyment,

bardzo dobrze. Trzeba, żeby matka dziecka i florystka także wzięły w nim udział. Trzeba mieć stuprocentową pewność.

— Jak to? Chyba czegoś nie rozumiem? — Doman cofnął się o krok.
— Na jakiej podstawie?

— Na takiej, że to była kobieta. — Meyer wcisnął taśmy Domanowi i dołożył jeszcze kilka, które Lena dostała od dziennikarzy. — Obejrzyj to i zrób zbliżenia. Wszystko będziesz wiedział. To nie jest ta sama osoba. To tylko przebranie. Trzeba klienta zdemaskować behawioralnie.

— O, jakie trudne słowo — gwizdnął policjant.

— Znam ze szkolenia. Patrz, jak się porusza. Patrz na sylwetkę, nie na strój. A tutaj jest jego twarz.

Doman wahał się chwilę, ale wziął taśmy.

— Marlina będzie dziś też badana na wariografie — dodał.

— Bardzo dobrze — przyznał Meyer. — Tej maszyny nie da się oszukać, choć dla sądu to tylko dowód pomocniczy.

— A ty? — zainteresował się nagle Doman.

— A ja jadę na żagle. Giżycko, jest tam mały port, pewnie słyszałeś — zażartował Hubert, na co Doman lekko zmarszczył czoło. Profiler dodał więc, już całkiem poważnie: — Jeśli dobrze mi pójdzie z przyjacielem florystki, wrócę z materiałem, który połączy te sprawy. Skoczę też do tego drwala, męża florystki. Zrobię to wszystko dla ciebie, stary.

— Co ty gadasz? — spytał zdumiony Doman.

Hubert machnął rękę.

— Źle się dzieje w państwie duńskim. — Mrugnął do kumpla. — Ale to pięknie, nie uchronicie go.

— Stary, ja jestem na to za krótki — skrzywił się Doman. — Nic innego nie umiem. Całe moje życie to psiarnia.

— Nie spierdol tego, to będziesz dalej pracował — łagodnie odpowiedział Meyer, choć zabrzmiało jak groźba. — Inaczej wylecisz razem z nim.

— Z kim?

— A kto kryje florystkę? — odpowiedział pytaniem na pytanie, czym wprowadził Domana w kompletne osłupienie. — Kto prowadził sprawę płonącego wieżowca? Chyba że ty też bierzesz w tym udział?

— Na pewno — potwierdził z przekąsem Doman. — Tylko o tym nie wiem. Jestem przecież od wczoraj w tym mieście.

— Ile jeszcze macie sfigowanych „becepów”? Bo Julia Zduniecka zginęła w wyniku nieszczęśliwego wypadku, tak? Zdarzenie bez cech przestępstwa?

— Kto wie, ile wiesz? — zaniepokoił się Doman.

— Pytasz, z kim gadałem? — zaatakował go Meyer. — Czy kto mi uwierzy?

— Zadałem konkretne pytanie. Nie wątpię w ciebie, wiesz o tym.

— Gadałem z tymi, z którymi i wy. Ale wyciągnąłem wnioski i myślę logicznie. To wszystko. Na razie tylko ty i Lena będziecie wiedzieli. Też ją wystawił, dziewczyna jedzie ze mną. Oficjalnie podkulimy ogony. Jesteśmy kochankami i jedziemy gzić się na plaży, jasne?

— Tylko pozazdrościć — uśmiechnął się Doman. — A ja nic nie wiem o kreciej robocie?

— Wobec Piły grasz przyjaciela rodziny. Mnie od tej chwili nie znasz. Jesteśmy wrogami. Ja cię nie wystawiam do końca. Sam dochodzisz do tego, że sprawy się łączą. Dam ci materiał. Zrobisz z tym, co zechcesz. Tylko oddaj to kobiecie z sądu.

— No problem — pokiwał głową komisarz. A potem dodał: — A wiesz, dlaczego Pawłowska tak naprawdę przyjechała?

Meyer na chwilę stracił rezon. Wpatrywał się chwilę w kumpla, a potem pokiwał głową.

— Miała składać raporty na mój temat.

Doman był wstrząśnięty.

— Wiedziałaś?

— Nie od razu, ale wysypała się. Już to załatwiliśmy. Ufam jej.

Doman zapalił papierosa. Wreszcie zdecydował się też ujawnić.

— Stary mnie proponował, ale odmówiłem. Wtedy jeszcze mogłem. Nikomu z naszych byś nie zaufał.

— To prawda — przytaknął Meyer.

— Zaraz potem ona przyjechała.

— To dlatego byłeś na nią taki wściekły? — Hubert wreszcie zrozumiał. Widać jednak było, że to, czego dowiedział się od Domana, dotknęło go. — Spryciarz z niego. Chciał mi podesłać wilka w owczej skórze. Wezmę to pod uwagę. Dałem się nabrać.

— Nie tak łatwo cię oszwabić — powiedział komisarz. — Jak dobrze pójdzie, będziecie mieli z Piłą czas na wyjaśnienia. Jakby co, służę w

celach konfrontacji.

— Spierdalaj, cwelu. Sprzedawczyk! — Meyer uśmiechnął się szelmowsko.

— Sam spierdalaj — odszczeknął Doman. — Psycholaska.

— Daj znać, jak poszedł eksperyment — powiedział Meyer. Doman pokiwał głową. — A gdzie będzie się odbywał?

— Na cmentarzu, tam, gdzie znaleziono ciało.

Meyer pokręcił głową.

— To tylko miejsce wtórne — zaprotestował. — Zbrodni dokonano w jednym z mieszkań na linii autobusu numer szesnaście. Nie wiem, gdzie dokładnie, ale czuję, że w grę wchodzi tylko Dziesięciny. Ale jak zrobicie eksperyment, może znajdzie się świadek, który widział gościa z kamer przemysłowych. Nie w bejsbolówce, ale potem, kiedy zdjął przebranie. Sam do ciebie przyjdzie. Puść ludzi, niech powęszą, czy ktoś go nie widział.

— Albo jej.

— No właśnie. Potem wiadomo, sprawdzicie lokal. Tam muszą być ślady zbrodni. Będziesz w domu ze sprawą Zosi, to inne same się wyprostują.

— Genialne — uśmiechnął się Doman.

— Jeszcze brakuje kilku puzzli, ale dostaniesz je. Wtedy słono mi zapłacicie.

— Dzięki. — Doman wskazał ranę na nodze i klepnął Meyera tak, że profilerowi zabrakło tchu w piersiach.

Pokój był niewielki, dawno niemalowany. Ola usiadła na krześle, które jej wskazano, i czekała na pytania. Prokurator Mariusz Tomaszuk odczytał formułkę o obowiązku mówienia prawdy i karze, jaka grozi za składanie fałszywych zeznań. Ola była spokojna, wręcz apatyczna. Na pytania odpowiadała konkretnie. Powtórzyła złożone wcześniej zeznanie. O tym, że przyjaźniła się z Zosią, a krytycznego dnia widziała się z dziewczynką dwukrotnie. Za pierwszym razem w ciągu dnia mała przybiegła do jej kwaciarni. Była w radosnym nastroju. Matka obiecała jej, że niedługo wyjadą. Ola odprowadziła dziecko na przystanek i kazała wracać do domu. Zosia nie wysiadła pod domem, tylko pojechała do niej.

— Od jak dawna się znająście? — zapytał prokurator.

Florystka podniosła głowę.

— Prawie rok. Zaraz po tym, kiedy Zosia zmieniła instrument w szkole. Ja też kiedyś grałam na harfie — szepnęła. — Pierwszy raz widziałam ją w szkole. Przechodziłam tamtędy, chciałam popatrzeć na dzieci. Tęskniłam za synem. Ona sadziła kwiaty z dozorcą. Potem spotkałam ją w tym samym autobusie, którym wracałam do domu. Jeździła nim od kilku godzin w tę i z powrotem. Była zapłakana. Nie chciała wracać do domu. Wzięłam ją do siebie, nakarmiłam, uspokoiliam. I odwiozłam pod dom.

— Weszła z nią pani?

Ola pokręciła głową.

— Obiecałam jej, że nikt się o nas nie dowie. To miała być nasza tajemnica. Tylko pod tym warunkiem Zosia zgodziła się wrócić. Czekałyśmy na jej matkę. Kiedy tylko się pojawiła, mała natychmiast do niej poszła.

— Zosia opowiadała coś o swojej rodzinie, domu? O swoich problemach?

Ola zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

— Nie od razu. Na początku mówiłyśmy głównie o muzyce. — Zamilkła na chwilę. Otarła łzy z oczu i znów zaczęła mówić: — Potem opowiadała coraz więcej.

— Co takiego?

— Źle się tam czuła.

— Coś więcej?

— Bardzo kochała dziadka i matkę. Babci się bała. Mówiła, że babcia jej nienawidzi. Kazała jej klęczeć na grochu i czytać Biblię. Ojciec był pod jej wpływem. Zosia go nie szanowała. Potem zaczęła pokazywać mi swoje rysunki. Kiedy je pierwszy raz zobaczyłam, oniemiałam. Potem zorientowałam się, że Zosia wymyślała także inne rzeczy. Chciała, żeby ktoś zwrócił na nią uwagę. Mówiła na przykład, że ojciec ją molestuje.

— Jak dokładnie?

Ola wzruszyła ramionami.

— Właśnie tak. Jakby ktoś jej to podsunął albo gdzieś przeczytała. Kiedy zapytałam, co robi jej ojciec, zamilkła, a następnego dnia wyrecytowała formułkę z ulotki, którą przyniosła ze sobą. Miała bardzo

bogata wyobraźnię. Może matka jej to wmawiała, żeby jakoś usprawiedliwić ich odejście. Matka cały czas obiecywała jej, że wyjadą. Że uciekną i zaczną żyć na nowo. Zosia wiedziała o jej kochanku, nie przepadała za nim. Kiedyś podsłuchiwała ich rozmowę, w której matka miała się skarżyć, że Zosia jest jej największym zmartwieniem. Bardzo ją to zabolowało. Bała się, że matka zostawi ją z ojcem i nawiedzoną babką.

— Co się zdarzyło krytycznego dnia? — zapytał prokurator. Był spokojny, w palcach obracał swoją obrączkę. Ola przyglądała się jej dłuższą chwilę. Potem podniosła głowę.

— Zosia nie mogła znaleźć matki. Tego dnia miały uciec — powiedziała. — A matki nigdzie nie było. Zapadał wieczór, a ona nie wracała. Zosia zadzwoniła do niej i nagrała się, że będzie czekała na nią w starej oczyszczalni. Nikt po nią nie przyszedł. Kiedy zapadł zmierzch, chciała się nawet rzucić do basenu, ale porzuciła tam tylko swoje rzeczy i w ostatniej chwili zrezygnowała. Przybiegła do mnie. Nie wiem dlaczego, ale tego dnia zamknęłam wcześniej kwaciarnię, choć nigdy tego nie robię. Miałam rozmówić się z Elizą.

— To ta nauczycielka, która panią przyprowadziła?

Ola potwierdziła.

— To ona kazała mi przyjść. Powiedziała, że muszę wam powiedzieć prawdę.

— Bardzo dobrze — pochwalił ją prokurator. — Tylko dlaczego dopiero teraz?

Florystka skuliła się. Nie odpowiedziała.

— Jest ze mną coś nie tak. Nie jestem do końca pewna, czy jestem sobą. Czy jestem chora, czy może...

— Proszę dokończyć zeznanie. O tych sprawach pomówimy potem — przerwał jej Tomaszuk.

— Czekala na mnie pod domem. Kiedy ją zobaczyłam zwiniętą w kłębek na wycieracze, zamarałam. Myślałam, że stało się nieszczęście. Ale ona tylko spała. Obudziłam ją, a ona wzdrygnęła się, a potem przytuliła się tak mocno. Wiedziałam, że muszę z nią pomówić... Przecież dobrze znałam sytuację. Poza tym nie było pewności, czy jej matka nie wyjechała i nie zostawiła jej na zawsze. Dzwoniłyśmy, ale jej telefon milczał, włączała się jedynie skrzynka.

— Dlaczego się pani nie nagrała?

— Nie wiem — przyznała szczerze florystka. — Wtedy naprawdę nie zdawałam sobie sprawy z wagi sytuacji. Zosia przychodziła do mnie tylko wtedy, kiedy było jej naprawdę ciężko. Pozwoliłam jej u siebie przenocować.

W pomieszczeniu panowała cisza. Nikt z zebranych nie mógł uwierzyć, że ta poukładana, rzeczowa osoba to florystka, którą wszyscy mieli za wariatkę. Jakby ktoś ją uleczył za pomocą czarodziejskiej różdżki. Żadnych opowieści o duchach. Konkretne odpowiedzi na pytania, sensowne wnioski. Koniec opowieści był niezwykle istotny. Wszyscy czekali, aż Ola przejdzie do meritum.

— I co było dalej? — zapytał Tomaszuk. Ponieważ florystka opuściła głowę i zawahała się, zapytał wprost: — Wtedy ją zabiłaś?

Kobieta poderwała się przerażona.

— Nie zabiłam jej — szepnęła. I dodała: — W każdym razie nie pamiętam tego. Kiedy się rano obudziłam, już jej nie było. Potem dowiedziałam się, że zginęła. Myślałam, że matka ją zabrała, że uciekły, tak jak planowały — Ola zaczęła się plątać w zeznaniach.

Prokurator powoli tracił cierpliwość. Podniósł do góry reklamówkę, z której wyjął spodnie od dresu, żółtą czapkę, buty i bluzę z kapturem.

— Więc po co to przyniosłaś?

— Maestra mi kazała — szepnęła Ola.

— To jest twoje przebranie? W tym przywiozłaś ciało na cmentarz?

— Ja... — Ola zawahała się. — Ja nie chodzę na cmentarz. Nie chcę pamiętać syna martwego.

Prokurator podniósł rękę w geście irytacji.

— I po co te bajeczki? — zakpił.

— Ale niech pan mnie posłucha. — Ola chwyciła go za rękę. Obrączka wypadła mu z rąk i poturlała się pod stolik. Tomaszuk był wściekły. Wyrwał dłoń z jej rąk, zerkając, gdzie mogła się potoczyć. Ola zaś nacierała. Mówiła bez składu, chaotycznie, powtarzając się co jakiś czas: — Ja nie wiem, co się stało. Nie wiem, jak to możliwe, ale ja nic nie pamiętam. Przyszłam, bo myślę, że ja jednak jestem winna. Myślę, już mówiłam, że to mój syn, jego duch mnie opętał i on się mści. Ostatnio zachowuje się naprawdę niegrzecznie, więc...

— Niegrzecznie? — huknął na nią Tomaszuk, aż wypielęgowana fryzura uniosła mu się do góry. — Duch zabija? Co to za bzdury!

— To prawda, mój syn jest wciąż ze mną — odparła Ola i zamilkła. Bawiła się kluczem, który nosiła na sznurówce pod bluzką. Prokurator gromił ją wzrokiem. Podniósł do góry plik kartek i przejrzał je.

— Dlaczego nikt mi nie wierzy? Ja to wszystko opisałam w listach. Maestra je wysyłała, ona wie wszystko, potwierdzi to. Na pewno można je odzyskać — szepnęła. — Ja sama tego nie rozumiem.

— Ja tym bardziej — odparł. Wstał i podniósł obrączkę, którą wreszcie dostrzegł pod kaloryferem. Teraz czuł się już znacznie pewniej. Zerknął na rzeczy Amadeusza rozłożone na stole, a potem wysupłał z reklamówki podstawkę od wózka, którą Ola zabrała z przechowalni. Policjanci znaleźli ją w trakcie rewizji osobistej w jej kieszeni. Musiała nosić ją od tamtej pory i całkiem zapomniała o tym nieistotnym kawałku plastiku.

— A co to jest? — spytał prokurator.

— To? — Ola wydawała się zdziwiona. — To jest kawałek podstawki od wózka mojego syna. Byłam wczoraj w przechowalni, ktoś ukradł wózek. Zostało tylko to.

Tomaszuk patrzył na nią, nie wierząc już w ani jedno jej słowo.

— Ktoś ukradł? Ktoś?

Ola wyczuła, że to ważny szczegół, bo zamarła w oczekiwaniu.

— Nie wiem kto. Wózek stał tyle lat. Amadeusz byłby dziś nastolatkiem... — przerwała. Rozpłakała się i zaczęła się tłumaczyć: — Wiem, co pan pomyśli, ale ja naprawdę nie mam pojęcia... Po co miałabym to nosić, przecież wyrzuciłabym już dawno, gdybym wiedziała... O Boże!

— Nie wzywa się Pana Boga nadaremno — pouczył ją Tomaszuk. Położył na stole dokumenty i zaczął odczytywać jej zarzuty: porwanie, przetrzymywanie ofiary, zabójstwo, zbezczeszczenie zwłok, ucieczka z miejsca zdarzenia, ukrywanie się przed organami ścigania.

— Czy zrozumiała pani treść oskarżenia? — zwrócił się do Oli oficjalnym tonem. — Przyznaje się pani?

— Zrozumiałam — powiedziała i pokręciła stanowczo głową. — Nie wierzę, że mogłabym zrobić coś tak potwornego.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Przerwał ją prokurator.

— Czyli nie przyznaje się pani? Zaprotokołować — polecił. — Do porwania i przetrzymywania dziewczynki też nie?

— Ona była ze mną bezpieczna! Ona nie chciała tam wracać! Czy miałam ją oddać w miejsce, gdzie nikt jej nie kochał? Nikogo nie porywałam! — Ola teraz już krzyczała, jakby dostała ataku szału. — Pomóżcie mi! Przyszłam tu błagać was o pomoc. Zróbcie ze mną, co chcecie, ale pomóżcie mi. On mnie opętał. Może to nie jest mój syn, może to jakiś demon, może on każe mi zabijać. Ale to nie ja! Ja nic nie pamiętam. Nic, zupełnie. Niech ktoś mi pomoże!

Po czym chwyciła się za głowę i zaczęła ją uciskać. Prokurator dał znak policjantom, by odprowadzili kobietę do aresztu.

— Jeszcze dzisiaj sąd zdecyduje o pani aresztowaniu — powiedział. — Akt oskarżenia powstanie po wykonaniu stosownych czynności śledczych.

Konwojenci podeszli do Oli. Kobieta wyrywała się, walczyła. Nagle zaczęła zachowywać się tak, jakby coś ją opętało. Gryzła i szarpała konwojentów. Ktoś rozdarł jej bluzkę, klucz na sznurówce dyndał na jej szyi. Wszyscy przyglądali się jej poranionym dłoniom i przegubom. Widok pociętych rąk był porażający. Ola wyciągnęła je w ich stronę.

— To on mi to robił! Ten demon, który podszył się pod moje dziecko i mnie opętał!

Konwojenci obezwładnili ją i siłą wyprowadzili z pokoju. Ola, wychodząc, nadal krzyczała:

— Niech ktoś mi pomoże! Niech ktoś zbada mnie i wymieni mi mózg. Ja dłużej tego nie zniosę!

Jeszcze długo słyhać było jej krzyki. Prokurator pozostał niewzruszony. Podpisał dokumenty i złożył je na kupkę. Podał policjantom. Ci natychmiast zaczęli sobie żartować. Wojda szydził z florystki, naśladując jej głos: — Nie wierzę, że mogłabym zrobić coś tak potwornego. Nie wierzę! Och, nie wierzę!

— Czy mógłbyś zmienić mi mózg? — wtórował mu Petryka falsetem, głośno przy tym rechocząc.

— Ja sam nie wiem, co się ze mną dzieje, ale to jakiś demon mnie opętał — rozochocił się Wojda, udając, że dusi Petrykę. Widać, że bawili się doskonale. Wreszcie Wojda wyjął trzy zapałki z pudełka, złamał jedną i ukrył wszystkie w zamkniętej dłoni.

— Chora, opętana czy zła? Którą wybierasz? Stawiam zero siedemdziesiąt pięć — oznajmił i podszedł do Domana, który jako

jedyny nie odezwał się ani słowem. Patrzył na to wszystko spokojnie, zastanawiając się nad czymś. Odepchnął rozweselonego policjanta. Nie miał ochoty na żarty.

— Czego? — zainteresował się za to prokurator.

— Łyskacza — wzruszył ramionami Wojda. Prokurator zaśmiał się. Wyłosował całą zapałkę.

— Zła — huknął na niego Wojda. — Florystka jest zła!

— Bo to zła kobieta była — dodał Petryka.

Prokurator machnął ręką. Podał Domanowi dokumenty.

— Tu jest nakaz przeszukania lokalu mieszkalnego i kwiaciarni. — Pobierzcie jej wyskrobiny spod paznokci, DNA, krew, włosy. Wszystko, co możliwe. Generalnie róbta z nią, co chceta — uśmiechnął się szeroko.

— Wiemy, co mamy robić — odparł Doman.

— To po sprawie. — Tomaszuk zatarł ręce. — Mogę wreszcie jechać na Kanary. Przywiozę wam jakąś flaszkę.

Wszyscy wyszli na korytarz. Pod pokojem przesłuchań siedziała Eliza. Była wstrząśnięta widowiskowym zatrzymaniem przyjaciółki. Prokurator podszedł do niej i z szacunkiem uściśnął jej dłoń.

— Spisała się pani, dziękujemy. Gdyby była pani u nas na służbie, dostałaby pani medal. Ale dla cywili nic takiego nie mamy. Już nie musi się pani obawiać. Nikt więcej pani nie napadnie. Sprawa wkrótce zostanie zamknięta.

— A jeśli ona naprawdę jest chora? — zapytała Eliza z troską. Widać było, że martwi się o przyjaciółkę.

— To już oceni sąd, proszę pani — uśmiechnął się zadowolony Tomaszuk. — Takich wariatów my tu mamy codziennie kilku. Każdy by wolał szpital niż więzienie. Jeśli oczywiście będą przesłanki, podejrzana trafi na obserwację, bez obaw. Do takiej sprawy nikt nie będzie żałował jej badań. To ma jak w banku. Chora, zła czy opętana? Dostanie stosowną karę za śmierć niewinnej dziewczynki.

Mężczyzna ubrany w sportową odzież i czapkę z daszkiem ruszył wzdłuż chodnika, pchając dziecinny wózek. Zaczął kropić drobny deszcz, więc założył kaptur na głowę. Koc lekko opadał, odsłaniając poduszkę, więc zatrzymał się i poprawił go. Rozłożył też daszek, by pakunek przykryty niebieskim kocem nie zamókł. Ludzie czekający na

autobus przed cmentarzem nie zwracali na niego uwagi. Nawet kiedy zatrzymał się obok nich, udając, że szuka czegoś w koszyku na dole. Ruszył w drogę powrotną i tak jeszcze raz. Dopiero wtedy młoda kobieta z dzieckiem śpiącym w niemowlęcej gondoli przyjrzała mu się badawczo. Po chwili odeszła szybkim krokiem w przeciwnym kierunku. Mężczyzna zaś wjeżdżał już na cmentarz świętego Rocha. Rozstawieni dookoła policjanci w cywilu obserwowali całą akcję. Doman siedział w aucie i palił papierosa.

— Brawo, mała — rzucił do słuchawki. — Mogłabyś zajmować się transportem zwłok na co dzień. Świetnie ci idzie.

— Wolę już to, niż stanie na wabia w kurwidołku — odpowiedziała Bogatka.

— Spokojnie, muszą cię zauważyć. I uważaj na tych meneli. Jak cię dostrzegą, porzucasz wózek i zaczynasz uciekać. Wtedy wchodzimy.

— Mam nowy nos, więc lepiej, żebyś się nie zagapił, szefie.

Kiedy tylko to powiedziała, Doman usłyszał głosy mężczyzn siedzących na trzepaku. Ruszyli z miejsca i zaczęli ją otaczać. Krzyczeli, dokąd wybiera się z tym wózkiem.

— Mam chore dziecko — zaczęła Luiza. — Muszę do lekarza.

Dalej nie było słyhać. Kobieta musiała rzucić się do uciezki.

— Wchodzimy — Doman rzucił w eter radiostacji i wysiadł z auta.

Kiedy dobiegł na miejsce, Luiza zdjęła już czapkę i stała uśmiechnięta wśród zaskoczonych gapiów.

— Policja. Proszę się rozejść — Doman pokazał im legitymację. — Trwa eksperyment.

Mężczyźni jeszcze chwilę rzucali przekleństwa, ale potem opuścili placyk. Ustawili się w bezpiecznej odległości, by nie stracić ani minuty z widowiska. Ludzie z przystanku teraz też zwrócili uwagę na ten incydent. Ktoś pokazywał sobie wózek. W oknach naprzeciwko odstąpiły się firanki. Policjanci wiedzieli, że za chwilę będzie tutaj połowa Dziesięcin. I na to liczyli. Doman zerknął na zegarek.

— Siedemnaście minut — zapisał na kartce. Ucałował Bogatkę w czoło i powiedział: — Zmiana wachty. Dawajcie podejrzaną. Operator gotowy?

Podszedł Petryka ze sprzętem.

— Nie kręcisz tylko wizji — pouczył go Doman. — Także gapiów. Przede wszystkim gapiów, pamiętaj. No to jazda.

Z nieoznakowanego radiowozu wysiadła Marlena Czupryna-Mirga w podobnym przebraniu, jakie wcześniej miała na sobie policjantka. Wyglądała na przybitą. Wręczono jej wózek, sytuacja się powtórzyła. Tym razem już wszyscy mieszkańcy osiedla z naprzeciwka obserwowali eksperyment. Marlena starała się za wszelką cenę ukryć twarz pod czapką.

— Dobrze gra — rzucił Doman. — Nawet bardzo dobrze.

Podszedł do Richarda i Any, cudzoziemców, którzy, lekko przestraszeni, wpatrywali się w policjanta. Przez to, że przypadkowo byli świadkami przestępstwa, nadal nie mogli wyjechać z Polski. Nie wyglądali jednak na niezadowolonych. Policja zafundowała im hotel w centrum miasta. Poza kilkoma przesłuchaniami mogli zwiedzać miasto. Mężczyzna wyglądał jak podstarzały wiking. Kobieta, grubo po czterdziestce, była umalowana czarną szminką, a w koronkową czarną bluzkę na stójce wpięła broszkę z kameą. Wyglądała jak z filmu o upiorach. Domanowi na jej widok chciało się śmiać. Nie była wcale przerażająca, tylko śmieszna w swojej stylizacji.

— I jak? Podobny? — dopytywał się komisarz. Jego angielski akcent wołał o pomstę do nieba, ale dało się go zrozumieć.

Richard pokiwał głową. Ana nie odpowiedziała od razu. Wpatrywała się w idącą Marlenę, mrużąc oczy krótkowidza. Wreszcie wygrzebała z torebki okulary i stwierdziła:

— Za wysoki i idzie zbyt szybko.

— Czyli niepodobny?

Mężczyzna pokręcił głową. Doman westchnął.

— Richard, rozumiesz mnie? Podobny czy nie? To ważne, wiesz o tym.

— Tamten trochę utykał na jedną nogę — dodała Ana.

Doman przyjrzał się jej wnikliwie. Podszedł i delikatnie zdjął jej okulary z nosa.

— Widzisz bez tego?

— Czytałam wtedy, miałam je na sobie — skłamała. Doman ciężko westchnął. Wiedział przecież, że w momencie odkrycia ciała poszła się załatwić. Nie mogła iść sikać z książką.

— Co za pech. Jedyni świadkowie i na dodatek ślepcy — powiedział po polsku. Richard dał mu znak, że nic nie rozumie. Doman zwrócił się do niego po angielsku: — Czyli nie ten?

Teraz oboje pokręcili głowami.

Doman dał znak policjantom. Marlena trafiła z powrotem do radiowozu. Teraz wyprowadzono Olę Jekel. Doman aż zaniemówił na widok florystki w ubraniu Amadeusza, które sama przyniosła im na komendę. Wyglądała dokładnie jak postać z wizji, którą przekazał mu Meyer do wyselekcjonowania twarzy. Czekał wciąż na ekspertyzę. Technik obiecał to zrobić dyskretnie, może jeszcze dziś wieczorem będzie to miał. Tyle że tamta osoba miała żółtą, a nie białą bejsbolówkę. Może to kwestia lat. Czapka musiała być wielokrotnie prana, dlatego straciła kolor. Ola z całą pewnością mogła być wzięta za nastoletniego chłopca. Zanim ruszyła z wózkiem w znaną wszystkim trasę, Doman dostrzegł dzieciaki, które nagrywały całe zajście komórką. Wskazał je policjantom, ale nie chciał, by zdjęli je od razu. Prawdę mówiąc, liczył, że nagrają resztę eksperymentu. Dopiero wtedy skonfiskują im iPhone'a. Zawsze to dodatkowe nagranie, a tego potrzebowali.

Ola ruszyła. Jej wędrownkę widzieli teraz wszyscy mieszkańcy osiedla. Doman zabronił stawiania barierek czy taśm. Chciał, żeby jak najwięcej osób mogło przyjrzeć się podejrzanym oraz zajściu. Planowali dokładnie obejrzeć zebraną publiczność. Twarz po twarzy. Tak ustalili z Meyerem, ale nie mogli zrobić tego otwarcie. Pozoracja wizji została zorganizowana, by zmylić Pileckiego. Nadal miał pełnię władzy naczelnika wydziału. Gdyby chciał, jednym ruchem mógł wszystko zablokować.

Kiedy Ola dotarła do wejścia na cmentarz, zatrzymała się i po prostu zostawiła wózek. Zamiast uciekać, zawróciła i ruszyła wolnym krokiem w stronę mundurowych. Doman dał jej znak, że ma powtórzyć wizję. Podszedł do niej lekko zdenerwowany.

— Jak się umawialiśmy? — huknął. — To nie tak było. Tylko nie mów, że nie pamiętasz.

Ola milczała. Nie odezwała się słowem. Od ostatniej wizyty na komendzie nie rozmawiała z nikim. Odmawiała też jedzenia. Zнали dobrze te metody, tak zachowywały się często aresztowane kobiety. Doman, prawdę mówiąc, nie przejmował się tym zbyt. Wiedział, że

to gra przed procesem, a potem wszystko zwykle wraca do normy. Jeszcze brakuje im tylko próby samobójczej i będzie komplet typowych zachowań. To dlatego kazał jej pilnować w celi i posadził z trzema informatorkami. Nie było nawet mowy o izolatce. Miałyby świetne warunki, by targnąć się na życie, a tego nie chcieli. Potrzebowali jej do zakończenia sprawy. Wiedzieli więc na bieżąco, co robi i jak się zachowuje. A zachowywała się skandalicznie. Biegała po celi, wzywała dziecko, próbowała się ciąć, wystrzygła sobie gniazdo na głowie. Strażniczki ze spokojem wchodziły po najlżejszym waleniu w klapę. W więzieniu Ola nie miała łatwego życia i tak samo będzie, jeśli zostanie skazana. Choć wyrok jeszcze nie zapadł, dla osadzonych była już morderczynią Zosi.

Doman zerknął na cudzoziemców. Za ich plecami, po drugiej stronie ulicy dostrzegł naczelnika wysiadającego z cywilnego wozu. Domański skinął mu głową, lecz Pilecki zignorował jego powitanie. Zatrzymał się i wpatrywał w kobietę przebraną za nastoletniego chłopca. Doman zdecydował się dać Oli jeszcze jedną szansę.

— Poprawiasz? — zwrócił się do niej łagodniej.

— Nie wejdę tam — odparła florystka i znów się zacięła w sobie.

Doman machnął ręką. Kazał wpisać to do protokołu. Musiał mieć podkładkę dla prokuratora.

— A teraz? — zwrócił się cudzoziemców.

— To ona — potwierdził z przekonaniem Richard.

— Jesteś pewien? — upewnił się Doman.

— Nie widziałem twarzy, ale sylwetka identyczna — zapewnił. Tym razem wyglądał na pewnego siebie. Ale dla odmiany to jego niedowidząca partnerka się wahała. Zdejmowała okulary i nakładała.

— To mogła być ona — powiedziała wreszcie. — Ale wydaje mi się, że tamta osoba szła bardziej niezgrabnie, ociężale. Tu od razu widać, że to kobieta. Albo dziecko.

— Dziecko? — zmarszczył brwi Doman. — Jakie znów dziecko? Ta osoba ma ponad trzydzieści lat.

— Będziemy jeszcze potrzebni? — dopytywał się Richard. — Zwiedziliśmy już całe miasto.

— Możecie się pakować. Dziękuję. — Uścisnął im dłonie. Miał ich dosyć. Do niczego się nie nadawali. Dobry adwokat podważył ich

zeznanie w pięć sekund.

Pilecki podszedł do Domana.

— Jakiś nowy pomysł? — spytał.

— E, tam. Sprawdzamy stare tropy profiler. Skoro materiał jest w aktach, trzeba je potwierdzić albo wykluczyć — znacząco zawiesił głos. Odpowiedź widać spodobała się Pileckiemu, bo uśmiechnął się zadowolony.

— Masz coś przeciw, jeśli sam bym ją wziął? — zapytał niby mimochodem i wskazał Olę Jekel, która właśnie wsiadała do radiowozu. — Rozmawiałem z lekarzem. Z nią trzeba delikatnie.

— Nie, no co ty, szefie! — Doman rozłożył ręce. — Skończymy procedurę i podstawiamy ją na dołek. Ale ona była już słuchana. Dlaczego szef chce sobie zawracać głowę?

— Ona wniosowała o obserwację. Wstawmy ją do Choroszczy — uśmiechnął się chytrze Pilecki. — Kilka dni nas nie zbawi, a zmięknie kobiecina. Zobacz, że jej pomagamy, wiesz, o co chodzi. Jakbyśmy mieli twarde przyznanie się, to byłby większy sukces. I nagroda od komendanta by była.

Doman nie odpowiedział. Ostatni medal wart był trzysta dwanaście brutto. Ale nie śmiał przeciwstawić się Pileckiemu, poza tym wciąż czekał na dane zebrane przez Meyera. Lepiej było dobrze żyć z szefem, zanim wybuchnie prawdziwa bomba.

— Tak jest — odparł Doman. Dał znak chłopakom, żeby zaczekali. W obliczu nowych wytycznych musiał rozdzielić pracę. Jakby nie łatwiej było wziąć babę na dołek i nie płacić nadgodzin ani nie narażać ludzi! Coś tu wyraźnie śmierdziało.

Wsiadł z hukiem do radiowozu. Był wściekły i głodny. Kasety od Meyera leżały wciąż na przednim siedzeniu. Nie zdążył ich jeszcze przekazać kobiecie z sądu. Pośpiesznie schował je do papierowej torebki po jedzeniu. Jeszcze tego brakowało, żeby zwróciła się z oficjalnym ponagleniem do naczelnika. Dopiero byłaby afera.

— Co tam, dowody fingujecie, Domański? — zażartował Pilecki. Nieoczekiwanie wrócił i zaglądał właśnie przez okno do auta Domana. Komisarz pokrył zażenowanie głośnym rechotem. Pilecki poczęstował go zgniecionym papierosem. Doman zapalił. Czekał na wypowiedź szefa.

— Powiedz im, że nie muszą jej pilnować. Ludzi szkoda, a mają co robić i bez tego — powiedział naczelnik niby od niechcienia, lecz zabrzmiało to jak wyraźny rozkaz. — Żeby nie myślała, że chcemy ją oszukać. Niech myśli, że jest na leczeniu, a my w tym czasie tak przygotowujemy jej akta, że palce lizać. No to jazda. Czas zakończyć tę farsę po wyczynach profilerera.

Przedzierali się przez chaszczę w stronę gęstwiny drzew, które Leon Jekel zamierzał dzisiaj ściąć. To on szedł pierwszy. Hubert od razu domyślił się, że mężczyzna jest urodzonym przywódcą, co gorsza, nieznoszącym sprzeciwu. Pozwolił mu na to, licząc na regułę wzajemności. Potrzebował jego szczerego zeznania. Leon szedł miarowym tempem. Stawiał wielkie kroki, kołysząc się przy tym na boki. W rękach miał potężny sekator do cięcia konarów drzew, z którego zwisała jeszcze metka. Jekel dopiero teraz zauważył metalową banderolę i zerwał ją jednym gwałtownym ruchem. Nie zważał na to, że może pociąć sobie ręce. Nie popisывał się. Był raczej jak pradawny tur, nie człowiek. Kiedy weszli w gęstwinę martwych sosen, przez które trudno było się przedrzeć nawet zajacom, podręcznym toporkiem zaczął torować drogę swojemu gościowi. Cienkie, ostre gałązki chlastały go po twarzy, ale traktował to jak pieszczotę. Wydawało mu się pewnie, że ucina łąby hydrze. Na plecach niósł worek z jedzeniem na cały dzień, wewnątrz pobrzękiwały też butelki i klucze. Meyer początkowo starał się dorównać mu kroku, ale już po pierwszym kilometrze poczuł, że jeśli podróż zajmie im dłużej niż kwadrans, nie uniknie zadyszki. Jekel zaś zdawał się przepełniony siłą witalną. Jekel nie myślał, on funkcjonował. Fizycznie, a raczej fizjologicznie. Uwielbiał zresztą mówić o ciele i jego wydzielinach (spermie, krwi, żółci, moczu, gównie, rzygach) oraz percepcji świata przez doświadczanie go w rzeczywistości (zjadłem, spałem, leżałem, idziemy, stój).

— Nie myśl za dużo, bo zostaniesz myśliwym — żartował, kiedy Meyer zbyt długo nie odpowiadał na jego pytania. Profiler pozwolił mu na niegroźne przesłuchanie. Świadomie skrócił dystans. Od razu przeszli na ty. Hubert dostrzegł błysk w oku drwala, kiedy po przyjeździe zamiast powitania fachowo wbił leżącą siekierę w pień. Nie zamierzał się układać ze świadkiem, po prostu po podwórku

biegały dzieci i mogły sobie zrobić krzywdę. Jekel to docenił, choć nic nie powiedział. Kazał żonie podać dodatkowe nakrycie dla gościa. Zjedli. Meyer przedstawił cel wizyty, a żona patrzyła na męża przerażona. Była pewna, że się wścieknie. Tak się jednak nie stało. Meyer musiał poczekać chwilę, aż się naradzą, a po śniadaniu wyszli do lasu. Gdyby przyjechała tutaj Lena, nic by nie wskórała.

Mordercza praca fizyczna była dla Leona rozkoszą. Nie był wysoki (Meyer patrzył na niego z góry), ale solidnie umięśniony i żylasty. Blondyn strzyżony na jeża, sprytne, zielone oczy. Uśmiech prostego cwaniaczka. Złamany i przemieszczony nos, wydarty płatek ucha, szrama od noża na szyi i w okolicy płuca, bo koszulę zdjął, gdy tylko weszli do lasu (mogłaby się pobrudzić, szkoda proszku do prania). W młodości musiał brać udział w wielu mordobiciach. Zresztą mimo tych widocznych defektów wciąż wyglądał młodo.

— Kamrat zszył mnie na żywca — pochwalił się, wypinając nagi tors do słońca (olejki do opalania to jeszcze większe gównno niż dezodoranty). — Krzywo mu wyszło, ale ani dnia w życiu nie leżałem na umieralni. Z taką pierdołą miałem iść do krojczych?

Miał swój slang, swoje zasady, swój rytm. I trzymał się tego uparcie. To widać dawało mu poczucie bezpieczeństwa. Zdawało się jednak, że samą swoją obecnością zabiera wokół całą energię. Od pracy fizycznej na powietrzu był opalony na mahoniowy brąz. Nogi miał poranione. Głównie rany szarpane, w większości bez opatrunków, choć tego wymagały. Tak jak ta wczorajsza. Ale on zupełnie się nią nie przejmował. Zamiast zdezynfekować nogę, zanurzył ją w pobliskim stawie. Zanim Meyer zapytał, już streścił mu genezę jej powstania.

— Zwalałem starą olchę. Drzazga się odbiła, walnęła z impetem i stąd ta cipka — rzucił od niechcienia głosem, który umarłego poderwałby z grobu. Od pracy w lesie musiał mieć uszkodzony słuch, bo wciąż kazał sobie powtarzać głośniej najprostsze zdania. Po czym podniósł nogę i dumnie pokazał w niej dziurę, jakby to była rana zdobyta w walce z wrogiem. Meyer z odrazą odwrócił wzrok, co jedynie tylko ucieszyło drwala.

Jekel mówił dużo i głośno. Lubił mówić. Zdecydowanie bardziej niż słuchać. Nie słuchał zresztą nikogo, pewnie nawet siebie. Gdyby to robił, zamilkłby na zawsze. Na dłuższą metę był nie do wytrzymania. Po

krótkiej podróży w głąb puszczy Hubert znalazł już nie tylko historię życia byłego męża florystki, ale także jego poglądy, niektóre świadczące o intelekcie, inne tak wywrotowe, że natychmiast należałoby go zamknąć za szerzenie herezji albo u czubków. Banki śledzą i okradają ludzi. Żydzi trzymają władzę. Kobiety są chciwe i wredne. Po trzydziestce następuje SKS (starość, kurwa, starość). Internet to pornografia, a księża to pedofile. Klimat gwałtownie się ociepla i wkrótce nastąpi apokalipsa. Raj jest w Meksyku (ale Leon tam nigdy nie pojedzie, bo nie będzie się uczył języków obcych). Tylko praca fizyczna ma sens. Walka z naturą to obowiązek człowieka. Technologie to infekcja. Komputer uzależnia. Telefony są na podsłuchu.

Meyer odruchowo zerknął na swój aparat telefoniczny i zawczasu go wyłączył, by nie dać Jekelowi powodu do kolejnych wykładów. Mimo tych oczywistych wad, drwał zdawał się mieć też zalety. Na pewno był pewny siebie, opiekuńczy i solidny. To mężczyzna, który z łatwością wciągał ludzi w sieć swoich poglądów i zarażał nimi. Jeśli mu się jednak poddać i pozwolić rządzić, mógł być jak oswojony żubr. Chciał się łąsić. Huberta nie zdziwiło więc, że Leon rozsiewał swoje autorytarne geny, gdzie się dało (prezerwatywy powodują raka jąder). I okazał się doskonałym rozplodowcem (ja nic nie robię, one same chcą). Widać niektóre kobiety szukają u mężczyzny właśnie tych cech: siły, stabilności, pracowitości. Na ten wabik musiała się złapać nie tylko florystka, ale też trzy inne kobiety, z którymi Leon posiadał łącznie sześcioro dzieci. Żył z trójką ostatnich. Pozostałych nie odwiedzał ani nie płacił alimentów. Zgodnie z prawem był bezrobotny oraz niepełnosprawny. Od osiemnastego roku życia dostawał rentę na serce. Nie poszedł do wojska. Nie skończył nawet zawodówki (tylko przewały na nas robili, jaka tam nauka). Meyer nie mógł uwierzyć, że to jest w ogóle możliwe. Leon Jekel był okazem zdrowia o chorym sercu (dlatego łatwo się zakochuję, mam zepsutą zastawkę, czy „cós”, chcesz, pokażę papiery, wszystko na legalu, żaden kit). Był to kolejny dowód, dlaczego profiler powinien osobiście przesłuchać świadka. Z papierów, które przygotował Doman, wynikało, że jest to człowiek schorowany, w przeszłości mający problemy z alkoholem i prawem. Leon od razu przyznał, że po pijanemu bił wszystkie swoje kobiety (wnerwiały go). To dlatego uciekały i nie chciały nigdy mieć z nim nic do czynienia

(suki). Florystka nie była wyjątkiem. Jak się okazało po sprawdzeniu, ona ucierpiała najmniej. Żyła z nim tylko rok i osiem miesięcy. Dokładnie tyle, ile zajmuje namiętny romans, szybka ciąża i pół roku po porodzie. Dopiero niedawno znalazł kobietę, która była w stanie go udomowić. Kiedy zapłodnił Sabinę, miała siedemnaście lat. Wyglądała i zachowywała się jak gejsza, ale to ona podejmowała wszystkie kluczowe decyzje. Leon chodził przy niej jak w zegarku. Sam, nie zdając sobie sprawy, spełniał wszystkie jej zachcianki. Także to, że jako matka trójki jego dzieci miała prawo do tego, by się jej publicznie oświadczył, a co za tym idzie, poślubił. Leon karnie ruszył do lasu, zrobił zleconą wycinkę, po czym udał się do jubilera. Miesiąc później na palcu narzeczonej błyszczała już obrączka (9,70 gramów złota, nie jakiś tombak). Nikt nie spodziewał się, że młoda, cierpliwa żona udomowi tego żubra. Wszystkim to było na rękę, dotąd nikt nie był w stanie z nim wytrzymać. Okazało się, że z Leonem trzeba było krótko i klarownie, ale po dobroci. Prosta dziewczyna to umiała. Pochodziła z dobrej wiejskiej rodziny. Jej matka kręciła ojcem, babka dziadkiem, ona też ma to we krwi. Leon zaś dzięki Sabinie zyskał wolę istnienia. Przestał się awanturować, pił tylko w lesie (weź schowaj tę puszkę do swojej torby, bo jak Sabina ją u mnie znajdzie, to się podkurwi) i był święcie przekonany, że nikt nie dostrzeże, że to nie on rządzi w domu. Otwierał się tylko przed mężczyznami równymi sobie. Gdyby nie bał się Sabiny, nosiłby jak tarczę t-shirt „nienawidzę kobiet” (nie ma co jej drażnić, jeszcze mi trutki na szczury wsypie do żarła). Polegało to jednak wyłącznie na narzekaniach, jak wredne są kobiety. Mówił dużo i ze swadą, okraszając opowieści naturalistycznymi porównaniami, a potem karnie dostosowywał się do reguł gry żony. Chował papierosy do wewnętrznej kieszeni, żeby ich nie znalazła (Żydy tak podniosły akcyzę, że za drogo wychodzi). Puszki wrzucał sąsiadowi do kontenera, żeby myślała, że już nie pije (ślubowałem w kościele), zapinał rozporek przed wejściem na posesję (żeby widziała, że mam do niej respekt). Wrzeszczał tylko, kiedy miał konkretny powód i nie powtarzał przy niej nieustannie: „Co?”. Za to na jej widok rozpromieniał się i zachowywał jak kogut na podwórku. Przechadzał się posuwistym krokiem i przekomarzał, próbując jej zaglądać do garnków, a ona goniła go ze szmatą. Kochał ją, to było widać, choć wstydził się przyznać tego

głośno. Meyer był jednak pewien, że często szeptał jej to w pieleszach domowych (żadnych świadków takiej słabości).

— Umówiliśmy się z żoną po drugim dziecku, że to ja będę podejmował ważne decyzje. Ona weźmie na siebie wszystkie drobiazgi, żebym nie zawracał sobie tym głowy. Tylko że w życiu nie ma żadnych ważnych decyzji. Wszystko jest błahostką. No i widzisz, jak się załatwiłem — wyznał ze skruchą.

To Sabina kazała Jekelowi iść z Meyerem na wycinkę. Miał mu wszystko opowiedzieć, żeby nie było żadnych wątpliwości. Nie chciała być zamieszana w sprawę zabójstwa dziecka i tak wyłuszczyła to Leonowi, że był przekonany, iż sam do tego doszedł.

Dotarli wreszcie do miejsca pracy drwała. Nie było tam nic oprócz drzew, sprzętu, wielkiej piły motorowej. Ciemno. Meyer nie miał pojęcia, jak mężczyzna odróżnia miejsca bez GPS-u. Jekel wskazał mu północ, po czym objaśnił, że zna ten teren jak własną kieszeń.

— To mój Meksyk — dodał i wreszcie na chwilę się przymknął. Długo milczał, co zaniepokoiło Huberta. Ale po chwili zorientował się dłaczego. Jekel był głodny.

— Zjemy, pogadamy. Nie mogę myśleć, jak mam pusty żołądek.

— Oczywiście — zgodził się Meyer, bo przecież nie miał wyboru. Po półgodzinie z tym człowiekiem lasu można było przyswoić podstawowe punkty jego instrukcji obsługi. Usiedli na pieńku. Widać było, że tu wczoraj skończył. Rząd ułożonych drzew, porąbane gałęzie. Porządek był idealny.

— Tu maszyna nie wjedzie, ja toruję jej drogę — oświadczył z dumą i w trzech kęsach zjadł pudełko grillowanych żeberek. Zagryzł ćwiartką chleba, którą pochłonął bez krojenia na pajdy. Kości ogryzł do czysta i zawiązał w torebkę dla swojego psa.

— Teraz ty gadaj, w gardle mi już zaschło. Co właściwie chcesz wiedzieć? — spytał, kiedy się trochę posilił. Pełny żołądek czynił go nieco przychylniejszym dla świata. — Jak ja cię nie zadowolę, Sabina nie zadowolą dziś mnie. Załatwmy to szybko. Tu nie radio. Nasłuchałeś się za darmo, szlus.

Meyera najbardziej interesowała luka w życiorysie florystki. Niestety, jej jedyny mąż nie potrafił rozwiać mgły zawieszanej nad najlepszym okresem jej życia, jak pompatycznie określił to Jekel.

Twierdził, że nie pytał o przeszłość, kiedy się poznali. I Meyer mu wierzył. To było w jego stylu.

— Sama nie gadała, co miałem się napraszać — wyjaśnił po chwili, nie pozwalając Meyerowi zadać nawet jednego pytania. Ponieważ jednak było to ciekawe, Hubert nie przerywał.

— Była z dobrej rodziny — ciągnął drwal. — Tak się przynajmniej zdawało. Ojciec był na wysokim stołku w mieście, a potem go zamknęli. Pierwszy raz ją zobaczyłem, jak wnosili do jej domu tę harfę. Trzech ludzi starało się dźwignąć to pudło, ale nie dawali rady. Jechałem na rowerze, roboty nie miałem. Ładna była. Nogi takie, że aż kolkę złapałem. To pomyślałem, pomogę, a co mi tam. Wziąłem tę harfę sam, tamci tylko dla pozerstwa pomagali, i wniosłem jej do domu. Była ze swoją ciotką, taką starą nauczycielką. Zaprosiły mnie na jej koncert. To poszedłem. W życiu nie słyszałem okropniejszej muzyki. Coś tam plumkała na scenie, nie bardzo wiedziałem, o co chodziło. Ale wyglądała jak aniołek. Taka była śliczna, choć już stara. Rok więcej ode mnie miała. I już wtedy miała SKS.

— Stara? — zdziwił się Hubert. — Ile miała lat?

— Dziewiętnaście, ale wyglądała na mniej. Jak teraz wygląda? Roztyła się? — zainteresował się nagle.

— Jest szczupła. Nadal ładna.

— Ładna? — zachnął się Jekel. — Ona była wypasiona! Ale jednak głowa stara. A ze starymi to wiadomo, wymagania rosną, ciało wiotczeje. Słabizna. — Bez skrępowania podrapał się po klejnotach. Zapiął znów rozsunięty rozporek, po czym uderzył się w uda i zatarł ręce. — Ale do rzeczy. Co jeszcze? Co chciałbyś wiedzieć?

— Jak to się stało, że się pobraliście?

— Ojej, a kogo to dzisiaj obchodzi?! — jęknął Leon. — Po prostu dostałem świra na jej punkcie. Zacząłem do niej podbijać. Ona w kółko te próby, ćwiczenia, muzyka i sam wiesz. Na dodatek zawsze jak cerber była z nią ta nauczycielka.

— Jaka nauczycielka?

— Luiza jakoś tam. Taka elegancka stara matrona. Wtedy prosto z zagranicy wróciła. Dużo o tym opowiadała.

— Eliza Fal? — upewnił się Hubert.

— Może i Fal. Ona jej pilnowała. Chyba Leszczyńska nie miała innej rodziny. Ten stary jej kofinał i w ogóle była taka biedna. To znaczy, jakiś posag tam był, ale komornik wszedł i uczepiła się mnie. Uciekała ze szkoły, szliśmy gdzieś na spacerki, to nad rzeczkę. Ale ja tam długo nie lubię po bułki do sklepu chodzić. Jej nie trzeba było namawiać. Nikogo przede mną nie miała. Byłem pierwszy. Podobno — zaznaczył. — No i trzy miesiące później były efekty tych spotkań. Ta nauczycielka była wściekła. Bo Leszczyńska dyplomu nie zrobiła. Chyba była dobra w tej harfie. Podobno nawet bardzo. W każdym razie ładnie tam na scenie wyglądała. Ale ona wtedy nie miała żadnych ansów. Była szczęśliwa z tej ciąży. Mówiła, że zawsze chciała mieć normalną rodzinę i dużo dzieci. Mnie tam to pasowało. Tylko nie sprawdziłem, że gotować nie umiała. No i poszliśmy do pani z łańcuszkiem, zaślubowaliśmy. Tyle. A potem miała pretensje, że przeze mnie grać na tym badziewiu nie może. Że becam, chamski jestem, że jej nie rozumiem. Stara piosenka. No i się zaczęło. Ja tam artystów nie lubię i nie rozumiem. Nigdy tego nie ukrywałem. No, nie podpasowaliśmy sobie. Coś jeszcze? — zakończył Leon.

— Jaka była? — profiler zadał mu pytanie otwarte, choć wiedział, że da mu tym pretekst do narzekań. Jednak ku jego zdziwieniu drwał nie zarzucił go gradem bezsensownych utyskiwań. Wyglądało nawet, że myślał.

— Dziwna — mruknął. — Bałem się, co ze mną robi.

— Dziwna?

— No dobra, brała mnie najbardziej ze wszystkich moich bab, ale była zboczona. Na początku to mi się nawet podobało, ale potem zacząłem się wstydzić — odparł i podszedł do pnia, o który stała oparta ogromna siekiera, po czym zaczął ją ostrzyć. Odwrócił się: — Kazła się wiązać, gryzła mnie. Bez awantury nic nie mogłem wskórać. Wiesz, o co chodzi.

— Nie wiem.

Jekel pokazał posuwisty gest rękoma. Miało to pewnie oznaczać seks. Meyer z trudem powstrzymał się od komentarza. Wiedział, że to zniechęci Jekela do opowieści. Musiał trzymać się wyznaczonych zasad. Poskutkowało. Jekel kontynuował:

— Nie udawało się. Musiałem jej przyłożyć.

Profiler wpatrywał się w niego zszokowany.

— Nie wierzysz mi? — zaśmiał się Leon. — Ale to prawda. To nawet jeszcze nic.

Wstał i wskazał jedną z ran na szyi, dwa centymetry poniżej tętnicy.

— To ona mi zrobiła. Jak spałem — powiedział. — Ciachnęła mnie nożem i zamiast ratować, dopytywała się, co czuję. Co mogłem czuć? Bolało jak cholera i krwawiłem jak zarzynana świnia. Do dziś pamiętam ten cierpki zapach. Myślałem, że kojfnę. Dzieciak był już na świecie, a ona była na mnie wściekła, że za mało ją kocham. Że o miłości nie mówię, że jestem taki zimny. Mało jej było? Pracowałem jak wół. A ona wiersze chciała, żebym jej pisał, czy jak? To mi wtedy w zemście to zrobiła. Dziwna, mówiłem. Wariatka. Pojebana wariatka. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

Meyer wpatrywał się w mężczyznę i zastanawiał się nad tą bajeczką. Jednak Jekel nie zamierzał nic więcej wyjaśniać.

— Wtedy też nie pojechałeś do szpitala? — przycisnął go.

— Sąsiad, weterynarz mnie poskładał. Za dwie flaszki. Nie była to jakaś wielka rana. Ale potem bałem się jej bić. Ja czasem przyłożyłem kobiecie, przed nią i po niej. Ale zawsze wyprowadzały mnie z równowagi. Nie lubiły tego. Były normalne. To ja się wkurzałem. A ona... Myślę, że naprawdę to lubiła. Mogła wtedy być ofiarą. Mogła się żalić, czuła się taka upokorzona. Lubiała, jak ją przeproszałem. Tak myślę. Dopiero po wszystkim płakała i tuliła się. Mówiła, że ja jeden mam nad nią władzę. Mogę z nią zrobić, co tylko chcę. A ja nie chciałem. Bałem się, co ona ze mnie robi. Nie jestem zbokiem. Nie jestem zły.

— Rozumiem — przytaknął Meyer, choć nie bardzo rozumiał. Miał jednak wrażenie, że drwal nie kłamie. — Dlaczego odeszła?

— Dziecko — powiedział Jekel i na moment odłożył ostrzałkę.

— Amadeusz?

— Zmusiła mnie, żebym się zgodził. Debilne imię. Tylko ona mogła je wymyślić. — Zawahał się na moment. — Po dziecku coś jej odpaliło. Odsunęła mnie. Chciała znów być święta. Myślała, że jej błona odrośnie, czy jak? Albo bała się, że Amadeusz nas zobaczy. Unikała mnie. W kółko spała z dzieckiem. A ja przychodziłem po swoje. Znów było jak trzeba. Ona mnie wkurzała, ja traciłem kontrolę. Czasem ręka się omsknęła. Tylko że ona już zapomniała, jak o to prosiła. Poszła na psiarnię, raz czy

drugi. Zawinęli mnie. Rozwód, same kłopoty z tymi papugami. No a potem wyleciała w świat z jedną reklamówką. Tyle ją widziałem. Porąbana. Mózg staje! Nigdy, najgorszemu wrogowi. Mówiłem: SKS.

Meyer dopytywał się, czy Jekel kontaktował się z nią, szukał, zabiegał o dziecko.

— Ja? — zdziwił się. — To ona odeszła. Niech się martwi.

— Ale młody cię szukał, zanim zginął.

Jekel jeden jedyny raz zamilkł na długą chwilę. Wyjął puszkę z piwem, otworzył. Drugą rzucił Meyerowi, ale ten mu ją zwrócił.

— Jestem na służbie.

Leon wlał sobie pół puszki do gardła, beknął.

— Raz tu był. Nie trafił w swój dzień. Coś tam się spóźniło, wszystkie moje plany szlag trafił. Nienawidzę niespodzianek, a ten młody pojawił się znienacka. Odnalazł mnie, cwany skurwysyn. Myślałem, że ta coś z alimentami kombinuje, czy jak... Słabo z kasą jakoś było. Kazałem Sabinie powiedzieć, że mnie nie ma. Ona z nim gadała. Mówiła, że ładny był chłopiec. Podobny do mnie.

Meyer przyjrzał się Jekelowi, który teraz wyraźnie posmutniał. Nerwowo strugał kij.

— Tak, nawet bardzo — skłamał Meyer, bo Amadeusz w niczym nie przypominał ojca. Był jak skóra zdjęta z matki. Choć, kto wie, jakim delikatnym dzieckiem mógł być w jego wieku drwał, skoro musiał zakładać tak ordynarną kolczugę do obrony przed wrogim światem. W końcu cała jego agresja to strach przed zranieniem. Za tym żubrem wciąż krył się mały chłopiec. Tylko Sabina wiedziała, jak go ujarzmić. Dlatego ją jedyną szanował.

Potem obaj siedzieli chwilę w milczeniu. Myśleli o Oli. Meyer nawet nie chciał wiedzieć, co kłębiło się w głowie Jekela, ale zupełnie nie rozumiał, jak taka eteryczna kobieta mogła zakochać się w Leonie. Byli z dwóch różnych światów. Nigdy do siebie nie pasowali. To musiało się źle skończyć.

Lena dopadła prokuratora Tomaszuka podczas spóźnionego obiadu. Wcześniej, mimo obietnicy spotkania, nie odbierał telefonów. Jego koleżanka z pokoju dostała widać polecenie, by nie udzielać nikomu żadnych informacji, bo nie puściła pary z ust, gdzie prokurator poszedł,

ani kiedy wróci. Tomaszuk nie zamierzał przed urlopem robić zupełnie nic. Dodatkowe czynności były mu nie na rękę. Cieszył się jak dziecko z dwutygodniowego wyjazdu na Kanary, o czym wiedzieli już chyba wszyscy w jednostce.

Doman jednak dobrze znał przyzwyczajenia Marioli. Kiedy dostał potwierdzenie od technika, że na wizji lokalnej w tłumie gapiów stoi Aleksandra Jekel, natychmiast zlecił swoim ludziom przyniesienie akt sprawy spalonej windy. Teraz coraz bardziej wierzył w hipotezę z florystką jako autorką wszystkich trzech zbrodni. Był podniecony i przerażony jednocześnie. Nigdy nie prowadził sprawy seryjnego sprawcy. I tu pojawił się problem, bo akt nie było w archiwum. Okazało się, że wziął je naczelnik. Tym sposobem Doman znów trafił do Pileckiego. Nogi się pod nim ugięły. Sprawa śmierdziała na kilometr. Tak wiele tropów, to nie mógł być przypadek. Zgodnie z umową, dopóki Meyer nie pozbiera danych, na razie miał się nie wychylać. Na szczęście Lena zaoferowała się, że wyjmie akta od Marioli. Doman widział, jak prokurator patrzył na nią w prosektorium, podstęp mógł się udać. Oboje jednak wiedzieli, że stąpają po kruchym lodzie. Jeśli Tomaszuk brał udział w spisku, sprawa będzie zaraz zamieciona, a ich głowy polecą szybciej, niż Doman zdąży powiedzieć swoje ulubione przekleństwo. O ile Lena i Hubert już dawno byli na aucie, on miał do stracenia o wiele więcej. Miał na karku rodzinę i kochankę. Teraz już czuł, że „sra ogniem”, o czym natychmiast powiedział Lenie. Przed wszystkimi innymi wciąż musiał zgrywać twardziela.

— Ostrożnie — pouczył ją, choć sama dobrze to wiedziała. — Delikatnie i po kobiecemu.

— Wiem, nie jestem dzieckiem — odpowiedziała. I dodała, jakby czytając w myślach policjanta: — Lepiej by było mieć coś w garści, żeby Pilecki nie zdążył nas uprzedzić.

— Piła to stary wyjadacz. Bardziej doświadczony ode mnie — powiedział szczerze Doman. — Wóz albo przewóz. Jedziemy — zdecydował. To jej się spodobało. Komisarz udowodnił tym samym, że nie ma nic wspólnego z aferą.

Teraz rozejrzała się po włoskiej knajpie „La Buffalo”, naprzeciwko prokuratury. Było tu tanio, stosunkowo czysto i dawali duże porcje. A Mariola wyglądał na takiego, co lubi zjeść. Jeszcze parę lat temu mógł

uchodzić za Pięknego Mario, dziś pozostał dla wszystkich Mariolą. W ciągu zaledwie kilku lat, kiedy awansował z prokuratury rejonowej na wiceszefa okręgowki, przytył ponad trzydzieści kilo. Nie pił, nie palił. Jadł. Zobaczyła go przy stoliku przy oknie. Z daleka przypominał przerośniętą zabę. Prawie nie miał szyi. Zwały tłuszczu na brzuchu, wielka, nalana twarz. Trudno było uwierzyć, że kiedyś był atrakcyjnym mężczyzną. Lena odetchnęła z ulgą, bo dotarła tu w ostatniej chwili. Kelnerka zbierała właśnie pozostawione na stoliku naczynia i odwoziła je specjalnym wózkiem na zaplecze. Tomaszuk nie bardzo przejmował się tym, że restaurację zaraz zamykają. Rozparł się wygodnie i oczekiwał na kolejne zamówienie, które kelnerka niosła mu właśnie z kuchni. Miał tu szczególne względy, bo poza nim już tylko kilka stolików było zajętych. Kończyli w pośpiechu, chcąc zdążyć przed sprzątaczką, która miała zwyczaj wyrywania talerzy z rąk, nawet jeśli nie były puste. Co do Marioli Doman się nie mylił. Prokurator powiesił togę niedbale na krześle, zsunął z tacy talerze. Dopóki było jedzenie, nie ruszał się stąd na krok.

— Można? — Lena odsunęła krzesło i nie czekając na odpowiedź, usiadła naprzeciwko.

— Dama tutaj? Jaka niespodzianka — rozpromienił się. — Masz może wolne dwa tygodnie? Wziąłbym cię na wakacje. Lambada, drinki z parasolką, słońce i ja — mrugnął do niej kokieteryjnie.

— Jestem raczej zajęta, poza tym się nie znamy — odparowała. Postanowiła, że nie będzie go podchodzić po kobiecemu, tylko załatwi sprawę na ostro. Taka odpowiedź niezbyt spodobała się Marioli, bo momentalnie zamknął się w sobie. Łypał na nią inteligentnymi oczami.

— Znać się nie musimy. Twoja strata, laleczko — dodał tylko na pozór obojętnie. — A co to za cudowne zmartwychwstanie? Myślałem, że cię odsunęli.

Lena nie odpowiedziała, więc Tomaszuk zabrał się za jedzenie. Zupa musiała być naprawdę gorąca, bo zaraz odsunął ją od siebie i zaczął kroić byle jak mięso i wpychać do ust wielkie kawały lasagne, aż oliwa ciekła mu po brodzie. Lena w osłupieniu przyglądała się, jak ginęły tam na zawsze. Choć porcje były tu olbrzymie, Tomaszuk zamówił dwa drugie dania: lasagne i klopsy z makaronem, które zjadł niemal w całości jeszcze przed zupą. Pomyślała, że ten mięsożerca musi być tak

samo żarłoczny, jeśli chodzi o wyniki w pracy. Nic innego się dla niego nie liczyło. Lepiej byłoby go mieć po swojej stronie.

— Gadaj, nikt mi nie płaci za nadgodziny — rzucił z pełnymi ustami prokurator. Już nie silił się na uprzejmości. — Czego chcesz?

— Ty nadzorowałaś sprawę tamtego dziecka? — rzuciła.

— Jakiego dziecka?

— Palmowa, Cycu.

Mariola przestał jeść.

— Co jest?

— Jest problem.

— Jaki? — zaśmiał się kpiąco. — Jaki masz, kochana, problem?

— On nic nie pamiętał.

— Amerykę odkryła! Co to, kurwa, jakieś szarady? — zdenerwował się.

— Ty mu dyktowałaś, co ma mówić. Czy to na pewno on zabił Amadeusza?

Prokurator pokiwał głową. Widać było, że chce jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

— Zdaje się, że sąd wydał wyrok — odciął się. — Klient siedzi od lat. Jaki masz jeszcze problem?

— To była dobrze udowodniona zbrodnia — przyznała Lena. — Aż za dobrze.

Prokurator zaczerwienił się aż po czubki uszu. Doskonale zrozumiał aluzję.

— A jak się zorientuje, że ma szansę na zażalenie, co zrobisz? — docisnęła go Lena. — Gadałam z nim, nie wiedział o tej koncepcji obrony własnej. Teraz może mu to przyjść do głowy. Jest parę złotych do wyjęcia. Przyda się po wyjściu z pudełka.

Mariola wybuchł gwałtownym śmiechem.

— To nie Hameryka, pani... Właśnie, nie pamiętam nazwiska. Chyba nie jest zbyt znane — przygadał jej.

— Pawłowska. Lena. — Wyciągnęła rękę. — I nie jestem twoim wrogiem. Tylko pytam.

Tomasz ukłonił jej dłoń. Wzięła kawałek jego lasagne. Pozwolił jej i nawet się uśmiechnął.

— Dobrze. — Pokiwała głową z uznaniem. — Bardzo dobre.

Prokurator czekał. Ona jednak nic nie powiedziała, wyjadając mu palcem z talerza.

— Teraz sama je sobie zjedz. — Przesunął w jej kierunku talerz.

— Robaków nie mam, ale jak chcesz. — Wzruszyła ramionami.

— Nie złożę zażalenia — wrócił do tematu Tomaszuk. — A nawet jakby złożył, to co? Zanim wyjdzie i dostanie kasę, chłopcy zrobią mu z dupy jesień średniowiecza.

— Nie pytam o procedury — odpowiedziała mu Lena. — Muszę wiedzieć, czy ty jesteś pewien. Rozumiesz? To ważne. Nie interesują mnie wasze ustalenia. Jak sprawa została spierdolona, to będzie miało związek z zabójstwem małej harfistki. Połowa miasta szukała tej dziewczynki. Chcesz, żeby to się rozestrało? A winda? Co z tym?

Tomaszuk nie odpowiedział. Przestał jeść. Wpatrywał się w Lenę.

— Co ty kombinujesz? I po chuj ci to? Pozamykane sprawy otwierasz? Komu to potrzebne?

— Komu? — Uniosła się i rozejrzała dookoła. — To musi być załatwione. Mnie to potrzebne i nie odpuszczę.

— Jesteś stuknięta — mruknął prokurator z pogardą. Otarł usta i rzucił serwetkę na talerz. Lena widziała, że wystarczająco go wkurzyła, by nie dokończył porcji. Wtedy dodał: — Spytaj Swatka. On ciągnął te sprawy.

Lena patrzyła na niego oniemiała. A więc on wiedział! Wszystko było z nim dogadane! Zanim poznała Tomaszuka osobiście, dużo o nim słyszała. Nie były to tylko pochwały. Raz niemal się spotkali. Nie zawsze był fair, choć miał najlepsze wyniki w firmie. Prawie osiemdziesiąt procent wykrytych spraw. Nieznacznie mniej potwierdzonych oskarżeń w sądzie. Wśród przestępców uchodził za postrach. Był bezwzględny, sprawny, szybki. Nie odpuszczał nawet żmudnych dochodzeń, a jeśli uparł się kogoś posadzić, doprowadzał plan do końca, i to na długie lata. Zwykle żądał najwyższych przewidzianych przez kodeks kar. Także jeśli zachodziły okoliczności łagodzące i inny prokurator poszedłby na ugodę czy wyrok w zawieszeniu. Mariola nie był człowiekiem gładkim, chyba że chciał być tak odbierany. Był chamem i prostakiem, lecz skutecznym i raczej nie popełniał błędów. Doskonały kandydat na ministra. Lena wiedziała, że szykował się na to stanowisko już w poprzedniej kadencji. Coś poszło nie tak. Ale on nie odpuści. Będzie

jeszcze bardziej bezwzględny. Nigdy nie przyzna się do popełnionego błędu. Zwykle też współpracował z policjantami, którzy kierowali się podobnymi zasadami co on. Swatek nie był takim typem. Doman mówił, że to uczciwy gość. I nie bez powodu odszedł. Lena nie wiedziała, o co tu chodzi, ale nie ufała Tomaszukowi. Znała inną sprawę, i to dosyć dobrze. To przez Mariolę jeden z jego podopiecznych popełnił samobójstwo. Zanim przyjechał psycholog, Mariola kazał policjantom zbierać gościa z dachu. Ten skoczył. Nie wytrzymał napięcia. Sprawę zatuszowano, a Mariola dostał nagrodę prezydenta miasta. Rodziną samobójcy Lena zajmowała się prawie rok. Tomaszuk nigdy nie miał tyle odwagi, by przyznać się do błędu. Zresztą po co? Lepiej nosić laurowe wieńce, wystawiać twarz do kamer. Jakakolwiek krytyka spływała po nim jak woda po kaczce.

— Pytam ciebie — odezwała się Lena. — Ze Swatkiem już gadałam. Dał mi ekspertyzę — zablefowała.

Tomaszuk zbaraniał.

— Teraz chcę akta — dodała. — Bo policyjne zniknęły z archiwum. W każdym razie ja ich nie wyjęłam. Nie wiesz może, gdzie są?

— Ile wiesz? — Pochylił się w jej stronę i zniżył głos. Kawałek marchewki wprost z jego ust strzelił z impetem na marynarkę Leny. Strzepnęła ją ze wstrętem. Odsunęła się.

— Wystarczająco — powiedziała lekko drżącym głosem. Postawiła wszystko na jedną kartę. I dodała, starając się, by zabrzmiało to jak najdelikatniej, lecz zabrzmiało jak groźba: — Polecisz razem z nim. A już na pewno nie zabierzesz się samolotem ministra.

Tomaszuk oniemiał. Był wściekły, ale tuszował to uśmiechem. Oczy błyszczały mu jak sztylety.

— Proceduralnie sprawa jest czysta — odparował. — Nie znajdziesz ani jednej luki. Ekspertyza nie jest sfingowana.

— To dlaczego Pilecki trzyma akta w swojej szafie?

Mariola roześmiał się. Lena zaimponowała mu. Odpowiedziała uśmiechem, choć czuła, że teraz już jest po kolana w bagnie. Na dodatek blef nie zaprowadził jej daleko, choć Mariola jeszcze o tym nie wiedział.

— Bo zakochał się w tej kwiaciarce i oszalał z zazdrości. Tyle że między kwiaciarką a tym Romeo z AGD nic nie było. Nic, zupełnie. Tak

to jest, kiedy facet myśli fiutem, a nie głową. Więc co, jak będzie z tymi wakacjami?

Lena nie poruszyła się, nie mrugnęła nawet okiem, jakby to, co przed chwilą usłyszała, wcale jej nie poruszyło.

— Poproszę akta tej windy, potem pogadamy — rzuciła od niechcienia.

Szpital psychiatryczny w Choroszczy mieścił się tuż przy rynku miasteczka, oddzielony jedynie murem z czerwonej cegły. W samym Białymstoku nie było ani jednego oddziału psychiatrycznego, więc wszyscy podlascy szaleńcy trafiali właśnie tutaj. Bramy wjazdowej nigdy nie zamykano, a budka strażnicza świeciła pustkami. Wewnątrz straszyły obraźliwe napisy namalowane sprayem. Sprawcy tego wybryku nie znali ortografii, za to Doman byłby z nich dumny, jeśli chodzi o różnorodność użycia przekleństw.

Na szpital składał się kompleks kilkunastu budynków znajdujących się na terenie dawnego parku. Niektóre zabytkowe, lecz dawno nieremontowane. Inne postawiono pośpiesznie z pustaków i przyklepiano styropianowymi czapami, by móc je w zimie ogrzewać. Szpital otaczały zaniedbane, wysuszone trawniki i gąszcz chaszczy. Kiedyś musiał tu być piękny park. Dziś, prawdopodobnie z braku pieniędzy, radzono sobie z nim sposobami radykalnymi. W wielu miejscach widać było połacie wypalanej ziemi. Krzewy rosły samopas, nikt nie kosił trawy, a polne kwiaty rosły dziko wraz z półtorametrowymi chwastami. Stary parking zarastał lasem malw i pokrzyw. W dawnej wieży ciśień urządzono składzik na sprzęt szpitalnej stolarni. Większość schodów z wieży miało powyrywane stopnie, bo co roku brakowało opału do palenia w kotłowni.

Dyrektor szpitala, Mirosław Gajewski, wsiadł do swojego samochodu zaparkowanego pod głównym budynkiem dyrekcji i przejechał zaledwie kilkaset metrów do jednego z siedmiu budynków terapeutycznych, gdzie umieszczano pacjentów. Droga była krótka i bezsensowna, bo więcej czasu zajmowało mu wsiadanie i wysiadanie z wozu oraz jego parkowanie, lecz mógł wtedy bezkarnie zapalić papierosa. W żadnym budynku nie wolno było tego robić bez nadzoru. Tylko na potrzeby pensjonariuszy wyznaczono miejsca do parzenia

kawy i herbaty, gdzie ustawiono też popielniczki. W ten sposób zapobiegano pokątnemu paleniu w łóżkach — biorąc pod uwagę stan niektórych pacjentów, mogło się to skończyć tragicznie. Doktor Gajewski nie miał gdzie palić. W jego gabinecie panował surowy zakaz i dyrektor łamał go tylko w wyjątkowych przypadkach, ponieważ tuż obok miała swoją kanciapę nawiedzona rzeczniczka praw pacjenta, która z każdej sprawy potrafiła zrobić aferę. Nie dalej jak przed kwadransem rozwścieczyła go do białości, krzycząc, że nie odpisuje na mejle i bezpodstawnie zlekceważył doniesienie jednego z pensjonariuszy o braku możliwości odprawiania modłów według wyznawanej przez niego wiary. Pacjent ze zdiagnozowanym borderline deklarował, że jest prawosławny, i nie chciał uczęszczać do kaplicy na terenie szpitala, domagając się postawienia na jego życzenie specjalnej cerkiewki. Tak się złożyło, że Irena Nieciejowska, rzeczniczka praw pacjenta, również była wyznawczynią tej wiary, więc szybko postanowiła wystąpić po ostatnie środki z budżetu szpitala na zaadaptowanie piwnicy w budynku terapeutycznym na prawosławny dom modlitwy. Gajewski od dawna liczył każdy grosz. Nie marzył nawet o nowym wyposażeniu. Łóżka, sprzęt medyczny czy biurowy pamiętały jeszcze ubiegłą dekadę. W większości już się rozsypywały, a zdarzało się, że pracownicy przywozili swoje stare meble, by mieć na czym pracować. Tak samo było z papierem do drukarek, długopisami czy papeterią. Gajewskiego nie było stać nawet na zatrudnienie stróża, recepcjonistki czy choćby więcej lekarzy albo pielęgniarek, co odbijało się na poziomie zaangażowania personelu. Zaufani pacjenci mieli swoje własne klamki, którymi otwierali i zamykali oddział, bo nie było ich komu pilnować. Na każdym oddziale ogromnej placówki, mieszczącej ponad ośmiuset pensjonariuszy z całego województwa, miał tylko osiem osób personelu, w tym same kobiety i ani jednego pielęgniarza. Kiedy Irena Nieciejowska zażądała ostatnich pieniędzy na adaptację cerkwi, wściekł się niczym jego podopieczni w czasie ataku. Wybiegł z pokoju bez słowa i wszedł do auta, żeby zapalić i wyjechać złością. Na dodatek białostocka policja miała za chwilę przywieźć jakąś kobietę, podejrzaną o zbrodnię, a on musiał ją przyjąć osobiście, bo poza piastowanym urzędem brał także dyżury lekarskie, by odciążać kolegów.

Skończył mu się już trzeci papieros, zrobił kilka kółek autem i był trochę spokojniejszy. Zaparkował pod budynkiem, w którym mieścił się jego gabinet lekarski, i ruszył dla relaksu na oddział. Z kieszeni krótkiego fartucha, który zawsze nosił rozpięty i niedbale narzucony na koszulę bez krawata, wyjął klamkę i wszedł na oddział. Natychmiast podeszła do niego oddziałowa, śliczna brunetka z kolczykami z pawich piór, po czym podsunęła mu dokumenty do sprawdzenia.

Gajewski przeleciał wzrokiem raport, podpisał i ruszył w głąb korytarza. Pielęgniarka szła dwa kroki za nim. Dzisiejszy poranek był spokojny. W telewizji nadawali mecz siatkówki, więc większość mężczyzn zebrała się przy telewizorze. Nie było specjalnej sali telewizyjnej, urządzenie na podnośniku umieszczono we wnętrzu korytarza. Wstawiono tam tylko starą kanapę, którą ktoś kiedyś przywiózł z domu, oraz stolik do gry w karty. Rozemocjonowani pacjenci nie zwracali uwagi na doktora. Po chwili jednak z sali naprzeciwko podjechał do niego na wózku młody mężczyzna o rozbieganych oczach. Nie miał prawej nogi, proteza wisiała zaczepiona na haczyku przy rączce od wózka, zaś ze spodenek wystawał mu odrażający nagi kikut, nieobandażowany i niczym nieosłonięty, ze świeżymi szwami po operacji. Pacjent sprawnie poruszał się na wózku i choć doktor starał się go wyminąć, ten zaraz go dogonił.

— Dzień dobry, panie doktorze — zagał nadzwyczaj uprzejmie.

Gajewski skinął mu głową i zatrzymał się. Po chwili uśmiechnął się do niego.

— Cześć, Romek, jak tam dzisiaj?

— A jak? One dalej do mnie gadajo, to co robić?

— A kto do ciebie dziś gada, Romek?

— No one, te duchy, pan wie, przecie. Gadajo, gadajo, żyć nie dajo. Chco, żebym coś złego robił. To jak to pogonić?

Rozczochna kobieta w brudnej pizamie minęła ich bez słowa, po czym zachichotała jak z doskonałego żartu.

— Marta! — upomniał ją lekarz. Kobieta natychmiast skuliła się w sobie i odwiesiła na miejsce protezę Romka.

Gajewski skinął jej głową w podziękowaniu i dalej stał nad Romkiem, jakby się nad tym problemem długo zastanawiał.

— Może silniejszy zastrzyk? — zapytał poważnie.

Romek rozpromienił się.

— Tak, panie doktorze, tak!

Lekarz skinął głową kobiecie z kolczykami z pawich piór i poszedł dalej. W palarni było pełno ludzi. Nikt się do siebie nie odzywał, jakby się nie znali. Lekarz wskazał najmłodszemu z grupy, żeby nie wychylał się za okno, a pacjent gwałtownie się schował.

— On z policji? — szepnął przestraszony do młodej dziewczyny o twarzy staruszki, która machnęła ręką i odwróciła się do ściany.

Lekarz westchnął ciężko, podszedł do okna, zamknął je i zabrał klamkę.

— Skąd to macie? — Stał nad nimi.

— Wiesia dała — wygadał natychmiast Romek, który bez problemu pokonał stopnie i wjechał do palarni.

Lekarz zdziwił się.

— Nie jest z tobą dziś tak najgorzej, Romek.

— Ale gadajo. Mówiłem.

— No wiem — odparł lekarz.

Wyszedł z palarni i choć kolejno podchodzili do niego pacjenci, czepiając się go jak ubogie dzieci żebrzące o cukierka, odsyłał ich do czasu obchodu. Wreszcie pokonał korytarz i wszedł do swojego gabinetu. Wewnątrz siedziała pochylona kobieta. Już na pierwszy rzut oka różniła się od jego zwykłych pacjentów, których problemy w większości wynikały z nadużywania alkoholu lub biedy. Była elegancka, czysta i bardzo ładna. Jedna z pilnujących ją pielęgniarek natychmiast wyszła z gabinetu. Gajewski skinął jej głową, wiedział, że ma dziś

jeszcze wiele pracy. Druga została. Gajewski wziął dokumenty z policji, które przyjechały wraz z pacjentką, i zaczął je przeglądać.

Ola z obawą wpatrywała się w lekarza, który zamiast z nią rozmawiać, wpatrywał się w kwestionariusz. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał na dyrektora szpitala. Tylko szacunek, jaki okazywali mu tutejsi pracownicy, pozwalał przypuszczać, że mężczyzna bez wysiłku trzyma wszystkich na krótkiej smyczy. Nie podnosił głosu, właściwie się nie odzywał. Siedział lekko zgarbiony, raczej czujny obserwator niż skłonny do popisów showman. Kiedyś musiał być przystojnym mężczyzną; nawet w tanim ubraniu wyglądał atrakcyjnie. Błękitna koszula była sprana do białości, pozostał tylko delikatny cień paseczków indygo. Mankiety były wytarte, lecz bez jednej zmarszczki, zaś luźne, granatowe spodnie ręcznie skrócone. Na swój cywilny strój miał narzucony biały fartuch bez guzików i nie pierwszej czystości. Nad jego biurkiem z płyty pilśniowej, na którym panowała idealna pustka, dyndała wielka lampa z obitym abażurem. Tylko ten jeden element wyposażenia starczyłby dla zobrazowania stanu technicznego szpitala w Choroszczy. Na wyposażenie placówki składał się dziwny zestaw zdekompletowanych i solidnie zużytych sprzętów, wyglądających, jakby dotarły tu wyeksmitowane z innych, lepszych miejsc Narodowego Funduszu Zdrowia. Meble w gabinecie pamiętały lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku, linoleum na podłodze nosiło ślady wielu napraw. Zdawało się, że lampa wisi jedynie na kostce elektrycznej i kablach wystających z sufitu, nie miała osłony. Na żarówce nawet ze znacznej odległości widać było ślady muszych trupów. Ola siedziała na krzeselku w spranym uniformie nieokreślonego koloru, jaki zakładano wszystkim pacjentom, skłonny do autoagresji. Gajewski dotknął nieznacznie swych rudych, przystrzyżonych na styl ukraiński wąsów i skinął głową pielęgniarce, która natychmiast podeszła i rozplotła kaftan na plecach pacjentki. Ola przyjrzała się przysadzistej kobiecie, która znudzona uczestniczyła w konsultacji. Musiała tutaj widzieć niejedno, bo mimo widocznego zmęczenia, nie wykazywała większego zainteresowania ani niechęci. Dla niej to musiała być rutyna. Nawet kiedy przez szparę w drzwiach zajrzał ciekawski pacjent, podeszła do niego wolnym krokiem.

— Co się dzieje, Marianek? — zwróciła się do niego. Był staruszkciem, lecz zachowywał się jak skarcony dzieciak.

— Gardło boli — poskarżył się.

Pielęgniarka zerknęła na doktora i wyszła, eskortując zaciekawionego Marianka.

— O, nowa. — Pokazywał palcem wprost na Olę. — Jaka ładna.

— A mocno cię boli? — zmartwiła się pielęgniarka. — Loda nie zjadłeś?

Marianek pokiwał głową.

— No to co się dziwisz — mruknęła. — Czy znowu chcesz cukierka?

Drzwi trzasnęły. Z korytarza dobiegała jeszcze rozmowa pielęgniarki z Mariankiem. Lekarz nabrał powietrza w płuca, odłożył dokument na bok i wpatrywał się w poranione dłonie kobiety.

— Pierwszy raz zgłasza się pani na hospitalizację? — zapytał spokojnym, wibrującym głosem terapeuty. — Dlaczego dopiero teraz policja musiała panią przywieźć?

Ola wpatrywała się w ścianę w milczeniu. Lekarz podążył za jej wzrokiem. Patrzyła na rury ciągnące się po ścianie.

— Jak długo słyszy pani te głosy? — dopytywał się Gajewski. — Od śmierci syna czy może wcześniej?

— On nie umarł — odpowiedziała Ola i uśmiechnęła się czule. — Jest tutaj ze mną. Tak mi się w każdym razie wydaje. Po czym odwróciła się i zaśmiała. — Nie, nie powiem mu tego.

Lekarz zanotował coś na kartce.

— Rozmawia pani z Amadeuszem? — zapytał.

Ola wpatrywała się w lekarza w napięciu.

— Przecież i tak mi pan nie wierzy. Dostanę pewnie jakieś leki na schizofrenię — dodała ostrzej.

— Dlaczego tak pani sądzi? — Gajewski rozparł się w fotelu. — Czy pracowałbym w tym miejscu, gdybym nie wierzył moim pacjentom?

— To państwowa klinika. Nic nie kosztuje — skomentowała Ola.

Lekarz przyjrzał się jej.

— Muszę panią zatrzymać, ponieważ policja twierdzi, że potrzebuje pani pomocy. Czy tak jest? Jeszcze nie wiem. Ma pani zarzuty, sprawa jest w toku. Po obserwacji będziemy wiedzieli, jaka jest sytuacja. Będzie

pani mogła tu zostać lub wrócić do więzienia. Chyba że sąd zdecyduje inaczej. W każdej chwili ma pani jednak wolną wolę.

— Na razie — zaśmiała się gorzko i znów odwróciła głowę.

— Co on pani podpowiada? — dopytywał się lekarz. Ola spoważniała.

— To ja sama pomyślałam — odparła i Gajewski miał wrażenie, że się zawstydziała. — Ma pan śmieszne wąsy.

— To prawda — przyznał i wstał z fotela. Podszedł do Oli i pokazał jej dłonie. Palce układały się w taki sposób, że najmniejsze odstawały wyraźnie od reszty, tworząc przerwę, jak kciuki. — Fajne, co?

Ola pokręciła głową. — Nie spodoba mu się to.

— A dlaczego?

— Dlatego, że stara się pan podlizywać. Oboje tego nie lubimy. Ani Amadeusz, ani ja.

— Od kiedy jest z panią? — Usiadł na brzegu biurka i wyjął papierosa. Zanim zapalił, zerknął, czy drzwi są zamknięte. Potem wyszedł i powiedział sekretarce, żeby nie wpuszczała tu na razie nikogo. — Nikogo — podkreślił, a kobieta zrozumiała, że chodziło mu o konkretną osobę, bo uśmiechnęła się. — Duchom chyba nie przeszkadza dym? — zapytał, starając się, by nie zabrzmiało to komicznie.

Ola uniosła kąciki ust w uśmiechu. Podobał się jej ten doktor. Miała wrażenie, że jest jeszcze bardziej szalony niż ona sama.

— Odkąd zniknął. Właściwie tej nocy, kiedy go znaleźiono. Przyszedł się pożegnać. Prosiłam, żeby został. I tak się stało. Ale nie od razu mogliśmy rozmawiać. To było bardzo trudne przekonać go do rozmowy.

— To ciekawe — skwitował doktor. — A można wiedzieć, jak pani go słyszy?

— Po prostu wiem, że jest albo go nie ma. Jego słowa słyszę w głowie.

— Czyli jednak słyszy pani głos dziecka?

— Nie dosłownie, raczej słyszę jego myśli. A ostatnio Amadeusz zabierał mnie do Ogrodu, wtedy mogę z nim być. Ale nie...

Lekarz powstrzymał ją gestem.

— Spokojnie, nie jestem taki szybki. Mam swoje lata — powiedział. — Co to jest ten ogród? To miejsce, które istnieje realnie, czy tylko w

pani wyobraźni?

— Nie wiem — przyznała Ola szczerze. — Sama tego nie rozumiem. Może to jest w jego wyobraźni, a ja go widzę, bo słyszę jego myśli? Wiem, że to skomplikowane. Pisałam o tym, może i do pana. Dziesiątki listów.

— Do mnie?

— Do pana i do innych lekarzy. Moja przyjaciółka je wysyłała.

— Wysyłała? — Przyjrzał się jej bacznie. Ola zasłoniła usta dłonią, jakby się czegoś przestraszyła. Nagle wstała i złapała go za fartuch, upadli razem na ziemię. Po chwili na stół spadła wielka lampa.

— Wiedziałam, że będzie się na niej huśtał! — krzyknęła w furii.

Lekarz wstał i w skupieniu patrzył na to, co się stało. Ola podeszła do niego i zaczęła otrzepywać mu fartuch, przeproszać. Podniosła papierosa, który wypadł mu z ręki, i podała w dwóch palcach.

— Tak się właśnie zachowuje, kiedy się na coś nie zgadzam — wyjaśniła. — Miałby teraz szesnaście lat. Trudny wiek. No i zaczął interesować się dziewczynami.

Lekarz skinął głową na znak, że słucha jej uważnie. Podeszedł jednak do biurka i przyjrzał się roztrzaskanej żarówce oraz stercie kabli, które teraz leżały na jego biurku wraz z kawałkiem sufitu. Od jakiegoś czasu elektryk próbował się z nim umówić, żeby naprawić lampę, nie dalej jak wczoraj wieszczył, że spadnie doktorowi na głowę. Gajewski uśmiechnął się lekko. Uznał, że to zabawne, że lampa urwała się akurat kiedy była tu ta opętana duchem dziecka kobieta. Spojrzał na nią z wdzięcznością. W końcu to ona pociągnęła go ze sobą, czym być może uratowała mu życie. Przecież gdyby siedział nadal na swoim fotelu, miałby teraz roztrzaskaną czaszkę. Ola musiała myśleć o tym samym, bo wpatrywała się w dziurę, która pozostała po żyrandolu. Lekarz nie skomentował incydentu. Pozbierał większe śmieci i wrzucił je do kosza, a potem wyciągnął kwestionariusz i otrzepał go z kurzu.

— Trzeba będzie wydrukować nowy — mruknął i zwrócił się do kobiety: — Pani go teraz widziała?

Ola stanowczo zaprzeczyła.

— Nie. Ja go nie widzę. Od jakiegoś czasu też go nie czuję ani nie słyszę. Zniknął. Ale wróci. Już tak kiedyś było. Widziałam go tylko raz.

Kiedy próbowałam popełnić samobójstwo. To on mnie uratował. Ale boję się, że coś się zmieniło, że to już nie jest on, nie moje dziecko.

— To znaczy?

Lekarz przyglądał się poranionym rękoma kobiety. Na przedramionach miała sznyty, ale nie przejmowała się nimi. Jej szyja była podrapana w nieregularne esy-floresy. Widział też, że lekko kuleje. Kostkę miała obandażowaną czystą opaską higieniczną. Nie wyglądała jednak na cierpiącą.

— Boję się, że to jakiś demon się pod niego podszywa. Udaje go, bo wie, jak bardzo kocham syna. Może to on zmuszał mnie do robienia tych rzeczy za niego.

Wyglądało na to, że mówiła szczerze, jakby nie zdawała sobie sprawy z wagi słów.

— Jakich rzeczy? — spytał obojętnie.

— Nie wiem — przyznała Ola. — Ale wszyscy mówią, że to ja ich wszystkich... — zamilkła i dodała: — On nie może kontaktować się z ludźmi, tak jak ja nie mogę kontaktować się z duchami w Ogrodzie. To dwa różne światy. Nie można być pośrodku. I kiedy tam jestem, nie wiem, co robię tutaj.

— To znaczy? — Lekarz wydawał się naprawdę zainteresowany. To zachęciło Olę do wyjaśnień.

— Ogród jest miejscem, gdzie możemy się spotykać — zwierzyła się. — Kwiaty pachną tam tak jak nigdzie indziej. Psy się nie gryzą, a ludzie... Tam prawie nie ma ludzi. Jednak ostatnio wszystko zaczęło się tam zmieniać. Mam wrażenie, że z moim synem dzieje się coś złego. Od jakiegoś czasu wciąż prosi o prezenty.

— Prezenty? — przerwał jej gwałtownie Gajewski. Teraz już z trudem zachowywał spokój. Nie był już wcale pewien, czy kobieta faktycznie jest chora. W grę mogła wchodzić manipulacja, jeśli była zamieszana w jakieś kryminalne sprawy.

— Chciałby mieć siostrzyczkę albo braciszka — wyjaśniła pośpiesznie. — Jest mu tam smutno samemu. Nie dziwię się. Chłopiec w jego wieku powinien mieć towarzystwo. Ale żeby mu je zapewnić, ktoś musi zniknąć z tego świata.

— Zniknąć z tego świata to znaczy umrzeć? — upewnił się Gajewski i przyjrzał się Oli.

— Tak — odparła. Jej wzrok się nie zmienił. Nie wywracała białkami oczu, jak mieli to w zwyczaju niektórzy pozoranci. — Tyle razy prosiłam, żeby zabrał mnie do siebie. Nigdy się nie zgodził. Nie wiem dlaczego.

— Pani mu pomaga? Pomaga mu pani w znikaniu tych osób?

— O, nie! — zaprzeczyła gwałtownie. — Ja wręcz próbuję go powstrzymać! To, do czego on mnie namawia, jest bardzo złe. On wie, że ja tego nie pochwalam. Ale jak jestem tam, nie pamiętam, co robię w tym świecie. A ostatnio... — znów przerwała, ale po chwili zebrała się w sobie i dokończyła: — Ostatnio poprosił, żebyśmy się zamienili ciałami. I ja się zgodziłam. I może to ja zabiłam Zosię. Ale nic nie pamiętam. — Rozpłakała się.

Lekarz nie wiedział jeszcze, czy kobieta symuluje, czy naprawdę cierpi. Wprawdzie po tak krótkiej rozmowie nie mógł stwierdzić, jaka to jednostka chorobowa, czy w ogóle jakaś występuje, ale kobietę ewidentnie należało poddać obserwacji. Mogła być jednym z ciekawszych przypadków w jego karierze. Poczuł przyjemne mrowienie. Tak naprawdę ucieszył się z jej przybycia, choć wcześniej myślał, że będzie to kolejny niewdzięczny obowiązek wobec policji.

— Czy gdyby policja nie umieściła tu pani siłą, przyszłaby do nas pani? — spytał.

Ola wahala się.

— Byłam już u wielu lekarzy — wzruszyła ramionami. — Dla większości byłam tylko maniaczką, która wymaga leków. Testerem. Eksperymentowali na mnie. Byłam też u księdza. Skropił mnie wodą święconą. Jak się pan domyśla, niewiele to dało. Z trudem utrzymałam syna na wodzy, żeby nie zrobił mu gorszego psikusa niż panu. — Wskazała dziurę w suficie. — Ale i tak pomalował mu Biblię czerwoną plakatówką.

— My nie zaczniemy od leków — przerwał jej Gajewski. — Nie stosujemy też egzorcyzmów ani lobotomii. Najpierw musimy omówić, jaki jest pani status, dokładnie zbadać, co tak naprawdę się z panią dzieje, i zaobserwować objawy. Obserwacja trwa sześć tygodni, musi się pani poddać regulaminowi. Potem zdecydujemy, co dalej.

Zerknął na lampę, a potem spojrzął na kobietę. Podsunął jej do podpisu kwestionariusz.

— Proszę być ze mną całkowicie szczerą.

Ola pokiwała głową. Widział, że kobieta bardzo na niego liczy. Sprawiała wrażenie rozluźnionej, szczęśliwej. Zdecydował się dodać jej otuchy.

— Być może nie jest pani chora. To może być poczucie winy, że naraziła pani na śmierć własnego syna. Zresztą stan, jaki pani opisuje: poczucie, że dziecko jest obok, słyszenie go, a nawet omamy głosowe, są normalne w przypadku gwałtownej śmierci kogoś bliskiego. To przeżywa niemal każdy. Są setki badań na ten temat. Martwi mnie jednak, dlaczego ten stan u pani nie zanikł. Dlaczego nie przeżyła pani żałoby, jak powinna, lecz udało się pani tak długo ją zatrzymać. Prawdę mówiąc, nie spotkałem się jeszcze z takim przypadkiem. Nie wiem.

Ola wpatrywała się w profesora.

— Nie jestem chora ani opętana?

— Być może nie — potwierdził. — I nie jest pani winą, że dziecko zostało zamordowane. Czy ktoś pani to wmawiał? Utwierdzał w tym przekonaniu? Czasem bliscy mają dobre intencje, ale zatrzymują proces leczenia.

— Co pan ma na myśli?

— Wspieranie osoby chorej w jej mniemaniu jest znacznie gorsze niż protest. Może bowiem spowodować, że osoba w żałobie jedynie utwierdza się w tym, że ma rację. Pani widzi tego ducha?

— W tym świecie nie — odparła Ola. — Ale w Ogrodzie tak.

— To może być pani wyobraźnia. Podświadomość, marzenia senne. Tam widzimy różne stworzenia, bliskich, potwory. Widzimy to bardzo wyraźnie.

— To znaczy, że ja śnię na jawie?

— Można to tak określić roboczo. W naszej branży nazywa się to po prostu przesuniętą projekcją.

— Słucham?

— Możliwe jest, że pani stworzyła postać Amadeusza.

— On istnieje! — zaprotestowała Ola.

— Wiem, że pani w to wierzy — przytaknął doktor.

— A lampa? — Wskazała na śmietnik. — Czy to też jest projekcja?

— To, proszę pani, jest grawitacja — uśmiechnął się dobrotliwie Gajewski. — Duchy bliskich zaś są czymś więcej niż projekcją. To tak

naprawdę nasze skłębione emocje. Ja nie mówię, że one nie istnieją. Jak najbardziej. Wszystko jest emocją, bo wszystko to energia. To dlatego nasze myślenie warunkuje rzeczy, które do nas przychodzą. Jeśli ma pani złe myśli, przyciąga pani złe zdarzenia. Złych ludzi, zło. A czym jest zło? Brakiem dobra. Brakiem dobrych emocji. Najpierw więc z nimi musi pani się zmierzyć.

— Czy ja jestem zła? — zapytała błagalnie Ola. Widział jak bardzo pragnie, by zaprzeczył. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, wkładając w ten uśmiech całe serce, jakie miał dla swoich pacjentów.

— Nikt nie jest zły, proszę pani — zapewnił ją. — Wszyscy jesteśmy ofiarami ofiar. Jeśli jednak nie zrobi pani tego, co powinna, może pani zachorować. Być może już pani choruje. To, co się z panią dzieje, wygląda bardzo groźnie. Groźnie przede wszystkim dla pani. Nie zdiagnozuję tego na podstawie półgodzinnej rozmowy.

Ola zamrugła oczami i w jednej chwili podjęła nieodwołalnie decyzję. Bez słowa złożyła swój podpis na dokumencie. Lekarz zauważył, że mocno docisnęła stalówkę do kartki, niemal ją przedziurawiła. Musiało poruszyć ją do głębi to, co usłyszała.

— Proszę tu poczekać — zwrócił się do niej i wyszedł. Ola słyszała na korytarzu najpierw dwa głosy. Jednym z nich był głos kobiety. Potem do rozmowy włączył się trzeci, męski głos. Ola rozpoznała go i przeraziła się.

— Jeśli taka jest konieczność, oczywiście. Ale czy zapewni pan bezpieczeństwo jej i pozostałym pensjonariuszom? — mówił Pilecki.

Lekarz starał się zapewnić o tym mężczyźnie, powołując się na referencje, jednak tego Ola już nie słyszała. Chwyciła kawałek stłuczonego abażura i przecięła sobie rękę wzdłuż przedramienia. Trysnęła krew. Ola patrzyła, jak czerwona fontanna sika do góry, trwając w oczekiwaniu, co się wydarzy. Odrzuciła do tyłu głowę, przymknęła oczy i skupiła się na tym, by ponownie wezwać do siebie syna, ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego straciła przytomność i z hukiem upadła na podłogę. Lekarz z pielęgniarką natychmiast wbiegli do pokoju. Zobaczyli kobietę, która broczyła krwią, a jej ciałem wstrząsały drgawki przypominające atak epilepsji. Musieli włożyć jej patyk między zęby i przytrzymać głowę, bo z całej siły uderzała nią o posadzkę. Nagle zaczęła łapczywie chwytać powietrze, puls spadał.

— Ona się dusi — szepnęła przerażona pielęgniarka, która pośpiesznie wykonywała opaskę uciskową.

— Bierzemy ją na oddział! — krzyknął Gajewski. — Natychmiast!

— Grzałka? — zdziwił się Hubert. Obrzucił inspektora pożarnictwa nierozumiejącym spojrzeniem.

— Grzałka od akwarium — odpowiedział Artur Nowacki i wzruszył ramionami. — Była podłączona do kabli, iskra przeskoczyła, stopiła się wtyczka i zaprószył się ogień.

— Przecież ja nie miałem żadnego akwarium — zachnął się Hubert.

— Ja tam nie wiem, czy miał pan akwarium czy nie — odrzekł zniechęcony Nowacki. — Strażacy zabezpieczyli miejsce zdarzenia i po opanowaniu ognia ono tam było. Źródło pożaru ustaliłem na to właśnie miejsce. Sam pan wie, że to nadzwyczaj proste. Jest tylko jeden kłopot.

— Jeszcze jeden? — spytał poirytowany Meyer. Kiedy profesor Knut zadzwoniła, próbowała go uprzedzić, że ekspert pożarnictwa będzie próbował podważyć naturalny przebieg wypadków oraz wmówić Meyerowi, że miał w tym interes, żeby dom spłonął. Okazało się, że ojciec Huberta ubezpieczył dom na sumę przekraczającą dziesięciokrotnie jego wartość rynkową. Gdyby ekspert pożarnictwa uznał brak udziału osób trzecich w sprawie, firma ubezpieczeniowa musiałaby wypłacić Hubertowi te pieniądze w ciągu trzydziestu dni i od tej chwili byłby zamożnym człowiekiem. Hubert nie wiedział o polisie. Kiedy wracał z Bialegostoku, to właśnie pracownik firmy ubezpieczeniowej zadzwonił do niego z tą wiadomością. Kiedy Meyer dotarł do Jakunówka, dom płonął już jak pochodnia. Stał wraz z połową wsi i mógł tylko obserwować, jak strażacy walczą z ogniem. Nie było czego ratować. Grupa ochotniczej straży pożarnej starała się głównie osłonić ścianę lasu, żeby ogień nie strawił polany i nie przeniósł się dalej. Na szczęście prawie nie było wiatru, a nad ranem spadł deszcz. Hubert był niewyspany, przybity i miał wszystkiego dosyć. Przed laty wielokrotnie pracował przy sprawach pogorzalców i teraz na własnej skórze doświadczył tego uczucia, kiedy na jego oczach zginęło wszystko, co posiadał. Cały jego dobytek mieścił się teraz w tej jednej walizce, którą zabrał ze sobą. Na dodatek firma ubezpieczeniowa zażądała dodatkowej ekspertyzy. Stąd dzisiejsza obecność Artura

Nowackiego na miejscu zdarzenia. Został przez nich zatrudniony, by podważyć opinię policyjnego eksperta.

— Kłopot dotyczy pana i polega na tym — zaczął teraz Nowacki, nie patrząc na Meyera, ale po chwili przerwał. — Zresztą pan jest fachowcem. Lepiej, żeby sam pan to zobaczył.

Ruszyli do pogorzeliska, które kiedyś było domem rodziców Meyera. Widok był porażający. Ogień strawił wszystko, cały dobytek Huberta, przedmioty należące do jego rodziców. Zostały tylko pozostałości ścian domku, elementy nadpalonych mebli i trochę żelastwa. Na szczęście w czasie pożaru nikogo nie było w środku. Prawdopodobnie nikt nie byłby w stanie się uratować. Nowacki był w specjalnych kaloszach i czarnym prochowcu. Nie musiał martwić się, że się pobrudzi. Bez oporów wszedł w zgliszcza chaty. Meyer ruszył za nim. Myślał intensywnie nad całą sytuacją: nad polisą ojca i grzałką akwarium, którego z pewnością nie miał. Przecież nie zwariował. Chyba że któryś z ludzi profesor Knut przytargał coś takiego pod jego nieobecność. Ale po co? Nie podejrzewał ich przecież o złe intencje. Tylko że to on będzie miał teraz kłopoty.

— Proszę spojrzeć. — Nowacki wskazał spopielony rząd papierów w drewnianej skrzyni, z której zostały jedynie okucia i dno zabezpieczone przed wilgocią warstwą cienkiej blachy. Gdyby nie ona, nikt nie domyśliłby się, że była to stara biblioteka ojca. Znajdowały się tam w większości nikomu niepotrzebne książki poświęcone chemii i trochę klasyki. Kilka białych kruków. To akurat były książki antykwaryczne o znacznej wartości. Nie zostało z nich nic. Na samej górze zaś leżała *Igła* Kena Folletta. Meyer zdziwił się. On sam nie czytał sensacji, a tym bardziej jego rodzice. Gardzili literaturą popularną. Nic jednak nie powiedział. Nie ruszył się także z miejsca, by dotknąć książki. Nowacki uprzedził go i wziął do ręki wspomnianą lekturę. Okładka i brzegi były nadpalone, ale dało się ją nawet przekartkować. Ekspert podsunął ją Meyerowi pod nos. Hubert odsunął się gwałtownie, wietrząc podstęp.

— Nie mam wężu. Straciłem kilka lat temu — mruknął, a Nowacki zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem. Wyprostował się.

— To tylko przykład — odpowiedział. Zawartość tej skrzyni była nasączona ropą. Podobnie jak szafy ubraniowe i komody z pościelą, a także sofa w salonie. Ktoś zrobił to bardzo fachowo. Sprawca wiedział,

że ogień strawi te przedmioty, więc nie oblał pospiesznie wejścia, co z oczywistych powodów byłoby łatwe do wykrycia. Ponadto dom był otwarty. Podpalacz wszedł i wyszedł. Nie zatroszczył się nawet o zamknięcie go na klucz. Pewnie miało to utrudnić opinię ekspertów. Otwarty dom to więcej możliwości, panie Meyer, prawda? Gdyby nie dokładniejsza analiza na zlecenie firmy ubezpieczeniowej, z pewnością zostałyby to inaczej zakwalifikowane. Niestety, według mojej opinii nie ma żadnych wątpliwości, że to sprytna próba podpalenia. Biorąc pod uwagę pańską profesję, wiedzę i doświadczenie, uważam takie zachowanie za karygodne i, trzeba nazwać rzecz po imieniu, perfidne. Takich rzeczy się nie robi, panie Meyer. — Rzucił książkę z powrotem do skrzyni i ruszył do swojego samochodu zaparkowanego w stosownej odległości od miejsca zdarzenia.

Zanim wsiadł, obrócił się i dodał:

— Moja ekspertyza będzie dostępna dla pana w dniu jutrzejszym. Może się pan od niej odwołać. Sądzę jednak, że nie ma sensu. Jeśli okazałoby się, że instytucja odwoławcza podtrzyma moją opinię, koszt dokładnych badań będzie pan musiał pokryć sam. To było perfidne podpalenie — podkreślił.

Profesor Magdalena Knut osobiście wyprowadziła taczkę z mięsem dla wilków i ruszyła w kierunku wolier. Meyer próbował jej pomóc, ale odepchnęła go. Poleciała jedynie, by zdjął kurtkę i założył zieloną parkę wiszącą na haku. Hubert wykonał polecenie. Szwagier szedł kilka kroków za nimi niczym eskorta i merdał nieustająco ogonem.

— Ile osób tam mieszkało? — dopytywał się Hubert. — Pani w ogóle to kontrolowała?

Profesorka nie odpowiedziała. Obrzuciła go spojrzeniem i wręczyła mu taczkę. Wskazała kierunek drogi. Gwizdnęła na Szwagra i niemal trzymając go za grzywę, ruszyła przodem. Hubert szedł za nią, coraz bardziej wściekły. Jego winą było oczywiście pozostawienie domu samopas, ale nie spodziewał się, że będzie miał z tego powodu takie kłopoty. Sądził, że wręcz przeciwnie, dom pod opieką biologów będzie bezpieczny, a wraz z nim jego dobytek. Tymczasem teraz nie tylko nie będzie miał gdzie mieszkać, ale jeszcze czeka go sprawa karna. Już widział uśmiechnięte miny jego wrogów. Nie dosyć, że nie miał pracy, a

nie zapowiadało się, że sytuacja się odmieni, dostanie nową etykietkę: Meyer-podpalacz. Kiedy sobie to uświadomił, aż nim zatrzęsło z wściekłości.

Wysoka siatka niczym ogrodzenie boiska odcinała się wyraźnie od ściany lasu. Knutowa odebrała od niego taczkę i kolejno wrzucała wilkom obiad. Hubert obserwował, jak jedzą. Najpierw pożywiał się samiec alfa. Kiedy był już syty, do mięsa podchodziły kolejne wilki. W momencie karmienia nie były już tak miłe, jak wcześniej mu się wydawało. Odsłaniały zęby do swoich sióstr i braci, choć jeszcze godzinę wcześniej bawiły się z nimi i dla zabawy kotłowały w wolierach.

Miejsce do życia wilków faktycznie nie różniło się od warunków naturalnych. Wewnątrz był kawałek lasu z drzewami iglastymi, poszyciem i jamami, które wilki wykopały sobie, żeby w nich spać. Spały zawsze w grupie, przytulone do siebie i zwinięte w kłębek. W każdej z małych watah Meyer od razu dostrzegał osobnika omega. Nie zawsze był to najmniejszy czy najmłodszy z wilków, czasem wręcz odwrotnie. Ale zwykle miał podkulony ogon i bojaźliwie krył się w końcu woliery.

Wilczych rodzin było trzynaście. Knutowa nazywała je jednostkami badawczymi. Opowiadała Hubertowi o ich zwyczajach. Dla ostatniej zabrakło jedzenia. Kobieta nie przejęła się tym zbyt.

— Te znam od szczenięcia — powiedziała i wskazała: — Wera, As, Mały i No. A tam jest ich matka, Zuza. Byłam przy ich narodzinach. To nasza duma i chwała. Osobiście oznaczyłam je markerami, kiedy się urodziły. Karmiłam je butelką, patrzyłam, jak rosną. Różnią się od pozostałych. Nie potrafiłyby przetrwać w lesie. Gdyby je wypuścić, zginęłyby. Tak w każdym razie sądzimy i jak na razie nie zdecydowaliśmy się na podobny eksperyment. Może musielibyśmy je poświęcić. Był jeszcze jeden, Czarny. To jego zagryzły psy, brał w tym udział pański Szwagier.

— A gdzie jest ich ojciec? — zmusił się do zadania pytania Hubert, by podtrzymać konwersację, choć myślał tylko o pożarze domu.

Biolozka odwróciła się i spojrzała na pierwszą z woliery.

— Red jest tam. Oczywiście to samiec alfa. Zuzę też chcieliśmy przenieść, ale marniała w oczach. To było jedno z naszych

najważniejszych odkryć. Wilki na wolności pozwalają dzieciom odejść. W warunkach sztucznych, jakie im oferujemy, Zuza zachowała się wbrew naturze. Wolała odejść od stada, a zapewniam, że to dla wilka ważna decyzja. Nie bez powodu mówi się o samotnych wilkach. To outsiderzy, samotnicy. Nie mają i nie chcą nikogo. Zuza została z dziećmi. Nie wiemy, może gdy podrosną, będzie chciała wrócić, choć wątpię — dokończyła.

— A kto jest tutaj samcem alfa? — zapytał Meyer.

— Do niedawna wydawało się nam, że No. Ale niedawno zauważyliśmy coś niepokojącego. No, wychowywany przez matkę, która w tych warunkach była najważniejsza, w pewnym momencie oddał władzę siostrze. Teraz Wera je pierwsza. Oczywiście zaraz po matce.

— Samica alfa? — zdziwił się Hubert.

— Tak się dzieje, kiedy zostanie zaburzony naturalny porządek — powiedziała profesorka i zaraz dodała: — Wkrótce No i Mały zostaną przeniesieni do innych wolier. Muszą zdobyć normalny wzorzec. Nie wiemy, jak będzie. Przewidujemy, że najpierw będą samcami omega. Może z czasem się to zmieni. Ale musimy to zrobić, one muszą poczuć zew. Wtedy zawalczą albo się poddadzą. Innego wyjścia nie ma.

— A jeśli te silniejsze zaatakują słabe, wychowane pod kloszem? — spytał.

— Wilk nie zaatakuje, jeśli nie ma powodu — odparła biolożka. — Jeśli poczuje się zagrożony, to ostrzega, odsłaniając kły, i wtedy należy się wycofać. Pies robi to samo. Marszczy nos i odsłania zęby, a do tego jeszcze złowieszczo warczy. W całym moim życiu ugryzł mnie tylko pies, a właściwie dwa psy. I to nie dlatego, że były dzikie. Po prostu miały popieprzone w głowach, jak ich właściciele. Dzikie zwierzęta są dzikie tylko z nazwy. Są mądrzejsze od tych tresowanych, bo nikt ich nie uczył głupich sztuczek. Dlatego młode z czasem dołączają do tamtych. Najbardziej martwi nas, co stanie się z Zuzą.

Oboje patrzyli teraz na wilczycę.

— A co jej będzie?

— Nie wiemy. Już raz odrzuciła stado na rzecz dzieci.

— Może będzie samicą omega i jakoś się dostosuje — odpowiedział.

Profesorka zaśmiała się.

— To nie takie proste. Była samicą alfa. Była pierwsza po Redzie. Tylko ona miała w tych warunkach małe. Pan rozumie wagę tych słów. To ją Red wybrał i tylko ona ma dzieci w niewoli. Nie będzie jej łatwo zniżyć się do poziomu ostatniej w hierarchii. To upadek z wysoka i nie na miękką podściółkę.

— To co z nią będzie?

Knutowa wskazała małą klatkę, przypominającą biedne boksy, w jakich trzymano wilki w ogrodach zoologicznych.

— Może trafi tam — wskazała. — Albo przeżyje i dostosuje się, złamie. Wtedy wróci do stada.

— Albo? — zainteresował się Hubert.

— Albo, mówiąc ludzkim językiem, stanie się agresywna, wściekła, zła. Trzeba ją będzie izolować. — wyjaśniła biologka. — Takie przypadki były już opisywane.

Knutowa uderzyła się po udach i zaśmiała się.

— Ale to wszystko przed nami. Na razie nie musimy się tym martwić. Jest wiele możliwości. — Wskazała wolierę.

— Zuza może być wściekła, ale na razie to kochana wilczyca. Niech pan sam zobaczy — powiedziała i zanim Hubert się zorientował, wciągnęła go do środka. Wilki natychmiast opadły go ze wszystkich stron i zaczęły się o niego czochrać, łasić. Hubert na początku starał się opędzać, ale szybko się poddał. Ze zdziwieniem stwierdził, że te dzikie zwierzęta są zupełnie niepodobne do psów. Były niezwykle czyste i ciche. Przewróciły go na plecy i łakomie lizały po rękach i twarzy. Meyer sam nie wiedział, kiedy zaczął się głośno śmiać. Rozbawiła go ta sytuacja. Na ten krótki czas zapomniał o swoich problemach. Knutowa zaś zostawiła go tak przez chwilę. Stała z jego własnym psem pod siatką i wpatrywała się w niego, uśmiechając się z czułością. Wiedziała, że teraz i on pokocha wilki.

— Nowy zapach to dla nich duża zabawa. One wprost oszalały na punkcie pana zapachu — przyznała. Kiedy zorientowała się, że Meyer miał już dosyć, a jego twarz była zaczerwieniona od wilczych języków, weszła i stanowczo przegoniła zwierzęta. Hubert wstał. Obejrzał się. Był cały w sierści i piachu. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego profesorka kazała mu się przebrać, a także dlaczego ona sama chodziła ubrana w swetry aż po samą szyję. Taki strój był jedyną skuteczną

ochroną przed wilkami. Zwierzęta jeszcze skakały na nich, próbując znów dopaść odsłonięte części ciała, ale z nią Meyerowi łatwiej było się ochronić. Tymczasem Knutowa powiedziała:

— Tu możemy rozmawiać bezpiecznie.

Spojrzał na nią badawczo, uśmiech zniknął mu z twarzy.

— Wtedy strzelano do pana, nie do Szwagra. Pan o tym wie, tak jak i ja. To nie dotyczyło nas.

Hubert skinął głową. Dotąd nie dopuszczał takiej ewentualności, ale kiedy profesorka nazwała rzecz po imieniu, zrozumiał, że z tyłu głowy błąkało mu się takie podejrzenie.

— Ten pożar też nie jest przypadkowy — dodała, wyciągając zgniecioną kartkę. — Tutaj ma pan listę naszych ludzi, którzy mieli klucz do pańskiego domu i na moje polecenie lub za moją zgodą bywali u pana. Znam ich wszystkich od lat, mogę za nich ręczyć. Jeśli jednak odkryje pan, że któryś z nich zrobił coś złego i przyczynił się do tego pożaru, ma pan moje wsparcie.

Hubert rozwinął kartkę. Były tam cztery nazwiska. Na pierwszym miejscu znajdowała się Magdalena Knut. Hubert zmierzył ją spojrzeniem.

— Ktoś z pani ludzi ma broń? — zapytał.

— Ja nie mam, zresztą nawet nie umiałabym się tym posługiwać. — Wzruszyła ramionami. — Ale może pan przeszukać pokoje wszystkich. Specjalnie w tym celu wysyłam ich zaraz na misję badawczą. Będę razem z nimi. Mój pokój wraz z biurem również jest do pana dyspozycji. Jeśli zaś idzie o akwarium... — zacięła się.

— Tak?

— Mielśmy taki słój z grzałką w składziku. Sprawdziłam dziś rano. Zniknął. Chce pan coś jeszcze wiedzieć?

Hubert zawahał się.

— Kto u państwa ma dobry aparat fotograficzny? Nie małpkę, ale lustrzanekę, najlepiej z teleobiektywem?

Knutowa zastanowiła się, marszcząc brwi.

— Nikt. W każdym razie nie widziałam. Ale zdjęcia zawsze robi nasz wolontariusz, Łukasz Maciejewski. Pożyczał kilka razy kamerę od technika z policji. Zna tam kogoś. To przydatne w naszej sytuacji, jak pan wie, mamy wielu wrogów.

Meyer zerknął na kartkę.

— Jego nie ma na liście — zdziwił się. — Zaś pani nazwisko jest, i to na pierwszym miejscu.

Biolożka pokiwała głową.

— On jest poza moim podejrzeniem. Ręczę za niego. Gdyby nie on, stacja już dawno by nie istniała. Ja byłam u pana, i to nie raz. On nigdy. Chcę być uczciwa, dlatego zapisałam także swoje nazwisko — podkreśliła.

Redakcja bezpłatnej gazety „Keja” mieściła się w stylowej kamienicy, kilka kroków od giżyckiego rynku. Widok z okna redaktor naczelnej, Olgi Nawrockiej, wychodził na kościół. Kobieta była bardzo zdenerwowana, bo duży reklamodawca poprzedniego dnia wycofał swoje ogłoszenia, które od kilku lat zapewniały gazecie przetrwanie. Nie podał przyczyny. Zapewnił jedynie, że czyni to nieodwołalnie. Olga odłożyła słuchawkę i ukryła twarz w dłoniach. Jeśli w krótkim czasie nie znajdzie innych ogłoszeniodawców, będzie mogła ogłosić bankructwo.

Rozległo się pukanie do drzwi. Pospiesznie zebrała się w sobie i przyjęła pozę silnej kobiety, jaką grała od lat. Sama zbudowała tę firmę i nie mogła pozwolić, żeby upadła. Miała już markę. W przyszłym roku chciała otworzyć kilka filii w sąsiednich warmińskich miasteczkach. Nie byłaby tak uzależniona od władz miejskich Giżycka.

— Pani mnie wzywała — zaczęła młoda dziewczyna, wchodząc do gabinetu. Była mocno przestraszona. Wiedziała, co się stało. Pewnie martwiła się o swoją posadę. Poza nią Olga zatrudniała jeszcze tylko kilka osób. Młodych ludzi, zwykle jeszcze w trakcie studiów, by nie musiała płacić za nich ubezpieczenia.

Olga wskazała jej krzesło naprzeciwko biurka.

— Jestem zadowolona z twojej pracy — zaczęła. I zdecydowała się od razu wyłożyć karty na stół. Nie było już czasu na kokieterię. — Podwyższam ci prowizję o dwadzieścia procent. Jeśli do następnego wydania nie znajdziesz nowego klienta, będę musiała wszystkich zwolnić.

Dziewczyna przestraszyła się. Miała dopiero dwadzieścia kilka lat. Bała się odpowiedzialności, na dodatek do tej pory to szefowa

prowadziła ją za rączkę, podsuwała oferty, mówiła, jak należy rozmawiać z ludźmi, uczyła sposobów negocjacji.

— Ale ja mam w środę egzamin, a potem podpisany urlop — wydusiła z siebie. Tego właśnie Olga się spodziewała. Zatrudnianie młodych ludzi miało swoje zalety, nie trzeba im było dużo płacić, pozwalali jej też na całkowitą władzę. Niestety, w sytuacjach kryzysowych nie mogła liczyć na ich wsparcie.

— Przykro mi, muszę cofnąć ten urlop — powiedziała ostro. — Rozumiesz, jaka jest sytuacja firmy? Beldowski wycofał swoje ogłoszenia, zdołałam wynegocjować tylko, że do końca miesiąca pójdą za połowę stawki. Ma się zastanowić, ale wiemy obie, jak będzie. To zwykła kurtuazja.

— Ale co ja mogę zrobić? — rozłożyła ręce dziewczyna.

— Znajdź nowego klienta — odparła Olga i podsunęła dziewczynie listę. — Obdzwoń wszystkich, wyślij oferty, uwiedź, kogo trzeba. Zrób, co chcesz, dam ci fundusz reprezentacyjny. Bylebyś była skuteczna. To nie zabawa, to reklama.

— Ale ja mam trzy teksty do napisania. Właśnie kończę relację z wczorajszego koncertu, nie spałam całą noc — starała się tłumaczyć dziewczyna, co tylko rozwścieczyło naczelną.

— Ty myślisz, że te głupie teksty ktoś czyta? — zapytała, pochylając się nad nią. Wypielęgnowane dłonie z paznokciami pomalowanymi na krwistą czerwień rozczapierzyła jak szpony. Wyglądała naprawdę groźnie.

— Dobrze, spróbuję. — Dziewczyna nerwowo wierciła się na krześle. Na jej twarzy malował się prawdziwy strach. Olga czuła, że kiedy tylko dziewczyna wyjdzie, obdzwoni na koszt firmy wszystkie potencjalne miejsca nowej pracy. Nie zrobi nic, by pomóc „Kei”. Czuła to przez skórę, a intuicję miała doskonałą. Prawie nigdy jej nie zawodziła. Teraz też miała ogromną ochotę wyrzucić ją za drzwi. Nie mogła patrzeć na to rozlazłe dziewczętko. Kiedy ona została sama z dzieckiem, nikt jej nie pomógł. Musiała sobie poradzić sama. Powstrzymała się jednak przed kolejnym kąśliwym komentarzem.

— Dwadzieścia procent więcej oznacza, że bierzesz czterdzieści procent od tego zlecenia. Nie ma lepszej okazji. Musisz się tylko wziąć w

garść i zawałczyć — powiedziała, wstając od biurka. — Możesz już wracać do pracy. Audiencja zakończona.

Kiedy dziewczyna wyszła, Olga powiadomiła sekretarkę, by po południu wezwała wszystkich na pilne kolegium redakcyjne, a potem wzięła torebkę i wyszła z firmy. Po drodze wyciągnęła telefon i zadzwoniła do syna, że sama odbierze Jagodę ze szkoły.

— Coś się stało? — Paweł od razu wyczuł w głosie matki irytację, choć nie powiedziała mu ani słowa na temat problemów w pracy. — Kończę malować ogrodzenie. Podjadę, chcesz?

— Dziękuję synku. — Uśmiechnęła się, choć nie mógł tego widzieć. — Do zobaczenia.

Wsiadła do nowiutkiego land rovera, który pochopnie wzięła niedawno w leasing na firmę, by zwiększyć sobie koszty i nie musieć więcej płacić ludziom, po czym ruszyła z piskiem opon do szkoły wnuczki. Była zbyt wcześnie, ale zamierzała poczekać na ławce w parku naprzeciwko.

Paweł zamknął pudełka z farbą i zdjął robocze ubranie. Rozwiesił zaplamiony dres na sznurze w ogrodzie i wszedł do mieszkania. Dom był zaprojektowany przez przyjaciółkę matki. Był to designerski loft z mnóstwem przestrzeni. Szklana szyba obezwładniała gości na wstępie. Na całej długości mieszkania rozciągał się widok na jezioro Kisajno. Paweł przyzwyczał się do niego. Tak samo jak do życia w jednym domu z matką. Starał się nie przyprowadzać tutaj kobiet, które sporadycznie spotykał. Nie zamierzał się już nigdy wiązać z nikim na stałe. Każdego dnia bał się, że któregoś dnia policja znów zapuka do jego drzwi. I tak z trudem odbudował relację z córką, którą porzucił zaraz po urodzeniu. Jego ówczesna dziewczyna i matka Jagody nienawidziła go wtedy szczerze i początkowo odmawiała mu kontaktu, strasząc sądem i swoim nowym chłopakiem, który wyglądał jak bandzior. Paweł miał się wszelkich zajęć, ale nigdy nie pracował na umowę, żeby nie płacić alimentów na córkę. Trochę pohulał po świecie, gdzieś grał, stał za barem, uczył jazdy konnej, windsurfingu. Wreszcie wrócił do kraju, chciał układać sobie życie z Julką, ale skończyło się to tragicznie. Przestraszył się, przewartościował swoje życie i wreszcie dotarło do niego, że ma córkę. Dla niej powinien się ustatkować. Nie miał nic,

wciąż się ukrywał, na szczęście matka jak zwykle podała mu pomocną dłoń. Od lat był na jej garnuszku. Był na każde jej skinienie, kiedy tylko go potrzebowała. To było dobre, bezpieczne. Ale wiedział, że ta sielanka w każdej chwili może runąć. Wystarczyło, żeby ktoś znów odgrzebał starą sprawę. Paweł zmienił się. Włożył dużo trudu, by odbudować relację z córką. Sam był zaskoczony, jak wiele dziecko dawało mu z siebie. Ile dobra, ciepła, pozytywnej energii, która napędzała go do życia. Starał się więc być dobrym ojcem. Poza dzieckiem nic innego mu w życiu nie wyszło. Jagoda jeździła konno, obiecał jej w tym roku konia, choć jej matka ostro się temu sprzeciwiała. Zajrzał do pokoju małej, w którym mieszkała, kiedy była u niego. Wymieniali się z jej matką dzieckiem tydzień w tydzień. Początkowo mała nie wiedziała, gdzie jest jej dom, ale nie dało się inaczej. Jagoda nie chciała wybierać: on czy matka. Chciałaby mieć oboje rodziców, ale to było niemożliwe. Paweł sam wyremontował córce ten pokój, według jej wskazówek. Gdyby mógł, dałby małej gwiazdkę z nieba. Wiedziała o tym doskonale. Minął już okres fascynacji różem, teraz na warsztacie była jazda konna. Niedawno przemalowali pokój na biało, a dziewczynka powiesiła na ścianach plakaty i zdjęcia ukochanych ras rumaków. Paweł zawsze się roztkliwiał, kiedy tam zaglądał. Nie wyobrażał sobie, że mógłby znów zniknąć z jej życia. Nie chciał i marzyło mu się, żeby wreszcie mógł przestać się ukrywać. Poszedłby do normalnej pracy, odzyskał spokój ducha. Mógłby rozpakować żeglarski worek, w który był zawsze spakowany na czas gwałtownej zrywy. Wszedł do swojego pokoju na piętrze. Poddasze to był jego świat. Miał tam jedynie szeroki twardy materac, szafę pełną białych ciuchów, bo wciąż nosił się tylko w tym kolorze, i sprzęt do nagrywania. Matka pomogła mu nauczyć się programów do miksowania dźwięku, zapłaciła za szkolenie. Paweł przez jej firmę sprzedawał sporadycznie reklamy radiowe, dogrywał dżingle, synchronizował dźwięk w krótkich filmikach dla miasta. Sprawiało mu to dużo radości, już nie myślał ani o zakładaniu zespołu, ani o tego typu mrzonkach. Każdego wieczoru dziękował za przeżyty w spokoju dzień. Dziś miał dla córki niespodziankę. Nagrał jej miks najbardziej znanych kawałków z filmów, w których występują konie. Dograł odgłosy im towarzyszące: tętent kopyt, rzenie, ich zwierzęce

rozmowy. Nagrywali to któreś niedzieli w stajni. Wiedział, że dwunastolatka oszaleje ze szczęścia. Uwielbiał sprawiać jej radość.

Pozamykał wszystkie drzwi, włączył alarm i już miał wyjść, kiedy w wideofonie przed furtką zobaczył dwie postaci. Kobiętę z krótkimi rozczochranymi włosami i dużo od niej wyższego i barczystego mężczyznę. Już na pierwszy rzut oka wyglądał na gliniarza. Paweł schował się za winklem i udawał, że go nie ma. Przeklął, że nie wjechał starą furgonetką do garażu. Choćby po tym wozie mogli go rozpoznać. Nie wiedział, kim są, ale dla niego każdy był potencjalnym wrogiem. Intruzi jednak nie rezygnowali. Rozległ się dźwięk jego komórki, matka widocznie musiała już odebrać Jagodę i czekała tylko na niego. Stąd miał zaledwie kilka minut jazdy samochodem. Zastanawiał się, czy nie wyjść tylnym wejściem przez ogród, ale wtedy nie zdążyłby na czas. Wiedział, że matka zrobiła dziś wyjątek, powinna być zaraz w pracy. Zamykali nowy numer gazety. Zerknął jeszcze raz na gości. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedyś ich widział. Bez skutku. Kobieta patrzyła na mężczyznę, a on się uśmiechnął. Paweł pomyślał, że muszą być długo ze sobą. Widać, że się dobrze rozumieli. Może to jacyś przypadkowi ludzie do matki, on zaś panikuje jak jakiś rabuś. Jeśli to policja, musieliby mieć nakaz. Nie mogą go tak od razu zgarnąć. Sam nie wiedział kiedy nacisnął przycisk otwierający bramkę. W tym momencie usłyszał dźwięk nadchodzącej wiadomości.

„Jagodę podrzucę matce. Muszę lecieć do pracy. Wszystko OK?” — napisała Olga.

— „Nie wiem. Oddzwonię” — odpisał.

— „Czekaj w domu” — przeczytał po chwili. Odetchnął z ulgą. Mama nie pozwoli zrobić mu krzywdy. Wiedziała o wszystkim. Kiedy wrócił po latach nieobecności w domu, przyjęła go tak, jak stał. O nic nie pytała. Dopiero po tygodniu, kiedy sam zechciał mówić, wysłuchała wszystkiego. O florystce, Julce, płonącej windzie i duchu dziecka. Paweł nie miał przed nią tajemnic. Wiedział jednak, że boi się bardziej od niego. Nie chciała go ponownie stracić. Poza tym była jeszcze Jagoda. Jak ona przeżyłaby odejście ojca? Nie wybaczyłaby mu drugi raz. Zwłaszcza jeśli okazałoby się, że jest zamieszany w zbrodnię.

Para podeszła do drzwi wejściowych. Paweł otworzył im, zanim kobieta zdążyła zapukać.

— Państwo z policji? — uprzedził ich pytania.

— Tak jakby — odparł Meyer. — Jesteśmy psychologami. Chcieliśmy pomówić o sprawie Julii Zdunieckiej. Ale tak właściwie interesuje nas Aleksandra Jekel.

— Macie nakaz aresztowania? — odparował Paweł.

— A powinniśmy mieć? — Lena się uśmiechnęła. Paweł przyjrzał się jej i momentalnie zmiękł. Na swój sposób była urocza.

— Pani jest do niej podobna — odpowiedział. Kobieta zaniemówiła.

— Ma pani tylko inne włosy. A może to Ola kiedyś była podobna do pani — sprostował.

Otworzył szerzej drzwi i zaprosił ich do salonu. Pierwsze, co rzuciło im się w oczy, to niesamowity widok. Paweł stał i patrzył na nich. Z trudem łapali oddech.

— Niektórzy mają w życiu szczęście — skomentował Meyer. Położył na stole dyktafon, ale go nie włączył.

— Jedni mają szczęście w miłości, inni robią pieniądze — odparł Paweł. Przeczesał włosy i spojrzał na Lenę, po czym dodał: — Ja wcale nie mam szczęścia.

Lena oblała się rumieńcem. Pochyliła głowę, usiadła. Zdjęła marynarkę, odstawiając wąskie ramiona. Meyer zauważył, co dzieje się między nimi dwojgiem, i złapał się na uczuciu zazdrości.

— Możemy przystąpić do rozmowy?

— Napije się pani czegoś? — Paweł zwrócił się do Leny. Meyera zupełnie zignorował. — Herbaty, wody, soku? Może kawy? Albo kakao. Jest jeszcze jogurt z mango. Córka go uwielbia.

Meyer nie mógł uwierzyć w to, co widział. Upomniał Lenę wzrokiem, ale kobieta widać była pod wielkim urokiem Nawrockiego. On sam zaś nie wydawał się uciekinierem, który stara się za wszelką cenę zniknąć. Wyraźnie kokietował Lenę, słusznie mniemając, że tym sposobem ją zmiękczy. Ona zaś łykała jego spojrzenia i komplementy jak mała kit.

— Dobrze znał pan Olę Jekel? — zapytał Meyer. Głos miał chrapliwy, spojrzenie bez cienia sympatii. Nawrocki natychmiast się wyprostował.

— Przyjaźniliśmy się — odparł.

— Coś więcej?

Mężczyzna wahał się. By zyskać na czasie, ruszył po napoje. Kiedy wrócił, twarz miał poważną, spokojną. Chyba podjął jakąś decyzję.

— Tylko raz byliśmy ze sobą. Ale to była bardzo ważna kobieta w moim życiu — odpowiedział szczerze.

Lena i Hubert uznali, że to była pierwsza dobra wiadomość. Wyglądało na to, że Paweł nie chce kłamać.

— Przed prokuratorem zeznał pan inaczej — zauważył Hubert.

— Bałem się — przyznał. — Minęło tyle lat. Nie ma sensu tego ukrywać.

— To jak to z wami było? — odezwała się Lena.

Paweł potwierdził, że poznali się w pracy. Pracowali naprzeciwko siebie. Ola w kwaciarni, on w supermarkecie ze sprzętem elektronicznym. Nieprawdą zaś było, że to ona o niego zabiegała. Przeciwnie, mijali się niemal codziennie, widział ją czasem przez szybę. Od razu zwrócił na nią uwagę.

— To była bardzo piękna kobieta — dodał. — Wszyscy mieli na nią ochotę. Pracownicy sklepów znali się dobrze. Choć kiedy wybuchła afera, nikt się do tego nie przyznał. Bo ona nie dopuszczała do siebie ludzi, a zwłaszcza mężczyzn. Miała uraz z powodu męża, który ją bił, i bała się, że to się może powtórzyć. Właściwie, jeśli chodzi o nas, było to naprawdę dziwne.

— Dziwne? — dopytała Lena.

— Ola nie chodziła na żadne imprezy, zajmowała się dzieckiem. Poświęciła się Amadeuszowi. Teraz doskonale to rozumiem.

— Poznał go pan?

— Kilka razy go widziałem. Niezły z niego był łobuz — uśmiechnął się smutno Paweł. Upił łyk ze swojej szklanki i obrzucił Lenę spojrzeniem. Odwróciła wzrok speszona.

— To jak to w końcu było? Spaliście ze sobą i nie byliście razem? — zniecierpliwiał się Meyer. Czuł coraz większą irytację. Nawrocki był typem szarmanckiego mężczyzny, który lubił flirtować i umiał to robić. Po spotkaniu z Leonem Jekalem Meyer był pewien, że Paweł mógł porządnie zawrócić florystce w głowie. To była kobieta, która pasowała do tego czarusia idealnie.

Nawrocki usiadł wygodnie na fotelu i zaczął opowiadać:

— Mówiłem, że od razu mi się spodobała. Ale nie miałem jak się do niej zbliżyć. Nigdy nie bywała, tam gdzie bywałem ja. Nie chodziła na przyjęcia, z nikim się nie przyjaźniła...

— Już pan to mówił — przerwał mu Meyer, a Lena spojrzała na niego karcąco. Hubert zamilkł.

— Kiedy któregoś dnia zobaczyłem ją w sklepie, gdzie pracowałem... — zaczął znów Paweł — ...uznałem, że to dla mnie szansa. Chciała kupić lodówkę, podszedłem więc i sprzedałem jej najlepszą, jaka była w magazynie. Oddałem jej swój pracowniczy upust, obiecałem, że dostarczę ją do domu, bez opłat. Potraktowała to jako ofertę sklepu, nie zwracała na mnie uwagi. Wziąłem kumpla, pojechaliśmy. Jej mieszkanie było czyste i puste, jakby nikt tam nie mieszkał. Jediną ozdobą była piękna harfa. Nigdy nie widziałem na żywo tego instrumentu. Ola powiedziała, że musi ją sprzedać. Potrzebowała pieniędzy, a i tak nie chciała już na niej grać. Mówiliśmy o muzyce, o harmonii. Mój kumpel zaczął ziewać po kilku minutach i zgodnie z umową zmył się, gdy tylko Ola wręczyła mu zgrzewkę piwa. Ja zostałem, ale nie rozmawialiśmy długo, bo musiała wyjść poszukać Amadeusza. Zawieruszył się gdzieś na osiedlu. Była trochę zdenerwowana. Potem długo nie działo się nic więcej. Któregoś dnia zobaczyłem ją, jak taszczy kwiaty z autobusu. Zaproponowałem, że pożyczę jej auto do wożenia towaru. Okazało się, że jej przyjaciółka jest chora, a Ola nie miała prawa jazdy. Codziennie przez tydzień o świcie jeździłem z nią na giełdę. Ona była miła, nadal jednak mną niezainteresowana. Tak mijały tygodnie. W tym czasie kumple poznali mnie z Julką. To była rozrywkowa dziewczyna. Lubiła się zabawić, była młoda i urocza. Szybko okrzyknęli nas parą. Któregoś razu na firmowe przyjęcie przyszła Ola. Miała jedynie coś zostawić koleżance, jej współpracownica namówiła ją, by chwilę została. Ja byłem już wstawiony. Julka tańczyła z koleżankami w innym pokoju. Ola zbierała się do wyjścia. Nie wiem, co mnie wtedy napadło, zamiast w policzek, pocałowałem ją w usta. Odepchnęła mnie oburzona. Przed wyjściem jednak obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem. Pamiętam to, bo wtedy jakby pierwszy raz mnie zauważyła. Było to raczej zdziwienie niż zainteresowanie. Ale ten pocałunek jakoś na nią podziałał. Choć nadal nic się nie działo, zaczęła ze mną rozmawiać. Kombinowałem, by zwabić ją do siebie, codziennie widzieliśmy się przez szybę w sklepie. W tym czasie mój związek z Julką był już tak zaawansowany, że jej matka zasugerowała, bym wprowadził się do jednego z mieszkań, które należały do Zduniekich. Skorzystałem z tej okazji. Płaciłem tylko za

czynsz i światło. Miałem długi. Co zaoszczędziłem, wysyłałem matce, żeby dawała mojej byłej kobiecie na córkę.

— Pan ma córkę? — zainteresowała się Lena.

Paweł pochylił głowę.

— Dopiero od niedawna mówię o tym głośno. Wtedy nikt o tym nie wiedział. Mam piękną i mądrą dziewczynkę. Ma teraz dwanaście lat. Tylko Oli o tym powiedziałem. Namawiała mnie, żebym wrócił i spróbował się do niej zbliżyć. A ja się bałem — dodał.

— No dobrze — przerwał mu Meyer. — Może pan jednak przejść do meritum?

Paweł długo milczał. Nagle ciszę przerwał dzwonek jego telefonu.

— To moja matka — powiedział. — Odebrała córkę ze szkoły. Chciałbym tylko wiedzieć, czy wszystko w porządku.

Hubert skinął głową.

— Tak? To dobrze mamusiu — Paweł zaczął mówić do słuchawki. Widać było, że jest spięty, ale nie odchodził na bok, nie zakrywał słuchawki dłonią. Usłyszeli jedynie, że kobieta długo i rozpaczliwie coś mu tłumaczyła. Nie dało się zrozumieć słów. Paweł słuchał jej w milczeniu. — Przepraszam. Tak... To znaczy nie. Możecie pójść na lody? Mam gości — zerknął na Huberta i Lenę. Po chwili odpowiedział do telefonu: — Chyba są z policji.

Zasłonił ręką słuchawkę.

— Mógłbym prosić o nazwiska?

Lena wymieniła spojrzenie z Hubertem.

— Meyer i Pawłowska — przedstawili się, a Nawrocki powtórzył to matce i się rozłączył.

Gdy wyłączył telefon, był spokojniejszy.

— Poszły na lody — wyjaśnił z lekkim uśmiechem. — Możemy kontynuować, jeśli państwo wytrzymacie.

Pokiwali głowami. Wtedy Paweł zaczął opowiadać o trójkącie miłosnym, w który był coraz bardziej uwikłany, a który jego zdaniem był kluczem do całej tej sprawy.

— Było między nami porozumienie, coś niezwykłego. I pewnie było to podszyte namiętnością, ale Ola nie chciała być tą drugą. Wiedziała, że mam dziewczynę. Wszyscy wiedzieli. Ola nie chciała jej krzywdzić, unikała mnie. Nawet kiedy pozwoliła nam grać u siebie, zorganizowała

perkusję dla kumpla, nie było między nami nic prócz przyjaźni. To ja naciskałem. Pragnąłem jej, a ona mnie, ale nie mogliśmy tego zrobić. Ona stawiała opór. I im dłużej to trwało, czułem, że to Olę kocham, a nie Julkę. Wtedy się okazało, że Julka jest w ciąży. Do dziś nie wiem, czy tak było naprawdę. Żadnych badań nie widziałem, pokazała mi tylko test ciążowy. Potem jednak złapałem ją na paleniu papierosów, nie jestem tego taki pewien. Może to był tylko szantaż, żebym się z nią ożenił? Oświadczyłem się, jej matka mnie lubiła. Zawsze była za mną. Podobałem się jej z jakiegoś powodu, choć nie byłem najlepszą partią. Mówiła, że zrobiła nam horoskop i pasujemy z Julką do siebie. Trudno było z tym dyskutować. To ona przekonała ojca Julki. Zresztą pożyczyłem od nich pieniądze, miałem nagrywać płytę. — Paweł machnął ręką. — To były bzdury. Byłem wtedy głupim chłystkiem.

— Ola była zazdrosna, pisała anonimy do Julki? — dopytał się Meyer. Paweł spojrział na niego uważnie. Zorientował się, że Hubert zna już kawałek tej historii i tylko go sprawdza. Gwałtownie potrząsnął głową.

— Było wręcz odwrotnie. Ale to było później — dodał z naciskiem. — Po śmierci Amadeusza. Tego wieczoru, kiedy on zaginął, spotkałem się z Olą, żeby jej powiedzieć, że żenię się z Julką. Była wstrząśnięta, widziałem, że cierpi. Ja też nie czułem się z tym najlepiej. Starłem się jej wyjaśnić, że nie mam wyboru. Drugiego dziecka nie mogłem zostawić. Jedno już skrzywdziłem. O długach nie powiedziałem ani słowa. Poza tym lubiłem Julkę, miałbym z nią dobre życie, rodzinę. Oni nie wiedzieli nic o mnie i chyba im pasowało, że jestem sierotą.

— Kłamał im pan? — dopytała się Lena.

Paweł pokiwał głową.

— Wstydziłem się. Nie chciałem, żeby pytali. Nie miałem żadnych argumentów, a gdyby tak się dowiedzieli, że już mam jedno dziecko... Sam nie wiem, matka Julki tak mnie lubiła. Byłem głupi. Byłem tak głupi, że kiedy zapytali mnie, kim dla mnie jest Ola, powiedziałem, że to tylko koleżanka z pracy. I doradziłem, żeby to jej zlecili zrobienie dekoracji ślubnej. Ola przyjęła zamówienie. Nie miała pojęcia, że to ja żenię się z Julką. Widziałem ten projekt, to była świetna robota. Takie małe kwiatki. Ola zrobiła to jak dla siebie. Sam doprowadziłem do tej sytuacji. Byłem idiotą, tchórzem. — Nawrocki zasłonił twarz.

— Niech pan się już tak nie biczuje — przerwał mu Meyer. — Więc Ola była tej nocy z panem i wtedy poszliście do łóżka?

— Nie! — zaprzeczył Nawrocki. — Ona nie mogłaby się kochać ze mną w takich okolicznościach. Rozumiała, że muszę wziąć na siebie odpowiedzialność, ale była wściekła. Spotkaliśmy się, złapałem ją przy wyjściu z pracy. Stała na przystanku, zmusiłem ją, żeby wsiadła. Chciałem ją zawieźć do domu. Sam nie wiem, na co liczyłem. Może, żeby mi wybaczyła. A może, żeby została moją kochanką? Wtedy powiedziała, że myślała, że jestem inny. Mówiła, że się we mnie zakochała i liczyła, że będziemy razem. Może nawet chciałyby tego. Planowała, że poznam jej syna, że się polubimy, że jakoś to będzie, tak.. normalnie. I że byłem jedynym mężczyzną, który wzbudził w niej takie uczucie. Wierzyłem jej, była sama od lat. To nie była żadna puszczalska czy desperatka. Każdy o tym wiedział. Potem kazała mi nagle zatrzymać auto i wysiadła. Kazała obiecać, że nigdy już się do niej nie zbliżę. Nigdy. Następnego dnia znaleźli jej dziecko w śmietniku. Byłem przerażony. Dowiedziałem się z gazet. Nie skontaktowała się ze mną. Nie zadzwoniła, nie poprosiła o pomoc. Nie otworzyła mi drzwi, kiedy przyszedłem. Nie odpowiadała na telefony. Zapadła się pod ziemię.

— Myśli pan, że ona mogła mieć coś z tym wspólnego? — zapytał Meyer.

— Wątpię — stanowczo oświadczył Nawrocki.

— Skąd ta pewność?

— Ona kochała to dziecko. Amadeusz był całym jej światem, wszystko kręciło się wokół niego. Ona żyła tylko po to, żeby go wychować. Chciała dać mu dobry start, tolerowała jego wysoki, usprawiedliwiała, idealizowała, jak to matka. Teraz to rozumiem, sam mam córkę w tym wieku. Ola prędzej sama by się zabiła, niż skrzywdziła tego chłopaka. Zresztą kilka dni później poszła się powiesić.

Meyer i Lena spojrzeli po sobie. Paweł zaś, widząc ich zdziwione miny, dokończył:

— To był jedyny raz, kiedy do mnie zadzwoniła. Myślała, że umrze, chciała się pożegnać.

— Co mówiła?

— Że mnie kochała. — Paweł pochylił głowę. — Że już teraz wie, że kochała mnie i Amadeusza. A ponieważ obaj odeszliśmy, ona nie ma po co żyć.

— No tak — westchnął zde gustowany Meyer. — Romantycznie, nie ma co.

— Pan ją uratował? — zapytała Lena. Miała wypieki na twarzy. Widać, że historia miłości Pawła i florystki bardzo ją poruszyła.

Paweł zaprzeczył.

— Nagrała mi się na skrzynkę. Byłem w pracy, nie mogłem odebrać. Odsłuchałem wiadomość później. Trzymałem to nagranie do czasu sprawy z Julką, potem skasowałem ze strachu — dodał.

— A kto? — docisnął go Meyer.

— Pilecki, ten policjant. Chyba śledził ją do sprawy. Była podejrzana, tak jak ja. Ale po tej próbie samobójczej bardzo się zaangażował. Opiekował się nią jak dzieckiem. Współczuł jej. To była jedyna osoba, którą Ola wpuściła do siebie po śmierci syna. Nie poszła nawet na pogrzeb, zamknęła się w domu. To wtedy ludzie zaczęli mówić, że zwariowała. Ponoć widywali ją w nocy, jak snuła się po osiedlu i szukała Amadeusza. Nie wierzyła, gdy jej mówili, że umarł. Upierała się, że on żyje, i szukała go. Gotowała mu, kupowała ubrania, zabawki. Policjanci znaleźli ją na Pietraszach.

— W Lesie Wisielców?

— Nie wiedziałem, że tak na niego mówią — zdziwił się Paweł. — Odciał ją ponoć w ostatniej chwili. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko.

— Jak szybko? Może jaśniej? — zirytował się Meyer.

— A dlaczego? To szczegóły istotne dla sprawy. — Lena stanęła w obronie Nawrockiego. Meyer aż zaniemówił.

— Pan ma rację — przyznał Paweł. — To wszystko brzmi idiotycznie. Ale to prawda. Dalej nie będzie już za wiele o miłości. Zerwałem zaręczyny, powiedziałem Julce prawdę.

— Jaką prawdę? Którą? — przerwał mu Meyer. — Tę dla Oli, dla matki Julki, czy może dla kogoś jeszcze? Gdzie jest ta prawda?

— Powiedziałem Julce prawdę — powtórzył z naciskiem Nawrocki. — Że żenię się z nią dla tego dziecka, żeby miało ojca. Bo jej nie kocham. Lubię, ale między nami nie było nic wyjątkowego. Julka się

wściekła. Nie wierzyła, że nie spałem z Olą. Zaczęła pisać anonimy i wysyłać do Oli, do mnie. Nawet do domu własnych rodziców, żeby znienawidzili Olę. Chciała nas poróżnić. Śledziła mnie, robiła sceny, groziła, że się potnie, że zabije nasze dziecko. Była w furii, nie mogła tego znieść, że tamta jest od niej lepsza. A ja nie potrafiłem tego wyjaśnić. To nie była kwestia urody, nawet wieku. Julka była od niej dużo młodsza. Przed rodzicami nadal graliśmy dobrą parę. Nie byłem w stanie powiedzieć prawdy matce Julki. Trwały przygotowania do ślubu. To miała być uroczystość z wielką pompą... Nie wiedziałem, jak to zerwać.

— To z kim pan chciał się żenić? Z Julką czy z jej matką? — Meyer zmierzył go badawczym spojrzeniem.

— Mówię tylko, jak było — zaczął bronić się Paweł. — Jeśli pan nie chce słuchać...

— Ja chcę. — Lena łagodnie dotknęła jego ramienia. — Niech pan mówi.

Meyer usiadł. Paweł kontynuował opowieść:

— Odwiedzałem Olę dwa razy dziennie. Widywałem się z nią częściej niż z Julką. Miałem to w nosie. Z Olą było coraz gorzej. Gadała z duchem syna, widziała go, słyszała. Sam już nie wiem. Nie od razu mi się zwierzyła. Na początku też się wstydziła. Kiedy zobaczyła, że się o nią troszczę i nie chcę od niej niczego, zaczęła mówić. Podobno widziała ducha dziecka, kiedy się wieszala. Wierzyła, że to Amadeusz ją uratował. Mówiła takie brednie, że zacząłem się bać. Chciałem, żeby poszła do lekarza. Nawet próbowałem ją zawieźć do księdza, ale nie chciała wejść do kościoła. Na cmentarz też nie chodziła. Było z nią źle. Martwiłem się. Nie mogłem jej zostawić. I zobaczyłem, że odkąd przychodzę, jest spokojniejsza, naprawdę. Nadal nie pogodziła się ze śmiercią syna, ale to, że byłem, dawało jej jakąś siłę. Była w tym cierpieniu taka piękna, uduchowiona. Schudła, prawie nie jadła. Oczy jej błyszczały. Któregoś razu to ona mnie pocałowała, jak ja ją wtedy. Byłem zszokowany, nie wiedziałem, co robić, ale z nią było coraz lepiej. Widziałem, że mnie kocha i że to wszystko jeszcze może się udać. Wtedy o Oli dowiedzieli się rodzice Julki. — Znów przerwał. Widać było, że mówienie przychodzi mu z trudem.

— I co? — dopytywała się Lena.

— Wyparłem się jej. Powiedziałem matce Julki, że nic między nami nie ma. Przesunęliśmy tylko termin ślubu.

— Dlaczego? — zdziwiła się Lena. — Dlaczego pan to zrobił? Kochał pan przecież florystkę?

— Co za brednie — prychnął.

— Miałem u nich długi. Nie mogłem ich spłacić. Sam nie wiem. Ta ciąża... Julka pokazała mi wtedy test. Nie wiem, czy był prawdziwy. Wciąż jakoś w niego nie dowierzam. Już się nie dowiemy. Ale były dwa paski. Mówiła, że dziecko jest moje. Może przestraszyłem się życia z wariatką? Może tak było wygodniej? Pojechałem do Oli, żeby powiedzieć, że wyjeżdżam. Naprawdę tak planowałem. Julka obiecała, że wyjedziemy, zaczniemy gdzieś indziej. Nie byłbym w stanie spojrzeć w oczy Oli, chciałem uciekać. Tak zwykle wtedy robiłem. Coś nie tak i wio, jak najdalej od kłopotów. Kiedy Ola mnie zobaczyła, była naprawdę szczęśliwa. Była wtedy w kwiaciarni, odebrałem ją stamtąd. Pojechaliśmy do mnie. Nie potrafiłem jej tak od razu powiedzieć. Jakoś tak się stało, że poszliśmy do łóżka. Spaliśmy ze sobą ten jeden, jedyny raz. To nie było nic pięknego. Raczej gwałtowne, kradzione, jakbyśmy oboje wiedzieli, że nie mamy już czasu. Byłem zszokowany. Była tak wygłodniała, spragniona miłości. Tak bardzo chciała być kochana. Dopiero po wszystkim, kiedy ją odwoziłem, kiedy siedzieliśmy już w samochodzie, poprosiłem, żeby mi wybaczyła. Była wstrząśnięta, ale nie krzyczała, nie robiła scen. Mówiłem, że rozumieliśmy się bez słów. Ona wiedziała, że ja wyjadę. Wiedziała wszystko. Wtedy tylko spokojnie powiedziała, że między nami nigdy nic nie było. Nigdy w życiu nikt mnie tak nie dotknął — dokończył Paweł.

Zapadła cisza.

— Tej nocy zginęła Julka. — Nawrocki odezwał się po dłuższej chwili. — Nie wiem, kto ją zabił, ale to nie było żadne z nas. Kiedy odwoziłem Olę do domu, blok już płonął. Trwała akcja ratownicza, a pod blokiem stały chyba wszystkie radiowozy i karetki w mieście.

— Dlaczego pan tego wszystkiego nie powiedział policji? — zapytał Hubert. Wstał i bez pytania zapalił papierosa. Było to zbyt niewiarygodne, wydumane, melodramatyczne.

— Powiedziałem. — Paweł rozłożył ręce. — Zanim mnie pierwszy raz aresztowano, odwiedził mnie gliniarz. Wyglądał na mądrego faceta.

Chciał pogadać szczerze, poza komendą. Opowiedziałem dokładnie to samo, co wam teraz. Z tym, że Ola wszystkiemu zaprzeczyła. Wyparła się mnie, tak jak ja jej wielokrotnie. Zresztą właściwie to była prawda. W zasadzie dotrzymała słowa. Nie chciała już nigdy mieć ze mną nic wspólnego. Powiedziała to samo, co mnie wtedy, że między nami nigdy nic nie było. Ten gliniarz uwierzył jej, a nie mnie. Trafiłem na dołek. Cudem się z tego wykaraskałem.

— Nazwisko — wtrącił się Meyer. — Jak nazywał się ten facet?

W tym momencie otworzyły się drzwi i do mieszkania weszła Olga, matka Nawrockiego, a zaraz potem jego córka Jagoda — śliczna dziewczyna — która rzuciła się Pawłowi na szyję. Nie wyglądała na dwanaście lat, lecz o wiele dojrzalej. Podobieństwo do ojca było widoczne już na pierwszy rzut oka. Oboje byli piękni. Lena wpatrywała się w dziewczynkę z zachwytem.

— Kim państwo są? — Olga zwróciła się do Huberta i Leny. — Poproszę o legitymacje.

W tym momencie Hubert zobaczył mężczyznę stojącego u wejścia i nieruszającego się stamtąd na krok. Lena zmarszczyła brwi, bo Meyer nie był zdziwiony na widok gościa. Wyglądało nawet jakby się znali. Był to szczupły, łysy i opalony na brąz facet w czerwonej bluzce z nadrukiem, obcisłych rurkach i wypastowanych butach z czubkami. W rękę trzymał teczkę. Nie wyglądał sympatycznie, choć twarz miał rozciągniętą w uśmiechu.

— Kopę lat! — Podał Meyerowi dłoń, lecz ten jej nie uściśnął. — Uuu! — Zagwizdał mężczyzna. — Złościsz się jeszcze, staruszkę? Masz legitymkę czy nie? Słyszałem, że spierdoliłeś swoją ostatnią szansę, a i zapalkami za bardzo nie umiesz się posługiwać.

— Odszczekasz to jeszcze, Wilku — mruknął Meyer i dał znak Lenie, by wyszli.

— Uciekasz z podkulonym ogonem? Na ten widok warto było czekać. — Mężczyzna zaśmiał się i dodał: — Złożyłem już zażalenie za bezpodstawne wejście do domu pani Nawrockiej oraz groźby karalne wobec jej syna Pawła. A także oszustwo. Bo bez papierów możesz teraz jedynie udawać profilera, cwaniaczku. Wilku daje ci teraz wilczy bilet.

Paweł wpatrywał się w nich zszokowany, potem skierował pytające spojrzenie na matkę. Hubert z Leną byli już przy drzwiach.

— To oszust — wyjaśniła kobieta. I dodała: — Próbował wymusić ubezpieczenie od firmy ubezpieczeniowej. Mieszka niedaleko nas, w Jakunówku. Na szczęście pan prokurator Marcin Wilczyński w porę zareagował. — Dziękujemy panu. A o sprawie chaty zwanej Borówka napiszemy w gazecie.

Kiedy Meyer wyszedł, zdumiony Paweł usiadł w fotelu, zaś uradowana Olga dodała:

— No i wielki sukces. Mamy wspaniałego klienta. To współpraca na lata. Firma ubezpieczeniowa nie tylko wykupiła reklamy, ale wejdzie jako udziałowiec do naszej spółki. Twoja matka to lwica. Nie da się mnie złamać. To co, chyba idę po szampana.

— Ja też się chętnie napiję — odparł Wilczyński, rozsiadając się w fotelu.

Paweł wstał.

— To ja pójdę. Odpocznij sobie, mam — powiedział i ruszył do wyjścia. Olga obrzuciła go taksującym spojrzeniem, po czym chwyciła torebkę i zaczęła szukać portfela.

— Nie trzeba, mam — machnął ręką.

Kiedy wyszedł na ulicę, zobaczył, że profilerzy wsiadają do auta. Przebiegł przez jezdnię i w ostatniej chwili dopadł okna, w którym siedziała Lena.

— Kim jesteście? — rzucił zdyszany. Z trudem łapał oddech. — Jak mnie znaleźliście?

Lena nie odpowiedziała. Podała mu swoją wizytówkę. Meyer zapalił już silnik, ale nadal nie ruszał.

— Nazwisko tego faceta — spytała stanowczo. I dodała już łagodniej: — Myślę, że możemy panu pomóc.

Paweł rozejrzał się. Widzieli, że już im nie ufa.

— Jak pan chce — powiedział Meyer, odpalając silnik. — I tak do tego dojdziemy.

Paweł nachylił się do Leny.

— To był ten sam facet, który potem nadzorował dochodzenie. Jeśli jesteście z policji, łatwo można to sprawdzić.

Ruszyli z piskiem opon. Lena widziała w bocznym lusterku, że Paweł jak gdyby nigdy nic zawrócił i ruszył do pobliskiego sklepu.

Lech Pilecki włożył klucz do zamka i ze zdziwieniem stwierdził, że jego gabinet jest otwarty. W pomieszczeniu było ciemno. Kiedy zamknął drzwi, Doman zapalił lampkę. Siedział przy biurku naczelnika. Przekręcił abażur i skierował strumień światła prosto w Pileckiego. Ten odruchowo zasłonił twarz.

— Co jest, kurwa?

— Siadaj. — Doman wskazał mu krzesło naprzeciwko siebie.

Pilecki nie wykonał polecenia. Odwrócił się i chciał wyjść. W drzwiach stali Wojda i Petryka.

— Sorry, szefie. — Wojda z miną skarconego uczniaka zagroził naczelnikowi drogę, po czym zamknął pokój na klucz.

Pilecki powoli ruszył do krzesła. Nie od razu usiadł.

— Masz fajki? — zapytał, patrząc Domanowi prosto w oczy. Po czym westchnął ciężko i dodał: — I zgaś to cholerne światło.

Doman wstał, włączył górne światło i przesunął w jego stronę jednego papierosa, ale nie podał mu ognia. Komendant zaczął szukać zapalniczki. Dostrzegł ją na biurku, tuż obok dokumentów do podpisu, ale nie ruszył się po nią. Trzymał papierosa w ręku i przyglądał mu się, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

— Jak się miewa florystka? — zagaił Doman. Pilecki spojrzał na niego zdumiony. Doman zaś uśmiechnął się chytrze.

— Lepiej biedaczce? Nie byłoby jej lepiej u nas, na dołku?

Pilecki nie odpowiedział.

— Masz coś, to mów — rzucił. — Nie będziemy się tu lizać po fiutach.

— A dlaczego nie? — Doman przekrzywił głowę. — Lizałem ci przez tyle lat, teraz twoja kolej.

Za oknem słyhać było jazgot policyjnych kogutów. Obaj milczeli. Wreszcie Pilecki wstał i sięgnął po zapalniczkę, ale Doman odsunął ją na bezpieczną odległość.

— Własną głową za ciebie ręczyłem! Wszyscy, ale nie ty! Ufałem ci jak swojej, kurwa, matce. Sobie nie wierzyłem, a tobie tak! — huknął do niego Doman.

Wciąż uśmiechając się, próbował sprowokować naczelnika.

— Słyszałem, że florystka miała jednak wtedy romans z tym lambrozo z AGD.

— To nieprawda, nic nie było — burknął Pilecki.

— Tak?

— Sam to sprawdzałem — dodał.

— Ano właśnie, osobiście sprawdzałeś. — Doman rozparł się na krześle. Nie miał gdzie rozłożyć ramion, więc splótł je ponownie na piersi. — To się zaczyna układać w całość, Piła.

— W jaką całość? Pojebało cię?

— Mnie? Chyba ciebie! — Doman wstał. Zaczął chodzić po pokoju. Nagle odwrócił się.

— Pierwszy trup to jej dziecko. Młody przeszkadzał jej. Przez chłopaka nie mogła się gzić z tym sprzedawcą. Drugi trup to jego dziewczyna. Ten sam motyw. I majstersztyk. Nie ma ciała, nie ma zbrodni, co? Ale ciało było, tyle że nie do identyfikacji. I był drucik oraz podejrzana z dobrym motywem. Dlaczego od tamtej pory florystka nie siedzi? Może nie byłoby kolejnego trupa dziecka, z którym ta wariatka się zaprzyjaźniła. Trzy trupy wokół jednej osoby to trochę za dużo. Ty za to odpowiadasz, Piła.

— Co ty mi wmawiasz, Doman? — zdenerwował się Pilecki. — To nie ona, mówię ci.

— A to, że według profilu florystka mogła nie działać sama? — stracił cierpliwość Doman. — Może nie tylko preparowałeś dokumenty, ale pomagałeś jej jeszcze inaczej. Silny, postawny mężczyzna. I do kontenera wrzuci pięćdziesiąt kilo, i do windy siedemdziesiąt, co? A potem wyczyści przedpole. Nie ma to, jak mieć plecy na psiarni. Pukałeś ją? Tę biedną, zbolałą matkę opętaną duchem dziecka? Pieprzyłeś ją?

Zapadła cisza.

— Masz nasrane — rzucił Pilecki. — Nie mam z tym nic wspólnego.

Doman zaśmiał się szyderczo.

— To stały tekst bohaterów tej sprawy. „Nie mam z tym nic wspólnego”. Albo milczenie. Duchów się, kurwa, wszyscy boicie, czy jak? Długo nie było mnie w domu, a okazuje się, że my tu mamy lepiej niż w Niu Jorku — zażartował kąśliwie Doman.

— Tak właśnie mi się wydaje, że coś ci się porąbało. Trzeba było siedzieć u tych dzikusów, kasę przytulać, po chuj wracałeś? — warknął Pilecki, wkładając sobie papierosa do ust. — Daj ogień i dosyć tej zabawy. Czego jeszcze chcesz?

— Wiesz, czego chcę, Piła. Powiedz prawdę. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Pomagałeś jej czy nie? I jak? Ta pchełka nie zaciukałaby sama tej dorodnej łani. Julka była od niej dwa razy cięższa. Po co ją kryjesz?

— Ta winda prawie zawsze była zepsuta — zaczął tłumaczyć Pilecki. Doman roześmiał się donośnie.

— Instalacja nie zaiskrzyła, stary! — huknął. — Nie pierdol!

— Drucika nie potwierdzono. Zresztą zaginał jakoś w trakcie.

— Zaginał w trakcie — spowaźniał Doman. — Sam zaginał?

— Potem w połowie bloków administracje zarządziły kontrol — mówił niestrudzenie naczelnik.

— Chyba kontrolę — poprawił go Doman, wciąż patrząc na niego z ukosa. Wyglądał, jakby chciał się na niego rzucić.

— Kontrolę — machnął ręką Pilecki.

— Która co wykazała? — ciągnął go za język Doman.

Komendant nie odpowiedział. Nagle podniósł głowę i rzucił:

— Może i coś tam między nimi było. Braliśmy to pod uwagę. Dobra, było. Ale właśnie to ją oczyściło z zarzutów. Żadne z nich było nie do posadzenia. Czaisz? Problem polegał na tym, że nie puścili pary z ust. A ja... — zawahał się. — Nie mogłem pozwolić, żeby ona poszła siedzieć. Była niewinna. Źle się czuła. Ale ona była wtedy z nim. Była z nim tej nocy.

— A skąd wiesz? Byłeś materacem czy jak?

— Wiem. Niestety, wiem. Powiedziała mi.

— To dlaczego jego wzięłeś, prawie beknął za to?

Pilecki wzruszył ramionami.

— To było dawno, trzeba było to wykryć. Myślałem, że się uda. Wiesz, jak jest. Bierzesz gościa, przybijasz mu to, pęka i jest sprawca. Dowody zawsze się jakieś znajdują.

— Ale on nie pękł?

— Nie.

— I nie znalazły się?

— Nie. Był niezły dym, ale wyszliśmy z tego. Dobrze nas przetrzepali. To nie jest tak, jak myślisz, Doman. Nie było cię wtedy.

— Kryłeś ją — przerwał mu Doman oskarżycielskim tonem. Pilecki nie zaprzeczył.

— Dlaczego?

— Teraz już tego nie udowodnisz. Operacyjnie to przetrzepaliśmy. Becep. Niech sobie leży, daj już spokój — mówił teraz cicho, spokojnie. Widząc brak reakcji w twarzy Domana, rzucił: — A ty, gdybyś miał romans, przyznałbyś się do tego publicznie? Nawet gdybyś był w kobiecie bardzo zakochany?

Doman zaniemówił. Spojrzał z wyrzutem na szefa, jakby ten wiedział coś więcej, niż powinien.

— Może? — zablefował. I zaraz dodał: — Ale gdyby chodziło o zabójstwo, zdecydowanie tak. Wtedy nie ma żadnej tajemnicy, która byłaby godna skrywania.

— Nie. — Pilecki obrzucił go spojrzeniem. — Jeśli narzeczona spłonęłaby ci w windzie twojej aktualnej kochanki, wiesz, że nie. To by od razu wzbudziło podejrzenia. Miałbyś motyw, zabiłeś, bo miałeś romans. Więc zaprzeczasz. A tę kochankę bardzo by to zabolowało. A gdyby ją zabolowało, mogłaby poczuć się odrzucona. A odrzucona kobieta to wściekła kobieta. Odbezpieczona bomba. Choćby nawet była zbolowaną matką. Więc ona też zaprzecza, ale ma cię w garści. Kółko się zamyka.

— No i? — Doman czekał na ciąg dalszy.

— No i nic. Sprawdziłem to dokładnie. Lewe sanki. Ona tego nie zrobiła.

— Klucz. — Doman wyciągnął rękę i wskazał szafę pancerną stojącą w kącie pokoju. Obaj patrzyli teraz na nią. — Tutaj są akta windy, prawda? Bo w archiwum ich nie ma. Są u szefunia, bezpieczniutkie. Żeby nikomu nie przyszło do głowy je wyjmować.

Potem wyjął z teczki prokuratorskie akta.

— Te oficjalne już mam. Potrzebuję naszych, do analizy porównawczej. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak to załatwiłeś, cwaniaku. Koniec tych tajemnic.

Rzucił Pileckiemu zapalniczkę. Ten łapczywie zapalił.

— Nic tam nie znajdziesz. To była dobrze zrobiona sprawa. Ja jej nie prowadziłem — odparł komendant. — Masz jakieś wąty, idź do Swatka. On wie wszystko, jak było.

— Klucz — powtórzył Doman z naciskiem. — Sam to sprawdzę. Namotałeś tak, że... — Nie mógł znaleźć stosownego przekleństwa. — I

dalej kłamiesz. Nie żyjesz, bracie. Pisz lepiej wniosek o zwolnienie, zanim stary ci jaja urwie. Jeśli nie masz nic więcej na sumieniu.

Zaczął się codzienny obchód. Doktor Gajewski i kilka pielęgniarek odwiedzali kolejno pacjentów i rozmawiali z nimi o ich stanie. Kiedy wychodzili z największej sali, kierując się do kolejnej, do lekarza podjechał Roman. Wyglądał dziś o niebo lepiej niż ostatnio. Kikut nogi miał owinięty bandażem, twarz umyta, wąsy przystrzyżone. Pielęgniarki zaczęły go przeganiać, ale Gajewski nachylił się nad pacjentem.

— I co, lepiej dziś, Romek?

— Lepiej, znacznie lepiej panie doktorze — przyznał mężczyzna na wózku. — Tylko one mi taki wpierdol spuściły, że doktorowi głowę zawracam.

Lekarz uśmiechnął się półgębkiem.

— Była siostra, co? — Wskazał na nowe spodnie i wąsy.

— To one mnie to zrobiły, ją też mi zabrały — zniżył głos do niepokojącego szeptu. — Pan niech też uważa. One tu są, mówiły mi, żebym robił różne rzeczy, ale ja panu krzywdy nigdy bym nie zrobił. Nigdy!

— Wiem, Romek, zaraz pomówimy o tym dokładniej. Pacjenci czekają. — Gajewski wskazał na oczekujących na niego ludzi w innych salach.

Romek bez słowa zakręcił wózkiem, ale na odchodnym wskazał drzwi izolatki.

— A ona z policji? To pani major? Czemu zamknięta?

Lekarz skinął głową pielęgniarce.

— Ile? — zapytała. — Ile mu dziś dać?

Lekarz powstrzymał ją gestem.

— Witamina A i rutinascorbin. Dziś bez igieł — odparł i puścił oko do zawiedzionego Romka.

— Uważaj na nich, Romek, tylko spokój może nas uratować.

— Tak jest, doktorze — odparł pacjent.

Lekarz dał znak pozostałym, by kontynuowali obchód, a sam otworzył drzwi izolatki. Nie była zamknięta na klucz. Był to po prostu pojedynczy pokój. Proste szpitalne łóżko, szafka, wieszak na ubrania.

Na ścianie wisiała reprodukcja *Mony Lisy* w antyramie, jeden róg był obtłuczony. Na stoliku stało nietknięte jedzenie i kompot w szklance.

Ola siedziała tyłem do drzwi, haftowała. Słyszając, że otwierają się drzwi, podniosła głowę. Gajewski nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kobieta wygląda jak madonna z ikon, jakie ostatnio wносиła do prawosławnej kaplicy rzeczniczka praw pacjenta. Twarz miała wychudzoną, usta wciąż jednak były wydatne, zaś oczy miała prawie przezroczyście. Jasne włosy związała w ciasną kitkę. Była w sukience, w której ją przyjmował. Wyglądała na spokojną i nawet lekko się uśmiechnęła.

— Jak się pani czuje? — zapytał troskliwie.

— Lepiej — odparła. — Dziękuję panu.

Lekarz zerknął do jej karty.

— Widziałem, że brała pani nawet udział w zajęciach plastycznych. I w szkoleniu lekarskim.

— Tak — uśmiechnęła się. I dodała: — Byłam nawet na spacerze. Co jest w tej wieży?

— Skład rzeczy do spalenia. Takie tam śmieci.

— Będzie pan miał wieczorem dyżur? — zapytała, lekko przechylając głowę. Gajewski z wrażenia aż przełknął ślinę. Była taka śliczna i wcale nie wyglądała na wariatkę. Kiedy ją wtedy zabrali, przeczytał, jakie dostała zarzuty. Nawet jemu, a widział już w swoim życiu bardzo wiele, trudno było uwierzyć, że ten anioł mógłby dokonać tak potwornych zbrodni.

— Będę — powiedział. — Proszę przyjść. Tak około siedemnastej.

— Mogę dostać taką klamkę? — wskazała na urządzenie w jego ręku. Zawahał się.

— Nie bardzo — odparł.

— Jestem niebezpieczna? — zapytała łagodnie.

— Jest pani na obserwacji na zlecenie sądu, nie wolno mi pani tego dać — wyjaśnił.

Pokiwiała głową.

— Rozumiem — powiedziała. I odwróciła się do okna, pokazując coś za nim. Lekarz spojrział w tamtą stronę. Okno było zasłonięte. Ola podeszła do okna i odsłoniła firankę. Teraz widać było stare prosektorium, dawno już nieczynne, parking zarośnięty malwami i

starą wieżę ciśnię. Stał obok niej, czuł jej zapach. Jej skóra pachniała tanim mydłem z odrobiną słodyczy. Sam nie wiedział, co to mogło być, ale było bardzo przyjemne. Zdziwił się, większość pacjentów śmierdziała tu potem, wymiocinami i innymi ludzkimi wydzielinami. Wariaci śmierdzieli, dla nikogo nie było to tajemnicą. Ich umysły były na tyle odklejone od rzeczywistości, że higiena przestawała być ważna. Chyba że u takich, którzy myli się kompulsywnie, chcąc zedrzeć z siebie skórę. Każdy dzień pobytu Oli w tej placówce, jej obserwacja i zachowanie coraz bardziej upewniały go, że kobieta nie jest chora. Po podaniu jej zwykłych leków uspokajających i antydepresyjnych powoli wracała do formy. Gajewski przyjrzał się haftom, które wykonała na ramce. Ścieg był bardzo ładny, prawie niewidoczny. Białe kwiaty na białej lnianej tkaninie. Jedynym elementem kolorystycznym były gołe łodygi, które florystka dopiero zaczęła dziergać. Widział, że brakuje jej zielonych nici, żeby dokończyć pracę.

— Byłam tam — powiedziała, wskazując okrągły, wysoki budynek z czerwonej cegły. — I widziałam przez szpary, że tam stoi instrument. Widziałam klawisze. Czy można byłoby go wyjąć?

— Myślałem, że pani grała na harfie? — zdziwił się doktor. Spojrzał w kierunku wieży. Nie wiedział, że jest tam coś podobnego. Nie przypominał też sobie żadnej szpary, przez którą można by było zajrzeć do środka.

Ola uśmiechnęła się.

— Najpierw grałam na pianinie. Nawet jeśli tam jest klawesyn, potrafię na nim zagrać. Mogę go nawet nastroić. Od dawna nie grałam. Nie potrafiłam, ale teraz bardzo bym chciała. — Pochyliła głowę.

— To chyba niemożliwe. Sanepid. — Rozłożył ręce. Skłamał, ale wiedział, że to by zbyt podnieciło niektórych pacjentów. Nie wiedział, jak zareagują. Musiał to przemyśleć. Odwrócił się do niej i zapytał poważnie.

— Tam nie można zajrzeć. Jak pani tam weszła?

Ola pochyliła głowę.

— Nie było kłódki — przyznała. — Po prostu przesunęłam zasuwkę. Wyszłam z tą blondynką, która zawsze dręczy Romka. Ona ma klamkę. Nie tylko ona.

Lekarz westchnął ciężko. Wyglądało na to, że Ola doskonale odnalazła się w społeczności szpitala. Marta dotąd nie rozmawiała z nikim. A tej kobiecie nawet otworzyła drzwi i wypuściła ją poza teren. Nie był w stanie dopilnować wszystkiego. Na korytarzu rozległy się jakieś krzyki. Obejrzał się na drzwi. Rozpoznał głos Romka, musiał już tam iść, choć wolałby zostać z florystką i z nią dalej rozmawiać.

— Proszę przyjść wcześniej, niż mówiłem — oświadczył miękko; nie zdawał sobie sprawy, że może mieć tak aksamitny głos. — Za godzinę przyślę po panią pielęgniarkę. Proszę więcej nie opuszczać samowolnie szpitala, będę to musiał zgłosić policji. Pani wie, jaka jest jej sytuacja.

— Przepraszam... — Ola spojrzała na niego błagalnie. — Ja tylko chciałam pograć. Jeden raz. Proszę.

— Zobaczmy — odparł i podszedł do drzwi. Przed wyjściem odwrócił się i dodał: — Każę przynieść pani więcej zielonej muliny. I musi pani jeść.

— Ale ja nie czuję łaknienia — starała się bronić. — Miałam nadzieję, że on wróci, jeśli znów nie będę jadła.

— Inaczej będziemy zmuszeni podłączyć panią do kroplówki — zakończył dyskusję.

Ola odpowiedziała mu skinieniem głowy, bez uśmiechu.

Czekał na nią od godziny, ale wciąż jej nie przyprowadzali. Nie miał dotąd głowy, by się tym martwić, bo wciąż odbierał telefony. Na biurku czekała na niego cała góra papierkowej roboty. Nagle drzwi skrzypnęły. Poderwał się w obawie, że to znów ta zwariowana rzeczniczka. Najchętniej podałyby jej leki na klimakterium. Zobaczył, że do pokoju wchodzi florystka. Tym razem była markotna i zamknięta w sobie. Nie wydawała mu się już tak ładna, jak o poranku, w jasnym świetle izolatki. Wskazał jej brązowy wytarty fotel, jedyne miejsce, gdzie mogli usiąść oboje bez dzielących ich stołów.

— Coś się stało? — spytał.

— Tak — potwierdziła. Oczy miała zaczerwienione, była bliska płaczu. Doktor miał ochotę chwycić ją za rękę i pocieszyć. Powstrzymał się resztką sił. Przestraszył się tego, jak działa na niego ta pacjentka. Nigdy w swojej wieloletniej karierze nie miał do czynienia z kimś, kto wzbudzały u niego taką litość.

— Muszę z panem pomówić — szepnęła.

— Od tego jestem — odparł. Czuł, że kobieta chce mu się do czegoś przyznać. Może to było coś, czego nie udało się z niej wydobyć policjantom. Zawahała się i zamilkła na długą chwilę. Gajewski czekał cierpliwie.

— Proszę się nie obawiać. Może mi pani wszystko powiedzieć. Jeśli to pani w jakiś sposób pomoże, możemy ustalić, że ta rozmowa na razie zostanie między nami — zachęcił ją, choć wiedział, że nic z tego, co mu powie, nie może być tylko i wyłącznie ich tajemnicą. Ola była tu na zlecenie sądu, nie znalazła się tutaj z własnej woli.

— Nie trzeba — zaprzeczyła gwałtownie. — Nie potrzebuję żadnych sekretów. Po prostu czuję się tak źle! — Wybuchnęła płaczem. — On odszedł. Naprawdę odszedł.

Lekarz przyglądał się jej. Nie spodziewał się tego. Od kilku dni wydawało się, że kobieta czuje się lepiej. Był pewien, że dobrze dobrali jej leki.

— Proszę mówić. Będzie pani łatwiej — odparł. — Słyszysz pani jeszcze te głosy, widzi go pani?

— Właśnie nie. Nic nie czuję, nie widzę. To wszystko zniknęło. Wszystko. Ogród, mój syn, Zosia. To wszystko jakby było snem — zawahała się.

Lekarz wstał, podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Uśmiechnął się.

— Nie mogę tu palić — usprawiedliwił się. — Niech się pani nie boi. Nie zrobię pani krzywdy.

Ola milczała. Ocierała łzy, wpatrując się w niego. Miała rozszerzone źrenice. Lekarz pomyślał, że prędeziej on jest wariatem od siedzenia w tej biednej placówce niż ona.

— Co mi jest? — zapytała. — Co się ze mną dzieje? Chcę wiedzieć.

Usiadł obok niej i wziął ją za rękę. Nie opierała się. Ręce miała chłodne, drobne. Widział rany, ale szybko się goiły. Przeguby miała jednak wciąż obandażowane.

— Zanim odpowiem, muszę zadać pani kilka pytań. Odpowie mi pani szczerze?

Pokiwiała głową.

— Tylko taka rozmowa ma sens — podkreślił.

— Dziękuję panu — odpowiedziała. — Muszę wiedzieć.

Dyrektor zastanawiał się chwilę, po czym odłożył jej ręce na kolana i przyniósł sobie staroświecką blaszaną popielniczkę, którą postawił na stoliku.

— Czy pani słyszy głos syna?

— Teraz? — upewniła się.

— A słyszy pani?

— Nie, ale wydawało mi się, że słyszałam.

— Wydawało się pani, czy był to realny głos? My to nazywamy halucynacjami dźwiękowymi.

Ola zastanowiła się.

— Nie wiem.

— To skąd ja mam wiedzieć? — odpowiedział jej uśmiechem. — Czy to był realny głos? Czy ktoś inny go słyszał?

— Nie, tylko ja. Nawet udawałam przed ludźmi, bo mieli mnie za wariatkę — przerwała. — Przepraszam. Za chorą psychicznie.

— Czyli zdawała sobie pani sprawę z tego, że tylko pani słyszy Amadeusza?

Pokiwała głową.

— Czy widziała go pani?

— Tylko raz... Kiedy powiesiłam się na drzewie. Tuż przed...

— Przed tym, jak Eliza panią uratowała?

— Tak — odparła prawie bezgłośnie. — Ale to on mnie uratował. Przyszedł wtedy w białej koszuli, jak jakiś anioł. Wydawał się nawet młodszy, jakby miał kilka lat.

— Widziała pani takie aniołki w kościele, prawda?

— Możliwe — potwierdziła.

— A zapach, ten zimny powiew — drążył dalej. — Jakie to było? Realne, czy tylko w pani wyobraźni?

— Ja, ja nie wiem — zająknęła się. — Sądzi pan, że zmyślam? Że to wszystko wymyśliłam?

Lekarz patrzył na nią z troską. Wzrok miał dobrotliwy, nie potępił jej.

— Nie uważam tak, tylko pytam. Badam panią. Analizuję, co mogło dziać się z panią w związku z tym, co jest teraz — dodał.

— Pan wie, dlaczego on tak nagle zniknął? Nie ma już Ogrodu, nie słyszę go. Jakby on nie istniał. Jakbym się obudziła — histeryzowała. Wreszcie zebrała się w sobie i po namyśle odparła: — Wydawało mi się, że czułam jego zapach, że to był zapach mleka, jak był niemowlęciem. A ten zimny powiew, sama nie wiem.

— A może to był strach? — podsunął jej lekarz. — Czy ten zimny powiew nie pojawiał się, kiedy się pani czegoś bała, po jakichś zdarzeniach, które były dla pani trudne, stresujące?

Ola nie bardzo rozumiała.

— Byłam w Ogrodzie, on mnie tam zabierał. Byłam tam, przytulałam go, widziałam Zosię, zanim ona, zanim ją znaleziono — szepnęła. — Czy to też moja wyobraźnia?

— Kiedy bywała pani w Ogrodzie? I co się działo, kiedy pani z niego wychodziła?

— To były takie stany jak w transie. Takie... — zawahała się. Widział, że zaczyna to do niej docierać. Trzęsły jej się ręce, dygotała na całym ciele. Wreszcie nazwała to. — Zawsze otwierałam oczy. To był tylko sen?

Gajewski nie odpowiedział. Ktoś chwycił za klamkę. Usłyszeli głos rzeczniczki Nieciejowskiej.

— Panie doktorze! Wiem, że pan tam jest! — krzyczała.

Gajewski podszedł do drzwi z papierosem w ręku i otworzył je. Dmuchnął jej prosto w twarz.

— Słucham panią — powiedział. Kobieta zamrugła oczami, próbując zajrzeć do środka, ale nie udało jej się to, bo lekarz stał w drzwiach.

— Pan pali w placówce Narodowego Funduszu Zdrowia?

— Palę — uśmiechnął się. — Jakaż to sprawa panią do mnie sprowadza? Chce mnie pani ostrzec przed chorobami przyzębia? Tak, wiem. Palenie zabija. Jeśli zaś będzie mi pani przeszkadzała bez powodu w trakcie konsultacji, złożę na panią skargę. Myślę, że wszyscy pracownicy placówki Narodowego Funduszu Zdrowia podpiszą się pod nią.

Kobieta była zbyt zszokowana, by cokolwiek odpowiedzieć. Wyjęła zza pleców czekoladki i butelkę.

— Chciałam tylko podziękować. Dziś batuszka poświęcił naszą kaplicę.

Lekarz zerknął na łąpówkę i wziął jedynie czekoladki.

— Czy coś jeszcze? Będzie pani tak łaskawa i pozwoli mi pracować?

Kobieta zdążyła jedynie pokręcić głową. Zamknął jej drzwi tuż przed nosem, niemal uderzając w twarz.

Ola wciąż siedziała bez ruchu. Uśmiechnęła się słabo. Dyrektor zerwał folię z bombonierki i poczęstował ją. Odmówiła.

— Proszę jeść, to czysty magnez.

— Nie jestem w stanie — szepnęła cicho.

Zdjął fartuch i powiesił go na wieszaku.

— Czy czuje się pani wystarczająco dobrze, żeby pojechać ze mną na wycieczkę? — zapytał.

Nie odpowiedziała.

— Nie obchodzi mnie, czy pani ich wszystkich zabiła — oznajmił. — To kwestia pani sumienia. Sąd to ustali, nie ja. Ale zapewniam panią, że nie da się nikogo zabić i o tym nie pamiętać. A już na pewno duch dziecka, z którym z pewnością nawiązała pani jakiś rodzaj kontaktu, nie mógł zrobić tego żywym ludziom. To niemożliwe.

— Czyli nie jestem opętana? — upewniła się Ola.

— Prędzej ona jest. — Wskazał na drzwi. — Gdyby była pani opętana lub chora psychicznie, nie zdawałaby pani sobie z tego sprawy. Tamten świat byłby dla pani światem realnym. A jest przecież odwrotnie. Pani wie, że mam rację.

— Ale jak ja mam żyć bez niego? Jak? — Ola rozłożyła ręce.

— Nie może pani walczyć z tym, na co nie ma wpływu. Z niektórymi rzeczami trzeba się pogodzić. To boli, ja wiem, ale innego wyjścia nie ma. Leki tu nie pomogą. Sądzę, że ktoś zrobił pani wielką krzywdę, ale to nie był duch pani dziecka. Ani nawet nie pani sama. Zresztą wyleczenie jest możliwe tylko w jeden sposób.

— Jaki?

— Proszę wstać i iść ze mną. — Wziął ją za rękę, po czym objął ramieniem. — Ze mną nic nie może się pani stać.

Kiedy wychodzili, rzeczniczka stała na korytarzu, bacznie ich obserwując. Gajewski był pewien, że podsłuchiwała i nie straciła ani jednego słowa, jakie wypowiedział do pacjentki.

Cmentarz świętego Rocha był oświetlony gazowymi latarniami. Wyglądał na opustoszały, ale to było jedynie złudzenie. Rodziny w ciszy kontemplowały odejście swoich bliskich. Kładły kwiaty, zapalały znicze. Ola nie wiedziała, gdzie pochowany był jej syn, więc musieli zapytać kościelnego. Podał im numer kwatery, a ponieważ nadal nie wiedzieli, dokąd iść, zaprowadził ich do właściwej alejki. Potem Gajewski wręczył mu banknot i poprosił, by pozostawił ich samych. W zamian za to kościelny podarował im nieduży wkład do znicza. Nie miał do niego osłony. Gajewski schował znicz do kieszeni. Ruszyli. Ola była spokojna, ufnie poddawała się woli lekarza. Doktor pomyślał, że była bardzo łatwym przedmiotem manipulacji. Subtelna, obdarzona wyjątkową wrażliwością kobieta, która bez trudu wyobraziła sobie nieistniejącą przestrzeń, ponieważ potrzebowała do życia duchowego świata. Być może samotność i stłumione emocje także miały na to wpływ. Czytał jej akta. Nigdy nie była w dobrym związku. Mogła nawet nie wiedzieć, na czym on polegał. Mówiła, że kocha, ale to było jedynie pragnienie, nie uczucie. Dotarli do grobu, którego szukali. Był największy w tej części cmentarza. Wszędzie wokół były małe nagrobki dzieci. Musiały tu leżeć zmarłe noworodki. Ola z trudem zachowywała spokój. Zasłaniała twarz, ale lekarz siłą zdjął jej ręce z oczu.

— Niech pani nie ucieka. Niech pani patrzy — rozkazał.

Był to zwykły granitowy nagrobek z gładką płytą. Skromny, bez ozdób. Na froncie widniało porcelanowe zdjęcie Amadeusza i wypisane złotymi literami nazwisko oraz daty urodzenia i śmierci. Ola stała bez ruchu, długo wpatrując się w twarz dziecka i z trudem opanowując histerię. Syn był podobny do niej. Spojrzenie miał jednak inne, zawadiackie. Być może Ola też kiedyś była taka. Lekarz nie wiedział. To nie było teraz ważne.

— On nie żyje! — powiedział ostro, kategorycznym tonem. I dodał: — Pani syn nie żyje! Nie ma go od pięciu lat. Nie wiem, czy istnieje niebo, ogród czy może piekło. Nie wiem, czy on jest w którymś z tych miejsc, ale jego ciało zjadły już robaki, a dusza uleciała gdzieś daleko. Daleko od tego świata. On jest martwy! Oni wszyscy tutaj nie żyją. Te dzieci też. Może chorowały, a może zmarły zaraz po narodzinach. Miały o wiele mniej czasu niż Amadeusz.

Kobieta ukryła twarz w dłoniach.

— To nieprawda! Pan mnie dręczy. Pan chce mnie zabić tymi słowami — załkała.

— To jest prawda. I dobrze pani o tym wie. I powiem pani coś jeszcze. — Wskazał groby dookoła. — Wie pani, po co są cmentarze? One są dla żywych, nie dla zmarłych. Żebyśmy zawsze pamiętali, że ci ludzie już odeszli. Nie można tego cofnąć. To nie zabawa. Świat duchów może istnieć, może. — Zawiesił głos. — Ale najpierw trzeba przyjąć do wiadomości istnienie śmierci. Ona panią otacza, pani ją woła, ale pani w nią nie wierzy. A co to jest? — Znów wskazał grób syna Oli. — To jest jedynie symbol. Piękny symbol, który wymyślił człowiek, żebyśmy mogli się pożegnać i nie głupieli, lecz żyli. Pani powinna żyć! Żyć! Pani jest piękną, mądrą, uzdolnioną kobietą. I pani chce żyć! Gdyby pani nie chciała, już dawno by tak było.

Ola rzuciła się na grób syna. Po chwili z jej gardła wydobył się skowyt, a potem wrzask. Wyła jak zwierzę. Potem zerwała się i rzuciła na Gajewskiego, zaczęła go okładać pięściami. Była wściekła. Lekarz z trudem zasłaniał się przed jej ciosami. Pozwalał jej na to, jednak w milczeniu. Kiedy opadła z sił i już tylko cichutko jęczała, odezwał się:

— Niech pani płacze. Niech pani krzyczy. Niech pani wyrzuci z siebie całą wściekłość, którą trzymała pani w sobie nie wiem jak długo. Bo to jest straszne. To jest śmierć. Ona istnieje. I ma pani prawo być na to zła. Ma pani prawo do buntu, do wściekłości, do furii. Bo pani żyje. A on już nie. Jego nie ma. On nie może już nic.

Wyjął z kieszeni znicz, zapalił go i podał Oli.

— Teraz niech pani to postawi. Za jego spokojną duszę, jeśli coś takiego jest, ale przede wszystkim za siebie. Pani jest zdrowa. Pięcioletni koszmar z nawiedzającym panią synem się skończył. Dziś się pani z niego obudziła.

Lena gwałtownie zastukała do drzwi Lucjana Swatka. Długo nikt nie otwierał, aż wreszcie w drzwiach stanął kilkuletni chłopiec. W rękę trzymał świecący miecz Mistrza Jedi. Na twarzy miał maskę Lorda Vadera. Lena osłupiała. Z trudem zachowała spokój.

— Straszne — powiedziała bez emocji. Chłopiec zachichotał. Nadal jednak nie odsłonił twarzy.

— Jest tatuś? — zapytała.

Chłopiec pokręcił głową.

— A z kim jesteś w domu?

— Z dziadkiem.

— Zawołaj go.

Chłopiec odwrócił się i zniknął we wnętrzu domu. Lena natychmiast przekroczyła próg i nie czekając na zaproszenie, ruszyła schodami do góry. Była gotowa otworzyć wszystkie drzwi po kolei, ale zaczęła od warsztatu. Ku jej zdziwieniu nie było tam nikogo. Mało tego, pokój był wysprzątny, a po maszynie obrotowej i materiałach budowlanych nie było nawet śladu. Wyjrzała na balkon. Swatek stał tam, paląc papierosa. Nie zdziwił się na jej widok. Musiał ją widzieć, jak dobijała się do drzwi. Wściekła się, że bawił się z nią w kotka i myszkę.

— Słucham! — rzuciła w jego kierunku zamiast powitania.

Swatek zachował kamienną twarz.

— Widzę, że rozpira panią energia. Cóż za odmiana! — Wyciągnął w jej stronę papierosa. Odmówiła.

— Może mi pan to wszystko wyjaśnić? Dlaczego mnie pan oszukał?

Swatek odwrócił się. Zerknęła w tamtym kierunku. Na skraju balkonu stał chłopiec. Nie miał już maski na twarzy. Karnacja i rysy twarzy wskazywały na południową urodę. Lena zaczęła się zastanawiać, czy chłopiec przypadkiem nie jest potomkiem Romów. Zaraz jednak odgoniła tę myśl.

— Dziadku, włączysz mi bajkę? — poprosił chłopiec.

— Jasne. — Swatek ruszył za chłopcem. Lena poszła za nimi.

— Proszę zostać, nie ucieknę przecież — uspokoił ją ze śmiechem.

— Kto to może wiedzieć — mruknęła, ale została na balkonie. Przyjrzała się pelargoniom, które pojawiły się w doniczkach; wcześniej ich nie było. W ogrodzie dostrzegła kolejne budowle. Swatek wciąż musiał intensywnie pracować w warsztacie.

Po chwili z pokoju obok dobiegały już odgłosy bajki, której głównymi bohaterami musiały być samochody. Ich warkot i przesterowane odgłosy piszczących opon towarzyszyły im potem w trakcie całej rozmowy. Swatek wrócił z papierosem w ręce. W drugiej niósł popielniczkę. Wyglądało na to, że kiedy małżonki nie było w domu,

mógł swobodnie palić i z radością sobie na to pozwalał. Nie czekając, aż poprzedni dotli się do końca, zapalił następnego.

Lena wpatrywała się w byłego policjanta w oczekiwaniu. Ten jednak wcale nie zamierzał niczego jej ułatwić. Znowu czekał na jej pytania.

— Mamy poważny kłopot — zaczęła. — Wykonano stosowne czynności. Odlew buta wskazuje zgodność z ubraniem zabezpieczonym u florystki. Wózek też należał do niej. To był wózek Amadeusza. Niestety, wyskrobiny spod paznokci pobrane od ostatniej ofiary ją wykluczyły. Ona sama nie przyznaje się, mówi coś o duchach, przebywa teraz na obserwacji psychiatrycznej. Musieliśmy wypuścić wszystkich pozostałych podejrzanych, za to okazało się, że w poprzednich sprawach są poważne uchybienia. To są sprawy, które pan prowadził lub nadzorował — wyrzuciła z siebie.

— I czego pani ode mnie oczekuje? — spokojnie odparł Swatek. — Macie akta spraw, macie materiały. Co ja mogę tutaj zrobić? Jestem emerytem. Mogę tylko włączyć bajkę. — Uśmiechnął się.

Lena omal nie wpadła w furję. Jak miała przesłuchać starego policyjnego wygę? Na dodatek ten nadal zamierzał wodzić ją za nos.

— Dlaczego nie wykryliście windy? Co ze sprawą Berlinga? Czy Cyc zabił Amadeusza? Dlaczego nie powiedział pan nic o Pawle Nawrockim? Wznowiliśmy te sprawy, będzie pan miał na głowie nadzór z głównej — zagroziła mu.

— Skoro tak, to sprawa wygląda poważnie — odparł Swatek z uśmiechem. — Ale ja jestem tylko pionkiem. Nic nie wiem ponad to, co ma pani w papierach.

— Gdzie zaginął drut, którym ktoś zablokował windę w bloku florystki?

— To nie był drut, ale zapałka. Spłonęła wraz z resztą materiałów łatwopalnych — z łatwością odbił piłeczkę.

— Jaka zapałka? — spytała zaskoczona. — A co z drutem?

— To był ślepy trop, odrzuciliśmy go. Przycisk wypadał, ktoś go załatał. W całej dzielnicy sprawdzano wtedy windy. To był znany patent. Te dźwigi powinni dawno temu wymienić.

— To skąd pan wie o zapałce?

— Bo był kikut w przycisku alarmowym. To znaleźliśmy, ale ekspert pożarnictwa odrzucił tę hipotezę. Przyjął jednocześnie, że Julka nie

znalazła się tam przypadkowo. To było zabójstwo i kiedy wybuchł pożar, dziewczyna już nie żyła. Niestety, nie udało się znaleźć sprawców.

— Sprawców?

— Nie wiemy, czy była to jedna czy więcej osób. Były różne hipotezy.

— Więc? Może mi pan to wreszcie wyjaśnić?

— Nie — odpowiedział ze stoickim spokojem. I zaraz dodał: — Gdybym potrafił, już dawno bym to zrobił. Ale dam pani ekspertyzę. Pani ma jeszcze siłę walczyć.

— Mam już dwie, są zgodne. Akta nie są spreparowane. Porównaliśmy te od Pileckiego z prokuratorskimi. Florystka też ma alibi. Od Pileckiego. On za nią poręczył.

— Nie ma się do czego przyczepić, co?

— Zgadza się — potwierdziła Lena. — Tyle że nic nie pasuje, a ostatni trup nadal nie ma sprawcy. Mamy na karku wszystkich.

— Ekspertyza dotyczy śladów biologicznych zabezpieczonych w mieszkaniu florystki. To tam zginęła Julka. Były ślady krwi, włosów, także czerwień wargowa na filtrze od papierosów. Słowem, niezła jatka — odparł Swatek. Podał jej dokument, jakby był do tego przygotowany. Nie mógł trzymać go przecież na balkonie. I zaraz dodał: — Niech pani załatwi, żeby tam weszli. Ultrafiolet powinien to pokazać. Chyba że zdrapali wierzchnią warstwę ścian. Niewykluczone, ta kobieta musiała tam mieszkać. Nie dziwię się, że widziała duchy. W tym mieszkaniu mogła zginąć nie jedna, ale trzy osoby.

— Dlaczego pan to zrobił? — wydusiła Lena. — To oszustwo, wypuścił pan morderczynię na wolność. W aktach jest wszystko: ekspertyza miejsca zamieszkania Pawła, jego przesłuchanie, jej przesłuchanie, opinia pożarników, twarde alibi. Nic nie wskazywało bezpośrednio na nią. Wszystko to były poszlaki.

— A pani myśli, że dlaczego odszedłem? — odpowiedział pytaniem na pytanie. — Czy pani jest w stanie walczyć z ludźmi na górze?

— Tak — odparła bez wahania.

— A ja odszedłem. — Pochylił głowę. — A tutaj ma pani moje notatki. Byłem w jej piwnicy. Miała tam rozpuszczalniki i kartony, których szczątki znaleźliśmy w windzie. Kolega zbadał to dla mnie

nielegalnie, nie mogliśmy tego włączyć do sprawy, według Piły nie miało to znaczenia.

— Pilecki to odrzucił? Tak oficjalnie?

— Mariola o tym wiedział. Woleli zrobić z tego wypadek, niż przyznać się, że nie mają zabójcy. Wie pani, to była głośna sprawa. Płonąca winda, każdego to szokowało. To rozpuścili plotkę o iskrzącej instalacji. Zrobili kontrolę na całych Dziesięcinach, powymieniali dźwigi. Ludzie się bali. Niech pani z tego korzysta, ale mnie do tego nie miesza. Ja mam rodzinę, wnuki... — poprosił. — Te kartony były jej. Nie znaleziono zgodności, bo karton to karton, ale tam były napisy. Pamiętam je. Wtedy nikt nie dokumentował miejsca zdarzenia na wideo, nie da się tego odtworzyć. Dziś być może ta sprawa miałaby inny finał.

— Co tam było napisane?

— Salvi, cokolwiek to znaczy — odparł Swatek.

Pokój był cały biały. Poza łóżkiem nie było w nim nic innego. Przez cienką tetrową zasłonę do pomieszczenia wpadało miękkie światło. Amadeusz przyglądał się martwym jętkom, które, zwabione bielą zasłony, musiały się tutaj zlecieć wczorajszego wieczoru. Ich małe zielone ciała z przezroczystymi skrzydełkami tworzyły jego zdaniem niezrozumiały wzór. Amadeusz bawił się nimi chwilę, przesuwał je w różnych konfiguracjach. Rodziły się i umierały tego samego dnia. Po co? Ubranie matki leżało uprane i złożone na plastikowym taborecie. On sam był w długiej koszuli nocnej. Pod spodem był nagi. Obejrzał opatrunek na przedramieniu i sznyty po wcześniejszych samookaleczeniach. Krótki rękaw koszuli nie pozwalał ich ukryć. Amadeusz zresztą niezbyt się tym interesował. Usiadł na łóżku i zastanawiał się, co się z nim stanie. Liczył, że jeszcze zostanie w szpitalu, stąd mógłby uciec. Odsłonił zasłonkę, w oknie była krata. Pokój był zamknięty. Zastanawiał się, czy była tu kamera. Nagle zamek w drzwiach poruszył się. Ktoś włożył klucz. Pielęgniarka przyniosła lekarstwa, na tacy miała też bandażę. Szykowała się, by zmienić mu opatrunek. Obrzuciła spojrzeniem pokój i stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, podeszła do Amadeusza.

— Jak się czujesz? — zapytała.

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Wyglądasz dobrze. — Pielęgniarka przyjrzała mu się i zaczęła zmieniać opatrunek. Starła się być delikatna, palce miała aksamitne, chłodne.

— Boli? — zapytała troskliwie.

Amadeusz pokręcił głową. Nic nie czuł, żadnego bólu. Tylko łaskotanie. Bardziej wiedział, niż czuł, że pielęgniarka go dotyka.

— Masz gościa — odezwała się.

Wykazał lekkie zainteresowanie. Wpatrywał się w drzwi. Wiedział, że jeśli pozwoli mu stąd wyjść, ucieknie. Drugiej szansy nie będzie.

— Profesor Gajewski pozwolił temu panu przyjść tutaj warunkowo. Będiesz grzeczna? — przymilała się pielęgniarka. — Jeśli wszystko dobrze pójdzie, udasz się na pierwszą sesję grupową. Może nawet przeniesiemy cię do sali wieloosobowej. A może dostaniesz swoją kławkę i będziesz mogła spacerować po parku, ile tylko zechcesz.

Amadeusz nadal się nie odzywał, pokiwał tylko głową.

— Grzeczna dziewczynka — szepnęła pielęgniarka i wyszła.

Amadeusz nie ruszył się z miejsca, czekał. Widok z łóżka był najlepszy na schody. Zauważył, że kiedy kobieta otwierała drzwi, widać było zejście. Izolatka musiała być naprzeciwko wyjścia ewakuacyjnego. W razie czego gotów był także skoczyć. Sprawdził, że pokój znajdował się na pierwszej kondygnacji. Wszystko, byle się stąd wydostać. Kławka poruszyła się, Amadeusz spiął się w sobie, zacisnął pięści. Wbił paznokcie w skórę, nadal nic nie czuł. Rozwinął dłoń. Przyjrzał się poranionym rękom. Coś musiało pójść nie tak. Ale to nawet lepiej, że nie czuł bólu. Dla niego, nie dla matki.

— Oluś? — Ktoś potrząsnął kobietę za ramię. — Oluś, wszystko w porządku?

Ola otworzyła oczy, obudziła się gwałtownie. Wpatrywała się przestraszona w twarz mężczyzny. W pierwszej chwili go nie poznała. Był wychudzony, jego włosy były prawie całkiem siwe, na nosie miał pokrzywione okulary w okrągłych, metalowych oprawkach. Starał się mówić delikatnym głosem. Ubranie wisiało na nim, było całe wygniecione. Ola pochyliła głowę i spojrzała na niego spode łba.

— Poznajesz mnie? — upewnił się Pilecki. — To ja, Leszek.

Florystka spróbowała rozciągnąć usta w uśmiechu. Wstała, odwróciła się do okna, a kiedy przechyliła głowę w kierunku gościa, jej twarz spowijała aureola. Tak w każdym razie wydawało się Pileckiemu. Zdawało mu się, że cała drży. Poczuł ciepło rozchodzące się po całym ciele. „To znaczy, że budzi we mnie emocje” — pomyślał.

Tymczasem Ola wciąż jeszcze była pod wpływem koszmaru, który śniła przed chwilą. Od jakiegoś czasu nie miała żadnych snów z synem w roli głównej, ten zaś wyjątkowo ją przeraził.

— Zmieniłeś się — powiedziała sucho.

— Wiem, jest jeszcze gorzej. — Uśmiechnął się i podszedł bliżej. — Jak się czujesz?

Odsunęła się.

— Tak jak widać — odparła. — Doskonale.

Pilecki roześmiał się.

— Znów jesteś w formie. Zabiorę cię ze sobą. Już niedługo, wytrzymaj — obiecał.

— Ale ja nie chcę. Chcę tu zostać. Tu mi dobrze.

Pilecki patrzył na nią zdziwiony.

— Przecież kiedyś nie chciałaś zostać w szpitalu. Pamiętasz? — przypomniał jej.

— To był duży błąd — odparła. — Popełniłam wiele błędów.

— Może wyjdziemy na spacer? — Obejrzał się za siebie. — Nie chciałbym tutaj o pewnych sprawach rozmawiać.

Ola wstała, wskazując na swoje ubranie.

— Muszę się przebrać.

Pilecki skinął głową.

— Tak, oczywiście. Poczekam za drzwiami.

Nadal jednak stał, wpatrując się w nią zachwycony.

— Nic się nie zmieniłaś — powiedział.

— To nieprawda — odparła. — Mylisz się, jak zawsze.

Szli korytarzem. Kiedy minęli pokój pielęgniarek, Ola pozwoliła mu nawet wziąć się pod rękę. Potem spacerowali alejką, a ona opowiadała, jak jej się tutaj żyje, co je, ile śpi. Powiedziała mu o starym pianinie w wieży ciśnień, które doktor obiecał dla niej wydobyć i nastroić. Pilecki

słuchał jej, ale czuła, że niezbyt to go interesuje. Czekał tylko, kiedy skończy, żeby coś jej powiedzieć.

— Pamiętam, jak mi grałaś — szepnęła. — Chciałbym kiedyś znów posłuchać. Nie będziesz już musiała układać bukietów. Będziesz grała. Obiecuję. Wiem, jakie to dla ciebie ważne. Wszystko będzie dobrze. Nikt się nie dowie. Zajmę się tym.

— Ale o czym? — zdziwiła się. Pilecki speszył się, po czym dodał pokornie, zniżając głos.

— Wiem przecież, że to nie byłaś ty. To ten chłopak cię opętał. Ja ci wierzę. Rozumiem to. To jest możliwe.

Odsunęła się gwałtownie.

— Co ty mówisz? Nic nie zrobiłam!

— Wiem, kochana, wiem. — Starał się ją udobruchać. — Już się nie denerwuj. Jak znów wpadniesz w trans, nie będę w stanie ci pomóc. Już dobrze.

Ola opędzała się od niego jak od natrętnej muchy.

— To nie był żaden trans! To były sny! Ty nic nie rozumiesz! Trzeba wszystko powiedzieć i ja im powiem. Trzeba to wszystko wyjaśnić. Nie można dłużej tego ukrywać. Ktoś zabił Zosię i nadal jest na wolności — oburzyła się florystka.

Pilecki zamarł. Zamrugnął przekrwionymi oczami. Okulary zsunęły mu się z nosa. Chwycił ją za rękę.

— Nie krzycz — poprosił chrapliwym szeptem, lecz stanowczo. Nie podobało mu się to, co dzieje się z florystką. — Nic nikomu nie mów. Nic, nigdy, rozumiesz? — Zamilkła momentalnie. Wpatrywała się w niego ze strachem. Była bezbronna w jego rękach, wokół nie było nikogo. Wtedy pochylił się, dotknął jej twarzy brzegiem dłoni i próbował pocałować. Uchyliła się w ostatnim momencie. Nie zdołała się jednak wyrwać.

— Zostaw mnie! Nie dotykaj! — krzyknęła, ale zaraz ucichła. Uświadomiła sobie, że i tak nikt jej nie usłyszy.

— Możemy już wracać? — zapytała, chcąc, by pomyślał, że się boi, ale Pilecki doskonale odczytał jej emocje. Pogładził ją po głowie. Pozwoliła mu na to, jednak nie potrafiła powstrzymać grymasu niechęci na twarzy.

— Masz rację. — Puścił ją wreszcie. — Jeśli stąd wyjdiesz, nie będę mógł cię chronić. Lepiej, żebyś tu została. Nie mówmy już więcej o tym. To moja działka.

— Amadeusz nie żyje — odparła. — To wszystko była moja projekcja.

— Wiem, masz halucynacje, zajmijmy się tym. Jak to się skończy, znajdę ci najlepszego lekarza. Mam pieniądze — przekonywał ją.

Zatrzymała się i zdecydowała zagrać *va banque*. Tak czasem robił jej syn. Widziała teraz wyraźnie, że wiele rzeczy uzyskiwał od niej przez szantaż emocjonalny. Zerwała opatrunek i pokazała głęboką ranę, która rozchyłała się na boki niczym pozbawiona zamka torebka. Pilecki był zszokowany.

— Ja to sama zrobiłam! Nikt mi nie kazał. Ale nie jestem chora. Nie jestem też opętana duchem dziecka. Ani nikogo nie zabiłam.

— Tak, tak. Dlatego musisz tu zostać. Oni ci pomogą — odrzekł, starając się ją uspokoić.

— Zostaw mnie — rozkazała.

— Ola... — Dotknął jej ramienia, ale strząsnęła jego rękę.

— Potrzebuję tylko spokoju — oświadczyła. — Jeśli chcesz mi pomóc, nie przychodź więcej.

Ruszyła w przeciwnym kierunku, do starej wieży ciśnięć. Pilecki długo za nią patrzył. Była smukła, delikatna. I miał rację, prawie się nie zmieniła przez te wszystkie lata. Czekał, aż się do niego odwróci, nie liczył na uśmiech, tylko na jedno spojrzenie. Nie zrobiła tego, choć musiała czuć jego palący wzrok na swoich plecach. Poczł ogromny zawód, a potem irytację. Kiedy skręciła w bok, byle być jak najdalej od niego, ruszył w kierunku wyjścia, ale po chwili zmienił zdanie. Czł teraz niesmak i narastającą złość. Pierwszy raz od lat. Coś w nim pękło. Nie chciał, by tak zakończyło się to spotkanie. Zdecydował, że ją znajdzie. Po tym wszystkim, co dla niej zrobił, zasługiwał chyba na coś więcej niż na odrzucenie jak psa.

Prokuratora Mariusza Tomaszuka obudził dzwonek telefonu. Było grubo po północy.

— Śpisz? — usłyszał w słuchawce głos Domana.

— Nie, gram w statki — odparował Mariola. — Która godzina? Dopiero wróciłem z lotniska.

— Wypocząłeś na Kanarach, to bierz dupę w troki i przyjeżdżaj do Choroszczy — huknął na niego policjant.

— Oho, ale jesteś nabuzowany. A od kiedy to szef jeździ na oględziny? Weź się opanuj, Doman, i zadzwoń do jakiegoś młodego palanta, co ma dzisiaj dyżur. — Mariola ziewnął i nawet nie ruszył się z łóżka.

— Lepiej żebyś tu był w ciągu trzydziestu minut albo składam jutro wniosek o ściganie ciebie i kilku innych osób za fabrykowanie dowodów i inne takie tam! — Prokurator usłyszał jedynie trzask odkładanej słuchawki.

Ubrał się pośpiesznie. Nawet niczego nie przegryzł przed wyjściem. Wyszedł z domu i wsiadł do auta. Po drodze kilka razy dzwonił do Pileckiego, ale nikt nie odbierał. Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę.

— Co jest? — rzucił prokurator.

— Dobrze, że już jedziesz — odpowiedział mu Doman. — Kolega już czeka na ciebie i zarzuty.

Tomaszuk momentalnie przestał być śpiący. Nie dzwonił już nigdzie, tylko przycisnął gaz do dechy.

Rynek w Choroszczy nie pamiętał takiego obłęzenia. Na parking nie dało się wjechać, stały tam wszystkie radiowozy z okolicy. Gdyby Mariola nie był tak przestraszony, pomyślałby, że to zlot dyskotek ze wszystkich województw. Funkcjonariusze w mundurach pilnowali czerwono-białej taśmy. Po wylegitymowaniu natychmiast odprowadzili go z eskortą na miejsce zdarzenia. Już z daleka rozpoznał wszystkich białostockich oficjeli. Był tam nawet sam komendant wojewódzkiej jednostki. Na widok Tomaszuka zmarszczył brwi i wskazał placyk pod starą wieżą ciśnień. Kłębili się tam technicy i Doman ze swoimi ludźmi. Był też psycholog z pomocnicą. Prokurator był zszokowany. Nagle podeszło do niego dwóch znajomych funkcjonariuszy. Bez żadnych wyjaśnień założyli mu kajdanki i odprowadzili do radiowozu.

— Nie macie prawa! — pokrzykiwał Mariola. W sąsiednim radiowozie zauważył siedzącego apatycznie ze zwieszoną głową Pileckiego. Był otepiały, nie zwracał na nic uwagi.

— Co jest, chłopcy? — Tomaszuk starał się zagadać do prowadzących go policjantów. — A temu co się stało? — Wskazał naczelnika.

— Komendant kazał mu pisać wnioski o zwolnienie, inaczej sam będzie musiał to zrobić — wyjaśnił mu łaskawie Wojda.

— A niby za co?

— Potajemnie utrzymywał intymne stosunki z podejrzaną. No i ma już zarzut zabójstwa — wyjaśnił, po czym pochylił prokuratorowi głowę, by mógł zmieścić swoje potężne cielsko w aucie.

— A ja? — krzyknął Tomaszuk. — Co ja mam z tym wspólnego?

Policjant spojrział na niego z politowaniem.

— Piękny Mario. — Zaśmiał się. — Już dawno piękny nie jesteś. Ale dalej grasz świętoszka? Ty? Pójdiesz siedzieć za współudział. Pewnie dojdą też inne rzeczy. Nazbierało się, że ho, ho.

— Ale kto tym razem zginął? — Tomaszuk chwycił policjanta za kurtkę. Wojda strącił jego rękę ze wstrętem.

— A co to ja? Informacja? Zaraz przyjdzie do ciebie twój szef, to ci wszystko wyjaśni — odparował.

— Ja tu jestem szefem! — jęknął Mariola.

— Ty byłeś szefem, stary. Byłeś.

Po czym odszedł wolnym krokiem.

Zofia Makerosz zakończyła pracę i właśnie zdejmowała lateksowe rękawiczki. Musiały jej się skończyć kolory, bo dziś miała zwykłe, białe. Nie świeciły się, a ona sama wyglądała na przybitą.

— Są ślady walki. Próba uduszenia, ale przyczyną śmierci był upadek ze znacznej wysokości — oświadczyła Domanowi. — Roztrzaskana czaszka, kości połamane na miazgę. Trudno się na razie w tym rozeznąć. Na pewno nie żyje.

Po chwili wyniesiono ciało w czarnym worku.

— Lekarz miał rację — przyznał Meyer. — Nie rzuciła się sama. A co z tym?

— Robota dla grafologa. — Doman pomachał zgniecionym listem, napisanym odręcznie na kartce w kratkę, bez koperty.

Wszyscy patrzyli teraz na starą wieżę z czerwonej cegły. Drzwi wejściowe były otwarte, w środku widać było skład połamanych mebli, resztki pociętych desek, pojemniki z farbą. Z boku stało stare, złamane pośrodku pianino. Na nie właśnie musiała spaść florystka.

— Chyba nie przyszła tu sobie pograć — powiedział Wojda z ironicznym uśmieszkiem. Doman zgromił go wzrokiem.

— Puknij się w makówkę, kretynie — skwitował Petryka.

Lena wyszła z wieży. Była w obcisłych džinsach i skórzanej kurtce, włosy miała związane w małe kucyk. Wyłączyła kamerę i podeszła do policjantów.

— Większość schodów ma ruchome stopnie. Balustrada na trzeciej kondygnacji została świeżo wyłamana. Technik twierdzi, że musiała wdrapać się aż tam. Pewnie uciekała.

Doman rzucił peta pod nogi.

— To siedzimy w jebanym gównie po pachy. Straciliśmy główną podejrzaną. Nic już nie powie. Mamy tylko tyle, ile zdołał wydusić z niej lekarz. Czyli prawie nic. Sprytne. — Odwrócił się do radiowozów, którymi odjeżdżali właśnie Pilecki i Tomaszuk.

— A tym chujom nie daruję — wycedził, po czym wykonał gest, jakby strzelał.

Pół godziny później na placyku było już cicho i pusto. Meyer pojechał razem z policjantami. Na prośbę komendanta miał pomóc w przesłuchaniu Pileckiego i Tomaszuka. Lena została w Choroszczy i jeszcze przez godzinę spacerowała po obiekcie, robiąc analizy i fotografując. Przed przesłuchaniem dyrektora szpitala chciała zbadać teren. Szpital nie należał do najpiękniejszych. Zewsząd otaczały go chaszczki i zarośla. Budynki były źle wyposażone, brudne. Każdą dziurą wchodziła tu bieda. Psycholożka wyjęła kopię listu zostawionego przez florystkę. Wyglądał na oryginalny. Wydarta w połowie kartka w kratkę. Pożółkły papier, nieczytelny charakter pisma, świadczący o tym, że list pisany był pod wpływem emocji. Bez podpisu. Technicy policyjni dopiero mieli dokładnie go zbadać. Wszyscy dziwili się, dlaczego Ola zostawiła taki list, choć było pewne, że nie popełniła samobójstwa, lecz została brutalnie zamordowana. Lena jeszcze raz go przeczytała.

Drodzy lekarze, sędziowie, dobrzy ludzie.

Moje życie to był Amadeusz. Miałam tylko jego i nie potrafiłam bez niego żyć, kiedy odszedł. Wmawiałam sobie, że miłość mojego życia żyje, tylko jest w innym wymiarze. Byłam przekonana, że życie doczesne nie ma sensu, zaczyna się dopiero tam, gdzie teraz jest mój synek. To tutaj jest tylko fazą przejścia, myślałam. Tylko dlaczego ja muszę wciąż tkwić w tej poczekalni? Szukałam pomocy. Prosiłam o pomoc w zmianie mojego mózgu, ale nikt nie słyszał mojego wołania. Ludzie zainteresowali się mną, kiedy było już na wszystko za późno. A przecież mówiłam od razu, co dzieje się ze mną, co dzieje się z moją głową. Mówiłam wszystkim: policjantom, przyjaciółce, matce, współpracownicy. Może nie potrafiłam wyjaśnić, bo sama tego nie rozumiałam. Nie jadłam, nie spałam. Nie czułam zmęczenia, raczej niezdrowe pobudzenie. To tylko tak wyglądało, że jestem grzeczną dziewczynką, ale w środku aż się gotowałam. Dlatego lepiej mi było, gdy byłam głodna. Nie nosiło mnie tak, z synem miałam wtedy lepszy kontakt. Nie chciałam niczego widzieć, za nikim nie tęskniłam. Uciekałam w samotność, byle być bliżej dziecka. Trafiałam na kolejne obserwacje, gdzie przechodziłam tylko egzaminy, a każde spotkanie z lekarzem było rodzajem testu. Wszyscy mówili, że się za bardzo nad sobą użalam. Radzili, żeby wziąć się w garść, żyć dalej. Po co? Dla kogo?

Po tym, jak odszedł, wszędzie go słyszałam, widziałam, czułam jego zapach. Czasem, jak przechodził obok, czułam zimny powiew, jakby chłodny wiatr. Pierwszy raz usłyszałam jego głos gdzieś z oddali, dosłownie kilka dni po jego śmierci. Sądziłam, że on tak naprawdę nie umarł, że cały czas kontaktował się ze mną. Szeptał: „Tylko ty i ja, nikt więcej”. Dawał mi znaki, pojawiały się zjawiska nadprzyrodzone. Uratował mnie przed samobójstwem, zawrócił z tunelu. Obiecał, że wezwie do siebie. Ale nikt mi nie wierzył. Dziś ja sama w to nie wierzę. To była iluzja.

Problem polega na tym, że nie jestem upośledzona umysłowo, a mój iloraz inteligencji wskazuje na to, że umiem myśleć. Nie jestem też chora. Łatwiej powiedzieć, że jestem potworem, i wtrącić mnie do więzienia. Łatwiej to od siebie odsunąć, niż się nad tym pochylić. Nie chcę dyskutować z wyrokami, które zapadły w tamtych sprawach, ani zaprzeczać, że jestem winna. Nie chcę też wychodzić na wolność. To, że jestem zamknięta, w gruncie rzeczy mi pasuje. Nie mam po co wracać do świata. Nie wiem, co mogłabym tam robić. Bez Amadeusza to już nie jest mój świat. Choć nie wierzę, że mogłabym być tak zła, jak o mnie mówią. Chcę tylko znów móc kochać moje dziecko, ale nawet tego nie mogę, bo ono ma nade mną całkowitą władzę i muszę z nim walczyć, by nie zrobić tego, do czego mnie namawia, czego kategorycznie żąda. Ale czy to Amadeusz stara się teraz ze mną rozmawiać, czy może jakiś demon podszywa się pod niego, wykorzystując moją bezgraniczną miłość do syna? Jak można to sprawdzić? Jak uwolnić się, wyleczyć mnie?

Dalej kartka się kończyła, list się urywał. Lena podała go doktorowi Gajewskiemu. Wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. Wreszcie potrząsnął głową.

— Nie była chora?

— Była całkiem zdrowa i za kilka dni mieliśmy ją wypisać. Chciała też zeznawać. Zależało jej, by wyprostować wszystkie te sprawy — zapewnił.

Siedzieli w tym samym pokoju, gdzie kilka dni temu doktor rozmawiał z florystką. Teraz jednak on zajął miejsce za biurkiem i kiwał się na swoim nadłamanym krześle obrotowym, aż Lena miała ochotę zwrócić mu uwagę. Nowa lampa nad jego głową bujała się leciutko.

— Nie znam się na tym, ale wydaje mi się, że sprawca podrzucił ten list, by uwiarygodnić jej samobójstwo — powiedział.

— A jednak list wydaje się prawdziwy — pokiwała głową Lena. — To mogła napisać florystka.

— Ola mówiła, że pisała listy. Może to jej stary list? Może to fragment listu? — Wskazał wydarcie. I podkreślił: — Brak podpisu, daty. Samobójcy o to dbają. Zresztą ona nie słyszała już ducha dziecka. Nie była w stanie, który usprawiedliwiłaby samobójstwo. Już mówiłem.

— Co jej właściwie było?

— Depresja — odparł Gajewski. — Plus towarzyszące jej objawy: niepokój, kłopoty ze snem, brak łaknienia, otępienie, poczucie bezsensu. Najzwyklejsza w świecie depresja.

— A duch dziecka? Zmyśliła to? Miała halucynacje?

— Nie występowały u niej uporczywe zaburzenia urojeniowe, jeśli pani o to pyta — odparł oschle lekarz. — Z jej perspektywy duch istniał. Tyle że było to wyobrażenie wytwórcze.

Po minie kobiety zorientował się, że nie ma pojęcia, o czym mowa.

— To można porównać z wyobraźnią dzieci. Większość dzieci potrafi stworzyć sobie takie obrazy: ogrody, światy. I do nich uciekać. Bogaty świat fantazji. Ona to potrafiła. Była wrażliwa, delikatna. Nie była chora. To była wyłącznie jej wyobraźnia.

Potem dyrektor opowiedział Lenie, jak zawiózł Olę na cmentarz i jak się tam zachowywała.

— Pękła. Nie było to udawane. Potem przez jakiś czas była rozbita, ale z każdym dniem było coraz lepiej.

— Była tam pierwszy raz? — zainteresowała się.

— Pierwszy, nie wiedziała nawet, gdzie jest grób jej dziecka — zapewnił Gajewski.

Lena zastanowiła się chwilę.

— Skąd pan wie, że nie była chora? Jak to stwierdzacie?

— To proste. Człowiek chory jest głęboko przekonany, że nie tylko on widzi, słyszy, czuje ducha. Jest wręcz zdziwiony, że inni tego nie słyszą. On wie, że to istnieje naprawdę. Ta pacjentka zachowywała się odwrotnie. Zdawała sobie sprawę, że to doświadczenie jest tylko jej. Poza tym nie słyszała tych głosów realnie, nie czuła tego realnie. Wyobrażała to sobie. Ten stan jest zresztą normalny po stracie bliskiej osoby. Ale zwykle przechodzi po przeżyciu pierwszego etapu żałoby. Jest ich cztery.

— Wiem. Czyli ona została na pierwszym? Nie domknęła tych emocji?

— Jeszcze je podsyciała. Starła się utrzymać ten stan.

— Przez tak długi czas? To niemożliwe.

Lekarz zgodził się z nią.

— Aż dziwne, że naprawdę nie oszalała. Wbrew pozorom musiała mieć silną psychikę. To była bardzo delikatna osoba, łatwa do obróbki, ale przytomna i sędzę, że miała przebłyski świadomości. Ponoć pisała listy, ktoś z przyjaciół słał je do różnych instytucji. Nie rozumiem, dlaczego nikt jej nie pomógł.

— Ten mężczyzna, ten policjant... — zaczęła dyplomatycznie Lena.

— Wiem, kim jest. — Gajewski się uśmiechnął. — Wszyscy mieszkamy na Dziesięcinach. Pilecki?

Skinęła głową.

— On chyba sądził, że jej pomaga.

— I jeszcze bardziej ją pogrążał. To także moja sugestia, by pani to sprawdziła. Niemożliwe, żeby ktoś przez tyle lat utrzymał taki poziom wyobrażenia wtórnego. To musiało być podsycane czynnikami zewnętrznymi. Ktoś pieczołowicie dbał o to, by kobieta tkwiła w tym stanie. Ten ktoś prawdopodobnie cierpi na syndrom barona Münchhausena^[12], słyszała pani o tym? Matki podtruwające swoje dzieci, upuszczające własną krew do ich moczu, który oddają do badań,

tylko po to, by zmylić lekarzy i umieścić je w szpitalu, a co za tym idzie, móc się nimi nieustannie opiekować.

Lena pokiwała głową.

— Na początku sądziłem, że ona sama to sobie robiła — ciągnął Gajewski. — Obserwowałem ją pod tym kątem. Potem jednak zaczęła opowiadać coraz więcej. Okazało się, że do podtrzymania ducha dziecka wystarczyło jej niewiele: zrzuć jego ubrań, dźwięk dzwonek wietrznych, drzwi, które same się otwierały, przebieranki, kwiaty zakwitające w jedną noc. To byłoby zwykłą perfidią. I łatwo można by się tym znudzić. Trudno znaleźć nowe sztuczki, zwłaszcza że trwało to całe lata. Tak inteligentna osoba jak florystka zbyt szybko wykryłaby oszustwo, co mogło być tragiczne w skutkach. Sądzę więc, że ten człowiek, który nią manipulował, szybko zorientował się, że trzeba posunąć się nieco dalej i całkowicie ją ubezwłasnowolnić. Bo to właśnie stało się z tą kobietą. Ktoś doprowadził ją do tego stanu, a potem jedynie to pielęgnował, jak pielęgnuje się kwiaty, by dobrze rosły. Albo ma się do nich rękę, albo nie.

Lena czekała w napięciu na dalszy ciąg. Lekarz milczał chwilę.

— Zapali pani? — spytał. Pokiwała głową. Zdziwiła się, kiedy wstał i zaczął się ubierać. Potem wyszli z gabinetu, zamykając go na klucz.

Wsiedli do auta. Poczęstował ją papierosem. Otworzył wszystkie szyby i jeżdżąc po parku wokół szpitala, kontynuował:

— Ktoś ją podtruwał. Najpierw delikatnie, żeby tylko czuła się źle. Żeby nie jadła, nie spała, żeby bolała ją głowa. Proszę pamiętać, że po śmierci dziecka te objawy były naturalne. Ta osoba, niezwykle inteligentna, jedynie to wykorzystała.

— Ten ktoś chciał uzależnić florystkę od siebie? — upewniła się Lena.

Gajewski potwierdził.

— W takim stanie była łatwym przedmiotem manipulacji. Dlaczego to robił, nie wiem, ale liczę, że pani się dowie.

— Jak ją podtruwał?

— Dokładnie nie wiem. Florystka przecież tego nie wiedziała. Umarła, zanim zdążyłem zakończyć proces badawczy, choć myślę, że ten ktoś zorientował się, że ona zdrowieje. Chciała zeznawać. Chciała mówić. I, co najważniejsze, już nie widziała ducha dziecka.

— Czyli nie wiemy, co jej dawał?

— Myślę, że leki. — Dyrektor wydmuchał dym przez okno. — To mogły być mieszanki różnych leków, tworzące niebezpieczne skutki uboczne. Może eksperymentował na niej i sam do końca nie wiedział, co się zdarzy oraz jak ona zareaguje. Ważne jednak jest coś innego. To on wmówił jej, że wszystko, co dziwne, dzieje się za sprawą ducha Amadeusza. Inteligentnie sugerował jej różne rzeczy, że się tak wyrażę. Wmawiał na przykład, że się pokaleczyła, albo doradzał jej coś, twierdząc, że dzięki temu będzie bliżej dziecka. Może mówił, że to szczególnie więź, że nie powinna z niej rezygnować. Resztę kobieta sama sobie nadbudowała. Prawdą jest, że nie chciała wierzyć w śmierć dziecka. I sprawca to wiedział.

— Jak pan to ustalił? — spytała Lena. Była oszołomiona. Trudno było uwierzyć w tak niezwykłą teorię.

Gajewski nie odpowiedział od razu.

— Dzień przed jej wizytą w wieży sam zrobiłem taki eksperyment. Zupełnie niegroźny. Podałem jej zwykły środek przeciwzapalny, jaki stosuję przy bólach kręgosłupa. Tyle że w zwiększonej dawce. Łatwo było przewidzieć, co się stanie. Kobieta natychmiast zaczęła być senna, musieliśmy ją odprowadzić do izolatki. Potem nie pamiętała, że ktoś ją prowadził. Miała lukę w pamięci. Zwierzyła się za to, że znów miała sen z synem w roli głównej. Śniło jej się to, co zwykle. Ogród i dziecko. Pożegnała się z nim. Powiedziała mu, żeby odszedł. Była szczęśliwa.

— Czego to ma dowodzić?

— Obserwowaliśmy ją. Wyglądała, jakby po prostu spała. Była jednak nieprzytomna. To takie same objawy jak po podaniu benzodiazepin, słynnych tabletek gwałtu. Z tym, że wtedy człowiek raczej nie ma snów. I ona też może ich nie miała. To była jedynie jej wyobraźnia, o którą jej oprawca dbał w świecie realnym. W trakcie tych luk w pamięci, które ją gnębiły — bo bała się, że może wtedy jak lunatyczka morduje kolejne osoby — tak naprawdę leżała bez ruchu, kompletnie bezwładna. Ta druga osoba mogła wtedy z nią robić wszystko. Nacinać, podduszać, krzywdzić w każdy możliwy sposób. Widziała ją pani, jaka była poraniona. Mogłaby ją nawet zabić. Ale przecież nie o to chodziło. Przy dobrej legendzie Ola dopowiadała sobie resztę.

Lekarz zerknął na stan paliwa. Zaświeciła się kontrolka.

— Koniec palenia — powiedział, po czym zaparkował i ruszyli w stronę budynku terapeutycznego.

— Ale po co? — dopytywała się Lena.

— Po co? — powtórzył z uśmiechem. Kiedy wchodzili po schodach na górę, na korytarzu zaatakował ich Romek.

— Nie teraz — powiedział Gajewski. I zażartował, patrząc na Lenę: — Później, mam tu panią major.

Romek natychmiast się spłoszył.

— Kiedy doktorze... — szepnął — ...one znów do mnie gadają. Pan nie słyszy? Ależ one klną. Ja im powiedziałem, że pan doktor nie chce z nimi gadać, ale co ja mam im powiedzieć? Głowa od tego boli.

Lekarz spojrzał na Lenę i westchnął ciężko.

— Dobrze, Romek, dostaniesz swój zastrzyk. Masz swój Dzień Dziecka — zażartował, a kiedy trochę odeszli, wyjaśnił: — Halucynozą poalkoholową. On się zawsze dziwi, że my jego duchów nie słyszymy. Teraz pani rozumie? To jest klasyczny, nasz białostocki wariat. Ola Jekel była zdrowa.

Lena spojrzała przez okno na bramę szpitala.

— Dlaczego tu jest otwarte? Każdy może tu wejść. Czy nikt nie pilnuje, kto wchodzi na teren szpitala, kto wychodzi? Nie ma nawet bramy. To nie jest bezpieczne.

Lekarz momentalnie spoważniał.

— To jest szpital, proszę pani. Nie więzienie.

Lena zobaczyła zaciekawionych nimi pacjentów.

— A co do bramy — uśmiechnął się doktor — owszem, był płot. Ukradli. Tak jak ukradli kłódkę ze starej wieży. Ja na ponad dziewięćset pensjonariuszy mam po kilka pielęgniarek na oddziale. Pielęgniarek, ani jednego pielęgniarza. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc? Jestem tu wprawdzie dyrektorem, ale też jednym z lekarzy na etacie. Zaraz mam obchód.

Lena nabrała powietrza w płuca i zadała ostatnie pytanie, które nurtowało ją od początku tej rozmowy:

— Nie odpowiedział pan na pytanie. Po co, pana zdaniem, ten ktoś wpędził florystkę w taki stan?

Lekarz wzruszył ramionami. Dla niego odpowiedź była oczywista.

— W tym samym celu, w którym matki z tym zespołem krzywdzą własne dzieci nieustannymi kroplówkami, czy nawet zmuszając lekarzy do operacji zdrowych organizmów. Motywacja jest zawsze ta sama — podkreślił. — By mieć nad nią kontrolę. Tylko o to chodziło. U psychopatów zawsze chodzi o to samo. O poczucie władzy.

Las Pietrasze w nocy wyglądał złowieszczo. Przez gęste korony drzew nie przedzierał się nawet najcieńszy strumień światła. Mężczyzna szedł wolnym krokiem, szukając odpowiedniego miejsca. W oddali słyhać było pohukiwanie puchacza. Tuż przed nim przebiegła sarna. Mężczyzna zamarł. Zatrzymał się, uznając, że to znak. Jeśli będzie szedł dalej, straci siły i nie zdoła wspiąć się na odpowiednią wysokość, by zarzucić pętlę. W oddali słyhać było jadącą karetkę. Pomyślał, że tutaj karetka z pewnością nie zdąży dojechać. Dopiero przed godziną wypuścili go z komendy. Wiedział, że zrobili to jedynie z litości. Jutro mieli wezwać go ponownie. Doman okazał się bezlitosny podczas przesłuchania. Pilecki musiał przyznać, że dobrze wyszkolił chłopaka. Doman nie używał siły fizycznej, choć chodziły słuchy, że bije podejrzanych. Dobrze się do tej rozmowy przygotował i załatwił go psychologicznie. Być może w przygotowaniu taktyki maczał palce ten zarozumiały Ślázak; teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Choć Pilecki nie powiedział im ani słowa, wiedzieli wszystko od Tomaszuka, który, chroniąc swój gruby tyłek, wystawił go im jak na tacy. Powiedział o podmiance ekspertyzy z mieszkania florystki w sprawie płonącej windy, a także o pośpiesznym wrobieniu Cyca w zabójstwo syna Oli. Choć wznowili oba śledztwa do rewizji, nie zmieniało to głównych założeń i raczej bez przyznania się do winy nie mogli go oskarżyć o te zbrodnie. Pilecki miał jednak swój honor. Nie mógł już patrzeć na swoje odbicie w lustrze. Nie wyobrażał sobie własnego procesu w sprawie zabójstwa florystki. Do więzienia zaś nie da się wsadzić, choć przecież był niewinny i w końcu musieliby do tego dojść. Ale nie przeżyłby takiego upokorzenia. Każdy wie, jak w areszcie tymczasowym traktują policjantów. To, że jej nie zepchnął, nie miało znaczenia. Poza niefortunnym pocałunkiem, który widziała jedna z pielęgniarek, nie dotknął Oli nawet małym palcem. W dodatku był ostatnią osobą, która chciałaby zrobić jej krzywdę. Uważał się za jedynego przyjaciela Oli.

Tak o sobie myślał. To on jedyny się o nią troszczył i podał jej rękę, kiedy tego potrzebowała. On jeden ją rozumiał i akceptował. On jeden jej wierzył.

Drzewa szumiały uspokajająco. Pilecki powoli wyciągnął pasek ze spodni, wybrał gałąź i zarzucił go. Za pierwszym razem chybił celu. Nie czuł się najlepiej, ale wiedział, że musi to zrobić, choćby ostatkiem sił. Nie miał już nikogo i nie chciał się dłużej męczyć. Śmierć może go jedynie wyzwolić od tej udręki. Dołączy do niej, gdziekolwiek by była. Ile to razy odcinał w tym Lesie Wisielców? Znał doskonale ten najszybszy i najskuteczniejszy sposób ucieczki. Gwałtowne odcięcie dopływu powietrza, przerwanie rdzenia kręgosłupa. Chwila grozy i zaraz jest po wszystkim. To znacznie lepsze niż kulka w łeb czy skok z wieżowca. Zresztą miał lęk wysokości, a broń mu zabrali. Las Pietrasze nadawał się do tego celu idealnie. Na tyle blisko od miasta, że z łatwością można było tu dotrzeć autobusem, a na tyle odludny, że będą go szukać tygodniami albo miesiącami. To, jak będzie wyglądał po śmierci, wcale go nie obchodziło. Cieszył się na samą myśl, że dołoży im pracy i spowoduje u niektórych torsje.

Bez wahania wspiął się po sękach i sprawnie włożył głowę w pętlę. Zeskoczył i zawisł. Bezskutecznie czekał na szybką śmierć. Ku jego przerażeniu pętla była zbyt duża. Wisiał, męcząc się potwornie i nie mogąc się z niej uwolnić. Pomyślał, że może jednak zasłużył na takie męczarnie, ale już po chwili zaczął tracić przytomność.

Barbara Sochacka wysiadła z samochodu i ruszyła w kierunku wspaniałej willi. Za jej plecami szumiało morze. Dopiero kiedy dotarła do drzwi ze staroświecką kołatką, odwróciła się i spojrzała na Arkadiusza, który nadal siedział w aucie. Wyglądało na to, że wcale nie zamierzał wysiadać. Matka westchnęła ciężko. Całą drogę rozmawiali i wydawało jej się, że go przekonała. Wyglądało jednak na to, że wciąż się bał.

— Idziesz, syneczku? — zaszczebotała. Wiedziała, że musi załatwić to sama. Znów wszystko było na jej głowie. Jan kategorycznie odmówił współpracy, nie chciał nawet słyszeć o wyjeździe do egzorcystki. Co gorsza, powiedział, że ma serdecznie dosyć tej farsy i w najbliższym czasie wystąpi o rozwód. Sochacka oczywiście nie wzięła na poważnie

słów męża. Zbyt wiele lat byli już razem, by teraz czynić takie rewolucje. Rodzinna tragedia powinna była ich zjednoczyć w bólu, tymczasem poza nią nikt w nic już nie wierzył. Ona też pewnie załamałaby się, gdyby nie jej silna wiara. Na szczęście Bóg dawał jej siłę i musiała teraz zawalczyć o swojego jedyne syna. Pokiwała głową i odparła Janowi bez emocji, że pomówią o tym po powrocie. Liczyła, że egzorcystka do tego czasu wypędzi demony z ciała jej syna i wszystko powróci do normy. Tego, co się stało, nie można było cofnąć, ale Barbara wszystko dokładnie przemyślała. Ta tragedia miała im coś pokazać. Co? Tego jeszcze nie wiedziała. Zauważyła jednak, że syn ostatnio zachowuje się bardzo dziwnie. Odkąd oskarżono go o pedofilię, zamknął się w sobie, przestał wychodzić z domu, kiedy próbowała z nim rozmawiać, był agresywny. Dla niej to znaczyło tylko jedno: demony. W jeden dzień zorganizowała akcję ratunkową. Jechali całą noc, by zdążyć na umówioną wizytę. Nie było łatwo się zapisać. Konsultant, z którym rozmawiała, powiedział, że egzorcystka ma bardzo napięte terminy. Trzeba było też zapłacić za cykl spotkań, załatwić hotel oraz przygotować się do wyjazdu. Przez ostatnie dni Sochacka stała przy kuchni, robiąc mężowi zapasy. Kiedy wyjeżdżali, nawet na nich nie spojrział. Miał zaciętą minę, był nieogolony. W kółko oglądał te swoje programy przyrodnicze. Barbara знаła już na pamięć taniec godowy wilków.

— Dlaczego nie idziemy do księdza? — spytał Arkadiusz oschle. — Skoro coś ze mną jest nie tak, powinien zobaczyć mnie ksiądz.

— Synku... — Pogłaskała go po głowie, ale odsunął się, wciąż patrząc jej głęboko w oczy. — Wiesz, że nie możemy ryzykować. Co by ludzie powiedzieli? Zresztą — zawahała się na moment i dokończyła: — Mówiłam już z naszym proboszczem. Powiedział, że nie widzi żadnego problemu. Stwierdził, że tu nie egzorcysty trzeba, ale psychologa. Odmówił pomocy mnie, choć tyle zrobiłam dla parafii — poskarżyła się.

Arkadiusz podniósł głowę.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? Może wcale nie jestem chory?

Sochacka wzruszyła ramionami.

— Nawet z tobą nie pomówił — powiedziała z żalem. I wskazała piękną, białą willę. — Ona zaś wypytała mnie o wszystko. Ufam jej. Wiesz, ile ona osób uwolniła od ducha?

— To jakaś wariatka — burknął pod nosem syn.

— Wariatka, zaraz znowu wariatka — zachnęła się Barbara. — Zapłaciłam i idziemy. Jak nie pomoże, będziemy myśleć. No chodź, zrób to dla swojej starej matki. Przecież sama nie wiem, ile jeszcze pożyję. Słabo się ostatnio czuję. Jest gorzej niż wcześniej, spać nie mogę i kolana mnie bołą. Nie wiem, może jakiegoś raka mam — trajkotała. Planowała wziąć Arkadiusza na zmęczenie, bo kiedy dotarła do dolegliwości oczu, wysiadł wreszcie z auta i ruszył z impetem w stronę willi. Zanim wszedł, obrzucił budynek czujnym spojrzeniem.

— Ile bierze ta cała egzorcystka? — zapytał. Matka tylko wzruszyła ramionami.

— Ty nic nie musisz płacić, to się nie interesuj! — Pociągnęła go za ramię, jakby był kilkuletnim rozbrykanym chłopcem. — A teraz marsz i bądź grzeczny. Od tej pani może zależeć nasze życie.

— Nasze? — zdziwił się Arkadiusz.

— A ty myślisz, że dla kogo my z ojcem żyjemy? — odparła i znów była słodka jak ulepek. — Dla ciebie. Tylko dla ciebie. Tylko ty nam teraz zostałeś.

Zanim dostali się do egzorcystki, musieli podejść do recepcji, a potem odpowiedzieć na kilkadziesiąt pytań, które przypominały przesłuchanie na policji. Wreszcie wypyujący ich, przeraźliwie chudy, wymuskany mężczyzna, który sam siebie nazywał menedżerem pani Eleonory, wziął kartki, które wcześniej wypełnił drobnym maczkiem, i zapukał do bogato zdobionych drzwi. Sochacka nie odstępowała syna na krok. Po pierwsze, bała się, żeby nie uciekł, a po drugie, zżerała ją ciekawość. Mężczyzna z kartkami odwrócił się do Arkadiusza i dał mu znak, że może wejść. Barbara poderwała się z krzesła.

— A pani sobie tu poczeka — usadził ją menedżer, na co kobieta zareagowała ostro:

— Sam pan sobie poczeka. Nie ma takiej możliwości!

Po czym wepchnęła się do pokoju.

Pomieszczenie było zalane światłem słonecznym. Poza jednym krzesłem i miniaturowym stolikiem ze szklanką wody opróżnioną w połowie, było pusto. Tyłem do drzwi stała drobna, niska kobieta. Głowę miała ostrzyżoną jak nowicjuszka w klasztorze. Była ubrana w długą, bezkształtną sukienkę do kostek, przypominającą habit. Nie odwróciła

się, kiedy Sochaccy weszli. Chwilę stali w progu, nie wiedząc, jak się zachować. Ponieważ było tylko jedno krzesło, Arkadiusz po dżentelmeńsku wskazał je matce. Kobieta usiadła. Czekali. Nadal nic się nie działo. Barbara chrząknęła znacząco. Arkadiusz zdjął czapkę.

Egzorcystka odwróciła się. Zdawało się, że nad jej głową unosi się łuna światła słonecznego, jakby aureola. Dopiero kiedy wyszła spod źródła światła, zobaczyli jej pomarszczoną twarz. Nie była stara, lecz niewyobrażalnie brzydka. Trudno było określić jej wiek.

— Może pan odejść — zwróciła się do Arkadiusza.

Barbara poruszyła się niespokojnie na krześle.

— Ale to on jest pacjentem — zaznaczyła. — To on ma problem, nie ja.

— Czyżby? — Kobieta uśmiechnęła się.

Arkadiusz wciąż stał w tym samym miejscu, jak słup soli.

— Synku, powiedz pani — Sochacka podniosła głos. — Przecież rozmawialiśmy o jego kłopotach! Zapłaciłam nawet połowę stawki za osiem sesji. Całe cztery tysiące!

— Ile? — wyrwało się Arkadiuszowi. — Ile jej zapłaciłaś?

Egzorcystka Eleonora pokiwała głową, podeszła do stołu i upiła niewielki łyk wody.

— Napije się pani czegoś? — zapytała uprzejmie.

— Nie, dziękuję — odparła Barbara opryskliwie.

— Jeśli ktoś chce się uleczyć, czuję to. I widzę, że pani bardzo tego pragnie — powiedziała cicho i spokojnie. Potem zaś wskazała na jej syna. — On nie ma kłopotów ze sobą, tylko z panią.

Chwyciła nieduży dzwoneczek i poruszyła nim. Nie rozległ się żaden dźwięk. Po chwili do pokoju wszedł menedżer.

— Tak, skarbie? — zwrócił się do egzorcystki. Sochaccy spojrzeli na niego zdziwieni. Nie zorientowali się, że tych dwoje może być razem. Mężczyzna był młodszy od kobiety grubo ponad dwadzieścia lat.

— Pan już wychodzi — odparła Eleonora. Po czym zwróciła się do Arkadiusza: — Mąż pana odprowadzi. Zajmie nam to trochę czasu, proszę przyjść za kilka godzin, dowiedzieć się, jakie są efekty. Pierwsza sesja jest zawsze nieprzyjemna.

— Ale ja tu nie zostanę ani minuty dłużej! — krzyknęła Barbara i zaczęła się zbierać do wyjścia.

Eleonora nie zareagowała. Wpatrywała się w kobietę z lekko podniesionym kącikiem ust. Wreszcie zaczęła mówić. W jej głosie była taka siła, że nikt, nawet jej młodociany małżonek, nie ruszył się z miejsca:

— Duchy naszych bliskich często zostają z nami, gdyż nasza wzajemna miłość skruwa nas jak łańcuchami. To tak naprawdę lęk, nie miłość. Ale my zwykle tego nie odróżniamy. I tylko ze względu na rozpacz nie chcemy pozwolić odejść tej ukochanej duszy, a potem ona nie ma siły nas opuścić, licząc, że w przyszłości się to zmieni. Czas ucieka, a duchowi coraz bardziej brakuje energii do życia. Aby przeżyć, musi czerpać energię od ludzi, którzy znajdują się w pobliżu. Najczęściej są to jego najbliżsi. Ta więc człowieka z duchem staje się coraz silniejsza i zdarza się, że duch wnika w ciało człowieka. Po jakimś czasie pozostaje już tylko walka o ciało człowieka i o jego energię. W większości przypadków duch coraz słabiej pamięta, czyje jest ciało, które nawiedził, i bierze je za swoje. Uważa nawet, że to człowiek jest intruzem, który go opętał, i zaczyna z nim walczyć. Zapomina o pokrewieństwie, bo ono liczy się tylko tu, na ziemskim poziomie. Dlatego trzeba pamiętać, że kiedy umiera nam ktoś bliski, musimy pozwolić mu odejść w czasie dla niego przeznaczonym, mimo że nasze serce cierpi z rozpacz. Jeżeli na to nie pozwolimy, to zniszczymy i jego życie, i nasze.

W pomieszczeniu panowała absolutna cisza.

— Idziemy, mamó — zdecydował Arkadiusz, ale ponieważ Barbara nie reagowała, podszedł do matki i chwycił ją za rękę. — To jakaś wariatka. Odzyskamy te pieniądze, nie martw się.

Egzorcystka intensywnie wpatrywała się w Sochacką. Ta zaś nie była w stanie się ruszyć.

— Jak ma na imię twoja córka? — zwróciła się Barbary. Sochacki zamarł.

— Chyba moja. Miała, ona już nie żyje — dodał łamiącym się głosem Arkadiusz i natychmiast stracił rezon.

— Pytam ciebie — powtórzyła Eleonora, patrząc na Barbarę. — Twoje wszystkie problemy wynikają z tego. Musisz pozwolić jej odejść. Wiesz o tym.

Sochacka pochyliła głowę. Kiedy ją podniosła, po twarzy płynęły jej łzy. Arkadiusz podbiegł do matki, by ją przytulić.

— Idź, synku — powiedziała.

— Ale mammo! Co ci jest? — zaniepokoił się. Nigdy nie widział jej w takim stanie. — Chodź, daj już spokój.

— Twoja siostra miała na imię Zosia — wyszeptała Barbara. — Tak jak twoja córka. Straciłam je obie. Córkę i wnuczkę.

— Każde nawiedzenie przynosi zło, a jego skala zależy od tego, jak wielka była nasza miłość — odezwała się znów Eleonora. — Tak jak bardzo go kochaliśmy, tak silny jest duch, tak wielką ma nad nami władzę. Gdy duch czerpie tylko energię, nawiedzony człowiek ciągle czuje się zmęczony, poirytowany. Kiedy jednak duch wniknie w ciało, te objawy mogą być bardzo różne. Od ledwie zauważalnych dla otoczenia, poprzez różnego rodzaju zaburzenia i choroby somatyczne, aż do ciężkich chorób psychicznych włącznie. Często tym nawiedzającym duchem jest własna matka, ojciec, ukochany dziadziś. Także dziecko — podkreśliła. — Nie jest to spowodowane złą wolą ducha, tylko walką o przetrwanie, której podłożem jest błędne rozumowanie ducha. Związany z nami naszą miłością-lękiem, nie przyjmuje do wiadomości, że umarł — przerwała egzorcystka.

— Nie wie, że umarł? — powtórzyła Sochacka. — Nie wie?

Eleonora podeszła i wzięła ją za rękę.

— Musimy pomówić z małą Zosią, która już doprowadziła do wielu złych rzeczy, i poprosić ją, by odeszła do światła, gdzie jest jej miejsce. Jeśli tego nie zrobimy, może być bardzo źle. Z panią, panem i całą waszą rodziną. Kraina duchów to miejsce, gdzie powinna się znaleźć Zosia. Pani zaś powinna wrócić do żywych — oznajmiła kobieta.

Arkadiusz spoważniał.

— O co tutaj chodzi, mammo? Możesz mi wyjaśnić? Mammo! — zażądał stanowczo.

Barbara milczała.

— Mammo — szarpnął ją. — Ty jej nie zrobiłaś nic złego? Ty nie... — zawahał się. — Nie zrobiłaś krzywdy Zosi?

Przerażona Sochacka zaczęła trząść rozpaczliwie głową.

— Nie! — zapewniła z płaczem. — Ale to moja wina, że zginęła. Wygoniłam ją tego dnia. Powiedziałam, żeby poszła precz.

Powiedziałam, że nikt jej tu nie chce. Ani my, ani Marlena. Nie myślałam tak, byłam wściekła. Nie chciała się modlić. Podarła Biblię, śmiała się ze mnie. Tak tylko powiedziałam, wiesz, jaka jestem... To przeze mnie uciekła do florystki.

Barbara ukryła twarz w dłoniach. Płakała.

— Ale twoją siostrę zabiłam. Myślałam, że nie stać nas na drugie dziecko. Usunęłam ciążę. Boże, wybacz mi — chlipała cicho.

Zapadła cisza. Arkadiusz nie był w stanie wypowiedzieć słowa. Nie mógł uwierzyć, że jego matka zrobiła coś takiego. I że coś takiego siedzi w niej przez tyle lat.

— Nie robi mi pani krzywdy? — Podniosła głowę na egzorcystkę, która uśmiechała się pobłaźliwie.

— Ja nie wypędzam duchów z ludzi, lecz uwalniam ich od nich — oświadczyła spokojnie Eleonora. — Rozmawiam z duchem i uświadamiam mu, że nie żyje, a potem staram się przekonać, by poszedł w stronę światła. Pytanie tylko, czy pani chce, by Zosia odeszła. By obie odeszły. Jeśli sama pani ich nie puści, będą się działy jeszcze gorsze rzeczy. Już chyba wystarczy, pani Basiu?

Doman nie spał dzisiejszej nocy, podobnie jak poprzedniej. Ledwie widział na oczy, a wciąż nie mógł wrócić do domu. Po wczorajszym przesłuchaniu naczelnika czuł się jak szmata. Wygarnął mu wszystko, każdy jego błąd, ale przecież to był jego nauczyciel, to on prowadził go za rączkę w tej firmie. Ufał mu przez tyle lat, tymczasem okazało się, że z Piłą od lat działo się coś złego. Umiał się jednak maskować. Żartował, śmiał się i pił z nimi. Meyer wyjaśnił mu, że wszystkiemu winna była nieprzeżyta żałoba po śmierci żony, co połączyło go w kluczowym momencie z florystką. Doman dziękował opatrznosci, że posłał za Piłą ludzi, by pilnowali go dzień i noc. Nie musieli czekać nawet do rana. Piła sprytnie ich wykiwał i uciekł do Lasu Wisielców, gdzie próbował się powiesić. Na szczęście nieudolnie. Odcięli go w ostatniej chwili. Doman nie wiedział, jak to by się skończyło, gdyby jeden z jego ludzi nie zadzwonił do niego. We dwóch z trudem uratowali byłego szefa. Teraz Doman jechał do szpitala, by pomówić z Pileckim, a przez jego wybryk miał kolejne kwity do wypełnienia. Wszedł na szpitalny korytarz. Jedna

z pielęgniarek zaprowadziła go do sali, gdzie leżał naczelnik. Pilnowali go Wojda z Petryką.

— Potem może się nawet pokroić — oświadczył im sam szef wojewódzkiej komendy w Białymstoku. — Ale do czasu zakończenia śledztwa ma być przy życiu. Inaczej zrobię z was miazgę.

Meyer czekał na niego przed wejściem. Wyglądał jak nowo narodzony. Wypoczęty, świeża koszula, błysk w oku. Obok niego stał młody prokurator. To musiała być jedna z jego pierwszych spraw, bo bardzo się denerwował. Odszedł na bok i wertował kodeks postępowania karnego, jakby uczył się czegoś na pamięć.

Doman wskazał na prokuratora.

— A to kto? Uczniaka nam dali? To, że Mariolę zamknęliśmy, nie znaczy, że cała prokuratura jest aresztowana.

— Może robią czystki.

— On jest z pewnością najczystszy. Niewiniątko, kurwa. Prawiczek, jak nic. Dopiero wczoraj asesurę skończył.

Zaśmiali się obaj.

— Zaraz mu pokażę. — Doman zatarł ręce, ale Hubert starał się go powstrzymać:

— Daj spokój, kiedyś musi być ten pierwszy raz. Niech ma swój, taki jaki mu wyszedł. Piła jeszcze śpi, niech się chłopak przygotuje. Co ma mieć traumę — przekonywał.

— Chyba tremę — odparł Doman i zajrzał do sali. — Poczekam z dziesięć minut i włożę.

Ale zamiast tego zaczął się rozglądać, gdzie by tu zapalić, bo wszędzie były tabliczki informujące o zakazie.

— Zmieniasz się w wampira — Meyer zażartował z kumpla, chcąc rozładować sytuację. Doskonale wiedział, co się stało. — Jeszcze trochę, a dostaniesz medal.

— Dam ci go, chcesz? — zaśmiał się policjant. — Też by ci kły wyrosły, jakbyś przez godzinę trzymał Piłę na ramionach, a ten drugi patafian nie umiał wleźć na drzewo, żeby go odciąć.

Hubert się zaśmiał.

— Ale sukces pełen.

— Poradzę mu, żeby następnym razem szedł głębiej w las. Ta dróżka to stałe miejsce. Jakby ze stoperem wędrowali po śmierć. Baby wieszają

się zawsze dalej, może dłużej się wahają przy podejmowaniu decyzji — rechotał Doman.

Meyer zastanowił się. Przestał się uśmiechać.

— Ciekawe, jakie miejsce wybrała sobie florystka.

— Tego się już nie dowiemy, stary. — Komisarz machnął ręką. — I wiesz co, mam to gdzieś. Rzygam już florystką, duchami i tym wszystkim. Muszę na urlop. Wchodzimy! — Szarpnął Meyera. A do prokuratora wrzasnął: — Ej, młody! Wjazd na metę!

Pilecki nie wyglądał dobrze. Ręce i tors miał podłączone do różnych urządzeń. Na ich widok odwrócił głowę, przymknął oczy, ciężko oddychał. Doman szturchnął prokuratora, który jękając się, zaczął odczytywać formułkę o postawieniu zarzutu zabójstwa florystki. Kiedy spytał Pileckiego, czy przyznaje się do winy, ten pokręcił głową.

— Spierdalaj — syknął.

Doman zamarł, a po chwili uśmiechnął się. Postawił się na jego miejscu i pomyślał, że też by tak zareagował.

— Szefie, to prokurator — pouczył go z troską.

— Nie zrobiłem tego — szepnął Pilecki. — Ale róbcie, co chcecie. Nie dam się zamknąć.

— A kto mówi, że będziemy cię zamykać — odezwał się Hubert. Wszyscy spojrzeli na niego. — No w każdym razie jeszcze nie w tej chwili. Nie z tym sprzętem. — Wskazał na respirator, a potem zamilkł. Doman zaczął się już niecierpliwić.

— Tak sobie pomyślałem — zaczął znów Meyer. — I dobrze, że pomógł nam pan wpaść na ten trop, bo skoro już wiemy, że pan był z nieżyjącą Olą Jekel bardzo blisko, to może pan wie, kto poza panem uratował ją w Lesie Wisielców.

Doman zmarszczył brwi, nic nie rozumiejąc. Szturchnął Huberta, ten jednak nie zareagował. Młody prokurator też wpatrywał się w oczekiwaniu. Wreszcie oświadczył oficjalnym tonem:

— Zdaje mi się, że w takich przypadkach jest trochę inna procedura.

— Siedź cicho, synku, i ucz się — huknął na niego Doman i zwrócił się do profilerera: — A ty przyspiesz, bo zaraz zasnę tu obok szanownego naczelnika.

— Sam pan nie mógł jej odciąć — podkreślił Meyer. — Kto wtedy z panem był? Paweł Nawrocki?

Pilecki początkowo nie słuchał. Kiedy jednak Meyer powtórzył pytanie, odparł:

— Ja? Nigdy nie byłem z nią blisko. Tak mi się tylko zdawało. Ona nie dopuszczała mnie do siebie na krok. Prędzej bym zdechł, niż okazałaby mi odrobinę uczucia. Teraz to widzę. Wolała tego pajacyka ze sklepu, ale tak naprawdę znała ją jedynie ta nauczycielka. Ona do niej łąziła, opiekowała się nią. I to ona mnie wezwwała.

— Jaka nauczycielka? — zdziwił się Doman.

— Maestra? — zapytał zdziwiony Meyer.

— Harfistka — potwierdził Pilecki. Mówił z trudem, jakby każde słowo sprawiało mu coraz większy ból. — Nawet mieszkała z nią jakiś czas. Ola tylko ją wpuszczała do domu po śmierci dziecka. Ona wie o niej wszystko.

Nagle aparatura zadzwięczała. Młody prokurator pobiegł po lekarza, bo puls Pileckiego spadał. Doman przestraszył się nie na żarty. Pilecki mówił rwanymi zdaniami, jakby bał się, że nie zdąży.

— Jeśli Ola dokonała tych zbrodni, Eliza Fal musiała o tym wiedzieć, ale ją kryła.

— Już nic nie mów — szepnął Doman. Patrzył na swojego szefa ze współczuciem. Ten jednak nie słuchał.

— Ja popełniłem wiele błędów, ale nikogo nie zabiłem — zapewnił Pilecki. — Przez całą służbę nigdy nie strzelałem do człowieka. Dasz wiarę?

Próbował się uśmiechnąć, ale był to jedynie grymas.

— Wiem, stary — zapewnił Doman.

— Żebyś nigdy nie popełnił takiego błędu jak ja — pouczył go naczelnik. — Tak wiele mi się zdawało. Wydawało mi się, że wiem, a tylko mi się wydawało. Uważaj na to, co ci się wydaje, szczyłu.

— Tak jest, szefie. — Doman był poruszony. Jedynie grał twardziela.

Wbiegli lekarze, odsuwając policjantów na bok. Meyer i Doman patrzyli, jak zabierają naczelnika na oddział intensywnej terapii. Nie byli pewni, czy kiedykolwiek wróci.

— Zawsze stawiał na swoim — powiedział Doman i uśmiechnął się, ale był to najsmutniejszy uśmiech świata. — Więc i tym razem może mu się udać. Naprawdę chce spierdolić na drugą stronę, skurwiel.

Eliza Fal weszła do pokoju nauczycielskiego, wachlując się solfeżem, i ciężko dysząc, opadła na krzesło. Naruszona kość biodrowa znów zaczęła ją boleć. Wiedziała, że koniecznie musi iść na rehabilitację, ale wciąż odsuwała to na później. Łykała środki przeciwbólowe i starała się jakoś wytrwać. Wyjęła z torebki mentolowe slimy, przysunęła kryształową popielnicę. Z lubością zaciągnęła się pierwszym dzisiejszego dnia papierosem. Zignorowała kategoryczny zakaz palenia w pokoju nauczycielskim. Nareszcie miała dla siebie całe czterdzieści pięć minut okienka. Dopiero zadzwonił dzwonek i choć ktoś mógł tu wejść, wcale się tym nie przejmowała. W szkole nikt nie ośmieliłby się zwrócić jej uwagi.

Na korytarzach stopniowo cichły uczniowskie hałasy, jedynie z sal dobiegały dźwięki instrumentów. Obok ktoś kaleczył *Poloneza Ogińskiego*. Eliza starała się nie słuchać błędnego wykonania utworu. W jej wieku walka z gromadą rozkrzyczanych dzieciaków, nawet tak dobrze ułożonych, z jakimi miała do czynienia w tej wyjątkowej placówce, gdzie sztukę stawiano na pierwszym miejscu, coraz częściej była ponad jej siły. Dziś rano miała nieprzyjemną rozmowę z obecną dyrektorką, Anitą Świerkowską. Maestra do tej pory nie mogła się pozbierać po tym, co usłyszała od swojej byłej uczennicy. Jeszcze piętnaście lat temu Świerkowska nie śmiała nawet się odezwać w trakcie indywidualnej lekcji. Tak bardzo chciała grać na harfie, że rodzice próbowali przekupić Elizę, żeby wepchnęła ją na przesłuchania do filharmonii. Oburzona maestra tylko z litości nie doniosła na Świerkowską ówczesnym władzom szkoły, nie chciała jednak mieć z przekupką nic wspólnego. Poleciała dziewczynie, by — jeśli chce zostać w szkole — przeniosła się do klasy fletu, którą zresztą Świerkowska jakimś cudem ukończyła, a potem nawet dostała się do Akademii Muzycznej... Eliza tylko podejrzewała, komu i ile zapłacili rodzice dziewczyny. Efekt tych działań był dzisiaj imponujący. Zamiast kariery solistki Świerkowska w dogodnym momencie wybrała wspinaczkę po szczeblach drabiny władzy. Była doskonałym strategiem. To Eliza musiała jej przyznać. Zawsze uważała Świerkowską za beztalencie artystyczne, lecz doceniała jej geniusz organizatorski. A dziś rano dyrektorka wreszcie dokonała swojej zemsty. Mogła wreszcie usunąć jedyne świadka jej poniżenia. Czuła się teraz pewnie jak triumfator.

Czekała na to tyle lat. Wszystko odbyło się pod pozorem troski, w białych rękawiczkach. Po prostu zasugerowała, by maestra nie brała już popołudniowych zajęć. Było to równoznaczne z jej rychłym zwolnieniem.

— Wiemy, co pani przeżywa — przekonywała ze sztucznym uśmiechem dyrektorka. Eliza wpatrywała się w nią obojętnie, puszczając mimo uszu każde słowo. Pamiętała ją jeszcze jako nastolatkę. Nikt poza maestrą jej wtedy nie dostrzegął. Siedziała zawsze z tyłu, zacięta w sobie i milcząca, jednak wszystkie wiadomości chłonęła jak gąbka. Wiele cudzych pomysłów potem sobie przywłaszczyła. Nigdy nie zdała egzaminu celująco. Dostawała trójki, najwyżej czwórki z plusem. Zjadała ją trema. Była przy tym klasyczną szarą myszką, zahukaną i uciekającą przed ludźmi. Kiedy przystawiała flet do ust, Elizie chciało się wymiotować. Anita nie tylko nie miała zadatków na wirtuoza i popełniała kardynalne błędy solisty, ale też na scenie wyglądała żałośnie. Dziś każdego dnia stroiła się jak stróż na Boże Ciało i odgrywała się na słabszych, zwłaszcza tych, którzy przypominali jej siebie sprzed lat.

— Możemy tak ustawić grafik, by pani profesor zaczynała pracę o ósmej, a kończyła o trzynastej. Chyba że maestra chciałaby odpocząć jakiś czas? Właśnie przyjmujemy na staż młodą harfistkę.

Eliza wiedziała co to oznacza. Świerkowska tym sposobem próbowała ją wyeliminować. Niedoczekanie. Nie odpowiedziała nawet słowem i wyszła z gabinetu dyrektorki, zostawiając ją z otwartymi ze zdumienia ustami.

Teraz trzasnęły drzwi i do pokoju nauczycielskiego weszła roześmiana matematyczka z wuefistą. Poza zajęciami muzycznymi uczniowie mieli normalne lekcje. Mężczyzna był w krótkich, obcisłych spodenkach uwydatniających mięśnie ud i łydek. Był opalony na mahoń, szeroki w ramionach i miał wyjątkowo głupią twarz z końskimi zębami. Matematyczka była mała, blada i nosiła silne okulary o dużych pryzmatach, które niekorzystnie pomniejszały jej oczy. Ale nawet bez nich okropne było z niej brzydactwo. Umiała jednak wyeksponować zgrabne nogi oraz wąską talię. Współczesna moda jej w tym pomagała. Nazywano to „stylem”: wściekle kolorowe spódnice bombki, kokardki przy czubatykh koturnach, godne dzidzi-piernik, berety z cekinami na

czubku głowy, osłaniające rzadkie, rude włosy ostrzyżone w stylu lat 20., które jeszcze wyostrzały jej ptasie rysy. Duńczycy powiedzieliby, że jest „interesująca”. Eliza nie mogła na nią patrzeć. Odwróciła głowę i zaczęła nerwowo grzebać w torebce. Na widok maestry matematyczka zarumieniła się. Eliza nie musiała być psychologiem, by widzieć, że tych dwoje ma romans. Nie bez powodu spóźniła się zaraz na lekcję. Uśmiechnęła się do nich półgębkiem. Wuefista omijał Elizę wzrokiem. Podskoczył i sprytnie wyjął dziennik ze swojej przegródki, po czym błyskawicznie opuścił pomieszczenie. Matematyczka widać miała poczucie winy, że stara „coś sobie pomyśli”, bo zamiast wyjść, podeszła do niej z miną cierpiętnicy na ustach.

— Pani Elizo, czy coś złego dzieje się w naszej szkole? — spytała, kiwając głową jak płaczka na pogrzebie. Maestra tylko czekała, aż zacznie teatralnie zawodzić. Nie lubiła jej, jak się domyślała, z wzajemnością. — Czy jakieś fatum na nas ciąży?

— Ale co pani sugeruje? — odparła, zaciągając się głęboko papierosem i wydmuchując dym wprost w twarz rozmówczynie.

— Co za tragedia z tą Zosią! Została za-mor-do-wana — matematyczka szeptała tak głośno, że Eliza słyszałaby nawet na drugim końcu pokoju.

— To straszne — przytaknęła. — Ale dlaczego mówi pani o fatum? Nie rozumiem.

— No, ten Amadeusz — zawahała się. — Pani pamięta. On też był u nas. Podobno florystka, ta zabójczyni, ona była pani uczennicą.

— Amadeusz chodził do nas miesiąc. Został usunięty — Eliza przerwała kobiecie i wskazała na zegar wiszący na ścianie. Lekcja trwała już dobre dziesięć minut. — Pani tu nie pracowała, proszę nie słuchać plotek, tylko zająć się nauczaniem.

Matematyczka poczuła się dotknięta upomnieniem, bo odparła:

— Mam teraz okienko. Pani pozwoli, że pozostanę w pokoju?

Eliza posłała jej japoński uśmiech koncertowy. Skoro musi, niech zostaje. Matematyczka odeszła do swojego stolika, kręcąc chudymi pośladkami.

Ona zaś położyła na stole plik zeszytów nutowych, które przez cały ten czas trzymała pod pachą. Po długim namyśle odsunęła je od siebie. Zdecydowała, że sprawdzi prace w domu. Po tym, co się stało z Olą,

wiedziała, że policja musi do niej wrócić. Będą ją pytać o wszystko. Dowiedzieli się już pewnie o ich przyjaźni. Już nie uniknie skandalu, jaki próbowała za wszelką cenę zatuszować. Protektorka Oli zastanawiała się teraz, ile już wiedzą. Czy powinna ujawnić, że od dawna podejrzewała, że przyjaciółka powinna się leczyć? Przecież nie radziła sobie z nią i jej atakami. Poza tym, o ile wcześniej wraz z Olą przejmowała się nawiedzającym ją duchem Amadeusza i była równie przerażona, to dziś miała już pewność, że była to zwykła blaga. Nawet nie wytwór jej wyobraźni, tylko klasyczne oszustwo. Ola kłamała. Eliza odkryła to niedawno i było to porażające. Wystarczyło podrzucić jej jakiś trop: otworzyć z szelestem drzwi, zrzucić ubrania w szafie, czy podmienić kwiaty na parapecie. Ola natychmiast wmawiała jej, że to Amadeusz dokonał cudu. Eliza sprawdziła to wielokrotnie. Przyjaciółka ją oszukiwała. Nie mogła uwierzyć, dlaczego ktoś, kogo kochała, znów zabawia się jej kosztem. Przecież jeszcze do niedawna Ola była jej oczkiem w głowie, kimś, komu wreszcie mogła okazać troskę. Dzięki niej przestała cierpieć z powodu własnej córki, w Oli upatrując jej substytutu. Eliza naprawdę pokochała tę dziewczynę. Wydawało jej się, że los daje jej jeszcze jedną szansę i nie wolno jej tego zmarnować. Zwłaszcza że wyjątkową wrażliwość Oli zauważyła już pierwszego dnia, kiedy jej ojciec przyprowadził ją na pierwszą konsultację. A Ola nie była już dzieckiem. Miała szesnaście lat i doskonale grała na fortepianie. Wcale nie chciała zmieniać instrumentu. Jej ojciec był jednak racjonalistą. Gdzieś wyczytał, że harfa to rzadki instrument, a harfistki zawsze mają pracę, czego nie można powiedzieć o pianistach, których jest jak psów. Tak się wyraził. Nie był to zbyt lotny facet, choć zaradny. Może to przez niego Ola potem znalazła sobie tego prymitywa Leona. Przypominał jej ojca. Był tak samo władczy i głuchy na muzykę. Ale tatusiowi oczywiście imponowało, że ma genialną córkę.

Eliza najpierw była sceptyczna. Nigdy nie zmuszała nikogo do harfy. To był wybór. Kiedy jednak Ola zasiadła do instrumentu, zaniemówiła. Miała wrażenie, że całe życie czekała na takiego ucznia. Na kogoś, kto ma tak wielki talent, że aż ją obezwładniał. Serce jej się wyrywało, by móc pracować z tą dziewczyną i wprowadzić ją na szczyt, który dla niej samej nie był już dostępny. Ola grała ze słuchu fragmenty symfonii Mozarta, z taką lekkością, jakby to były proste menuety. Wystarczyło

tylko, że je kilka razy usłyszała. Nie ćwiczyła, bagatelizowała swój dar, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, czym obdarzyła ją natura. Eliza wiedziała, że to jest zapalnik Oli. Tak nazywała zestaw cech, które widziała u każdego ucznia, a które mogły podciąć skrzydła artysty. Dla Oli tym zapalnikiem była lekkomyślność i naiwność. Bez wyrachowania i determinacji jej talent nie znaczył naprawdę nic. Eliza postanowiła, że nie pozwoli dziewczynie zniszczyć tego bogactwa. Najpierw „napompowała” jej geniuszem ojca, którego Ola niezmiernie kochała i zrobiłaby dla niego wszystko. Wyłuszczyła mu, jak wielkim talentem obdarzona jest jego córka, i zapewniła, że wysoko zajdzie, jeśli jej wspólnie pomogą.

„Bez pracy, dyscypliny oraz poświęcenia ze strony całego środowiska i rodziny jej talent będzie bezużyteczny” — ostrzegła Leszczyńskiego.

Zobowiązała się też opiekować Olą jak własną córką. Wymusiła na zamożnej rodzinie, by dziewczyna zamieszkała w internacie. Tym sposobem miała nad nią całkowitą kontrolę. Leszczyński natychmiast ją zapewnił, że nie będzie szczydził pieniędzy na rozwój i edukację Oli. Słowa dotrzymał. Niedługo potem wstawił do pawilonu szkoły trzy zabytkowe fortepiany. Ola udostępniała je kolegom i koleżankom, sama zaś do ćwiczeń używała szkolnego Steinberga. Potem istniała dla niej już tylko siermiężna Salvi. Ojciec przychodził na uroczystości i puszył się jak paw, kiedy córka koncertowała jako solistka na harfie. Wreszcie, kiedy Ola miała niespełna siedemnaście lat, kupił jej mieszkanie, by mogła ćwiczyć w spokoju i nie musiała mieszkać w internacie. Do miasta zaś zaczęła przyjeżdżać matka Oli. Wtedy Eliza straciła nad uczennicą kontrolę. Wiedziała, że spotkała jakiegoś chłopaka, że uciekała z zajęć, znikła na całe noce. W szkole zaś nadal była najlepsza, choć prawie nie ćwiczyła. To jedynie dowodziło, jak bardzo była zdolna. Eliza nawet nie przypuszczała, że wybrankiem Oli jest zwykły truteń, niejaki Leon Jekel, z którym ona sama go poznała. Pomógł wnieść harfę do domu Oli, kiedy ojciec kupił jej mieszkanie. Spacerowali po parkach, czytali wiersze. I już wiadomo, co było potem. Cięża, nieskończona szkoła. Ola nawet nie podeszła do egzaminu dyplomowego. Eliza kilka razy bywała jeszcze u niej, dotykała jej wypukłego brzucha i przekonywała, by wróciła, spróbowała, przecież dziecko nie wyklucza jej z muzyki. To nie choroba. Ale ona była tak zakochana, że nic do niej

nie trafiało. Z czasem ich więź coraz bardziej się rozluźniała. Kiedy dziewczyna urodziła dziecko, zupełnie straciła ją z oczu. Nieoczekiwanie Leszczyński został aresztowany pod zarzutem korupcji w urzędzie. Zmarł, nie doczekawszy procesu, zostawił masę długów. Majątek zlicytowano. To wszystko stało się w najgorszym dla Oli momencie. Matka załamała się, trafiła do Choroszczy, a potem do zboru Świadców Jehowy. Ola pojechała ją odwiedzić, a po wakacjach nie wróciła do miasta. Przeniosła się z noworodkiem do męża i teściowej. Na wsi pod Białymstokiem nikt nie gra na harfach. Już więcej nigdy nie zagrała.

A potem? Eliza nawet nie miała siły myśleć o tym, co stało się potem. Znała każdy szczegół jej życia. Przeczytała każdy jej list do psychiatrów. Ola opisywała wszystko dosyć klarownie. Duchy, stany transowe, bicie głową o ścianę, próby samobójcze, które Ola nazywała odwiedzinami w Ogrodzie syna. Eliza nawet zamieszkała na jakiś czas z tą wariatką, która powinna się leczyć. Gdyby na początku wiedziała, że to się stanie niebezpieczne dla innych, wysłałaby te listy. Wtedy jednak zdawało się, że samo pisanie ją uspokaja. Eliza myślała, że to wystarczy. Kto zresztą mógł w to uwierzyć, poza nią? Ona Olę po prostu kochała. A może widziała w niej swoje przedłużenie? Ale to było kiedyś. Dziś nie czuła nic. Ani żalu po stracie, złości, nawet smutku. Jedynie ulgę, że nie będzie musiała więcej tego przeżywać.

Teraz z komody stojącej przy ścianie wyjęła blok czystych kartek oraz koperty. W prawym górnym rogu wykaligrafowała datę, a na środku napisała:

„Droży lekarze! Zwracam się o pomoc w wymianie mojego mózgu”.

Odłożyła długopis. Chciała napisać list, w którym opisałaby historię florystki, tak jak wyglądało to naprawdę, z jej perspektywy, ale na razie nie potrafiła. Podarła kartkę ze złością. Matematyczka zerknęła na nią z ciekawością. Maestra pogrzebała w torebce i ku swojemu szczeremu zdziwieniu wyjęła wymięty list w kopercie. Ostatni, który Ola przekazała jej kilka dni przed tym, jak trafiła do Choroszczy. Bez czytania wyjęła go ze starej koperty i włożyła do nowiutkiej ze znaczkiem, po czym zaadresowała: Dr Mirosław Gajewski, Wojewódzki Szpital Psychiatryczny. Jako nadawcę wpisała nazwisko: Aleksandra Jekel. Po chwili zaś dopisała adres: Berlinga 19, Białystok.

Wahała się, czy go zakleić. Gładziła miejsce z klejem, myślała o czymś, marszczyła brwi. Nagle rozległ się dzwonek na przerwę. Ciszę zastąpił hałas uczniów wybiegających z klas na korytarz. Eliza Fal wstała, podeszła do kserokopiarki, wyjęła list z koperty, powieliła go kilka razy, po czym włożyła z powrotem, zakleiła i ukryła w stercie listów nadawanych przez sekretarkę. Do pokoju nauczycielskiego zaczęli wchodzić ludzie. Nikt nie zauważył, kiedy najstarsza nauczycielka w tej szkole bezszelestnie wyszła na przerwę obiadową.

— To był demon, nie dzieciak — oświadczyła Eliza i zabrała się za krojenie wykwintnej sałatki ze szpinaku z sadzonym jajkiem. Lena wpatrywała się w jej pełne gracji ruchy, mimikę i japońskie uśmiechy. Wyczuwała fałsz. Kobieta musiała mieć jakiś powód, by wtedy uciec bez słowa. Hubert upomniął ją jednak, żeby wstrzymała się z tym „hakiem” najdłużej jak się da, co Lena uznała za bzdurę.

— To wyjątkowo inteligentna osoba — zaoponowała.

Teraz jednak z zaciekawieniem słuchali tej luki w historii florystki, którą znała wyłącznie ona. Opowiedziała im o jej rodzinie i okolicznościach porzucenia instrumentu. Nagle Eliza przerwała. Spojrzeli w tamtym kierunku. Do szkolnej stołówki weszła dyrektorka. Maestra pochyliła się i wskazała ją.

— One się znały. Mieszkały łożko w łożko, ale Ola nią gardziła. Ta zaś chciała jej dorównać i podlizywała się jak bura kotka — zaśmiała się nienaturalnie. Meyer pomyślał, że to nie pasuje do takiej damy. Ta żółć, te złośliwości. Coś musiało się zdarzyć.

— A ta koncertowa harfa w naszej szkole, do której włamała się Zosia — maestra zawahała się — należała do Oli. Musiała powiedzieć o tym małej, dlatego dziewczynka tak bardzo chciała na niej zagrać. Pragnęła być tak wielka jak ona, poczuć jej geniusz. Każdy z nas tego chciał. Wielu zazdrościło jej daru, a ona go zdeptała bez żalu, głupia — zakończyła opowieść wraz z jedzeniem. Wstała od stołu. Hubert podniósł się wraz z nią.

— Musimy zabrać panią na komendę — poinformował ją spokojnie, lecz stanowczo. — Potrzebne nam pani oficjalne zeznanie.

— Moje zeznanie? — zdziwiła się maestra. — A cóż ja mam takiego do powiedzenia? Nie wystarczy panu, co powiedziałam? — Wskazała

dyktafon.

— Nie wiem, czy zdaje pani sobie sprawę, czy też była w głębokiej nieświadomości, ale ukrywanie morderczyni podlega karze. Będzie pani miała postawione zarzuty. Skoro pani wiedziała... To jest współudział.

— Tylko podejrzewałam — ucięła harfistka. — Pewności nigdy nie było. Dopiero teraz to wszystko układa mi się w jedną całość. Byłam pod jej wpływem.

— Wcześniej mówiła pani inaczej — włączyła się Lena.

— To Ola zabijała. Taki jest mój wniosek — zapewniła stanowczo Eliza. — Nie mam jednak dowodów.

Znów wskazała dyktafon, który wciąż leżał włączony na stole.

— To panu nie wystarczy? Muszę iść na policję, jak jakiś bandzior? — Znów się zaśmiała. Tym razem jednak nerwowo, gwałtownie. Profilerzy milczeli, więc powtórzyła na głos: — Amadeusz zginął w wypadku, nie chciała go zabijać. Miał zwapnienie płuca, przekręciła sznurówkę, uniosła go do góry, w szarpaninie, i tak zginął. Była przerażona, więc ukryła ciało w śmietniku. Julka sama się napraszała, chciała na nią donieść, żeby policja zrobiła rewizję śledztwa, nachodziła ją, groziła, że widziała ją tej nocy z Pawłem. Ola bała się ujawnienia starej sprawy, więc zabiła też Julkę. A Zosia? Była o nią zazdrosna, to wszystko. Bo sama nie mogła już grać.

— To nieprawda — zaprzeczyła Lena. — Grać chciała zawsze. Nie miała pieniędzy na instrument. Harfa to droga inwestycja, nawet w szpitalu grała. Po to chodziła do starej wieży ciśnień.

— A skąd pani tak dobrze zna motywacje Oli? — zaatakował ją Meyer. — Nie mówiąc o detalach okoliczności zdarzeń. Choroba dziecka, płuca, śmietnik, sznurówka. Może powinniśmy zacząć tę rozmowę od tego, by panią spytać o alibi na czas tych zdarzeń?

— Może mówiła pani o sobie, nie o Oli? — dodała twardo Lena.

Eliza zbladła. W stołówce było pełno ludzi. Była pewna, że patrzą na nich i podsłuchują rozmowę.

— Ola zmarnowała swój talent dla tego dziecka — podkreśliła. — To jest najgorsza zbrodnia, jaką uczyniła. Gdyby nie on, nie byłoby tego wszystkiego. Żadna z tych rzeczy by się nie zdarzyła.

— To pani tak sądzi. — Meyer się uśmiechnął. — Bo to pani była o Olę zazdrosna. O jej dziecko, o talent i o to, że wcale nie musiała się starać, a była najlepsza. Pani zaś musiała ćwiczyć godzinami, zrezygnowała z rodziny, normalnego życia, a będąc ofiarą jakiejś głupiej nauczycielki, nie osiągnęła pani tego, co ta dziewczyna. Nigdy nie była pani tak dobra, jak ona.

Eliza zacisnęła usta. Wydawało się, że za chwilę rzuci się na Meyera, ale zamiast tego osunęła się na podłogę. Lena podbiegła do niej, sprawdziła puls, krzyknęła po pomoc. Za chwilę zaroilo się od ludzi. Hubert w tym czasie dał znak policjantom czekającym za drzwiami, by przygotowali kajdanki. Kiedy maestra się ocknęła, miała skute ręce i w asyście całej szkoły, na oczach wszystkich została wyprowadzona do radiowozu.

Doman położył na stół komendanta podręczne akta sprawy zabójstwa Zosi oraz ekspertyzę z jej mieszkania.

— Próbkę krwi, ślady biologiczne, zgodność wyskrobiny pod paznokciami. Zgodność rozmiaru obuwia zabezpieczonego na miejscu zdarzenia — wyrecytował.

Komendant spojrział na niego z uznaniem, Doman uśmiechnął się.

— Była też w tłumie gapiów na wizji, kiedy eksperymentowaliśmy z florystką. Ściągamy cudzoziemców na konfrontację, może ją rozpoznają? Wznowiliśmy stare sprawy i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Kobierski został poinformowany o możliwości złożenia zażalenia i wniosku o odszkodowanie. Prawdopodobnie skorzysta z tego prawa. Winda także wygląda nieźle. Zaginiona ekspertyza zgadza się ze stanem faktycznym, zastosowaliśmy ultrafiolet — dodał.

— A co z Piłą? — Komendant podniósł głowę. — Wykaraska się?

— Jest w śpiączce — odparł Doman. Zawahał się. Coś go gryzło.

— Mów — naciskał komendant.

— Do pełnego kompletu brakuje nam przyznania się sprawczyni do winy. Gdyby udało się jej przybić wszystkie trzy sprawy, byłoby...

— Sam wiem, co by było. Dostałbyś awans na naczelnika — wszedł mu w słowo komendant.

— No nie do końca mi o to chodziło, szefie — odparł Doman, ale aż pokraśniał z zadowolenia. — Może Meyer mógłby pogadać z harfistką?

To głównie dzięki niemu i jego asystentce udało się znaleźć tę jędzę.

— Że niby co ma zrobić? — zainteresował się komendant. — Co on może zrobić, czego wy nie możecie, Domański?

— Dobrze by było, żeby się zgodziła na wizję lokalną. A jeszcze lepiej, jakby się przyznała.

— A niech z nią gada, co mi dupę zawracasz! — Komendant machnął ręką, nie rozumiejąc zupełnie, dlaczego profiler do tej pory nie mógł tego zrobić.

— Bo, szefie, on jest jakby nielegalnie. Byłyby kłopoty. Szef wie przecież o aferze?

— Co on chce za to? — domyślił się wreszcie komendant. — Nie wiem, czy nam się opłaci. Jak to jakiś gnój, niech spierdala.

Doman pokrótce opowiedział o sprawie pożaru w Jakunówku i podał mu wymiętą kartkę.

— To jakiś Gall Anonim naskrobał? — burknął komendant.

— To lista ludzi z tej wilczej stacji. Jeden z nich może mieć gnata o kalibrze dziewięć milimetrów. Chodzi o to, żeby nasi ludzie oficjalnie tam weszli. No i jeden z nich jest uchem w giżyckim komisariacie. Sprzęt sobie pożyczają. Może i klamka^[13] też była stamtąd.

— No bardzo ładnie, ale to nie nasz rejon. — Komendant oddał mu kartkę.

— No właśnie. — Doman wzruszył ramionami. — Właśnie dlatego jestem u pana. Sam bym przecież tę sprawę załatwił. Co to, szef mało ma roboty? Zresztą tamci ludzie, szef rozumie, ta śliska sprawa Meyera była z tamtej jednostki. Prokurator Wilczyński ją prowadził. To mi nieźle załatuje — przerwał.

Komendant podrapał się po głowie, cmoknął kilka razy.

— A ten człowiek chociaż dobry jest? Jak mu się nie uda? Tylko karku nadstawię.

— Ja tam myślę, że szef sam wie najlepiej, co Meyer jest wart. Ale jak będzie inny rozkaz, przeżyjemy.

— Już mnie nie pompuj, Domański. — Komendant się zaśmiał. Oddał mu akta Elizy Fal. — Róbcie, co do was należy. Macie moje wsparcie.

Peron był jeszcze pusty. Na semaforach widać było czerwone światła. Od kilku godzin padał rzęsy deszcz, a niebo zasnuwały czarne

chmury. Zabytkowy dworzec pełen był stłoczonych ludzi. Większość była niezadowolona. Niektórzy kolejną godzinę czekali na odjazd swojego pociągu. Na trasie wykoleił się pociąg. Nie było ofiar śmiertelnych, lecz pociągi nie jeździły do odwołania.

Marlena i Jan Sochacki stali pod wielkim, czarnym parasolem na skraju drugiego peronu. Milczeli. W oddali widać było wiadukt, po którym przemykali zmoczeni przechodnie. Rozległ się pojedynczy gwizd, oznaczający wjeżdżający na stację pociąg. Jeden z semaforów podniósł się, a światło natychmiast zmieniło się w ostrzegawcze. Marlena podniosła głowę. Miała na sobie czarny płaszcz z kapturem, spod którego wystawała długa, kwiecista spódnica.

— Nie zostaniesz nawet do jutra? Mogłabyś jeszcze zostać. Basia z Arkiem wracają dopiero za tydzień — szepnął dziadek Zosi.

Kobieta pokręciła głową. Zdjęła kaptur, twarz miała nienaturalnie spuchniętą. Zdawało się, że w ciągu krótkiego czasu bardzo przytyła. Oczy miała suche, wargi spierzchnięte. Nie wyglądała dobrze.

— Arsen czeka na mnie w Warszawie. Na jutro mamy bilety — powiedziała, po czym szepnęła mu do ucha: — Dziękuję, tato.

Jan miał wilgotne oczy. Był ogolony i w białej koszuli. Sam musiał ją dziś prasować, bo jeden z mankietów był przypalony żelazkiem, zaś guzik stopił się. Jan spiął go byle jak agrafką.

Marlena dotknęła jej teraz i uśmiechnęła się.

— Zobaczymy się jeszcze. Może przyjedziesz nas odwiedzić — powiedziała, choć oboje wiedzieli, że tak się nie stanie.

— Dbaj o siebie — powiedział Sochacki, po czym wskazał na brzuch kobiety. — I o nie, niego, nią — zaplątał się.

Marlena zaśmiała się. Rozpięła płaszcz, wzięła rękę Jana i położyła ją sobie na brzuchu.

— Kopie, czujesz?

— Chojraczka — mruknął. Łzy zaczęły spływać mu po twarzy. — Będę za tobą tęsknił, Mara.

— Ja też. — Pociągnęła nosem i obejrzała się. Na peronie gromadziło się coraz więcej ludzi. Podchodzili i ustawiali się obok nich, z nudów wpatrując się w tę niezwykłą parę: starszego mężczyznę i młodą kobietę w cygańskim stroju. Marlena wyswobodziła się z objęć Jana,

otarła łzy i chwyciła małą torbę podrózną. Tylko to ze sobą zabierała. Sochacki wziął ją od niej i uśmiechnął się.

— Arsen pewnie jest szczęśliwy. Wreszcie ma cię w garści. Wrócisz na łono rodziny — zaczął.

Zasmuciła się.

— Powinam ci wcześniej powiedzieć. Powinam wam wszystkim powiedzieć.

— Teraz to już nieważne — pocieszył ją. — Cały czas myślę, czy dobrze robisz, zachowując dla siebie tę tajemnicę. — Wskazał na jej brzuch, a ona uśmiechnęła się szeroko.

— Tak postanowiłam. Ty wiesz i ci, co mają wiedzieć, wiedzą. Nawet policja wie. Nie trzymam tego w tajemnicy, nie chowam się do szafy. Wyjeżdżam. A Piotr? Niech sobie żyje, tak jak mu sumienie nakazuje. Nie życzę mu nic złego. Niech będzie szczęśliwy, byle jak najdalej ode mnie.

— Może jednak Bielach powinien się dowiedzieć. To w końcu jego dziecko — przyznał Sochacki.

— Tato, on wiedział o tym już wtedy. Przecież dlatego chciałam wyjechać, zabrać Zosię i uciec od was, od Arka. On stchórzył, wyparł się mnie wiele razy. Miał swoją szansę. Miał okazję wiele razy się ze mną skontaktować. Nie zrobił tego. Udaje, że tego nie ma — głos jej się załamał. Chciała być silna, udawała taką, ale to był jedynie pozór. Tak naprawdę do tej pory nie uporała się z ponownym odrzuceniem. W końcu jednak zebrała się w sobie. — Już raz zostałam z kimś, kogo nie kochałam i kto mnie nie chciał. Można pomylić się raz, ale jeśli ten sam błąd popełniamy ponownie, świadczy to o naszej głupocie. Czy ja wyglądam na idiotkę?

Sochacki pokręcił głową, ale nie uśmiechnął się, choć tego oczekiwała.

— Powiem mu, jeśli pozwolisz — powiedział stanowczo, zaś ona przestraszyła się.

— Proszę cię, nie rób tego! On wie!

— On ma prawo wiedzieć, że wyjeżdżasz. Może się zmienił, coś zrozumiał. Może coś zrobi. To ważne dla dziecka! A ty musisz mieć pewność, że dałaś mu ostatnią szansę. Jeśli z niej nie skorzysta, wyrok zapadnie. Będzie tak, jak chciałaś.

Na peron wjechał pociąg. Ludzie zaczęli pchać się do drzwi, jakby maszynista miał za chwilę odjechać i maruderzy nie zdążyli wsiąść. Wśród nich był chudy, wysoki chłopak w czapce z daszkiem. Pchał wózek dla niepełnosprawnych, na którym siedział zażywny staruszek. Ludzie odsunęli się. Sławomir Kobierski wziął starca na rękę, jakby ważył zaledwie piórko, i wniósł do wagonu. Ktoś pomógł złożyć wózek i podał walizki do przedziału. Marlena i Jan zamarli. Rozpoznali Cyca; jego zdjęcia od kilku dni pokazywali w telewizji. Mężczyzna został oczyszczony z zarzutu zabójstwa Amadeusza, dziecka florystki. Jednak postanowił nie składać zażalenia. Nie chciał też odszkodowania. Zapowiedział publicznie, że wyjedzie z miasta, i odmówił udzielania wywiadów na ten temat. W obronie Kobierskiego wystąpił jego podopieczny z domu starców, a także dyrektor więzienia, którego metodą resocjalizacji zainteresowało się kilka instytutów psychologii największych polskich uczelni.

Marlena ostatni raz przytuliła się do Jana i cmoknęła go w policzek.

— Będę pisać — obiecała. Ruszyła w stronę tłumu kotłującego się u drzwi wagonu, ale Jan schwycił ją za rękę.

— Odwiedzę was — powiedział stanowczo. — Jak tylko stan Basi się poprawi. Jest jeszcze przybita, ale wreszcie przypomina tę dziewczynę, w której się zakochałem, a nie jakiegoś moherowego bereta. Jak uporządkuję te sprawy, wyrzucę krucyfiks i powieszę proboszcza za nogi w jakiejś studni za to, co zrobił z moim małżeństwem. Przyjadę choć raz, zanim umrę. Chcę je zobaczyć. To w końcu jakby mój wnuk. Poniekąd — obiecał.

Marlena zaśmiała się. Jan też rozciągnął usta w uśmiechu i podał jej grubą zaklejoną kopertę.

— Co to jest? — spytała Marlena.

— To? — Wzruszył ramionami, jakby sam się zdziwił. — To miała być harfa. Ale już nikomu nie jest potrzebna.

— Nie mogę — zaprotestowała Marlena.

— Możesz, Mara. — Jan wcisnął jej kopertę. — I schowaj, żeby nikt ci nie zwędził. Jeśli nie dla ciebie, to dla dziecka. Sama wiesz, że pieniądze nie dają szczęścia, ale pozwalają zachować godność. Tego potrzebujesz teraz najbardziej. Czterdzieści pięć tysięcy. Zosia by tak chciała.

Marlena płakała, po pomarszczonej twarzy Jana też płynęły łzy.

— Muszę iść — powiedziała i złożyła parasol, ale nie ruszyła się na krok.

— Idź — odparł Jan. — I bądź zuchem, córko. Byłaś i zawsze będziesz najodważniejsza z nas wszystkich. — Uśmiechnął się smutno.

Kiedy pociąg odjeżdżał, Sochacki wciąż stał na peronie, choć wszyscy odprowadzający pasażerów poszli pod dach, by schować się przed deszczem. Woda lała mu się za kołnierz, ale nie zwracał na to uwagi. Patrzył za nią jeszcze długi czas. Potem ruszył piechotą w kierunku kliniki, w której pracował Piotr Bielach. Stał przed nią długo. Chciał od razu wygarnąć lekarzowi, co leżało mu na sercu, ale zrezygnował. Pomyślał, że może Marlena miała rację. Po co znów otwierać puszkę Pandory. Miał swoje kłopoty. Trzeba było jakoś żyć dalej. Zamierzał wrócić do domu i porządnie posprzątać. Kiedy żona z synem wrócą, mieszkanie będzie błyszcząło. Baśka się tego po nim z pewnością nie spodziewa.

Nagrobek był mały, zdobiony w motywy roślinne, wykonany z białego kamienia przypominającego alabaster. Kanty były zaokrąglone, zaś na niewielkiej tablicy widniał wiersz:

Kwiateczkiem byłaś,
kwiateczki lubiłaś.
Kwiateczek zerwany,
przez Boga zabrany.

Meyer i Lena stali za Elizą. Ich spacer po cmentarzu monitorowali policjanci. Eliza nie była skuta. Mimo pobytu w więzieniu wyglądała jak wtedy, gdy Meyer zobaczył ją pierwszy raz — w niewinnej bieli. Miała na sobie wykrochmaloną bluzkę, zaś do kołnierzyka przypięta małą harfę. Kawałek broszki był ułamany. Policjanci znaleźli ten kawałek w kieszeni florystki podczas pośmiertnej obdukcji. Choć i inne dowody wskazywały, że maestra dokonała wszystkich czterech zbrodni, ona nadal nie chciała się do nich przyznać. Złożyła wyjaśnienia, które były spójne i konsekwentne, choć zupełnie nie korespondowały z zebranymi dowodami w sprawach. Nikt nie dał kobiecie alibi. Eliza twierdziła, że mogła to zrobić jedynie florystka, ale nikt jej nie wierzył. Dzięki jej wyjaśnieniom ustalono jednak wiele brakujących faktów. Po pierwsze,

krytycznego dnia Kobierski rzeczywiście spotkał chłopca, który błąkał się po osiedlu. Właśnie wrócił od ojca i był wściekły. Leon Jekel nie chciał z nim nawet rozmawiać. Amadeusz poszedł na automaty, gdzie przegrał ukradzione matce pieniądze. Bał się wracać do domu, więc włóczył się po okolicy. Kiedy spotkał Cyca, wyładował na nim swoją złość. Krzyknął: „Dawaj kasę, zakapie!”. A potem rzucił się na dresiarza. Kobierski, broniąc się, szarpnął chłopca i podniósł do góry. Kiedy dziecko zaczęło charczeć, przerażony rzucił je na chodnik i uciekł. Tę scenę widziała Eliza, która też szukała Amadeusza. Rano podejrziała, jak syn kradnie Oli pieniądze, by pojechać pociągiem do ojca. Powiedziała o tym florystce, ale ta jak zwykle zbagatelizowała sprawę. Wierzyła synowi, nie jej. Kiedy Ola zadzwoniła do niej, żeby zajęła się jej synem, Eliza zdecydowała, że weźmie sprawy w swoje ręce. Zamierzała przetrzepać skórę chłopakowi, bo nie wierzyła, że Ola będzie potrafiła go ukarać za wszystkie przewinienia. Eliza widziała, jak Amadeusz szarpie się z Cycem, a potem wstaje i rusza w przeciwnym kierunku. Nie zamierzał wracać do domu. Eliza wpadła w złość. Dopadła chłopca i zaczęła na niego krzyczeć, a potem chwyciła, by siłą zatargać do mieszkania. Twierdziła, że jej uciekł. Zarzekała się, że go nie zabiła. Dla śledczych było jednak jasne, że kłamała.

Z Julką było podobnie. Eliza nie przyznała się do zbrodni, zrzucając winę na florystkę. Ale to maestra była tego wieczoru w domu Oli. Pomagała jej po śmierci syna; nie minęły dwa tygodnie od znalezienia jego ciała. Policjanci podejrzewali, że Julka, śledząc Olę i Pawła, przyszła do florystki z awanturą. Zastała jednak maestrę, która była nie mniej zszokowana niż zdradzona kochanka. Musiało dojść do awantury, może Julka zagroziła, że doniesie na policję o romansie Pawła i Oli. Prokurator postawił już zarzut Cycowi, Eliza była czysta jak łąza. Przez rozwścieczoną Julkę, wykrzykującą obelgi pod adresem Oli, mogłaby stać się jedną z podejrzanych w sprawie. Usunęła więc istotnego świadka, a ciało Julki podrzuciła do windy, licząc, że podejrzenie padnie na przyjaciółkę. Tymczasem Pilecki wszystko zatuszował. Eliza znów była bezkarna. Tak mijały lata. Maestra wiedziała, że jedyną osobą, która mogłaby ją zdradzić, jest Ola. Ta jednak ufała jej bezgranicznie i coraz bardziej pogrążała się w rozpacz po stracie syna. Eliza perfidnie wykorzystywała jej chorobę. Podsycala jej cierpienie, by mieć nad nią

całkowitą kontrolę i jednocześnie podważyć jej ewentualne zeznania w starych sprawach, gdyby kiedykolwiek wyzdrowiała. Wszystko zmieniło się jednak, kiedy w życiu Oli pojawiła się Zosia. Florystka poczuła się lepiej i odsunęła się od Elizy. Dziecko, któremu florystka pomagała i które stało się dla niej substytutem własnego, dawało jej siłę do życia. Nie potrzebowała już Elizy. Maestra była przerażona. Gdyby Ola odzyskała równowagę psychiczną, jej misterny plan mógłby runąć w jednej chwili. Nie odważyła się jednak po prostu usunąć Oli, tak jak poprzednie ofiary. Od razu doszliby, że to ona. Najpierw próbowała zmusić osłabioną psychicznie kobietę do samobójstwa. Wmawiała jej, że opętał ją demon Amadeusza, i sugerowała winę za poprzednie zbrodnie. Kiedy Ola zaczęła wierzyć, że to ona sama morduje, wszystko było już po myśli Elizy. Dobrze znała sytuację rodzinną Zosi oraz historię Oli. To morderstwo zaplanowała całkiem na zimno. Miała już bogate doświadczenie kryminalne i czuła się pewnie. Jak dotąd nikt o nic jej nie podejrzewał, choć cały czas znajdowała się w cieniu tych spraw. Wiedziała, jak zacierać ślady. Rozumiała, że jeśli policja będzie mieć sprawcę zbrodni, nikt nie zapuka do jej drzwi. Tak było za każdym razem. Postanowiła za jednym zamachem pozbyć się ich obu. Zabiła Zosię w taki sposób, żeby wszyscy myśleli, że to florystka mści się za zbrodnię na swoim dziecku. Początkowo wszystko przebiegało według planu. Wzięła nawet pod uwagę zauroczenie Lecha Pileckiego Olą. Dobrze wiedziała, że będzie chciał ją chronić, co przecież było jej na rękę. Wszyscy od razu rzucą się na florystkę. Nie przewidziała tylko jednego. Że czasy się zmieniły, metody śledcze także. I że tym razem do sprawy zostanie powołany psycholog, który połączy wszystkie trzy sprawy. Dlatego Ola musiała zginąć. Nie było innego wyjścia. Tylko ona mogła wydać Elizę.

O tym wszystkim myślała teraz maestra, a także Lena i Hubert, wpatrując się w biały nagrobek Hani Fal, przed którym od jakiegoś czasu stali w milczeniu. Choć dowodów i poszlak było co niemiara, bez przyznania się Elizy do winy nie było pewności, że zostanie skazana na dożywocie. Może sąd weźmie to wszystko pod uwagę, a może nie. Może uzna ją za psychicznie chorą, jeśli będzie dobrze udawać. Śledczym zależało tylko na jednym: by kobieta pękła.

— Moja córka wcale nie mieszka za granicą — ze spokojem opowiadała tymczasem maestra. — Okłamałam pana. Leży tutaj.

Lena i Meyer milczeli. Nie wiadomo było, czy to kolejna jej legenda, czy prawda. W jej opowieściach naprawdę można było się pogubić. Eliza być może sama już nie wiedziała, co jest prawdą, a co jedynie wymysłem. Teraz też mówiła spokojnie, z emfazą, jakby ujawnienie prawdy kosztowało ją bardzo wiele. Pewnie chciała wzbudzić w psychologach litość. I musieli przyznać, że grała swoją rolę perfekcyjnie. Była przecież urodzoną solistką, która tylko z powodu zapalenia stawu musiała przerwać karierę.

— Nie została nawet ochrzczona — ciągnęła. — Po porodzie widziałam ją tylko raz. Grałam wtedy w trio z mężem i przyjaciółką, jeździliśmy po świecie. Byłam u szczytu sławy. Potem się okazało, że mam źle ustawioną rękę. Niekończące się zapalenia, potworny ból i rehabilitacje po trasach koncertowych. Musieliśmy coraz częściej zatrudniać dublerkę. Byłam załamana. Dublerka nie była tak dobra jak ja, ale nie byłam w stanie występować.

— Już pani nam to mówiła — przerwał jej Meyer. Wskazał na nagrobek. Niedaleko znajdował się także grób Amadeusza, palił się na nim świeży znicz. Nie było kwiatów. — Po co nas pani tu przyprowadziła?

— Tu leży moja córka — pokazała. Oczy zaszyły jej mgłą. Dolna warga drżała. — Nie żyła na tym świecie nawet miesiąca. Kiedy Ola pojawiła się w moim życiu, potraktowałam to jak znak. Jakby moje dziecko wróciło. To było krótko po tym, kiedy musiałam zrezygnować z kariery. Zostałam zwykłą nauczycielką. Wcześniej koncertowałam, nagrywałam płyty, występowałam w telewizji, a teraz miałam podlegać kobiecie, która była moją uczennicą i nigdy nie zagrała poprawnie całego utworu. Ona miała być moim szefem. W takim momencie trafiła do mnie Ola.

— Dlatego pani ją zabiła? Z zazdrości? — spytała Lena. Widać było, że nie wierzyła w ani jedno jej słowo.

— Ja? — Eliza szczerze się zdziwiła. — Gdybym chciała, mogłabym to wcześniej zrobić wiele razy. Przecież pani wie, w jakim była stanie. Pomyślelibyście, że to samobójstwo.

— Za bardzo pani na niej zależało — odrzekł Meyer. — Przynajmniej na początku. Potrzebowała jej pani, żywiła się nią jak wampir. Może

nawet sprawiało pani przyjemność, że taki geniusz został zmarnowany i na dodatek cierpi. Nikt już nie mógł pani zagrozić. Znów to pani była maistrą przedstawienia.

Eliza uśmiechnęła się.

— Nie wyobrażam sobie, że mogłabym zrobić coś tak potwornego — rzuciła, powtarzając słowo w słowo ostatnie słowa Oli.

Lena zacisnęła usta. Była już zmęczona rozmowami z harfistką. Znali dobrze ten mechanizm obronny. Teraz będzie udawała wariatkę, wybielała się i zrzucała, co się da, na zmarłą florystkę. Eliza dobrze знаła zachowania Oli, nieudolnie je kopiowała. Oczywiście to będzie działać do czasu. Siedzieć i tak pójdzie. Tyle że proces potrwa nieco dłużej. Pewnie weźmie najlepszych adwokatów, ale kary już nie uniknie. Nie po tym wszystkim.

— Tu niby leży pani córka? — zwróciła się do niej lekko zniechęcona Lena. — Jest pani pewna?

— Tak. — Harfistka pokiwała głową i zrobiła cierpiętniczą minę. — Takich rzeczy się nie zapomina, droga pani.

Lena ruszyła w kierunku kościoła. Po chwili jednak odwróciła się i powiedziała:

— Idę po proboszcza. Może to jeszcze jeden trup do sprawdzenia. Jakby co, wykona się ekshumację...

Eliza zbladła. Meyer spojrział na nią, zastanawiając się, czy znów uda omdlenie.

— Dobrze się pani czuje?

— A jak można się czuć w takiej sytuacji? — Maestra uśmiechnęła się po japońsku. Na jej twarzy nie było strachu, umiała zapanować nad sobą. Wyglądała, jakby za chwilę miała wejść na scenę i przez krótką chwilę dać z siebie wszystko. — To nic nie da. — Machnęła ręką. — Ale dobrze, że zostawiła nas samych. Wolę mówić z panem — zwróciła się do Huberta, jakby nie byli na miejscu zdarzenia, lecz na spacerze w parku. — Czy pan wie, że to ja namówiłam Olę, by została florystką? Nauczyłam ją wszystkiego. Kwiaty to dobry fach. I można mieć całkowitą pewność, że jest się dobrym, bardzo dobrym lub wybitnym. Takiej pewności w muzyce nie osiąga się nigdy.

Droga wylotowa była przepelniona. Zanim wyjechali z miasta, musieli przebić się przez duży korek. Co gorsza, na długim odcinku stu kilometrów trwały roboty drogowe, auta puszczano jedynie wahadłowo. Lena nie odzywała się. Siedziała sztywno na siedzeniu pasażera i patrzyła na drogę. Nie była umalowana, na twarzy miała przebarwienia, zaś szrama koło ucha była zaczerwieniona. Nie maskowała jej już korektorem. Meyer prowadził. Jechał brawurowo, za wszelką cenę starając się ominąć wlekące się przez nimi ciężarówki.

— Może powinieneś zadzwonić do pani profesor. Zapytać, jak wygląda sytuacja — zasugerowała.

— Nie ma takiej potrzeby. — Hubert pokręcił głową. — Kiedy ludzie Domana załatwią sprawę, po prostu tam pojedę.

— Jestem wykończona — powiedziała i przeciągnęła się na tyle, na ile pozwalało wnętrze samochodu. — To było piekło, co za wstrętne babsko! I jeszcze ten pomysł z grobem dziecka. Przecież to było do przewidzenia, że sprawdzimy. Nie chciałbyś widzieć tej rodziny, która została wezwana do Domana, jakie mieli miny.

— Tyłu rzeczy dotąd nie sprawdzono — odparł Meyer. — Także tym razem mogło się udać.

— Ale i tak się nie przyznała. Do końca będzie szła w zaparte. Nigdy nie pęknie. Nigdy.

Nie odpowiedział. Zaczął zdejmować kurtkę w trakcie jazdy. Lena patrzyła zaniepokojona, czy nie roztrzaskają się na jakiejś barierce. Wreszcie zdecydowała się mu pomóc. Przytrzymała rękaw kurtki, a kiedy ją ściągnął, rzuciła ją do tyłu.

— Co zamierzasz teraz zrobić? — zapytał Meyer po dłuższej chwili.

— To zależy. — Uśmiechnęła się. — A co?

Natychmiast odwrócił głowę.

— Nic, tak tylko pytam — wymigał się od odpowiedzi. — Po prostu z ciekawości.

Uśmiechnęła się.

— Wyjadę, wiesz przecież. Za dwa tygodnie mam obronę. Idealnie w punkt. Wiele się nauczyłam.

Meyer milczał. Minęli roboty drogowe i mógł dodać gazu. Skorzystał z tej okazji. Pędzili autostradą.

— A ty? — zainteresowała się Lena. I zaraz dodała: — Oczywiście gdy już załatwisz sprawę rancza.

— Nie wiem. Też gdzieś pojedę. Kupiłem bilet do Kazachstanu.

— Wakacje? — zdziwiła się. — Ty i wakacje?

— Ludzie się zmieniają. — Wzruszył ramionami. — Poza tym muszę się zastanowić, co zrobić ze swoim życiem. Ta sprawa trochę podbudowała moją opinię, ale nadal nie mogę wrócić. — Spojrzał na nią z ukosa. Uniosła ręce w geście rezygnacji.

— Nie bój się. Nie będę cię już nigdy do niczego namawiać — zapewniła solennie. — Poza tym sama nie wiem, czy się do tego nadaję. Może jednak kariera naukowa byłaby dla mnie lepsza. Zanadto lubię się wyspać, dobrze się ubrać. Po prostu jeszcze nie wiem. Cieszę się, że to śledztwo się zakończyło.

— To śledztwo może i tak. Ale to się nigdy nie kończy — odparł Meyer. Spojrzała na niego badawczo. — Zaraz będzie nowa sprawa, nowe śledztwo. Tak w kółko. Sam nie wiem, kiedy minęło tyle lat. — Uśmiechnął się i spojrzał na nią z podziwem. — Jesteś dobra i nadajesz się do tej roboty jak nikt. Może nawet jesteś bardzo dobra — dodał całkiem poważnie.

Lena nawet się nie uśmiechnęła i dopiero po dłuższej chwili odpowiedziała:

— Myślałam, że nigdy tego nie usłyszę. Sama nie wiem, czy to było aż tyle warte. Ale dziękuję.

Milczeli dłuższą chwilę, wreszcie Hubert wskazał na bliźnię na jej twarzy.

— Kto ci to zrobił?

Lena odwróciła twarz do okna.

— Dlaczego teraz o to pytasz?

Czerwony samochód gwałtownie ich wyprzedził i wcisnął się przed nich. Meyer omal w niego nie wjechał.

— Co za dupek — mruknął. I zerknął na nią badawczo: — Były chłopak?

Zaśmiała się nerwowo. Była blada, tylko koniuszki uszu miała zaczerwienione.

— To dlatego nie wyszłaś na mąż? — dociekał.

— A kto ci powiedział, że nie wyszłam? — odparowała.

Teraz to on się uśmiechnął. Lena pomyślała, że wciąż przystojny z niego gość. Patrzyła na jego powyciągany czarny t-shirt i umięśnione ręce.

— Schudłeś w czasie tego śledztwa — stwierdziła. — Dobrze ci z tym.

— Nie nosisz obrączki — nie odpuszczał Meyer.

— Bo nie jesteśmy razem, ale noszę jego nazwisko.

— Odkąd się znamy, jesteś Pawłowska — zdziwił się szczerze. — Nigdy go nie widziałem.

— To banalna historia. Miałam osiemnaście lat.

— Przypalał cię? — zażartował, ale zaraz zmarkotniał. Lena wcale się nie roześmiała.

— Wyjechał do pracy za granicę i tyle go widziałam. Teraz już bym go nie rozpoznała. Tak sobie myślę, co by było, gdybym zaszła w ciążę. Czy nie skończyłabym jak florystka albo ta Marlena. Miałam jednak trochę szczęścia. A zawsze myślałam, że nie.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu Leny. Spojrzała na wyświetlacz. Nie знаła tego numeru.

— Odbierz — polecił Meyer. — Pewnie Doman.

Lena odebrała i podała słuchawkę Hubertowi, który długą chwilę słuchał, po czym odezwał się stanowczo:

— Sam chcę go wziąć. Nie, dyskretnie. Dzięki, stary. Dasz mi ten numer?

Pokazał Lenie, żeby znalazła coś do notowania. Wyszukała w torebce notes i po chwili była gotowa.

— Siedem trzy cztery siedem na zero dwanaście — dyktował Meyer. — Jak to nie da się ustalić? Zrozumiałem. A aparat? Wiem, dzięki — zawiesił głos. — Słuchaj, czy poza raportami Pilecki brał mnie na druty? Od kiedy? Możesz to sprawdzić na setkę? Jak dojedziemy na miejsce, pogadamy. Dam ci znać.

Kiedy się rozłączył, oddał Lenie aparat i długo milczał. Kobieta czekała cierpliwie. Widać było, że bardzo ją ciekawi, o czym rozmawiał. Na pierwszej większej stacji zatrzymał się i zgasił silnik. Wyjął z kieszeni portfel, ale był pusty.

— Pożyczysz mi stówę? — zwrócił się do niej. Spojrzała na niego zdziwiona. Sięgnęła do torebki i wyjęła pieniądze. Meyer nie wziął ich.

— Idź i kup dwie karty prepaidowe. Oboje byliśmy na podsłuchu — powiedział. — Ty na pewno. Mnie sprawdzają. Karty, które mamy, trzeba natychmiast zniszczyć. Namierzają nas za ich pośrednictwem.

— Ale kto? — Lena była przerażona.

— Nic się nie martw — pocieszył ją. — Wszystko powoli wróci do normy. To jakieś grubsze lody. Teraz wyślę ci słodki esemes. Ty mi odpiszesz. Możesz nawet w swoim stylu, żebym się odczepił. Możesz sobie pofolgować. Ale lepiej by było, gdybyś zagrała moją kochankę. Potem ja napiszę, że cię pragnę, tęsknię. Takie tam. I wtedy karty znikną.

— Hubert, ale ja... — zaczęła. Czuła się winna. — Ja naprawdę nie wiedziałam, nie zdawałam sobie sprawy z tego, co robię — przerwała. Nie wiedziała jak ma się wytłumaczyć.

— Daj spokój. — Machnął ręką. — To nie twoja wina. Oboje jesteśmy w to uwikłani. Musimy jak najszybciej zmylić im tropy. Potem ty wrócisz do swojego domu, a ja zajmę się Wilkiem.

Lena pokiwała głową, choć nie bardzo rozumiała.

— Jakim wilkiem?

— Facet, na którego zlecenie robiłem profil, ten, za który beknąłem, nazywa się Wilczyński. Znasz?

Potwierdziła.

— To lokalna szycha.

— Kończyli z Pileckim akademię. Są kumplami. Teraz już rozumiem, dlaczego Piła zwerbował mnie do tej sprawy. Chciał dzięki mnie załatwić swój interes. Wilku polecił mu mnie jako świetnego kozła ofiarnego. Ty im się napatoczyłaś sama.

— Idealna parka na pożarcie wilkom — jęknęła Lena. Wyglądało na to, że naprawdę się zmartwiła. — Ja wyjeżdżam, ale ty? Co będzie z tobą?

— Ze mną? — zastanowił się. I dopiero kiedy zaczął mówić, zrozumiał, że mówi tak naprawdę do siebie, choć gdyby Lena nie zapytała, nie miałby odwagi tego przyznać sam przed sobą. — Ja muszę wreszcie przestać uciekać. Przyznać się do błędu i zacząć walczyć. Może ten pożar i cała ta sprawa była właśnie po to, żebym w końcu zrozumiał, kim jestem.

Droga do rancza Meyera była zryta przez bieżniki kół, jakby codziennie przejeżdżały tędy dziesiątki aut. Deszcz ustał. Niebo wciąż jeszcze było sine, ale nad jeziorem wisiała już delikatna tęcza. Kiedy Hubert dotarł do bramy wjazdowej i zatrzymał się przed wejściem, w okolicy nie było widać nikogo. Zatrzymał samochód, wysiadł i wyjął z bagażnika odręcznie wykonany szyld z napisem: „Na sprzedaż”. Pod spodem był koślawy numer telefonu agencji nieruchomości, której zlecił transakcję. Oparł szyld o pozostałości płotu i przyjrzał się zgliszczom. Nie miał nawet ochoty palić tu papierosa. Im dłużej żył, tym coraz bardziej był przekonany, że, co prawda, zdarzenia układają się w ciągi przyczynowo-skutkowe, ale nie oznacza to wcale, że nabierają przez to sensu. Wiedział, że to nie było żadne odkrycie. Nigdy nie uważał się za filozofa. Rzecz chyba w tym, że potrzebujemy wyjaśnień. Chcemy wiedzieć, co się dzieje i dlaczego. Tak budujemy iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa. To dlatego wymyślamy sobie pewne abstrakcyjne pojęcia, bez których trudno wyobrazić sobie cywilizację: sprawiedliwość, dobro, zło. A wystarczy po prostu żyć. Jutra nie ma, wczoraj nie istnieje. Jest tylko to, co teraz. Dziś o świcie w drodze do spalonego rancza widział mnóstwo połamanych drzew, porzrzucanych gałęzi. W nocy musiała przejść tu wichura. Meyer zamyślił się nad tym. To nie było nic nadzwyczajnego. Wichura, burza, deszcz. Normalne zjawisko atmosferyczne. Kiedyś nie zwróciłyby na to uwagi, wyminęłyby drzewa leżące na jezdni i pojechał dalej, jak inni kierowcy. Może nawet kłębły, że nikt nie uprzątnął bałaganu na drodze. Teraz jednak tragedia lasu poruszyła go do tego stopnia, że kiedy minął ogromny powalony dąb, który jeszcze wczoraj mógłby szczyścić się mianem króla tej głuszy, zatrzymał auto na poboczu i ruszył w jego kierunku. Drzewo było silne, zdrowe, zaś jego kora brązowa, twarda, bez jednej huby. A jednak już nie istniało. Spłonnie w jakimś piecu, pokrojone na małe kawałki. Wtedy w gęstwinie liści dostrzegł małe gniazdo, utkane z trawy, wyłożone liśćmi i puchem. Było puste. Poczuł, że ogarnia go bezsilność. Nie można przecież opisać rozpaczy mieszkających w nim ptaków. Czy w ogóle powinno się rozpaczać nad takim zdmuchniętym gniazdem? Jak to wyjaśnić racjonalnie? Że to natura, a może Bóg tak chciał? Meyer szczerze w to wątpił. Co zresztą z tymi ptakami? Jeśli przeżyły, czy założą następny dom? A ich smutek? Czy był jakiś smutek? Czy był żal,

złość? Może tylko przerażenie. Czy one pomyślały choć przez chwilę: „Dlaczego akurat nasze gniazdo spadło?”. Przecież to nie działa w ten sposób, a to znaczy, że te nasze ludzkie wartości wcale nie są uniwersalne. Może dlatego tak lubimy personifikować zwierzaki i przenosić na nie nasze wartości? Z naiwnej nadziei, że nasze uczucia tłumaczą wszystko.

Bramka wisiała na jednym zawiasie, bujała się jak zwykle, kiedy szedł nad jezioro. Zdjął ją i ustawił obok. Nie była już nikomu potrzebna. Potem ruszył do szopy, która dziwnym trafem nie ucierpiała. Znalazł tam drewniany młot do wbijania palików. Sam nie wiedział, że ma coś takiego, i wrócił na miejsce, by zająć się szyldem. Zdjął kurtkę, zabrał się do pracy. Zanim skończył, usłyszał w oddali warkot zbliżającego się pojazdu. Po chwili obok jego auta zatrzymał się zielony džip khaki. Kierowca opuścił szybę i nie gasząc silnika, pokiwał mu głową. Meyer rozpoznał wolontariusza ze stacji badawczej. Nie zdziwił się. W tej głuszy każdy odgłos silnika niósł się z daleka. Chłopak musiał specjalnie wyjechać mu na spotkanie. Hubert niechętnie odpowiedział na jego powitanie.

— Dawno pana nie było. — Łukasz Maciejewski uśmiechnął się, zgasił silnik i szedł już w jego stronę. Jak zwykle był odprasowany po ostatni guzik. Zielona koszula z kołnierzykiem na zatrzaski, bojowe spodnie, skórzane wojskowe trepy z demobilu. Włosy miał krótko ostrzyżone, zaś na jego szyi Meyer dostrzegł amerykański nieśmiertelnik. Był bardzo ciekaw, co ma na nim wygrawerowane.

— Nawet pan sobie nie wyobraża, co się tutaj działo — powiedział na powitanie Maciejewski. Był wesoły, jakby rozpierała go duma.

— A co takiego? — udał zainteresowanie Hubert, bo przecież Doman złożył mu szczegółową relację. Policjanci przetrzepali całą stację w poszukiwaniu broni lub innych śladów mogących wskazać na związek sprawy, nad którą przed laty pracował Hubert, ze strzałem do Szwagra. Nie znaleźli nic. Zupełnie. Doman był wściekły. Meyer był szczerze zawiedziony, zaś komendant białoostockiej komendy dał się udobruchać jedynie zgodą Elizy na wizję lokalną. Nie tego jednak wszyscy oczekiwali.

— Policja nas sprawdzała — poskarżył się wolontariusz. — Tak podejrzewałem, że może to mieć związek z panem.

— Ze mną?

— Niech pan nie udaje. Pani profesor powiedziała nam wszystko. I tak niczego nie znaleźli. Tylko dziewczyny strachu się najadły. Wzięli je na rewizję osobistą. Na szczęście od tamtej pory nikt ze wsi nie śmie nas ruszyć. Nawet jednego anonimu nie było, a wcześniej przychodziły regularnie raz na tydzień. O tyle dobrze, że znów mamy spokój.

Meyer nie odpowiedział. Wciąż walczył z szyldem, ale nie mógł sobie z nim poradzić. Mimo włożonego wysiłku napis znów przewrócił się na bok. Wolontariusz nie mógł na to patrzeć, bo podszedł i sprawnie wykopał większy dołek, do którego wsadził zaostrzony na końcu drąg, a potem kilkoma ruchami wbił go w ziemię jak w masło. Meyer patrzył na to zadowolony. Widać było, że tego oczekiwał.

— Fachura — przyznał. — Bezbłędnie.

— Terapia zajęciowa. Cały czas robię tutaj takie rzeczy. — Chłopak uśmiechnął się zadowolony. — Odwiedzi nas pan? Pani Knut już się nie gniewa, a pewnie się ucieszy. Mamy dziś najlepszy dzień od czterech lat. Dostaliśmy grant. Wszyscy są zadowoleni, a pani profesor chyba najbardziej. Będziemy mogli dokupić trochę nowej ziemi dla wilków.

Meyer zagryzł wargi. Nie odpowiedział, choć właściwie przyjechał wyłącznie z inicjatywą odwiedzin stacji. Agencja nieruchomości sama mogła umieścić to ogłoszenie. Poza tym tędy i tak nikt nie przejeżdżał przypadkiem. Nie miało to żadnego sensu, ale na szczęście tylko Meyer na razie o tym wiedział.

— Dlaczego nie był pan w wojsku? — zapytał znieczeka Maciejewskiego. Tylko przez chwilę widział w jego oczach zaskoczenie. Chłopak szybko się opanował i nie dał po sobie poznać, że zaskoczyło go to pytanie.

— Mam chory kręgosłup — odpowiedział.

— Przecież z pana chłop jak dąb. — Meyer zmierzył go badawczym spojrzeniem, po czym zaczął flegmatycznie przeszukiwać kieszenie w poszukiwaniu paczki z papierosami.

— Dyskopatia — dodał wolontariusz na usprawiedliwienie, co zabrzmiało niezbyt wiarygodnie. Oczywiście nie palił. Kiedy jednak patrzył na plastikową zapalniczkę w rękach Meyera, która nie chciała wykrzesać ognia, wyjął swoją. Było to metalowe pancerne zippo.

Hubert patrzył na mały płomień zapalniczki. Z trudem zachowywał spokój.

— Sam pan nie chciał, czy ojciec wiedział lepiej i posmarował, gdzie trzeba? — dorzucił, starając się rozdrażnić Maciejewskiego.

Wolontariusz zbyt długo zwlekał z odpowiedzią i teraz już całkiem zdumiony wpatrywał się w Meyera, więc ten zdecydował się nie dać mu szansy na dalsze myślenie.

— Miał pan pozwolenie na broń. Zostało cofnięte — powiedział. — Miałem najpierw pomówić o tym z panią Magdą, ale skoro sam się pan napatoczył, to chętnie posłucham pana wersji. Oni wiedzą, dlaczego zostało cofnięte? Wiedzą o żółtych papierach? Bo dlatego nie poszedł pan do wojska. Ile o panu wiedzą?

— A pan? — Łukasz szybko odzyskał rezon. Nawet nie mrugnął okiem, tylko rzucił wyzywająco: — Ile pan wie?

— Wystarczająco — zablefował Meyer. — Trzy razy składał pan aplikację do policji. Czytałem wszystkie kwestionariusze. I raz do służb. Nawet jest pan uchem^[14] jednego z moich znajomych. Czy może z kimś pana myślę?

— Chyba raczej tak. — Wzruszył ramionami. Był jednak spięty, już się nie uśmiechał. — Maciejewski to popularne nazwisko.

Hubert zamiast odpowiedzieć roześmiał się w głos. Chłopak wpatrywał się w niego wyraźnie poirytowany.

— Tak mi się właśnie zdawało, że dasz taką odpowiedź, Łukasz — odparł nazbyt wesoło. Nie wyjmując papierosa z ust, zaczął się ubierać. — Wobec tego przepraszam. I do zobaczenia, w innych okolicznościach. Ja, jak wiesz, już nie mogę nic zrobić. Nie jestem policjantem. Zakończyłem tę przygodę.

Po czym, nie czekając na odpowiedź, poszedł do auta. Wolontariusz stał nieruchomo, wpatrując się w plecy Huberta. Nie rozumiał jego zachowania. Jakby nie wierzył, że profiler, wiedząc o nim tak wiele, łyknął jego wymijające odpowiedzi i nie zrobi zupełnie nic.

— Tchórz! — rzucił w jego stronę.

Hubert nie zareagował. Wsiadł do samochodu i zapalił silnik. Wychylił się z okna.

— Ciesz się, że nie musiałeś brać udziału w tej szopce. — Zasalutował mu i ruszył. — Ale co się odwlecze, to nie uciecze.

Tego było już dla Maciejewskiego za wiele.

— Zrobiłem to dla pana. Myślałem, że pomogę. A pan uciekasz? Jak tchórz? — rzucił się do Huberta. Ten wpatrywał się w wolontariusza beznamiętnie.

— Ty strzelałeś do mojego psa. A może raczej do mnie? — powiedział i z kieszeni kurtki wyjął kulę. — Każdego dnia noszę ze sobą te dziewięć milimetrów twojej wściekłości, Łukasz. A jak chciałeś mi pomóc? Transportując mnie do krainy wiecznych łowów? Bo to nie Schwagier był celem, tylko ja. Pewnie, że gdybym zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, sprawę by odkopano, a mnie postawiono rodzaj pomniczka. Tylko po co? Po co to zrobiłeś?

— To nie był błąd, tylko brak dowodów. Wcześniej czy później sprawa wypłynie — odpowiedział Maciejewski. — Powinien pan walczyć, a nie uciekać jak tchórz. Wiem naprawdę dużo, gdyby pan chciał mojej pomocy, sprawa byłaby załatwiona. Ale mnie pan odrzucił. Nawet nie chciał gadać.

Hubert wysiadł, podszedł do dżipa Maciejewskiego, otworzył bagażnik i zaczął w nim grzebać. Wszystkie rzeczy wyrzucał na drogę. Stara kołdra, kanistry na benzynę, smycze, opaski dla zwierząt, podręczna apteczka wielkości walizki po chwili leżały w trawie. Wreszcie znalazł laptop i bez wahania zaczął go otwierać. Dopiero teraz wolontariusz podbiegł, by powstrzymać Huberta.

— Co jest, masz nakaz? — krzyknął spanikowany.

— Nie — odparł Hubert. — Bo i po co? A może jednak mam rację i tu jest coś, czego policjanci powinni szukać. Nie broni, nie łuski. Nie zostawiłeś sobie niczego podejrzanego. Jesteś zbyt zorganizowany, zbyt porządny. Ale to właśnie cię zgubi. Tutaj jest moje archiwum i jesteś tak głupi, że sądziłeś, że się nie domyślę, pomyliłeś się.

— Bzdura! — krzyknął wolontariusz.

— Jaka bzdura? Twoje zachowania to kopia kilku moich spraw. Strzał w nocy to sprawa ekologa z Tarnowskich Gór, kryptonim „Jeleń”. Podpalenie to „Mag”, a ta trzecia, o którą ci tak naprawdę chodzi, to bezrobotny chemik spod Wrocławia, czyli „Misiaczek”.

— Nie wiem, o czym pan mówi — zaprzeczył Łukasz.

— Dobrze wiesz. Nauczyłeś się ich na pamięć i chciałeś je poprawić. Rzucaliś mi wyzwania, a ja je ignorowałem. Planowałeś kolejną sprawę.

Jaką? Kiedy?

— Zupełnie panu odbiło!

— To dlaczego po kipsiszu policji anonimowi ujadacze nagle się uspokoili? Może dlatego, że to ty byłeś głównym przeciwnikiem tej stacji? Dzięki rosnącemu napięciu i atmosferze nienawiści byłeś tam potrzebny. Byłeś ich jedynym ochroniarzem. Silny, potężny dowódca na warcie. Mając nieokreślone niebezpieczeństwo nad głową, nie ośmieliliby się usunąć cię ze stacji. To byłby dla ciebie cios, byli dla ciebie kimś więcej niż rodzina. Pozwolisz, że otworzę twój komputer i sprawdzę moją chorą teorię? Jeśli się myłę, stawiam zero siedemdziesiąt pięć — uśmiechnął się Meyer. I dodał: — Łyskacza.

Maciejewski próbował wyrwać mu z rąk swój laptop.

— Skopiowałem to cholerne archiwum, ale nie po pana wyprowadzce, tylko przed — powiedział. — Dom był otwarty cały czas, nawet drzwi pan nie zamykał. Nigdzie się nie włamywałem. A z tamtymi sprawami nie mam nic wspólnego.

— To się jeszcze okaże — odparł Hubert i zamknął się z laptopem wolontariusza w swoim wozie.

— Nie ma pan prawa! — Łukasz walił w szyby. — Złożę zażalenie.

— Zobaczymy, kto pierwszy — mruknął Meyer, po czym spokojnie otworzył laptop i włączył szukanie konkretnego pliku. Podejrzewał, że Maciejewski zmienił jego nazwę i kolejno wrzucał w wyszukiwarkę przychodzące mu do głowy wyrazy. Bez skutku. Wreszcie wpisał po prostu „archiwum Meyera” i już po chwili wyskoczył mu oryginalny plik wraz ze zmodyfikowanymi kopiami.

Wszyscy pracownicy stacji patrzyli, jak policja odprowadza do radiowozu skutego Łukasza Maciejewskiego. Byli zdumieni. Pierwsza odezwała się pani Magdalena Knut:

— Przepraszam pana. — Pochyliła głowę. — Nieświadomie go ostrzegłam. Nie miałam pojęcia, że tak miły człowiek mógłby zrobić coś tak paskudnego.

— Nie mam do pani żalu — odparł Meyer. — Zresztą najgorsze rzeczy często popełniają dobrzy ludzie. On zrobił to dla stacji. Tak chciał ją ratować. Właściwie to mu się udało. Słyszałem, że dotychczasowe problemy już wam nie grożą. Macie grant.

Profesorka skinęła głową i dodała:

— Możemy wejść głębiej w las, trwają dyskusje panelowe, by zrobić tu rezerwat. To by ostatecznie nas zabezpieczało przed takimi fanatykami. — Wskazała Maciejewskiego. — Wie pan, to jest bardzo inteligentny i dobry chłopak. Nie rozumiem, po co on to zrobił? To bez sensu.

Meyer wzruszył ramionami. Szykował się już do wyjścia.

— Chyba wy potrzebowaliście jego, tak samo jak on was — wyjaśnił. — Dzięki niemu był jakiś wróg we wsi. Ktoś zły, na kim można skupić wszystkie negatywne emocje. To tak jak ci chłopci przed laty, którzy stworzyli stereotyp złego wilka. Sama pani opowiadała. Bojąc się czegoś nieokreślonego, co może czaić się w lesie, woleli bać się wilka. Przynajmniej wiedzieli, czego się boją.

Biolożka nadal była przybita.

— Muszę już jechać — powiedział Meyer. Zawołał Szwagra. Jedna z dziewczyn podała mu Radzia, który wyglądał teraz jak czarna, włochata kula. Przytył kolejne kilka kilo. Meyer pomyślał, że kocur wszędzie dobrze sobie radzi. Nie bez powodu miał tak na imię.

— No hałastrą, w drogę.

— Ale co pan teraz z nimi zrobi? — Profesorka rozłożyła ręce. — Gdzie będą mieszkały?

Hubert zerknął na zwierzaki, które już siedziały w jego aucie. Zamyślił się.

— Jeśli mam być szczery, nie wiem — powiedział zgodnie z prawdą. I dodał: — Prawdopodobnie tam, gdzie i ja.

— Niech pan je na razie zostawi u nas — poprosiła jedna z biolożek. — Radzio jest wspaniałym łowcą myszy, a Szwagier sam pan wie, to dla nas skarb. Zajmiemy się nimi, a potem je pan sobie odbierze. W dowolnej chwili.

Meyer zastanawiał się. Knutowa gwałtownie przerwała kobiecie.

— To są zwierzęta pana Huberta. Nie pożyczają się zwierząt — ucięła dyskusję. I chwyciła go pod ramię. — Ale mam inną propozycję. Pan wie, że dostaliśmy grant.

Pokiwał głową.

— Ten grant w dużej części ma być przeznaczony na ziemię. Na teren pod wilcze woliery, by stworzyć im warunki najbardziej zbliżone do

naturalnych. By siatki znajdowały się tak daleko od siebie, żeby ich nie ograniczały. Wilki muszą biegać. Dziennie muszą pokonać setki kilometrów. Wtedy dobrze się czują, mogą się rozmnażać i sam pan wie. Może to dlatego tylko jedna wadera miała zostawić u nas małe. Gdybyśmy mieli większy teren, wszystko byłoby inaczej.

— No tak — odparł zniechęcony Meyer. Zerknął na zegarek. — Trochę się śpieszę, pani profesor. Może pani jaśniej?

— No właśnie już mówię, panie Hubercie. Czy pan zawsze musi mi przerywać? — zniecierpliwiła się. Nabrała powietrza i wyrzuciła z siebie: — Czy nie sprzedałby pan wilkom swojej posiadłości? Razem z jeziorem, do ostatniego kawałeczka ziemi. Za cenę rynkową, taką, jaką pan zaproponował agencji. Już tam dzwoniłam — dodała z triumfującym uśmiechem.

Meyer spojrział na biologów. Uśmiechali się do niego prosząco. Widać w tej wilczej komunie nie było tajemnic. Wszyscy czekali na jego decyzję. Nie wahał się ani chwili. Nie mógł znaleźć lepszych kupców.

— Będzie to dla mnie zaszczyt — odparł rozpromieniony.

Ku jego zdziwieniu Knutowa nie rzuciła mu się na szyję z radości, ale chwyciła go pod ramię i poprowadziła kawałek dalej od pracowników, którzy szeptali między sobą.

— Tylko jest jeden kłopot — zaczęła. — My te pieniądze dostaniemy dopiero na początku roku i musimy je wydać w całości. A potrzeb jest wiele. Więc gdyby pan nam oficjalnie sprzedał za wyższą kwotę, a my sobie to wtedy wrzucimy w inne koszyki. Na przykład sprowadzilibyśmy więcej osobników, które trafiają do ogrodów zoologicznych. Pan wie, jaki to koszmar dla wilka, taka mała klatka.

Meyer patrzył na nią, nie rozumiejąc ani słowa.

— Nic nie rozumiem. To jakiś przekręt? Proszę powiedzieć bez owijania w bawełnę. Czego pani ode mnie oczekuje?

— No właśnie! — Knutowa rozłożyła ręce. — Marynka? — krzyknęła na dziewczynę, która wcześniej trzymała na rękach Radzia. — Powiedz panu.

Meyer westchnął ciężko. Na tyle jednak polubił już profesorkę, że nie czuł złości, chciał mu się tylko śmiać.

— Może pani mi wytłumaczy — zwrócił się do młodej biologki. Widział, że jest speszona.

— Pani profesor pomyślała, że poczeka pan z zapłatą i weźmie na razie jako zastaw moje mieszkanie. Już dawno przepisałam je na poczet majątku stacji. Pochodzę z zamożnej rodziny. To skromna kawalerka po babci. Spodoba się panu — wyjaśniła dziewczyna.

— Chodzi o to — przerwała jej profesorka — żeby nam pan sprzedał ten grunt, a poczekał z zapłatą do przyszłego roku. W tym czasie może pan zamieszkać w mieszkaniu Marynki. Oczywiście przepisujemy własność. Będzie już należało do pana. Może pan je sprzedać, wynająć, zrobić z nim, co zechce.

— Chcecie mi dać mieszkanie? — zdziwił się Hubert. — A gdzie ono się znajduje?

— Jak to gdzie? — oburzyła się profesorka. — W Katowicach. Tam, gdzie pan zawsze mieszkał. Jej babcia to pana krajanka. — Wskazała dziewczynę.

Hubert uśmiechnął się.

— Muszę się zastanowić — odparł jedynie, żeby się podroczyć. — To wszystko bardzo skomplikowane. I czy to będzie legalne? Mam dosyć kłopotów. Jeszcze brakuje mi łatki złodzieja stacji badawczych.

— Gdzie tam, w życiu nie wpuszczałabym pana na minę. Dobrze, niech pan myśli, byle szybko. — Knutowa była niezadowolona. — Inaczej zaczniemy negocjować z ludźmi ze wsi.

— Żartowałem! — Zaśmiał się Meyer. — Zgadza się. Od pani kupię każdego kota w worku.

Rozległy się radosne okrzyki. Szwagier wybiegł z auta i łąsił się do wszystkich. Hubert pożegnał się z nimi, zawołał psa, ale ten nie chciał wracać. Wołał za nim, aż wreszcie pies przyszedł z ociąganiem. Radio siedział jak sfinks na ogrodzeniu. Wyglądało na to, że żaden nie ma ochoty znów wsiadać do wozu.

— Ty zdrajco — mruknął do niego i podrapał pod brodą. A potem zwrócił się do profesorki: — Dobrze im u was. Niech więc jeszcze posiedzą na tym urlopie. Potem się zobaczy.

— Zapewniam, że pomost zostawimy i zawsze, kiedy nas pan odwiedzi, będzie mógł wykąpać się o świcie — rozpromieniła się Knutowa. — Marynka, przynieś panu akt własności tego lokalu.

Mieszkanie, na które Hubert zamienił posiadłość po rodzicach, było niewielkie, lecz przytulne. Stara kamienica, okna z wykuszami. Zatrudnił robotników, by odświeżyli ściany, położyli nowe kafle w kuchni i łazience. Pracował razem z nimi, chcąc przyspieszyć remont. Znowu czuł się dobrze. Miał swój kąt. Za oknem hałasowały auta. Nie przeszkadzało mu to. Po kilkumiesięcznym pobycie w głuszy oddałby wszystko za miejski gwar. Robotnicy mieli zakończyć prace w ciągu tygodnia i wtedy też Hubert zamierzał wreszcie wyjechać na wakacje. Teraz stać go było na bilet do Kazachstanu i wynajęcie terenowego wozu na miejscu. Hotelu nie rezerwował. Zamierzał jeździć po stepie i nie myśleć. Wcale nie chciał zastanawiać się nad tym, co chce dalej robić ze swoim życiem. Po prostu żył. Nie mógł przecież walczyć z tym, na co nie miał wpływu. Zdecydował się więc zaakceptować swoją sytuację i z niektórymi rzeczami po prostu się pogodzić. Nie chciał już odgrzebywać starej sprawy Wilka, ani rozpaczać nad tym, co stało się z dorobkiem życia jego rodziców. Dochodzenie było w toku, zatrudnieni przez niego adwokaci brali duże pieniądze za wyjaśnienie sprawy, ale też doskonale sprawdzali się, walcząc z firmą ubezpieczeniową. Meyer nie pojawiał się w Jakunówku. Nie chciał się tym zajmować. Czekał, aż sprawa wyjaśni się sama. Po prostu otworzył okno i czekał na to, co wleci do środka. Od dawna nie czuł się tak spokojny. Znowu wstawał rano, a wieczorem kładł się tak zmęczony, że nie był w stanie ruszyć nawet małym palcem. I najważniejsze: nie myślał.

Kiedy robotnicy zrobili sobie fajrant, wszedł Doman z reklamówką pełną jedzenia. Przywitali się po męsku, bez zbędnych ceregieli, a potem wyszli na miniaturowy balkon. Hubert spojrział na katowicki pejzaż. Kochał to miasto. Tu był jego dom.

— Nie miałem czasu nic zjeść od rana — powiedział Doman i wyjął z torebki słusznej wielkości kanapki. Zanim zrobił wielkiego gryza, poskarżył się: — W sklepie była ogromna kolejka.

Hubert nie odpowiedział. Jedli w milczeniu. Meyer spojrział na niebo. Nad miastem wisiała czarna chmura niczym wielkie kowadło. Jeszcze przed chwilą panował nieznośny upał, ale wiadomo było, że zaraz znowu lunie.

— Chyba wrócę do domu — nagle odezwał się Domański. — Liliana nie daje żyć mojej kobiecie. Wczoraj zadzwoniła do niej na domowy

telefon, żeby mi powiedzieć, że zrobiła korniszony. Potem dała do telefonu córkę, która spytała, kiedy wrócę z delegacji. Patrycja się wściekła.

— Nie dziwię się — odparł Meyer. Nie miał ochoty komentować decyzji kolegi. Jednak, widząc minę kumpla, spytał: — Nie powiedziałaś żonie, że odchodzisz?

Doman pokręcił głową.

— Nie miałem serca. Powiedziałem tylko, że musimy się rozstać na jakiś czas. Z dziećmi w ogóle nie rozmawiałem.

— Skąd miała numer do Patrycji? — dopytywał się Meyer.

Doman wzruszył ramionami.

— Może znalazła w mojej komórce, kiedy odkryła, że ją zdradzam? Nie wiem.

Hubert nie odpowiedział.

W kieszeni zawibrował mu telefon. Na wyświetlaczu zobaczył prywatny numer. Zawahał się chwilę, zanim odebrał.

— Meyer, słucham — rzucił do słuchawki zimno, bez wyrazu.

— Cześć, chłopie! — Po drugiej stronie usłyszał głos komendanta wojewódzkiego policji w Katowicach. Hubert przez chwilę nie mógł wydobyć słowa. — Może wpadłbyś na kawę? Na przykład jutro.

— Nie mam czasu, szefie — odparł wreszcie. — Wyjeżdżam na wakacje. Całe lata nie byłem na wczasach.

— To tak jak ja — przyznał komendant. — A na cholerę ci one? Te wakacje, znaczy się. Wiesz, ilu zbójów można w tym czasie złapać?

— Mnie to już nie dotyczy, szefie.

— Ale mnie dotyczy. Mam tutaj prośbę od ludzi o ponowne powołanie cię do służby za dokonania w białostockiej sprawie.

— Mnie? Szefie, nie mam z tym nic wspólnego — odparował Hubert. — Nic nie pisałem.

— Weź już nie pierdol, Meyer, tylko przyjeżdżaj jutro, dziesiąta trzydzieści. Mój nowy wice boi się o swój stołek. Trzeba go spacyfikować. Nie mam już dla ciebie etatu profiler, ale mógłbyś trochę popracować w sekcji psychologów. Przez jakiś czas robiłbyś to, co kiedyś, a potem się zobaczy. Powalczymy.

Meyer milczał.

— Nie mogę cię wyczyścić, chłopie — przyznał komendant. — Sam musisz odzyskać honor. A możesz to zrobić tylko tam, gdzie go straciłeś.

— Nie chcę honorów. Pomyliłem się — powiedział Meyer. Starał się, by jego głos brzmiał twardo. — Taka jest prawda. Mój błąd.

— Mam w dupie twoje błędy, Meyer. Popełniłeś ich znacznie więcej niż jeden. Ale teraz jesteś potrzebny. Mam tu wezwanie do służby dla ciebie. Podpisane zaocznie. Sam je załatwiłem, licząc, że resztką oleju jeszcze się telepie w tym twoim pustaku. Wchodzisz w to?

Hubert milczał. Bardzo chciał powiedzieć, że tak, że tyle czasu na to czekał, ale nie mógł wydobyć słowa.

— Poza tym, Meyer, są nowe dane w tej sprawie. Pomyliłeś się, ale nieznacznie. Chciałbym, żebyś niezwłocznie udał się do mojego, kurwa, pokoju i zobaczył te kwity. Nie ma czasu na zabawy. Ja z tobą flirtować nie będę. Ani cię prosić jak jakąś panienkę. Już, kurwa, wykręciłem numer. To chyba wystarczy.

Meyer uśmiechnął się.

— Tak jest, szefie. Zrozumiałem, udaję się — odparł, zanim zdążył przemyśleć odpowiedź. Niepotrzebnie zastanawiał się nad tym, kim jest. Był tylko policjantem. Nigdy nie potrafił być nikim innym. Znów czuł się bezpiecznie i dobrze we własnej skórze.

— Czasami to, co nam się wydaje, jest właśnie takie, jakie jest, Meyer — dodał komendant i rozłączył się.

Meyer spojrzał pytająco na Domana, który uśmiechnął się szeroko. Nie musiał nic mówić, Hubert doskonale wiedział, komu zawdzięczał ten telefon.

— No, to na mnie już czas! — Doman klepnął w plecy profilera. — A tak w ogóle to rozmawiałem z Lenką. Świetna dziewczyna. Będzie z nami pracowała, jak wróci. W życiu nie sądziłem, że to powiem. Baba u mnie w firmie! Dziurki nie robi, a swoje wypije — uśmiechnął się.

Choroszcz, rok później

Mury szpitala ze wszystkich stron były porośnięte dzikim winem. Nie było widać wejścia ani wyjścia. W każdym razie Lena, w pierwszej chwili zaskoczona widokiem, nie mogła go znaleźć wśród listowia. W miejscu bramy, gdzie jeszcze rok temu straszyła wielka dziura,

wstawiono nowiutki mosiężny płot. Kiedy minęła budkę strażnika, oniemiała. Nie rozpoznała tego miejsca. Pomyślała, że może umarła i znalazła się w raju.

W lewej, nasłonecznionej części szpitalnego parku, gdzie był budynek dyrekcji, rosły oleandry. Obok nich rozłożyste krzaki, uginające się od ciężkich kiści hortensji, wydzielały słodki zapach, wabiąc tłumy owadów. Rząd słoneczników jak jedna rodzina zajmował prawy róg, tuż przed wejściem do budynku terapeutycznego, uparcie wystawiając twarze do słońca. Z prawej, przed właśnie remontowaną kapliczką z przyjaźnie sąsiadującymi ze sobą krzyżami katolickim i prawosławnym, rosły rabatki z różami. Dalej mieczyki w obłądnym biskupim kolorze, irysy i tulipany, które rozsiały się dziko wszędzie, gdzie popadło.

Lena spojrzała na parking i dostrzegła starą astrę z otwartymi oknami. Domyśliła się, że pewnie doktor Gajewski uchylił je, chcąc wywietrzyć dym papierosowy. Psycholożka ruszyła wprost do wejścia. Budynek w przeciwieństwie do szpitalnego ogrodu nie zmienił się wcale. Weszła stromymi schodami na górę, do gabinetu dyrektora placówki. Wiedziała, że czekał na nią od ponad godziny. Za biurkiem jak cerber siedziała sekretarka z różowymi włosami. Spojrzała na kobietę spod oka, identycznie jak ostatnio. Lekarz rozpoznał Lenę i na jej widok nie powiedział ani słowa, choć znów miała jasne włosy. Była w sukience, butach na obcasach, w ręku trzymała teczkę z dokumentami i laptopem. Wskazał jej ten sam fotel. Na jego oparciu było jedynie większe przetarcie. Od czasu jej ostatniej wizyty musiało tutaj siedzieć wielu pacjentów i gości placówki.

— Jak ona się miewa? — spytała.

— Doskonale. — Lekarz wskazał widok za oknem. Wszędzie rosły kwiaty. — Może jest trochę zmęczona. Mamy czternaście hektarów powierzchni. Jest jeszcze dużo grządek do obsadzenia — dodał z przekąsem.

Potem przesunął w kierunku psycholożki akta sprawy Elizy Fal. Maestra została uznana winną wszystkich czterech zbrodni. Choć wciąż się nie przyznawała, dostała dożywocie bez możliwości ubiegania się o warunkowe zwolnienie po odbyciu połowy kary.

— Dziękuję. — Lena wzięła je do ręki. — Piszę pracę na temat przyczyn zabójstw popełnianych przez kobiety. Główną motywacją są wciąż doświadczenia przemocowe z dzieciństwa. Zbieram grupę badawczą. Zależy mi na niej.

Otworzyła akta na zdjęciach, wykonanych Elizie przez techników do policyjnych kartotek. Prawy, lewy profil. Twarz harfistki wprost na tle linii w centymetrach. Miała niewiele ponad 155 centymetrów wzrostu. Rozmiar buta 38.

— Ona do tej teorii nie pasuje — skomentował lekarz. — Ale przecież wyjątki jedynie potwierdzają regułę.

— Co jej jest? — Lena podniosła głowę. — Nadal się nie przyznaje?

Gajewski nie odpowiedział. Podeszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Lena uśmiechnęła się, wyjęła z torebki papierosy.

— Próbowałam rzucić, ale sam pan wie, jak jest — przyznała, kiedy podawał jej ogień.

— Jakież wady trzeba mieć — odparł bez uśmiechu. A potem sam porządnie się zaciągnął. — Nie jest chora.

— Nie? — zdziwiła się Lena. — To dlaczego przebywa u was tak długo?

— Cztery fazy wegetacji. Dzięki niej mamy znów rajski ogród, zamiast wypalanej trawy. Szkoda, że nie mamy jeszcze wariata stolarza albo tapicera. — Wskazał odłóżający materiał z fotela. Tacy wariaci mistyfikatorzy są nawet czasem przydatni.

Uśmiechnęli się do siebie. Lena czekała na jego opinię.

— Borderline^[15]. — Wzruszył ramionami. — Tylko tyle i aż tyle. Żadnych wątpliwości, że w momencie popełniania zbrodni miała pełną świadomość czynu. Nie było łatwo to stwierdzić. Trzy komisje ją badały. Jedna nawet dała się zwieść. Wreszcie zastosowaliśmy metodę nieetyczną.

— Nieetyczną?

— Widzi pani, my nie traktujemy jak sprawców nawet osób dostarczonych nam przez policję czy sąd. Dla nas to pacjenci. Trzeba się nad nimi pochylić, zatroszczyć się, pomóc. To nic, że cztery ciała za jej sprawą są już, za przeproszeniem, w ziemi. Więc pochyłaliśmy się, troszczyliśmy, pomagaliśmy. Ale kiedy zobaczyłem, że tej sprytniej kobiecie udało się wykiwać najlepszych ekspertów z województwa,

zdecydowałem się na najprostszą metodę badawczą: oszustwo — zamilkł. Po chwili dodał: — Dla potrzeb sądu nazwaliśmy to procedurą precedensową.

Lena wybuchnęła śmiechem. Doktor też uśmiechnął się do niej słabo. Wziął dokumenty i zaczął je kartkować.

— Anemia zagrażająca życiu. Trzeba było karmić ją siłą, miała też podłączane kroplówki. Twierdziła, że widzi ducha Oli, który ją opętał. Słyszała też głosy innych ofiar. Mówiła o natarczywych omamach wzrokowych i słuchowych. Widziała ogród, Zosię grającą na harfie, Julkę próbującą udusić ją foliową torebką. I tak dalej. Wszystko perfidnie przygotowane. Była całkiem wiarygodna. Bibliotekę, niestety, mamy dobrze wyposażoną w lektury medyczne. Bez skrupułów też naśladowała zachowania florystki. Poszła nawet krok dalej: biegała naga po oddziale, rzucała się na innych, dokonywała aktów samoagresji. Musieliśmy ją izolować. Wtedy zatarła sobie grafit pod powiekami. Przez miesiąc chodziła z plastrami, udając ociemniałą. Wielu się jej bało. Pewien profesor, jedna z większych sław psychiatrycznych, sugerował kontakt z egzorcystą. Naprawdę Eliza Fal to doskonały materiał do badań. Zaręczam.

— Właśnie widzę — odparła Lena. — Ale jak udało się ją zdemaskować?

Lekarz wahał się chwilę, wreszcie ściszył głos:

— To było proste. Podmieniłem jej leki. Dostawała placebo: witaminę A i rutinoscorbin. Od razu stwierdziła, że jej stan się poprawia. Mówiła na przykład, że już nie słyszy ducha.

— Tego nie wolno robić?

Lekarz pokręcił głową.

— Sama pani przecież wie. Dla sądu to dowód bez znaczenia. Ale wtedy się złamała. Zaczęła chodzić na terapię zajęciową, socjalizować z grupą. Kupiłem jej pierwsze bratki do posadzenia. I się zaczęło.

Rzucił na stół kilka rysunków. Były to straszne bohomyzy, niezwykle kolorowe. Wśród nich Lena znalazła nieudany portret Oli w ogrodzie. Twarz florystki była zamazana na czarno. Autorka obrazka musiała to zrobić po skończeniu pracy, bo spod grubej warstwy kredki świecowej widać było wyraźne rysy twarzy. Lena rozpoznała ją bez problemu. W tle, za Olą stała harfa.

— Jeszcze o tym nie wie, ale w ciągu dwóch tygodni trafi do więzienia i mam nadzieję, że już nie wyjdzie — powiedział lekarz. — Sprytna, wybitnie inteligentna morderczyni. Najciekawszy przypadek w mojej karierze. Moim zdaniem, ona nigdy się nie przyzna. Nigdy. Inaczej rozsypałaby się w drobny mak. Ale jak pani chce, może z nią pomówić. Zgodnie z umową nie uprzedzałem, że pani przyjedzie, ani kim jest. Jeśli pani ją przekona, jest do pani dyspozycji, dopóki ją jeszcze mamy — dodał najwyraźniej bardzo zadowolony z siebie.

Lena jeszcze chwilę siedziała bez ruchu, wertując akta. Doktor Gajewski pokiwał głową, że może je pożyczyć. Nagle uderzył się ręką w udo, jakby sobie o czymś przypomniał.

— To przyszło, jak tylko aresztowaliście harfistkę. — Położył na stole list podpisany własnoręcznie przez Aleksandrę Jekel. — Policja pobrała odciski palców i ślady biologiczne, ale było ich zbyt wiele. Nie dało się z nich wyodrębnić śladów harfistki. Skopiowali to, przydało im się do zamknięcia jakiegoś łańcuszka.

— Poszlak — dokończyła Lena, a on pokiwał głową.

— Samego listu nie chcieli. Pomyślałem, że może zainteresuje panią. To chyba fragment tego, który maestra podrzuciła Oli, kiedy pozorowała jej samobójstwo. Sam nie wiem. Wysłano go do mnie ze szkoły muzycznej trzy dni przed zabójstwem florystki. Pewnie to Eliza go nadała. Do tej pory nie wiem, po co.

— Chciała, żeby się wydało — szepnęła Lena i zaraz dodała: — Tylko podświadomie.

Potem pochyliła głowę, zmierzyła lekarza spojrzeniem i zaczęła czytać:

Historię moją łatwo można zweryfikować w tutejszym archiwum Prokuratury Okręgowej. Podaję sygnatury akt: Ds 514/96 i Ds 595/96. Numeru trzeciej, ostatniej sprawy, nie znam. Miałam w ręku jedynie podręczne akta policji. Nie czytałam ich, przerosło mnie to. Zbyt wiele uczuć zaangażowałam w relację z Zosią. Wnikliwym badaczom mogą przydać się również akta sądowe. Myślę, że są one konieczne, by zrozumieć proces, jaki zachodził w moim mózgu pod czujnym okiem organów ścigania, władzy i wybitnych specjalistów medycyny ogólnej. Mój związek z tymi sprawami jest widoczny na pierwszy rzut oka. Wystarczy prześledzić wskazane przeze mnie po kolei sprawy. Niestety, moja opętająca miłość do zmarłego dziecka okazała się wystarczającą zasłoną dymną. Zarzucono mi zbrodnię, a ja nie potrafię się bronić, ponieważ nie wiem,

czy je popełniłam. Żadnej nie pamiętam. Mam zbyt wiele luk w pamięci, być może wtedy stało się coś ze mną. Być może jednak nie. Ludzie kierują się rozumem, który zawodzi w zderzeniu z metafizyką. Ich zdaniem ona nie istnieje. Dziś twierdzę, że być może mają rację. Gdyby jednak prowadziło ich także serce, a nie rozum lub zwykła żądza, może ostatniej sprawy wcale by nie było.

Różne konsylia widziały mój przypadek we własnym subiektywnym świetle. Czyż to nie dowód całkowitego braku wiedzy naszych ekspertów? Byłam doskonałym królikiem doświadczalnym wszelakich metod badawczych, z których żadna nie poskutkowała. Ponieważ w kółko ktoś mnie obserwował, przesłuchiwał, testował, mniemam, że jestem jednym z najciekawszych szaleńców płci żeńskiej ostatniej dekady. Każda z grup ekspertów stawiała popartą dowodami diagnozę, lecz nie umiała mi pomóc, a tym bardziej wyleczyć. Może tu zresztą nie o wyleczenie chodziło. Szarlatani dusz uprawiali swoje poletko, mądrząc się i popisując przed swoimi podwładnymi. Wszystkim zaś chodziło tylko o to, by na mojej skórze dokonywać eksperymentów. To tylko ubrane we frazesy zabawy teorią, kokieteryjnie powołujące się na praktykę. Obiekt badań nie miał dla nich żadnego znaczenia.

Czy byłam szalona? Owszem, po śmierci dziecka zamknęłam się w domu jak w celi klasztornej. Biegałam po mieszkaniu, jęczałam z bólu, waliłam głową o ścianę, roztrzaskując ją do krwi, by zmniejszyć rozpacz. Bez skutku. Nawet samobójstwo mi się nie udało. Odcięli mnie w ostatniej chwili, bym cierpiała dalej. W szpitalu całymi dniami leżałam przykuta do łóżka, uparcie milcząc. Po udanej hospitalizacji nadal odmawiałam jedzenia, znajdując ukojenie jedynie w nierealnym świecie mojego dziecka, do którego dzięki podawanym przez lekarzy pastylkom znalazłam tajemne wejście.

Może więc nie byłam chora, lecz egoistyczna, zła, zepsuta do szpiku kości? Tylko że nigdy nie chciałam nikomu zrobić krzywdy, co najwyżej wzbraniałam się, gdy ktoś siłą chciał wciągnąć mnie z powrotem do znienawidzonej rzeczywistości. Tych ktosiów było kilku, może nawet kilkunastu, ale dopiero trwałe uszkodzenie ciała mojej przyjaciółki Elizy zdecydowało o wzięciu pod uwagę trzeciej opcji — opętania. Ta przygoda śmieszy mnie do dzisiaj, gdyż wysuszony staruszek o bursztynowych oczach, który kropił moje demony wodą z Lichenia i szeptał zaklęcia mające mnie oczyścić, za bardzo widać śpieszył się na wieczorną mszę, by wysłuchać mojej piekielnej historii do końca. Szkoda, bo na niego właśnie liczyłam, wierząc w swojej naiwności, że poza zestawem krzyży, jakie zgrabnie nasmarował brunatną kredką na ścianie mojej izolatki, wzniesie się ponad uczone teorie i pomoże mi przy pomocy swojej wiary uwolnić z Hadesu mój zakuty łeb.

Zniechęcona tym wszystkim, korzystając z przebłysku świadomości, zdecydowałam się sama opowiedzieć swoją historię. Może zawierać luki, niedociągnięcia, nieścisłości

wynikające ze szczegółów zatartych w pamięci. Wielu rzeczy do tej chwili nie rozumiem, jak nie pojmuje się przyczyn swoich decyzji, zwłaszcza po długim czasie. Zarzucają mi kłamstwa, wyrachowanie, ale nie mogę się z tym zgodzić. Choć przyznaję, czasem moje postrzeganie świata różniło się od percepcji świadków. Dlatego też podaję sygnatury akt, by można było wedle uznania zweryfikować moją wersję z faktografią organów ścigania.

Jestem chora, zła czy opętana? Nie wiem. Zostawiam to do wyboru wnikliwego czytelnika. Wiem na pewno, że były we mnie dwie postaci, które walczyły ze sobą. Osoba, która mogłaby zrobić coś złego (głównie sobie), i ta dobra, która nic złego nie robi. Z jednej strony cieszyłam się, że czuję oddech martwego syna, a z drugiej martwiłam, bo widziałam, co się działo wokół mnie.

Teraz już nie zależy mi na niczym. Pragnę jedynie zrzucić z siebie ten ciężar nadwiedzy. A może zostawić potomnym spowiedź nawiedzonego potwora, która, jak mi nie mam, przyda się śledczym w rozwiązywaniu innych tego typu zagadek. Łudzę się też, że może znajdzie się choć jeden lekarz, który poza ciekawością naukowca będzie obdarzony zmysłem empatii i pochyli się nad moim przypadkiem nie tylko jako studium szaleństwa, lecz pomoże znaleźć rozwiązanie, nim całkiem ucieknę od rzeczywistości i stopię się z kwiecistym ogrodem wraz z moimi duchami. Tym zaś, którzy myślą, że są bezpieczni od zła, chcę pokazać, że ono otacza nas i wcale nie mamy wpływu na to, czy nas dosięgnie, czy nie, bo ono bywa z nami komplementarne jak ziemia z powietrzem. Jak czas i przestrzeń, zataczające koła, płaczące się w węzły, odradzając na nowo w zmodyfikowanej wadliwej wersji niczym zabłąkany chromosom w genogramie. Może to też dowód na fatum, jakie tak czy siak musi nas dosięgnąć, jeśli gdzieś w młodości popełnia się błąd, który multiplikuje się w naszym życiorysie, w efekcie zawieszając system. Jakakolwiek ucieczka nie ma więc zupełnie sensu, bo wszystkie drogi prowadzą i tak do ujścia Styksu. Tonę w nim po rozłożyste biodra, które wydały na świat Amadeuszka, dziecko anielskie, które obdarzyło mnie błogosławieństwem i przekleństwem miłości w jej najczystszej postaci, i tylko w tej pewności znajdując ukojenie, na marne wyczekuję swojego przewoźnika.

Sprostować też muszę pewną plotkę. Nie ma we mnie nic z teatralności, jaką zarzucali mi niektórzy. Swego czasu przyznałam się i przyjąłam winę na siebie, choć nie pamiętałam samych czynów. I nie zasłaniam się teraz afektem psychologicznym, jaki wiem, że może wystąpić, zwłaszcza pod wpływem wielkich emocji, a wraz z nim całkowite wyparcie. Delikatnych uprzedzam, że nie będę opisywała makabrycznych zdarzeń, nie będzie siekaniny ani krwi lejącej się po ścianach. Do życia wystarczy mi muzyka i pamięć syna, którą pielęgnuję pieczołowicie, jak delikatną, wymagającą szczególnych warunków uprawy roślinę.

Wielokrotnie słyszałam, że jestem nienormalna. Nie dziwię się, bo to, co się działo, mogło tak wyglądać. Nie jestem ideałem, ideałów nie ma. Słowem potrafię ranić jak nikt. Jednak zawsze chciałam tylko mieć rodzinę i dzieci. Los dał mi to jedno jedyne. Dla niego byłam w stanie zrobić wszystko. Nie wiem, co to była za siła, ale w momencie, kiedy mnie o coś prosił, wszystko stawało się nieważne. Syn całkowicie zawładnął moim życiem i myślami. Miałam wyrzuty sumienia, bo gdybym nie wyprowadziła się wtedy od męża, może to wszystko, co się stało, nigdy by się nie zdarzyło. Ale z drugiej strony może ja bym już nie żyła, bo mąż któregoś dnia zakatowałby mnie na śmierć. Jaki los wtedy czekałby Amadeusza? Zdawało mi się, że to on prosił, żebyśmy uciekali. Posłuchałam go, a może siebie samej, bo w jednej chwili zrozumiałam, jak bardzo go krzywdzę, czekając. Wyszliśmy, jak staliśmy, z jedną reklamówką, bez oglądania się za siebie.

Później byłam matką i ojcem dla Amadeusza. Mąż odrzucił go już na początku, ledwie się urodził. Powiedział, że nie jest jego, bo taki brzydki jak ja, a tak naprawdę byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Szybko pojęłam, że miłość dla mojego męża oznacza coś innego niż dla mnie, ale tak bardzo się bałam, że kiedyś syn powie mi, że pozbawiłam go ojca. Miałam rację. Ten moment nadszedł. Nie zdążyłam mu tego wyjaśnić. Amadeusz mnie opuścił, zanim zebrałam się do tak ważnej rozmowy. Może dlatego też nie potrafiłam pogodzić się z tym, że już nigdy go nie zobaczę.

Ani wtedy, ani później nie miałam wsparcia w nikim. Na początku matka mnie chroniła, ale kiedy zgodziłam się na transfuzję krwi u syna, odwróciła się ode mnie, mówiąc, że zabiłam go duchowo. Potem ciągle były kłopoty. Był uczulony na jad komara, kleszcza, to uszkodził sobie wzrok, przebił nogę gwoździem, przyszedł z deską na ręce. Kiedy kolejny raz leżał w szpitalu z powodu zwapnienia lewego płuca, a ja spałam u jego stóp jak pies, prosił, by trzymać go cały czas za rękę, bo jak się obudzi u Bozi, to nie chce być sam. A jednak byłam szczęśliwa. Miałam swój bezpieczny świat. Dopiero przy nim przestałam się bać.

Wiem, że moja miłość do syna była szalona. Po jego śmierci nie umiałam z niej zrezygnować, odciąć się, pogodzić z jego stratą. Byłam zapatrzona w niego, zasłuchana w to, co do mnie mówił. Tak mi się w każdym razie wydawało. Opowiadał, że takich pięknych kwiatów nie ma w żadnej kwiaciarni, psy się nie gryzą, a tatusiowie nigdy nie mają twarzy wykrzywionej wściekłością. Zazdroścę mu tego. Chciałam, by na zawsze zabrał mnie do tego ogrodu, gdzie wszystko jest piękne i dobre. Ale wiedziałam, że na razie mogę go jedynie odwiedzać, i godziłam się z jego wolą, że nie wolno mi do niego dołączyć. Czekałam tylko, aż mnie do siebie zawoła, żyłam tylko dla tego wezwania. Zniosłabym wszystko, byle tylko znaleźć się tam razem z nim, po drugiej stronie.

Teraz wiem, że to była iluzja. To wszystko nie istniało. Nie było ogrodu, ducha dziecka, tych wszystkich cudów. Zamiast szukać pomocy, błagać o zmianę mojego mózgu, powinnam słuchać ludzi, którzy radzili mi zapomnieć. Nie oglądać się za siebie. Pozwolić mu odejść. Żyć dalej.

Lena skończyła czytać.

— To wszystko? — zapytała zdziwiona.

— Na to wygląda — odpowiedział lekarz. — Ta kobieta była zakładnikiem Elizy, która bardzo starała się utrzymać u florystki ten stan. I udało jej się. Ola nawet kiedy była u nas, nie podejrzewała przyjaciółki o nieczne cele. Może nawet, kiedy Eliza Fal przyszła ją odwiedzić, ucieszyła się. Zresztą zaraz po tym wypadku natychmiast dostaliśmy nową bramę i strażnika. O nic nie musiałem nikogo prosić.

Lena milczała. Wpatrywała się w list.

— Tyle dobrego — mruknęła z przekąsem. — Władze już dawno powinny to zrobić. Oczywiście nie chodziło mi o to, że ma tu być jak w więzieniu. Chodziło mi raczej... — przerwała, nie było sensu się tłumaczyć.

Gajewski uśmiechnął się.

— Pani nie zrozumiała. Ktoś anonimowo przekazał darowiznę na rzecz szpitala. Pod warunkiem, że przeznaczymy ją na ogrodzenie. Z ciekawości chciałem sprawdzić numer konta, ale anonim to anonim. Nie otrzymałem żadnych informacji. Dopiero kiedy Eliza przekazała nam swój majątek. To znaczy, na konto naszej fundacji... Pewnie sądzi, że zostanie u nas na zawsze, jak w sanatorium.

— Maestra? — zdziwiła się Lena. — Przekazała wam swój majątek?

— Tak, po procesie. — Doktor wzruszył ramionami. — Może nie cały, ale dom, oszczędności. Kazała zlicytować agencji nieruchomości wszystkie pozostające w mieszkaniu przedmioty, poza kolekcją harf, które oddała do szkoły muzycznej. Zostawiła sobie tylko jedną, co dziwne — złamaną. Stoi przy jej łóżku. Nigdy nie słyszałem, żeby na niej grała.

Lena z klamką w dłoni szła szpitalnym korytarzem. Doktor Gajewski przeprosił ją, ale nie mógł tym razem oprowadzać jej po szpitalu. Dwie doby z rzędu miał dyżur i musiał się zdrzemnąć, zwłaszcza że jutro i

pojutrze też czekała go niemal całodobowa praca. Lena doceniła dowód zaufania i ruszyła na poszukiwanie harfistki.

Pensjonariusze wychylali się nieśmiało ze swoich sal, ale nikt nie śmiał do niej podejść. Jej mina, równy krok oraz pewność siebie, onieśmiewały ich. Kiedy jednak zajrzała do sali, w której miała przebywać Eliza, na jej twarzy zagościł niepokój. Natychmiast podjechał do niej Romek.

— Pani jaki ma stopień? — zaciekawiał się jak dziecko. — Major?

Zaskoczył ją. Zawahała się.

— Oni mi mówią, że major — zniżył głos Romek. — Prawda?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, by go nie urazić, więc uśmiechała się głupkowato. Po chwili otoczył ją tłum szepczących pacjentów. Młoda kobieta we wściekle strażackim szlafroku, zaczęła dotykać kwiatów na jej ubraniu, jakby chciała je zerwać. Miała łagodną twarz dziecka.

— Gdzie jest Eliza? — Lena wskazała na pustą salę. Pacjenci spojrzeli po sobie i zaczęli się rozchodzić. Została tylko ta kobieta. Teraz jednak z triumfującą miną bez słowa weszła do sali i położyła się na łóżku. Lena zrozumiała, że ma iść za nią. Wtedy za rogiem, przy jednym z łóżek dostrzegła przedmiot nakryty wyświechtanym pokrowcem. Niewiele myśląc, podniosła tkaninę, ale zdołała zobaczyć jedynie fragment złoczonej ramy harfy i pęknięcie, bo sąsiadka Elizy prawie rzuciła się na nią ze złością.

— Maestra zabrania! — krzyknęła.

Lena przez chwilę wpatrywała się w małą bezbronną dziewczynę, słusznie podejrzewając, że Eliza nawet tutaj znalazła sobie świtę. Poprawiła pokrowiec i przeprosiła. Następnie zwróciła się do dziewczyny, jakby była dzieckiem, a nie dorosłą osobą:

— Nie wiesz może, gdzie jest teraz maestra? — Rozejrzała się, jakby sprawdzała, czy nikt nie podsłuchuje, i zniżyła głos. — Muszę z nią pilnie porozmawiać. Tylko nikomu... — Położyła palec na ustach, nakazując jej ciszę.

Wydawało się, że zadziałało. Dziewczyna uśmiechnęła się, pokiwała głową i nagle zaczęła uciekać. Lena bezskutecznie próbowała ją znaleźć. Kiedy znalazła się na korytarzu, nie było na nim nikogo. Wszyscy się przed nią schowali. Kolejno zaglądała do pokoi, wreszcie ruszyła do pokoju pielęgniarek. Były zajęte podawaniem leków, jedna z nich kazała

jej czekać. Lena sprawdziła jeszcze sale terapeutyczne, pokój wykładowy ze szkolną tablicą, gdzie dostrzegła zapisane kredą nazwy leków, które pewnie otrzymują pacjenci, po czym upewniwszy się, że Elizy nie ma na oddziale, wyszła oszołomiona. Drzwi zamknęła klamką, którą przekazała pielęgniarce na dole.

Kiedy kierowała się do wyjścia, w oddali zobaczyła kobietę pochyloną nad kupką chwastów. Tuż za nią majaczyło oczko wodne, obrośnięte żółtymi narcyzami. Z tej odległości nie było widać twarzy kobiety, ale sylwetkę miała szczupłą, raczej drobną. Na ręce założyła gumowe rękawiczki i zawzięcie pielęła kąt ogrodu wokół oczka wodnego. Lena poczuła, jak serce zaczyna jej walić w piersi, i nie wahając się dłużej, ruszyła na przełaj w kierunku maestry. Pod stopami czuła wilgotną, miękką trawę o niewiarygodnie soczystym kolorze, jakby przed chwilą skropił ją deszcz. Pochyliła się, by upewnić się, że trawa nie jest sztuczna, ale była prawdziwa, podobnie jak pozostałe rośliny. Nie tylko nie były iluzją, ale pachniały, wydzielały soki, z ich pręcików sypał się pyłek, żarły je gąsienice, łaziły liszki. Kiedy Lena zbliżyła się na wyciągnięcie ręki, kobieta podniosła głowę. Nie była zadowolona, że ktoś podeptał jej wypielęgnowaną trawę. Lena natychmiast zeszła na chodnik.

— Dzień dobry — powiedziała. — Pamięta mnie pani?

Eliza kiwnęła głową i uśmiechnęła się po japońsku. Prawie się nie zmieniła. Tylko włosy miała całkiem siwe, dawno niefarbowane. Wciąż była jednak zwinna i elegancka.

Stały obie, milcząc i wpatrując się w siebie z niepokojem. Eliza zmierzyła wzrokiem akta w rękach Leny i wróciła do odchwaszczania części przy płocie. Lena zauważyła, że w chaszczach jeżyn rosły białe kwiaty. Miały efektowne płatki. Nagie zielone łodygi wysokie na pół metra były pozbawione liści. Wyglądały na egzotyczne. Wszystko wskazywało na to, że zasiały się dziko i dotąd nikt specjalnie o nie nie dbał.

— Już podczas pierwszego pobytu tutaj wypielęłam ich kąt oraz obłożyłam je białymi kamieniami, żeby nie podchodziła pod nie woda — odezwała się Eliza jak gdyby nigdy nic. I dodała: — Wtedy ich cebule zgniłyby i nie miałyby szans nigdy odrodzić się na nowo. Nie mogłam sobie darować, że zmarnieją z powodu mięty, ostów czy powoju.

Lena nie wiedziała, co odpowiedzieć. Podniosła do góry dokumenty i wyjaśniła cel swojej wizyty.

— Zgodzi się pani ze mną pomówić? — spytała.

Eliza kiwnęła lekko głową.

— Ale o czym? — zapytała najniewinniej na świecie. — To mnie nie dotyczy. Jestem niewinna.

— Wiem, że się pani nie przyznała — ciągnęła Lena. — Nie jestem sędzią. Chcę panią jedynie poznać. Na początek mogłybyśmy pomówić o pani kwiatach. Widzę, że je pani kocha. Włożyła pani mnóstwo pracy w stworzenie tego ogrodu — oświadczyła, dopiero potem zdając sobie sprawę, jak to zabrzmiało.

Eliza wahała się przez chwilę. Wreszcie zaczęła pakować wyrwane chwasty do wiadra, a potem podała je Lenie, by wyniosła do kontenera za rogiem. Nie odezwała się przy tym ani słowem. Psycholożka pomyślała, że może w ten sposób próbuje odwrócić jej uwagę. Kiedy ona odejdzie, kobieta skorzysta z okazji i ucieknie do swojej sali. Wzięła jednak pojemnik i wykonała polecenie. Może chodziło tylko o dominację w sytuacji? Wszystkie podejrzenia Leny okazały się fałszywe. Eliza czekała na nią w spokoju. Nigdzie się nie wybierała. Była zbyt ciekawa, co taka rozmowa może przynieść.

— Miała pani rację — odezwała się po dłuższym milczeniu Eliza. — Widzę, że mam do czynienia z osobą inteligentną. Cieszy mnie to, bo tutaj poza doktorem nie mam z kim rozmawiać. Kocham kwiaty, a wie pani dlaczego?

— Ja raczej nie mam ręki do kwiatów. Nie znam się na tym — odparła szczerze Lena. I zdecydowała się dodać: — Mam dwa, które rosną u mnie od lat. Ale raczej to one są ze mną, niż ja z nimi. Podleвам je, kiedy sobie przypomnę — dodała.

Eliza uśmiechnęła się.

— Kocham je, bo one kwitną dla mnie. Tak jakby całkowicie oddawały się w moją opiekę. Mają tylko mnie i są ode mnie zależne. Mogę się o nie troszczyć, dbać, pieścić. Mogę też je zniszczyć jednym ruchem. Ściąć, zdeptać, unicestwić. Ale nie robię tego. Mogę im też pomagać. Wiem, co zrobić, by lepiej rosły, jakie warunki im zapewnić. Od razu widzę efekty: co idzie nie tak, i mogę przewidzieć, co się zdarzy. Mogą mi sprawić niewiele niespodzianek. Wszystkie je przewiduję. Nie

zaskoczą mnie. Choć oczywiście to żywe stworzenia i nie da się nad nimi zapanować całkowicie. Można sobie wyobrazić wiele rzeczy: jak będą wyglądały, pachniały. Można oczekiwać, jaki będzie efekt. Ale i tak nigdy nie jest tak, jak się chciało na początku. Zawsze pojawi się coś nieoczekiwanego. A to jakieś liszki je zjedzą, a to pogoda przeszkodzi. Ktoś podepcze trawę, ktoś zerwie niedojrzały jeszcze kwiat, bo mu się spodoba. Ktoś może mi przeszkodzić. Proszę zobaczyć. — Eliza pokazała kolejno żonkile, hortensje, oleander. — Ten gatunek przywiozłam dwadzieścia pięć lat temu z Buenos. Przyjął się w moim ogrodzie i tutaj też go przeszczepiłam, choć nikt w niego nie wierzył. Mówili, że jest inny klimat, nie wyjdzie. A te polskie pelargonie, które miały być odporne na wszystko, zeżarły liszki. Naprawdę można nienawidzić motyle. Dla mnie kwiaty są jak ludzie. A może raczej ludzie jak kwiaty. To one zawsze zastępowały mi bliskich.

— Jest pani świetną florystką — przyznała psycholożka.

Eliza uśmiechnęła się szeroko. Chyba pierwszy raz Lena widziała ją szczerze uradowaną. Widać było, że ten komplement sprawił jej ogromną przyjemność.

— Bo to ja jestem prawdziwą florystką — potwierdziła. — Ola nienawidziła kwiatów.

Psycholożka zamarła. Eliza zaś nie czekała wcale na odpowiedź Leny. Wskazała kilka amarylisów rozsianych pod płotem.

— Nie sadziłam ich — powiedziała z niewinną miną. — Może pani wierzyć lub nie. Pojawiły się w moim ogrodzie same. Nadałam im imiona, rozmawiam z nimi codziennie. Ten jest dla Oli, ten dla Amadeusza, tamten dla Zosi, a ten... — zamilkła na chwilę i wskazała fragment świeżo podlanej ziemi — ...dla mnie.

— Ale tu nic nie ma — zauważyła Lena, wpatrując się w puste miejsce. — Tu nie ma żadnego kwiatu!

— Oczywiście, że jest — zaprotestowała Eliza i spojrzała na nią z wyrzutem. — Pod ziemią jest cebula. Zakwitnie w swoim czasie. Może na przykład po mojej śmierci? Kiedy już będę jedynie duchem. — Roześmiała się głośno, ale widząc grobową minę psycholożki, zaraz spoważniała. — Amarylis nie może umrzeć, jedynie zasypia w cebuli. Dlatego dusze zmarłych mogą się w nim odrodzić. Ola w to wierzyła. Sama jej o tym opowiedziałam. Moi rodzice mieli piękny ogród, znam

się na tym. Z perspektywy lat sędzę, że nawet lepiej niż na muzyce. Jeśli więc pani chce, możemy pomówić o moich kwiatach.

KONIEC

Warszawa, 2012

Podziękowania

Książka ta była jedną z najtrudniejszych, jakie przyszło mi dotąd napisać, ze względu na zawarty w nim materiał emocjonalny. Nie powstałaby, gdyby nie pomoc wielu osób, którzy służyli mi radą lub podzielili się swoją wiedzą.

Szczególne podziękowania składam: profesor Urszuli Mazurek i jej uczennicy, Kalinie Hlimi-Pawlukiewicz za konsultacje dotyczące harfy, doktorowi Wiesławowi Rutkiewiczowi, wicedyrektorowi szpitala psychiatrycznego w Choroszczy, za poświęcony cenny czas, i możliwość zwiedzenia placówki, podinspektorowi Andrzejowi Baranowskiemu z komendy wojewódzkiej policji w Białymstoku za profesjonalizm i okazane wsparcie merytoryczne, Izie i Pawłowi — przewodnikom po Białymstoku, Joannie Bachanek za wprowadzenie w tajniki florystyki, Wiesławie Sujkowskiej za konsultacje psychologiczne oraz wsparcie w trakcie kryzysu twórczego, sędziemu Tomaszowi Koziółowi z Tarnowa i pracownikom tamtejszej placówki za udostępnienie akt wszystkich spraw karnych dotyczących pierwowzoru głównej bohaterki oraz cierpliwość okazaną mi w trakcie długotrwałej dokumentacji, dziennikarce Halinie Bendzera oraz jej mężowi — za pierwszą porażającą opowieść, okazaną pomoc, udostępnione materiały wraz z oryginalnymi nagraniami i doskonałą szarlotkę, Mirze Suchodolskiej za monolog o wędkarzach, Annie Gryglaszewskiej — za trop zespołu Münchhausena

oraz mojej Rodzinie, która nigdy mnie nie zawiodła.

Dziękuję

Katarzyna Bonda

Przypisy:

[1]

Profesor psychologii, dyrektor Centrum Badawczego Psychologii Śledczej w Wielkiej Brytanii, słynny profiler, wydał ponad 20 książek, opublikował setki artykułów naukowych, jest uznawany za naukowca rewolucjonizującego postrzeganie oraz przydatność metod behawioralnych w psychologii śledczej. [przypis autorski]

[2]

Brent Turvey, profiler z USA, University of New Haven, autor wielu książek i publikacji dotyczących profilowania, opracował własną metodę profilowania (Analiza Śladów Behawioralnych). Jego zdaniem profilowanie powinno się opierać na drobiazgowej analizie materiału dowodowego: śladów fizycznych i behawioralnych oraz wnioskowaniu dedukcyjnym. [przypis autorski]

[3]

W slangu policyjnym prokurator. [przypis autorski]

[4]

W slangu policyjnym „brak cech przestępstwa”. [przypis autorski]

[5]

Wydział przestępstw gospodarczych. [przypis autorski]

[6]

Nagranie zawierające oryginalny dźwięk i obraz (100%), wykorzystywane w materiałach telewizyjnych, zwłaszcza serwisach informacyjnych. [przypis autorski]

[7]

advokat [przypis autorski]

[8]

Morderca kopiujący dokładnie zbrodnie z przeszłości. [przypis autorski]

[9]

wzmacniacz i saksofon [przypis autorski]

[10]

piwnica [przypis autorski]

[11]

sprzęt grający, perkusja [przypis autorski]

[12]

Nazwa zespołu pochodzi od nazwiska barona Karla von Münchhausena, a osoby cierpiące na to zaburzenie często są poddawane hospitalizacji z powodu wywoływania

objawów chorób somatycznych. Pacjenci domagają się operacji chirurgicznych, aby doprowadzić do deformacji zdrowego organizmu. Zespół występuje u osób, które mają zaburzenia osobowości, zwłaszcza w psychopatii, oraz osób z tendencjami masochistycznymi lub obsesyjnymi. Celem zachowania jest wejście w rolę chorego. Zachowanie to często wiąże się ze znacznymi nieprawidłowościami w zakresie związków z innymi ludźmi. (za wikipedią.pl) [przypis autorski]

[13]

pistolet [przypis autorski]

[14]

informatorek policyjny [przypis autorski]

[15]

Osobowość chwiejna emocjonalnie, którą charakteryzują: wahania nastroju, napady intensywnego gniewu, niestabilny obraz siebie, niestabilne i naznaczone silnymi emocjami związki interpersonalne, silny lęk przed odrzuceniem i gorączkowe wysiłki mające na celu uniknięcie odrzucenia, działania autoagresywne oraz chroniczne uczucie pustki (braku sensu w życiu). Zapadalność na osobowość borderline jest dosyć częsta i wynosi około 1-2% (w tym 75% to kobiety). (Za wikipedią.pl) [przypis autorski]

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)